

JAN DOBRACZYŃSKI
WYBRAŃCY GWIAZD

JAN DOBRACZYŃSKI

POWIEŚCI BIBLIJNE

PUSTYNIA

*

WYBRAŃCY GWIAZD

*

LISTY NIKODEMA

*

ŚWIĘTY MIECZ

WARSZAWA • PAX • 1957

„...Sam zaś Jezus, gdy rozpoczął (działalność publiczną), miał lat około trzydziestu, będąc, jak mniemano, synem Józefa, który był synem Helego, syna Matata, syna Lewiego, syna Melchiego, syna Jannaja, syna Józefa, syna Matatiasza, syna Amosa, syna Nahama, syna Hesliego, syna Naggajja, syna Mahata, syna Matatiasza, syna Semeja, syna Józefa, syna Judy, syna Jana, syna Resy, syna Zorobabela, syna Salatiela, syna Neriego, syna Melchiego, syna Addeja, syna Kosama, syna Elmadama, syna Hera, syna Jozuego, syna Eliezera, syna Joryma, syna Matata, syna Lewiego, syna Symeona, syna Judy, syna Józefa, syna Jonasza, syna Eliakima, syna Meleasza, syna Menny, syna Matata, syna Natana, syna Dawida...”

(Łuk. 3, 23–31)

„Błogosławieni będziecie, gdy ludzie was znienawidzą i gdy was wyłączą i złorzeczyć wam będą, i zniesławiać imię wasze jako złe, dla Syna Człowieczego. Weselcie się dnia onego a radujcie, bo oto zapłata wasza obfita jest w niebiesiech. Tak samo bowiem prorokom czynili ojcowie ich.”

(Łuk. 6, 22–23)

I
MEGIDZKA KLĘSKA

I

Stojąc na wzniesieniu skalnym faraon Nechao sam kierował toczącą się w dolinie bitwą. Właśnie dał znak i nowa kolumna piechoty greckiej ruszyła do boju. Faraon uderzał teraz mocno z prawego skrzydła. Przeciwnicy — od wielu już godzin — stawiali silny opór. Nechao nie mógł prawie uwierzyć, że ta zbierana armia książąt syryjskich i króla judejskiego, która zuchwale przeciwstawiła się pochodowi jego wojsk, potrafi walczyć tak długo i tak uparcie. Był zniecierpliwiony: skinął ręką ku Kombabosowi, naczelnemu wodzowi najemników greckich, przywołał go do siebie.

— Czyż twoi żołnierze nie potrafią rozpedzić tej hałastry? — twardo popatrzył w szeroką twarz Greka przygniecioną przez wysoki hełm. — Jakżeż walczyć będziemy z wojskiem księcia chaldejskiego?

Nie czekając na odpowiedź począł znowu uważnie przyglądać się walce. Tak, niewątpliwie — to wojska judejskie były ośrodkiem oporu. Już po raz trzeci odparły uderzenie piechoty greckiej i wozów bojowych. Kazał sobie podać szkła, przez które patrząc widział obraz bitwy zbliżony i wyraźniejszy. Zobaczył Jozjasza. Poznał go od razu według tego, co o nim mówili posłowie: niezbyt wysoki, krępy, o przetkanych siwizną czerwonych włosach król judejski walczył z całą zawziętością. Widać było, jak obala wrogów, wymierza ciosy włócznią. Właśnie stał się z jednym z wodzów greckich. Nechao śledził walkę niecierpliwym spojrzeniem. Przeciwnicy dwukrotnie uderzali na siebie i dwa razy mijali się tylko w szalonym pędzie. Potem ruszyli po raz trzeci. Wozy szły blisko siebie. Nechao ujrzał nagły błysk włóczni. Tuman kurzu buchnął spod kół. Wóz Greka potoczył się w bok. I on, i woźnica zniknęli, jakby ich zdmuchnął wiatr. Faraon gniewnie uderzył dłonią w oparcie wozu, aż mu zadzwoniły liczne naramienniki. Podniósł rękę w górę. Był to znak, by nowa mora ruszyła do natarcia.

Słońce przetoczyło się już na drugą stronę nieba. Ciężki skwar wisiał nad zboczem i nad kamienistą równiną. Walczący w dole musieli być umęczeni do ostatniego tchu. Choć osłonięty parasolem i chłodzony podmuchem dwóch wachlarzy z piór strusich, faraon także czuł upał. Niecierpliwie potarł dłonią spotał pierś. Rozejrzał się po niebie. Było czyste, żaden obłoczek nie wró-

żył deszczu. Nie było także wiatru. Pasma górskie, na którego zboczu faraon stał w tej chwili, przechodziło miękko w złom Karmelu; za to ku dolinie Esdrelon spadało ostrym, groźnym urwiskiem. Szczyt góry na tle rozblęszczonego nieba wydawał się czarny niby z bazaltu wykuty. Przed sobą, po drugiej stronie doliny, Nechao miał górę Tabor, gładką kopę oblaną słońcem i gęsto porośniętą zwartym lasem dębów i terebintów. Zza niej wynurzały się pasmo za pasmem dalsze wzgórze. Tylko między Taborem a Karmelem leżała szeroka dolina — niby brama wyrąbana wśród wzgórz — prowadząca ku granatowemu morzu.

Ale droga faraona nie wiodła tędy. Przeciwnie, jego armia miała teraz odejść daleko od morza, miała iść przez kraj pustyń i bezwodnych stepów aż ku skalistemu płaskowzgórzcu górnego Sinearu, gdzie zaczynają swój bieg dwie wielkie, tak blisko siebie płynące, a tak do siebie niepodobne rzeki. Syn Psametyka bez chęci wkraczał w ziemie, o które Egipt i Asyria od wieków toczyły ze sobą spór. Nad morzem pozostawali jego najwierniejsi sprzymierzeńcy, Fenicjanie, których trójrzędowym okrętom zawdzięczała zaopatrzenie armia faraona. Nad morzem pozostawał zwid — marzenie całego życia: wodna droga pomiędzy ramieniem Nilu a Morzem Czerwonym, która miała otworzyć flocie egipskiej wielki świat mórz i nieznanych lądów.

Nechao nie chciał wojny. Od dawnych lat natomiast żył marzeniem o przebiciu wąskiego pasa ziemi dzielącego Bubastis od Morza Czerwonego. Dnia mi całymi tkwił w warsztatach, w których pod kierunkiem fenickich majstrów budowały się okręty egipskie. Nie chciał wojny. Natomiast chciał — on, syn, małego libijskiego książątka — wskresić na nowo dni Tutmozisów i Ramzesów. Lecz właśnie to pragnienie postawiło go wobec konieczności wyruszenia na wielką lądową wyprawę wojenną. Groźny przeciwnik wyrósł na widnokręgu: książę chaldejski Nabopolassar zawarłszy sojusz z Medami zniszczył armie króla asyryjskiego, rozgromił pod Gablinem korpus egipski posłany jeszcze przez Psametyka na pomoc Asyryjczykom, zdobył wreszcie i zrównał z ziemią Niniwę. Ostatni król asyryjski Sinszariskun rzucił się sam w płomienie płonącej stolicy. Nechao pojął, że jeśli zuchwałego zdobywcy nie poskromi, ten zawładnie wszystkimi ziemiami państwa asyryjskiego. Odłożył więc na czas jakiś sprawy morza, pożegnał swą ukochaną siostrę Nitokris, której miękkie, wonne ramiona rozpraszały każdą chwilę smutku i zniechęcenia, wsiadł na swój wóz bojowy i rozpoczął uciążliwą wędrówkę wzdłuż wybrzeży Wielkiego Morza.

Jednego tylko przeciwnika oczekiwał: księcia chaldejskiego. Ani mu

przez głowę nie przeszło, iż nagle zastąpią mu drogę sprzymierzone wojska małych władców Damaszku, Haaranu, Sarepty i Jerozolimy. Wodzem sojuszników był Jozjasz, Judejczyk. Nechao wiedział już wcześniej od swoich szpiegów, że król skalistego miasta jest zawziętym wrogiem Egiptu. Mimo to nie miał zamiaru uderzać po drodze na Jerozolimę. Nie chciał wdawać się w walkę z małym władcą maleńkiego królestwa. Ominął Judeę. Tymczasem Jozjasz zebrał książąt syryjskich i sam zastąpił faraonowi drogę pod Megiddo. Wczoraj nieoczekiwanie wódz przedniej straży wojsk Nechao, Melanthos, przysłał gońca z wieścią, że armia sprzymierzeńców stoi na drodze gotowa do walki. Nechao przesiadł się z lektyki na wóz bojowy i kazał wieźć się cwałem ku oddziałom Melanthosa. Rzeczywiście — w dolinie ujrzał przeciwników. W zachodzącym słońcu połyskiwały grotty dzid i tarcze. Dał rozkaz zatrzymania wojsk, po czym zwołał na naradę swoich wodzów. Twierdzili zgodnie, iż nie ma co zwlekać z walką, ponieważ przeciwnik da się łatwo i od razu zwyciężyć. Ale wbrew ich zdaniu Nechao spróbował innej drogi: wezwał jednego z wodzów egipskich — niewielu ich było od czasu, gdy Psametyk zwyciężył jedenastu książąt egipskich, by wsparłszy się na żelaznych legionach jońskich i libijskich zagarnąć władzę nad całym państwem — i kazał mu iść do obozu przeciwników z poselstwem do Jozjasza. Miał powiedzieć królowi judejskiemu: „Pan mój Horus, władca północnej i południowej Kemi, byk potężny, żyjący wiecznie Nechao przesyła pozdrowienia bratu swemu królowi Jozjaszowi. Cóż się stało, iż wystąpiłeś zbrojnie przeciwko mnie? Nie przyszedłem tu, aby walczyć z tobą, nie walcz więc ze mną. Odejdź do swego królestwa i ucztuj spokojnie. Niech pokój zostanie między nami”.

Ale gdy Tuti, wódz łuczników, wygłosił to przemówienie w namiocie Jozjasza, król judejski zwrócił głowę w stronę swoich doradców i chwilę przysłuchiwał się ich cichym szeptom. Potem wstał. Miał twarz bardzo białą i piękną; rude włosy dodawały życia jego ściągłym policzkom. Mocno uderzył się obu dłońmi w pierś, potem rzekł z nagłą siłą i stanowczością: „Powiedz twemu panu, faraonowi Nechao: To mówi Jozjasz, sługa Pański: nie przejdiesz! Stałem tu i walczyć będę z tobą, aż cię zetnę. Pan mój wyda cię w ręce moje, boś ty jest władcą ziemi grzechu i synem grzechu... Walcz, jeśli chcesz, lub odejdź...”

Nechao podniósł wzrok i popatrzył znowu na toczącą się przed nim bitwę.

Gdy mu wczoraj wieczór Tuti powtórzył słowa Jozjasza, a otaczający faraona wodzowie krzyknęli jednym głosem: „Szalony!”, Nechao także wzru-

szył lekceważąco ramionami. Trzeba być szaleńcem, by odrzucić przyjaźń faraona i stanąć do boju z jego dwoma tysiącami wozów bojowych, z ciężką piechotą grecką i łucznikami libijskimi! Set chyba zaciemnił umysł temu Judejczykowi! A mimo to Nechao nadal czuł niechęć do tej walki. Bez zapłała nakazał wodzom, by przygotowali żołnierzy do bitwy. Sam udał się do swego namiotu i kazał wezwać do siebie dwóch kapłanów towarzyszących wojsku. Byli to: stary Anama, wielki kapłan świątyni Ptah w Memfisie, i Herutataf — młody, ale cieszący się wielką sławą mądrości kapłan bogini Neit w Sais. Zgłosili się tak szybko, że można było sądzić, iż czekali tylko na zaproszenie. Anama szedł pierwszy, poważnie, pełen majestatu. Ubrany był, zgodnie ze swym stanowiskiem, w skórę pantery. Herutataf postępował o pół kroku za nim. Był chudy, zgarbiony, miał spuszczoną głowę i duże białe dłonie podobne dłoniom spracowanej przy praniu kobiety, kiwające się nisko, aż przy kolanach.

Nechao przestał patrzeć; siadłszy na oparciu wozu przypominał sobie każde słowo wczorajszej rozmowy.

Kapłani, wszedłszy do namiotu, powitali go z szacunkiem:

— Żyj wiecznie, Horusie.

— Bądźcie pozdrowieni — odpowiedział im.

Zatrzymali się na środku niby dwa posągi, on zaś podszedł ku nim niecierpliwym krokiem. Chwilę milczał wyłamując palce. Wreszcie rzekł:

— Cóż mi powiecie, czcigodni ojcowie? Chcę wiedzieć, co myślicie o jutrzejszej bitwie.

— Wojsko rwie się do boju... — powiedział ostrożnie Anama.

— Nie chciałem atakować Jozjasza... — zaczął Nechao.

— Czemu, Horusie? — Kapłan podniósł w górę spojrzenie swych zmęczonych, na wpół zakrytych obwisłymi powiekami oczu i popatrzył chwilę w twarz faraona. — Czemu, Horusie? — powtórzył.

— Po cóż ta wojna z małym księciem żydowskim...? — mruknął Nechao.

— Żydzi uważają siebie za wojowników Boga — powiedział cicho Herutataf. — Swego Boga. Nazywają go Jahwe. W Jego imię opuścili niegdyś ziemię Kemi. A gdy świątobliwy faraon Amenofis gonił ich... — kapłan, nie kończąc, zrobił wiele znaczący ruch ręką.

— Cóż stąd?

— Nie chcesz chyba, Horusie, aby ich Jahwe triumfował nad Ozyrysem?
Necho machnął ręką, jakby odganiał uprzykrzoną muchę.

— Dajcie mi spokój! Ozyrys i tak jest potężny. Nie chciałem walczyć z Jozjaszem, ponieważ... ponieważ sądzę, iż nie trzeba rozdrażniać tego gniazda szerszeni. Żydów nie wystarczy pobić. Trzeba ich zwyciężyć. Uparty naród. A ja pragnę prędko wrócić i zająć się kanałem... — wyciągniętym palcem nakreślił w powietrzu kierunek drogi, którą egipska flota miała, wypłynąć na Morze Czerwone.

Anama gładził spokojnie złotą tabliczkę wiszącą mu na piersiach.

— Lecz pamiętaj, Horusie — powiedział — że Żydzi są upartym narodem dlatego, że mają pełną uporu religię. Gdyby nie ona, mielibyśmy w nich najwierniejszych sojuszników i przyjaciół. Wiesz sam, jak chętnie przybywa do nas ich młodzież...

Necho skinął głową.

— Ale Jozjasz — ciągnął Anama — jest szaleńcem. Opętali go kapłani i wieszczkowie. Póki on panuje, mamy w Żydach tylko wrogów...

Faraon wziął szkła z ręki niewolnika i znowu począł patrzeć na bitwę. Odnalazł w dali postać króla Judei. Jozjasz w tej chwili nie walczył. Cofnął swój wóz i tylko wydawał rozkazy. Musiał być zmęczony. Obok jego wozu skupiła się grupka ludzi, widocznie najbliższych doradców. Necho wyteżył wzrok i zdawało mu się, że widzi wśród tamtych wysoką postać i ciemną, spaloną od słońca twarz nocnego przybysza.

Znowu powrócił myślą do rozmowy z kapłanami.

Stali w jego namiocie tak samo, jak widział ich stojących teraz o parę kroków od swego wozu: Anama wielki, spokojny, wyprostowany aż zda się do przesady; Herutataf nieco za nim, chudy, schylony, opierający swe wielkie dłonie o kolana. Właśnie Anama coś powiedział i Herutataf gestem pilnego ucznia wyjął spod fałd rulon papirusu, by na nim zapisać podyktowane słowa. Cały tłum młodszych kapłanów i sług kapłańskich stał za nimi.

— Jozjasz także — począł szeptać z kolei Herutataf — myśli o wielkim królestwie izraelskim. Mówiono mi, że kapłani jerozolimscy udają się do miast i miasteczek w ziemi Efraima i Manassesu i każą tamtym ludziom chodzić z ofiarami do świątyni w Jerozolimie. Nie jestem także pewny, czy

wiesz, Horusie, że Jozjasz rozkazał zabijać każdego, kto złoży swoją ofiarę gdzie indziej...

Necho wruszył ramionami.

— Nie pojmuję was... Właśnie pozwalając marzyć mu o wielkim królestwie izraelskim sądziłem, iż uczynię go swoim sojusznikiem... Ziemie, których pragnie, zagarnęli Asyryjczycy...

Obaj pochyłili głowy.

— Masz słuszość, Horusie. I niechby Izrael odebrał sobie zabrane przez Sannacheryba ziemie. Lecz pamiętaj: Judea czy Izrael będzie twoim sprzymierzeńcem tylko wówczas, gdy przestanie służyć Jahwe...

Bawiąc się rękojeścią miecza zapytał:

— Chcielibyście uczynić ich wyznawcami Izydy?

Potrząsnęli głowami. Anama, uśmiechając się lekko, wyjaśnił:

— To nie jest wcale potrzebne, aby każdy barbarzyńca wierzył i czcił boginię matkę. Niech sobie Żydzi wierzą w Isztar, w Baalów, w Dagona czy w Niniba, którego świątynie w Salemie wyniszczyli, ogniem. Niech tylko porzucą kult Jahwe. To szalona religia, Horusie...

Necho zaśmiał się kłopotliwie. Ostatnią noc przed odjazdem spędził z Nitokris. Była to piękna, gorąca i gwiazdzista noc. Leżeli oboje na tarasie, wsłuchani w szmer bijących fontann, pochłonięci sobą. W pewnej chwili kobieta dotknęła miękką dłonią piersi mężczyzny. Pochylił się nad nią. Wtedy ona, ogarnąwszy go ramieniem i przyciągnąwszy jego głowę do swojej, poprosiła cichym szeptem, aby idąc na wyprawę przeciwko księciu chaldejskiemu nie uderzał na Jerozolimę i na jej króla. Nechoo zdziwił się, skąd myśl o tym przyszła siostrze do głowy. Nie pytał jednak. Ona sama, wodząc mu pieszczotliwie dłonią po plecach, powiedziała, że prosiła ją o to Azuba, żydowska niewolnica. „Ona mówiła — szept Nitokris był niby szelest liści — że to miasto jest świętym miastem jej braci. A ten król — wielkim królem. I że jeśli zostawisz go w spokoju, to oni, Żydzi, modlić się będą za ciebie... Abyś zawsze zwyciężał. I aby nasza miłość... — Nechoo poczuł, że jej palce mocniej zaciskają się na jego ramionach, a jej półotwarte usta szukają jego ust — nigdy... nigdy... nigdy nie zginęła”. Noc żarzyła się upałem. Ogarniając Nitokris ramionami, obiecał, że zrobi wszystko, o co go prosi...

— Cóż mi więc radzicie? — zapytał.

Anama nie odpowiedział od razu. Dłuższy czas bawił się tabliczką, na

której wypisane były święte znaki, i raz po raz dotykał dłonią swej gładko wygolonej czaszki.

— Niech ci to, Horusie, powie — rzekł w końcu — wielce mądry Herutataf. On bada gwiazdy i zna ich drogi, a z dróg gwiazd wyczytać umie losy ludzkie. Niech on ci powie.

— Więc powiedz mi, Herutatafie... — Nechao zwrócił się do młodego kapłana. Sucha, przedwcześnie zwiędła twarz czciciela bogini wojny szarzała w ostatnich blaskach dnia. Ledwo już można było ją zobaczyć. Herutataf podniósł jedną ze swych olbrzymich białych dłoni i zrobił nią gest niby ktoś, kto prosi o wzgląd dla swych słów; począł mówić swym zwykłym, cichym, szemrzącym głosem.

— Skoro czcigodny i świątobliwy Anama chce, abym mówił, powiem ci, co myślę, Horusie. Trzeba, abyś jutro zwyciężył Jozjasza, i trzeba, aby Jozjasz nie zeszedł żywy z pola walki. Wtedy Żydom możesz ofiarować pokój i przyjaźń...

— Tak powiedziały gwiazdy?

— Nie, Horusie. Tak mówi doświadczenie.

— A co mówią gwiazdy?

Mówią wiele. Powiedziały, iż walczyć ze sobą będą wielcy władcy i że los wielu ludów się odmieni. Rzekły także rzecz dziwną... — Herutataf spojrział na Anamę, jakby czekał od niego zezwolenia, by dalej mówić. I dopiero gdy stary kapłan lekko skinął głową, podjął dalej: — Mówią, iż wielki król narodzi się na północy. Władca świata...

— Władca świata? I ma się dopiero narodzić?

— Mowa gwiazd, Horusie, nie jest nigdy zupełnie jasna. Gdy gwiazdy mówią, że się narodzi, król mógł się już narodzić...

Nechao spojrział pytająco na kapłanów:

— Sądzicie, że Nabopolassar...?

Potrząsnęli głowami.

— Nie. Nabopolassar jest stary. Jego wielkość już za nim...

— Więc któż?

Nie odpowiedzieli. Milcząc kiwali głowami.

— Nabuchodonozor? — pytał dalej. Stugębna wieść doniosła już faraonowi, że rzeczywistym zdobywcą Niniwy był następca chaldejskiego tronu.

Ciągle rozkładali ręce na znak niewiedzy. I milczeli. Po małej dopiero chwili cichym szeptem powiedział Herutataf:

— A jeśli miałby to być Jozjasz?

Nechao zaśmiał się. Jozjasz? Podniósł rękę, rozwarł dłoń, napiął mięśnie i mocno znowu dłoń zacisnął.

— Jozjasza, jeśli zechcę — rzekł — ot tak zduszę...

— Więc zduś go, Horusie! — szepnął Herutataf. — Zduś go! Kto zabija wybrańca gwiazd, sam się nim staje.

Faraon niechętnie wzruszył ramionami.

— Ach, nie. Pobiję go, zmuszę do posłuchu, a wtedy pociągnie ze mną na Chaldeczyka.

— Nigdy, synu słońca! Nigdy ci nie będzie posłuszny. Nienawidzi cię.

— Bo mnie nie zna. Skoro mu jednak okażę łaskę... — Nechao mówiąc to uśmiechnął się lekko. Pomyślał o tym, jak wiele mogła dać łaska okazana jego pradziadowi przez Assurbanipala. Ale w szarych, głęboko zapadniętych oczach Herutatafa nie wyczytał nic poza głuchą, zakamieniałą nienawiścią. — Ty, widzę, Herutatafie — powiedział — koniecznie chcesz śmierci Jozjasza...?

— Tak! — odparł namiętnie kapłan. Zgarbił się jeszcze bardziej, zmałał i tylko wielkie białe dłonie oparte o kolana zdawały się rosnać, przybierając kształt łap olbrzymiego zwierza. — Tak! — powtórzył. — I jeśli kiedy, Horusie, zechcesz, aby przestał żyć, daj mi tylko znak. Skiń głowę. O tak... Na pewno wtedy żyć przestanie.

Nechao niechętnie potrząsnął głową.

Noc już zapadła, kiedy kapłani opuścili jego namiot. Zrobiło się ciemno, trzeba było zapalić pochodnie. Od otaczającego namiot obozu płynęły krzyki i gwar — czasem ostry kwik gryzących się koni, czasem rżenia podobne śmiechy towarzyszących wojsku dziewcząt. Nagle tuż przed namiotem wszczął się ruch. Wszedł dowódca straży przybocznej faraona i podszedłszy do swego władcy upadł przed nim na twarz. Nechao, który był już zmęczony dniem i rozmową z kapłanami, spojrział na przybyłego wzrokiem, w którym znudzenie mieszało się z niechęcią.

— Czego chcesz?

— Bądź mi łaskaw, Horusie. Przyszedł do obozu jakiś kapłan czy szaleniec judejski i mówi o sobie, że jest posłem króla Jozjasza. Chce z tobą mówić. Powiedział, iż jest prorokiem... Co rozkażesz?

— Chce mówić ze mną?

— Tak jest, synu słońca.

— Wobec tego niech wejdzie. Ale wpierw poślij po wodzów, by przyszli wysłuchać poselstwa. I wezwij któregoś z Fenicjan. Niech tłumaczy słowa Żyda.

Dowódca straży podniósł się i wyszedł z namiotu. Nechao siadł na podsuniełym tronie. Tymczasem poczęli schodzić się wodzowie: Kombabos, Nitos — wódz procarzy, Asteropej — Spartańczyk, Melanthos. Oddali faraonowi wojskowy ukłon, po czym usunęli się w kąt, gdzie poczęli żywo ze sobą rozmawiać. Ale Nechao wezwał ich do siebie gestem ręki.

— Jakże się czują żołnierze? — pytał każdego z nich kolejno. Odpowiadali mu swobodnie, śmiejąc się i żartując.

— Boją się, Horusie, czy im aby wróg nie umknie, zanim przyjdzie do walki — rzekł Kombabos.

— Żydzi podobno modły odprawiają przed bitwą — śmiał się Asteropej. — A ja zawsze powiadam, że skoro stoi się przed silniejszym przeciwnikiem, jedyna rada bogów: mieć mocne łydy i w czas się im powierzyć...

— Każ tylko, Horusie, a rozpędzimy w mig całe to wojsko...

Nechao uciszył rozgadanych Greków.

— Wezwałem was tutaj, wodzowie, byście wysłuchali tego, co przyniósł poseł króla Jozjasza. Za chwilę tu wejdzie...

Nie czekali długo. Strażnicy rozchyłili poły namiotu i do wnętrza wszedł człowiek ponad czterdziestoletni, olbrzymiej postawy, chudy, wyschły, lecz szeroki w ramionach. Ubrany był w skórę wielbłąda, która zakrywała mu biodra. W rękę trzymał długi kij pasterski, na szyi miał zawieszoną na rzemieniu miedzianą pieczęć. Szedł przez namiot krokami tak wielkimi, że idący obok niego tłumacz — łysy, niski, pękaty Fenicjanin — musiał prawie biec, by nie zostać w tyle. Od razu skierował się w stronę faraona. Zatrzymał się o kilka kroków przed nim. Nie skłonił się nawet. Pozostał wyprostowany, olbrzymi nawet wśród Libijczyków i Greków. Mocno uderzył laską w ziemię.

Teraz, kiedy stanął w kręgu trzymany przez niewolników pochodni, widać było doskonale jego twarz. Była długa, pociągła, chuda i smągła, o silnie zaakcentowanych łukach brwi, pod którymi zdawały się płonąć czarne iskrzące się oczy. Długie — chyba nigdy nie strzyżone — kasztanowate włosy gęstą, zbitą falą spadały mu na ramiona. Nos miał długi, drapieżnie w łuk wygięty, usta małe, ale o silnie wywiniętych wargach, spod których błyskały białe zęby. Stał przed faraonem i milcząc mierzył go spojrzeniem palącym jak płomień. Nechao niecierpliwie poruszył się na swym tronie. Skinął na tłumacza:

— Zapytaj go, kim jest i z czym przychodzi.

Usłyszawszy pytanie przybyły wyprostował się jeszcze bardziej. Nagły dreszcz przebiegł po jego skórze. Zaczął mówić szybko, głosem chrapliwym, mocno przy tym gestykulując.

— Pytasz mnie, kim jestem? Nazywam się Jeremiasz, syn Helkiasza. Powołał mnie Pan, bym głosił Jego słowa i bym prowadził lud wybrany drogami Pańskimi. Wiedz bowiem, faraonie, że słowa Pańskie są jako ogień i jako młot kruszący skały, zaś drogi ludzkie nie są drogami ludzi! Pan sam sieje i żnie, zbiera i odwiewa. A co zbudował — rozwała; co nasadził — wrywa. Tak też i tobie przychodzę powiedzieć słowa Pańskie, którym nikt nie uszedł: Po zgubęś przyszedł! Wyruszyłeś na wojnę zbrojny w tysiące zbrój, wylałeś swe wojska jak Nil, gdy wylewa swe wody. Podobni szarańcze idą twoi wojownicy murzyńscy, Libijczycy zbrojni w tarcze, Lidyjczycy — w łuki i w strzały, włócznicy jońscy. Dalej! Spieszcie się! Słyszycie?! Kładźcie hełmy i pancerze! Gotujcie się do boju. Bowiem dzień Pański nadszedł — dzień pomsty nad nieprzyjaciółmi. Już jutro miecz pożre wasze ciała i opije się waszą krwią... Czy słyszysz, faraonie? Nie drzew na strzały szukajcie albo na włócznie, ale poślijcie prędko po żywicę z jodeł Galaadu, by nią zalewać wasze rany...

Gruby Fenicjanin drżał tłumacząc gwałtowne słowa mówiącego. W oczach wodzów błysnął gniew. Któryś krzyknął: „Milcz!”, Jeremiasz zaś odwrócił głowę i rzucił na tamtego złe spojrzenie niby odgryzający się pies. W namiocie znowu słychać było narastający gwałtownością i coraz bardziej chrapliwy głos pośta; gdy zaś ucichł na chwilę, wtedy zaczynał mówić bełkotliwie i nieskładnie tłumacz, poganiany do pośpiechu szybkim i ciężkim oddechem Jeremiasza.

— Złowróźbny wieszczek! — syknął Asteropej. — Pozwól, Horusie, bym mu te słowa wdusił włócznią w gardło.

Ale Nechao nie uniósł się gniewem. Wydawał się całkowicie spokojny i tylko zmarszczka między brwiami mówiła, że słucha Judejczyka z całą uwagą. Chwilami jego dłoń poczyniała bawić się ciężkim brązowym naramiennikiem, na którym wyrzeźbione były byki i lwy, to znowu gładziła rękojeść krótkiego miecza. Gdy przybyły ścichł na chwilę, Nechao zapytał go głosem niskim, twardym, lecz opanowanym:

— Mówisz, że doznam klęski?

— Doznasz klęski tu, nad rzeką...

Cień wątpliwości przewinął się po wargach Nechao.

— Nazywasz rzeką ten marny potok?

Ale Jeremiasz zdawał się nie słyszeć pytania. Znowu począł mówić z nie słabnącą gwałtownością:

— Ja ci to mówię: jak Tabor między górami, a Karmel nad morzem, tak idzie na ciebie sługa Pański i uczyni Memfis wdową, a Tafnis ruiną. Zginie twój żołnierz; wywróci go Pan swoim słowem. Gotuj się, krowo egipska, gotuj się, bo już poganiacz z postronkiem idzie ku tobie z północy...

Nagle rozległ się głos faraona, Nechao przerwał Jeremiaszowi gwałtownym gestem ręki. Unosząc się z tronu zapytał:

— Więc to z północy ma przyjść ten twój poganiacz? Wszak tak powiedziałeś?

Rzecz dziwna — po twarzy posła przemknął jakby błysk obudzonej niepewności. Nie odpowiedział faraonowi gwałtownymi wyzwiskami, ale na chwilę zatrzymał się w pół słowa. Mocno zacisnął usta, zmrużył oczy, zaś twarz porły mu setki zmarszczek. To była teraz twarz wieszczka w bolesnym wysiłku nasłuchującego głosu tajemnic. Ale szybko nowy płomień strzelił z czarnych oczu proroka. Głosem potężnym i chrapliwym krzyknął:

— Powiedziałeś! Z północy nadejdzie twój los!

— Lecz któż to będzie? — słowa faraona zabrzmiały niepewnie. — Może twój Jozjasz, Jeremiaszu? Tamten odkrzyknął:

— Ten, komu Pan odkrył zagubioną księgę Praw, ten ma być twoim pogromcą! Powiedziałem ci, faraonie: będziesz zwyciężony! Wdowy egipskie przeklinać będą twe imię.

— Czy to tylko przyszedłeś mi oznajmić? — Nechao zgarbił się na swym tronie. Niespokojnie wyłamywał palce.

— Przyszedłem, by ci powiedzieć, co cię czeka... Faraon ciężko odetchnął. Unikając wzroku swoich wodzów mruknął:

— Posłałem posłów do Jozjasza: wojny z nim nie chcę.

— Jeśli jej nie chcesz, wracaj do siebie! Wracaj do swego kraju żab i krokodyla! — wyciągnął rękę wskazującym gestem. — Wracaj!

— Zuchwalec! — Asteropej gniewnie uderzył włócznią o ziemię. — Daj go, Horusie, moim ludziom. Nauczymy go pokory.

Ale faraon jakby w roztargnieniu potrząsnął głową.

— Nie, nie... — znowu zwrócił się do proroka. — Powtórz Jozjaszowi, że wojny z nim nie chciałem i nie chcę. Z kim innym idę walczyć — obrać w palcach jeden ze swych naramienników. Nagle zsunął go z ramienia. — Zanieś to swemu królowi. Na znak, że nie chcę z nim walczyć. To cenny dar. Otrzymałem go od królowej...

Miał w pamięci ową noc — równie gorącą i piękną — noc pożegnania. W mroku bielilo się ciało Nitokris. Była szczupła, wiotka, wydawała się prawie dzieckiem. Ocierając się ramieniem o jego ramię (lubiła się tak ocierać jak kotka) wsunęła mu w dłoń naramiennik. „Weź — szepnęła — to dla ciebie. Zawsze mnie kochaj...” Zaśmiał się cicho. Zamiast odpowiedzi przytknął wargi do ramienia kobiety w tym miejscu, gdzie czuje się bicie krwi...

Ciemna dłoń proroka zamknęła się na naramienniku.

— Dobrze — rzekł nieustępliwie — zaniosę twój dar Jozjaszowi. Ale on rzuci go między śmiecie. Nie skala rąk nieczystym złotem.

Nagły skurcz gniewu przebiegł twarz Nechao. Zęby przygryzły wargę, w oczach pojawił się ponury blask. Zmrużył oczy, zacisnął palce na malachitowych gałkach zdobiących poręczę tronu. Głosem dobywającym się z głębi piersi rzucił:

— Nic nie mów. Tylko zanieś...

— Zaniosę — Jeremiasz cofnął się o parę kroków, jakby chciał objąć wszystkich swoich wrogów jednym spojrzeniem. Dumnie podniósł głowę. Ale nic już nie rzekł. Odwróciwszy się, wolno wyszedł z namiotu.

Faraon oderwał się od swych myśli. Poprzez szkła widział wyraźnie Jozjasza, jak jechał na swym wozie wzdłuż linii walczących Judejczyków.

Może zachęcał ich do trwania. Czerwone włosy powiewały, nabijany złotymi i srebrnymi blachami pancierz mienił się w słońcu. Obok wozu króla szło kilku ludzi. Tak — to nie mogło być złudzenie — pośród nich Nechao spostrzegł olbrzymią postać Jeremiasza. Gniewnie wpił się wzrokiem w przestrzeń. W miarę jak rzeczywistość czy ułuda wyraźniej ukazywały mu mężczyznę w wielbłądziej skórze na biodrach, podpierającego się pasterkim kijem, rozpalał się w nim ślepy gniew. Odjął szkła, od oczu i rzucił w nadstawione dłonie niewolnika. Ogarnął szerokim spojrzeniem całe pełne wrzawy, krzyków, szczęką broni oraz jęku rannych pole walki. Nagle dał Kombabosowi rozkaz, by uderzył wszystkimi pozostałymi dotąd w odwodzie siłami. A potem zwrócił głowę w stronę kapłanów. Od razu napotkał utkwiony w siebie wzrok Herutatafa. Skinął głową.

II

Pierwsi rzucili się do ucieczki wojownicy księcia Damaszku. Na ten widok Jozjasz zaciął biczem konie i cwałem pognał ku nim. Zobaczył przed sobą masę czerwonych z wysiłku, oblanych potem twarzy, setki wytrzeszczonych z przerażenia oczu, otwartych ust i poruszających się szybkim oddechem piersi. Zza pleców uciekających dobiegł go triumfalny krzyk Greków. Dzidy, strzały i kamienie świstały w powietrzu, spłoszone konie bez jeźdźców przelatowały obok, tupiąc dziko i wierzgając. Zanim się spostrzegł, rozwrzeszczany tłum otoczył zewsząd jego wóz. Próżno podniósłszy w górę ręce z włócznią w jednej dłoni, z batem w drugiej, krzyczał, by się zatrzymali. Uciekający nie słyszeli go nawet, pchali się dziko na wóz, na konie, w bydłym strachu tratując się nawzajem. Jozjasz ogarnięty gniewem począł smagać batem po głowach napierających na wóz ludzi. Krzyczał, ale sam nawet nie słyszał swego krzyku. Białe jego konie przytłoczone ludźmi spłoszyły się i poczęły stawać dęba. Woźnica straszliwym wysiłkiem obu rąk starał się je opanować. Nagle — Jozjaszowi wydało się, że widzi w gąszczu ludzkim łuczника w zielonym kubraku — świsnęła strzała i utkwiała w gardle woźnicy. Człowiek runął pod nogi króla, chrapiąc i dławiąc się zalewającą gardło krwią. Jozjasz sam musiał chwycić za lejce. Napór tłumy uciekających wzmógł się jeszcze. Ludzie pchali przed sobą wóz razem z końmi, wyjąc przy tym nieludzko. Ktoś nagle wbił nóż w bok jednego z koni. Przerażone zwierzęta stanęły dęba,

a potem nagle zawróciły i razem z falą biegnących rzuciły się do ucieczki. Cwałując obalały ludzi, tratowały ich, wlokły za sobą wóz. Włócznia i bat wypadły z rąk Jozjasza. Ze wszystkich sił starał się utrzymać równowagę na chwiejącym się wozie i powstrzymać rwące na oślepie konie. Ale nie zdołał tego uczynić. Wóz potknął się nagle na jakimś wyboju i Jozjasz padł wypuszczając z rąk lejce. Stoczył się na ziemię pod nogi napierającej tłuszczy. Uwikłany w płaszcz, nie mógł wstać. Ludzie deptali po nim, przewracali się o niego, przywalali go swoimi ciałami. Leżał bezsilnie, nie próbując się dźwignąć. Podczas upadku spadł mu z głowy hełm i ktoś kopnął go w odsłonięte czoło. Poczul, jak mu głowę ogarnia bolesny szum i mrok. Nagle losy bitwy — wszystko — stały mu się obojętne. Zgasł w nim nawet lęk o własne życie. Poczul, że mdleje, gdy nagle jakaś potężna dłoń chwyciła go za włosy i poczęła wyciągać z kłębowiska leżących. Ból był tak straszny, że Jozjasz od razu oprzytomniał. Nie mógł powstrzymać krzyku. Wył niby zwierzę. Wyciągnięto go z gęstwy. Ten, kto go tak bezwzględnie ratował, chwycił go teraz w ramiona. Jozjasz zobaczył nad sobą ostre rysy Jeremiasza.

— To ty? — szepnął, nie mogąc jeszcze zapomnieć o przeraźliwym bólu wydzieranych włosów.

— Ja... — olbrzymi nabi niósł Jozjasza na rękach niby dziecko. — Czy nie jesteś ranny?

— Nie. Puść mnie. Co się dzieje?

Jeremiasz nic nie odpowiedział. Chwilę jeszcze niósł króla, aż wydobył się z tłumu. Wyszedłszy na mały pagórek postawił go na ziemi. Jozjasz szybkim spojrzeniem obrzucił pole walki. Klęska była oczywista! Syryjczycy uciekali w popłochu, a za nimi gnały w tumanach kurzu setki bojowych wozów egipskich. Wojsko judejskie walczyło jeszcze, lecz była to już walka beznadziejna. Grecy miażdżyli je swoją przewagą. Jozjasz oderwał wzrok od pogromu i spojrzął w twarz Jeremiasza. Ci dwaj ludzie na wzgórzu, w samym środku toczącej się bitwy, wyglądali dziwnie: Jeremiasz miał twarz skrzywioną, ponurą, ciemniejszą jeszcze niż zwykle, Jozjasz natomiast w podartym płaszczu, pokryty pyłem, błądy po niedawnym omdleniu wydawał się raczej zjawą niż żywym człowiekiem. Ale oczy obu płonęły tym samym blaskiem. Jozjasz odgarnął włosy, z opuchniętego czoła. Zapytał tragicznym tonem:

— Co zrobić, Jeremiaszu? Mów! Dlaczego odszedł mnie Pan?

Półnagi olbrzym podniósł obie ręce w górę, jakby chciał jaśniejące słońcem niebo wziąć na świadka swych słów. Krzyknął dziko:

— Zgrzeszyłeś!

Jozjasz wtulił głowę w ramiona. Usta poczęły mu drżeć, oczy zaszyły łzami. Mocno potrząsnął głową.

— Nie zgrzeszyłem... Czymże miałem zgrzeszyć, Jeremiaszu...? Powiedz...

Naokół szalała bitwa. Napierająca z boku na Judejczyków mora spartańska wydawała okrzyki bojowe. Tarcze trzaskały pod uderzeniami mieczów i włóczni. Turkotały koła bojowych wozów. Z nieba sphywał na pole walki żar rozpalonego słońca.

— Musiałeś zgrzeszyć! — rzucił twardo, ale już nie tak gwałtownie prorok. — Musiałeś zgrzeszyć. Wszyscyście wy, synowie Dawida, grzesznikami przed Panem. Grzeszycie i nawracacie się; służycie Panu, a poczynacie grzeszyć... Pan mi rzekł, iż moc Egipcjanina legnie nad rzeką...

Przerwał mu straszliwy krzyk. To wojsko judejskie rzuciło się do ucieczki. Bitwa zamieniła się w rzeź. Grecy i Libijczycy biegli za uciekającymi zabijając, kogo tylko zdołali dognać. Z boku rzuciły się na Żydów wozy bojowe powracające właśnie z gonitwy za Syryjczykami. Jeszcze tylko oddział jazdy judejskiej próbował zastąpić drogę piechocie greckiej. Wódz Żydów uderzeniami miecza torował sobie drogę wśród nieprzyjaciół. Nagle zobaczył Jozjasza. Od razu poznał swego króla po rozwianych, nie nakrytych hełmem czerwonych włosach. Krzyknął na swoich, mieczem wskazując im króla. Ci zaraz przerwali walkę z Grekami. Porzucili przeciwników i pognali galopem ku wzgórzu, na którym stał Jozjasz. Był to doborowy oddział jeźdźców królewskich, jednakowo ubranych i jednakowo zbrojnych. W mig otoczyli wzgórze kręgiem spoconych, drżących z podniecenia ciał końskich. Na znak wodza jeden z jeźdźców zeskoczył z konia. Trzymając go krótko przy pysku podprowadził do Jozjasza.

— Siadaj prędko, królu — wołał dowódca — jeszcze ujdziemy pogoni.

Lecz Jozjasz nie ruszył się z miejsca. Stał jak przedtem z głową wciśniętą w ramiona, na szeroko rozstawionych nogach, Obie dłonie przyciskał do piersi. Krew odpłynęła mu z twarzy i nawet usta miał białe. Patrząc lękliwie na Jeremiasza, odpowiedział:

— Więc mówisz, że musiałem zgrzeszyć...? Tak mówisz...?

— Prędejj, królu! — krzyczeli żołnierze. Ich wódz zobaczył dużą watahę

lekkiej jazdy libijskiej, kierującą się ku nim. — Pędzej! — Jozjasz błędnym ruchem ujął w dłoń grzywę konia. Żołnierz pochylił się, by podnieść go w górę. Ale król nie zgiał kolana. Odwrócił się znowu ku Jeremiaszowi.

— Powiedz... Więc to ja...? Więc to moje grzechy? Tak mówisz...?

— Królu, pędzej! — krzyknął wódz jezdnych.

Libijczycy gnali już ku nim cwałem. Może zobaczyli na wzgórzu czerwone włosy Jozjasza i śpieszyli się, by ich kto nie ubiegł w ujęciu króla nieprzyjaciół. Pochylając się z konia, dowódca oddziału chwycił wpół Jozjasza. Chciał go dźwignąć i wciągnąć na grzbiet koński, ale król szarpnął się nagle i wydarł mu się z rąk. Jeszcze raz podbiegł do Jeremiasza. Rozpaczliwym gestem targnął go za ramię. Krzyknął:

— Czemu milczysz? Mów! Mów! Powiedz! Ja naprawdę nie zgrzeszyłem...

Olbrzymi nabi stał patrząc w niebo. Może czekał na Głos, który tak często służył mu i kazał mu mówić słowa prorocze. Ściągnęła twarz Jeremiasza wyrażała ból i roztargnienie człowieka, który zagubił się całkowicie wśród spraw niezwykłych. Ale żalosne słowa Jozjasza oprzytomniły go. Wpił wzrok w twarz stojącego przed nim króla.

— Jeśli jesteś bez grzechu — tedy módl się! Nic nie jest stracone, gdy Pan jest z nami. Wiedź do boju...

Resztę jego słów zagłuszyło wycie najeżdżających Libijczyków. Zawrzała walka, posypały się ciosy, konie poczęły tulić uszy i kwicząc gryźć się między sobą. Dowódca Żydów, odpierając mieczem pchnięcia włócznie ciemnego, prawie czarnego Libijczyka, wołał raz po raz do Jozjasza:

— Siadaj, królu, na konia! Przebijemy się!

Lecz Jozjasz zdawał się nie słyszeć jego słów. Nagle jakimś nieprzytomnym zrywem począł biec ku najwyższemu punktowi wzgórza. Potykał się, upadał i znowu zrywał się na nogi. Dobiegł wreszcie. Wtedy odwrócił się, stanął, rozłożył szeroko ramiona. Wyglądał żałośnie — niski, w poszarpanym płaszczu, z wielką czerwoną plamą na czole i zlepionymi potem włosami. Jakimś rozpaczliwym wysiłkiem utrzymywał obolałe ręce wciąż wyciągnięte, rozkrzyżowane szeroko nad polem bitwy. U stóp wzgórza toczyła się zaciekła walka. Mrowie Libijczyków zalewało broniących się i otoczonych zewsząd Żydów. Charkot umierających mieszał się z jękiem rannych.

Tego wszystkiego Jozjasz zdawał się nie widzieć. Całym wysiłkiem woli

podtrzymywał mdlejące ramiona. Nagle z cizby jeźdźców libijskich wynurzył się człowiek w krótkiej zielonej tunice strażników świątyni bogini Neit. W rękę trzymał długi łuk. Napiął go. Jęknęła cięciwa. Jozjasz zachwiał się i padł prosto na twarz z wciąż rozkrzyżowanymi rękoma.

W chwilę potem trąby obwieściły koniec walki. Był to znak, że należy przerwać ściganie uciekających i mordowanie otoczonych. Sam faraon na wozie bojowym zjechał na pole bitwy. Niedawny jego gniew już minął. Nechao był radośnie podniecony. Łaskawym skinieniem głowy odpowiadał na okrzyki witających go żołnierzy. Obok wozu faraona jechał konno Kombabos, dumny z osiągniętego zwycięstwa. Ciężki złoty łańcuch, jakim go przed chwilą obdarował Nechao, pobrzękiwał mile na blachach pancerza. Przejeżdżając przez potok faraon poczuł pragnienie i kazał sobie podać wody. Rzucono się, by usłużyć władcy; mądry Herutataf, który jechał na wozie tuż za wozem faraona, pośpieszył ku strumieniowi ze złożonym kubkiem w rękę. Ale Nechao wolał napić się z żołnierskiego hełmu jednego z otaczających go Greków. Lubił pić z hełmu, pomny, że ojciec jego, Psametyk, gdy nie stało dla niego pucharu, napiwszy się wina ze swego brązowego hełmu, zrealizował, sam o tym nie wiedząc, wielką przepowiednię o zjednoczeniu Egiptu. Wody potoku nie były jednak czyste: nurt był zmacony, w strumieniu leżały trupy pozabijanych. Ranni jęczeli — i ten jęk unosił się nad kamienną równiną niby jakiś monotonicznie śpiewany chorał. Tu i ówdzie obok stosu trupów stały kałuże krwi, którą chleptały chciwie psy bezpańskie. Żołnierze greccy i libijscy chodzili wśród ciał w poszukiwaniu łupów. Często dobijali rannych przeciwników. Za żołnierzami włóczyły się po poboju dziewczyny przybyte razem z wojskiem. Było ich bardzo wiele, należały do rozmaitych ras. Najwięcej widziało się czarnych Nubijek, smagłych Libijek, choć nie brakło także białych i jasnowłosych dziewcząt z Lidii, Grecji i Scytii. Śmiały się głośno, piszczały i nawoływały krzykliwie. Żołnierze chodząc po polu trzymali je wpół lub gzili się z nimi leżąc na kępach trawy i zdeptanego zboża. Oddawały się zwycięzcom o parę zaledwie kroków od trupów i stękających rannych. Żołnierze płacili im hojnie przedmiotami zdartymi z ciał. Na wozach taboru syryjskiego znaleziono wory z czerwonym winem libańskim, więc raczono się nim obficie. Rżnięto także bydło, które przyprowadziły ze sobą wojska sprzymierzonych książąt. Krew kozłów i baranów lała się w nie wyschłe jeszcze kałuże krwi ludzkiej. Wśród śmiechu jednym ciosem miecza lub topora ścinano głowy zwierzętom, wbijano olbrzymie kawały mięsa na rożen i pieczono je nad ogniskami, w których płonęły resz-

tki połamanych bojowych wozów. Co chwila wynikały spory i bójki o łup, o dziewczynę, o wino. Ludzie rzucali się na siebie z pięściami, wrzeszczeli, szarpali się, przewracali na ziemię, tarzali w krwawym błocie, sięgali po broń. Ale tam, gdzie zbliżał się faraon ze swoim dworem, dziesiętnicy i setnicy tęgimi razami kijów robili szybko porządek. Żołnierze podnosili się z ziemi, krzyczeli: „Witaj, Horusie!”, po czym zaraz wracali do żarcia, picia i dziewczyn.

Kiedy faraon przejechał przez środek pola i zbliżył się ku cienistym wąwozom, którymi uciekali pobici przeciwnicy, podszedł ku niemu Asteropej. Spartańczyk szedł niepewnie — ochlapany płaszcz mówił o jakichś nieprawdopodobnych ilościach wyżłopanego wina. Grube palce stratega pełne były pierścieni, kilka cennych pasów przewiesił przez ramię. Zatrzymawszy się przed wozem faraona, podniósł rękę w górę:

— Bądź pozdrowiony, Horusie.

— Witaj, Asteropeju — odpowiedział Grekowi Nechao. — Czy chcesz mi coś powiedzieć?

— Tak. Chcę ci, faraonie, ofiarować dar godny zwycięzcy: samego króla Judejczyków.

— Jozjasza?

Suchy i zawsze zgięty wpół Herutataf podsunął się z drugiej strony wozu faraona. Uniżonym gestem złożył swe wielkie dłonie.

— Wódz grecki myli się — powiedział głośnym szeptem. — Jozjasza ofiarowałem ci, Horusie, o wiele wcześniej...

Asteropej zmarszczył brwi.

— Nie pleć głupstw, Herutatafie! — burknął ostro. — Jozjasz był i jest w moim ręku...

— Lecz nie twoja strzała, Asteropeju, powaliła go...

— Chyba i nie twoja, kapłanie! Daleko trzymałeś się od walczących!

— Mądry mąż nie musi tłoczyć się w ciżbie, by kierować dłonią śmierci...

Nechao niecierpliwie podniósł rękę w górę.

— Przestańcie się spierać. Zapominacie, że Jozjasz jest moim jeńcem.

— Raczej był, Horusie — mruknął Asteropej rzucając gniewnym spojrzeniem na kapłana. — Strzała, którą z tak daleka ugodził go Herutataf, trafiła go mocno. Umiera.

— Umiera?! — zawołał faraon. — Chcę go zobaczyć. Zaprowadźcie mnie do niego.

Podjechali do wzgórza, przy którym został rozgromiony ostatni stawiający opór oddział judejski. Pagórek otaczał wieniec stłoczonych ciał ludzkich i końskich. Zwycięscy Spartanie grzebali się w tym gąszczu i obdzierali pobitych z pancerzy, śmiejąc się głośno i pokazując sobie palcami obrzezanych. Na widok faraona na chwilę ścichli. Patrzyli ciekawie, co będzie robił wielki władca. On zaś kazał zatrzymać wóz, po czym zsiadł z niego i zbliżył się do szczytu wzgórza. Jozjasz leżał tutaj, sztywno wyciągnięty na swym płaszczu. Kuttona z ciężkiego lnu, którą miał na sobie, nasiąknięta była krwią. Król miał zamknięte oczy, ale lekki ruch warg mówił, że jeszcze żyje. Koło ust zastygło mu pasemko krwi, nadając całej twarzy wyraz cierpienia. Także czerwone włosy były pokrwawione. I tak leżał nędzny, nie obmyty z krwi, potu i pyłu, już nie król, ale żalosne pośmiewisko dla zwycięzców. Obok niego klęczał Jeremiasz. Włosy spadły mu na twarz, a głowę miał posypaną ziemią. Nie podniósł się słysząc głosy i stapania nadchodzących. Klęczał dalej martwy, podobny posągowi rozpaczy.

Necho stał nad Jozjaszem i jakiś czas przyglądał mu się w milczeniu. Myślał. Przypomniały mu się znowu słowa Nitokris i jeszcze dawniejsze rozmowy z bogatymi kupcami żydowskimi w Egipcie, od których zażądał kiedyś dużej daniny na budowę floty. Zapytał ich wówczas: „Kto u was panuje w Jerozolimie?” Odpowiedzieli: „Jozjasz ben Amon”. „Jakiż jest ten wasz król?” Poczeli cmokać z zachwytu. „Co za król! Jaki król! Drugi Salomon! Drugi Dawid! Żeby dostojny faraon go poznał! A jaki dzielny! A jaki mądry! A jaki święty! Odbudowuje świątynię... Nowe prawa nadał ludowi... Drugi Mojżesz!” Ten człowiek leżał teraz u nóg faraona w ostatnim upodleniu. Necho zauważył, że palce rąk Jozjasza poczynają drapać ziemię. A więc to była już agonia. Usta konającego rozchyliły się. Dobiegło z nich ciche rżenie. Ciało sprężyło się. Jednocześnie otworzyły się oczy — duże, jasno-niebieskie — i spoczęły na twarzy faraona.

Necho pochylił się nad leżącym. Poczuł jakby smutek, że ten król, taką sławą otoczony, umiera nędznie, pobity przez jego żołnierzy. Patrząc na konającego faraona miał przed oczyma Nitokris i jej prośbę. Leżała wtedy z dłońmi przy twarzy i patrzyła mu w oczy przymglonym wzrokiem. Szeptala: „Oni się modlić będą, by nasza miłość trwała długo i była szczęśliwa...” Pamiętał każde jej słowo, jak pamiętał smak każdej jej pieszczoty. Obiecał, że oszczędzi Jozjasza. Tymczasem... Niechętnie uświadomił sobie, że wy-

dał rozkaz. Lecz cóż to może zaszkodzić jego miłości? Gdy wróci, znajdzie znowu Nitokris oddaną sobie, żądną jego pieśszcót, ofiarowującą mu w zamian coraz to nowe pieśszcoty. Mimo to nie mógł się oprzeć uczuciu żalu, że król, o którego ocalenie prosiła, leży powalony. Zawołał cicho:

— Jozjaszu, Jozjaszu!...

Ale leżący nie odpowiedział nic. Powoli zamknął oczy, Jak je zamyka senne, próżno budzone dziecko. Znowu wyprężył się, głowa obsunęła mu się w bok. Strumień krwi popłynął z ust. Pierś zamarła w bezruchu.

Ciężki szloch wydarł się z piersi Jeremiasza. Prorok, klęczący dotychczas w milczeniu, począł jęczeć i zawodzić. Wydrapał długimi palcami dwie garści ziemi i posypał nią sobie głowę. Schylony nisko, mówił:

— Uczyniłeś nas, Panie, sierotami... Odjąłeś od nas moc i sprawiłeś, że grzeszni naigrawają się z nas... Zasłoniłeś twarz chmurą i nie ma dla nas słońca.

Asteropej wybuchnął śmiechem. Schylił się i wziąwszy w rękę bryłę ziemi, rzucił nią w starca.

— Płacz teraz! — krzyknął. — Ty, co nam groziłeś swoim Bogiem! — Gniewnie kopnął klęczącego olbrzyma. — Płacz! Niewolnikiem moim będziesz. Po twoim karku będę wsiadała na konia...

Nechao teraz dopiero spostrzegł Jeremiasza. Poprzednio nie zwrócił uwagi na klęczącego człowieka. Widok złamanego proroka sprawił mu radość. Pamiętał dobrze obraźliwe słowa wielkiego nabiego i jego pełen pogardy gest, gdy brał do ręki ofiarowany Jozjaszowi naramiennik. Nie mógł mu także darować, że go tak wystraszył swymi śmiesznymi przepowiedniami. Odwrócił się, by iść w stronę wozu, gdy nagle przebiegła mu przez głowę myśl, że Nitokris na pewno prosiłaby go o litość nad prorokiem. Bała się zawsze wróżb i wieszczb. Jakiś wędrowny czarodziej powiedział jej kiedyś, że leżeć będzie w łożu nie kochanego mężczyzny. Nechao kazał czarodziejowi wydrzeć język i oczy. Ale Nitokris nie zapomniała strasznej dla siebie wróżby. Żyła tylko miłością do brata. Dlatego tak bardzo chciała, by Żydzi egipcscy modlili się za ich miłość.

Faraon obejrzał się na Asteropeja wrzeszczącego wciąż nad Jeremiaszem. Nagle powziął decyzję. Rzekł:

— Oddaj mi tego jeńca, Asteropeju.

Grek zaśmiał się chełpliwie.

— A co mi dasz za niego, Horusie?

— Mogę ci dać trzech innych. Albo białe konie króla Jozjasza. Albo dziewczynę...

— Wieszczek lepszy... Będzie mi o przyszłości gadał...

— Cóż więc chcesz za niego?

— Co ja chcę? Ot, to mi daj, Horusie.

Zuchwałym gestem barbarzyńcy wskazał ręką na złotą tabliczkę ze świętymi znakami, zawieszoną na piersi faraona. Nechao gniewnie zmarszczył brwi, stojący obok kapłani pobledli z oburzenia.

— Tabliczka jest święta — rzekł faraon. — To. talizman boga Ra i bogini Maat. Tylko ja mogę ją nosić na szyi. Jeżeli chcesz złota...

Asteropej czknał. Małe jego oczka zamigotały złośliwie.

— To każ, Horusie, niech mi Herutataf da łańcuch, co go ma na szyi.

— Szalejesz, Greku — syknął kapłan bogini Neit. — Ten łańcuch mogą nosić tylko kapłani!

— I tabliczki nie, i łańcucha nie?... Więc cóż mi dasz, synu słońca?

Nechao poważnie skinął głową.

— Zawierz mej szczodroblewości. Dostaniesz godną zapłatę.

Odwrócił się ze wstrętem od pijanego stratega, a pochylił się nad wciąż lamentującym Jeremiaszem. Wziął go za ramię. Prorok podniósł głowę. Spod zwichrzonych, starganych włosów ukazała się zalana łzami twarz. Ujrawszy przy sobie faraona, Jeremiasz cofnął się całym ciałem.

— Nie dotykaj mnie, nieczysty!

Nechao skinął na tłumacza.

— Powiedz żydowskiemu prorokowi, że jest wolny. Niech zabierze ciało swego króla i niech go pogrzebie w grobach królów judejskich. Niedługo zajadę do Jerozolimy. Wtedy nowy król winien mi oddać hołd.

Zawrócił do swego wozu. Do idącego podszedł Herutataf.

— Posłowie Megiddo, synu słońca, przyszli ukorzyć się przed tobą.

— Cóż mam im powiedzieć?

— Twoja mądrość poradzi ci najlepiej. Jednak łaskawość może nam dać wielkie korzyści...

— Odpowiedz więc im, że jestem dla nich łaskawy. Niech złożą dary, niech dostarczą żywności i niech pogrzebią trupy...

— Powiedziałeś...

— Czy chcesz czegoś jeszcze?

— Tak, Horusie. Asteropej...

— Wiem. Obraził boga żądając świętej tabliczki. Ale jest mi potrzebny...

— Spartańczycy wybiorą nowego stratega...

— Czy potrafi im przewodzić?

— Och, na pewno!

— Więc czyń, jak uważasz. Lecz pamiętaj, że jeśli Grecy dowiedzą się, z czyich rąk zginął, gotowi podnieść bunt.

— Nie dowiedzą się nigdy, Horusie.

Nechoa wsiadł na wóz. Woźnica trzasnął biczem. Żołnierze wrzasnęli: „Żyj wiecznie!” — i poczet ruszył z powrotem ku zboczom Karmelu, na których leżał obóz egipski. Już jadąc, Nechoa przypomniał sobie, że nie zażądał od Jeremiasza zwrotu naramiennika Nitokris. Przez chwilę miał ochotę zawrócić. Ale zrezygnował z tego. Uśmiechnął się i powiedział do siebie: „Przyjadę po niego do Jerozolimy”. Ogarnęła go w tej chwili taka pewność triumfów, zwycięstw i miłości, że było mu nawet obojętne, iż dar siostry pozostanie w rękach obcego wieszczka.

Asteropej pozostał między swoimi. Ci otoczyli go kołem.

— Cóż ci dał faraon za Jozjasza i za jego proroka?

— Teraz nic. Ale obiecał dać wiele.

— Trzeba było żądać, by dał od razu.

— Głupiście! Już on mi musi dać... — odepchnął ich. Siadł na wzdętym trupie konia. — Wina! — Podali mu skórzany bukłak. Asteropej pił chciwie, aż wypił wszystko. Odrzucił pustą skórę. Dźwignął się na nogi. Kopnął w głowę leżące obok zabitego Żyda.

— Obejrzelście ich wszystkich? Nic już przy nich nie ma cennego?

— Nie, nic.

Zataczając się na nogach, szedł między swymi ludźmi. Wtedy zza pleców jednego z nich wysunęła się dziewczyna. Przeginając się zalotnie, krzyknęła:

— Daj mi coś, Asteropeju!

Zatrzymał się i począł ściągać z palca ciężki pierścień.

— To chodź do mnie.

Podbiegła zwinnie i zanim obejrzał się, wyrwała mu z ręki pierścień. Zakreśliła się jak tancerka na czubkach palców.

— Złap mnie! — krzyknęła.

Spartańczycy wybuchnęli śmiechem. Asteropej porwał się do biegu. Dziewczyna uciekała, ale on, choć pijany, szybko ją dognał. Objął ją ramionami i przycisnął mocno do siebie. Dysząc ciężko, pochylił nad nią swą wielką twarz. Ze śmiechem wepchnęła mu w usta słodką figę. Zagulgotał jak indyk, przełknął owoc. Jak piórko dźwignął dziewczynę.

III

Kiedy Elmadam otworzył oczy, spostrzegł, że leży na niskim posłaniu w nie znanej sobie izbie. Zdumiony dźwignął się na łokciu, ale zaraz opadł na łóżko. Krew pulsowała mu ciężko w skroniach. Uświadomił sobie, że jest bardzo słaby i że nie stać go na tak duży wysiłek. Głowę miał obwiązaną grubą lnianą chustką, przykrywającą cieńsze szmaty. Przypomniał sobie cios mieczem w zamęcie walki. Poza wspomnienie tego wydarzenia pamięć jego nie sięgała. Przedtem była bitwa, zawzięta, krwawa, długa walka, w której musieli ulec przemocy wrogów. Elmadam niezliczoną ilość razy uderzał na przeciwników. Kilkakrotnie widział ludzi padających od jego miecza lub włóczni. Była to pierwsza wielka wojna w jego życiu. Cieszył się więc, gdy Jozjasz wziął go do swego otoczenia. Decyzja wyruszenia przeciwko faraonowi zapadła na zamku syjońskim po długotrwałych i pełnych gwaru naradach. Ta wojna nie była popularna w Świętym Mieście. O Asyrii myślano zawsze z zaciętością jako o wrogu, który zdeptał i zniszczył królestwo Izraelskie, zburzył Samarię, zabrał ze sobą jej mieszkańców, a jeżeli nie tknął Jerozolimy, stało się to tylko dzięki opiece Najwyższego i nieustępliwej ufności króla Ezechiasza. Wprawdzie Samaria walczyła nieraz przeciwko Jerozolimie, a królowie izraelscy potrafili nawet — jak król Joaz — wtargnąć do miasta i ograbić świątynię, ale przecież byli to władcy dziesięciu bratnich pokoleń związanych z Judą i Beniaminem — zanim jeszcze Achiasz Silonita

rozdarł swój płaszcz przed Jeroboamem — pamięcią o praojcu Abrahamie, prawodawcy Mojżeszu, królu Dawidzie, pamięcią o jednym i tym samym niewidzialnym, wszechpotężnym Jahwe. Zresztą od czasu judejsko–izraelskich wojen minęło już wiele lat. Zapomniano o dawnych urazach. Ci z Żydów, których nie zabrali ze sobą Asyryjczycy, przybywali na święta do Jerozolimy i tu, a nie gdzie indziej, w Salomonowej świątyni składali swoje ofiary. Poczucie wspólnoty kazało Judejczykom nienawidzić Asyrii. Pogardzano zimnym, bezwzględny okrucieństwem wyznawców Assura, pogardzano ich żołnierskimi, prostymi obyczajami. Inaczej Egipt! — to był kraj wiecznej zazdrości, wiecznego podziwu! Ach, Egipt! Niezglębiona wiedza kapłanów, przepych dworu, egzotyka kraju krokodyla, monumentalne budowle — wszystko to oddziaływało upajająco na judzką wyobraźnię. W Memfis i w Tebach były najpiękniejsze lektyki, najcieńsze tkaniny, na j wykwinniejsze sandały... Tylko w Egipcie ludzie umieli czarownie spędzać czas, słuchając śpiewu i gry egipskich muzykantek, umieli szaleć i bawić się, zapominając o upływających latach, o pracy — o wszystkim. O Egipcie mówiło się z zachwytem, wbrew królowi, który zwyczajów egipskich nie znosił, a religię Ozyrysa, Izdy i Horsa głośno potępiał. Toteż gdy z wyżyn Betel i Golgota powiały sztandary na długich drogach, a wieczorami poczęły grać trąby wzywające mężczyzn na wyprawę wojenną, nie sądzono, że to będzie wojna przeciwko Egiptowi.

Elmadam leżąc przypominał sobie tamte dni. Często widywał wówczas Jozjasza. Król sam dopilnowywał przygotowań do wyprawy wojennej. Na radzie przekonywał gorąco, że wojnę rozpocząć trzeba, wyprawiał posłów do książąt syryjskich. Gdy mu tłumaczono, że Egipt jest potężny, potrząsał tylko swą czerwoną głową. „Pan jest potężniejszy” — odpowiadał. Przed wyprawą nakazał modły, składał szczodre ofiary. Wobec wszystkich wezwał arcykapłana, by zapytał Jahwe o Jego wolę. Helkiasz wszedł do miejsca Świętego w swym uroczystym stroju. Elmadam pamiętał tę chwilę, gdy sędziwy dostojnik niepewnie, wyciągając przed siebie rękę, wyszedł spoza kotary w barwnym efodzie i w wysokim granatowym kołpaku na głowie. Złota blacha na turbanie, złote guzy na piersiach arcykapłana i złote łańcuszki opinające święty hoszen połyskiwały w blasku zapalonych świeczników. W zaciśniętej dłoni Helkiasz trzymał jeden z dwóch wyrocznych kamieni: urim i tummim. Wobec wszystkich otworzył dłoń. Zebrani krzyknęli: na dłoni arcykapłana leżał biały kamień — znak, że Jahwe potwierdza decyzję królewską. Wtedy także Elmadam zobaczył po raz pierwszy Jeremiasza. Pro-

rok mieszkał stale w pieczarze koło Anatot. Tam chodzili do niego wysłańcy królewscy, on zaś mówił im, co mają powtórzyć Jozjaszowi. Poprzednio przebywał na królewskim dworze, ale to było dawno. Jeszcze przed ogłoszeniem przez Jozjasza znalezionych praw usunął się na pustynię. Lecz przed wyprawą zjawił się na Syjonie. Prorokował często w wyżnim przedsionku, trzymając dłonie oparte o narożniki ołtarza kadzenia. Rzucił gromy na Egipt. Elmadam przypominał sobie jego wołania: „Cielicą piękną i urodziwą jest Egipt, poganiacz z północy przyjdzie na nią. Jego najemnicy mieszkający pośrodku, spaśli niby wieprze, uciekną pierwsi i oprzeć się nie zdołają, bowiem przyszedł czas nawiedzenia...”

Dawne wspomnienia wracały do Elmadama. Pamiętał: radosny pochód wojsk, które ciągnęły na północ przez Silo, ruiny Samarii, Taanak do Megiddo, porwane entuzjazmem swego władcy. Pamiętał spotkanie z wojskami książąt syryjskich, którzy zaraz zaczęli przekonywać Jozjasza, że trzeba na Egipcjan uderzyć z zasadzki, on zaś oparł się temu, twierdząc z całą stanowczością, iż Pan walczyć będzie za swoje sługi. Pamiętał słoneczne, pogodne popołudnie, gdy na stokach górskich ukazała się olbrzymia armia faraona. Pamiętał wreszcie zawziętą walkę. Ale tego, co było potem — nie pamiętał.

Rozejrzał się po izbie. Był to górny pokój zamożnego izraelskiego domu. Leżało w nim kilka posłań, stał stół i stołki. Część izby zakrywała kotara — musiała tam się znajdować strona kobieca. Małe okno zabite drewnianymi kratami niewiele dawało światła. Znacznie więcej płynęło z otworu w górze, o który oparte były drewniane schody. Tamtędy wychodziło się niewątpliwie na płaski dach domu. Na wprost górnego otworu był otwór prowadzący do dolnej izby. Stamtąd — czy może po prostu przez okno i przez taras — napływał do izby, w której leżał Elmadam, gwar wielu głosów, dobrze znany hałas miasta. „Czyżbym był w Jerozolimie?” — pomyślał młody żołnierz. Nie umiał jednak odpowiedzieć sobie na to pytanie. Izba, w której leżał, na pewno była mu nie znana.

Ktoś szedł z góry, z tarasu. Elmadam nie ruszając się na posłaniu patrzył uważnie. Zobaczył najpierw stopy w skórzanych sandałach i kraj długiej niewieściej szaty. Potem ukazała mu się szczupła, zręczna kibić, wreszcie głowa młodej dziewczyny niosącej na ramieniu wysoki dzbanek. Miała włosy

i oczy czarne, wargi bardzo czerwone, cerę ciemną. Z uszu zwisały jej dwa wielkie srebrne koła. Miała zejść w dół, kiedy nagle spostrzegła otwarte oczy Elmadama. Przystanęła spłoszona. Ale zaraz uśmiechnęła się ukazując białe, ładne zęby.

— O, czujesz się już dobrze — powiedziała. — Zawołam ojca.

— Poczekaj — zatrzymał ją. Chciał dźwignąć się na posłaniu, ale znowu poczuł gwałtowne bicie krwi w skroniach, zawrót głowy i słabość. Gestem i uśmiechem dał jej znak, że za chwilę będzie czuł się lepiej. Już nie próbując poruszyć się, pytał: — Powiedz mi wpierw: Kto ty jesteś? Czy to dom? Skąd się tu wziąłem?

Śmiała się.

— Nie powinnam z tobą rozmawiać... Ale ci powiem. Jesteś w Megiddo, w domu mego ojca Michy syna Rafaja... Przyniesiono ci tutaj z pola bitwy. Ach! — zawołała składając dłonie — wszyscy myśleli, że już nie będziesz żył! Z głowy płynęła ci krew, wiele krwi. Byłeś także skopany przez konie i obdarty ze wszystkiego przez Greków. Ale prorok mówił, by się tobą opiekować.

— Prorok?

— Tak, prorok Jeremiasz. Skoro Egipcjanie poszli, Jeremiasz wezwał naszych z miasta i powiedział im, by się zajęli rannymi. Ojcu polecił ciebie. Mówił, że ludzie z rodu Dawidowego...

Urwała. Zaczerwieniła się i spuściła oczy. Uśmiechnął się.

— Mów dalej. Cóż Jeremiasz? Co król Jozjasz?

— Król Jozjasz? Przecież zginął!

— Zginął?!

Poczuł głęboki żal. Ale ten żal nie mógł trwać długo. Bo była w Elmadamie radość, że żyje, niepojęta wewnętrzna wesołość. Znowu uśmiechnął się do dziewczyny. Podobała mu się. Była młoda, ładna, świeża i zgrabna. Lekko przezroczysta błękitna zasłona zwisała jej od ramion do bioder. Pleciony pas podkreślał szczupłość jej sylwetki i wdzięk młodych piersi. Czarne, prawie granatowe włosy układały się puklami nad czołem. Dziewczyna odpowiedziała mu uśmiechem. Trzymała się ciągle dość daleko od posłania Elmadama, ale widać było, że zwolna opuszcza ją lęk przed nieznanym mężczyzną. Dyskretnym ruchem sięgnęła do małego lusterka wiszącego u pasa i popatrzyła w nie, przeginając głowę.

— Cóż więc Jeremiasz? — podjął.

— Jeremiasz? Kazał dać sobie wóz zaprzężony w cztery woły, dwóch służących, i zabrawszy ciało króla pojechał do Jerozolimy. Już minęły trzy dni od tego czasu...

Urwała, poczęła nasłuchiwać. Głos kobiecy wołał na dole:

— Rut! Rut! Gdzie jesteś tak długo? Rut!

Sploszona pochwyciła swój dzbanek.

— Muszę iść — powiedziała. — Powiem ojcu, że oprzytomniałeś... — szybko pobiegła w dół po schodach. Słyszał, jak wołała:

— Idę już, idę!

Elmadam został sam. Znowu przypomniał sobie Jozjasza i poczuł smutek, że zabrakło wielkiego króla. Ale wewnętrzna wesołość nie dała mu długo myśleć o rzeczach smutnych. Był jak człowiek, który po ciężkiej nocy zobaczył świt i słońce. Chciało mu się cieszyć wszystkim: płamami słońca na drewnianej podłodze izby, gwarem miasta przelewającym się nieustanną falą nad jego głową, tą dziewczyną... Wiedział już, że się nazywa Rut. Ładne imię. Tak samo nazywała się siostra jego ojca. W ich rodzie imię Rut powtarzało się często dla zachowania pamięci o tamtej czcigodnej Moabitce, która dla swych cnót została żoną Booza i prababką Dawida. Potomkowie najstarszej linii, królowie, mogli zapomnieć o tradycji. Byli i tak władcami. Ale potomkowie najmłodszego syna Dawidowego, Natana, pamiętali dobrze o odeszłych do szeolu przodkach.

Na dole na schodach rozległy się ciężkie kroki. Po chwili do izby wszedł wysoki, dostatnio ubrany Żyd o długiej siwej brodzie. Życzliwie kiwnął głową Elmadamowi.

— Niech Pan będzie z tobą. Witaj. No, no — uśmiechnął się — skoro odzyskałeś przytomność, będziesz zdrów. A już baliśmy się o ciebie.

Sięgnął, po wyplatany stołek i usiadł na nim przy posłaniu rannego.

— Powiedziała mi moja córka, żeś się obudził. Widziałeś moją córkę? Urodziwa, co? Jak sarna... Już się o nią pytali, ślali swatów. Ale co się będą śpieszyły? Kto ją weźmie — skarb weźmie. Ja ci mówię. I dom w mieście mam, i handel. A w górach trzody. Dużo trzód... I jakie! Co się będą śpieszył, no?

Poklepał Elmadama po ramieniu.

— No, a ty jakże się czujesz? Lepiej?

— Lepiej. Tylko mi sił brak. Dźwignąć się nie mogę.

— Wszystko przejdzie. Wydobrzejesz. Najważniejsze, że się ta straszliwa wojna skończyła wreszcie. Co to było! Co to było! Krzyczeli, zabijali... A ci Grecy! Mówię ci: oni tylko palić, zabijać, rabować, gwałcić dziewczyny. Ja moją Rut, to — wiesz, do beczki schowałem. Ale faraon łaskawy. Przyjął dary. Mądry władca. Niech mu tam Pan będzie łaskaw, choć poganin. Po co ten król Jozjasz na niego poszedł? No i po co?

Chwilę trząśł swą siwą głową.

— I zginął. Aj, jaka szkoda! Dobry był król. Tylko, że u was, Judejczyków, zawsze znajdzie się jakiś szaleniec, co to nie wiadomo czego chce... Ja mówię: trzeba spokojnie... Ludzie nie są tacy źli. Po co zaraz wojna?

Urwał.

— Ale ja tak tylko mówię. Skoro Najwyższy kazał... — zrobił beznadziejny gest rękoma. — Możesz głodny?

Elmadam zaśmiał się.

— Czuję, że mógłbym coś zjeść...

— O, widzisz... To najważniejsze. — Micha klasnął w dłonie. Zawołał: — Rut! Rut! Przynieś nam prędko świeżych placzków, oliwek, sera, czosnku! I dzbanek sicery. — Znowu zwrócił się do Elmadama: — Jeśli jutro będziesz się czuł dobrze, każę zabić kozłą. Będziemy się wszyscy cieszyli, żeś wyzdrowiał.

Weszła Rut niosąc na tacy chleb, owoce, dzbanek z miodem. Zachowywała się skromnie, miała przez cały czas spuszczone oczy. Ale Elmadam zauważył, że strojniej ułożyła włosy i związała je sznurkami pereł, które zwisały jej na czoło i na policzki. Na szyi miała łańcuszek, na rękach i nogach pobrzękiwały manele.

Micha nalał sicery do czarki i podał Elmadamowi.

— Pij — rzekł. — Zobaczysz, że będziesz zdrow. Rut — zwrócił się do córki — usłuż gościowi.

Dziewczyna przykucnąwszy przy posłaniu Elmadama łamała chleb i podawała mężczyźnie. Micha wzięwszy w garść czarne, soczyste oliwki, kładł je po jednej do ust, gryzł i spluwał twardymi pestkami. W pewnej chwili zapytał:

— Twoim ojcem jest Her?

Elmadam skinął głową.

— Żyje? Gdzie przebywa?

Młody żołnierz musiał opowiadać o tym, że jego ojciec żyje i że cała rodzina przebywa w Betlejem. Dawne pole Izaja przeszło na najmłodszego syna Dawida. Mają liczne stada i żyją dostatnio. Królowie często wzywają najstarszych w rodzie, by im służyli na zamku Sella. Dziad, Jesa, był kancierzem króla Amona.

Micha z uznaniem kiwał głową i poważnie gładził swą piękną brodę. Rozmawiali długo, aż wreszcie staremu kupcowi zachciało się spać. Położył się na sąsiednim posłaniu i po chwili już chrapał. Przed zaśnięciem powiedział do córki:

— Zabaw gościa. Zaśpiewaj mu.

— Zaśpiewasz mi? — zapytał Elmadam.

— Jeśli chcesz... — odpowiedziała nie podnosząc wzroku.

— Zaśpiewaj.

Dziewczyna poszła za kotarę i przyniosła stamtąd kinnor. Uklękła, położyła instrument przed sobą na ziemi. Przebierając palcami po strunach, zaśpiewała radosną pieśń świątyni:

*Śpiewajcie Panu pieśń nową —
Chwałę Jego w zgromadzeniu świętych!
Niech się weseli Izrael w Stwórcy swoim
I synowie Syjonu niech się radują w swym królu!*

Pochwalił ją:

— Ładnie śpiewasz.

Odpowiedziała mu jeszcze niższym schyleniem głowy.

— Czy chcesz — spytała po chwili — bym śpiewała jeszcze?

Elmadamowi szumiało w głowie. Dwie czarki sicery, które wypił, zmałyły jego myśli. Dziewczyna wydawała mu się coraz piękniejsza i coraz bardziej pociągająca. Z żalem myślał, że leży bezsilny, nie mogąc ruszyć się z miejsca.

— Zaśpiewaj — powiedział.

Żywiej uderzyła w struny. Zaczęła śpiewać namiętą pieśń tęsknoty:

*Oto mój miły przychodzi pod mój namiot i sykaniem wzywa mnie,
bym do niego wyszła.*

*Wybiegam posłuszna milemu memu, patrząc tylko pilnie, czy śpią
ojciec i matka, bracia i siostry.*

*Szukam milego mego, lecz on skrył się w mroku nocy lub pośród
palm.*

Gdzież jesteś, miły mój, i czemu mnie dręczysz?

*Gdzie jesteś, gdy Wielki Wóz toczy się po niebie, a kurki rozsypały
się niby perły.*

Weź mnie, jak jeleni zabiera sarnę w leśne gąszcze.

*Weź mnie, bym mogła biec twymi śladami po łące maków i
anemonów.*

Przytul mnie do swej piersi, abym czuła, jak bije twoje serce.

Wyjdź z mroku, wyjdź, miły mój, najdroższy mój, ukochany.

Niech nie idę sama bosą stopą pomiędzy uśpioną trzodę.

*Niech nie wracam z nie ukojoną tęsknotą na zimne posłanie pod
namiot ojca.*

Wyjdź z mroku, wyjdź, miły mój.

Niech cię odnajdą me stęsknione dłonie.

*Niech nie będę jak Uta opuszczona i smutna po tym, który od niej
odszedł.*

Wyjdź, ukaz się, miły mój, niech nie wołam na próżno...

Rut skończyła śpiewać i spuściła głowę. Elmadam leżał cicho, patrząc w wiszące nisko nad nim sklepienie izby. Pieśń dziewczyny obudziła w nim niedawne wspomnienia. Pamiętał słoneczne dni wśród skał Betlejem, gdy kładł się na wełnianej derze i słuchał rozmów pastuchów. Obok białe kudłate stado wędrowało długim sznurem. Barany co chwila czujnie podnosiły głowy, kiwały rogami i trzepały ciężkimi ogonami. Ich cienkie nóżki sztywno uderzały w ziemię. Za każdym baranem biegła trzódka owiec z nisko pochylonymi głowami. Małe mordki, śmiesznie wynurzające się z wielkiej chyry kudłów, raz po raz dotykały trawy. Pracowicie poruszały się miękkie wargi. Czarne oczka nie przestawały śledzić towarzyszy. Gdy nagle owca traciła ich z oczu, podnosiła niespokojnie głowę, wydawała rozpaczliwy bek. Śmie-

sznie podskakiwała w górę wszystkimi nóżkami. Co sił pędziła ku odnalezionym.

Pamiętał także noce zimne, wietrzne, które spędzali przy ognisku, dżdżyste noce, kiedy szli schronić się do starej jaskini, tej samej, w której niegdyś Dawid ukrywał się przed gniewem Saula, noce pogodne, gwiaździste, upalne, kiedy słyszał pieśni podobne tej, którą mu zaśpiewała Rut. Krew mocniej poczęła pulsować w żyłach Elmadama. Oderwał się od wspomnień, spojrzął na dziewczynę. Klęczała wciąż nisko pochylona nad kinnor. Widział falowanie jej piersi pod przykryciem lekkiej tkaniny, widział wdzięczny zarys schylnych ramion i jej cienkie palce, już nie dotykające strun, a jeszcze poruszające się rytmicznym ruchem. Pożerał ją wzrokiem coraz żarliwiej, coraz zachłanniej. Dziewczyna poczuła ten wzrok. Podniosła na chwilę głowę, spojrziała wielkimi czarnymi oczyma na mężczyznę i zaraz prędko pochyliła się nad harfą. Wtedy powiedział twardo, zdecydowanie i mocno:

— Rut. Podobasz mi się...

Nie odpowiedziała nic. Cicho westchnęła. Wolno wstała, trzymając wciąż opuszczoną głowę. Podniosła kinnor z ziemi i zaniósła ją za kotarę. Potem znowu przeszła przez środek izby, zbliżyła się do otworu prowadzącego w dół. Kiedy już do połowy w nim zniknęła, podniosła głowę i spojrzała na Elmadama. Było to spojrzenie wyraziste niby wyrzut. Ale mężczyzna na ten widok uśmiechnął się tylko z zadowoleniem. Mocno, na ile tylko pozwoliło mu osłabłe ciało, przeciwnął się na posłaniu.

IV

Zdrowiał prędko. Już po paru dniach siedział pewnie i mógł wziąć udział w uczcie, którą na jego cześć wyprawił Micha. Cała jego rodzina skupiła się wokół posłania Elmadama: żona Michy Jemla, dzieci — synowie Joel i Elaj, zameżna córka Jerusa wraz ze swym mężem. Synowie i zięć pomagali staremu w handlu. Jeździli po kraju i skupywali pszenicę, olej, miód, balsam, drzewo dębowe. Potem z tym towarem albo ciągnęli drogą nadmorską na północ, do Tyru, i tam wymieniali go u Fenicjan na purpurę, cienkie tkaniny, cenne ozdoby lub srebro przywiezione z dalekiego Tarsis, albo udawali się na południe do jednego z pięciu miast filistyńskich, gdzie oddawali swe

skarby za naczynia gliniane, wazy, broń, pancerze i hełmy brązowe. Bogactwa Michy rosły. Opowiadał o nich wesoło Elmadamowi, gładząc długą brodę lub bawiąc się chwastami swego pasa. Rut pomagała matce usługując podczas uczy. Unikała wzroku Elmadama, ale on czuł, że patrzy na niego uważnie, zwłaszcza wtedy, gdy on zdawał się tego nie widzieć. Wydawała mu się coraz ładniejsza. Ubierała się zawsze starannie, polewała pachnącymi olejkami, układała włosy i spinała je sznurkami pereł, nosiła złote ozdoby na szyi i ramionach. Nawet na nogi kładła cenne obrycze połączone ze sobą cienkim, dzwoniącym przy każdym stągnięciu łańcuszkiem. Gdy ją ojciec wołał, by śpiewała, była mu posłuszna, ale śpiewała tylko pieśni ku czci Jahwe. Kiedyś Micha kazał jej tańczyć. Rut zsuła sandały i potrząsając sistrum rozpoczęła swój taniec. Elmadam stojąc — już wtedy mógł wstawać i chodzić — klaskał do wtóru dźwiękowi metalowych obrączek. Rut tańczyła lekko i wdzięcznie. Spod rozwianych szat wychylały się jej smagłe, szczupłe nogi. Oczy miała lekko przymknięte, w rozchylnych ustach połyskiwały białe zęby. Mężczyźni wciąż klaskali, ona zaś obracała się szybko, wspinawszy się na palcach. Prawą rękę, w której trzymała sistrum, miała wciąż nad głową, lewą czyniła ruchy miękkie, podobne kołysaniu się łodygi kwiatu. Taniec pochłaniał ją i upajał. Gdy skończyła, otworzyła oczy i spojrzała na zebranych jakimś półprzytomnym, zagubionym wzrokiem. Micha wesoło poklepał ją po policzku.

Wieczorami stary kupiec i jego synowie wspominali swoje podróże i przygody. Zwiedzili kawał świata, poznali wielu ludzi. Joel dwukrotnie wraz z kupcami fenickimi wyprawiał się na Wielkie Morze. Płynęli długo wzdłuż wybrzeży Lidii, aż wydostali się na przestrzeń pełną wysp, wysepek, dzikich prądów i dzikich wiatrów. Potem dotarli do szmaragdowej zatoki, której wybrzeże wspinało się porośniętymi czarnym lasem wzgórzami, zaś u ich stóp bielilo się miasto pełne kamiennych świątyń i rzeźb.

— Tamci nokhri — mówił ze zgorszeniem Joel — wszędzie mają wyrzeźbione postacie bogów, a nawet ludzi.

— Wielki grzech! — oburzała się Jemla. Ale inni nie gorszyli się. Micha kiwał głową i nic nie mówił. Kilkakrotnie bywał z Filistynami na wyspie Kaftor i tam napatrzył się rzeźb i malowideł pogańskich. Na pewno nigdzie nie było ich więcej.

Dziwiło to początkowo Elmadama. Przebywając ostatnio na dworze Jozjasza, przywykł do ścisłego przestrzegania przepisów religijnych. Tak samo

było w domu jego ojca. Ale w gruncie rzeczy swoboda panująca w domu Michy podobała mu się. Drażniła go ta surowość, z jaką spotykał się na zamku jerozolimskim. Uważał, że w obcych obrzędach, w obcych zwyczajach jest dużo rzeczy ciekawych i pociągających. Jozjasz, którego zresztą czcił jako dzielnego władcę, wydawał mu się w tych sprawach zbyt wielkim skrupulatem. Z zaciekłością tępił każdy ślad wpływu obcych obyczajów czy religii. Budził lęk swoją bezwzględnością. A Elmadam, który nie znał nic poza Jerozolimą, wzgórzami Hebronu, stromymi brzegami Jordanu i wielką, podobną rzuconej na ziemię ołowianej płycie płaszczyzną Martwego Morza, za którą szarzał w paśmie Gór Moabskich, wierzchołek, Nebo — nudził się w ciasnym okoku wzgórz judejskich. Nieraz leżąc na wygrzanych słońcem skałach zaczynał marzyć o dalekich, nieznanych ziemiach i dalekich, nieznanych ludziach. W domu wruszano na to ramionami. Ojciec mówił:

— Słuchaj, Elmadamie, to jest ziemia, którą dał Pan Izraelowi, ziemia najlepsza...

Elmadam nie odpowiadał. Nie chciał spierać się z Herem, który był równie surowy jak Jozjasz, Ale drażniły go te barany beczące zawsze tak samo, ciemny dwór ojca i ta sama kamienista droga gubiąca się zawsze jednako za stokiem wzgórza...

Joel opowiadał mu także o żeglarzach fenickich, którzy, pływają jeszcze dalej ku zachodowi słońca, mijając ziemie greckie, docierając do skalistej wyspy, nad którą płonie ogniem kamienna góra, do tajemniczej cieśniny Scylli i Charybdy, do płaskiego brzegu u ujścia wielkiej rzeki, gdzie leży bogata osada grecka Massilia, do ofiarowującego srebro Tarsis, do kolumn skalnych stanowiących próg świata... Słuchający tych opowiadań cmokali z zachwytem i z podziwu. Elmadam oglądał się na Rut i podchwytywał jej spojrzenie utkwione w siebie.

Zaprzyjaźnił się bardzo z Joelem. Brat Rut prowadził go często na targowisko przy bramie miejskiej. Miasto było małe, ciasno zbite. Na ulicach szerokości zaledwie dwóch, trzech kroków nie sposób było handlować. Targ odbywał się wieczna małym placu tuż za bramą miejską. Kupić tu można było wszystko: bób, fasolę, cebulę, czosnek, oliwki, figi, daktyle, młode barany i młode kozły, gołębie, ryby świeże i ryby suszone, mleko, sery, masło, lniane płótno, wełniane tkaniny, surową wełnę, skóry, noże, topory, manele, łańcuszki, zausznice. Obaj młodzi ludzie lubili zgiełk targowiska, krzyki handlujących, feerię barw i blasków. Kiedyś Elmadam zatrzymał się przy

straganie wędrownych kupców arabskich, skuszony pięknnością wielkich zausznic, które kupiec trzymał w swych długich ciemnych palcach i błyskał nimi zachęcająco.

— Podobają ci się? — pytał Joel.

— Tak. Kupiłbym je... — Elmadam zrobił rękami ruch wyrażający niemożność. Na polu walki Grecy obrabowali go ze wszystkiego.

— Chcesz? Pożyczę ci. — Joel sięgnął do woreczka u pasa i wyłożył Elmadamowi na rękę kilka srebrników. — Ale powiedz: dla kogo kupujesz te zausznice?

Elmadam zawahał się chwilę. Powiedział niepewnie:

— Dla Rut...

Joel uderzył się wesoło po udach.

— Od razu się domyśliłem! — zawołał. Potem powiedział Elmadamowi, że wszyscy już w domu zauważyli, iż przypadł dziewczynie do serca. Ojciec jest z tego zadowolony. Cieszy go myśl, że jego córka zostać może żoną kogoś z królewskiego rodu. Joel żartował, że kto wie, czy Micha nie spodziewa się, iż właśnie w osobie Rut spełni się przepowiednia Natana proroka, dana Dawidowi. — Ale kto tam wie, jak to będzie z tym królem. — Joel śmiejąc się zrobił lekceważący ruch ręką.

— Zawsze miło jest myśleć, że siostra może być żoną dzielnego rycerza jak ty... — Poufale poklepał Elmadama po ramieniu. Wyznał mu przy sposobności, że tylko matka przeciwna jest Elmadamowi. Chce, by Rut została żoną kulawego Symchy, syna jej siostry.

Elmadam, ukrywszy zausznice na piersi, wybrał się wieczorem w poblizę studni, z której dziewczęta miejskie czerpały wodę. Wiedział, że Rut chodzi tam codziennie. Usiadłszy pod figą z boku ścieżki, patrzył na idące kobiety. Czuł się zadowolony widząc, że rzucają na niego powłóczyстыми spojrzeniami, a potem chichocząc mówią coś między sobą o nim. Stary studzienny nalewając im wodę do dzbanów żartował głośno:

— Ot, nie wiadomo, po którą z was przyszedł ten młody Judejczyk...

Wskazywały na siebie wzajem palcami: „Po nią! Po nią!” lub chlapały się wodą. Elmadam widział to wszystko, choć udawał, że ani tego nie słucha, ani nawet nie patrzy w tamtą stronę. Nieoczekiwanie pojawiła się przy studni Rut. Dziewczęta wybuchnęły śmiechem:

— Patrz, gość twego ojca przyszedł tutaj, by znaleźć sobie najpiękniejszą z dziewcząt.

Widział, patrząc nieznacznie, jak gniewnie odtrąciła towarzyszki.

— Niech jej sobie szuka, jeśli chce!

Odeła wargi. Postawiła dzbanek na głowie i poczęła iść ścieżką w górę. Wtedy wstał i podszedł do niej. Zobaczył w czarnych oczach dziewczyny początkowo niepokój, a potem ogromną, płomienną radość. Jej pierś pod cienką tkaniną poczęła poruszać się szybko. Rut stała przed nim wyprostowana, uśmiechnięta, pełna miłości. Na wąskiej ścieżce mijały ich inne dziewczęta. Przechodząc obok, parskały śmiechem i przyśpieszały kroku.

— Rut... — powiedział. — Przyniosłem coś dla ciebie.

— Dla mnie?

Wyciągnął z zanadrza zausznice. Krzyknęła z zachwytu. Zdjęła dzbanek z głowy i postawiła go na ziemi. Chwyciła błyszczące koła, przyłożyła je do policzków.

— Jakie piękne! — zawołała. Naturalnie potrafiła nogą dzbanek i woda wylała się. Nie zwróciła nawet na to uwagi. — Jakie piękne — powtarzała. — I to dla mnie?

— Dla ciebie...

Śmiała się wesoło, przykładając zausznice do czoła, do ust, do piersi. Potem nagle spoważniała. Opuściła ręce, schyliła głowę. Wyraz szczęścia zniknął z jej twarzy. Chwilę stała bez słowa. Wreszcie wolno wyciągnęła dłoń z zausznicami do Elmadama.

— Oddajesz mi je? — zapytał zdziwiony. Nie chcesz ich?

Potrząsnęła smutnie głową.

— Nie... — powiedziała cicho. Schyliła się, podniosła dzbanek. — Muszę wrócić po wodę...

Poszła wolno w dół, ku studni. Towarzysząc jej, bezmyślnie obracał w palcach złożone koła. Stary studzienny chichotał opuszczając wiadro i wyciągając je z powrotem z wodą.

— Piękne zausznice trzyma młody Judejczyk. Czy to dla ciebie, Rut?

Dumnie odwróciła głowę. Stary rechotał:

— He, he, he... Piękne zausznice, piękne... — Nagle zainteresował się:

— A kto mi, Rut, zapłaci za moją pracę? — podeszłym bielmem okiem zamrugał w stronę Elmadama. Ten rzucił mu sykla w nadstawioną usłudnie dłoń. — Och, piękne zausznice — podjął znowu stary. — Czemu nie uśmiechasz się mile do hojnego Judejczyka?

Szli obok siebie ścieżką ku miastu. Milczeli. Byli już blisko wysokich murów miejskich, wzniesionych na stromej, skośnej podbudowie z kamienia, kiedy wreszcie Elmadam rzekł:

— Słuchaj, Rut... — Zatrzymali się. — Podobasz mi się. Mówiłem ci już... Chciałbym, abyś została moją żoną.

Zobaczył, jak jej twarz rozjaśnia się na nowo wielką radością, której nie starała się ukryć. Wydała cichy okrzyk. Szybkim ruchem zdjęła z głowy dzbanek. Przycisnęła obie dłonie do piersi.

— Wola twoja — powiedziała — jest wolą twojej niewolnicy...

Śmiejąc się ogarnął ją ramieniem. Zapytał:

— Czemuś więc oddała mi zausznice?

Podniosła na niego swe czarne, głębokie oczy pełne szczerości.

— Cóż mi z zausznic, gdyś nie powiedział, że mnie chcesz...

— Więc masz je teraz...

Objął ją i mocno przycisnął do siebie. Poddawała mu się miękko, ulegle. Przycisnął usta do jej ust, poczuł wargami jej twarde, pełne wargi. Ogarnął go płomień. Coraz gwałtowniej cisnął dziewczynę w ramionach. Oprzytomniał usłyszawszy blisko siebie czyjś szyderyczy głos. Podniósł głowę. Jakiś strażnik miejski wychylając się spoza murów wrzeszczał:

— Hej, może ci pomóc tarmosić tę dziewczkę?!

Pogroził tamtemu pięścią. Ale już się do Rut nie zbliżał. Dziewczyna ukryła zausznice na piersi, postawiła dzbanek na głowie i cicho poszła ku miastu. Przechodząc przez bramę powiedział Elmadam:

— Poproszą twego ojca o ciebie.

— Będę ci wierną żoną... — szepnęła.

Zaraz za bramą spotkali Michę. Szedł im naprzeciw. Uważnym spojrzeniem obrzucił oboje. Rzekł do Rut:

— Spiesz się, matka cię szuka. Długoś siedziała przy studni.

Gdy dziewczyna odeszła, położył rękę na ramieniu Elmadama.

— A ty chodź ze mną. Chcę ci coś powiedzieć.

Wąskie ulice miasta pełne były ludzi i gwaru. W Megiddo mieszkali nie tylko Żydzi, ale także Syryjczycy, Fenicjanie, Lidyjczycy, Grecy oraz przesiedleni przez Asyryjczyków do ziemi Kanaan mieszkańcy Awei, Emat i Se-farwaim. Miasto na wielkim szlaku ściągało do siebie kupców z rozmaitych stron. Micha i Elmadama potraçał raz po raz cisnący się tłum. Nadchodził wieczór, słońce zapadało za mury i za ciemny blok Karmelu. Na niebie roz-pinały się mgły — długie, ciemnoszare pasy niby desenie na makacie. Wiatr dał lekko od morza, ciepły i porywisty, grożący deszczem. Micha i Elmadam szli wzdłuż ścian domów, przeważnie niskich, jednopiętrowych. W oknach błyskały światła lampek oliwnych. Stary kupiec zatrzymał się przed niskimi drzwiami, do których szło się po schodkach.

— Chodź — uderzył przyjacielsko Elmadama po plecach — napijemy się wina...

Była to gospoda. Dwa kaganki oświecały ciemną izbę zastawioną bukła-kami z winem i zawaloną pękami sznurów. Właściciel gospody był jedno-cześnie powroźnikiem. Siedząc na niskim stołeczku, skręcał właśnie z po-mocą żony gruby sznur namiotowy. Obok na trzciniowych matach leżało kilku mężczyzn pijąc wino z czarek.

Micha powiedział wchodząc:

— Pokój niech będzie pośród was...

Odpowiedziały mu głosy:

— Ty także żyj w pokoju...

Gospodarz wstał, odłożył swoją robotę, podszedł do nowo przybyłych. Skłonił się:

— Czym ci mogę służyć, Micho?

— Daj mnie i memu gościowi tego samego starego wina z doliny Sorek, którym częstowałeś mnie ostatnio. A także... — znaczącym gestem wskazał na zasłonę odgradzającą część izby — chcę z moim gościem spokojnie po-rozmawiać.

Gospodarz znowu się skłonił. Poszedł za zasłonę i tęgimi szturchańcami wygnał dziewczynę, która tam widocznie spała. Gdy goście położyli się na matach obok niskiego stołu, postawił przed nimi jeden z kaganków oraz czarki, do których nalał wina z worka z koziej skóry, po czym wyszedł.

— Słuchaj, Elmadamie — Micha odpił ze swej czarki i dał z niej pić Elmadamowi. — Muszą z tobą porozmawiać. Jesteś już zdrow i pewno będziesz chciał niedługo wracać do swoich. Nie masz konia, więc umyśliłem sobie, że ci konia dam. Nie masz pieniędzy — więc chcę ci także pożyczyć kilka talentów... Wiesz, przez czas pobytu u nas pokochałem cię jak syna. Podobasz mi się...

Popił wina.

— Moi synowie — ciągnął — są ci jak bracia. Zwłaszcza Joel. Rut... — zaśmiał się. — No, sam wiesz, że ci sprzyja. Przypadłeś jej do serca. Słuchaj — poprzez stół poklepał Elmadama po ramieniu. Postawił sprawę jasno:

— Weź ją za żonę. Jak myślisz?

Elmadam z kolei podał Misze swą czarzę.

— Właśnie chciałem cię o nią prosić. Podoba mi się bardzo...

— Prawda? Dziewczyna jak łania! Udała się! Rodzić ci będzie synów co roku. Nie zmęczy się, zobaczysz. Gotować jadło potrafi. Umie szyć, prac, doglądać bydła, obrządzać wielbłądy...

— Wiem. Przyjrzałem się jej. Więc zgadzasz się, Micho?

— Pewno, że się zgadzam. Sam ci o niej przecież powiedziałem. Chciałbym tylko jednego. Widzisz... — kupiec kłopotliwie potarł dłonią głowę. Ciszej skończył: — Ja ją bardzo kocham... To dobra dziewczyna, bardzo dobra... Na dzieci nie narzekam. Udały się wszystkie. Ale Rut...

Utknął, szukając słów dla wypowiedzenia swej myśli. Za kotarą słychać było krzyki pijących i ciężkie sapanie gospodarza, z wielkim wysiłkiem skręcającego sznur. Elmadam był zadowolony, że tak lekko poszła mu rozmowa z Michą.

— Ależ tak — powiedział niecierpliwie — Rut jest rzeczywiście pełna zalet. Poznałem ją...

— Nie, nie — Micha odzyskał głos. — Nie... To, że ma zalety, to ty wiesz. Ale ja nie o tym... Widzisz, my kupcy — pochylił się przez stół ku Elmadamowi i zniżył głos — my musimy handlować i z tym, i z tamtym, i ze swymi, i z poganami... Wiesz? To i nie zawsze człowiek może zachować wszystkie przepisy Zakonu... — Jeszcze bardziej zniżył głos. — Każdy jakoś chce się modlić... No nie? Ale jak tu chodzić do Jerozolimy i tam nosić ofiary? Sam pojmujesz... Czas niespokojny... Wojny... rabusie... My, kupcy, ciągle w podróży... Gdyby można zapłacić, zapłaciłbym. Na pewno! Myślałem

nieraz, że świecznik kupię. Piękny, srebrny, siedmioramienny. Wołu dam. Co mówię: dwa, trzy nawet, jak potrzeba! Ale modlić się muszę tu... No, rozumiesz? Ja chwałę Najwyższego, nawet gdy ofiarę każę zabijać na wzgórzu. — Westchnął: — Król Jozjasz kazał inaczej... No, ja wiem...

Chwilę sapał żałośnie i pociągał nosem. Potem podjął:

— A Rut, wiesz, ona prosta, dobra dziewczyna. Wierzy ludziom, no, ufa im... Ale nie rozumie. Jak może rozumieć? Czy kobiety rozumieją? Nie. To ona nie rozumie. Co ojciec robi, to dla niej święte. No nie? To ja bym nie chciał, widzisz, żeby ją tam u was co złego spotkało. Ona jest szczerą Izraelitką... Ale wy, Judejczycy, wy jesteście bardzo twardzi... Ja się boję o nią. Ja się bardzo boję. Ona będzie tobie ufała, bo ona każdemu ufa i nic nie kryje, i nic ukryć nie umie. Taka szczerą dziewczyna. No, to ja ciebie bardzo proszę, ty pojedź naprzód do swego ojca i zobacz, czy oni ją przyjmą całym sercem, jak myśmy ciebie przyjęli. Pojedź i wróć. My Rut dla ciebie zachowamy. Ale ja nie chciałbym jej krzywdy.

Elmadam wydał lekko wargi.

— Czemu każesz nam czekać, Micho? Chcesz być dla nas Labanem? Podobają mi się Rut, ja się jej podobam. Na co mamy czekać? Mówisz o krzywdzie. Czy sądzisz, że ja pozwoliłbym ją skrzywdzić?

Kupiec popił wina, a potem podniósł wzrok na Elmadama. Miał oczy duże, ciemne, takie same jak córka, tylko półprzykryte ciężkimi, nabrzmiałymi nieco powiekami. W zmarszczeniu czoła, widać było troskę. Podniósł dłoni i nie przestając przyglądać się młodemu żołnierzowi pełen namysłu drapał się w brodę.

— Nie — rzekł w końcu — ty będziesz jej bronił. Ale widzisz, ja znam życie i wiem, jak rodzina może dokuczyć dziewczynie, którą syn przywiózł sobie z daleka. Tak. Wy, Judejczycy, jesteście trochę inni niż my... No, ja nie mówię, może to wy macie rację... Ja nie wiem... Ale ty pojedziesz najpierw do swoich. Co ci to szkodzi? Ona nie ucieknie. A konia ci dam do bregu. Aher, mój zięć, kupił teraz cztery. Prosto z Egiptu. Skarb nie konie, mówię ci. W sześć dni możesz być z powrotem.

— Bardzo ci jestem wdzięczny, Micho...

— No, no, zrób tylko to, o co cię proszę.

— Dobrze, zrobię. Pojadę, dostanę pozwolenie ojca i przyjadę tu po Rut. Wierz mi, Micho, nie dam jej skrzywdzić. Na pewno nie dam.

Ustalili w końcu, że Elmadam pojedzie za dwa dni. Młody żołnierz pełen był wdzięczności dla Michy za jego przyjaźń i za cenne dary. Przejął się także słowami starego kupca, zwłaszcza że uświadomił sobie, iż obawy Michy nie były wcale bezpodstawne. Starszy brat Elmadama, Jona, przywiózł sobie żonę Filistynkę, Fenę, i to małżeństwo spotkało się z wielkim sprzeciwem całego dworu. Fena nie miała łatwego życia. Dokuczano jej, odsuwano od różnych spraw. Wprawdzie była niewierna i pochodziła z obcego ludu, ale Elmadam wiedział, z jaką nieufnością patrzano u nich na mieszkańców ziem północnych. Her nienawidził odstępstw, należał do najwierniejszych stronników króla Jozjasza. Niewątpliwie trzeba było najpierw przekonać ojca do Rut. Może nawet wypada, aby potem Jona, jako syn najstarszy, pojechał do Michy omówić sprawy małżeństwa? Tak, tak. Micha ma rację. Rut nie może być skrzywdzona. Elmadamowi trudno było znieść myśl, że matka i siostry mogłyby ją potraktować tak, jak potraktowały Fenę.

Następnego dnia padał kilkakrotnie deszcz, ale pod wieczór wypogodziło się. Duże, ciężkie obłoki, resztki porozrywanych przez wiatr chmur, powoli rozplływały się po niebie. Na zboczu Karmelu w przejrzystym powietrzu widać było każdy krzak, każdy kamień. Tak samo wyraźnie i blisko rysował się szczyt Taboru, łagodnie półokrągły, bielejący zwietrzalymi skałami. Wzgórza widziane z doliny miały jaskrawozieloną barwę pokropioną deszczem trawy. Tu i tam na zboczach ciągnęły się całe płaty winorośli. W dolinach szarzały grube, powyginane drzewa oliwne, rosły granaty, morwy, figi. Ludzie kręcili się wszędzie, błogosławiąc deszcz.

Po chłodnej nocy wstał ranek od razu gorący, prawie upalny. Niebo było bez obłoczka. Zarysy gór szarzały i tylko białe nagie wierchy świeciły oślepiającym blaskiem. Pacholek Michy trzymał za uzdę konia ofiarowanego Elmadamowi. Micha i jego synowie odprowadzili odjeżdżającego aż do bramy miejskiej. Tu było jeszcze pusto. Megiddo budziło się powoli do życia. Na placu targowym osły wędrownych kupców gryzły siano. Mężczyźni wymieniali ostatnie słowa pożegnania.

— Nie bój się o Rut — mówił Micha. — Wiesz, że ją kocham jak źrenicę oka. I chcę, aby była twoja. Dochowamy ci obietnicy.

— Dochowajcie. Będę wam kochającym synem.

— Jedź szczęśliwie. Niech Pan strzeże twych dróg.

— Bądźcie zdrowi.

Elmadam uderzył konia piętami. Ten ruszył naprzód z fantazją, gnąc szy-

ję i stając nieco bokiem. Był to śliczny kasztan o białym pysku i dużych, nieco złych oczach. Ostrożnie stawiał nogi na kamienistej biegnącej w dół ścieżce. Czasami lekko chrapał. Elmadam obejrzał się, powiał raz jeszcze ręką stojącym, na wzgórzu mężczyznom. Jego droga szła ciągle w dół, zanurzała się w zielone pola, tu, bliżej miasta pokryte łanami jęczmienia i pszenicy, dalej przechodzące w falistą łąkę.

Jadąc rozmyślał. Żałował, że nie widział rano Rut, ale dziewczęta poszły przed świtem prać bieliznę w potoku. Pożegnał się z nią zresztą poprzedniego dnia. Myślał o dziewczynie z miłością i powtarzał sobie po wielokroć razy, że zrobi wszystko, aby jej w domu jego ojca nie spotkała żadna krzywda. Potem zaczął zastanawiać się nad tym, co zastanie w Jerozolimie. Od dni walki pod Megiddo, wydawało mu się, upłynęło dużo czasu. Po prostu wszystkie tamte sprawy: zapal bojowy, nienawiść do Egipcjan, myśl o świętej wojnie — odpłynęły od niego gdzieś daleko. Nie umiał się już nimi przejąć. Znowu przypomniał sobie Rut. Zdawało mu się, że czuje na wargach dotknięcie warg dziewczyny, a na swej piersi dotknięcie jej piersi. Niecierpliwie odwrócił się. Był już daleko. Miasto pozostało w tyle, półzasłonięte wybrzuszeniem wzgórza. Widać jeszcze było strome podmurze, czerwony mur, bramy, plac targowy. Kasztan przestraszył się jakiegoś krzaka, podskoczył, chrapał, rzucił się w bok, mało nie strącił z siebie jeźdźca. Elmadam gniewnie szarpnął wodzami. Ale rad był z konia. Nie miał dotychczas tak ładnego wierzchowca. A na dworze jego ojca koni w ogóle nie było. Her uważał, że koń jest zwierzęciem nieczystym, egipskim. Zresztą na kamiennych ścieżkach judejskich lepiej jeździło się na osłach niż na koniach. Ciekawy był, jak się ułoży życie Rut na betlejemskim dworze, jak dziewczyna czuć się będzie na skalistym płaskowzgórzu judejskim, tak innym niż tutaj, zielone, łagodne łąki.

Droga szła wysoko, nad potokiem. Niżej płynął szumiąc wartko Esdrelon. Elmadam pochyliwszy się zobaczył w dole, tuż nad wodą gromadkę białych postaci. Kobiety prały. Może Rut była wśród nich? Nie namyślał się ani chwili. Pchnął konia w dół po zielonym zboczu. Spadek był stromy. Kasztan strzygł uszami, pochrapywał, przysiadał na zadzie. Jeździec nie podawał się biernie, ku przodowi, ale siedział wyprostowany, ponieważ właśnie zobaczył Rut. Poprzednio klęczała tuż nad wodą. Teraz zobaczywszy go wstała i szła mu naprzeciw. Machnął do niej ręką. Koń na jakimś wykrocie zrobił długiego susa, Elmadam przeleciał mu przez głowę i pokoziołkował po trawie. Gdy otworzył oczy, zobaczył dziewczynę stojącą nad nim, pełną przeraże-

nia. Uśmiechnął się, aby ją uspokoić. Ona także zaśmiała się, chociaż lekliwie i niepewnie.

Musiała mu pomóc w schwyтaniu kasztana, którego rozzuchwaliło nagle zniknięcie jeźdźca. Kiedy go wreszcie ujęli, Elmadam zaproponował, aby go odprowadziła kawałek drogi. Bez słowa poszła za nim. Nawet nie obejrzała się na wołające towarzyszki, na pozostawiony kosz bielizny. Szli obok siebie. Zrobiło się bardzo gorąco. Z nieba płynął oślepiający blask. Kamyki pod stopami zdawały się parzyć. Za to trawa kusiła wonią i świeżością.

Dziewczyna szła z podniesioną głową, z twarzą zwróconą pod blask słońca. Nie miała na sobie zasłony, którą zdjęła do pracy. Jej ręce, obnażone aż do ramion, smagłe i sprężyste, odcinały się od białej kuttony linią ciepłego cienia. Milczała. Ale gdy zatrzymał konia i stanął, ona także stanęła, jakby przeczuwając jego zachowanie. Zbliżył ku niej pałającą twarz, nagłym, nieznającym pohamowania gestem chwycił ją w ramiona. Nie broniła się, Tylko patrzyła mu w twarz wzrokiem jasnym i ufnym.

V

Joachaz stał obok królewskiego tronu, patrząc ciekawie na nieprzeliczony tłum ludzi, którzy cisnęli się półkregiem ku bramie pałacu i opływali niby lawa zbocza Ofelu. Byli tu wszyscy mieszkańcy Świętego Miasta: kapłani, lewicy, żołnierze, służba z pałacu i ze świątyni, kupcy, rzemieślnicy, ludzie wolni i niewolni — także tłum mieszkańców wsi i osad okolicznych: pastarze i rolnicy. Wszystko to zbiegło się dzisiaj pod bramy pałacu. Olbrzymia masa ludzka huczała, jak huczy gotująca się w garnku woda. Joachaz patrząc na ten tłum nie mógł oprzeć się niepokoju. Niepewnym gestem nawijał raz po raz na palce spadające mu na ramiona włosy. Lekliwie spoglądał na braci. Najstarszy z nich, Eliakim, wyznaczony był przez ojca na króla. Po matce odziedziczył usposobienie dzikie i porywcze. Umiał być zawzięty i nieopanowany w gniewie. Rok temu, ku przerażeniu ojca, zabił towarzysza, z którym się pokłócił. Był niski, krępy, bardzo czarny. Lubił walkę. Spod Megiddo udało mu się ująć cała. Stał teraz opierając się na włóczni i patrzył z góry na zgromadzony tłum. Już czuł się królem. Obok stała jego żona, wysoka, urodziwa Nohesta, córka księcia Elnatana, mająca przy sobie synów:

sześcioletniego Joachina i czteroletniego Elama. Nohesta odznaczała się urodą, dumą i nieprzystęnością. Dziś, licząc na to, że Eliakim zostanie obwołany królem, ubrała się wspaniale. Miała na sobie szatę cienką i kosztowną; ciężkie zausznice spadały jej na ramiona, także nozdrza przetykało złote kółko. Policzki pokrywała gruba warstwa różu. Joachazowi wydawała się bardzo piękna i dlatego myślał z żalem, że jego życie nie układa się tak mile i przyjemnie jak życie syna Zebidy. Ani Joachaz, ani dziewięcioletni Mataniasz, synowie Amital, nie mieli nadziei na uzyskanie tronu. A oprócz tego Joachaz miał wielki brzuch, z którym trudno było mu chodzić, a chorowita, o ciekających oczach żona Efa rodziła mu same córki.

Tłum kołysał się, szemrał, niecierpliwił. Raz po raz zrywały się krzyki. Czekano już długo na nadejście arcykapłana. W końcu jednak przybiegł ktoś spoza pałacu, wołając, że kapłani idą. Od strony świątyni zbliżała się rzeczywiście barwnie ubrana grupa ludzi. Zebrani poczęli wspinać się na palce, pokazując sobie idących. Na czele szedł — a raczej włókł się podtrzymywany przez dwóch roślących kapłanów — sam Helkiasz. Arcykapłan był bardzo stary i zupełnie ślepy. Od dawna przekazał swoje zwykłe funkcje arcykapłańskie synowi Azariaszowi. Dziś jednak na zebranie ludu przybył sam, ubrany w swe wspaniałe szaty. Kiedy szedł między ludźmi, kłaniano mu się, ale on, nic nie widząc, nie odpowiadał na ukłony. Przybyli weszli w krąg zebranych, Helkiaszowi podano niski stołek, na którym usiadł. Kapłani stanęli za nim. Na ich czoło wysunęli się synowie Helkiasza: Azariasz — wysoki, chudy, o ascetycznie zapadniętych policzkach, Gamariasz i Jeremiasz wsparty na pasterskim kijku. Między kapłanami znajdowali się także prorocy, ubrani przeważnie w wielbłądzia skórę, zwyczajowy od czasów Eliasza strój wieszczków. Była ich duża grupa. Obok mężczyzn widziało się w niej i kobiety. Przewodziła im stara Holdama, żona Selluma, ta, która niegdyś prorokowała królowi Jozjaszowi, gdy mu Sofan przyniósł odnalezioną księgę Praw.

Azariasz podniósł rękę w górę na znak, że chce mówić. Służba kościelna zadeła w długie srebrne trąby. Nastąpiła cisza. Kapłan zaczął przemowę od wspomnienia o Jozjaszu. Przypomniał jego zasługi: jego wierność wobec religii i wielką reformę przez niego przeprowadzoną. Ze szczerym bólem w głosie mówił o bitwie pod Megiddo. Szmer przeleciał nad tłumem. Wszyscy mieli w pamięci tę tragiczną walkę i wiele domów w Jerozolimie dopiero co zakończyło żałobę po synach i ojcach, którzy padli w starciu. Z kolei Azariasz począł mówić o konieczności wyboru nowego władcy. Właściwie

wybór jest niepotrzebny, zmarły król wyznaczył na swego następcę Eliakima. Chodzi więc tylko o to, aby zebrany lud zgodnym okrzykiem obwołał go królem, a wtedy arcykapłan namaści go świętą oliwą. Podniósłszy obie ręce w górę Azariasz wykrzyknął tradycyjną formułę:

— Kto ma władać ludem judejskim?

Rozległy się głosy:

— Eliakim syn Jozjasza! Eliakim niech będzie królem!

Ale nie był to zgodny chór. Wołali tylko niektórzy. Inni milczeli. Jeszcze inni poczeli wołać coś zgoła innego, czego w zamęcie głosów nie można było początkowo zrozumieć. Joachaz zdziwiony podniósł wzrok na Eliakima. Zobaczył gniew na twarzy brata. Jeszcze bardziej gniewna była twarz Nohesty.

Zmrużywszy oczy wpatrywała się pilnie w tłum. Azariasz znowu dał znak trębaczom. Gdy głos trąb uciszył ludzi, zapytał:

— Więc Eliakim syn Jozjasza ma być królem w Judzie?

— Tak, tak! Eliakim królem! — zaczęto wołać. Ale równocześnie podniosły się krzyki:

— Nie! Nie!

Jakiś pojedynczy głos zawołał bardzo mocno:

— Niech Eliakim obieca! Niech przysięgnie!

Gdzieś z dalszych szeregów doleciało wołanie:

— Nie chcemy być rządzeni twardą ręką...

Podniosła się wrzawa, dłuższy czas nie można było nic usłyszeć. Wreszcie, gdy zrobiło się nieco ciszej, powiedział Azariasz:

— Kto ma coś przeciwko Eliakimowi, niech mówi.

Wśród zebranych wybuchnął zaraz krzyk. Jacyś ludzie przepychali się ku przodowi. Pierwszy wyskoczył z tłumy człowiek o dużych, wywiniętych wargach. Był to Safatiasz syn Metany, jeden z książąt judejskich. Ubrany był w płaszcz cenny, ale zmięty i poplamiony. Oczy biegały mu niespokojnie. Nagłym gestem podniósł obie ręce w górę. Wymachując nimi, począł wołać:

— Ludu judejski! Zeszliśmy się tutaj, by obwołać królem syna Jozjasza. Dobrze. Nikt z nas nie ma nic przeciwko Eliakimowi. Dzielny książę. Kocha

go młodzież. Waleczny księżę. Ale my pamiętamy, jak rządził nami jego ojciec. To była niewola, nie rządy królewskie! Pary z ust puścić nie zezwolił. Lada co — do ciemnicy albo śmierć... Czy źle mówię? Może nie tak było? Ludu judejski, nie chcemy takich rządów. Nie po tośmy uszli z niewoli egipskiej, by być w niewoli u własnych królów.

Odchrząknął, otarł połą płaszcza spocone czoło i rozejrzał się po ludziach. Zobaczył, że wszędzie potakują jego słowom kiwaniem głów. Tylko Eliakim oraz otaczająca go gromada młodych wojowników stali ze zmarszczonymi czołami. Także kapłani wydawali się zaniepokojeni przemową Safatiasza. Nie zwracając na to uwagi, zwrócił się znowu do tłumu:

— Jozjasz kazał nam iść na wojnę z faraonem. Chcieliśmy tej wojny? Nie chcieliśmy. Król jej chciał! A kto mu się sprzeciwiał, temu kazał głowę uciąć lub zakuć go w łańcuchy. I co z tej wojny? Łupyśmy przywieźli? Ziemię nową przyłączyli? Wiecie sami: połowa tych, co na wojnę poszli, nie wróciła, ale ziemię gryzie pod Megiddo! Albo są przez Egipcjan do niewoli zabrani! Nie tak może?

— Tak, tak! — potwierdziły liczne głosy.

— A jaką mamy pewność — ciągnął coraz bardziej grzmiącym głosem Safatiasz — że Eliakim znowu nam na wojnę z faraonem iść nie każe? Co wtedy? Do reszty wytraci mężów. Całą Judeę okryje żałobą. Chcecie tego? Chcecie znowu wojny z Egiptem?

— Nie! — zerwał się krzyk. — Nie! Nie! Nie chcemy wojny!

— Jeśli nie chcecie — mówca przekrzykiwał wołających — to trzeba, aby Eliakim obiecał nam, że inaczej niż jego ojciec rządzić będzie. Wtedy go obwołamy. Ale niech przysięgnie, że nowej wojny bez zgody ludu nie rozpocznie...

— Tak! Tak! Niech przysięgnie! — przytakiwali wszyscy.

Eliakim gniewnie wystąpił z koła swoich. Miotła nim wściekłość, złe błyski zapalały się w oczach. Nohesta podsunęła się do niego i coś mu szepnęła do ucha. Kiwnął potakująco swą czarną kędzierzawą głową.

— Milcz ty, Safatiaszu! — krzyknął. Nie był mówcą, zresztą dławił, go gniew. — Nikt mi tu nie będzie mówił, jak mam wami rządzić. Zechcę — pójdę na nową wojnę, a nie zechcę — będzie pokój! Wy mi rozkazywać nie będziecie. Ja wasz król! — uderzył się pięścią w pierś. Pogardliwie odwrócił się tyłem do tłumu, stanął na wprost Helkiasza, rozkraczony, mały, dygo-

czący z gniewu. Powiedział ostro: — Prędko namaść mnie, Helkiaszu, na króla. A ja już ukróczę te bunty.

Ale arcykapłan nie ruszył się na swym stołku.

— Czy słyszysz!?! — wrzasnął Eliakim. — Prędko namaść mnie na króla!

Przed ojca wysunął się Azariasz. Obrzucił spojrzeniem kapłanów, jakby biorąc ich na świadków swoich słów. Porozumiał się z nimi wzrokiem. Rzekł spokojnie, przekonującym tonem:

— Lud chce się dowiedzieć, Eliakimie, zanim cię królem obwoła, jakim królem będziesz. To słusznie... Wiesz, że byli w twym rodzie królowie grzeszni, bałwochwalcy, czciciele fałszywych bogów, królowie, których nawet — jak Jorama — nie pogrzebano w grobach królewskich... Trzeba zatem, byś powiedział, że wierny będziesz, jak twój ojciec, Odwiecznemu i że walczyć będziesz z obcymi bogami...

Ale rozgniewany krzykiem ludu Eliakim nie rozumiał zręcznych słów Azariasza. Słuchał ich ze zmarszczonymi brwiami, a jego mała twarz ściągnęła się gniewnie i zrobiła się jeszcze mniejsza niż zwykle. Wyrażała teraz taką nienawiść, iż zdawać się mogło, że księżę rzuci się na arcykapłana. Trzasnąwszy trzymaną w ręku włócznią o kamienie, rzucił:

— Cóż ty, Azariaszu! Ja tu rządę, nie wy...

Azariasz drgnął. Znowu powiódł wzrokiem po twarzach innych kapłanów. Widać wyczytał w nich obrazę i niechęć do księcia, bo powiedział nagle twardo, zimno, nieustępliwie:

— Pan tu rządzi, a Jego woli mają być posłuszni lud i książęta...

Eliakim pochylił się w przód, niby zbierając się do skoku, i warknął wściekle:

— Zobaczmy!

Kapłani zaszemrali groźnie. Nad tłumem przelatywały krzyki. Ludzie byli podnieceni. Ktoś nagle powiedział:

— Eliakim chce rządzić nami jeszcze srożej niż jego ojciec... — i ta wiadomość poczęła krążyć tam i z powrotem pomiędzy zebranymi.

— Mamy więc wybrać Eliakima? — padały zapytania.

— A Nohesta?...

Nohesty nie cierpiano. Była pyszna, złośliwa i lubiła ludziom szkodzić. Ktoś przypomniał, jak oblała wrzątkiem starą Maachę, gdy ta w czasie głodu

przyszła do pałacu prosić o wsparcie. Jej ojciec, książę Elnatan, był także nieużytym bogaczem.

— To kogo wybierzemy? — podniosły się głosy.

Joachaz stojąc w pierwszym rzędzie zebranych słyszał je wszystkie. Pomyślał, że Eliakim okazał się głupcem i tym sobie zaszkodził. Ale nie żałował przyrodniego brata. Tamten traktował go zawsze pogardliwie, z góry... Niech ma, na co zasłużył! — rozważał syn Amital, drapiąc się rozważnie w brodę. Popatrzył na Nohestę. Kobieta była zaniepokojona obrotem sprawy; ona także spostrzegła, że Eliakim zapędził się w gniewie za daleko. Śledziła uważnie twarz Azariasza, jakby chcąc zgadnąć, co arcykapłan powie. Ale Azariasz nie mógł nic powiedzieć, bo zbyt wielki panował gwar. Morze ludzkie tak się rozfalowało, że niczym nie można go było uspokoić. Próżno raz i drugi rozlegał się głos trąb, próżno arcykapłan podnosił rękę i gestem prosił o uciszenie. Hałas zapytań, podawanych z ust do ust uwag, zrywające się raz po raz krzyki głośzyły wszystkim.

Wtedy nagle z gromady kapłanów wystąpił Jeremiasz. Mocno uderzył o skałę swą laską, a potem podniósł ją w górę i zamachał nią nad głowami stojących. Zrozumiano, że chce mówić. Taką zaś powagą cieszył się w Jerozolimie, iż gwar począł cichnąć. Jeszcze przez jakiś czas wybuchały kaskady krzyku, w końcu jednak zrobiła się głucha cisza. Z niej wystrzelił mocny, choć jak zawsze chrapliwy, głos Jeremiasza:

— Ten wieprz — prorok swoim długim ciemnym palcem wskazał na Safatiasza — powiedział, że nie chcecie wojny z Egiptem. Nie chcecie wojny z Egiptem?

Piekącym spojrzeniem obrzucił otaczających go ludzi, a na kogo spojrzał, ten lękliwie spuszczał wzrok ku ziemi. Znowu zagrzemiał:

— Kto ucieka od wojny z Egiptem, ten odchodzi od Przedwiecznego! Rozumiecie?! — Postąpił krok naprzód, tłum zaś cofnął się lękliwie. — Nie ma pokoju z Egiptem, nie ma pokoju z grzechem, nie ma pokoju z bałwochwalstwem, bezwstydem, ohydą! Pan rzekł: Zmiażdżę Egipt i dam zwycięzcy deptać po ziemi faraona. A kto będzie z Egiptem, tego Pan także zetrze! Egipt — ziemia plugastwa i grzechu... Nienawistną jest ona Panu, a jej zbrodnie poruszyły niebo. W Egipcie ludzie biją czołem przed bałwanami z drzewa i z gliny, ale bogami, którym nad inne służą, są rozkosz i chuć, nierząd i obfite jadalno, wygoda i złoto... W rozkoszach żyje faraon, a lud jego cierpi nędzę i poniewierkę! Skrzywdzone są sieroty i wdowy, nieprawość cierpi

cudzoziemiec... Egipt! Serca kramarzy! A wy byście chcieli pokoju z Egiptem? Nie ma pokoju!

Jeremiasz umilkł, lecz cisza trwała tak głucha, że słyhać było nad całym polem ciężki oddech proroka. Z drapieźnie wyciągniętą przed siebie dłonią stanął przed Eliakimem. Wielki nabi i mały książe mierzyli się wzrokiem.

— Ty, Eliakimie — podjął znowu Jeremiasz — powiedziałaś, że zobaczysz, czy Najwyższy rządzić będzie królestwem Judy. Wyrok na siebie wydałaś! Nie dla woli bowiem króla ma walczyć lud wybrany, ale wtedy, gdy Pan tego chce. Nie ty, ale Pan! A skoro On rzekł: „Nie ma pokoju z Egiptem”, to tobie tylko powtórzyć przystoi: Nie ma pokoju!

Podniesiony gniewnie palec proroka zawisł nad głową księcia. Ten cofnął się, skurczył. Miotał nim ślepy gniew, w którym zatoneła ostatecznie jakakolwiek rozsądna myśl. Nagle chwycił za włócznię i mierząc jej grotem w pierś Jeremiasza zawołał przez zaciśnięte zęby:

— Przestań, bo cię zabiję!

Nad tłumem podniósł się szmer oburzenia.

— Ty? — prorok nieustraszenie patrzył księciu w twarz.

— Zabiję! — miotał się Eliakim — Hej! — krzyknął do otaczających go rycerzy. — Mieście broń w pogotowiu! Ha, wieszczek zuchwały! — piana wystąpiła na usta księcia. — Ty chcesz mi rozkazywać? Chcesz mnie straszyc? Fałszywy wieszczku! Fałszywy wieszczku! Ty, coś wieścił zwycięstwo, a nas faraon pobił...

Kilka ostrzy skierowało się w pierś Jeremiasza. Stronnicy Eliakima przybrali postawę bojową, ale żaden nie śmiał cisnąć włócznią. Krzyk tłumu nagle ścichł. Bładość okryła twarz proroka. Zaciśnął mocno dłoń na kiju, aż napięte stawy zdawały się przebijać skórę. Głosem dobywającym się z głębi piersi grzmiał:

— Wyrok wydałaś na siebie! Nie będzie królem, kto nie słucha słów Pańskich!

— Fałszywy wieszczek! — odszczeknęła Eliakim.

— Fałszywy wieszczek! — zawołało kilka głosów z otoczenia księcia.

Jeremiasz nie powiedział nic więcej. Zmierzył ich tylko miotającym błyskawicę spojrzeniem, a potem popatrzył szybko, lecz uważnie na twarze stojących blisko ludzi. Zatrzymał się na twarzy Joachaza. Pod księciem zaczęły

drzeć nogi. Jeremiasz jednak nie spuścił wzroku. Jakimś kocim, nieoczekiwanym skokiem dopadł, chwycił go obu dłońmi za ramiona. Joachaz śmiertelnie wystraszony szarpnął się do tyłu, chciał uciec w tłum, ale zawiodły go siły. Olbrzymi nabi zbliżył swą twarz do jego twarzy. Ciężko dyszał. Twarde jego dłonie miażdżyły ramiona Joachaza. Księżę był bliski omdlenia. Niczym nie zdołałby teraz powstrzymać febrycznego dygotania całego ciała. Jeremiasz pociągnął go za sobą, wywłókł z tłumu na małe podwyższenie z głazów. Potrząsnął nim mocno, jakby go chciał rozerwać.

— Mów! — krzyknął. — Chcesz przymierza z Egiptem?

— Ja... ja... nie... ja nie... nie... — wyjąkał śmiertelnie wystraszony Joachaz. Panicznie bał się Jeremiasza. Znał jego straszne wybuchy gniewu. Jeremiasz potrafił krzyczeć nawet na Jozjasza i wygrażać mu pięściami. Na Joachaza patrzył zwykle obojętnie, jak na martwy przedmiot. Ale teraz cała uwaga przerażającego nabiego skierowana była na tłustego księcia. — Nie! Nie! — Joachaz zaczął krzyczeć coraz głośniejsze, coraz bardziej przerażony. Kościste palce proroka niby żelazne kleszcze zaciskały się na jego ramieniu. — Nie!

Jeremiasz znowu odwrócił się do tłumu. Popchnął przed sobą dygotającego Joachaza.

— Nie ma pokoju! — krzyknął. — Nie ma przymierza! Skoro Eliakim nie chce być posłuszny woli Najwyższego, macie tu drugiego syna Jozjasza. Weźcie go na króla.

Pchnął Joachaza, a ten runąłby twarzą na kamienie, gdyby nie wpadł w ramiona jakiegoś człowieka. Wyglądał żałośnie. Turban zsunął mu się na oczy, płaszcz zaplątał się między nogami. Był jak pijany. Nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy płakać. Otoczył go nagle zamęt i krzyk setek ludzi. Zamknął oczy — krzyk nie ustał. Otworzył je — zobaczył o kilka kroków od siebie Eliakima wygrażającego mu dzidą. To było straszne. Joachaz poczuł, że robi mu się niedobrze, że za chwilę albo zemdleje, albo zwymiotuje. Obok Eliakima stała Nohesta. Jej oczy wpijały się drapieźnie w twarz Joachaza. Nie wydała mu się w tej chwili piękna. Turban coraz głębiej wpadał mu na twarz. Rozpaczliwie obu rękoma usiłował ściągnąć go z czoła. I nagle usłyszał, że gwar cichnie. Szeroko otworzył oczy. Zobaczył setki twarzy zwróconych ku sobie. Przebiegł go dreszcz: pojął, że ludzie zrozumieli jego gest w ten sposób, iż zamierza przemawiać. Chciał powiedzieć Azariaszowi, że mówić

nie będzie, ale oglądając się zobaczył Jeremiasza. Nogi ugięły się pod księciem. Tymczasem rozległ się głos trąb i słowa Azariasza:

— Słuchajcie słów księcia Joachaza.

Ciężko przełknął ślinę. Dałby dużo, aby móc zapaść się pod ziemię. Czuł się zgubiony bez ratunku. Ludzie czekali w ciszy na to, co powie, on zaś miał pustkę pod czaszką i drapiącą suchość w gardle. Nieswoim, zdławionym głosem wymamrotał:

— Judejczycy! Prorok Jeremiasz powiedział, że z Egiptem nie może być pokoju...

Parę głosów krzyknęło:

— Głośniej! Nie słysząc!

Joachaz lekliwie skinął głową. Jeszcze raz się obejrzał. Jeremiasz stał wciąż za nim. Dławiąc się wykrztusił:

— Mój ojciec, król Jozjasz, zginął z rąk Egipcjan... — Nagle opanowała go rozpaczliwa determinacja. Uniósł się na swych cienkich nogach i wrzasnął tak głośno, jakby chciał przekrzyczeć cały tłum: — Król Jozjasz był wielkim królem! — Głos mu się załamał, stał się piskliwy. — Dlatego... — urwał, przełknął zastygającą mu w kamień ślinę. — Bo... dlatego... — Teraz zupełnie cicho, prawie szeptem, powiedział: — Z Egiptem nie może być pokoju... nie...

— Niech żyje Joachaz! — krzyknęto w szeregach kapłanów.

Joachazowi na przemian to żar uderzał na policzki, to znowu lód je mroził. Przymknął oczy.

— Nie ma pokoju z Egiptem! — wrzaśnięto.

Począł oddychać ciężko. Nie śmiał otworzyć oczu. Rzecz śmieszna, ale najwięcej przerażała go w tej chwili myśl o tym, jak wyglądać musi gniew Nohesty. Przypomniawszy mu się pewien dzień, gdy znalazł się z nią w jednej izbie. Podeszła wtedy do niego miękko, tygrysim krokiem i nieskromnie dotknęła go piersią. Oniemiał. Poczował na sobie zwinne palce. Uciekł przerażony. Bał się Eliakima. Teraz bał się ich obojga. Zmusił się jednak do otwarcia oczu. Ludzie ciągle krzyczeli. Zobaczył brata wymachującego włócznią. Obok stała Nohesta. Kobieta nie krzyczała. Patrzyła dziwnie na Joachaza. Jej oczy zdawały się błyszczeć zielonym ogniem. Wycie rosło. Obok okrzyków: „Niech żyje Joachaz!” i „Nie ma pokoju z Egiptem!” słysząc było:

— Precz z synami Jozjasza! Precz z wojną! Jeremiasz fałszywy wieszczek!

Joachaz błędnie począł mrugać powiekami. Nagle myśl jak błyskawica zapaliła mu się pod czaszką: „Przecież mogę być królem!” Znowu spojrzął na Nohestę. W jej oczach — może mu się tylko zdawało — wyczytał jakby zachętę. Eliakim w swoim gniewie wydawał mu się nagle bezsilny i śmieszny. „Czemu go się boję?” — pomyślał — i z nagłą determinacją podniósł obie ręce w górę.

Poczęto sykać:

— Joachaz chce dalej mówić!

Ale tłum wył. Ludzie skakali sobie do oczu. Gest księcia powitały jeszcze gwałtowniejsze okrzyki. Zabrzmiały trąby. Musiały grać kilkakrotnie, zanim wreszcie powróciła naprężona, pełna stłumionego krzyku cisza.

Joachaz odchrząknął. Jeszcze raz obejrzał się na Jeremiasza. Począł mówić szybko i piskliwie:

— Powiedziałem, że z Egiptem nie może być pokoju. Ale także nie musi być wojna. Po co wojna, skoro lud wojny nie chce? — Wśród ludzi przeleciał szmer. — Jak będą się chcieli z nami bić, no to my im, to my im... — zakrzusił się prędkimi słowami — to my będziemy się bili! Wiecie, jacy dzielni są nasi wojownicy. Jacy jesteście dzielni... — Znowu rozległ się szmer. — Ale jak nie przyjdą, to po co mamy się z nimi bić? Prawda?

— Słusznie mówi... — wtrącił ktoś z tłumu.

Joachaz odetchnął. Nie był pewien, co go czeka po tej przemowie. Ale te czyjeś słowa zachęciły go do brnięcia dalej.

— Nie ma pokoju — krzyczał coraz cienie i coraz prędzej — bo my nie będziemy hołdownikami faraona. Jesteśmy wielkim ludem, ludem wybranym, który niczyjej władzy nad sobą nie znosi. Ale nie może być wojny, gdy nikt jej nie chce. Czy nie tak? — Zdobył się nagle na niebywałe bohaterstwo: — Mój ojciec ile postąpił uderzając na faraona, choć on walki nie chciał... Był wielkim królem, ale...

Podniósł się nagle wielki krzyk:

— Niech żyje Joachaz!

Książę odsapnął, obliznął tłuste wargi. Był teraz gotów mówić dalej, choćby bez końca. Zwrócił twarz ku Noheście. Kobieta przypatrywała mu się

coraz uważniej. Popatrzył na kapłanów. Mieli twarze niezdecydowane, nie mówiące. Eliakim pluł za to z oburzeniem i z wściekłością. Czuło się jednak, że nie ośmieli się rzucić na brata. Joachazowi chciało się śmiać. Tylko tak dalej — uświadomił sobie — a będę królem... Jeszcze obejrzał się na Jeremiasza. Od razu odeszła go ochota do śmiechu...

Jeremiasz patrzył gniewnie. Potrząsnął wiszącymi nad czołem włosami niby lew grzywą. Ze schyloną głową postąpił dwa kroki naprzód.

— Milczcie! — krzyknął.

Zapadła od razu cisza niby makiem zasiał. Zacinając zębami wargę prorok podszedł do Joachaza. Ten znowu począł dygotać. Był cały spocony, czuł omdłałość w członkach. Jeremiasz zaczął powoli i groźnie:

— Mówisz jak żmija rozdwojonym językiem: bo i mnie chcesz schlebiać, i tym, co wyją na twoją cześć. Pokoju chcecie z Egiptem? Ku temu wdychacie? Trzodo! Nędzna trzodo! — głos proroka stał się straszny. Podniósł do góry swą laskę i złamał ją niby kruchą trzcinę. — Oto zostaniecie złamani, jak ja łamię ten kij! — cisnął resztki laski pod nogi otaczających go ludzi, tłum zaś zafalował, jakby chciał uciekać. — Oto zostaniecie rozdarci, jak ja rozrywam ten rzemień! — jednym targnięciem zerwał z szyi pasek, na którym wisiała miedziana pieczęć. — Trzodo... Już chcecie wierzyć?! Za miękko was trzymał w garści Jozjasz. Ledwie zamknął oczy, wy pokoju chcecie z Egiptem! Pokoju chciała także Samaria i nierządem się z Egiptem sromociła. Za to przysłał jej Pan Asyryjczyka, a on wyciął mężę, zaś dzieci i kobiety w niewolę pogał. Myślicie, że wy, coście jeszcze ku grzechowi skorsi niż Samarytanie, ujdziecie ręki Pańskiej? Głupia trzodo! Pan ześle na was naród z daleka, naród wielki i starodawny, mocny i okrutny, naród, którego języka nie znacie, a on zeżre wasze urodzaje i wasz chleb, chleptać będzie krew waszych synów, a wasze córki w łoże swoje rzuci! Trzodo! Głupia, plugawa trzodo! Słyszysz? Jeśli pokoju z Egiptem szukać będziecie, krew strumieniami z Syjonu płynąć będzie...

Słuchali go w głuchej ciszy, oniemiaли ze zgrozy. Dreszcz przebiegał po karkach ludzkich. Dyszeli ciężko półotwartymi usty. Jeremiasz zaś mówił coraz straszniej. Coraz bardziej wstrząsał sercami i wyobraźnią. Miażdżył słuchaczy każdym słowem. Obrażał ich, lecz oni nie śmieli syknąć jednego słowa w odpowiedzi. Porównywał ich do świń, które pragną leżeć w ciepłym, cuchnącym bajorze, do małych wodzących jedna drugą za ogony, do lwic, które nie za lwem tęsknią, lecz za szakalem. Na tle jasnego i czystego nie-

ba, z którego spływał jaskrawy blask słońca, na tle pylonów świątyni i jej obrośniętych przybudówkami i krążgankami ścian, na tle bram wiodących do przedsionka, na tle wyrastających ponad mur kolumn spiżowych Jakim i Boaz zakończonych głowicami wyobrażającymi jabłka granatu wiszące na siatce, wysoka postać Jeremiasza podnoszącego raz po raz ręce w geście przekleństwa urastała do rozmiarów olbrzyma, niby jednego z owych potomków rodu Enaka, o których mówiły stare opowieści. Nie wydawał się im zwykłym człowiekiem. Pełni lęku schylali głowy. Trwożliwie spoglądali jeden na drugiego. A Jeremiasz grzmiał:

— Nie będzie Pan bez końca litował się nad wami! Nie będzie wciąż znosił waszych niewierności! „Pokój” — wołacie?! Pokój z Egiptem?! Ale u was w sercach nie ma pokoju. Serca wasze pożądają krwi i niesprawiedliwości, rozkoszy i grzechu. „Dałem wam drogę prawdy — mówi Pan — wy jednak nie chcecie nią chodzić. Dałem wam króla godnego — musiał was za karki trzymać, boście mu się wciąż sprzeciwiali!” Więc słuchajcie teraz słów Pańskich: „Myśli serc waszych staną się brzemieniem waszym! Coście knuli przeciwko drugim — na was spadnie! Pożądania wasze grzeszne staną się raną na ciele waszym! Na cóż mi przynosicie kadzidła z Saby, wonne i rozkoszne? Śmierdzą mi wasze kadzidła, brzydzą mnie wasze ofiary! Nie ofiar waszych chcę, ale posłuszeństwa! O pokój z Egiptem wołacie? U siebie pokój wprawdzie uczynicie, jeśli jeszcze wiecie, co to jest pokój...”

Dwa wielkie sępy przeleciały nisko nad świątynią. Wyciągając długie szyje, patrzyły bacznie, czy im się nie uda schwycić kawała świeżego mięsa. Pora była już późna i ciężki upał wisiał w powietrzu. Zresztą może zbierało się na burzę, bo daleko na wschodzie, ponad szarą, niby zakurzoną zielonością wzgórz oliwnych niebo poczęło przybierać kolor hiacyntowy. Mimo to nikt się nie ruszał. Ludzie stali jakby przykuci do miejsca słowami proroka. Nieraz mówił im groźne słowa, wyrzucał grzechy i niewierności z taką namiętnością, iż zdawać się mogło, że sam będzie im wymierzać przepowiedzianą karę. Ale dziś mówił straszniej niż kiedykolwiek. Tak musiał niegdyś mówić Elias, gdy na górze Karmel pohańbił czterystu pięćdziesięciu proroków Baalowych. Elias... Spoglądali na siebie z niepokojem. Tręcili się znacząco. Sępy, zawiedzione, zawisły na skrzydłach nad wzgórzem, a potem wolno, zataczając kręgi, spłynęły w wąwóz Cedronu. Słońce rozżarzało białe mury świątyni sterczące na szczycie wzgórza. Zieloność rosła w dole, na zboczach, ale sam rozległy szczyt góry Moria był nagi i trupi. Gdy prorok mówił im o krwi, która stąd płynąć będzie, czuli, jak im włosy stają na

głowie. Znali jej mdły zapach i słony smak. Zwykle pocieszali się: „Jehowa ochroni...” Dziś jednak niepokój trwał. Jeremiasz mówił tak, jakby właśnie sam Jahwe miał ich wydać w ręce wrogów.

Jeremiasz osłabł. Przestał mówić, ale cisza trwała. To mówienie wyczerpywało go zawsze, zżerało wewnątrz. Nawet tak, jak był potężny, nie mógł bez wyczerpania stawiać czoła Mocy, która zwykła była mówić przez jego usta. Ciężko zwisły mu ramiona, ciało zwiotczało. Ludzie, którzy go otaczali, patrzyli na niego wyczekującym wzrokiem. Ale w nim była już tylko pustka. Z niechęcią odwrócił od nich twarz, wpatrzył się w białe mury świątyni. Kochał je i jak wszyscy Żydzi był dumny ze wspaniałego dzieła wielkiego króla. A przecież sam nie wiedział, dlaczego nie mógł na białe, złoceniami tu i tam pokryte, tu i tam zdobne w mozaikę z drzewa cedrowego mury patrzeć bez strasliwego, drącego serce smutku. Dziwił go ten smutek i niepokoił. W udręce niepewności patrzył na świątynię wzniesioną ku chwale Jahwe, a z warg gniewnie spędzał słowa żalosego, niepojętego lamentu. Próżno jednak odtrącał od siebie smutek, jakim go napawał widok białych murów. Próżno wyrzucał sobie swą małość i swą ślepotę. Gniewnie potrząsał głową. Nie pomagało. Smutek rósł, ogarniał go, dręczył i łamał. Znowu podniósł oczy na cud świątyni. Zważające się lekko ku górze pylony miały urzekającą moc. Nawet zaniknąwszy oczy trudno było o ich lekkości zapomnieć. To było piękno, wielkość i chwała. Nad murami unosił się w górę lekki błękitny dym. Rozwiewał się, rozpływał w przejrzystym, suchym powietrzu. Jeremiasz niechętnie odwrócił znowu głowę ku ludziom. Jego wzrok padł na opasłą postać Joachaza. Poczul wstręt, ale się przemógł. Gniewnie tylko wskazał bratu księcia.

— Pomaż go! — rzucił. — Niech będzie królem. Człowiek rozdwojonego języka. Niedługie i tak jego panowanie. Pan go dotknie, ani się obejrzy. Daleko będzie jego grób. Nie w ziemi ojców. Daleko...

Coś niby smętny uśmiech przewinęło się po wargach Jeremiasza, gdy z kolei spojrzął na Eliakima.

— A ty będziesz jeszcze królem... — powiedział. — Przyjdzie twój czas. Obyś poznał wtedy drogę Pańską! Bo jeśli nią iść nie będziesz, osłą śmiercią zginiesz!

Wiódł dalej wzrokiem, wreszcie zatrzymał oczy na małym Mataniaszu.

— I ty... — zaczął. Ale nie skończył. Poczul nagle bolesny ucisk w gardle. Straszliwy, niepojęty żal ogarnął go całego. Nagle zatrzęsł się i zakrył

twarz dłońmi. Tłum patrzył zdziwiony na drgające ramiona, na wielki tors wstrząsany łkaniem. Ludzie poczęli szeptać jedni do drugich:

— Patrz, patrz, prorok płacze...

On zaś płakał naprawdę, gorzko i boleśnie. Smutek spadł na niego nie wiadomo skąd. Nie wiedział sam, dlaczego płacze. Musiał płakać.

Ludzie wciąż mówili do siebie zdumieni:

— Prorok płacze! Patrz, jak płacze!

Szmer rósł. Wybijały się pojedyncze głosy:

— Patrz, osłabł prorok. Odszedł od niego Pan.

— Już nie będzie prawdziwie prorokował.

— Fałszywy prorok...

— Fałszywy wieszczek...

VI

Zielona jaszczurka wysunęła się spomiędzy kamieni. Niepewnie rozejrzała się wokół, gotowa natychmiast umknąć. Ale człowiek nie zrobił najmniejszego ruchu. Siedział nieporuszony, ciężko oparty o chropowaty pień palmy, z głową odchyloną, z półprzymkniętymi oczyma. Zdawał się wpatrywać z jakąś niezrozumiałą uwagą w kołyszące się nad nim lekko niby pióra wachlarza liście palm. Słońce prażyło, jaszczurka wyciągnęła się na płaskim kamieniu. Podniosła łebek; jej szyja pulsowała prędkim oddechem. Nie spuszczała wzroku z człowieka. Mijały jednak minuty, a człowiek nie ruszał się. Upał południowy rósł. W gęstej wonnej trawie psykały koniki polne, a duże kolorowe motyle wiły się nad powierzchnią traw w powietrznym tańcu. Zrobiło się duszno. Głowy narcyzów, anemonów, róż i maków schylały się coraz niżej. Zielona łąka sphywała miękko ku wodzie. Olbrzymia tafla jeziora leżała w zielonym otoczu rozblyszczana blaskiem słońca, lekko wzdęta na środku niby wielka tarcza. Woda skrzyła się: rzec by można — ktoś wysypał na jej powierzchnię garść skaczących płytek srebra. Wzrok z trudem ogarniał brunatną linię przeciwnego brzegu. Tu i tam krzaki czepiały się zbocza, tworząc na nim ciemnozielone, prawie czarne plamy. Wzgórza rosły, jedne wynurzały się spoza drugich, coraz bardziej mgliste i sine, aż wreszcie po-

nad wszystkimi wyrastał szeroki, zwalisty biały złom. Har Hermon, zwany przez Fenicjan Sirionem, zdawał się wisieć w drgającym od gorąca powietrzu jak długi obłok rozpostarty na błękitnym niebie. Jego biel była nierealnie delikatna, prawie przezroczysta.

Siedzący czuł całym ciałem kołysanie się drzewa, powolne, majestatyczne, odorujące. Ciężka woń kwiatów wisiała w powietrzu i płoszyła myśli. Był bardzo zmęczony: wędrował przecież spieszenie od paru dni. Dziś wyszedł wczesnym rankiem, a właściwie w nocy. Gdy wyruszał, gwiazdy błyskały jeszcze na szarym niebie. Ostrzegano go, aby nie szedł sam o tak wczesnej porze, zwierzęta bowiem dzikie włóczą się po pustkowiach, lwy i pantery ryczą przy wodopojach. Obojętnie potrząsnął głową. Nie bał się zwierząt. Natomiast śpieszył się. Uciekał przed porankiem. Noc była zimna. Póki słońce nie rozpałiło się na dobre, od kamienistej drogi i sterczących tu i tam nagich skał wiało wilgotnym chłodem. Potem nagle zaczęło robić się gorąco. Ostry skwar dopiekał. Cienie malały, rozplływały się w słońcu niby spijane kałuże. Kiedy doszedł nad jezioro, musiał usiąść, by odpocząć. Był także głodny: w ciągu trzech dni zjadł tylko parę garści fig. Nic innego jeść nie chciał. Wczoraj w domu, w którym się zatrzymał, ofiarowano mu dzban mleka i placki. Ale on ich nie jadł. Nic także do jedzenia nie niósł ze sobą. Napił się wody z potoku i siadł pod drzewem. Chciał odpocząć. Zamiast odpoczynku przyszedł niepokój. Serce mocno waliło mu w piersi. Lękliwie nasłuchiwał. Oddychał lżej, gdy słyszał szum potoku spływającego ku jezioru i gdy czuł mocny, upajający zapach kwiatów. Lecz chwilami zdawało mu się, że wszystkie otaczające go dźwięki, barwy i wonie znikają, zlewają się w jedno, ustępują miejsca oszałamiającej ciszy, w której rozlega się głos niby cichy łopot skrzydeł. W takich chwilach czoło rosił mu pot lęku. Tak bywało zawsze od owego niezapomnianego dnia młodości.

Dzień był wtedy równie gorący i pogodny. Pamiętał, że siedział na skale patrząc na ciągnące stado owiec, na ludzi, którzy wędrowali ścieżką obok potoku. Jego wzrok śledził idące dziewczęta, zwłaszcza Sarę, piękną czar-nooką Sarę, dziewczynę, która, wiedział, będzie jego żoną. Ale gdy ludzie odeszli — postyszał Głos. Rozejrzał się niespokojnie. Chciał zobaczyć, kto mówi. Nie zobaczył nikogo. Był sam na występie skalnym, nad nim było spłowiełe, palące niebo, wokół — czerwone skały Judei. Sądził, że mu się przywidziało. Ale Głos odezwał się znowu. Wtedy zerwał się na nogi i uciekł szybko. Nie chciał słuchać. Wolał być znowu wśród ludzi, wśród dziewcząt, wolał chodzić z ojcem po kruzgankach świątyni lub patrzeć, jak leje się

krw zwierząt ofiarnych zabijanych przez kapłanów. Zdawało mu się, że uszedł Głosowi. Ale on odezwał się znowu, gdy stał któregoś dnia samotnie na tarasie świątyni i patrzył na łysy grzbiet Góry Złej Rady. Znowu postyślał słowa, które miały moc wtrącania w przerażenie i rozpacz. Nie wiedział, gdzie uciekać. Cofnął się w kąt tarasu, zasłonił twarz dłońmi. Powiedział:

— Nie, nie, jestem jeszcze dzieckiem, nie umiem mówić... Nie!

Ale Głos nie próbował się z nim targować. Nakazywał. Kiedy syn Helkiasza opuszczał taras, wiedział już, że nie będzie po ojcu arcykapłanem, że nie ożeni się z Sarą, że nie dotknie już ciała żadnej kobiety, że nie będzie pił wina ani sicery, natomiast będzie musiał mówić słowa przerażające. Piekiły go wargi, spalone palcem Bożym niby rozżarzonym kamieniem. Tego dnia Głos mówił przez jego usta, mówił tak, że słyszeli wszyscy. Wołał o wielkich grzechach, jakich dopuścił się Izrael, i o karze, jaką poniósł. Ten, który był dla swej siły postrachem mężczyzn, a dla urody ukochaniem kobiet, szedł teraz kamiennymi drogami Judei od miasta do miasta, by krzyżeć: „Słuchajcie słów przymierza Pańskiego i czyńcie je!” Ludzie stawali i słuchali go. Mówił gniewnie, porywczo. Zdawał się śpieszyć. Chętnie strąciłby z ramienia dłoń Głosu. Ale Głos był zawsze przy nim. Nie odstępował go. Spłowił w pyłe dróg obraz Sary: jej okrągłe smagłe ramiona i usta ciężkie pocałunkami. Przyszła za to grotą w Anatot, chłodna, mroczna i pusta. Buntował się. Gniewnie krzychał w pustce skalnej w białe gorące noce, gdy spać nie można, gdy ręka sama szuka obok siebie drugiego ciała. Dlaczego ma być sam? Dlaczego? Dlaczego Głos powiedział: „Nie będziesz miał ani żony, ani synów, ani córek!”? Stary Helkiasz także kiwał głową: „Dlaczego masz być sam, Jeremiaszu?” Do bólu zagryzał wargi. Siedząc na kamiennym progu swej jaskini patrzył gorejącym wzrokiem na miasteczko zasypiające w mroku gwiazd. W każdym domu człowiek zasypiał przy człowieku, w każdym domu była miłość dwóch serc. Tylko on był sam! Sam z gwiazdami — i z Głosem! Zrywał się, zbiegał po stromym zboczu, szedł między domy. Psy szczekały zajadle, jakby to wilk wkradł się między opłotki. Szedł środkiem pyłnej drogi ogromny, dyszący ciężko, drąc palcami skórę wielbłądzą, którą okrył gorejące ciało. Pięknie dawniej układane włosy porastały teraz na nim niby grzywa; miękka dawniej, oliwiona skóra stwardniała i wyschła. Czasem ktoś wychylił się spoza muru, pragnąc zobaczyć nocnego wędrowca.

— To ty, Jeremiaszu?

Wybuchął nagle wściekłymi słowami:

— Spij! Śpij! Spij! Czemu się obudziłeś?! Wracaj do swego legowiska, do swej żony! Prędko! I śpij!

Gwałtownie odchodził dalej w noc. Wędrował przez łąki i pola.

Kiedyś napadł go młody lew. Wysunął się zza skały, ryknął krótko i skoczył na człowieka. Ale człowiek poczęstował go ciosem kija prosto w łeb. Lew zaryczał — i znowu rzucił się na Jeremiasza. Z nie mniejszą furią rzucił się na lwa człowiek. Zwarli się z sobą jak dwaj zapaśnicy, szarpali się, bili, targali, gryźli, gnietli, tarzali wśród głazów i niskich krzewów ostu. Kilka szakali wynurzyło się z mroku i w milczeniu przypatrywało się walce. Wywieśsiwszy języki, czekały na jej wynik. Niecierpliwie zlizywały krew z kamieni i z krzewów. W końcu człowiek rozdarł paszczę lwa, zgniótł mu kolanami żebra. Dopiero gdy odszedł, szakale lękliwie poszły dusić zdychającego. A Jeremiasz szedł dalej pod gwiazdami, dysząc. Krew, którą miał na rękach, nie uspokoiła go. Przeciwnie. Miała mdlący zapach czegoś, o czym nie można zapomnieć. Doszedłszy do potoku rzucił się na ziemię i zanurzył w wodzie ręce po łokcie. Woń krwi i sierści spłynęła z nurtem. Ale gdy tak leżał na ziemi, poczuł, że ziemia także pachnie i pachną małe roślinki o delikatnych listkach, pachną inaczej, a przecież tak samo, bo tak samo ich woń oszołamia i dręczy. Zerwał się, pobiegł w noc...

Innym razem dopadł skalnego zbocza i począł zeń spychać jeden za drugim ciężkie głazy. Leciały w dół z hurkotem, budząc echa, porywając za sobą całe osypiska mniejszych kamieni, wreszcie rozpadając się na kawały. Pot lał mu się z czoła, ale pracował tak całe godziny... Jeszcze kiedy indziej postanowił uciec. Miał już dosyć wołań Głosu. Chyłkiem zbiegł zboczem ku Słonemu Morzu. Wędrował jego pobrzeżem, dzikim, pełnym splątanych, wyschłych korzeni, zwalonych głazów, łysych wydm pokrytych tylko gruboziarnistym, kaleczącym nogi żwirem. Przeprowadził się na małej łódce na drugą stronę jeziora, poszedł w góry. Darł się perciami po zboczach, przecinał płyty piargu, wdzierał się bez lęku na skalne ściany Nebo. Tu go zaskoczyła burza — dzika, krótka, lecz straszna, jaskrawozielona od błyskawic. Deszcz smagał niby pękami biczów. Jeremiasz znalazł sobie pieczarę, do której musiał wspiąć się po gładkiej pionowej skale. Zmęczony i mokry rzucił się na ziemię. Miał uczucie, że nareszcie uciekł. Począł wyobrażać sobie, że rano zbiegnie w dół ku polom Rubena i tam rozpocznie zwyczajne życie. Ale nagle wśród gromów, których łoskot rozsypywał się w tysiące ech po górach, posłyszał znane sobie wołanie. Włosy powstały mu na głowie z przerażenia. Dygocząc przywarł do ziemi, jakby myślał, że uda mu się w ten sposób ukryć. Zdawało mu się, że

słyszy: „Jeremiaszu!” Nie śmiał milczeć. Łamiącym się z trwogi głosem odpowiedział:

— Owom ja...

Rano opuścił jaskinię szary na twarzy, z powiekami opuchłymi od łez. Wezbrane wody potoków szumiały wśród skał. Szedł ciężko, podpierając się kijem. U jego stóp leżało jezioro, ciemne, matowo odbijające od swej powierzchni blask słońca. Między suchymi korzeniami piszczwały ptaki. Jeremiasz mówił do siebie: „Już nigdy więcej nie będę uciekał...”

A przecież uciekł znowu. Lata leży między tamtą ucieczką na górę Nebo a dzisiejszą. Wtedy uciekał nie mogąc znieść buntów swego ciała. Bo gdyby nie one, nie brakłoby mu nic. Jego słów słuchano. Cieszył się uznaniem. Do jego jaskini przychodzili ludzie, a on mówił do nich słowami podszeptanymi przez Głos. Ojciec posyłał do niego gońców. Król Jozjasz także. On to, Jeremiasz, powiedział Helkiaszowi, że gdy przyjdą robotnicy, by oderwać stare, spróchniałe deski od południowej ściany Świątyni, ma posłać najgodniejszego ze swych kapłanów, by włożył rękę głęboko w odsoniętą szparę kamienną i zaraz zaniósł królowi to, co tam znajdzie. Tak odnaleziono świętą księgę Praw. Gdy Jozjasz, rwąc na sobie ze wzruszenia szaty, czytał ją, Głos tymczasem mówił Jeremiaszowi: „Kiedy zrodzicie synów i wnuków, a dacie się skusić do złego i uczynicie podobiznę, a obrazicie tym Pana Boga waszego i rozgniewacie Go — oto ja biorę niebo i ziemię na świadków, że wyginiecie z krainy, która za Jordanem dana wam będzie. Wygładzi was Pan i między narodami rozproszy, a mało was zostanie z tych rozproszonych między narodami...”

Lata całe cieszył się sławą. Upominał, a drżano przed nim. Pojął, że jeśli Głos zepchnął go w samotność i oderwał od ludzi, to dał mu przecież moc panowania nad nimi. W pałacu królewskim był Jozjasz, lecz w jaskini w Anatot był Jeremiasz. Jozjasz panował nad ludem wszechwładnie, ale Jeremiasz bez lęku upominał Jozjasza i nakazywał mu posłuszeństwo. Gdy Jozjasz wyruszył do ziemi Zabulona, by i tam niszczyć bałwany i przymuszać ludzi, by szli z ofiarami do Jerozolimy, a znalazłszy nie obrzezanych zabijali ich, posłał do niego Jeremiasz człowieka, który powiedział królowi: „Mówi tobie prorok — zjrzyj w księgi odnalezionego Prawa i pamiętaj: Pan twój żąda od ciebie nie tylko, byś się Go bał, ale także, byś Go kochał. Chce nie tylko, byś był obrzezany, ale byś odrzucił od siebie obrzezki serca...” Nie raz sam Jozjasz przybywał do Jeremiasza i prosił go o radę. Tak, władzy mu

nie brakło. Nie brakło mu jej aż do dnia, w którym płacząc przywiózł do Jerozolimy zwłoki króla. Miasto nie oczekiwało takiego powrotu. Oglądano się już za gałęziami palm, by rzucać je pod nogi zwycięzcy. Ujrawszy trupa Jerozolima popadła w oszołomienie, jakby na nią spadł cios maczugi. Powtarzano błędnie: „Król nie żyje, król nie żyje...” Przerażone twarze podnosiły się ku prorokowi: „Dlaczego, Jeremiaszu? Dlaczego tak się stało?” Nie odpowiadał. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć...

Nie wiedział. Idąc za wozem, na którym przykryty płatem lnianego płótna leżał martwy władca, śpiewał żalospiew, którą sam ułożył. I ta pieśń była pełna zapytań „dlaczego?” Sam siebie o to pytał i pytał o to Głos. Ale Głos milczał, on zaś czuł, że nie potrafi bez jego pomocy na to pytanie odpowiedzieć. Dlaczego? Dlaczego zginął król? Jozjasz mógł zgrzeszyć... — próbował odpowiadać sobie. — Ale dlaczego uległ cały naród, choć zaufał Panu? Dlaczego Pan chciał, aby szli walczyć? Dlaczego Głos kazał mu wzywać lud do beznadziejnego boju? Czyżby Głos kłamał? Nie! nie! Głos na pewno nie skłamał. I nie był złudzeniem. Lecz w takim razie czy to znaczy, że on słów Głosu nie pojął?

W mieście otoczył go tłum. Patrzyły mu w oczy przerażone twarze. Ludzie łkali, posypywali sobie głowy popiołem. Ktoś nagle krzyknął wśród tłumy: „Dlaczego wieściłeś zwycięstwo?” Nikt nie podjął tego wołania. Prorok był we czci u ludu. Ale Jeremiasz usłyszał ów pojedynczy głos. Wbił mu się on w pamięć głęboko, nie do wyrwania. Przetrwał jego wspomnienie w swej pieczarze, do której odszedł zaraz po pogrzebie Jozjasza. I do dziś nie znalazł odpowiedzi.

Obecnie ten okrzyk wzrósł. Wołał już nie jeden człowiek — wołał cały tłum. Oskarżano go. Jeremiasz po raz pierwszy doświadczył okrutnego uczucia, że ludzie, którzy poprzednio uśmiechali się do niego z zaufaniem, czcią i szacunkiem, teraz odchodzą z gorzkimi słowami na ustach. Dawniej, gdy tylko coś powiedział — rozchodził się szmer: „On mówi... Nabi mówi...” Teraz tego nie było. Ludzie nie wystawiali na ścieżce koło pieczary. Poczul się samotny. Nie miał komu przekazać słów, które mu się wciąż pchały na usta. Gniewnie chodził po jaskini, z furją prawie wymyślał niewidzialnym słuchaczom. Nasiąkał goryczą. To, co mówił obwołując królem Joachaza, było jakimś miotaniem się boleśnie rannego człowieka. Potem odszedł z Jerozolimy. Ludzie rozstępowali się przed nim, ale nie doszedł do niego ani

jeden głos życzliwy. Przeciwnie, wyczulonym uchem słyszał, jak szepczą między sobą słowa nieżyczliwe, drwiące. Trząśł nim dreszcz wściekłości. Mógł znieść wszystko prócz drwiny. Śmieli drwić z niego — mówił sam do siebie wędrując skwarnym popołudniem ku Anatot — śmieli drwić z Pańskich przepowiedni... Zaciśkał pięści. Z przydrożnego drzewa wyłamał sobie tęga gałąź na kij i smagał nim po koronach przydrożnych kwiatów. Ale kiedy doszedł do pieczary, wściekłość przerodziła się w żal. Padł na twarz i począł łkać. Rozkrzyżowawszy ręce ostatnim gestem ginącego Jozjasza modlił się:

— Dlaczego, Panie? Dlaczego nie dałeś mi zrozumieć należycie Twoich słów? Dlaczego ta klęska? Czy to ja jestem jej winien? Powiedz!... Wszak widzisz, jacy oni są mali, nędzni, skłonni do zrad i odstępstwa. Co z nimi będzie, gdy nie stało twardej ręki Jozjasza? O, Panie, Panie — dlaczego pozwoliłeś bezbożnikom triumfować nad nami?

Ale nikt mu nie odpowiedział. Z rozpaczą począł krzyżeć:

— O, ja nieszczęsny! Przeklęty dzień, w którym się urodziłem, przeklęty dzień, w którym poczęła mnie matka moja... Dlaczego mi nie chcesz odpowiedzieć, Panie, Panie!?

Lecz jaskinia milczała. Noc, która zstąpiła na Anatot była głucha i marta. Gdzieś koło północy Jeremiasz dźwignął się z ziemi. W głowie miał zamęt, czarne plamy wirowały mu przed oczyma. Zataczając się błędnie, wyszedł przed jaskinię. Miasteczko spało w dole, żadne już światło nie płonęło w małych, wysrebrzonych blaskiem gwiazd domkach. Oparty o skałę prorok długo patrzył w dół. Przypominał sobie tamte dni żarliwych skarg ciała. Wtedy to on odszedł od ludzi, on wybrał samotność. Ale dziś ludzie odeszli od niego. Wtedy każdego dnia, każdej nocy mógł wrócić. Wystarczyło zawołać, a otworzyliby mu drzwi. Tyle ramion przyjęłoby go od razu. Żeby tylko zechciał. A dziś?...

Gniewnie zbiegł w dolinę. Spiesznie szedł ku zabudowaniom. Za chwilę był już między domami. Serce biło mu mocno, dławiąco. Psy czekały. Pędkiem krokiem przebiegł przez miasteczko. Żadnego głosu ludzkiego! Wszyscy spali, wszyscy przytuleni jedni do drugich, nie samotni, a jemu obojętni lub wrody. Zawrócił. Jeszcze raz szedł przez wieś. Tym razem wolno, od muru do muru. Psy złościły się. Wreszcie jakaś biało ubrana postać ukazała się na dachu.

— Kto tam? — zawołał cicho niespokojny kobiecy głos.

Jeremiasz zatrzymał się. Od razu się zatrzymał.

— To ja... — rzucił.

Poznano go.

— To ty, Jeremiaszu? Czy czego szukasz?

— Niczego.

— Więc czemu nas budzisz?

Stała nad nim, pochylona w dół. Widział jej bose stopy oparte o brzeg tarasu. Miał ochotę zawołać: „Zejdź! Chodź ze mną! Potrzebny mi jest człowiek, by ukoić gorączkę nie ciała mego, ale ducha.” Ale zamiast tego powiedział gniewnie:

— Nie budzę was. Śpij. Wracaj do boku męża i śpij!

Głos z góry zabrzmiał żałośnie:

— Mąż mój zabity przez Egipcjan. To ty kazałeś mu iść i walczyć z nimi. A teraz naigrawasz się ze mnie i każesz mi kłaść się spać, gdy jego nie ma, a mnie żre tęsknota i pustka... Spać nie daje... Teraz się naigrawasz... — słowa kobiety rozplynęły się w łkaniu.

Jeremiasz powłókł się dalej. Odeszła go ochota do spotkań z ludźmi. Ciężko postępował ścieżką w górę. Przed skałą osunął się na ziemię. Siadł opierając czoło na kolanach. Świt, który rozbłysnął spoza Gór Ammonickich, zastał go w tej samej pozycji. Promienie słońca uderzyły o skałę nad nim, Jeremiasz nie ruszył się jednak. Dołem, drogą wiodącą od Jerozolimy do Jerycho ciągnąc poczęli ludzie; szły juczne osły, wielbłądy i konie, w powietrzu brzęczały głosy rozmawiających. Jeremiasz trwał nieporuszony. Przyszło południe, nielitościwie skwarne południe bez cienia. Prorok nie ruszył się z miejsca. Przepalił się żar południa, ludzie szli w pole, słychać było beczenie owiec, krzyki dzieci, nawoływanie starszych.

Zwolna słońce przewaliło się poza płaskowyż judejski. Jeremiasz ciągle siedział w tej samej pozycji. Nie drgnął, gdy człowiek jakiś ukazał się na ścieżce poniżej pieczary i podpierając się kijem, spiesznie szedł w górę. Nie podniósł głowy, gdy tamten stanął przed nim, ocierając pot z czoła. Nie odpowiedział, gdy przybyły powitał go grzecznym słowem.

Dopiero kiedy mężczyzna począł szarpać go za ramię, wolno podniósł głowę. Tamten krzyczał:

— Obudź się, Jeremiaszu, król cię wzywa do Sella!

Niechętnie potrząsnął głową. Słudze wydało się, że prorok nie usłyszał jego słów. Krzyknął głośniejsze:

— Czy słyszysz mnie, Jeremiaszu? Król cię woła!

Prorok zamiast odpowiedzi chwycił natręta za ramię. Żelaznymi palcami ścisnął jego rękę.

— Aj! Co robisz?! — wrzasnął dworak. — Boli! Puść moją rękę! Czego chcesz ode mnie!?

Nie puścił. Utkwił gniewny wzrok w przerażonych oczach przybyłego:

— Po coś tu przyszedł?

— Puść! — biadolił dworak przestępując z nogi na nogę. — Puść! To Joachaz kazał mi przyjść... Kazał tobie powiedzieć, że cię wzywa...

— Po co? — pytał go zimno.

Przybyły przykucnął obok proroka. Mówił teraz słodko i pokornie:

— Puść, Jeremiaszu, proszę cię... Puść... Powiem ci wszystko... tylko puść...

Potrząsnął nieustępliwie głową.

— Mów! — naciskał.

Tamten, popiskując jak skrzywdzony szczeniak, podjął:

— Joachaz chce, abyś przyszedł... bo faraon przysłał posła... Kaze jemu i Eliakimowi przybyć do siebie... Joachaz chce, byś mu powiedział...

Odepchnął dworaka.

— Powiedz mu — rzucił — że nie przyjdę!

Przybyły trzymał się obecnie z dala. Głosem, w którym była i złość, i lęk, pytał:

— Dlaczego nie chcesz przyjść?

— Joachaz wie dobrze, co ma robić! Niech sam sobie radzi!

Znowu znieruchomiał w tej samej pozycji, w jakiej się znajdował przed przyjściem posła. Dworak niepewnie drapał się w głowę. Mruczał sam do siebie: „Tak... a co ja jemu powiem...?” Znowu rzekł prosząco:

— Chodź, Jeremiaszu, wspomóż w kłopotcie...

Prorok milczał. Zdawał się być nieobecny myślami. Dworak chodził fra-

sobliwie przed pieczarą, ale zawsze tak daleko, by go nie mogły uchwycić dłonie Jeremiasza. Jeszcze raz zatrzymał się.

— No, chodź... — powiedział, nie wierząc sam, że pociągnie tym powiedzeniem proroka. Znowu podrapał się w głowę. — Eee... — bąknął — nie chcesz iść... Nie chcesz poratować syna Jozjasza... eee...

Wolno zabierał się do odejścia. Będąc już na ścieżce zatrzymał się i popatrzył. Jeremiasz siedział nieruchomy jak przedtem, ale w jego oczach zapalił się jakiś przyjaźniejszy błysk. Dworak zawrócił. Uśmiechnął się przymilnie.

— Chodź!

Nieoczekiwanie olbrzymi nabi powstał. Powiedział krótko:

— Idę.

Joachaz wyszedł mu naprzeciw. Ten krótki czas panowania zmienił grubego księcia. Był ubrany w płaszcz Jozjasza, nieco dla niego za krótki, ale za to wspaniały. Na grubych palcach miał pierścienie, na czole turban z kosztownej, przetkanej srebrną nicią materii. Ale jego twarz wyrażała zakłopotanie.

— Witaj, Jeremiaszu — powitał grzecznie proroka.

Z szacunkiem położył mu dłoń na ramię. Szli obok siebie szerokim korytarzem w stronę sali tronowej, z której przez zamknięte drzwi dochodził gwar i krzyki. Joachaz powstrzymał Jeremiasza.

— Nie śpiesz się tak, rabbi... — sapał. — Oni się tam zebrali...

— Co za oni?

— No, Eliakim, jego rycerze, jego ludzie, wieszczkowie... — Gruby król był spocony. Wsunął dłoń za kuttone i dotykał oślizłych piersi. — Wiesz już pewnie — zaczął — że faraon nie pociągnął na pustynię. Stoi obozem w Riblah... Kazał tam przybyć mnie i Eliakimowi... Dlaczego Eliakimowi? Powiedz... — niespokojnie spojrzał na proroka, ale Jeremiasz nic nie odrzekł.

Król znowu pogładził się po spotniałej piersi. Postękiwał i pociągał nosem. Rzekł żałośnie:

— Powiedz... Co ja mam robić? No co? Przecież... — zaciął się, ale ciągnął dalej: — przecież to ty zrobiłeś mnie królem...

Prorok rzucił twardo i bezwzględnie:

— Nie ma pokoju z Egiptem!

Joachaz mocniej pociągnął nos.

— No... — bąknął — tak... ale... to będzie jak z ojcem... A ten bydlak Eliakim, żeby go Pan nawiedził trądem, gotów pójść do faraona... I co wtedy?

Prorok nieustępliwie powtórzył:

— Nie ma pokoju z Egiptem! Nigdy nie może być pokoju z Egiptem!

Poszedł naprzód. Strażnicy otworzyli drzwi. Król i prorok weszli do zapchanej ludźmi sali. Jeremiasz zobaczył w pierwszym szeregu Eliakima. Otaczała go grupa młodych rycerzy, którzy coś szeptali wskazując Jeremiasza wzrokiem. Joachaz podszedł do tronu i siadł na nim owijając się płaszczem. Nie umiał ukryć niepokoju. Niecierpliwym ruchem kolana poprawił fałdy płaszcza, grubą dłoń wyciągnął w stronę Jeremiasza.

— Słuchajcie — rzekł. — Wezwałem proroka Jeremiasza, by nam powiedział, co Pan mówi o poselstwie faraona. Zamilczcie i nadstawcie uszu. Mów, Jeremiaszu.

Zebrani zaszurali nogami i zamarli w bezruchu. Dziesiątki oczu wpatrywało się w proroka. Ten zaś wolno wyprostował się, rozpostarł ramiona, wyciągnął je mocno i wodząc wzrokiem po twarzach stojących przed nim ludzi począł mówić.

— Pytacie się jak dzieci. Pan nie odmienia swoich słów. Powiedział, iż nie ma pokoju między ziemią Judy a ziemią krokodyla — i pokoju być nie może! Co więcej mam wam powiedzieć? Wiecie już wszystko.

Chwilę milczano. Potem ktoś z tłumu powiedział:

— Lecz jeśli rozgniewa się faraon i tu przyjdzie?

Odrzucił gniewnie:

— Mury Jerozolimy są silne!

Zapytano go znowu:

— Któż nam pośpieszy z pomocą?

Syknął:

— Przeklęty, kto w człowieku położył swą nadzieję!

Znowu zapadła cisza; słychać było tylko szepty w otoczeniu księcia Eliakima. Potem sam Eliakim podniósł rękę na znak, że chce mówić:

— Mów — skinął głową Joachaz.

— Pozwól, bracie — w głosie Eliakima brzmiała źle ukryta złość — aby i inni prorocy powiedzieli, co myślą — szerokim gestem wskazał na stojących pod ścianą wieszczków. — Pan nie tylko do Jeremiasza mówi...

— Słusznie — potwierdzili ludzie otaczający księcia.

Joachaz nie od razu powziął decyzję. Małe jego oczka błysnęły nieufnie spoza tłustych policzków. Kłopotliwie wygładzał dłonią swój płaszcz i podciągał go w górę, odkrywając grube białe łydki. Ci wieszczkowie niepokojili go. Obawiał się, iż trzymają stronę jego brata. Rozwahał, co mogą teraz powiedzieć. Po długim dopiero wahaniu skinął przyzwalająco ręką.

— Niech będzie, jak chcesz, bracie — rzekł. Zwrócił głowę do pierwszego z brzegu proroka Uriasza: — Mów więc ty pierwszy, synu Semeja.

Uriasz z Kariatiarim był mężczyzną niewielkiego wzrostu z dużą czarną brodą. Zanim przemówił przez jego usta Głos Pański, miał opinię człowieka niezwykle nieśmiałego i bojaźliwego. Gdy pierwszy raz przyszło mu mówić do ludu nad sadzawką Siloe, przemawiał lękliwie, krztusząc się własnymi słowami. Bał się przemawiać, bał się słów Pańskich. W jego oczach, łzawych i czarnych, czaiła się trwoga. Usłyszawszy wezwanie Joachaza zdrzął, zbladł, ręce poczęły mu dygotać. Usiłował zapanować nad sobą, lecz potem znowu dał się ponieść lękowi. Moc ducha walczyła w nim ze słabością ciała. Zakrył twarz rękoma i czas jakiś stał tak w kręgu ludzi jak skarcony, gorzko płaczący chłopiec. Wreszcie odjął dłonie od twarzy. Był wciąż blady, usta mu drżały. Kilkakrotnie zająknął się, zanim wreszcie wyszeptał:

— Pan mówi: Słuchajcie słów Jeremiasza i czyńcie, jak on wam czynić każe. Już bowiem siekiera podniesiona i dzień pomsty bliski. Strzeżcie się grzechów dni dzieciństwa waszego, by nie stało się, jako Pan rzeki Micheaszowi z Morasty...

Urwał i zamilkł, drżąc na całym ciele.

Kilka głosów zapytało niespokojnie:

— Co Pan rzekł Micheaszowi, Uriaszu?

Ale te głosy zagłuszyło wołanie proroka Fassura. Ten nagle podniósł

ręce nad głową, oczy stanęły mu w slup, na ustach pokazała się piana. Przez chwilę krzyczał ogłuszająco:

— Aaa, Panie, aaa!

Potem zamilkł. Obu dłońmi chwycił za szatę na piersi, targnął nią, jakby ją chciał z siebie zerwać. Jednym skokiem wypadł na środek sali. Począł mówić bardzo prędko:

— Oto mówi Pan: „Nie będzie miecza ani głodu w ziemi Judy, bylebyście wojen niepotrzebnych nie wiedli. Dam wam pokój i bogate zbiory, tłuste bydło i soczyste grona, pełne oliwki i płodne żony. Nie zrobi wam nic faraon, jeśli go uprosicie dobrym słowem. Tak wam powiedziałem, Pan wasz”. Tak ja wam powtarzam, prorok Fassur...

Szmer zadowolenia przeleciał nad zebranymi. Eliakim uśmiechnął się triumfująco. Lecz w tej chwili rozległ się groźny głos Jeremiasza:

— Milcz! Milcz, kłamco!

Fassur odskoczył między proroków, ale z ich szeregu krzyknął wyciągając przed siebie obie pięści:

— Czemu mam milczeć? Przez moje usta mówi Pan! Ja nie jestem fałszywym wieszczkiem.

— Milcz! — Jeremiasz tupnął gniewnie nogą. — Jesteś kłamcą! Nie wiercie mu! Wieści kłamliwie.

— Sam wieścisz kłamliwie! Fałszywy wieszczek! Kto rzekł, że zwyciężymy faraona?

Jeremiasz nie odpowiedział. W ciszy, jaka się zrobiła, parę głosów powtórzyło twardo:

— Kto powiedział, że zwyciężymy faraona?

— Ścierwa bezwstydne! — syknął Jeremiasz. Oczy jego sypały iskry, ale nie powiedział już nic więcej. Ciężko łapał przez chwilę oddech. Patrzył groźnie w twarze stojących przed nim ludzi. Potem wolno zwrócił się ku Joachazowi: — Chciałeś usłyszeć moje słowa — rzekł. — Usłyszałeś je. Ale nie będzie razem prawda i kłamstwo. Chcesz słuchać tego — wskazał palcem na Fassura — słuchaj go. Idź błagać faraona o litość! Ja odchodzę.

Dumnie odwrócił się od zebranych. Z tłumu ktoś krzyknął:

— Fałszywy wieszczek! Przeląkł się!

— Przeląkł się! — zaśmiali się inni.

— Ucieka!

— Patrzenie, ucieka!

Rozległ się gwizd. Jeremiasz, który był już w progu sali, odwrócił się nagle. Gwizd zaraz ucichł, ludzie zamarli. Prorok szyderczo wydał wargi. Popatrzył gniewnie w oczy Eliakima, a ten spuścił wzrok. Potem spojrzął na Joachaza. Gruby król siedział na tronie w pozycji człowieka, który nie wie, jak ma postąpić.

— I cóż — powiedział doń. — Zrobiłem cię królem. Ale ty wolisz łaskę faraona niż pomoc Pańską... Poniesiesz karę!

Cofnął się tyłem do drzwi, zmuszając wzrokiem ludzi do milczenia. Potem szybko wyszedł. Nie minął jeszcze bramy pałacu, gdy doszły jego uszu krzyki i gwizdy. Niecierpliwie szedł przez podwórzec świątyni ku bramie Beniamina. Było słonecznie, lecz szaro: słońce przebijało się leniwie przez białe opar. Spiekota wisiała w powietrzu. Ludzi na ogromnym podwórku nie było widać. Jeremiaszowi zdawało się, że jest sam. Ale kiedy znalazł się w północnej części wyżniego podwórza, zobaczył nagle pod murem coś, co wprawdzie nie było człowiekiem, ale co miało niepokojący ludzki kształt. Szybko skierował w tamtą stronę swoje kroki. Zbliżywszy się — oniemiał. Pod murem znajdował się wyrzeźbiony w kamieniu posąg: brodaty niezgrabny Baal siedział na tronie opierając ręce na głowach dwóch baranów. Czterorożny ołtarz kadzenia stał przed posągiem. Jeremiasz z okrzykiem zgrozy podniósł ręce w górę i potargał włosy. Ogarnął go gniew. Z kijem w rękę rzucił się na posąg. Zwaliłby go na ziemię, gdyby nagle spod muru nie podniosło się trzech uzbrojonych ludzi. Trzymając w rękę włócznie, zasłonili sobą bożka. Jeden z nich krzyknął do Jeremiasza:

— Czego tu chcesz? Uciekaj!

— Ja? Czego ja tu chcę? — Jeremiasz odepchnął strażnika. Ale wtedy otrzymał uderzenie drzewcem włóczni w głowę. Zamroczyło mu się w oczach, zachwiał się na nogach. Jeszcze raz uderzony w ramię cofnął się. Poczł krew płynącą po policzku. Strażnicy klęli i wygrażali mu włóczniami. Nie panując nad sobą, krzyknął:

— Przeklęci bądźcie! Przeklęte pokolenie!

Tamci wybuchnęli szyderczym śmiechem. Ale on przestraszył się własnych słów. Stał osłupiały, z dłońmi przy ustach, z wzrokiem wbitym w ohydny Baala. Poczłli rzucać w proroka kamieniami. Oprzytomniał, po-

wlókł się ciężko w dół ku bramie. Słońce świeciło wciąż tak samo jaskrawo, a przecież mgliście. Szarzielony grzbiet Góry Oliwnej wynurzał się znad muru. Jeremiasz znowu zatrzymał się. Wąski prosty słup dymu wzbijał się ponad drzewa. A więc i tam już odprowadzano bałwochwalcze modły. Uczuł ból, jakby mu ktoś ścisnął piersi i boleśnie przebił je cienką strzałą. Kamienną ścieżką zaczął schodzić w dolinę Cedronu. Gęste krzewy porastały zboczne, ale dno doliny było jałowe, zawałone rumowiskami kamieni, pomiędzy którymi szumiał czysty, rwący potok. Jeremiasz położył się na głazach i zanurzył twarz w chłodną wodę.

Ale ukojenia nie znalazł. Wyciągnął się na ziemi, oparł głowę o kamień. Nad nim w morzu zwartej zieleni wznosiło się zbocze przechodzące wyżej w nagie skały i w mur świątyni. Nad murem na tle białawego, roziskrzonego nieba widać było dach Przybytku i pylony. Całość wyglądała majestatycznie. Z nagłą rozpaczą przypomniał sobie o swym przekleństwie. Dźwignął się na kolana, podniósł ręce nad głową i jęcząc zaczął mówić:

— Nie tak, Panie, nie tak... Miej litość...

Ale modlitwa zastygła mu na ustach. Za dużo dziś doznał krzywd. Prośba przeradzała się w skargę:

— Czemu źli mają przewagę nade mną, Panie? Wszak nie uczyniłem nic złego. Naśmiewają się ze mnie i biją mnie dla słów Twoich... Tylko dla słów Twoich, o Panie. Chcą, abym się omylił, by mnie mogli podeptać...

Powtarzał to długo, aż do zupełnego wyczerpania. Potem ciężko osunął się na żwir. Był ostatecznie złamany. Pragnął tylko jednego: spać, spać, zapomnieć o wszystkim. Resztką sił podniósł głowę, by rozejrzeć się za jakąś kępą trawy, kiedy nagle uświadomił sobie, że słońce straciło swój jaskrawy, drażniący oczy blask, zaś szum wody w potoku ucichł. Niespokojnie zerwał się na nogi. Świat, który go otaczał, zamieniał się w ciemne, zamazane tło. Wokół Jeremiasza robiła się coraz bardziej przejmująca cisza. Odruchowo schylił się do stóp i zzuł sandały. Zdawało mu się, że słyszy cichy szum podobny łopotaniu skrzydeł.

— Owom ja... — szepnął. — Mów, Panie, słucham...

Ale słuchał tylko chwilę. Twarz wykrzywiła mu się, okrzyk przerażenia wydarł się z jego ust, dłoń wkręciła się we włosy niby szpon drapieżnego ptaka w sierść zająca. Jakimś nieswoim głosem, dobytym gdzieś z głębi i bólem tętniącym, krzyknął:

— Nie, Panie! Nie! Nie!

Począł biec na przełaj pomiędzy krzewami; dopadł drogi — biegł, dysząc ciężko, jej skrajem. Potknął się. Upadł, ale zaraz zerwał się, jakby go kto ścigał. Rzęził, a mimo to nie ustawał. W końcu osłabł zupełnie; szedł już tylko pośpiesznie. Minał Anatot, nie zbaczając do swej jaskini. Wędrował dalej na północ. Nie myślał, gdzie idzie. Wiedział tylko, że nie może słuchać słów, które zostały doń wyrzeczone, że nie będzie ich słuchał i nie będzie ich głosił. Brzemień przekraczało jego siły.

— Wybierz sobie, Panie, innego proroka — szeptał półprzytomnie — a mnie daj odejść... Nie chcę niczego innego... Tylko daj milczeć...

Późnym wieczorem dotarł do Jerycha. Minał miasto na piaszczystej wydmie. Szedł dalej. Nocą trafił na szałas pasterzy. Był wyczerpany. Już dalej iść nie mógł. Poprosił o schronienie, rzucił się na posłanie z suchych traw. Zasnął mocno. Ale o świcie zbudził go Głos, który znowu w nim mówił przerażające słowa. Zerwał się od razu i śpiesznie, podpierając się kijem, powędrował dalej na północ. Znowu uciekał przed Głosem, uciekał rozpaczliwie i zawzięcie. Na trzeci dzień znalazł się nad jeziorem Kinnereth. Siedząc dyszał chrapliwie, oparty o palmę. Błędnym wzrokiem patrzył na jaszczurkę. Jej szyja pulsowała równie prędko jak krew w jego skroniach. Upał zdawał się rozżarzać powietrze. Od białego Hermonu, podobnego rozplywającemu się obłokowi, nie dochodził żaden chłodniejszy powiew. Pachniała trawa i kwiaty. Na oczy spadała ociążałość.

Ale nagle uświadomił sobie, że dźwięki i barwy otaczającego go świata gasną. Był to bodziec, który zmusił go do nagłego zerwania się na nogi. Jaszczurka przerażona uciekła pomiędzy głązy. Chwycił w rękę kij. Nie zważając na skwar, zmęczenie, zapominając o swych zbolałych, okrwawionych nogach począł wędrować spiesznie brzegiem jeziora.

VII

Necho siedział na tronie w Riblah otoczony całym dworem. Ogromny Herutataf stał za nim, opierając jedną ze swych wielkich dłoni na poręczy tronu. Nie był już zgarbiony jak dawniej: wyprostował się, wyolbrzymiał. Na głowie miał wielką mitrę arcykapłana Memfisu. Odziedziczył ją po Ana-

mie, który zmarł od zgniętej gorączki w parę tygodni po bitwie pod Megiddo. W ten sposób młody kapłan bogini Neit uzyskał najwyższe stanowisko w państwie, stanowisko, którego gorąco pożądał. Był poza tym pierwszym doradcą faraona. Nechao coraz uleglej poddawał się jego radom. Sam ostatnio stracił humor. Tęsknił do Egiptu, do Nitokris, do swojej floty. Straty jednak poniesione w walce ze sprzymierzonymi nie pozwalały mu przed zwerbowaniem nowych wojsk zaciężnych zapuszczać się w pustynię.

Przed faraonem stało w tej chwili dwóch wystraszonych ludzi. Przyjechali śpiesznie z Jerozolimy. Joachaz stał z prawa, spotniały, na dygoczących nogach. Ciężki płaszcz królewski zdobił mu barki. Droгоценna czapka, na której osadzona była korona, przekrzywiła się na jego głowie. Z lewa stał Eliakim, błydy, o trzęsących się ustach i na szeroko rozstawionych nogach. Raz po raz niespokojnie targał dłonią kraj płaszcza. Mówili jednocześnie, przerywając sobie wzajem:

— Świątobliwy faraonie, bogom równy... — pędkiem przemawiał Joachaz, mlaskając co chwila językiem, bo mu zasychało w gardle — najświętobliwszy... Nie słuchaj kłamstw tej świni bezwstydnego — wskazał ręką na brata. — Wcale nie chciałem walczyć z tobą... Jakżebyś śmiał. Zwyciężyłeś mego ojca... Jesteś potężny, a dla zwyciężonych bezlitosny... To nieprawda, co on mówi... Klnę się...

— Łże, łże, dostojny synu słońca... — charczał Eliakim. — Odebrał mi tron... Powiedział ludowi, że z tobą nie może być pokoju...

— Patrz, faraonie, jak kłamie ten wieprz...

— To on kłamie, synu gwiazd i miesiąca! On kłamie! Złączył się z prorokiem Jeremiaszem, by mówić przeciwko tobie...

Nechao, który ani słowem dotychczas nie przerywał mówiącym, uderzył nagle dłonią o oparcie tronu. Obaj ścichli. Tłumacz przełożył pytanie faraona:

— Gdzie jest wieszczek Jeremiasz? Czy to ten, który waszego ojca podjudził do walki ze mną?

— Ten sam! — wrzasnęli obaj. Przekrzykując się wzajem poczęli mówić, że Jeremiasz gdzieś zniknął. Pewno uciekł. Przebywał dotychczas zawsze w pieczarze w Anatot, o cztery zaledwie kiwraty od Jerozolimy. Ale kiedy ostatnio po niego posłali, okazało się, że Jeremiasza nie ma. Strażnicy nie

znaleźli nikogo w pieczarze. Musiał ją opuścić, i to już od dawna — o tym mówią ślady.

— Nie karz mnie, panie, za tego szaleńca! — rozzwierającym głosem zakrzyczał Joachaz. — To on namawiał mego ojca. Mnie także mówił, abym walczył z tobą, o świątobliwy! Nie karz mnie! Będę twoim sługą najwierniejszym! Hołd ci złożę i trybut zapłacę...

— Nie wierz mu, wielki byku. Zdradzi cię! — Eliakim wrzeszczał, ile sił w gardle. — Jest podstępny jak lis i zdradliwy jak szakał! Zrzuć go, panie, z tronu mego ojca, a będziesz miał w Judzie sojuszników najwierniejszych...

— Ach, psie nędzny, bodaj cię zabito! Wieprzu parszywy...

Nechoa dał znak ręką, aby umilkli, a oni, choć bliscy rzucenia się na siebie, od razu ścichli i tylko spoglądali na siebie rozgorzałymi oczyma. Faraon milczał i odchyliwszy głowę do tyłu, patrzył spod półprzymkniętych powiek na płótno namiotu poruszające się pod podmuchem wiatru. Uporczywie myślał o Nitokris. Przypomniawszy sobie jej smukłe, lekko smagławe ciało, delikatny nos i ciężkie czerwone usta. Gdy byli dziećmi, nie zwracał na nią uwagi, ledwo pamiętał, że ma być jego żoną. Aż raz pewnego zobaczył ją na brzegu zielonego jeziora w ogrodzie pałacowym w Memfis. Stojąc po kolana w wodzie, rwała białe kwiaty lotosu. Podniosła na niego wzrok, jemu zaś zdało się, że widzi po raz pierwszy jej wielkie ciemne oczy, błyszczące i nie unikające jego oczu. Zapytał: „Chcesz, pomogę ci?” Nie czekając na jej odpowiedź wszedł także w wodę. Śmiało ruszył tam, gdzie stawek był głębszy. Wyciągnął rękę po kwiaty. Czuł, że ona nie spuszcza zeń wzroku. Kiedy odwrócił się, ponad mokrym naręczem białego kwiecica zobaczył utkwione w siebie źrenice. „Cóż tak patrzysz na mnie?” — zapytał. Głosem lekko drżącym, ale pewnym i tak pełnym szczerości, jak ta zielona woda pełna była nitek słońca, odparła: „Jesteś najpiękniejszym mężczyzną, jakiego znam...”

Od tamtego dnia nigdy nie stracił świadomości, że kocha go bezgranicznie. Cierpliwie wybierała z jego serca każdą troskę, a jeżeli nie mogła jej usunąć, dzieliła ją z nim. Nie pojmował już życia bez tej siostry-żony. Na jej miłość nie mógł odpowiedzieć czymś innym. Spełniał zawsze wszystkie jej prośby i żądania. To była pierwsza prośba, której nie spełnił.

Znowu spojrzawszy na stojących przed nim ludzi. Poczuli wstręt. Brzydził się tłustym, zapoconym Joachazem, którego wargi drżały nie wypowiedzianymi słowami. Niemniej brzydził się małym, czarno zarośniętym Eliakimem,

którego głęboko wciśnięte w czaszkę oczy rzucały ponury blask. Najchętniej kazałby Filopidasowi, wodzowi mory Spartan, by obu zabrał dla zabawy swoich żołnierzy. Ale Nitokris... Nie spełniona prośba siostry zatruwała mu pamięć. Niecierpliwie skinął ręką na tłumacza. Rzekł:

— Spytaj, którego z nich wyznaczył Jozjasz na swego następcę.

— Jego! — wrzasnął triumfalnie Joachaz, usłyszawszy pytanie, i wskazał palcem na brata. — Jego!

— Więc dlaczego Joachaza wybrano królem? — pytał dalej faraon.

— Obiecał ludowi wojnę z tobą, synu słońca! — krzyknął Eliakim.

— Nie! Nie słuchaj tej jaszczurki! Obiecałem właśnie ludowi pokój...

— Bezczelny łgarzu!

Nechao gniewnie tupnął nogą.

— Cicho! Niech milczą! Powiedz im, że mają być cicho, bo ich każę wbić na pal.

Był gniewny. Znowu wsparł się na poręczy tronu. Podniósł głowę i zobaczył koło siebie twarz Herutatafa, uśmiechniętą pełnym usłużności uśmiechem. Nim także się brzydził: ten prostak zbyt chciwie sięgał po zaszczyty, zbyt natrętnie kręcił się koło faraona. Ale z drugiej strony czuł, że niemiły kapłan jest jednak dla niego niezbędnym pomocnikiem. Komuż innemu mógłby zaufać? Tym Grekom, dzikusom i brutalom, którzy codziennie stawiali nowe żądania i o których nigdy nie wiedział, czy nie przejdą do lepiej płacącego przeciwnika?

— Co mi radzisz? — szepnął.

Twarz Herutatafa rozplynęła się w uśmiechu.

— O, Horusie — odszepnął — ty sam wiesz najlepiej. Lecz jeśli chcesz usłyszeć zdanie twego sługi, to ci powiem: odrzuć Joachaza. To trzcina. Na tym człowieku nikt się nie oprze. Ten drugi — to łotr. Ale jeśli go pilnować będziemy, powinien nam być wierny...

— Masz słuszność.

Nechao pełen powagi wyprostował się na tronie. Utkwił wzrok w oczach Eliakima, ten zaś począł przestępować niespokojnie z nogi na nogę. Faraon podniósł do góry rękę z berłem.

— Słuchajcie — rzekł. — Oto tak zdecydowałem: Jozjasz był wielkim królem. Żałuję, że poszedł walczyć przeciwko mnie. Jego wola ma być usza-

nowana. Ty, Eliakimie — wskazał berłem na księcia — obejmiesz tron... — Zobaczył błysk triumfu w czarnych oczach syna Zebidy i okrutny uśmiech, który pojawił się na jego wargach. — Bądź królem. I zem to ja ciebie zrobił królem, daję ci nowe imię: Joakim. Ty zaś — wpatrzył się gniewnie w oczy Joachaza półprzykryte tłustymi policzkami — ty zaś, żeś bezprawnie tron brata objął, pójdiesz w moją niewolę. Słyszysz? — rozkoszował się przeżeniem króla. — Słyszysz? W okowy każę cię zakuć. Koło w wargę każę ci wbić i na łańcuchu pójdiesz za mną...

— Łaski! — jęknął Joachaz. — Synu słońca, Horusie, świętobliwy... Co chcesz, zrobię, tylko łaski... Tłumacz, błagam cię! — Padł na ziemię pod nogi Fenicjanina, który pełnił rolę tłumacza, przywarł ustami do jego stóp. — Błagam cię, tłumacz, prosz najświętszego faraona... Zrobię wszystko, co zechce... Ozyrysa postawię w świątyni... Izydę... Tylko prosz. Masz, bierz mój płaszcz... pas... co chcesz, tylko prosz, tłumacz, powtarzaj moje słowa: łaski, o wielki faraonie, łaski...

Ale tłumacz stał nieporuszony, milczący. Nie próbował mówić, widząc, że faraon jest gniewny. Joachaz jęczał coraz rozpaczliwiej. W końcu Nechao dał znak ręką.

— Zabierzcie to ścierwo! W dyby i na łańcuch!

Czterech strażników rzuciło się na Joachaza. Nie chciał wstać, uczepił się rozpaczliwie nóg faraona. Błagał, prosił, zanosił się łkaniem. Żołnierze oderwali go od nóg władcy brutalnie jak psa. Ale on wydarł im się z rąk i znowu przywarł do stóp Nechao. Wtedy poczęli go bić, kopać, szarpać. Wśród łomotu ciosów słyhać było jego głos:

— Zostawcie... Nie bijcie... Pójdę... pójdę...

Wystarczyło jednak, że go na chwilę zostawili, by jak szczur wysłiznął się spomiędzy ich nóg i począł czołgać się ku tronowi. Wył:

— Łaski! Łaski, święty faraonie...

Schwymano go za nogi, wleczono twarzą w dół. Ale on czepiał się palcami ziemi, łapał za nogi stojących ludzi. Nie przestawał krzyczeć:

— Łaski! Litości!

Wreszcie jeden z żołnierzy podniósł go za włosy. Dziko wrzeszczącego wyniesiono z namiotu. Jeszcze przez jakiś czas słyhać było spoza płótna rozpaczliwy skowyt.

Nechao zwrócił się do Eliakima:

— Widziałeś?

— Tak jest, synu gwiazd.

— Więc pamiętaj! Tak czynię z moimi wrogami. Gdybyś miał mnie zdradzić...

— Nigdy, o panie!

— Gdzie jest wieszczek Jeremiasz?

— Nie wiem, o świątobliwy. Uciekł.

Nechoa gniewnie zmarszczył brwi.

— Ten człowiek jest winien wszystkich waszych szaleństw. Gdyby nie on, wasz ojciec nie zginąłby w walce ze mną. Poza tym zabrał mi... — urwał nagle. Rzucił: — Masz go schwytać i mnie odesłać. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem każde twoje słowo, czcigodny.

— Więc słuchaj: przyjedziesz tu znowu. Ale już jako król, z orszakiem, z darami. Powiem ci wtedy, jaki okup będziesz musiał opłacić. A teraz...

Nechoa wstał, Eliakim padł na twarz. Faraon przeszedł obok niego, trącając go pogardliwie nogą. Inni też idąc tręcali go niby nieumyślnie. Leżąc, boleśnie zgrzytał zębami. Z zaciekłością tylko powtarzał sobie: Pójdą stąd, wiecznie tu siedzieć nie będą, a ja jestem królem... Orszak królewski przeszedł za zasłonę. Eliakim dźwignął się na nogi. Czuł się jak zbity. Nie mógł zapomnieć o wywleczonym z namiotu Joachazie. Nienawidził go, a przecież pamięć tego widoku przejmowała go uczuciem zgrozy i świadomością pohańbienia.

Chciał już wyjść, kiedy zobaczył, że o krok od niego stoi Herutataf, trzymając w ręku koronę, która spadła z turbanu Joachaza. Eliakim zrozumiał, że arcykapłan chce z nim mówić. Uśmiechnął się przymilnie. Tamten stał z pogardliwie przymrużonymi oczyma. Powiedział po hebrajsku:

— Jesteś więc, Joakimie, królem...

— Tak... — odparł Eliakim i zachichotał nerwowo — tak... ha, ha, ha...

— Mnie zawdzięczasz, że zostałeś królem...

— O... jakże ci jestem wdzięczny... bardzo wdzięczny...

— A tutaj, widzisz, jest twoja korona. Pewno chcesz ją mieć. To przecież korona Salomona...

— Tak, tak... To korona pradziada Salomona... Jesteś łaskawy.

— Masz ją więc. — Herutataf wyciągnął ku Eliakimowi swe wielkie dłonie.

Eliakim podszedł nieufnie, wciąż chichocząc i kołysząc się niepewnie na nogach. Ale arcykapłan włożył mu w ręce koronę łaskawym gestem.

— Teraz nic ci nie brakuje? Prawda?

— Prawda — odparł śmielej nieco Eliakim.

— A komu to zawdzięczasz?

— Tobie, Herutatafie.

— Nie mnie — rzekł arcykapłan. Podniósł palec w górę. — Bogini...

— Bogini? — zapytał zdumiony Eliakim otwierając usta. Herutataf uśmiechnął się tajemniczo.

— Bogini — powtórzył. — Tej, która będzie miała swój ołtarz u ciebie. Czy nie tak?

— Och, tak! — Eliakim zrozumiał od razu wszystko. Błysnęły mu oczy, a zęby ukazały się w szerokim uśmiechu. — Sto ołtarzy! Sto ołtarzy! Najlepsze ofiary! Najtłustsze bydło! Barany! Owce! Krowy! Dziewczęta! Jeśli trzeba, to dziewczęta! I dzieci!

Obaj wybuchnęli śmiechem: Eliakim hałaśliwym śmiechem ulgi, Herutataf podobnym do czkawki śmiechem zadowolenia. Kapłan lekko poklepał księcia po policzku. Bez słowa wyszedł za faraonem. Eliakim odsapnął. Strzepnął i obciągnął na sobie szaty. Starannie osadził na swym turbanie koronę. Rozejrzał się jeszcze raz po namiocie. Był sam i miał ochotę splunąć. Ale powstrzymał się. W duchu tylko wyszeptał przekleństwo. Swobodnym krokiem, kołysząc się na swych krzywych nogach, wyszedł przed namiot. Jaskrawy blask słońca uderzył go prosto w twarz. Na chwilę musiał zmrużyć oczy. Kiedy jego wzrok oswoił się z blaskiem, zobaczył tłum żołnierzy egipskich, libijskich, greckich otaczających namiot w pewnej od niego odległości. W tym tłumie stały poczty Joachaza i jego.

Judejczycy byli śmiertelnie wystraszeni. Widzieli przecież, jak z namiotu straż wywlokła ich króla. Otaczający ich Grecy śmieli się grubiańsko, twierdząc, że teraz do nich się wezmą. Czuli już śmierć blisko siebie. Teraz ze zdumieniem zobaczyli Eliakima wychodzącego wolno z namiotu, w koronie na głowie. Ci, z którymi przyjechał, wydali okrzyk radości. Byli to przedstawiciele młodzieży jerozolimskiej, która nigdy nie lubiła Joachaza. Natomiast ludzie z poczty króla spuścili pokornie głowy na znak, że uznają

nowego władcę. Eliakim stanął przed swoimi. Był pełen zadowolenia. Starannie wybierał wzrokiem wśród wiwatujących towarzyszy. Potem strzelił w palce.

— Hej, Elmadamie! — zawołał.

— Jestem, Eliakimie.

— Nie nazywam się już Eliakimem. Wielki faraon dał mi nowe imię: Jozakim. I królem jestem, wszak widzisz? Siadaj więc na konia i gnaj co tchu do Jerozolimy. Niech wszyscy wiedzą... Nie żałuj galopu...

Nie żałował. Kasztan, dar Michy, cwałował ostro, parskając tylko od czasu do czasu i wyrzucając silnie łbem. Kiedy pokrył się pianistym potem, Elmadam zeskoczył z jego grzbietu i począł prowadzić go stępą. W ten sposób wierzchowiec szybko odpoczął. Można było znowu nań wskoczyć i gnać ile sił w końskich nogach.

Kilka już miesięcy minęło, odkąd syn Hera przyjechał do swoich, a dotychczas nie było mowy o jeździe po Rut. Jak słusznie obawiał się Micha, Her był początkowo bardzo przeciwny temu małżeństwu. Uważał mieszkańców Megiddo nieomal za ludzi obcych, a w każdym razie nie wierzył w czystość ich wiary: Próżno Elmadam prosił, zaklinał i przekonywał, próżno prosiła jego matka. Her był nieubłagany.

Zrozpaczony Elmadam pojechał do Jerozolimy, by tam szukać dla siebie sprawiedliwości. Jeszcze poprzednio, służąc w świącie Jozjasza, zaprzyjaźnił się z Eliakimem. Tymczasem został królem nie Eliakim, ale znenawidzony przez młodych rycerzy Joachaz, wstrętna, tłusta ropucha, wróg wojny i spraw żołnierskich. Jego nie próbował nawet prosić. Nie wiedząc, co ma ze sobą robić, przyłączył się do grona młodzieży, która otaczała księcia Eliakima.

Z księciem rozmawiał na temat Rut kilkakrotnie. Eliakim radził mu czekać. „Nie śpiesz się — mówił kładąc po przyjacielsku rękę na ramieniu Elmadama — dziewczyna nie ucieknie. A jakby uciekała, zawsze ją dogonisz. Poczekaj. Ta purchawka, ten wór mięsa długo rządzić nie będzie. Znajdzie się na niego rada — przymrużał mściwie oko. — Dziada Amosa nożami zadźgali, choć trzymał się rogów ołtarza... Ha, ha, ha! — śmiał się i zacierał ręce. — I co? Wiadomo! Nawet Jeremiasz zapisał do księgi, że Amos był złym królem, a mój ojciec dobrym”...

Elmadama początkowo trochę przestraszyły te słowa. Ale szybko dał się przekonać. Sam zaczął powtarzać: „Po cóż ten wieprz ma nami rządzić?”

Eliakim wyraźnie namawiał ich do spisku. Do tego zresztą nie doszło. Faraon wyprawił posłów. Kazał Joachazowi i Eliakimowi stawić się przed sobą. Eliakim wyjechał pierwszy zaraz po zebraniu w pałacu. Zabrawszy ze sobą kilku najbliższych, jak Elmadam, gnał nie szczędząc koni ku obozowi Egipcjan. Warczał przez zęby: „Już ja pokażę temu szczurowi”! Ale Joachaz, dowiedziawszy się o wyjeździe brata, kazał pośpiesznie zaprząć najlepsze rumaki do bojowego wozu ojca i wymachując nad nimi batem popędził tak szybko, że znalazł się w Riblah tuż za pocztem Eliakima. Przed namiotem faraona stanęli równocześnie. Obrzucając się wyzwiskami biegli ramię w ramię ku namiotowi między szeregami Greków. Razem wpadli do środka, razem rzucili się na twarz, razem poczęli mówić do Nechao...

Prowadząc drżącego ze zmęczenia konia Elmadam myślał o Rut. Serce biło mu na myśl o wspaniałej odmianie losów. Eliakim był królem, a on jego przyjacielem. Cóż znaczyć teraz będzie opór ojca? Przywiezie sobie Rut, a sam król urządzi im wesele. Tęsknił za dziewczyną. Nie mógł wypłoszyć z pamięci wspomnienia jej oczu, dużych, czarnych, pełnych nie gasnącego ognia. Kochała go, nie potrafiła tego ukryć. Szukając w pamięci wyrazu jej twarzy natrafiał zawsze na uśmiech, z jakim powiedziała, że go kocha. W tym uśmiechu była bezbronność kobiety ufającej bezwzględnie kochanemu przez siebie mężczyźnie. Rut nie знаła granicy swego oddania. Była podobna do istoty pierwotnej, której obce są w równym stopniu wstyd i kokieteria. Mimo młodzieńczej niespostrzegawczości zdołał to zauważyć.

Ale myśl Elmadama przeskakiwała szybko od Rut do wiadomości, którą wiozł ze sobą. Spieszno mu było podzielić się nią z innymi. Potarłszy ręką bok konia i stwierdziwszy, że pot wysechł zbijając sierść w twarde, ostre klaki, wskoczył na grzbiet, zmuszając kasztana do nowego galopu. Kopyta stukwały po kamienistej drodze. Elmadam pochyliwszy się przyłożył twarz do ciepłej szyi zwierzęcia. Lubił czuć na swym ciele jego gryzącą sierść, nagle dreszcze i pulsującą równo krew.

Słońce zniżyło się już i spoza Gór Moabskich rzucało długie blaski, kiedy wyjechawszy z za zakrętu Elmadam zobaczył przed sobą Jerozolimę. Miasto leżało na wzgórzu masą skupionych domów, nad którymi wznosiła się świątynia i pałac. Droga wiodła teraz między czerwonawymi skałami, pośród których tu i tam wyrastały pojedyncze niskie, krępe dęby, smukłe drzewa figowe lub strzeliste palmy. Cienie leżały w poprzek drogi, wyciągnięte, wydłużone, obce kształtem drzewom, u których stóp się czołgały. Rzeński wieczorny powiew szeleścił liśćmi, rozwiewał czuby palm. Była to

pora, w której barwny i pełen ruchu krajobraz judejski zdaje się tężeć tracąc swe kontrasty, nasiąkając powagą złota i miedzi, coraz bardziej nieruchomy, coraz ciemniejszy w tonie, by za chwilę nagle zapaść się w mysią szarość wieczoru, utracić od razu wszystkie swe kolory i blaski.

Kasztan Elmadama był zmęczony, ale poparskiwał czując blisko ludzi. Ciężkie mury miasta wisiały tuż nad głową jadącego. Przed bramą Elmadam zobaczył tłum ludzi. Czekano wieści z Riblah. Na widok zbliżającego się rycerza podniósł się gwar i tumult. Oczekujący zbiegli ścieżką w dół. Elmadama otoczyło kilkudziesięciu krzyczących i gestykułujących mężczyzn. Z zamętu wyrywały się pytania:

— I co? I co? Przyjdzie do miasta? Czy jest łaskawy? Co powiedział królowi? No, no? Mów, Elmadamie! Mów!

— Sza! — nawoływali inni. — Sza! Cicho bądźcie! On nic nie może powiedzieć!

Zatrzymał konia. Był zadowolony widząc podniecenie otaczających go ludzi. Długi czas milczał czekając, aż się uspokoją. Przygotowywał efekt. Pchnął konia w tłum.

— Puście mnie! Spieszno mi do królowej Nohesty...

— Do królowej Nohesty? Co ty mówisz? Co z królem Joachazem?

— Król Joachaz w łańcuchach u faraona. Puście mnie!

— A księżę Eliakim? Co księżę Eliakim?

— Eliakim królem. No, puszczajcie...

Rozstąpiono się wreszcie. Elmadam mógł przejechać bramę. Prosto, nigdzie się nie zatrzymując i nie odpowiadając na dalsze pytania ludzi, pojechał na zamek. Tu oddał konia w ręce pachołków, każąc wytrzeć go starannie słomą, i poszedł lewym krążgankiem ku izbom zajmowanym przez Eliakima. Spotkawszy jedną z dziewczek służebnych Nohesty, polecił jej zaprowadzić się do księżnej.

Nohesta siedziała właśnie na bocznym tarasie i karmiła najmłodszego syna. Nie wyjmując piersi z ust dziecka, skinęła głową Elmadamowi.

— Mów, Elmadamie, mów prędko!

Ale przy tych słowach poruszyła się i pierś wysunęła się z ust małego. Chłopiec zatoczył czarnymi oczyma w stronę przybysza i nagle uderzył w krzyk. Gniewnie wetknęła mu pierś w usta.

— Masz, ssij!

Dzieciak nie chciał ssać, płakał coraz głośniejsze, oglądał się na Elmadama. Zniecierpliwiona krzyknęła na dziewczyny, aby zabrały malca. Porwały go na ręce i choć zanosił się od wrzasku, poniosły w głąb pałacu. Nohesta zatauliła się w szaty, ale nie tak szybko, aby Elmadam nie spostrzegł, że miała skórę niezwykle białą.

— Mów, mów — powiedziała szybko. Rumieńce ukazały się na jej policzkach. Niecierpliwie przebierała palcami. — Mów wreszcie! — wybuchnęła.

— Księżę Eliakim został królem...

Wydawała krótki okrzyk triumfu.

— A cóż Joachaz? — zapytała.

— Straż faraona wywlokła go z namiotu... Zakuto go w łańcuchy...

Z zadowoleniem uderzyła pięścią o pięść.

— Dobrze mu tak! — zawołała. — O, Panie sprawiedliwy! Co więcej? — znowu zaczęła go pytać gorączkowo.

Niewiele ponadto umiał jej powiedzieć, sam dowiedziawszy się o wszystkim z kilku słów Eliakima. Zresztą już go nie słuchała. Była podniecona, miotała się radośnie. Krzyknęła na dworki:

— Mirra! Uta!

Gdy przybiegły, powiedziała do nich:

— Słuchajcie, księżę Eliakim został królem. Jestem królową! Dajcie mi lepsze szaty... Egipskie sandały... Prędko!

Dziewczyny pobiegły furkocząc kuttonami. Nie zważając na obecność Elmadama, Nohesta zdejmowała z nóg sandały.

— Prędko! — krzyknęła znowu. — Grzebiecie się jak krety! Gdzie Reecha?

Reecha, starsza nad dworkami Nohesty, przybiegła zadyszana. Pełna przerażenia stanęła przed swoją panią. Rzuciła się na kolana, chcąc jej pomóc odwiązać zaplątany rzemyk przy sandałach. Ale Nohesta odepchnęła ją gwałtownie.

— Precz! Nie chcę tego! Słuchaj: idź zaraz do tej małpy, żony Joachaza. Powiedz jej, że Joachaz zakuty w łańcuchy u faraona, a królem jest Eliakim.

Zrozumiałaś? I powiedz jej, żeby natychmiast wynosiła się z pałacu. Jeszcze dziś, zaraz! Niech ucieka! — szarpnięciem rozerwała rzemyk, którego nie mogła rozplątać. — No idź, czego czekasz? Prędko! Niech zaraz ucieka! — Rzuciła w Reechę sandałem. — Żywo! Spiesz się!

Znowu nadbiegły dziewczyny. Niecierpliwie przerzucała przyniesione przez nie szaty. Krzywiła się:

— Nic nie mam, nic nie mam!

Wreszcie wybrała cienką suknię z różowego bisioru. Nagle zwróciła się do Elmadama:

— Czy powiedziałeś o tym arcykapłanowi?

— Nie, Nohesto. Przybiegłem od razu do ciebie.

— Dobrze zrobiłeś — podeszła do niego i pogładziła go dłonią po policzku. Miała niskie, cofnięte czoło, mały nos przekłuty złotym kółkiem, wąskie, krzywiące się usta. Jej oczy były niepokojące: przysłonięte długimi rzęsami, zielone niby morze, to błyszczące, to znowu zamglone. — Dobrze zrobiłeś — powtórzyła. Jej ciało i szaty woniały balsamicznym olejkiem. Poczuł dreszcz na karku. Ta kobieta urzekła go. — A cóż ta twoja dziewczyna? — zapytała niespodziewanie.

Zaczął jej mówić o swoich nadziejach na ominięcie zakazu ojca. Ale go nie słuchała. Lekceważąco skrzywiła usta:

— Dziewczyna z Megiddo... — Stojąc tak blisko Elmadama, że czuł na twarzy jej oddech, powiedziała:

— Po cóż ci taka zwykła dziewczyna? Możesz mieć przecież, jaką zechcesz... Jesteś także z rodu Dawida. Możesz być księciem.

Elmadamowi zakręciło się w głowie niby po mocnym winie.

— Co mówisz, Nohesto!?

Wyciągnęła ku niemu rękę białą, gładką, wypieszczoną, dotknęła znowu jego policzka.

— Zostaw to mnie. Zobacysz, będziesz jeszcze wielki. A o tej dziewczynie z Megiddo zapomnij... Ja ci to mówię.

Wolno, wężowym ruchem obróciła się, przesuwając mu przed twarzą swe białe ramiona i biały kark. Ledwo nad sobą zapanował, by jej do siebie nie przycisnąć. Ale ona musiała to wyczuć, bo podniósłszy palec pogroziła mu z uśmiechem.

— Idź teraz do kapłanów — powiedziała.

U Helkiasza zastał cały tłum. Wieść o uwięzieniu Joachaza i zrobieniu królem Eliakima dobiegła już do świątyni. Kapłani natychmiast zebrali się u arcykapłana na radę. Elmadama powitał szmer ciekawych głosów, które jednak natychmiast ucichły. Azariasz wezwał młodego rycerza, by usiadł i opowiedział wszystko, co widział w Riblah. Nie ociągał się. Opowiadając patrzył uważnie na kapłanów. Wiedział, że Eliakim nienawidzi ich z całego serca. Obwinał ich, że rządzą Jozjaszem, że oderwali go od spraw państwa, każąc mu strzec dobra świątyni. Elmadam nie bardzo wiedział, co ma o tym sądzić. Ślepy Helkiasz budził w nim szacunek. Nie mógł się także pozbyć uczucia czci dla Azariasza, o którym mówiło się w mieście, że jest człowiekiem wielkiej modlitwy. Wzrok młodego rycerza przesunął się po twarzach innych kapłanów: byli to ludzie dobrej postawy, często otyli i dostatnio ubrani. Gdy im opowiedział o wywleczeniu Joachaza z namiotu faraona, spojrzeli po sobie znacząco, ale nic nie odrzekli. Widać było, że nie chcą wobec Elmadama odkrywać swoich uczuć. Lecz kiedy zaczął opowiadać, jak to Eliakim w koronie na turbanie wyszedł z namiotu, rozległo się kilka podnieconych głosów:

— Eliakim jest bluźniercą!

— To drugi Manasses! Drugi Achab!

— Kłania się Baalom!

— On nie może być królem nad Judą!

W tych słowach czuło się zapiekły gniew. Azariasz uciszająco wznosił ręce nad głową.

— Sza! — rzucił. — Sza! Sza! Nie wiemy jeszcze nic... Potomkowie Aarona, śpieszyć się wam nie należy. Niech Elmadam mówi dalej.

Kiedy Elmadam skończył, w sali zrobiła się cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na Helkiasza. Ten jednak milczał i tylko jego starcze, bezzębne usta poruszyły się bezgłośnie.

— No i co? — zapytał któryś ze starszych.

Helkiasz siedział dalej nieporuszony, jakby nie słyszał pytania. Azariasz podziękował Elmadamowi za przyniesione nowiny. Kapłani milcząc skinęli głowami. Czuło się, że czekają tylko na wyjście Elmadama, by wybuchnąć namiętnym krzykiem. Jakoż ledwo zniknął za drzwiami, zerwały się głosy:

— Jeśli Eliakim będzie królem, to koniec z wielką reformą!

— Jeszcze królem nie był, a już jego ludzie Baala w wyższym przedsionku postawili!

— Święta religia Jahwe zagrożona...

Z tylnych szeregów ktoś krzyknął piskliwym głosem:

— Bezbożnych królów trzeba zabijać...

Zapadła na moment cisza, a potem zaraz powstał tumult wielu głosów, których wymowy nikt już nie był w stanie pohamować.

— Nie trzeba zabijać — dowodził jeden z kapłanów — tacy sami giną: jak Joram na złą chorobę, jak Ochozjasz z ręki Jehu, jak Ozjasz stoczony trądem...

— Trzeba ich zabijać! — wołał ten sam piskliwy głos. — Czyż nie zabito Atalii, Joasa, Amazjasza, Amona!?

Azariasz próżno usiłował uciszyć krzyczących:

— Cicho! Cicho! Sza! Kto mówi o zabijaniu? Pan rzekł: „Mnie zostaw pomstę...” Pan rzekł: „Nie chcę śmierci grzesznika, niech się tylko poprawi...”

— Eliakim nigdy się nie poprawi! — kilka głosów wybuchnęło namiętnie. — To człowiek, który zabija sługi Pańskie! To nikczemnik! Łotr! Bezbożnik!

Azariasz ciągle podnosił ręce w górę.

— Sza! Cicho! — wołał. — Nie krzyczcie tak...

Ale jego wezwania nie pomagały. Jeden z kapłanów perorował:

— Lepiej zabić króla, niżby się miały wrócić czasy bałwochwalstwa i ohydy! Młodzi nie pamiętają już tego. Ale ja pamiętam. Byliśmy w pogardzie. Nikt ofiar nie przynosił. W przedsionkach stały wszędzie bluźniercze figury. Na wzgórzach składano ofiary obcym bogom. Dla Molocha przenoszono dzieci przez ogień. Kobiety opłakiwały Tammuza. W samej świątyni stały szałasy obrzydliwców czczących Astarte...

— Lecz Eliakim został królem przez faraona — powiedział nagle jeden ze starszych kapłanów. — Krzyczycie jak stado papug. Zagłuszacie rozum wrzaskiem. Kto mówi o zabijaniu? Szaleńcy!

— Szaleńcy! — powtórzyło kilka głosów. — Eliakim ma za sobą wojsko faraona. Wytnie każdego, kto by się chciał na niego porwać.

— Słusznie! — podchwycili inni.

Któryś rzekł:

— Lepszy jest król, który bluźni, niż taki, który zabija. Bo czyż nie powiedział Salomon, iż lepszy jest żywy pies od zdechłego lwa?

— Prawda! Prawda! — potwierdzały coraz liczniejsze głosy.

— Lecz jeśli także zabijać będzie — rozległ się znowu piskliwy głos — to co? Co wtedy? Lepszy żywy pies, ale co jest wart pies zabity? Ja się pytam: co jest wart?

Któryś z kapłanów odrzucił gniewnie:

— „Jak chmura przychodząca przemienie bezbożnik”, powiedział święty król, „a jego nadzieja przemienie”...

Inny zacytował:

— „Sprawiedliwy z ucisku będzie wyrwany, zaś bezbożnik w ucisk wpadnie”.

Jeszcze inny krzyknął:

— Joachaz też był złym królem, a przemiął. Baala pozwolił postawić...

— Ale Joachaz bał się świątyni — odkrzyknięto. — Można z nim było wszystko zrobić.

— Tak! Masz rację! Kukłą był, a nie królem! A rzekł Salomon: „Ręka mocnych panować będzie, zaś leniwy król hołd składać musi”.

— Lecz: „Król sprawiedliwy podnosi kraj, a mąż łakomy niszczy go”!

— Kto miłuje karność — miłuje umiejętność, a kto nienawidzi strofowania — jest głupcem!

— Ale: „Obrzydły jest Panu każdy bezbożny i choćby był ręką w ręce Pańskiej, nie ujdzie karania”!

Teraz wszyscy krzyczeli i rzucali cytatami. Lecz nagle ucichli: zobaczono, że Helkiasz chce mówić. On zaś bez słowa mamlął czas jakiś ustami, potem dopiero usłyszano, jak pyta:

— Gdzie Jeremiasz?

Nikt mu nie odpowiedział. Niecierpliwie, tonem wyrażającym podrażnienie powtórzył:

— Pytam: gdzie Jeremiasz? Dlaczego nikt mi nie odpowiada? Ja się pytam...

— Nie wiem, ojcie — bąknął Azariasz.

— Nie wiesz? Poślijcie do Anatot...

— Nie ma go w Anatot.

— Nie ma go... — ślepiec ciężko położył dłoń na kolanach. Na jego pomarszczonej twarzy nie widać było żadnych uczuć. Drżały mu tylko lekko usta. — Gdzie Uriasz? — spytał nagle.

Lękliwy prorok odpowiedział z kąta:

— Jestem, Helkiaszu.

Przywołał go do siebie skinieniem głowy. Wyciągnął rękę i począł obmacywać dłonią twarz Uriasza, jakby chcąc się upewnić, że to naprawdę on. Wciąż poruszał ustami. Uniósłszy twarz gestem charakterystycznym dla ślepeca, powiedział:

— Mów. Mów prędko, co mówi Pan. Mów.

Tamten zająknął się, wybełkotał:

— Dlaczego ja? Dlaczego... bo... ja...

Helkiasz stanowczo potrząsnął głową.

— Ty mów!

Trzymał wciąż Uriasza za rękę. Bojaźliwy prorok rozejrzał się rozpaczliwie wokół siebie. Otaczał go tłum kapłanów wpatrzonych weń uważnie, nie pojmujących, dlaczego arcykapłan wyznaczył do prorokowania tego nędznego wieszczka, który drżał przed własnymi słowami. Uriasz boleśnie skrzywił usta i wpół zasłonił je dłonią. Oczy mu się zaszklily, stały się niewidzące. Twarz zbladła, na czole ukazały się krople potu. Zdawało się, że słabnie i zaraz zemdleje. Począł szeptać:

— Nie wiem... Nic nie wiem... Pan nie zwykł mówić do mnie... Nie wiem... Nie...

Zakrył twarz połą płaszcz. Ale tylko na chwilę. Bo nagle — niby gromem rażona — twarz ta przemieniła się: stężała na marmur. Powieki zaciśnęły się, usta zbieleły, głos natomiast nabrał nieoczekiwanej siły. Lękliwy wieszczek począł nagle mówić gwałtownie, prawie krzyczeć, boleśnie łapiąc oddech pomiędzy każdym słowem:

— Pan powiedział... „Niegodni są... wasi królowie... mojej łaski... Grzechy ich krzyczą do mnie... Odjąłem swoją rękę od boku ich...” Biada! Biada! Nadchodzi dzień straszny... Nie będzie już królów godnych... jeno Ten, któ-

ry się zrodzi... z młodszego domu Dawidowego... Biada... Krwią i ogniem spłynie Syjon... Aż przyjdzie Ten, który ma przyjść... Biada...

Głos proroka załamał się w szloch. Uriasz ciężko osunął się na kolana, potem padł na twarz zakrywając sobie głowę płaszczem. Kapłani milczeli, słyhać było tylko ciche łkanie leżącego. Ślepy Helkiasz wolno wstał. Podchwycono go pod ramiona, on zaś wyciągnął rękę przed siebie i dygoczącym, zduszonym głosem powiedział:

— Pan rzekł...

Było to formalne uświęcenie słów Uriasza. Toteż ponad gronem kapłańskim przebiegł szmer szybko wymienianych szeptów. Pochylając się ku sobie, wymawiano jedno imię. Obiegło ono krąg stojących i wypadło zeń niby dźwięczący grosz z rozwiązanej sakiewki. Wszyscy drgnęli, gdy któryś z kapłanów powiedział głośniejsz:

— Elmadam?

VIII

Początkowo była sucha trawa i wąska perć wyryta w grubym żwirze zmieszonym z czarną ziemią, z kłębami długich, cienkich korzeni. Na zboczu rosły krzaki rozpościerające się kępami: niskie świerki o węzowych, sprężystych gałęziach, najeżone kolcami sploty cierni, płaty mchu miękkiego i wilgotnego, spod którego wyzierały białe kamienie. Wyżej krzewy znikwały, wyrastała natomiast biała, spękana, pełna szczelin i rozpadlin skała, tworząca małe łyse bule nad zielonymi łączkami. Zaczęło być stromo i samotny wędrowiec musiał iść coraz częściej schylony, pomagając sobie długim kijem. Parł ciągle w górę. W szerokim zboczu rysowały się suche żebra skalne poprzedzielane wżerami ospisk i żlebów. W jednym z nich znalazł wodę: była cudownie przezroczysta i płynęła wąskim strumykiem, zatrzymując się w szczelinach skały obrośniętych czarnym twardym mchem. Jeremiasz ukląkł i przyłożywszy twarz do kamienia, pił chciwie. Ale ledwo dźwignął się znowu na nogi, już szedł dalej. Nie chciał czekać. Ciężko stapał w górę, mając pod stopami coraz więcej piargu. Rozkrusz skalny pokrywał tutaj zbocza, przybierał szarżółtawy, czasami ołowianoczarny odcień. Gdy podniósł wzrok, jaskrawy blask bijący od zboczy kazał mu zmrużyć powieki.

Szeroki niby olbrzymie siodło grzbiet góry cały był pokryty śniegiem. Pod stopami słyszał wędrowiec jego chrzęst. Śnieg był tu zeskorupiały w cienkie lodowe żeberka, kruche i misterne. Oczy bolały od jaskrawego blasku. Rześki, nie ustający nigdy powiew szczytu uderzył w twarz Jeremiasza. Przez chwilę wdychał go radośnie. Ale radość prędko zgasła. Serce opanowało znowu uczucie rozpaczliwej potrzeby ucieczki przed czymś, co przecież niósł w sobie samym. Wiedział, że to, czego się lękał, było w nim i tego zgubić nie był w stanie. Próżno chciał uciec. Ta ucieczka była szaleństwem. Wiedział to — a jednak uciekał. Przebiegł całą ziemię Kanaan od wzgórz Gareb i Goata aż po Hermon, jakby mniemając, iż gdzieś wreszcie znajdzie kres pościgu. Na próżno! Nielitościwy Łowca leciał wciąż za nim. Tu, na wyiskrzonym, białym grzbiecie górskim nieszczęśliwy zbieg przekonał się, że Głowski nie ujdzie. Nie mógł mu ujść, gdy zażądał, by mówił rzeczy okrutne, bolesne, wtrącające w rozpacz. Po raz pierwszy Słowo Pańskie zabrzmiało nielitościwie. Dotychczas kazano mu ostrzegać, upominać, grozić. Ale nigdy przed, tragicznym dniem Megiddo nie stanęła przed oczyma Jeremiasza równie wstrząsająca wizja tego, co się stać musi. To już nie było ostrzeżenie — to był los. Cóż z tego, że w nie kończącej się ucieczce zbiegnie w kwiecistą oazę Damaszku lub skryje się w ciemny, borem cedrów porosły wąwóz Ijonu? Świadomość nieodwołalnego wyroku i tu, i tam pójdzie za nim.

Ciężko usiadł na śniegu. Wszystko stało mu się nagle obojętne lub wydawało się obojętne. Czuł, jak mu bije serce gwałtownie, dotkliwie, niemal rozrywając pierś. Czekał na to, czego nie chciał usłyszeć tam, nad Cedronem. Nie kazano mu długo oczekiwać. Zagłuszany Głos rozległ się nad nim z taką siłą, że Jeremiasz zerwał się na nogi. Tchnienie wiatru stało się gorące niby powiew od bliskiego, a niewidzialnego pieca. Trzymając dłonie uniesione lekko gestem adoracji, szepnął:

— Jestem...

Głos mówił, a Jeremiasz powtarzał jego słowa chrapliwie, z jękiem i lamentem. Zdało mu się, że widzi mrowie jeźdźców na koniach lekkich jak przepiórki, gnających w chmurze strzał i puszczonej na wiatr włóczni. Czarny przerażający zalew otoczył kręgiem górę Syjonu. Potem wszystko splątało się ze sobą niby suche liście, piasek i pył, porwane wściekłym podmuchem pustynnego wiatru. Jeremiasz począł drzeć. Jego dygoczące usta mówiły:

— „Przyzwijcie płaczki, niech przyjdą... niech się śpieszą... niech czynią

lament... bo opuściłem Dom mój i dziedzictwo moje... dałem duszę miłąj mojej w ręce nieprzyjaciół, pasterze obcy zdeptali winnicę moją... Spustoszeniem spustoszona jest ziemia”...

Ciało proroka ogarnęła gorączka. Rozpaczliwym wysiłkiem wydarł się z więzi Głosu. Wyjęczał:

— Nie, Panie, nie! Tak się nie stanie. Nie...

Podniósł dłoń z palcami zakrzywionymi niby szpony i począł drzeć paznokciami policzki.

— Nie! — krzyczał dziko, a echo górskie odpowiadało mu wiele razy. Zdawało mu się, że widzi krew, że czuje woń krwi, przerażającą woń krwi przypalonej ogniem. Płakał krzykiem, jak płacze przerażone dziecko.

Znowu musiał mówić:

— „Choćby stanął Mojżesz Samuel przede mną, nie mam serca do tego ludu. Odpędź ich! Niech idą sprzed oczu moich! A jeśli cię zapytają, gdzie mają iść — mów im: Którzy na śmierć — na śmierć, którzy pod miecz — pod miecz, którzy na głód — na głód, a którzy w niewolę — w niewolę! Nawiedzę ich czterema plagami, gorszymi niż plagi egipskie: mieczem na zabijanie, psami na rozdarcie, ptactwem na rozszarpanie, szakalami i hienami na pożarcie”...

Wciskając palce w usta i gryząc je do krwi, przerywał sam sobie jękiem:

— Nie, Panie, to jest pokusa... Spraw, niech odejdzie! Tak się nie stanie! Tak się stać nie może!

Ale obrazy, które widział i które musiał opowiadać, nie znikły. Z kłębowiska ludzi, koni, strzał, mieczów i włóczyń podniósł się w górą czarny, złotokrwawym blaskiem podbity dym. Jeremiasz z bolesnym jękiem padł na kolana. Zasłonił oczy. Łkał:

— Panie, to się stać nie może... Nie! Nie! Litości, Panie! Odejmij ode mnie myśli udęczenia...

Zawodził długo, rwąc włosy na głowie, drapiąc pierś i policzki, tarzając się twarzą w ostrym śniegu. Wreszcie dźwignął się na nogi, nędzny, okrwawiony, straszny. Błędnie powłókł się wzdłuż szerokiego grzbietu. Nie czuł lodu i śniegu pod stopami. W pewnym miejscu grzbiet zbiegł się w wąską grań o dość stromych ścianach. Jeremiasz zatrzymał się tutaj. Pod nogami miał pustkę. Szare mgły płynące z dolin zasłaniały mu widok. Znowu szepnął:

— Oddal ode mnie, Panie, myśli udręczenia...

Nie odeszły. Przeciwnie, podobne mgłom szły w górę i zasłaniały wszystko. Znowu się w nim zbudził straszliwy bunt. Dzikim głosem krzyknął:

— O Panie, dlaczego odszedłeś ode mnie?

Ale jakby przez przekorę zdało mu się, że znowu widzi dymiącą ruinę i słyszy bezlitosne słowa wyroku. Zacisnął pięści, zawołał:

— Nie! Nie! Nie!...

I nagle skoczył przed siebie w przepaść. Ogarnęła go mgła, leciał w niej niby nurek rzucający się w fale morza w poszukiwaniu za perłą. W jakimś momencie zdało mu się, że niewidzialna dłoń chwyciła go za włosy i zatrzymała w locie. Nie wiedział już, czy spada, czy też wisi w białym mleku mgły. Miękkie zбочce wyrosło pod nim. Padł w puch śnieżny. Kiedy się zatrzymał, czuł, że żyje. Był potłuczony i pokrwawiony, ale mógł wstać. Zapłakał cicho.

Była noc, kiedy wreszcie począł schodzić. Gwiazdy przybladły, bo na niebo wytoczyło się półkole księżyca. Śnieg skrzął się, jakby tysiące małych gwiazdek rozsypano na jego powierzchni. Żebra skalne nabrały życia. Pełne były drgających cieni i zmiennych, fantastycznych kształtów. Pierwsze krzewy, które na swej drodze spotkał, podobne były skulonym zwierzętom. Gdzieś między nimi błysnęły nagle oczy jakiegoś drapieżnika. Jeremiasz stanął. Czarny kudłaty niedźwiedź wysunął się spomiędzy krzaków. Z wyciągniętym czujnie nosem szedł ku człowiekowi. O parę kroków zatrzymał się. Zebrał łapy pod siebie, ze świstem wciągnął w nos powietrze, głucho warknął. Człowiek klęknął. Schylił głowę. Oczekiwał ciosu łapą. Ale cios nie spadł. Niedźwiedź ryknął krótko i powędrował dalej, niechętnie oglądając się raz po raz za siebie. Jeremiasz wstał, machnął niecierpliwie rękoma. Chciał zwierzę podrażnić. Ale niedźwiedź już odszedł, pozostały tylko czarne kępy krzewów. Szedł dalej w dół. Poczuł się w końcu zmęczony i rzucił się na ziemię pod smukłym świerkiem. Zasnął.

Gdy obudził się, dzień już był zupełny. Zobaczył, że znajduje się w połowie wielkiego zбочa wspinającego się nad nim polami piargu, płatami śniegu i wreszcie urwistą skałą. W dół spływało łagodnie zieloną łąką, na której tu i tam rosły drzewa. W gałęziach kwiliły ptaki, wśród trawy bieleły się i żółciły kwiaty. Leżąc na wznak, patrzył na pogodne, choć blade niebo prześwie-

cające poprzez gałęzie drzewa. Piekła go poraniona twarz, stopy miał zbolące, spuchnięte, pokryte zapiekłą krwią. Serce biło mu w piersi nierówno, wolno niby młotek. Podłożywszy ręce pod głowę myślał spokojnie, że już z tego miejsca nie wstanie, że będzie mógł tu umrzeć. Obojętnie oczekiwał nadejścia Głosu. Cóż mógł mu on jeszcze okropniejszego powiedzieć? Niebo здавало się kiwać w takt kołysań się gałęzi drzewa.

Mimo to dźwignął się na nogi, gdy Głos się odezwał. Ze zdumieniem usłyszał twardy, ostry nakaz:

— Wstań i idź!

Uśmiechając się żałośnie, wskazał na swe okrwawione stopy, na drżące z osłabienia łydki. Głos powtórzył rozkazująco:

— Jedz i idź!

Jeremiasz rozejrzał się niepewnie wokół siebie. Spozrzegł, że krzak ożyn, rosnący obok, czerwieni się masą jagód. Począł rwać je i jeść, a w miarę jak jadł, wstępowały w niego siły. Już po chwili poczuł, że nie może tłumaczyć się osłabieniem. Podniósł swój kij z ziemi. Poszedł w dół.

Szedł i szedł. Zielona łąka przemieniła się w suchy, spieczony przez słońce step. Drzewa rosły tu rzadko, tylko od czasu do czasu spotykał je nad wąskimi strugami wody. Do wieczora nie natrafił na żadną istotę ludzką. Widział za to stada dzikich osłów, gazel i antylop. Zające i przepiórki podrywały mu się spod nóg, wysoko na niebie krążyły majestatycznie sepy. Nie spotykał także dróg: szedł ciągle stepem dzikim i pierwotnym lub wchodził między skały poroste gęsto zielonością. Dopiero gdy ulegając kierującej nim woli skręcił na zachód, w południe drugiego dnia wędrówki wszedłszy na teren moczarów i błot porosłych gęsto trzciną, tatarakiem i krzewami papirusu, począł spotykać chatki rybaków. Ludzie ci witali go bez obawy i z ufnością, choć nie byli to Żydzi. Częstowali go rybą i plackami z jęczmienia. Szedł dalej, przedzierał się przez bagna, wreszcie przeszedł w bród szumiący dziko, spieniony i lodowato zimny Jordan. Posuwał się teraz jego biegiem, widział, jak się przebija mozolnie przez skały, rzuca dziko z urwisk, biały od pian, gniewny i niecierpliw. Tak doszedł do jeziora Kinnereth. Znowu widział przed sobą wielką zielonobłękitną taflę wody okoloną morzem zieleni. Falowały przed nim łąki pełne traw i kwiatów, ale spotykał także gęste zagajniki młodych dębów o szeroko rozrośniętych konarach, platanów o ciemnym liściowiu i żółtych pniach, mirtów, oleandrów, akacji i topoli. Na łąkach pasło się bydło, wśród pól pokrytych pszenicą i jęczmieniem, zielonymi krzewami

kukurydzy, delikatnym oprzędziwem zieloności stały małe białe domki. Tu go częstowano mlekiem i miodowymi plackami. Z Taboru zobaczył w dole zielone pobojuwisko megidzkie. Miasto uczezione górskiego zbocza białeło w słońcu. Zszedł w kwiecistą, wonną dolinę Esdrelon, w której ledwo przed kilku miesiącami toczyła się walka. Żadnych już jej śladów nie spotkał. Bujna roślinność zatarła wszystko, pożarła, pochłonęła resztki rozbitych wozów, połamaną broń, może tu i tam zapomnianego trupa: idąc przez sięgającą do kolan trawę, zbliżył się ku potokowi. Wtedy nagle zobaczył, że tuż nad wodą, na wygiętym i podmytym pniu siedzi samotna kobieta. Była to młoda dziewczyna o dziecinnych jeszcze rysach. Spojrzenie jej błąkało się po migoczącej powierzchni rzeki. Nie usłyszała kroków Jeremiasza i wciąż patrzyła w wodę. Drgnęła dopiero, gdy stanął tuż nad nią. Podniosła w górę przerażone oczy i krzyknęła. Spieszenie rzuciła się do ucieczki. Dopiero słysząc, że nikt jej nie goni, zatrzymała się i obejrzała. Musiało być w postawie Jeremiasza coś, co sprawiło, że nagle zmieniła zamiar. Nie uciekała dalej. Przeciwnie, zrobiła parę kroków w stronę proroka.

On zaś ciężko usiadł na trawie. Chwilę trwało milczenie. Wreszcie Jeremiasz zapytał:

— No, czego chcesz?

Nie miał zwyczaju mówić łagodnie. W jego słowach było zawsze zniecierpliwienie. Bardziej jeszcze niż zwykle był surowy dla kobiet. On, który siedząc na progu swej samotnej pieczary układał melodyjne pieśni i pełne uczucia hymny, w zetknięciu z ludźmi miał na ustach tylko naganę i wyrzuty.

Ale dziewczyna nie odeszła. Stała obok niego, dysząc jeszcze po nagłym przestraszeniu. Powiedziała cicho:

— Niczego nie chcę...

Patrzył na nią niechętnie spod przymrużonych powiek. Jej duże oczy były ufne niby oczy dziecka. Odwrócił głowę i uderzając kijem w ziemię rzekł tym samym co poprzednio, oschłym tonem:

— Idź do domu.

— Pójdę, panie — powiedziała — ale wpierw pozwól, że tobie służę. Zdrożonyś i głodny... i... stopy twoje są we krwi...

Zrobił odpychający gest ręką.

— Nie potrzeba mi niczego!

— Czemu tak mówisz, panie? Wszak widać po tobie, że jesteś zmęczony...

— Nie lituj się nade mną!

— Dlaczego, rabbi?

Znowu spojrzął na nią ostro. Drażniły go te dziewczęta będące w wieku, w którym mogłyby być jego córkami. Niecierpliwymi uderzeniami kija począł ścinać głowy trawom.

— Znasz mnie? Wiesz, kim jestem?

— Tak, rabbi. Jesteś prorokiem Jeremiaszem.

— Czemu nie powiesz — rzucił gniewnie — fałszywym wieszczkiem?!

Nie odpowiedziała. Jej usta zadrgały, w oczach błysnęła niepokój. Przykucnęła na trawie. Dopiero po dłuższej chwili szepnęła:

— Nie pojmuję, rabbi, twoich słów... Przecież jesteś prorokiem Jeremiaszem.

— Tak. Jestem nim.

Miał ochotę dorzucić: „Tym, który został zrodzony na cierpienie, tym, w którym każda myśl jest udręczeniem i bólem.” Ale nie dodał już nic. Woda cicho chlupała, rozpruwana sterzącym z dna korzeniem; biała rybitwa piszcząc podlatywała nad skrzącym się nurtem.

— Pozwól — zaczęła znowu Megidka — że ci przyniosę chleba i owoców, a także obmyję twoje nogi...

Nie odpowiedział. Dziewczyna cicho odeszła. Woda płynęła dalej jak przedtem, wszystkiemu obojętna. Wsparłszy głowę na łokciu, martwo patrzył przed siebie. Rybitwa odleciała niosąc w dziobie dużą rybę. Daleko na drugim brzegu młody głos męski śpiewał wesołą piosenkę. Słońce świeciło już słabo, bliski był wieczór i w powietrzu czuło się wilgotny oddech morza.

Nie zmienił postawy, nie ruszył się z miejsca, aż znowu stanęła koło niego. Zdjęła z głowy koszyk. Podała mu kilka złotoczerwonych granatów, placki, ser, dzbanek wina. Bez słowa wziął jedzenie z jej ręki. Począł jeść. Wina nie ruszył, ślub nazireatu nie pozwalał mu pić. Dziewczyna tymczasem zaczerpnęła wody z potoku do płaskiej miski i uklękawszy na ziemi zaczęła delikatnie obmywać pokrzwawione stopy Jeremiasza. Nie mówił nic, ale co chwila rzucał na nią szybkim spojrzeniem. Człowiek na drugim brzegu potoku śpiewał coraz głośniej. Jeremiasz, łamiąc suchy placek w palcach, zapytał nagle:

— To twój chłopak?

Podniosła wzrok ku niemu i potrząsnęła głową. Wtedy nagle spostrzegł, że dziewczyna ma twarz smutną i jakby zmęczoną. Jej oczy były podkrążone, usta blade i suche.

— Kto jesteś? Jak się nazywasz? — zapytał znowu.

— Nazywam się Rut. — Gdy mówiła, podniosła na chwilę głowę do góry. Potem zaraz pochyliła się nad robotą. — Moim ojcem jest Micha, kupiec... — Dobyła z kosza oliwy i wylała ją na obmyte już stopy proroka. Potem wytarła je lnianą szmatką. — Czym mogę ci jeszcze usłużyć, rabbi? — zapytała.

Potrząsnął głową. Burknął szorstko.

— Niczym...

Nagle, po raz pierwszy od wielu lat, Jeremiasz uśmiechnął się. Daleki był od wesołości zwłaszcza dziś, po dniach bolesnych udręczeń... Mimo to uśmiechnął się do dziewczyny, ona zaś ten uśmiech odwzajemniła. Powiedział głosem, który utracił nagle swą szorstkość, stał się miękki i serdeczny:

— Usłużyłaś mi już. Siądź. Powiedz mi...

Chciał, by mu powiedziała coś o sobie. Lecz gdy tak patrzył w czarne, smutne oczy dziewczyny, niespodziewanie uświadomił sobie, że czyta w nich jak w księdze. Nie potrzebował już pytać. Na dnie otwartych szeroko oczu odnalazł od razu młodzieńczą, lekkomyślną i chępliwą postać męską. Ujrzał też coś jeszcze, co nie było już takie proste, zrozumiałe i jasne. Wyteżył wzrok, skurczył się w sobie. Tajemnice, które dane mu było oglądać, znajdowały się zawsze jakby za mgłą, uniemożliwiającą ich jasne widzenie. To było tak jak wtedy, gdy w błysku olśnienia ujrzał faraona zwyciężonego nad rzeką. Zdawało mu się teraz, że widzi dziecko, dziecko tej dziewczyny, i że to dziecko... Zatrząsł się cały. Oszołomiła go łączność tej wizji z tamtymi, które go męczyły na grzbiecie Hermonu. W udręczającym pamięć wspomnieniu zgorzeliska myśl o tym dziecku była jedynym ukojeniem. Zerwał się na nogi. Z oczyma płonącymi, z drżącymi ustami podszedł do dziewczyny, ona zaś stała przed nim pobladła, z dłońmi przyciśniętymi do piersi, drobna i wiotka, różowozłota w blasku zachodzącego słońca. Łamiącym się głosem zapytał:

— Nie wrócił do ciebie?

Twarz dziewczyny zapłonęła gamą uczuć. Były to kolejno zdumienie,

wstyd, lęk, wreszcie żal. Z jej oczu popłynęły łzy. Zdawało się, że czekały tylko na to pytanie, by nagle wytrysnąć. Płakała, jak płacze boleść największa: bezgłośnie. Zmarszczył brwi.

— Musi wrócić! — powiedział twardo.

Schylił się po swój kij. Zapytała:

— Idziesz, rabbi?

— Tak, idę. Idę do niego, by mu powiedzieć, że ma do ciebie wrócić.

Zobaczył błysk radości na jej twarzy. Z cichym okrzykiem podbiegła do niego. Ale nie śmiała dotknąć jego ręki. Więc tylko ukłękła i prędko ustami przywarła do stopy proroka. Jeremiasz zadrżał. Pochylił się nad klęczącą. Wyciągnął dłoń. Ale nie zapomniał, że ślub broni mu dotykania kobiety. Więc tylko w powietrzu zrobił ruch, jakby gładził dziewczynę po policzkach, po czole, po włosach, po ramionach. Potem odwrócił się i szybko począł iść szarzącą pierwszym zmięciem drogą, nie oglądając się za siebie.

IX

Księżyc prosił swym blaskiem na świątynię wznoszącą się na spłaszczonym szczycie góry Moria, białe zaś mury odbijały ten blask i zdawały się same nim świecić. Jeremiasz siedząc na obrośniętym mchem kamieniu na zboczu Góry Oliwnej wpatrywał się jak urzeczonego w czarowne zwidzisko. Obudziły się w nim wątpliwości, czy prawdą były owe wizje, które ujrział na Hermonie. Przybytek Pański w księżycowym blasku miał w sobie tyle świętości i nadziemskiej potęgi, że trudno było uwierzyć, aby mógł paść ofiarą rąk ludzkich. Wydawał się równie nieziemski jak słup ognia, który prowadził lud w pustynne noce.

Schodząc w dół ku mostkowi na Cedronie Jeremiasz nie odrywał wzroku od świątyni. Gdy szczyt Syjonu pławił się w blasku księżyca, gaj starych, pokurczonych drzew oliwnych tonął w mroku. Jeremiasz kijem wystukiwał sobie drogę wśród żyłastych korzeni kłębiących się między kamieniami i kępami mchu. Dopiero gdy wyszedł z cienia drzew, zobaczył przed sobą rysującą się wyraźnie białą krętą ścieżkę. Prowadziła go ona przez równinę z rzadka porośłą trawą, częściej zasypaną kamieniami i żwirem. Potok szemrał głośnie

niż w dzień. Nie opodal sterczał prosty słup kamienny. W blasku księżyca wydawał się żywą istotą zastygłą w chwilowej martwocie, lecz gotową zaraz się zbudzić. U stóp steli wznosił się kopiec narzuconych kamieni. Jeremiasz schylił się i dorzucił swój kamień przekleństwa do kopca przyciskającego grobowiec Absaloma.

Minąwszy mostek, szedł dalej w górę. Wyrósł przed nim mur miasta i zamknięta na głucho Końska Brama. W pierwszej chwili chciał do niej zastukać, ale potem zdecydował, że poczeka do świtu. Odszedł, by się położyć na trawie, i nagle natknął się na dwie oparte o siebie postacie: kobieta trzymała w objęciach chłopca. Poderwała się, zobaczywszy Jeremiasza. Zapytała go głosem, który pełen był wyplakanych aż do dna łez:

— Czy ciebie także wygnali?

Potrząsnął głową.

— Nie wiem, o czym mówisz. A ciebie kto wygnął?

— Kto? — zaśmiała się boleśnie. — Kto? Skąd przybywasz, że nic nie wiesz? Któż mógł wygnać? Sąd wygnął! — załkała boleśnie. — Sąd! Judejczycy Judejczykom zabierają wszystko. Za długi... Któż się ujmie za wdową? Kto uczyni jej sprawiedliwość?

Obudził się chłopiec i patrzył na Jeremiasza wielkimi czarnymi oczyma. Potem pieszczotliwie pogładził matkę po ramieniu:

— Nie płacz — szepnął — nie płacz...

Ale jemu samemu głos się łamał i wzbierał łzami. Jeremiasz stał pochylony, oparty na kiju.

— Powiedz — rzekł — wszystko...

— Cóż mam powiedzieć? — szeptała. — Jestem wdową, a to mój jedyny syn Baruch, światło moich oczu... Miałam jeszcze dwóch... Pomarli. Mąż mój Neriasz zostawił mi mały dom. Pracowałam, męczyłam się. Chciałam, by choć ten jeden syn wyżył. Nosilałam ryby od rybaków i sprzedawałam. Pralałam. Wszystko mogłam robić. Wszystko mogę robić. Ale gdy nie starczyło — pożyczylam. Od Salatiasza, wiesz może, bogaty kupiec... Często mówił: „Oddaj”. Prosiłam: „Miej litość nade mną. Oddam ci na pewno”. Z czego miałam oddać? Przyszedł niedawno, powiada: „Oddaj, tracić na tobie nie chcę...” Zaczęłam prosić: „Daruj ten dług, odpracuję ci go potem...” Śmiał się tylko. Nie i nie. Powiódł przed sąd. Błagałam — próżno! Nie ma już sprawiedliwego sądu, odkąd nie żyje król Jozjasz! Powiedzieli: „Skoro nie możesz zapłacić,

oddaj dom”. „Dom?! A gdzie ja sama żyć będę?” Nawet mi nie odpowiedzieli. Wygnali z domu. Siedzimy tu na ziemi za murami. Głodni jesteśmy... Syn mój jest głodny...

Znowu poczęła cicho płakać, a raczej tylko jęczeć, jak jęczy ktoś wyczerpany długim płaczem. Jeremiasz pokiwał głową.

— Skrzywdzili wdowę — rzekł do siebie. — Oto kres nieprawości! — Cofnął się o krok i wychyliwszy się z cienia drzew, spojrzął na połyskujące w blasku księżyca mury świątyni. — Jeruzalem, Jeruzalem — powiedział — przekleństwo samo ściągasz na siebie! Zapomniałś już, jak wdową byłoś w ziemi egipskiej...

— O, panie — zapytała nagle kobieta z przestrawieniem w głosie — ty jesteś prorokiem Jeremiaszem?

— Ja jestem.

— Rabbi — jęknęła — przecież ciebie szukają. Chcą cię zabić. Faraon kazał cię szukać i pojmać. Król Eliakim obiecał nagrodę temu, kto cię znajdzie i do niego przywiedzie.

Nie odpowiedział jej nic, tylko gorzki uśmiech wypełził mu na wargi.

— Więc to tak — szepnął. — Więźniem chcą mnie wydać faraonowi...

Dreszcz nagle zbudzonego lęku przemknął po karku proroka. Ale to był tylko moment. Teraz to żar gniewu zapłonął w sercu Jeremiasza. Podniósł w górę zaciśniętą pięść.

— O, Eliakimie — syknął — Eliakimie! Doczekałeś się królowania, ale i osłowej śmierci się doczekasz!

Zwrócił się do kobiety:

— Dziękuję ci, żeś mnie ostrzegła. Dobrze. Nie dam się im w ręce. Ale mam tu coś jeszcze do zrobienia. Muszę być w mieście... Muszę...

Marszcząc brwi zastanawiał się chwilę. Nagle rzucił:

— Poczekajcie na mnie...

Szybkim krokiem odszedł od nich. Odzyskał siły. Kroczył czujnie i sprężysto, jak chodził za młodych lat na polowania na pantery. Rozglądał się. Wiedział, że jeśli chce się dostać do miasta, to musi to zrobić zaraz, korzystając z nocy. W dzień strażę pilnującą bram zaraz go ujmą. Znali go tutaj wszyscy. Przyglądał się murom, ale mury były gładkie i wysokie. Nieoczekiwanie pojawił mu się w głowie zuchwały projekt. Prędko pobiegł w dół,

początkowo drogą, którą przyszedł, ale potem, już u stóp skały, odnalazł wąską ścieżkę wśród poplątanych krzewów. Wkroczył na nią. Przeskakiwała ze skały na skałę, z kamienia na kamień. Już początkowo ledwo widoczna, potem zagubiła się zupełnie w gęstwie bluszczu i dzikiego wina. Zieleń zarastała ją całkowicie. Ale Jeremiasz pamiętał, że to było gdzieś tutaj. Odgarniał festony liści, macał dłonią. Wreszcie odnalazł: na wprost przykryty zielonością, czernił się w skale dość duży otwór. Płynęła zeń struga wody. Stał na czworakach i wczołgał się do dziury. Za kamiennym progiem natrafił na dość głęboki zbiornik napełniony wodą, w którą zanurzył się aż po piersi. Na ślepo macał przed sobą rękoma, aż wreszcie odnalazł ścianę. Była chropowata, lekko pochyla. Uchwyciwszy się obu rękoma napotkanego występu, wydzwignął się z wody. Dysząc z wysiłku odnalazł nad sobą na skale jeden i drugi uchwyt. Wtedy uderzył się plecami o przeciwległą ścianę. Miał nad sobą wąski tunel, w którym, zapierając się całym ciałem, mógł się posuwać w górę. Może to była ta sama droga, którą niegdyś odkrywszy śmiały syn Sarwii zdobył Salem Jebuzejczyków bronione przez „ślepych i kulawych”? Tunel był mokry, śliski, ale tak wąski, że zawsze można się w nim było utrzymać. Zawieszony na rękach i nogach Jeremiasz ciężko dyszał. Olbrzymia jego postać łamała się po prostu w ciasnym przejściu. Posuwał się wolno, podrapany i zziębnięty. Ale w końcu jego doświadczone nozdrza poczuły zapach drzew, trawy i liści. Ciągle było ciemno. Sięgnął ręką nad głowę, i uchwycił brzeg cembrowiny. Wyjście z komina pokryte było gęstym dachem z liści. Przebił go głową i mocno kilka razy odetchnął. Wiedział, gdzie jest. Znał dobrze to podwórze, częściowo zarosłe krzewami opuncji, bluszczem i trawą, częściowo wyłożone kamieniami. Mała stajnia dla kóz i osłów stała w rogu. Cicho zsunął się na ziemię, na palcach przeszedł podwórze. Wyjście na ulicę zamykał mur, ale był niski i nie trudno go było przeskoczyć. Silnie uchwycił dłońmi za jego wierzch, skurczył się do skoku. W tejże jednak chwili usłyszał za sobą cichy, lecz pełen drżenia głos:

— Jeremiaszu...

Zatrzymał się, odwrócił. Przed nim stała kobieta, stara, siwa, trzęsąca się. Blask księżyca padał prosto na jej pomarszczoną twarz, na wielkie wyblakłe oczy, w których gorzał w tej chwili straszliwy niepokój, na drżące usta i na dwie suche, powyłamywane węzłami rozdętych stawów dłonie, którymi zakrywała usta gestem wyrażającym trwogę. Kobieta szeptała cicho:

— To ty... Od razu poznałam, że to ty... Jeremiaszu...

Podszedł. Nie dotykając jej schylił się przed nią. Powiedział głosem spokojnym, w którym nie było nic prócz lekkiej zadyszki:

— Tak. To ja, matko...

Z westchnieniem podobnym szlochowi wyciągnęła ku niemu rękę. Ale zaraz je cofnęła i tylko mocno przycisnęła do piersi.

— Jeremiaszu... — Nagle zdało się jej, że mówi za głośno, więc gwałtownie położyła sobie dłoń na ustach. — Jeremiaszu — szeptała ledwo do słyszalnym, dygoczącym głosem. — Dlaczego przyszedłeś do miasta?

Równie spokojnie jak poprzednio odpowiedział:

— Musiałem przyjść.

— Czy nie wiesz, że Eliakim chce cię zabić?

— Nie lękam się Eliakima.

— O, synu! On jest królem!

— Jestem tym, który i królom ma mówić prawdę.

Zaszlochała:

— Ranisz moje serce niepokojem... Jeremiaszu... Dlaczego cię urodziłam!?

— Urodziłaś mnie, bym był głosem Pańskim.

Znowu zrobiła ruch, jakby go chciała ogarnąć ramionami. Ale Jeremiasz zrobił krok w tył, więc się opanowała i tylko objąwszy dłońmi swoje ramiona poczęła mówić:

— O, ja nieszczęśliwa... Nic nie wiem... Powiedz mi... Dlaczego Pan nie daje swoim sługom mocy...? Powiedz, ja nie wiem... Dlaczego tobie, memu synowi, choć jesteś sługą Pańskim, grożą śmiercią, a dlaczego on, grzesznik, jest władcą i królem? O, ja nieszczęśliwa! — ciężko oparła się o mur domu. Szloch rwał jej słowa.

— Dlaczego... — jęknęła — zabrał mi cię Pan? — Bezsilnie obsunęła się na kolana.

Nie podszedł do niej, nie podźwignął jej, nie otarł jej łez ze starych, półwidzących oczu, nie pogładził łagodnie po zwiotczałych policzkach. Stojąc o parę kroków od niej, powiedział:

— Pytasz: dlaczego? Cóż wie glina o swoim Stwórcy? Dlaczego źli mają

moc? O matko, tajemne są drogi Pańskie... — Głos zmienił mu się nagle, stał się gwałtowny i namiętny: — Urodziłaś mnie mężem swaru i nienawiści! Lecz ja ci nie wyrzucam tego, matko... Nie wyrzucam! Bo nie tu jest chyba kres dróg ludzkich...

— Jeremiaszu — jęknęła wyciągając ku niemu rękę — co powiedziałaś?

— Nie wiem! Nie wiem! — przerwał jej spieszenie. — Żegnaj, matko. Już czas na mnie.

— Czy zobaczę cię jeszcze?

Jednym skokiem znalazł się na murze. Spojrzał na ciemny kształt ludzki, który dźwigał się z ziemi z rękoma wyciągniętymi nad głową. Chciał coś jeszcze mówić ale mu zabrakło tchu. Więc tylko dłonią przesłał matce gest pożegnalny.

Znajdował się na szczycie Ofelu. Minęła już północ, gwiazdziste sklepienie odbyło już wielką część swej drogi nocnej. Księżyc wędrował wciąż po niebie, gasząc przed sobą i za sobą gwiazdy. Zdawał się mrugać smutnie, jak mruga człowiek, któremu łzy zalewają oczy.

Bram pałacu strzegły strażę. Ale Jeremiasz znał boczne wejścia, którymi niepostrzeżenie można się było wkraść do środka Sella. Cicho jak duch przeszedł przez wielką salę zwaną „Domem Lasu Libanu”, podtrzymywaną przez potrójną kolumnadę słupów cedrowych, o ścianach zawieszonych cennymi — choć już nie złotymi jak dawniej — zbrojami i rynsztunkiem. Znalazł się w korytarzu, skąd prowadziły drzwi do sypialni króla i do sypialni otaczającej go młodzieży. Po korytarzu chodzili wartownicy, ale Jeremiasz skorzystał z ich nieuwagi i przemknął się między kolumnami. Teraz pozostawało tylko znaleźć Elmadama. Nie było to łatwe. Na szczęście księżyc świecił jasno — Jeremiasz idąc cicho od łoża do łoża odnalazł wreszcie tego, kogo szukał. Pochyliwszy się nad Elmadamem, wziął go za ramię. Młody rycerz przestał chrapać, ale się nie przebudził. Targnął nim nieco silniej. Tamten otworzył oczy. Zamrugął nimi nieprzytomnie. Jeremiasz szepnął cicho:

— Wstań, chodź ze mną do ogrodu, chcę ci coś powiedzieć...

Elmadam dźwignął się na posłaniu.

— Co mówisz? — zapytał.

— Cicho! — Jeremiasz zakrył mu dłonią usta. — Cicho! Chodź ze mną.

— Idę.

Wstał. Idąc za Jeremiaszem, którego w rozespaniu nie poznał, zapytał:

— Czyś ty od królowej?

Ale prorok gestem nakazał mu milczenie. Bocznyimi drzwiami wyszli do ogrodu. Niskie palmy uderzały ich liśćmi po głowach. Podeszli do małej sadzawki ujętej w kamienną cembrowinę. Elmadam zatrzymał się.

— Gdzie mnie prowadzisz? — zapytał nieufnie. Nagle poznał Jeremiasza. W pierwszej chwili ogarnął go lęk, przyszło mu bowiem do głowy, że straszny nabi przyszedł, aby go zabić. Porwał się więc do ucieczki.

Ale Jeremiasz jedną ręką chwycił go za ramię, drugą zacisnął mu na ustach.

— Milcz i nie ruszaj się! — syknął groźnie. — Chcę z tobą mówić. Nie próbuj jednak uciekać lub krzyczeć... — puścił Elmadama. — Wiesz, kim jestem? — zapytał.

— Wiem... — Elmadam krzywiąc się rozcierał ramię zgniecione palcami Jeremiasza — wiem. Czego chcesz ode mnie? Król kazał cię schwytać.

— Twój król jest szaleńcem i grzesznikiem. Nie o nim jednak chcę z tobą mówić. Słuchaj: dlaczego nie wróciłeś do dziewczyny z Megiddo?

Zapadło milczenie, bo Elmadam był tak zdumiony zapytaniem proroka, że nie wiedział, co ma na nie odrzec.

Stał mrugając oczyma, aż tamten powtórzył:

— Czy ogłuchłeś? Pytam, dlaczego nie wróciłeś do dziewczyny z Megiddo.

— Do... Rut...? — bąknął Elmadam.

— Tak.

— Rut... Rut nie jest moją żoną... Dlaczego miałbym wracać?

Głos Jeremiasza stał się twardy:

— Wiesz sam, dlaczego!

Nie od razu doczekał się odpowiedzi. Oczy Elmadama unikały spotkania z oczyma proroka. Znowu starannie rozcierał zgniecione ramię. Bąknął:

— Mogą cię tu znaleźć, rabbi... Lepiej uciekaj.

— Nie troszcz się o mnie! — rzucił Jeremiasz. — Mów: co z dziewczyną?

— No, co... Ja... pojedę do Megiddo...

— Kiedy?

— Nie wiem. Król chce mnie mieć przy sobie.

— Król czy królowa?

Elmadam zbladł. Niespokojnie spojrział na Jeremiasza.

— Jeśli wiesz wszystko, rabbi, po co mnie pytasz?

— Pytam, by obudzić w tobie uczciwość. Wracaj do tamtej dziewczyny.

— Ojciec nie pozwoli mi się żenić.

— Ojciec zezwoli... Śpiesz się.

— Lecz... Słuchaj, rabbi. Gdym był w domu ojca Rut w Megiddo, podobą mi się ta dziewczyna. Dobra dziewczyna. Ale byłem tylko młodym żołnierzem... Dziś jestem księciem... Mogę zająć daleko... Gwiazdy...

— Co gwiazdy?

— Nie krzycz tak głośno, rabbi, bo cię usłyszą. O, jaki ruch wśród straży!

— Mów prędzej!

— Fahad syn Nehoda patrzy w gwiazdy i wróży z nich przyszłość mężów. Mówił mi... Lecz uciekaj, rabbi! Idą!

Rzeczywiście kilku strażników weszło do ogrodu. W blasku księżyca połyskiwały ich tarcze. Szli w ich stronę. Może nawet nie wiedzieli o obecności Jeremiasza, lecz teraz mogli go w każdej chwili spostrzec. Lekkomyślnością byłoby czekać. Prorok zniknął w mroku między krzewami. Ale odchodząc rzucił Elmadamowi prosto w ucho:

— Słyszysz: masz wrócić! Jeśli ten nędznik naprawdę zobaczył wśród gwiazd... to tym bardziej masz wrócić!

Śpiesznie szedł między krzewami, przedzierał się pod samym murem w gęstym mroku. Ktoś go jednak musiał zobaczyć, bo spotykał ciągle na swej drodze patrole rozglądające się czujnie po krzewach, z gotową do rzutu włócznią. Gniewnie syknął: „Mnie ścigacie?!” Przesuwał się coraz czujniej, kluczył. Znał dobrze ogrody i krużganki, nie lękał się wśród nich zagubić. Ale kiedy dotarł do bocznej furki, którą wszedł do pałacu, zobaczył przy niej straż. Zawrócił. Znowu skradał się wzdłuż murów, przylepiał do każdego płata cienia. Straż go szukała, ale to szukanie odbywało się w całkowitej ciszy. Domyślił się, dlaczego. Nie chciano go płoszyć, a poza tym każdy patrol miał nadzieję, że to on odnajdzie zbiega, na którego głowęznaczona była nagroda. Zaśmiał się szyderczo. Teraz dążył w głąb zabudowań pałacowych,

w kierunku, gdzie pałac stykał się z terenem świątyni. Mur między Sella a świątynią był niski, można go było łatwo przeleźć. Jeremiasz prędko znalazł odpowiednie miejsce. Trzeba się było tylko wspiąć na palmę, a z palmy przeskoczyć na cedrowy daszek zawieszony od strony świątyni na murze. Szybko to zrobił.

Teraz znalazł się na jasno oświetlonym księżycem podwórku świątyni. Nie rosło tu ani jedno drzewko, ani jeden krzak. Nie pozostawało nic innego jak szybko przebiec podwórze. Jeremiasz nie zastanawiał się ani przez chwilę: pomknął wzdłuż muru. Przed nim zamajaczyła nagle plama cienia. Skoczył w jego stronę. Ale w tej chwili zatrzymał się pełen wstrętu. Pod murem znajdował się mały gaid wetkniętych naprędce krzewów sykomorowych. Między drzewkami zobaczył ołtarz, rytualne łoża, niski czerwony posąg bogini o wielkiej twarzy i szerokich biodrach, trzymającej w rękę gołębia. Zgrzytnął zębami, zacisnął pięści.

Zniszczone przez Jozjasza kultury odrastały szybko, jak odrasta młoda trawa po pierwszych deszczach. Nie mógł się pohamować: nie bacząc na niebezpieczeństwo, jakie mu groziło, uderzył kijem w bałwana. Obalił go, opluł, zbezczeszczył. Wytarzał głowę posągu w kałuży moczu. Dysząc nieugaszoną furią, poszedł dalej. Prawie wpadł na kryjącą się w mroku parę.

— Precz, trzodo! — krzyknął. — Precz z podwórca świątyni!

— To Jeremiasz! — zawołała kobieta.

Mężczyzna porwał za leżącą na ziemi włócznię, ale prorok wydarł mu ją z rąk, złamał, odepchnął tamtego tak silnie, że uderzył o mur i padł na ziemię. Kobieta wrzasnęła:

— Tu Jeremiasz! Na pomoc! Biegnijcie!

Smagnął ją przez twarz, syknął:

— Milcz, nierządnicu!

Poszedł dalej. Kobieta początkowo milczała, ale kiedy zobaczyła, że odszedł, podniosła krzyk. Posłyszał gwar biegnących ludzi. Szybko rozejrzał się naokół, szukając kryjówki. Ale nie miał innego ukrycia, jak tylko świątynię. Wielkie drzwi prowadzące do Świętego stały otworem. Minął przedśrodek i znalazł się w mrocznym wnętrzu.

Zielone światło księżycy wpadało przez wysoko pod sklepieniem umieszczone i zakratowane okna. Blask kładł się prostokątami na ścianie, drgający, jakby żywy. Jeremiasz szedł przez środek świątyni, uważając, by nie wpaść

na ukryty w mroku ołtarz kadzenia lub na stoły ofiarne, stoły pod chleby pokładne i świeczniki. Zwolna ostygła w swym gniewie i podnieceniu. Spoza świątyni dochodziły go głosy nawołujących się ludzi, ale były mu one tak obojętne, że szybko o nich zapomniał. Głęboki spokój, jaki panował we wnętrzu, ogarniał także serce człowieka. W tej chwili nie myślał o niebezpieczeństwie. Cisza wyłoczonego wnętrza pełnego rzeźbionych drzew, traw i liści oraz skrzydlatych cherubinów pochłaniała go, wciągała w swą głębię. Zatrzymywał się na chwilę, potem znowu szedł. Dotykał wyciągniętymi przed siebie rękoma sprzętów świętych. I kiedy poczuł pod palcami rogi ołtarza kadzenia, nagle dla siebie samego nieoczekiwanym ruchem podniósł ręce w górę. Wpatrzył się w mrok. Prószące z góry światło pozwoliło mu po chwili wpatrywania się spojrzeć czarny, czarniejszy niż ściany prostokąt. Sunąc na kolanach zbliżył się do zasłony z ciężkiego bisioru.

Za nią było Święte Świętych — tajemniczy przybytek, do którego wchodził ojciec, lecz do którego on nie mógł wejść. Wiedział, że jest tam tylko Skrzynia Przymierza, nad którą pochylają się dwa złote cherubiny. Przed laty podczas święta Odnalezienia Prawa skrzynia była obnoszona przez kapłanów wokół świątyni. Wtedy widzieli ją wszyscy. Ale tu, za zasłoną, pozostawała ukryta: symbol Bożych obietnic, a wraz z nim niewidzialny, niepojęty Jahwe, Duch — Jahwe. Skłoniwszy głowę Jeremiasz dotknął ustami grubo tkanej materii przenikniętej zapachem kadzideł i dymu. Za zasłoną zdawało się oddychać niewidzialne Bóstwo, straszliwe w swej niewidzialności i nią właśnie bardziej niż jakimkolwiek wyobrażeniem nakazujące posłuszeństwo. Jeremiasz korzył się przed Boską potęgą, ale jednocześnie czuł ból, rozumiały ból ludzkiego serca, że ten Jahwe nie zstąpi ku nim żywym, dotykającym kształtem. Nie posągiem. Wszystkie posągi miały w sobie martwość gliny, twardość kamienia, odrażający chłód kruszcu. Drażniące były w swej obojętności dla ludzkich cierpień. Zapatrzona gdzieś w przestrzeń oczy bogów fenickich, asyryjskich czy chaldejskich, uśmiechnięte tajemniczo usta bogów egipskich nie wyrażały żadnego współczucia dla nędzy swych wyznawców. Niewidzialny Jahwe tkwił znacznie głębiej w sprawach ludzkich, ale i to tkwienie — dla swej niewidzialności — było surową próbą serc ludu wybranego. Znajdował się blisko, tuż za zasłoną. A mimo to byt królestwa judejskiego nie przestawał być zagrożony; nawet wewnątrz, w samej krwi wybranego narodu pulsowały niebezpieczeństwa i groźby. Nie wystarczał już najbezwzględniejszy nakaz czy zakaz. Oporny, twardy, nieposłuszny lud niezdolny był wytrwać w surowej sieci Prawa.

Rwał ją w każdym pokoleniu. Jeremiasz pochylając się i dotykając czołem kamiennej podłogi myślał — nie bez lęku, że tak myśleć może — iż nie tylko grzechy ludu, ale także coś jakby niepełność rzeczy Bożych czyni niewidzialność Jahwe niewidzialnością zupełną. Pan nie odkrywał się całkowicie. Dawał się im poznać tylko swą odrębnością od sfory bóstw pogańskich. Nie był nimi, „którzy nie byli”. Ale czym był On sam, niewidzialny Jahwe, pozostało tajemnicą. Dlatego to ludzie pełniąc nakazaną służbę usprawiedliwiać się mogli, że uczynili wszystko i że nic już więcej czynić nie potrzebują. Służyli o tyle tylko, o ile ich przymus do służenia zmuszał. Poza przymusem pozostawało mało, niedostrzegalnie mało służby Bożej. Tyle zaledwie, ile swych starań ofiarowuje prawej, lecz nie kochanej żonie uczciwy mąż...

Blask księżyca przygasł, czerń nocy ustępowała miejsca mglistej szarzyźnie przedświt, kiedy Jeremiasz opuścił miasto. Zsunął się po prostu z muru. Robiło się coraz jaśniej. Wilgoć wisała na gałęziach drzew i na krzewach. Spiesznie szedł, niosąc pod pachą zabrany ze świątyni bochen pokładnego chleba. Doszedł do miejsca, gdzie w nocy spotkał się z kobietą i z chłopcem. Oboje spali obok siebie, przykryci jednym płaszczem. Obudził ich. Patrzyli na niego przerażeni. Przelamał chleb: dał połowę kobiecie, połowę chłopcu. Rzucili się chciwie na jedzenie. Robiło się tymczasem coraz jaśniej. Dzień spływał z gałęzi drzew oliwnych w głąb wąwozu Cedronu.

Gdy zjedli, powiedział nieoczekiwanie do kobiety:

— Daj, niech chłopiec idzie ze mną.

Zadrżała.

— Chcesz mi zabrać syna? — jęknęła.

— Syn twój będzie głosić słowa Pańskie.

Gwałtownie ogarnęła chłopca ramieniem. Przypomniała sobie swą dolę i poczęła płakać. Niepewnie, drżącym głosem zapytała:

— I będzie szczęśliwy?

Nie odpowiedział. Wyciągnął rękę, wziął w dłoń małą rączkę dziecka. Zawołała:

— Kiedy cię zobaczę, Baruchu, synu mój?!

Ale nie próbowała się sprzeciwiać. Oparta na rękach, pochylona do przodu śledziła, jak wielki prorok uprowadzał jej syna w szary brzask rozpoczynającego się dnia.

X

— Więc opowiadaj wszystko, Elmadamie, opowiadaj...

Nohesta oddaliła swoje dziewczęta, każąc im także zabrać dzieci. Skieńczyła na młodego rycerza, by usiadł obok niej. Odchylając się w tył, sięgnęła do kosza z winogronami i trzymając w ręku dużą kiść, łakomie chwyciła ustami soczyste czarne grona.

— Opowiadaj.

Chrząknął. Szukał słów. Było mu trudno mówić, gdy siedział tuż obok kobiety, której zuchwałe pieśczoły pozbawiały go rozsądku. Patrząc na niego z ukosa, zapytała tonem, w którym brzmiała drwina:

— Czemu nie mówisz? Słucham...

— Hm... Więc... No... faraon odjechał z Riblah...

— To ciekawe... — nie przestawała gryźć owoców, a czerwony sok tryskając zabarwiał jej wydatne, lekko wysunięte wargi.

— Tak. Odjechał. Ale wojsko pozostawił. Wiesz — podobno niektóre pułki greckie zbuntowały się. Chciały by je puścić do domu. Ale faraon uwięził wodzów greckich, kazał ich nawet podobno pozabijać. A sam odjechał...

Urwał, poczuwszy dotknięcie dłoni kobiety. Podniósł wzrok na Nohestę: wyzywająco patrzyła mu prosto w oczy. Jej ręka węzowym ruchem sunęła po jego ramieniu.

— Mów dalej... — powiedziała. — Czemu milczysz?

Zaśmiał się. Gwałtownym ruchem przyciągnął ją do siebie, przycisnął mocno, aż poczuł na piersiach ciepło jej piersi. Ale ona wywinęła się z jego ramion. Zamrugła podciemnionymi oczyma.

— Chcę, abyś mówił...

— Cóż mam ci jeszcze powiedzieć? — Był już nieco gniewny. Podniecenie biło mu falą krwi na policzki, rozszerzało źrenice. — Powiedziałem... Faraon odjechał do Egiptu...

— I co będzie teraz?

Wzruszył ramionami.

— Cóż ma być? Nic się nie zmienia. Joachaza zabrał ze sobą w łańcuchach. Twój mąż królestwa z ręki nie puści.

Skinęła głową.

— Tak, Eliakim jest prawdziwym mężem. Nie zwykł puszczać zdobyczy z ręki. — Znowu patrzyła wyzywająco w oczy mężczyzny. — A ty, Elmadamie, umiałbyś zdobyć trzymać?

Krzyknął coś niecierpliwie i znowu wyciągnął do niej ramiona. Lecz ona odsunęła je od siebie stanowczym ruchem.

— Przestań... Przecież rozmawiamy... — śmiała się. — Słuchaj. A cóż ta twoja dziewczyna?

Zmarszczył czoło. Gniewnie odwrócił się od Nohesty. Ale teraz to ona przysunęła się do niego, oparłszy się całym ciałem o plecy mężczyzny.

— No cóż? Czemu nie odpowiadasz?

Chciał ją schwytać, lecz odskoczyła zręcznie. Padła na szerokie, pokryte kosztowną materią łóżce i wybuchnęła śmiechem. Kiedy się jednak zbliżył, odpędziła go gestem.

— Nie, nie. Musisz odpowiadać, kiedy cię pytam. Więc cóż ta dziewczyna z Megiddo?

Spacerował tam i z powrotem po izbie, by wyparować z siebie wzburzenie. Rzucił:

— Wiesz, że jej nie widziałem!

— I nie wybierasz się do niej?

Zawahał się. Ale ogarnęła go chęć podrażnienia Nohesty.

— Może...

— Ach, powinieneś jechać... — Siadła i poczęła znowu skubać grona winne. Mówiła z żywą gestykulacją, ze zręcznie ukrytą ironią. — Naturalnie, że powinieneś. Ta biedna dziewczyna pewno na ciebie czeka. Na pewno... Jakżeż się ona nazywa?

— Rut.

— Jakie piękne imię! Rut... Ach, naturalnie, powinieneś jechać, śpieszyć się. No, kiedy pojedziesz?

Nie potrafił wyczuć, czy mówi poważnie, czy też drwi z niego. Był ciągle zniecierpliwiony. Bąknął:

— Mówiłem ci, że może...

Wybuchnęła szalonym śmiechem. Padła na łoże i zakryła twarz rękoma. Dusząc się od śmiechu pytała:

— A Eliakim? Czy ciebie puści?

Niebieska papuga, która siedziała na drążku w kącie izby, zaskrzeczała otwierając śmiesznie dziób. Zdawała się wtórować śmiechowi Nohesty. El-madam pogroził gniewnie ręką — przestraszony ptak zatrzepotał skrzydłami.

— Zostaw ją — Nohesta ledwo potrafiła mówić wśród wybuchów śmiechu — odpowiedz mi.

Stał odwrócony tyłem do kobiety, patrząc przez okno na rozwiane czuby palm rosnących w pałacowym ogrodzie. Wzruszył ramionami.

— Wiesz, że Eliakim chce mnie ciągle mieć przy sobie...

Każde jego słowo witała nowym wybuchem wesołości. Trzęsła się od śmiechu, aż dzwoniły jej manele i łańcuszki.

— Może chcesz — usiłowała mówić poważnie, ale co słowo parskała śmiechem — żebym go prosiła, by ciebie puścił?

Zrozumiał, że z niego drwi. Gniewnie tupnął nogą, co sprawiło, że się zaśmiała jeszcze weselej. Począł chodzić tam i z powrotem, zły i rozdrażniony.

— Nie! — mruknął.

— Więc nie chcesz jechać? — pytała go. — Jej dolna warga, amarantowa od soku jagód, wysunięta lekko ku przodowi, drżała hamowaną wesołością.

— Nie! — powtórzył.

— Siądź tu przy mnie — ruchem ręki wskazała mu miejsce.

Przez chwilę chodził udając, że nie dostrzegł zaproszenia. Potem powziął decyzję: siadł sztywno. Starał się nad sobą panować, choć mu to przychodziło z trudnością. Przysunęła się do niego, oparła całym ciałem o jego ramię. Poczęła delikatnie gładzić palcami jego głowę.

— Daj spokój... — rzekł bez przekonania.

Czuł jej włosy na policzku, dotknięcie jej dłoni na karku. Widział jej nagie ramię pokryte drobnymi brązowymi cętkami. Już kiedyś zwrócił uwagę na białosć jej skóry. Była ona jaśniejsza i bardziej delikatna niż skóra innych kobiet judejskich.

— Słuchaj, Elmadamie — szepnęła — myślę, że będziesz jeszcze większy, niż jesteś...

Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Umiała go czarować takimi słowami. Od razu opadły z niego żal i rozdrażnienie.

— Tak sądzisz ? Bo wiesz, w gwiazdach szczęśliwie jest zapisany mój los. Tak mi powiedział Fahad. Ale nie jestem pewien, czy mówił prawdę. Chciałbym się o tym dowiedzieć od wróżów chaldejskich... Oni podobno umieją patrzeć w gwiazdy...

Poczuł zadowolenie i zapał. Nagłym ruchem ogarnął ramionami Nohestę i przycisnął do siebie. Tym razem nie bronila się. Kiedy całował mocno, gwałtownie jej usta, wpiła mu paznokcie w ramię aż do bólu. Ale on nie czuł tego. Dysząc cisnął ją coraz mocniej w ramionach.

Ciche stukanie w mur oderwało ich od siebie. Po chwili ukazała się w drzwiach jedna z zaufanych dwerek królowej.

— Twój mąż, Nohesto, tu idzie — zawołała cicho.

Nohesta skinęła lekko głową. Dała Elmadamowi znak, by pozostał. Po chwili wszedł Eliakim. Płaszcz królewski, dawny płaszcz Jozjasza, który wydawał się zbyt kusy na bryłowatej figurze Joachaza, Eliakimowi spadał do samej ziemi. Mała czarno zarosła twarz króla znikwała pod wielkim turbaniem, na którym osadzona była korona. Miał zawsze ten sam krok prędki, lekko podskakujący, nerwowe, gwałtowne ruchy. Czarne oczy biegały niespokojnie.

Nohesta powitała go niskim ukłonem.

— Witaj, królu.

— A, Elmadam? — zobaczył rycerza. — Dobrze, że jesteś. Mam ci coś do powiedzenia. — Pieszczotliwie poklepał Nohestę po policzku. — Jak się masz, Nohesto?

— Zobaczył kosz winogron. — Ha, jakie ładne! — Począł rwać grona i wpychać je sobie szybko do ust. Zwrócił się do żony: — Słuchaj. Nohesto...

Uprowadziła jego słowa.

— Czy zechcesz mnie wysłuchać, panie?

Skinął głową, wciąż rwąc winogrona.

— Cóż takiego?

— Mam do ciebie prośbę. Właśnie Elmadam — zrobiła gest ręką — prosił mnie, abym się do ciebie zwróciła. On sam nie śmie...

— Nie śmie? — Eliakim wzruszył ramionami. Łykał winogrona, prawie ich nie rozgniatając.—Bardzo jestem łaskawy dla niego.

— Tak, jesteś. On się nie skarży, ale wiesz, że on ma dziewczynę w Megiddo.

Rzuciła kpiącym spojrzeniem na Elmadama, który słysząc jej słowa gniewnie zmarszczył brwi. Eliakim wciąż łąpczywie jadł winogrona. Mruknął lekceważąco:

— Ach, ta dziewczyna!

— Elmadam ją kocha... — powiedziała Nohesta.

— Niechaj ją sobie kocha! — król zaśmiał się. — Szukasz pomocy u mojej żony? Cóż to za dziewczyna? Ach, już pamiętam. Mówiłeś mi o niej. Dobrze, dobrze, będziesz mógł ją sobie wziąć. Ale poczekaj z tym jeszcze. Jesteś mi teraz potrzebny... Słuchaj, Elmadamie... — mając w dłoni całą garść winogron podszedł do rycerza. Wziął go za połę płaszcza. — Tobie ufam jak za dnemu z moich ludzi. Czy wiesz, że faraon odplłynął do Egiptu?

— Wiem.

— Widać z tego, że wyprawa na Chaldejczyków odciąga się. A tymczasem Jeremiasz... Czy wiesz, co się z nim dzieje?

Elmadam potrząsnął głową.

— Nie.

— Wciąż go szukam, ale on wyślizguje mi się z ręki. Jedni widzieli go w Hebron, inni w Hazor i w Kedes. Ukazuje się i znika. Wszędzie mówi przeciwko faraonowi. Pytałem Helkiasza i Azariasza, gdzie jest, ale odpowiedzieli, że nie wiedzą. Naturalnie nie wierzę im. Są chytry. O, lisy z tych kapłanów! Nienawidzę ich! — splunął pestkami. — Nienawidzę! Uważają, że im się wszystko należy i że im wszystko wolno. Królem by chcieli rządzić! A jak im tego nie dać — knują spiski. Przecież wiem, że to oni zamordowali dziada, choć się tego wyparli. Jeszcze sami najgłośniej krzyczeli, by morderców pozabijać. Ale ja się im nie dam! O, nie! Nie jestem takim, którego można okpić! Znacie mnie — prawda?

— Nie, ty się nie dasz nigdy okpić — powiedziała z przekonaniem w głosie Nohesta.

Eliakim zapchał usta garścią winogron i przez chwilę gryzł je gwałtownie, aż sok tryskał mu na brodę. Porywczym ruchem otarł ją wierzchem dłoni.

— Nienawidzę ich! — rzucił znowu. — Niech się strzegą! Skoro chcą wojny, będą mieli wojnę. Ojciec rozzuchwalił ich, zniszczywszy wszystkie kulty. Wcale nie myślę tak postępować! Kiedy będą u nas kapłani Baalów, Astarte, Molocha, Kamosa i innych, zaraz zmniejszy się bogactwo synów Aaronowych. Może nie?

Sięgnął po kosz z winogronami, postawił go obok siebie na łożu, a potem wyciągnął się wygodnie. Jadł teraz mniej łapczywie, leniwiej sięgał po grona i wolniej wkładał je do ust. Trzymając jedno z nich w palcach, mruknął:

— Gdybym mógł ich zgnieść jak tę jagodę!

Zwrócił się do Nohesty:

— Chcę, byś zwołała kobiety na obchód oplakiwania Tammuza... Co?

Schyliła głowę gestem pokornej żony.

— Jeżeli tego pragniesz...

Przeciągnął się leniwie. Wysuniętą dłonią dotknął lubieżnie nogi Nohesty. Odsunął od siebie kosz. Rzekł do Elmadama:

— Teraz idź. Puszczę cię do twojej Megidki. Ale później. A jeśli ci potrzeba dziewczyny, dam ci niewolnicę. Ładną i doświadczoną.

Gdy wychodził, Nohesta trąciła go nieznacznie w bok i uśmiechnęła się na poły drwiąco, na poły triumfalnie. Była w tej chwili tak kusząca, że ledwo zapanował nad sobą. Idąc krążgankami, myślał wciąż o jej uśmiechu, o jej twardych ustach.

O Rut zapomniał już niemal. Przestraszyły go nocne odwiedziny Jeremia-sza. Bez chęci myślał, że będzie jednak musiał udać się do Megiddo. Lecz jeśli pojedzie — rozważał — to chyba tylko po to, by się ożenić z Rut. Wtedy stawała mu przed oczyma Nohesta. Pożądał jej tak, że będąc blisko niej zapominał o wszystkim innym. Ale zdawał sobie sprawę, że miłości z Nohestą grożą w każdej chwili wielkim niebezpieczeństwem. Prawda, że właśnie dzięki nim stawał się coraz bardziej potężną postacią w zamku syjońskim. Lecz jednocześnie rósł w nim niepokój na myśl, co będzie, jeśli Eliakim dowie się o zdradach żony. Opanowany żądzą władzy, król mało poświęcał jej czasu i uwagi. Pasjonowała go walka z przeciwnikami, rozbijanie wpływu kapłanów i stronników Joachaza. Ostatnio także począł z wyraźną nienawi-

ścią patrzeć na małego Mataniasza. Mając dzikie, żołnierskie gusta zaniedbywał żonę na rzecz niewolnic. Ale to wszystko mogło się zmienić. A wtedy co? Wtedy... Elmadam jak najszybciej odpychał od siebie tę myśl. Inną przecież nadzieję pieścił w sercu. Wzbudził ją w nim kapłan Merajot, opowiedziawszy mu w tajemnicy o tym, co prorokował Uriasz. „Wiesz — mówił przybliżając Elmadamowi do ucha swe duże, wywinięte wargi — on powiedział, że Pan odejmie swą rękę od pokolenia Jozjasza, a pobłogosławi inny ród Dawidowy. No, co ty na to? Inny ród — to przecież ty!” — Elmadam odszedł wstrząśnięty. Wprawdzie ród Dawidowy miał tak wiele bocznych linii, że niektóre z nich zatraciły zupełnie dawną świetność. Ale Elmadam uważał, że przepowiednia stosuje się niewątpliwie do rodu Hera. Że zaś starszy brat Elmadama gospodarował w rodzinnym Betlejemie i użerał się ze swą żoną Fenicjanką, zaś średni Jatanael chorował na nogi i prawie nie mógł chodzić, Elmadam był przekonany, iż przepowiednia odnosi się tylko do niego.

Myśląc o niej, niecierpliwie służył Eliakimowi. Śledził bieg zdarzeń i starał się pilnie o nieprześlenie okazji. Poszedł do wróża Fahada i ten mu z gwiazd odczytał horoskop wielkości. Coraz bardziej podniecało go to wszystko. Denerwowała go myśl, czy potrafi w odpowiednim momencie sięgnąć po swój los.

W parę dni później, gdy stojąc na podwórzu zamkowym próbował wielkiego chalybskiego łuku, sprzedanego mu przez kupców fenickich, przybiegł pacholik, by mu powiedzieć, że jakiś człowiek przybył z daleka do Jerozolimy i wypytuje o Elmadama. Nie miał pojęcia, kto to mógł być. Naciągając sprężystą cięciwę, próżno przeszukiwał w pamięci imiona znajomych sobie ludzi. Cięciwa bzyknęła. Strzała ciężko utkwiła w słomianym celu. Elmadam oddał łuk w ręce niewolnika i sam poszedł za pachołkiem ku bramie pałacu. Stały tu wielbłądy, a obok nich trzech ludzi uzbrojonych i ubranych w podrózne szaty. Na widok Elmadama jeden ze stojących wyszedł mu naprzeciw. Miał na sobie pasiasty burnus i turban spadający głęboko na twarz. Idąc opierał się na krótkiej włóczni. Elmadam drgnął poznawszy w przybyłym Joela syna Michy.

— Witaj, Elmadamie — powiedział młody kupiec. — Oby Pan był zawsze z tobą.

— I z tobą także, Joelu. Cieszę się, że przybyłeś.

Ale naprawdę poczuł, jak mu niespokojnie bije serce. Kazał służbie zająć

się wielbłędami. Sam poprowadził gościa w głąb Sella. Przechodząc przez pałac nie mówili do siebie wiele. Joel rozglądał się ciekawie. Idąc krużgankiem, powiedział tonem zachwyty:

— Jakież wspaniały jest Przybytek...

Świątynia leżała przed nimi w białym, piekącym blasku południowego słońca. Z zewnątrz otaczał ją niski mur z ciężkich ciosanych głazów, potem drugi, nieco wyższy, w którym były trzy wielkie zdobne pylonami i szereg mniejszych bram. Wzdłuż murów piętrzyły się przybudówki i ciągnęły się krużganki. Wewnątrz na wzniesieniu stał sam Przybytek. Całość była biała, ale liczne złocenia płonęły oślepiająco w blasku słońca. Delikatne smugi dymu wznosiły się w górę i roztopiały w przejrzystym powietrzu.

— Prawda? — podchwycił Elmadam i począł spieszenie opowiadać o świątyni.

— Przywiozłem ofiarę... — Joel przerwał mu, wciąż oglądając się na świątynię. — Chciałbym ją złożyć...

— Naturalnie, że będziesz mógł ją złożyć. Powiem o tobie arcykapłanowi. Słuchaj... — wciąż mówił prędko i dużo.

Zaprowadził Joela do jednej z bocznych izb. Kazał służbie przynieść wina, mięsa, placków, daktyli. Po prostu nie pozwalał bratu Rut dojść do słowa. Ale w końcu musiał się zatrzymać. Z niepokojem popatrzył na swego gościa. Tamten jednak nie od razu zaczął mówić o tym, z czym przyjechał. Póki jedli i pili, rozmawiał o sprawach błahych. Dopiero gdy skończywszy ucztę wyciągnęli się na miękkich matach, odezwał się:

— Przyjechałem tutaj, Elmadamie...

Joel do ucztę zdjął płaszcz, turban, odstawił łuk i włócznię. Na wół leżąc na macie, gładził dłonią przykrywającą ją derę. Nie patrzył na Elmadama. W jego oczach migały złote ogniki. Syn Hera przypomniał sobie, jak — tak samo leżąc — Joel opowiadał mu o swoich przygodach w dalekich morskich podróżach.

— Przyjechałem tutaj... — powtórzył i urwał. Podniósł głowę, popatrzył prosto w oczy Elmadama. Przelamywał się wewnętrznie, by dalej mówić. — Wiesz — zaczął znowu, ale ciszej, prawie szeptem — że pokochałem cię jak brata... — Teraz to Elmadam spuścił wzrok. Próżno opierał się, aby tego nie robić. Czuł ból w oczodołach tuż nad nasadą nosa. Nie podnosząc głowy potarł dłonią czoło. Joel cicho ciągnął: — Przypadłeś mi do serca. I kiedy

powiedziałeś, że ci się Rut podoba, że chcesz ją za żonę, ucieszyłem się tym naprawdę. Wierzysz mi chyba. Powiedziałeś, że zaraz przyjedziesz po nią, a ja ci przyrzekłem, że Rut, póki nie wrócisz, będzie niczyja... Tymczasem płyną miesiące. Ciebie nie ma. Wszyscy czekają... Obiecałeś nie zwlekać...

Elmadam począł bąkać niewyraźnie, nie podnosząc wzroku:

— Tak. Wiem. Masz rację. Ale widzisz, mój ojciec nie chciał się zgodzić, abym zenił się z Rut. Prosiłem go, przedkładałem, tłumaczyłem. Widzisz... To dlatego...

Joel spokojnie kiwał głową.

— Ja też myślałem, że to dlatego... — powiedział; w jego głosie znac było ulgę.

— Teraz — Elmadam otarł spocone czoło — teraz myślę, że się zgodzi. Zresztą jestem przy królu — ogarnęła go chęć pochwalenia się. — Król Eliakim uważa mnie za swego przyjaciela. Uczynił mnie księciem. Mogę dużo. Zobaczysz. Bogato cię obdaruję na drogę. A do Rut — przyjadę...

— Kiedy, Elmadamie?

— Niedługo.

— Trzeba, abyś pojechał zaraz.

— Zaraz? To niemożliwe. Jestem na służbie królewskiej. Rut jest młoda. Może poczekać.

Joel powiedział nieoczekiwanie twardo.

— Nie może czekać, Elmadamie.

Ten lękliwie spuścił wzrok i począł bawić się trzymanym w rękę nożem.

— Rozumiesz chyba... — podjął Joel po chwili milczenia. — Nie zachowałeś się pięknie. Inne dziewczęta drwią z Rut... Ojciec się martwi... A ona... No, pojmujesz, co ona cierpi... Znasz prawo. Ale przecież nie chodzi o prawo. Mówiłeś, że ci się podoba, że ją kochasz, że nie chciałbyś, aby ją kto skrzywdził...

— Elmadam miał uczucie, że deszcz ciężkich głazów spada mu na głowę. Jego planom groziła klęska. Ciężko przełknął ślinę. Przewyciężając oniśmienie rzucił ostro:

— Czego więc chcesz ode mnie?!

Na twarzy Joela odmalowała się troska. Znowu powiedział miękko, ustępliwie:

— Przecież ją chyba kochasz? Przyjeźdź i ożeń się z nią!

Ale Elmadam począł krzyczeć:

— Chcesz mnie zmusić, abym ją wziął?! Dziewczyne, która...

Joel przerwał mu gwałtownie:

— Na mury świątyni — zamilcz! Skrzywdziłeś moją siostrę!

— Jeśli skrzywdziłem, to nie ja pierwszy...

— Kłamiesz! Zwiodłeś ją! Ufała ci jak bratu!

Elmadam tupnął nogą:

— Milcz! Oszalałeś? Miałem kogo uwodzić! Sądzisz może, że mi na niej zależy? Albo na was? Mogę być pierwszy w królestwie. Słyszysz? Pierwszy! Mogę mieć każdą dziewczynę, jakiej zapragnę. Mogę... — ugryzł się w język. Uderzył dłonią w stół. — Słyszałeś? — wykrzyknął raz jeszcze.

Joel powstał i mocno, boleśnie zacisnął dłonie. Czas jakiś milczał patrząc w kąt izby. Na jego twarzy pojawiały się, jeden po drugim, bolesne grymasy. Głos mu drżał, gdy powiedział:

— Więc nie chcesz... Widzę, że zwiodłeś nas wszystkich... Ha, cóż — gestem wyrażającym bezradność rozłożył ręce. — Pójdę do króla. Zaprowadź mnie do Eliakima.

Zapadło milczenie. Elmadam znowu zwiesił głowę. Uświadomił sobie sytuację, w jakiej gotów się znaleźć, gdyby Joel poszedł do króla. Dopiero co przecież prosił Eliakima o pozwolenie na wyjazd do Rut. Czyż królowi nie wydałoby się to wszystko dziwne? Czyż nie wzbudziłoby jego podejrzeń? Stosunek z Nohestą trzeba było za wszelką cenę ukryć.

Głucho i niechętnie powiedział:

— Nie idź do króla. Ożeń się z Rut.

Kiedy Joel, zmęczony podróżą, położył się spać, Elmadam wyszedł na kruczganek. Stał z pochyloną głową, rozmyślając nad tym, co ma czynić.

Jego dawna miłość do Rut zmieniała się z coraz większą siłą w niechęć do niej za to, że stanęła mu na drodze. Tak to pojmował. Przeżuwał w sobie gniew: dlaczego musiał znaleźć się właśnie w domu Michy? Już nie myślał

o Rut jako o tej szczupłej, zwinnej dziewczynie, która tańczyła przed nim i z takim wdziękiem pochylała się nad zanurzoną w potoku bielizną. Niechęć do narzeczonej łączyła się z niechęcią do Joela. Zaciskając pięści mruknął:

— Ten głupi kupiec! Zły go tutaj przyniósł...

Był tak zajęty swymi myślami, że nawet nie zauważył Uriasza, który także znajdował się na krużganku. Stał oparty o kolumnę i patrzył na świątynię. Wydawał się czymś bardzo przejęty. Po bladej, zalęknionej twarzy proroka płynęły łzy. Duże usta wynurzające się z rozwichrzonej brody dygotały niby w gorączce. Wydawał się także pochłonięty czymś, co go wlokło ku jakimś nieznanym rozwiązaniom. On zaś, niby tonący, który chwyta się za śliskie, nabrzeżne kamienie, za wątle trawy rwące się w palcach i próżno usiłuje z ich pomocą wyrwać się morskiej fali, rozpaczliwie, lecz bezradnie bronił się przed tą przemocą.

Nagle posłyszeli dźwięk bębenków, gwar głosów, stąpanie wielu nóg. Obaj nagle oprzytomnieli. Uriasz rzucił się w tył, jakby chciał uciekać. Prawie wpadł na Elmadama. Oczy miał szeroko otwarte, błyszczące, twarz skamieniała — tylko usta drżały mu już wymawianymi słowami. I ledwo Eliakim, otoczony swym dworem, w towarzystwie Nohesty i dzieci wszedł na krużganek, Uriasz przemagając jakimś nadludzkim wysiłkiem swój lęk rzucił się naprzeciw króla, stanął przed nim bijąc rękami jak ktoś, kto się dusi. Krzyknął przeraźliwie:

— Królu Eliakimie, mówi Pan...

Idący zatrzymali się zaciekawieni, a jednocześnie lekko zalęknieni. Patrzyli na Uriasza. On zaś przez chwilę łapał szybko powietrze półotwartymi ustami niby wydobyta z wody ryba, a potem dalej wołał:

— Mówi Pan: Odjąłem moją rękę od swego królestwa. Sprzykrzył mi się bowiem płacz wdów, krzywda sierot, ucisk biednego... Obrzydło mi to królestwo dla jego bezbożności. Bardziej są inne ludy wierne swym bałwanom niż wy mnie! Więc odjąłem rękę i odchodzę, zaś na was zstąpi kara, pomsta miecza, ognia i głodu. Słuchaj, Eliakimie: Oto idzie dzień, gdy kamień na kamieniu nie zostanie z Syjonu. Patrz, patrz teraz, bowiem nie będzie już potem Przybytku, który dla mnie zbudował twój pradziad! Rozsypie się dom Pański, obcy spalą go i zdepczą, zbezczeszczą i splugawią. Patrz! Patrz, Eliakimie! Oto Syjon ruiną i zgłiszczem. Psy nad nim wyją i kruki kraczą...

Prorok zaniósł się łkaniem. Począł rwać włosy z głowy i drzeć paznok-

ciamy policzki. Oniemiali i przerażeni dworacy cofnęli się. W zielonych oczach Nohesty zapalił się płomień niepokoju. Dzieci zaczęły płakać. Tylko jeden Eliakim tupnął gniewnie nogą i podbiegłszy do proroka chwycił go obu dłońmi za szaty na piersiach.

— Coś powiedział — wrzeszczał — wściekły wieszczku? Przybytek ma być spalony? Ja mam być zwyciężony przez jakiegoś barbarzyńcę z dalekich stron? Jak powiedziałeś? — szarpnął nim, pchnął, rzucił o ziemię. Podbiegł do leżącego i począł go kopać w prawdziwej furii. — Coś powiedział? Coś powiedział?!

Zatrzymał się na chwilę. Skopany prorok dźwignął się na kolana. Z rozbitej twarzy płynęła mu krew, jedno oko miał zamknięte, nos wydawał się przetrącony. Głosem ptasim, wysokim i drżącym, zajęczał:

— O Panie, cóż Ty mi każesz mówić? — Podpierając się na rękę, usiłował wstać. Rozdarty płaszcz płątał mu się pod nogami. — O Panie... — załkał — obcy zdepczą Syjon... Zaozrą go... Zarośnie trawą i krzewami. Jeruzalem niby stos kamieni zostanie na urągowisko... O Panie, Panie... kiedyż przyjdzie Ten, na którego każesz czekać?...

Błędnie, opierając się o ścianę, dźwignął się na nogi. Podniósł w górę swą twarz zbolalą, pokrytą krwią i pyłem. Eliakim patrząc na niego zaśmiał się drapieźnie. Zwracając się do Elmadama krzyknął:

— Słyszałeś? Jeden z „nich” zbluźnił świątyni! Ha, ha, ha! Mam ich! Mam to podle nasienie!

XI

Wysoki brzeg, tworzący spadzistą szkarpe, porosły po wierzchu bujną, drapieźnie rozpierającą się zielonością, spływał w tym miejscu nieoczekiwanie łagodnym spadkiem. Po miękkim, gliniastym osypisku mężczyzna i dziecko zeszli w dół ku bystro płynącej rzece. Głęboki ghor Jordanu dyszał spiekotą i zapachami kłębiących się jeszcze większą niż tam na górze bujnością traw, krzewów, trzciny i kwiatów. Wody rzeki rozlewały się tutaj szerzej, tworząc wyraźnie wydeptany bród. Liczne ślady stóp na gorącym piasku przybrzeżnym mówiły o wielkiej rzeszy wędrowców, którzy z brodu tego korzystali. Tam po przeciwnej stronie brzeg wisiał również stromym różo-

wym urwiskiem, w którym widać było na wprost miejsca, gdzie stali, szeroki wyłom wyryty przez wody Jabboku.

Stanąwszy nad samą wodą wędrowcy chwilę patrzyli na rzekę połyskującą blaskiem słońca, na ciemną zieleń palm i papirusów, na czerwonożłoty piasek pod stopami. Milczeli nie milczeniem przymusu, ale milczeniem płynącym z wewnętrznej potrzeby. Może Baruch odezwałby się pierwszy. Milczenie dziecka ma swoje granice. Ale kiedy na chwilę podnosił wzrok na stężałą w napięciu twarz Jeremiasza, zaraz potem spuszczał głowę i dalej szedł bez słowa. Wyczulona świadomość dziecka odkrywała poza tym stężeniem cierpienie, na które jedynym lekarstwem mogła być cisza.

Jeremiasz chwilę postawszy wszedł do wody. Była ciepła i dziwnie miękka, jakby zmieszana z oliwą. Zrobiwszy kilka kroków nabi zatrzymał się i obejrzał. Baruch stał wciąż jeszcze na brzegu, patrząc niespokojnie za odchodzącym Jeremiaszem. Bał się wejść w wodę, ale nie śmiał zawołać. Jeremiasz wrócił do chłopca, pochylił się nad nim.

— Boisz się? — zapytał łagodnie.

— Tak, rabbi...

Przysiadł na piasku, pochylił swój olbrzymi grzbiet. Powiedział krótko:

— Siadaj na mnie.

Gdy poczuł ręce dziecka splecione pod swą szyją, zaś jego kolana na swych biodrach, wyprostował się i podpierając się na kiju wszedł w wodę. Początkowo stopy jego grzęzły w miękkim mule, potem muł ustąpił miejsca kamieniom. Wolno zanurzał się coraz głębiej. Woda sięgała mu stopniowo do kolan, do pasa. Choć olbrzym, szedł z trudem, tak bardzo napierała nań masa wody. Ciężkie kamienie, po których stąpał, zdawały się lekko podłatywać, gdy je potracił nogą. To spośród tych kamieni Pan kazał wybrać Jozuemu dwanaście najtwardszych na znak pamięci, że wody zatrzymały się przed Arką. Dwanaście innych kazał Jozue ułożyć na środku rzeki. To po nich może deptał w tej chwili Jeremiasz. Dwanaście kamieni... dwanaście pokoleń. A przecież z tych dwunastu dziesięć rozproszyło się pod tchnieniem gniewu Boskiego...

Chłopak mocniej zacisnął ręce wokół szyi mężczyzny. Jeremiasz czuł, jak pręży się ciało Barucha. Byli w samym środku rzeki i wielka masa zielonoburej, gniewnie pieniącej się wokół każdej zapory wody musiała trwożyć chłopca. Prorok dotknął jego splecionych dłoni:

— Nie bój się... — rzekł.

Ucisk rąk na szyi ustał. To dotknięcie, nieoczekiwanie miękkie, przywróciło chłopcu spokój. Zresztą woda stawała się znowu płytsza. Sięgała już tylko do kolan, potem do kostek. Za chwilę Jeremiasz stanął na brzegu. Baruch zsunął się z jego pleców.

Spojrzeni na siebie i nagle obaj uśmiechnęli się. Jeremiasz położył rękę na ramieniu Barucha, zaś chłopiec otarł się o nią policzkiem. Przez cały dzień mężczyzna zaledwie myślał o chłopcu, który szedł koło niego. Teraz dopiero — zdawać by się mogło — spostrzegł swego małego towarzysza. Patrzył na szczupłą twarz, na duże oczy, na zwichrzoną czuprynę. Odkrył, że chłopiec jest blady i musi być zmęczony. Zrobili przecież ogromną drogę, wędrując od wczesnego ranka prawie bez przerwy i właściwie bez jedzenia. Jeremiaszowi zrobiło się żal małego. Ciągle trzymając rękę na jego ramieniu, zapytał:

— Może jesteś głodny?

Baruch milcząc skinął głową. Nabi kazał mu usiąść na piasku i z suchego drzewa oraz z nawozu, który tu i tam można było znaleźć, rozpałił ogień. Sam wyruszył na poszukiwanie żywności. Narwał trochę dzikich fig i rzucił tymczasem chłopcu. Widział, jak Baruch niemrawo krząta się przy rozniecaniu ognia. Oddalił się znowu, idąc śladami wydeptanymi przez trzodę i począł się rozglądać, czy gdzie nie zobaczy zagrody pasterzy. Śpieszył się, zaniepokojony o samotnie pozostawionego chłopca. To wzięte od nieznaney kobiety dziecko, początkowo zupełnie obce, stało mu się nagle dziwnie bliskie. — „Muszę go nakarmić” — powtarzał idąc prędko, prawie biegnąc od jednego pagórka do drugiego. Daleko odszedł, kiedy wreszcie u podnóża skał zobaczył zagrodę ułożoną z płaskich kamieni i ostrych cierni. Kiedy się zbliżył, zaczęły szczekać psy. Potem zobaczył głowy ludzi. Pozdrowił ich, a oni odpowiedzieli mu zyczliwie. Gdy ich poprosił o gościnę, poczęli zaraz rozsuwać ciernie i kamienie. Musiał im powiedzieć, że wróci, tylko zawoła swego towarzysza.

Wracając na brzeg rzeki, uświadomił sobie, jak daleko odszedł. Palmy strzepywały z siebie pierwszy zmierzch: w górze niebo było jeszcze jasne, lekko tylko różowością pociągnięte, tutaj pod drzewami ostre cienie dnia stawały się już mechate i ciągnące się niby pajęczyna. Krzewy szeleściły. Kilka razy zgubił się i musiał na nowo szukać drogi... Wreszcie wynurzył się z zieleni wprost na płat piasku nad rzeką, na którym zostawił Barucha. Słońce leżało tu jeszcze wąską smugą blasku. Zobaczył wygasłe ognisko,

a obok leżącego chłopca. Widać śmiertelnie zmęczony chłopiec zasnął, nie pamiętając o ogniu. Jeremiasz znowu poczuł ciepłą falę serdeczności. Podszedł bliżej, lecz w tejże chwili krzyknął gwałtownie. Spod płaszcza śpiącego wysunęła się duża czarno pręgowana żmija. Podniosła łeb i syknęła gniewnie. Ale prorok już nie panował nad sobą. Porwał ją za ogon i z rozmachem zaczął bić nią o pień palmy. Kiedy była już tylko strzępkiem, cisnął ją na środek rzeki. Zerwał płaszcz z Barucha. Trwożnie przyglądał się leżącemu. Chłopak obudził się. Spojrzał uśmiechnięty na Jeremiasza. Prorok przyklęknął przy nim. I wtedy spostrzegł na nodze chłopca siny ślad.

Dopał do niego ustami. Ssał mocno. Potem porwał Barucha na ręce i pobiegł z nim w stronę zagrody. Choć się zadyszał, nie zwalniał biegu. Głową rozrywał gąszcz. Oddychał ciężko, ze świstem. Prawie zataczając się na nogach, dobiegł do płotu z kamienia i z cierni. Ułożył chłopca na baraniej skórze, gestem wskazał otaczającym go pasterzom dwie małe sine ranki i puchnącą łydkę chłopca. Poczęli kiwać głowami. Wreszcie najstarszy z nich poradził, by nogę obłożyć mokrą ziemią.

Jeremiasz siedział przy Baruchu, dopóki chłopiec nie zasnął. Nie chciał nic jeść, wypił tylko ofiarowaną mu miszkę mleka. Gdy wszyscy zasnęli, wysunął się za zagrodę. Noc była już głęboka i ciemna, bo na niebo wypłynęły kłębiaste chmury i zasłoniły gwiazdy. Górą szedł wiatr i kołysał czubami drzew. Przy ziemi nie czuło się go. Trawa była wilgotna.

Jeremiasz odszedłszy od zagrody dotarł do małego łysego wzgórza. Skąła wyzierała tu i tam spod gęstego kożucha traw i mchu. Chwilę stał nieruchomo, nadstawiając twarz na podmuch wiatru, potem ciężko padł na ziemię. Dotknął czołem chłodnej skały. Począł się modlić. Zwykle słowa modlitwy płynęły mu lekko i potoczyście, układały się w psalmy, których potem uczyli się ludzie i śpiewali je w dnie świąteczne. Wiedział, że potrafi władać słowem. Ale jeśli umiał głosić chwałę i wielkość Jahwe, to przecież, gdy przychodziło prosić Go o coś dla siebie, słowa twardniały mu w ustach w kamień. Im goręcej czegoś pragnął, tym bardziej był bezradny. Każda prośba, którą zanosił, zdawała się leżeć poza granicą prawdopodobieństwa. Czuł to zwłaszcza dzisiaj. Po latach samotności zapragnął walczyć o człowieka. Wszystkie bóle i tęsknoty, cały żal i pustka, w której pozostawał, odżyły w nim na nowo. Lecz choć cierpiał, nie przestawał walczyć z całą zawziętością, na jaką się tylko umiał zdobyć. Nie ustępował.

Noc płynęła na falach przewalających się chmur, w pogwiździe suchego, gorącego wiatru nadlatującego od pustyni. Tu, być może, na tym samym wzgórzu przed półtora tysiącem lat walczył praojciec Jakub z Mężem mocnym i nieustępliwym, któremu nie uległ, aż błogosławieństwo przeciwnika otrzymał. On także miał w sobie, w swej krwi, świadomość rzeczy wielkich. A przecież lękał się... Lękał się tego, czego lękać się nie miał powodu. Czego lękać się nie było mu wolno. I dlatego musiał ochromieć, musiał, na znak, iż rzeczy Boskie nie potrzebują ani ludzkiej wielkości, ani zdatności.

Czas biegł; noc odchodziła skrycie i niepostrzeżenie, jak odchodzi nie pielęgnowana miłość. Mocniej uderzył wiatr, skłębził chmury i ugniótł je na horyzoncie w wąski pas podobny zwiniętemu żaglowi. Odkrył niebo pulsujące zapowiedzią dnia, a na nim kilka zapomnianych gwiazd. To wtedy, dzwignąwszy się na kolana i szukając twarzą kierunku, w którym daleko za wzgórzami leżała góra Moria — wyszeptał Jeremiasz swoje zuchwałe żądanie:

— Jeśli chcesz, bym był prorokiem tych strasznych słów, które mi szepcesz, ocal dla mnie to życie... Tylko to jedno życie dziecka...

Począł nasłuchiwać. Ale nie usłyszał nic poza szumem gałęzi palmowych, które rozwiewał wiatr, i dalekim wyciem szakala. Skrzydlaty przeciwnik nie przyszedł, by mocować się z nim aż do porannej jutrzeńki. Próżno powtarzał swe wyzwanie. Niebo jaśniało coraz bardziej, zza szczytów Gór Ammonickich wybiegły pierwsze smugi blasku. I nagle Jeremiasza ogarnął dziki lęk. Zerwał się na nogi, podniósł ręce w górę, zawołał:

— Odpowiedz!

Nikt mu nic nie odpowiedział. Ptaki zaczęły piszczeć wśród drzew, mocna, czarniawa zieleń występowała z mroku z coraz większą jaskrawością.

— Odpowiedz... — powtórzył drżącym szeptem.

Słoneczna kula wyskoczyła ponad grzebień wierzchołków. Dzień spadł w dolinę nagle niby błyskawica; czerwienią zagrały wzgórza po przeciwległej stronie Jordanu i miodem spłynęły pnie palm. Trzecie wezwanie do odpowiedzi zamarło na ustach proroka. Głowa opadła mu ciężko na piersi. Gdy wolno począł schodzić w dół z pagórka, wiedział już, że szaleństwem jest stawianie warunków Panu. Szedł ku zagrodzie z tą samą bolesną rezygnacją, z jaką niegdyś Abraham szedł przed świtem zbudzić Izaaka...

I gdy mu jeden z pasterzy, który właśnie odrzucał kamienie i ciernie, by wypuścić zbite, przytupujące niecierpliwie stado, powiedział:

— Twój syn pyta o ciebie; opuchlizna zeszła mu z nogi i ani widać śladu ukąszenia — Jeremiasz poczuł w gardle ucisk tak dławiący i silny, że aż się oparł ramieniem o pobliski pień.

XII

Uczta ciągnęła się już od wielu godzin. Zapadł wreszcie wieczór. Lampki oliwne psykały i pryskały, a ich długie płomienie chwiały się, jakby trącane wybuchającym raz po raz gwarem.

Elmadam rzucił wkoło spojrzeniem i zauważywszy, że nikt się nim nie zajmuje, podniósł się ze swego krzesła oplecionego zielenią i opiętego kwiatami i cofnął się w mrok. Stojąc pod ścianą obok służby i niewolników, którzy czuwali przy dzbanach wina, patrzył na odbywającą się ucztę. Zapalone kaganki oświetlały dobrze twarze tych, co siedzieli naprzeciw; na tle stołu głowy obróconych tyłem odcinały się ciemnymi, ostrymi konturami. Elmadam widział Rut rozmawiającą z siostrą Jerusą. Twarze młodych kobiet wydały się pogodne, ale pełne zmęczenia. Napracowały się przygotowując ucztę. Jerusa była starsza. W wykroju jej ust, w ściągłości policzków czaiły się obok zmęczenia jakby gorycz i smutek. Miała już troje dzieci, rodziła je mężowi rok za rokiem. Najmłodsze niedawno karmiła piersią i dopiero gdy usnęło, usiadła do uczty. Uśmiechała się łagodnie, coś tłumaczyła siostrze, a jednocześnie spokojnym ruchem gładziła dłonią blat stołu. Rut otworzyła szeroko oczy z wyrazem zdumienia. Miała wciąż tę samą wdzięczną twarz dziewczynki. Zaśmiała się lekko i swobodnie, białe zęby mignęły między czerwonymi wargami. W Elmadamie, gdy na nią patrzył, opadł gniew. Ale kiedy zobaczył twarz Michy, śledzącego córkę poprzez stół dużymi ciemnymi oczyma, znowu poczuł w sobie rozterkę i niepokój, tak łatwo przerażające się w zniecierpliwienie. Twarz starego kupca wyrażała ból, ledwie pokryty świątecznym nastrojem. Micha bezmyślnie obracał w palcach srebrny kubek, jego grube wargi wyginały się ku dołowi.

Elmadam cofnął się jeszcze o krok. Nikt tego nie zauważył, goście bawili się hałaśliwie. Pito, jedzono i rozmawiano. Brzęczały kubki. Pod stołem chodziły psy, węsząc i warcząc gniewnie na siebie. Czasami rzucały się do walki o jakiś kęsek, a wtedy ponad głosy rozmawiających wybijał się dziau-

kot i chrapliwe warczenie. O parę kroków od Elmadama leżał wyciągnięty na ziemi wielki owczarek. Gdy inne psy kręciły się niecierpliwie, on nie ruszał się z miejsca i tylko jego lekko podniesione uszy i wciąż śledzący towarzyszy wzrok mówiły, iż także bierze udział w polowaniu na spadające ze stołu kości. Gdy któraś z nich upadła gdzieś blisko, podnosił się bez pośpiechu, z wzrokiem w nią utkwionym, sztywno wyciągał łapy, przeciągał grzbiet. Miętko i elastycznie szedł ku niej, a inne psy schodziły mu z drogi. Raz któryś z psów podskoczył szybciej i porwał kość. Wtedy owczarek z krótkim chrapnięciem dopadł do niego, chwycił go zębami za ucho, potężnymi łapami obalił na ziemię. Psiak zaniósł się tchórzliwym jazgotem. Puścił kość i podkulając ogon uciekł w kąt izby.

— Dajcie wina! — zawołał przełożony wesela, brat Michy. Skinął ręką na stojącą pod ścianami służbę. — Wina! — powtórzył.

Niewolnicy dźwignęli ciężkie dzbany. Podeszli ku stołowi. Wtedy Elmadam obejrzał się na drzwi i cicho, oglądając się raz po raz na tonącą w gwarze izbę, wyszedł na podwórze.

Wesele odbywało się w domu Giszpy, brata Michy. Giszpa był właścicielem licznych stad pasących się na zboczach wzgórz Gilboa. Opiekował się także stadami należącymi do Michy. W kilku zagrodach, porozrzucanych w pewnej od siebie odległości, pełno było owiec i baranów. Elmadam słyszał w mroku ciche dzwonki i rozlegające się na różne tony beczenie. Wieczór przechodził zwolna w noc. Niebo jaśniało jeszcze na horyzoncie w szczelinach między pasmami chmur, ale nad głową było już jednolicie ciemne, gładkie niby napięta materia; tu i tam nieśmiało błyskała gwiazda niby złoty pieniążek na dnie sakiewki.

Od wzgórz wiało chłodem. Rzeźki poryw wstrząsał gałęzmi dębów i tamaryszków. Było pusto. Ludzie i psy zbiegli się do izby. Na zdeptanej ziemi przed domem leżały długie wieńce splecione z liści i kwiatów. Przyniosła je młodzież podczas uroczystego przeprowadzania panny młodej z domu jej ojca do domu Giszpy, zastępującego Elmadamowi dom Hera. To tu, w głębi, za wielką świetlicą, w której odbywała się uczta, mieściła się komora odstąpiona młodemu przez Giszpę, by w niej mogli przespać noc poślubną.

Elmadam wszedł między drzewa. Gniewnie trzasnął w palce. Cóż z tego, że ojciec zgodził się na ten ślub i że Eliakim ofiarował mu cenne dary oraz polecił Atajasowi, staremu wodzowi wojsk, by był na uczcie weselnej i zastępował na niej króla? Elmadam nie mógł zapomnieć śmiechu Nohesty, kiedy

jej powiedział, że jedzie pojąć Rut za żonę. Śmiała się długo i szyderczo. Mrużąc złośliwie oczy, powiedziała: „Ależ dobrze, cieszę się, bardzo się cieszę... Przywieź tutaj swoją piękną Megidkę. Chętnie ją zobaczę na dworze. Och, nie bój się. Będę jej mówiła jak najlepiej o tobie... Więc uszczknąłeś jej dziewictwo, zanim ci ją ojciec oddał?” Zresztą naprawdę nie wiedział, czy mu psują humor tylko kpiny Nohesty. Wydawało mu się, że z tymi zaślubinami wchodzi w świat mały i nieciekawym. Rut była ładna — to prawda... Ale on nie mógł zapomnieć o Jerozolimie...

Podniósł głowę. Gwiazd paliło się nad nim coraz więcej. Wśród tych gwiazd była jedna... Pamiętał, jak mu ją wskazał Fahad swym długim ciemnym palcem. Sam by jej zresztą dziś nie odnalazł. Dziwna gwiazda. Mieniła się wtedy w oczach: to była złota, to czerwona, to znów zdawała się sypać błękitne skry. „Człowiek, który się urodził pod tą gwiazdą — szeptał wróż — będzie wielki... Jego udziałem jest wielki los. Ciesz się, Elmadamie...”

...Wielki los! — Znowu strzelił palcami. — Wielki los — i ta dziewczyna, z którą musi się ożenić. Gniewnie usiadł pod pnem dębu. Wiatr muskał mu twarz. Zza otwartych drzwi dochodził gwar, śmiechy, brzęk naczyń. Blask padał na ziemię. Elmadam odwrócił głowę w stronę gór, które właśnie pochłaniał mrok. Zamyślił się tak głęboko, że nie posłyszał za sobą cichych stapań. Drgnął dopiero, kiedy rozległ się nad nim szept:

— Sam tu siedzisz, najdroższy? Czemu odszedłeś od stołu?

Nie patrząc w jej stronę odparł:

— Gorąco w izbie...

Ogarnęła go ramieniem i usiadła przy nim. Czuł jej ciało blisko siebie, gorące i młode. Łatwo słabł wobec pokusy. Ale w tej chwili gniew kazał mu z pokusą walczyć. Był tak rozżalony, że nie chciał żadnej pociechy.

Musiała to wyczuć, bo przytulając się do niego, szepnęła:

— Czy tylko to, Elmadamie? Powiedz: wydajesz mi się taki inny.

Wzruszył ramionami.

— Inny? Dlaczego inny?

— Inny byłeś, kiedy cię poznałam, kiedy leżałeś w domu mego ojca.

— Taki sam.

— Nie, nie. Byłeś wesół, swobodny, nie kryłeś nic. A teraz coś kryjesz przede mną. Ja jestem tylko kobietą... Ale cię Kocham...

Sucho powiedział:

— I ja cię kocham...

Prawie wykrzyknęła:

— Och, wtedy to także inaczej mówiłeś. Kiedy powiedziałeś, że ci się podoba, to brzmiało cudnie... Czyżbym przestała ci się podobać, Elmadamie? Chciałabym umrzeć, gdybyś mi miał to powiedzieć. Ale tak chyba nie jest... Pomyśl. Twoje dziecko noszę...

Wiatr zaszeleścił w nisko zwisających gałęziach dębu. Elmadam pomyślał: „gdyby nie to dziecko, nie musiałbym się żenić”. Milczał. Rut mówiła dalej:

— To będzie chłopiec. Ja wiem... Jak chcesz, aby się nazywał? Bo mógłby się nazywać Kosam... U was nie ma takiego imienia w rodzie. Pytałam dziś o to twego brata. Ale Kosam — ładne imię. Mój dziad tak się nazywał...

— Może się nazywać Kosam... — mruknął niechętnie.

— Więc zgadzasz się?! Jakiś ty dobry! Wiedziałam, że się zgodzisz. Ach, Elmadamie, tak cię kocham.

Mocno przywarła do jego ramienia. Nie mógł pozostać oporny. Przygarła ją do siebie i tak siedzieli w ciszy, przytuleni do siebie, wpatrzeni w noc, która rozwieszała na czarnej ścianie nieba bicze gwiazd. Teraz Elmadam pierwszy przerwał milczenie.

— Rut — zapytał — dobrze ci?

Odpowiedziała kilkakrotnym kiwnięciem głowy. Jedna z gwiazd odewała się nagle, poleciała skosem poprzez niebo.

Rut zawołała cicho:

— Patrz, gwiazda spada.

— Ktoś umarł.

— Czy to prawda, że każdy człowiek ma swoją gwiazdę na niebie? I że ta gwiazda to jego anioł, który nad nim czuwa?...

— Tak mówią.

— Chciałabym zobaczyć twoją gwiazdę. Może to ta — wyciągnęła rękę — maleńka gwiazda tam nad górami. Albo te dwie tak blisko, blisko koło siebie, że wydają się jedną. Może to twoja i moja. Beduini mówili, że się nazywają Alkar i Mirar...

Potrząsnął głową.

— Nie, nie. Moja gwiazda jest duża. Powiedział mi o tym pewien wieszczek w Jerozolimie. Podobno jest bardzo duża. Zawisł od niej wielki los...

Zadrżała, ale on nie zwrócił na to uwagi; ciągnął dalej:

— Ten wieszczek mówił, że takie gwiazdy zapalają się dla królów, wodzów, proroków. Naprawdę...

— Chciałbyś być królem lub wodzem?

Wzruszył ramionami.

— Pewno.

Głosem stłumionym zapytała:

— A czy wtedy jeszcze byś mnie kochał?

Obojętnie machnął ręką.

— Nie miałbym powodu cię nie kochać. Ale wtedy mógłbym rozkazywać ludziom, wieść ich na wojnę, zwyciężać nieprzyjaciół. Panować!

Zerwał się na nogi.

— Nie chciałybyś, abym mieszkał w pałacu? Albo żebym dowodził wojskiem? Wodzów po śmierci króla lud często obwołuje królami... Miałbym dużo służby. Zawierałbym przymierza. Odwiedzałbym innych władców. Jakie miałbym szaty! Jakie konie! Jakie wozy! O, patrz — wskazał na roziskrzone niebo — mnie się zdaje, że to jest moja gwiazda. Ta duża, największa. Ma taki czerwony blask. Pamiętam, że jak mi ją pokazywał Fahad, wydawała mi się chwilami zupełnie czerwona. Wiesz, Fahad powiedział, że ta gwiazda leci przez niebo i że kiedyś zaświeci jeszcze większym blaskiem. Może wtedy będzie panował mój wnuk? Bo ja muszę być wielki...

Pochylił się nad swą młodą żoną, ogarnął ją ramieniem i gorączkowo przycisnął do siebie. Ustami szukał jej ust. Nie spostrzegł nawet, że były chłodne. Całował je mocno, namiętnie. Całował ramiona, szyję, piersi. Poddawała mu się miękko. Czowała nad sobą jego oddech. Wiele dni i nocy myślała o tych pocałunkach i tęskniła do nich. Wyobrażała je sobie, a wtedy z jej serca dobywała się ciepła, wielka radość, ogarniała całą jej istotę, kruszyła wszelkie opory. Dziś podnosząc twarz ku złotym gwiazdom, które zdawały się ku niej mrugać podobne wilczym oczom wpatrującym się z dala w zagrodę dla owiec — nie odnalazła w sobie tej radości. Dłonie mężczyzny gwałtownie dotykały jej ramion. Pamiętała ich dotknięcie owego upalnego dnia, kiedy chwycił ją

na ręce na białej drodze i zaniósł na zieloną łąkę u stóp wielkiego rozrastającego się w trzy pnie sykomora. Była całkiem spokojna. Nie lękała się powierzyć w jego ręce swego losu. Kochała go. Miłość wyjaśniała jej wszystko, a raczej nic nie potrzebowała wyjaśniać. Każde dotknięcie wydobywało z nieistnienia nowe oszałamiające odczucia. Ciało jednak witało je jak starych znajomych. Bolesna rozkosz była czymś nieznanym, a przecież wydawało się dziewczynie, że i ją już zna.

Dziś było inaczej: dotknięcie mężczyzny obudziło dreszcz w jej ciele. Spływał on, rozchodził się szybko niby ciepłe wino w zmarzniętym człowieku. Ciało było posłuszne pieszczocie, ale rozkosz nie wyzwalała z niej nic, nie odprężała jej wewnętrznie. Czowała w sobie przymus i wewnętrzne ścisnienie. Było to niby jakieś rozdarcie pomiędzy ciałem, posłusznym drugiej woli, a duchem, nieposłusznym nawet własnemu sercu. Myśl nie odbiegła jej, jak wówczas pod trójpiennym sykomorem. Pozostała istotą obcą całej jej naturze, podległą innemu zupełnie rytmowi. Rut rozpaczliwym gestem przycisnęła głowę mężczyzny do piersi. Prawie gniewnie popatrzyła w gwiazdy. To one były winne niepełności jej szczęścia!

Mężczyzna odsunął się. Chciała go przytrzymać, ale on wymknął się z jej ramion. Żałośnie prawie szepnęła:

— Nie odchódź jeszcze.

Spokojnie odpowiedział, że trzeba wrócić do izby weselnej. Goście zauważą ich nieobecność, będą dziwili się albo nawet kpili. Nie powiedziała już nic więcej. Elmadam rozcapierzonymi palcami przygładził włosy. Rut siedziała wciąż pod drzewem. W sercu czuła ból i jakby żal do własnego ciała. Nawet więc ono odrywa od niej ukochanego. Ono — i te gwiazdy!

Wrócili do izby. Nikt nie widział ich odejścia, nikt nie zauważył ich powrotu. Nikt poza Michą. Stary kupiec, popijając wino i rozmawiając uprzejmie z Atajasem, obserwował ich uważnie spod półprzymkniętych powiek. Długo i czujnie patrzył w twarz córki.

Potem Joel opowiadał gościom o swych podróżach. Umiał opowiadać, słuchano go więc chętnie. Dziewczęta śpiewały. Było późno, kiedy wreszcie pomyślano o spaniu. Dzień zaślubin skończył się. Nie miano tu święcić całych siedmiu dni. Następnego ranka młoda para chciała odjechać do Jerozolimy w towarzystwie całej młodzieży, która tu przyjechała jako orszak ślubny Elmadama. Podniesiono się z miejsc. Rozległa się pieśń obrzędowa, podczas której odprowadzano młodych do łożnicy. Utworzył się korowód śpiewają-

cych i bijących w cymbały lub po prostu w miedziane i srebrne naczynia. Psy podniecone hałasem i ruchem poczęły ujadać. Dwukrotnie oprowadzono Rut i Elmadama wokół izby. Wreszcie korowód stanął przed drzwiami komory, w której małżonkowie mieli spać. Przed nimi stanął Micha. To do niego należało otworzenie drzwi. Chór zaśpiewał:

Otwórz, otwórz drzwi oblubieńcom.

*Patrz, jak oblubienica patrzy na ukochanego swego i skłania
głowę na jego ramię.*

*Patrz, jak gwałtowna jest miłość oblubieńca i niecierpliwy jego
wzrok.*

Otwórz im, otwórz prędko, oddaj oblubienicę w ręce oblubieńca...

Przed parę młodych wysunął się Jona. Zastępował on ojca Elmadamowi. Przyłączył się także do chóru:

Otwórz drzwi oblubieńcom, Micha,

Wprowadź oblubienicę oblubieńcowi...

Micha podniósł wzrok na stojących przed nim. Serdecznie spojrzął na córkę. Podniósł rękę i pieszczotliwie dotknął dłonią jej policzka... Potem zwrócił spojrzenie na Elmadama. W oczach starego mężczyzny były jednocześnie wyrzut, prośba i niepokój. Ręce zaczęły mu się trząść, usta zadrzały. Milcząc długo miał w palcach fałdę szaty. Bardzo cicho wyszeptał:

— Obiecałeś... że nie skrzywdzisz... Pamiętaj...

Więcej powiedzieć nie mógł, przelknął tylko ciężko ślinę. Tak samo jak córkę dotknął zięcia dłonią w policzek. Pchnął drzwi. Trzymając rękę na ramieniu Rut, wprowadził małżonków do łóżnicy. Chór za drzwiami śpiewał:

Oto oblubieniec wiedzie już oblubienicę do ślubnej komnaty.

*Nie lękaj się, panno izraelska, bądź powolna ukochanemu
swemu...*

Uśmiechnij się doń i podaj mu swe dłonie...

Drzwi, już zamknięte, otworzyły się po raz ostatni. Micha wyszedł zgarbiony z izby nowożeńców. Śpiew urwał się. Rozległy się śmiechy. Kilku młodych poczęło uderzać zartobliwie w drzwi. Dziewczęta chichocząc pobiegły w głąb domu. Mozaika gwiazd obracała się powoli na niebie.

XIII

Patrz — powiedział Jeremiasz do Barucha wyciągając przed siebie rękę.

Stali na wydmie piaszczystej, okalającej półkregiem leżącą przed nimi oazę. Groźny był widok tej masy płowego piasku, która zdawała się toczyć wałem ku zieleni drzew. Przez lata całe, całe wieki wiatr nawiewał ten piasek, zasypując łokieć po łokciu oazę i wznoszące się wśród zieleni białe ruiny. Od setek lat trwała już ta walka między czarownym pałacem wznoszącym się w cieniu smukłych palm a pustynią rozciągającą swe piaski od Jordanu po Eufrat. Walkę wygrywał piasek. Już pożarł krzewy i trawniki. Żółtymi jęczorami wtargnął między drzewa. Zwarzył zieloność liści. Odebrał murom złoty koloryt, jaki mają domy zamieszkałe, a uczynił je białymi bielą wyschłych na pustyni kości. Oaza zmniejszała się, kurczyła się wokół źródła. Pałac rozpadał się i walił. Nie było już zieloności na tarasach i w ogródkach. Spadły tu i tam sklepienia, a samotne kolumny sterczały niby kikuty uschłych drzew.

— Patrz — powtórzył Jeremiasz — oto Tadmor... Spójrz: czy widzisz, jak czas i piasek zgryzają pałac Salomona?

— Widzę, rabbi — chłopiec podniósł na Jeremiasza pełen rosnącego przywiązania wzrok — widzę... Więc to aż tu sięgało królestwo? Jakież było wielkie!

— Tak, było wielkie. Spójrz: tu był pałac. Krużganki otaczały ogród pełen najwonnejszych róż, eukaliptusów, drzew cynamonowych i sandałowych. Zapach był tu tak upajający, iż ludzie, którzy w ogrodzie przebywali, poczynali szaleć z rozkoszy. Rozkosz — i tylko rozkosz... A tam dalej, patrz, tam była świątynia, którą Salomon, obrażając Pana, postawił bożkowi Szamaszowi! Tak chciał uczcić jedną z najmilszych sobie nałożnic... Patrz! I co zostało z bluźnierczego dzieła króla...?

Głosem monotonnym, śpiewnym i zawodzącym zaczął mówić:

*Wykonałem z przepychem dzieła moje,
Nabudowałem sobie domów i nasadziłem winnic.
Założyłem ogrody i sady
I nasadziłem w nich drzew rodzaju wszelakiego
I założyłem sobie wiele stawów
Dla zwilżania lasu rozwijających się drzew...*

*A gdym się obrócił ku wszystkim dziełom,
Których dokonały ręce moje,
I ku robotom, w których się na próżno napocilem,
Zobaczyłem we wszystkim marność i udręczenie ducha,
I że nic nie trwa pod słońcem...*

Długo siedzieli patrząc na ruiny. Słońce świeciło blado, nie piekło bezli-
tośnie. Baruch zmęczony wyciągnął się na piasku i usnął. Jeremiasz siedział
z kolanami pod brodą, zamyślony. Nie mógł oderwać wzroku od kolumn,
łuków, tarasów, bram i murów pałacu. Wszystko to sypało się w gruz, wszyst-
ko łączywie pożerał piasek. Minie kilkaset lat — myślał prorok — a zdławi
resztę zieloności, która osłania mury, i wtedy pocznie je szybko trawić. Nie
będzie już ratunku dla dzieła Salomona. Rozsypie się w pył. I dlaczego?
Czy dlatego, że wszystko na ziemi jest marnością, czy też może dlatego, że
budowle Tadmor stały się miejscem ohydy i bałwochwalstwa? Lecz jeśli to
ostatnie zadecydowało o klęsce dzieła wielkiego króla, to czyż inny będzie
los dzieł dokonanych nieczystymi rękoma? Wstrząsnął się. Stały przed
nim niepojęte wówczas, zagłuszane wielokrotnie, a mimo to uporczywie wra-
cające do życia ciemne, mroczne słowa: „Nie ufajcie słowom kłamliwie mó-
wiącym: Kościół Pański, kościół to Pański jest!... Idźcie do miejsca mego do
Silo, gdzie mieszkało dawniej imię moje, i oglądajcie, com uczynił jemu dla
złości ludu mego izraelskiego...”

Był tak zamyślony, zapatrzony w ruinę, że nie spostrzegł jeźdźców, któ-
rzy niespodziewanie pojawili się w pobliżu. Oni zaś zobaczyli go z daleka
i pochyliwszy się nad karkami końskimi ruszyli cwałem ku niemu. Zachrzą-
ścił piasek pod kopytami. Jeremiasz podniósł głowę zdumiony, podobny
człowiekowi wyrwanemu z głębokiego snu. Otaczali go ludzie w niskich
hełmach głęboko wciśniętych na czoło, w naszywanych blachami skórzanych
pancerzach, z tarczami na plecach, z włóczniami w ręku. Krzyczeli do niego
w nieznanym języku. Nie rozumiał, co do niego mówią, ale z ich gestów
pojął, że chcą, aby szedł za nimi. Obudził Barucha. Chłopiec przestraszył
się uzbrojonych i krzyczących ludzi, ale zaraz się uspokoił, gdy Jeremiasz
objął go ramieniem i przytulił do siebie. Jeźdźcy otoczyli ich. Idąc pomiędzy
nimi, poczęli wędrować przez pustynię.

Nie szli jednak długo. Po przeciwnej stronie oazy wśród zwalonych ko-
lumn i na wpół przysypanych piaskiem tarasach biwakował większy oddział
wojska. Jeremiasz spostrzegł, że wpadli w ręce Greków. Na rozwalisku pała-
cu odpoczywała zdżozona widać długą drogą mora hoplitów. Obrośnięci żołą-

nierze patrzyli ciekawie na olbrzymiego nabiego i przytulonego doń chłopca. Wołali coś, ale Jeremiasz nie rozumiał tych wołań. W pewnej chwili podszedł do nich wielki Grek, który poprzednio siedział na obalonej kolumnie i jadł figi. Spluwając zapytał łamanym językiem hebrajskim:

— To twój syn? Hej, słuchaj: sprzedaj mi tego chłopca.

Nie odpowiadając prorok mocniej ogarnął Barucha ramieniem. Dowodzący patrolem, który ich ujął, Lochas zsiadł z konia i dał znak ręką, by więźniowie szli za nim. Grek szedł także obok nich i namawiał:

— Sprzedaj mi tego chłopca. Podoba mi się. Jeśli go zresztą nie sprzedasz, zginie. Zginiecie obaj.

Jeremiasz pogardliwie milczał.

Tak doszli za załom muru, gdzie na niedźwiedziej skórze siedział dowodzący morą strateg. Był to niestary jeszcze Grek o krótkiej czarnej kędzierzawej głowie, niski, ale szeroki w ramionach. Trzymał właśnie w obu dłoniach wielką kość baranią i ogryzał ją łakomie, sięgając raz po raz do krateru z winem. Dwie hetery leżały obok niego na skórze. Jedna z nich leniwym ruchem polerowała paznokcie, trąc je o kawał miękkiego rzemienia, druga dolewała do krateru wina ze skórzanego worka.

Lochas powiedział coś do stratega wskazując na Jeremiasza, potem do ich rozmowy wtrącił się mówiący po hebrajsku Grek. Czas jakiś rozmawiali ze sobą żywo, wymachując rękoma. Miało się wrażenie, że się kłóć. Wreszcie Grek zwrócił się do Jeremiasza:

— Słuchaj, ty: strateg Nitos pyta, kto jesteś i co robisz tutaj na tym pustkowiu. Mów prawdę, bo inaczej potrafimy cię zmusić...

Nagle Jeremiasz, który dotychczas stał schylony i milczący, podniósł głowę, wyprostował się, błysnął wzrokiem. Grek poczuł się nieswojo. Niepewnie chwycił dłonią za rękojeść miecza. Prorok powiedział twardo i groźnie:

— Odpowiedz, niewolniku, swemu panu: jestem Jeremiasz, prorok Pański. Idę, gdzie mnie Pan woła, a ludzi o drogę, nie wypytuje. Puśćcie mnie! Czemu mnie więzicie?

Grek chwilę patrzył uważnie na Jeremiasza, potem nie odrywając od niego oczu zaczął mówić do Nitosa. Tamten, usłyszawszy tłumaczenie słów Jeremiasza, odrzucił nagle swą kość, podniósł się i wsparty dłońmi na biodrach utkwiał wzrok w proroka.

— Ależ tak! — wykrzyknął uderzając się ociekającymi tłuszczem dłońmi

po udach. — Ależ tak! To ten sam wieszczek, który wywróżył faraonowi klęskę. Naturalnie, że ten sam. Krzyczał wtedy głośno i groził. Słuchaj, Kle-anorze — zwrócił się do Greka — zapytaj go, czy to on był posłem judejskiego króla do Nechao. Pamiętam go w namiocie...

— Dobrze, zapytam go, Nitosie. Mówisz, że wyprorokował faraonowi klęskę?

— Tak. Już dawno, gdy walczyliśmy z Żydami. Przyszedł nocą przed bitwą pod Megiddo. Mówił do faraona śmiało, jak żaden poseł nigdy nie mówił. Pamiętam to doskonale. Więc pytaj...

— Dobrze, już pytam. Ale wiesz, Nitosie, bardzo mi się podoba ten chłopiec, który jest z nim...

— Powiedz, niech ci go da.

— Mówiłem. Nie chce.

— Zagroź, że go zabijemy.

— Czy sądzisz, że się przelęknie? Wygląda na takiego, który nikogo się nie boi. Musi być silny jak Herkules.

— Wygląda rzeczywiście groźnie. Miecz jednak umie pozbawiać życia najsilniejszych. Wprawdzie to wieszczek... Trzeba się poradzić naszych, jak radzą postąpić... Lecz cóż to? Już nadchodzą?

Nagle nad pustynią wybuchnął wrzask trąb i jazgot piszczalek. Grecy spojrzeli zdumieni w stronę pustyni. Zbrojny wąż ludzi wypełzał spoza wydm i szedł prosto ku oazie. Widać było pieszych i konnych, wielbłądy i wozy bojowe.

Nitos zaklął:

— Na Zeusa, pędzą, jakby mieli skrzydła u stóp! Patrz, jak wcześniej wyszliśmy, a oni już nas dogнали! To nie leniwe wojska faraona; Miał raczej boski Loksjasz radząc mi, bym opuścił Nechao, a przeszedł na służbę do chaldejskiego księcia.

Kolorowy wąż ludzi wchodził między palmy. Byli tu Babilończycy w spiczastych hełmach i w skórzanych pancerzach nabijanych blachami, Scytowie o długich jasnych skudlonych włosach, ubrani w skórzane bluzy i szerokie skórzane spodnie sięgające kostek, Medowie wysocy, szczupli, w obcisłych tunikach i wielkich turbanach, z długimi łukami na ramionach, brodaci Asyryjczycy w wyszywanych barwnie kostiumach. Armia kroczyła spieszenie,

podobna stada panter sunących za uchodzącym łupem. Ostre głosy trąb ucichły. Teraz sunęły chrzęszcząc wozy bojowe — niektóre zbrojne w długie ostrza osadzone na osiach kół.

Na wielbłądach, otoczeni służbą, jechali wodzowie. Mieli czarne, bogato fryzowane brody, dumne spojrzenia, łuk lub włócznię w ręku. Między wodzami widać było kapłanów. Ci mieli szaty barwne, długie, pełne fałd. Idący obok dostojników niewolnicy osłaniali ich parasolami od słońca lub powiewali strusimi piórami. Szedł potem tłum muzyków w białych szatach, z trójkątnymi sambukami w rękach, za nimi również biało ubrany tłum młodych chłopców z pięknie układanymi włosami. Poprzedzany dwuszeregiem ciężkozbrojnej piechoty chaldejskiej jechał zdobny w złote lwy rydwan księcia Nabuchodonozora. Księżę sam trzymał cugle trzech rosnących skarogniadych klaczy syryjskich, które niecierpliwie uderzały w ziemię nogami, tuliły uszy i przysiadły na zadach, gotowe zerwać się do szalonego galopu. Długie ich ogony, starannie wyczesane, powiewały niby pióropusze, szyje gięły się miękkim ruchem. Nabuchodonozor stał na wozie, trzymając lejce w obu dłoniach. Był to mężczyzna nie bardzo rosnący, ale tak prawidłowo zbudowany, że wydawał się wyższy, niż był w rzeczywistości. Gęsta grzywa ciemno-blond włosów spadała mu na wysokie czoło. Oczy miał ogromne, bardzo szeroko osadzone, niebieskie, lecz łatwo zmieniające barwę. Brwi zakreślone lekko niby pędzelkiem babilońskiej kokietki, wygięte w łuk, nadawały oczom i twarzy wyraz uwagi, czujnego nasłuchiwania i jakby wiecznego zdziwienia. Delikatne usta były widoczne, ponieważ w przeciwieństwie do całego swego otoczenia Nabuchodonozor miał twarz gładko wygoloną. Ubrany był w błękitną szatę przepasaną szerokim pasem, u którego wisiał mały miecz. Niewolnik trzymał nad głową księcia czerwony parasol. Dwóch innych szło tuż za wozem powiewając wachlarzami ze strusich piór. Mały Murzynek niósł długi łuk i kołczan pełen strzał, jego towarzysze — włócznię księcia, jego hełm spiczasty jak hełmy żołnierzy chaldejskich, pancerz, tarczę. Cały poczet ludzi szedł za rydwanem księcia. Byli tam wróżowie w kolorowych szatach i wysokich kołpakach, kobiety, niewolnicy, eunuchowie. Na smyczy prowadzono czarną panterę i sforę psów.

Przejeżdżając obok Greków księżę zatrzymał konie. Skinął na stratega:
— Nitos!

Greki spiesznie podbiegli do wozu. W jego ruchach była gorliwość i nie-

pewność. On, który służąc faraonowi nie liczył się z żadnym słowem, wobec księcia chaldejskiego stał posłusznie niby zwykły hoplita.

Przywoławszy gestem tłumacza spośród swego otoczenia, Nabuchodonozor zaczął mówić spokojnie i wolno, nie spuszczać ze stratega spojrzenia swych błękitnych oczu, czujnych, lecz nie ukazujących żadnych poza tym uczuć:

— Idziecie jak żółwie. W ten sposób nie dognamy nigdy Egipcjan. Jeśli się nie pośpieszycie, w przedniej straży pójdzie Nabuzardan, a nie wy...

Żadnego podniecenia w głosie. A mimo to Nitos aż zgiął się w niskim ukłonie.

— Wybacz, książę, pośpieszymy się... Będziemy gnać jak ptaki.

— Musicie... — ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy Nabuchodonozora. Te same wolne, leniwe prawie słowa; leniwy gest muskularnej dłoni ślizgającej się po rzemieniu cugli; spokojny wzrok utkwiony w Greku, nie wiadomo, czy coś jeszcze mający powiedzieć, czy też może tylko spokojnie oczekujący na wykonanie rozkazu.

— Już śpieszymy się, książę — w głosie Nitosa brzmiało podniecenie — już... Lecz słuchaj, książę. Ludzie moi ujęli człowieka z dzieckiem. Wiem, kto to jest. To wielki wieszczek króla Judejczyków, tego, którego Nechao zwyciężył i zabił pod Megiddo. Nie wiem, skąd się tutaj wziął... Czy nie chciałbyś z nim mówić?

— Tak, chcę — wolno odmierzone słowa. — Gdzie go masz?

— Tu zaraz — Nitos wskazał ręką na stojących pod murem Jeremiasza i Barucha.

Na chwilę tylko wzrok błękitnych oczu ześliznął się po olbrzymiej postaci Jeremiasza. Potem konie ruszyły, dotknięte kłaśnięciem lejc po zadach.

— Przeprowadzisz mi ich do namiotu...

Zatrzymana armia podjęła znowu marsz. Teraz szła kolumna ciężkiej piechoty chaldejskiej, jeźdźcy babilońscy, słynni jeźdźcy lidyjscy z bardzo długimi dzidami, jasnowłosi Scytowie. Za wojskiem szeregi mułów i osłów niosących na grzbiecie żywność; stada bydła. Wielki obóz rozkładał się pod palmami. Wśród nawoływań rozstawiano zielone, przybrane strusimi piórami namioty dla dostojników. Zanim stanął namiot dla Nabuchodonozora, książę kazał się zaprowadzić do na wpół rozwalonej świątyni Szamasza. Otaczał ją podwórzec, w którego środku znajdowała się wyschła studnia.

Sama świątynia zbudowana była z cegły pokrytej kolorową polewą. Jej front stanowiła wieża, dziś częściowo zwalona. Za przedsionkiem mieściła się właściwa świątynia, a w jej głębi ciemna nisza mieszcząca zwykle statuę Szamasza. Lecz posągu boga nie było. Stał tylko postument, u którego podnóżka leżało na ziemi kilka rozbitych kadzielnic — tymiaterów. Piasek wdarł się aż tutaj i leżał długimi jezorami na kamiennych flizach. Na ścianach były płaskorzeźby przedstawiające ludzi w powłóczystych szatach, z długimi fryzowanymi brodami lub uskrzydłone postacie anunnakich i igigów, koła z płonąca gwiazdą w środku, wyobrażające słońce. Nabuchodonozor kazał przynieść i zapalić kadzielnice. Na postumencie kapłani postawili przenośną figurę Marduka ubranego w szatę z ornamentem ze słonecznych kół, z jataganem w dłoni i z luskowatym smokiem u stóp. Odgarnięto śpiesznie piasek. Gdy już wszystko było gotowe, Nabuchodonozor z kadzielnicą w rękę podszedł do bożka. Wyciągnął ręce przed siebie. Powiedział tym samym beznamiętnym, opanowanym głosem:

— Powierzyłem się tobie, boże Marduku. Podniosłem rękę i dotknąłem twej szaty... — dotknął palcami złotego posążka. — Tyś zaś odkrył tajemnice mego serca... — dłoń księcia zsunęła się niżej, na rękojeść jataganu Marduka, tego samego jataganu, którym bóg rozplątał trupa Tiamat. — O Marduku, panie potężny, przyjmij mój hołd i bądź mi przychylny. Przedłużaj lata mego życia, daj mi kobiety płodne i wielu synów, a zwycięstwo dla mego miecza... Ty, który jesteś słońcem jak bóg Szamasz, słońcem poranku...

Kapłan podprowadził młodą cieliczkę, a Nabuchodonozor wbił mocnym, choć spokojnym ruchem nóż w jej gardło. Krew spłynęła.

— Przyjmij tę ofiarę — podjął znowu monotonnym głosem — Marduku, panie, i bądź mi łaskaw. Hołd ci składam ja, któregoś ty stworzył i uczynił najstarszym synem królewskim. Powierzyłeś mi wojsko, jam zaś je wyprowadził na walkę, by zdobyło dla twej chwały nowe ziemie. Bądź mi łaskaw! Bądź mi łaskaw! Spraw, niech me życie służy tylko tobie.

Książę jeszcze raz skłonił się nisko złotej figurze w wysokim kołpaku i wyszedł z niszy. Tłum dworaków i żołnierzy, który się zebrał, by uczestniczyć w ofierze, rozstępował się przed nim. W przedsionku Nabuchodonozor zatrzymał się. Skinął ręką na grupę wróżbitów, którzy tu stali: na kalu, którzy uspokajali rozgniewanych bogów dźwiękiem piszczałek i małych bębenków, na igidu ubranych w czerwone szaty, na abkalu, odkrywaczy snów, w swych błękitnozielonych tunikach. Śpiesznie podeszli do niego wszyscy. On zaś

chwilę zdawał się namyślać, do którego z nich się zwrócić. Wreszcie wskazał palcem na jednego z wróżów w czerwonej szacie.

— Bel-Sun — rzekł — powiesz mi ominę Marduka.

— Powiem ci, Nabuchodonozorze! — wykrzyknął spieszenie tamten. Rozepchnął towarzyszy, podbiegł prędko w stronę taboru. Po chwili wrócił niosąc w ramionach jagnię. Otoczono go kołem. Nabuchodonozor stał nad nim. Igidu położył zwierzę na grzbiecie, szybko poderżnął mu gardło, a potem zaraz, prawie jednym ruchem otworzył brzuch. Oczy jagnięcia zaszyły mgłą, za to wnętrzności pulsowały jeszcze i dymiły. Wróżbita zanurzył w nie dłoń, odszukał wątrobę i wyciągnął ją na wierzch. Odciął. Krwawy worek zdawał się jeszcze ciągle dyszeć życiem. Nie odrywając wzroku od wątroby wróż zapytał: — Co chcesz wiedzieć, o dostojny?

— Chcę wiedzieć, kim jest człowiek, z którym mam mówić.

Igidu bacznie wpatrywał się w wątrobę.

— To człowiek dziwny — powiedział po chwili namysłu. — Zna losy i nie zna ich...

— Czy mam z nim mówić?

Znowu czas jakiś trwało milczenie. W końcu wróż rzekł:

— Życie tego człowieka związane jest z twoim życiem, Nabuchodonozorze.

— Więc będę z nim mówił — rzekł książę. Swym powolnym krokiem wyszedł ze świątyni. Spotykani ludzie kłaniali mu się, on jednak nie odpowiadał na ich ukłony. Wierny Aspenaz, starszy eunuchów dworu, szedł wciąż za księciem z parasolem w ręku. Tak doszli do namiotu. Czekał tu już na nich Nitos z Jeremiaszem i Baruchem. Gdy weszli do środka, Nabuchodonozor siadł na niskim posłaniu. Czas długi milczał i tylko tań dłońią czoło jak człowiek, który usiłuje sobie coś przypomnieć. Zwrócił się do Nitosa:

— Wracaj do swoich i prowadź ich...

Greki odchrząknął. Zwrócił się do tłumacza.

— Zapytaj, czy mam niewolników zostawić... Chłopiec jest młody i dużo wart...

Gdy książę usłyszał te słowa, jego brwi wygięły się w większy łuk. Miał na twarzy wyraz zdumienia, nic więcej. Nie odpowiedział na niezrozumiałe dla siebie pytanie. Spytał tłumacza:

— Czy mu powtórzyłeś, że ma zaraz odmaszerować?

— Tak jest, o książe.

— Niech więc nie czeka...

Nitos skłonił się i odszedł bez słowa. Książe gestem dłoni odesłał także tłumacza. W namiocie zostało tylko czterech ludzi: Nabuchodonozor siedzący na posłaniu z głową opartą na rękę, milczący Aspenaz przy drzwiach i Jeremiasz nie zdejmujący ręki z ramienia Barucha.

— Kto jesteś? — zapytał Nabuchodonozor zwracając się do Jeremiasza.

— Czy to prawda, żeś był wieszczkiem judejskiego króla?

Zaledwie przebrzmiał senny głos księcia, rozległ się chrapliwy, pełen namiętności głos Jeremiasza:

— Jestem Jeremiasz syn Helkiasza, głos Pański! Mówię królom słowa Boże i upominam ich, gdy błędzą. Ukazuję drogę prawdy, a depczę drogę błędu. Czy chcesz ode mnie? Czemu twoi żołnierze zatrzymali mnie?

— Ukazujesz drogę prawdy? Więc rzeczywiście przepowiedziałeś faraonowi klęskę z mojej ręki?

— Przepowiedziałem mu klęskę z ręki Pana. Musi ją ponieść, syn grzechu...

— Już ją poniósł. Zmiażdżyłem go pod Karkemysz nad Eufratem. Ale to ja go zwyciężyłem, nie twój Pan...

— Ty? Tyś był ręką...

Jeremiasz gwałtownie wyciągnął dłoń przed siebie. Jego twarz rozpłomieniła się nagle wewnętrznym ogniem, zdawała się gorzeć. Przemieniła się, jak się przemienia tafla wodna, gdy w nią uderzy promień słońca, lub jak kawał metalu w kowalskim piecu. Głos proroka stracił swe chrapliwe brzmienie, stał się dźwięczny niby szofar. Słowa poczęły się toczyć z niebywałą szybkością, jakby z trudem nadążając za szeptem Głosu:

— To mówi Pan: „Powiedz słudze memu Nabuchodonozorowi: daję ci władzę karania grzesznych. Jesteś moim mieczem, gniewem i sprawiedliwością. Uczyniłem cię mocnym i jeszcze wzmożę twą siłę. Spiesz się, bowiem dzień ludzki krótki. Czy słyszysz, Nabuchodonozorze!? Spiesz się! Spiesz się! Oto twoja jest ziemia aż po mulistą rzekę Egiptu. Idź i karz za grzechy! Idź!”

Krzyknął — i nagle urwał. Ręce proroka opadły, blask jego twarzy zgasł.

Na drgające jeszcze usta wypełził grymas smutku. Ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi Jeremiasza. W jego oczach, przed chwilą pełnych ognia, ukazały się łzy. Niespodziewanie zaszlochał.

— Płaczesz? — zapytał Nabuchodonozor.

— Jakże nie mam płakać — w słowach proroka zabrzmiała rozpacz — skoro Pan uczynił cię mieczem kary także na lud mój?

— Któż jest ten twój Pan, wrózu?

Jeremiasz podniósł dumnie głowę. Krzyknął z siłą i z nieustępliwą pewnością siebie:

— Pan jest jeden! On, Najwyższy, Wszechmocny, Niepoznawalny. Pan świata i narodów. On czyni ciebie swym mieczem, Nabuchodonozorze, a nie twoje bogi z kamienia i z gliny: one są niczym. Pan jest wszystkim!

Nabuchodonozor spokojnie skrzyżował ręce na piersiach. Powiedział głosem wciąż tak samo beznamiętnym:

— Moim panem jest Marduk...

— Jesteś ślepy! — krzyknął Jeremiasz.

— Jesteś odważny, proroku. Ale podobasz mi się... Inni boją się tak do mnie mówić. Ty się nie lękasz...

— Wstał, podszedł wolno do Jeremiasza. — Więc mówisz, że zwyciężę?

— Zwycięstwo będzie zawsze twoje.

— I będę królem?

— Za niewiele już dni i nocy.

Chwilę milczeli. Nabuchodonozor usiadł znowu. Bawiąc się rękojeścią swego miecza, zapytał:

— Powiedz mi jeszcze jedno: czy twój Pan da mi wszystko, o co poproszę? Gotów Go byłbym wtedy uczcić ofiarą...

— Czego chcesz jeszcze?

— Chcę zbudować miasto nad miastami, miasto—olbrzym. Ku mojej chwale.

— Zbudujesz je, Nabuchodonozorze.

— I chcę jeszcze jednego...

— Jeszcze?

— Znudziła mi się moja żona Amytis. Znudziły mi się kobiety, które mam. Krążą koło mnie, zaglądają mi w oczy. Chcą mnie, rozumiesz? Nie potrzeba nawet, abym skinął ręką, by już każda z nich sama przybiegła do mego łoża. Cały Babilon kobiet... Nie chcę tego! Chcę kobiety prawdziwej. Jednej. Rozumiesz? Takiej, którą bym miał w łożu nie dlatego, że sama do niego przyszła.

— Niezwyczajne jest twoje pragnienie. Królowie pragną wielu kobiet, ty chcesz jednej. Mężczyźni chcą, by każda kobieta była im posłuszna, ty chcesz odpornej... Będziesz ją miał, Nabuchodonozorze. Jesteś tylko mieczem... Pielęgnujemy miecz, póki nam służy, odrzucamy go w kąt, gdy się złamie...

— Mówisz dziwnie.

— Tak mówi Pan: „Temu, kto Mnie służy nie wiedząc o tym, daję wszystko. Temu, kto Mnie służy wiedząc o tym, zabieram wiele...” Dziwna jest Pańska szczodroblivość. Słyszałeś o Hiobie, który żył za górami Haaranu, w ziemi Hus?

— Słyszałem. Opowiadali mi o nim starcy i bajarze...

— Pan swoim zabiera czasem wszystko, by dać wszystko. Nie swoim daje wszystko, by nie dać nic... Dziwna jest wola Pańska. Będziesz miał kobietę, jakiej pragniesz, Nabuchodonozorze. Obyś tylko nie żałował swego pragnienia. Patrz — oto ją masz.

— Cóż to jest, co mi dajesz?

— To? To jest dar kobiety, która będzie twoja. Wyciągnął rękę do księcia i podał mu szeroki złoty naramiennik Nitokris.

XIV

— **M**ówiłeś prawdę, proroku — Nabuchodonozor nie podnosząc się z niskiego łoża, na którym siedział, skinął łaskawie wchodzącemu do namiotu Jeremiaszowi. — Mój ojciec nie żyje. Jestem królem Chaldei.

Leniwie przeciągnął się. Dwóch niewolników poruszało bez przerwy nad głową władcy wachlarzami ze strusich piór. Mimo to w namiocie było gorąco. Nabuchodonozor odwrócił się powoli w stronę stojącego czujnie w

kację Aspenaza i spojrział nań wzrokiem, w którym tamten wyczytał widać żądanie, bo przypadł śpiesznie do kolan władcy.

— Co chcesz, panie, abym uczynił?

Król niedbale wzruszył ramionami:

— Duszno tutaj...

— Czy pozwolisz uchylić połę namiotu?

— Jeżeli będzie chłodniej... — sięgnął po złoty kubek napęczniony winem zmieszany z korzeniami — otwórz... — Pił wolno, wierzchem dłoni otarł usta. Aspenaz wydawał rozkazy, niewolnicy podwijali boczne ściany namiotu. Póki kręcili się, Nabuchodonozor milczał. Jasna noc wejrzała do wnętrza, a wraz z nią wdarł się świeży podmuch morza. Brzeg był tak blisko, że gdy w namiocie milczano, a gwar obozu cichł, słychać było rytmiczny szum fali kłębiącej się białym wałem u stóp brzegu, zalewającej jęczorem wodnym plażę i znowu spływającej śpiesznie w ciemne morze. Pochodnie trzymane przez czterech czarnych niewolników poczęły migotać. Nabuchodonozor potarł ręką czoło. Zwrócił znowu wzrok na Jeremiasza:

— Cóż ty na to, wieszczku?

Olbrzym wzruszył ramionami:

— Pan powiedział, a Jego słowa są zawsze prawdziwe. Chcesz dociekać prawdy słów Pańskich?

— Zabawny jesteś ze swoją wiarą! Moi wieszczkowie często się mylą. Nie mam im tego za złe. Człowiek oszukuje człowieka, dlaczegożby bogowie nie mieli go oszukiwać? Mądrością człowieka jest oszukać bogów. Nieprawdaż?

— Oszukać można bogów z kamienia i z metalu, Nabuchodonozorze. Wszechmocnego człowiek nie oszuka. Pan wie wszystko!

Nabuchodonozor zaśmiał się cicho:

— Jakiś ty pewny siebie! Kapłani i wieszczkowie zbyt pewni są niebezpieczni dla królów. Chcą nad nimi panować. Król zaś ma tylko jedną broń, by z nimi walczyć: wystąpić wręcz... A to niebezpieczna broń. Czy jesteś kapłanem, proroku?

— Pochodzę z kapłańskiego rodu. Ale kapłanem nie jestem.

— Czy nie sądzisz, że król powinien być także kapłanem?

— Nie. Pan ustanowił inaczej. Król judejski Ozjasz, choć czynił wiele

dobrego przed oczyma Pańskimi, gdy chciał palić kadzidło na Jego ołtarzu, został pokarany trądem. Kapłani wygnali go z Przybytku. Ohydna jest Panu służba nie poświęconych rąk!

— Potężni są wasi kapłani. Ale i na to jest rada: król musi być jeszcze bardziej pobożny niż oni. Król musi więcej i głośniej mówić do bogów niż kapłani. O — widzisz! Kiedy król nie jest pobożny, kapłani obdzierają lud ze skóry. Muszą przecież wypraszać dlań łaski. Lepiej więc zająć się ludem, dać mu chleb, olej sezamowy, dom i zabawę. Samemu być dawcą łask bogów. Wtedy lud nie będzie potrzebował kapłanów. Oni zaś zamkną się w świątyni i zaczną się ze sobą spierać. Czy nie zauważyłeś, proroku, iż nie ma bardziej niezgodnych ludzi jak kapłani?

Jeremiasz nie odpowiedział. Nabuchodonozor uśmiechając się sięgnął znowu po kubek. Powiew był coraz silniejszy, coraz gwałtowniej targał płomieniami pochodni. Czarny dym wąską smużką wysnutą z płomienia szedł na namiot. Na twarzy Nabuchodonozora odmalowało się niezadowolenie. Był to zaledwie przelotny grymas, ale nie uszedł on uwagi Aspenaza, który nie przestawał czujnie patrzeć w twarz swego władcy. Szybko podszedł do króla:

— Panie?

Nabuchodonozor wskazał mu gestem pochodnie.

— Dymu tyle...

— O panie, trzeba by zasunąć ściany namiotu...

Niechętnie przyjął to wyjaśnienie. Skrzywiwszy twarz, chwilę przyglądał się językom ognia. Aspenaz, prawie drżąc z przejęcia, patrzył na niezadowoloną twarz Nabuchodonozora. Król dźwignął się ze swego łoża.

— Pójdę się przejść. Chodź ze mną, proroku, chcę z tobą jeszcze porozmawiać. Mówisz ciekawie. Jesteś inny niż moi wieszczkowie.

Wyszli. Dowódca straży na widok władcy upadł na kolana.

— Wychodzisz, panie?

— Tak. Idę przejść się.. Niech straż nie idzie za mną. Aspenaz wystarczy.

— A skoro posłowie wrócą?... Co mają czynić?

Nabuchodonozor zrobił niedbały gest ręką.

— Niech czekają...

Obóz rozciągał się od nich w lewo zbitą masą namiotów i szałasów, set-

kami rozpalonych ognisk, gwarem ludzi, hałasem zwierząt, postukiwaniem wozów. Ale idąc przed siebie, zaledwie minęli częściowo śpiących, częściowo czuwających żołnierzy przybocznej gwardii Nabuchodonozora, wyszli zaraz na teren pusty i piaszczysty, lekko sfalowany niby powierzchnia morza. Noc była jasna, księżyc i gwiazdy paliły się na czystym niebie. Morze szumiało tajemniczo, a zarazem uspokajająco. Na jego czarnej powierzchni zaledwie widać było białe linie pian. Za to blask księżyca zdawał się drzeć i łamać, wysrebrzając każdą zmarszczkę wody. Na brzegu kilka samotnych palm szumiało zielonymi liśćmi. Nabuchodonozor szedł obok wielkiego proroka. O parę kroków za nimi postępował czujny Aspenaz z ręką na głowni miecza. Miękki, sypki piasek ustępował chrzęszcząc pod nogami idących. Szli w milczeniu. Kiedy podeszli do małego skalnego wzgórka wynurzającego się spod piasku, Aspenaz przyśpieszył kroku i podszedłszy zgięty wpół do Nabuchodonozora, rzekł głosem lekko drżącym:

— Panie, odeszliśmy daleko... Możemy tu spotkać wrogów...

Nabuchodonozor odpowiedział na ostrzeżenie lekceważącym ruchem dłoni i szedł dalej. Dopiero przy końcu skał zatrzymał się, ale to dlatego, że przed nim wyrósł obłany blaskiem księżyca kamienny, niewielki, z czerwonego porfiru wykuty sfinks. Leżał na płaskiej skale, z głową zwróconą ku morzu, z przednimi łapami zwieszonymi miękko w dół. Duża twarz o wydatnych ustach i krótkim, lecz szerokim nosie miała wyraz: czujności i uwagi. Wiatr zdawał się rozwiewać szeroką chustę, spadającą obyczajem egipskim na kark potwora. Nabuchodonozor podszedł do posągu, podniósł głowę. Uśmiechnął się.

— Patrz, proroku — gestem wskazał Jeremiaszowi pogodną w blasku księżyca twarz sfinksa. — Jakżeż ci się podoba święty bożek Egiptu?

Jeremiasz gniewnie odwrócił twarz.

— Ohydą dla Pana jest każde podobieństwo człowieka wyrzeźbane ręką ludzką. Bezbożne jest i grzeszne... Pan, słuchaj, Nabuchodonozorze, zakazał człowiekowi czynić sobie samemu bogów. Są oni bluźnierstwem i obrzydliwością. Wstręt czuję, gdy na nich patrzę.

— Nie złość się, proroku. Ładny jest sfinks. Wolę wprawdzie nasze lama-szu, asyryjskie byki lub geniusze o głowie kondora. Lamassu są skrzydlate, sfinks ma tylko ciało lwa. Duchy powinny mieć skrzydła — jak sądzisz? Sfinks nie jest duchem. To prawdziwy obraz człowieka: ludzka głowa na ciele zwierzęcia. Człowiek sądzi, że ma inne ciało niż lew lub byk. Ale to niepra-

wda. Ma inną głowę, a poza tym jest zwierzęciem. Mnie samemu wydaje się czasami, że jestem bykiem...

Oparł się o skałę. Piaszczysta pustynia nakryta nocą leżała przed nimi. Dalej było morze, wciąż szumiące, choć się o nim zapomniało, pełne rytmicznych przelewań, gdy myśl gubiła się w ciszy. Obóz chaldejski płonął tysiącami ognisk; można było sądzić, że część gwiazd spadła na ziemię i leży w piasku. Z drugiej strony blask księżyca wydobywał z czarnego tła nocy mury i wały egipskiej warowni: Pelusium leżało tuż obok, ciemne i bez światła, podobne przytająonemu zgonionemu zwierzęciu. Za jego murami Nechao czekał na ostateczną rozprawę z przeciwnikiem, który w pogoni za nim aż tutaj się zapędził.

— Jacy są cisi! — powiedział drwiąco Nabuchodonozor. — Czuję, że wystarczy, abym tylko zechciał, a zmiążdżę ich. Są w potrzasku. Flotę egipską dognał Trazybulos i z pazurów już jej nie puści. Jeśli jutro uderzę na Pelusium, we dwa dni będę w Memfisie... Prawdę powiedziałeś, proroku: jestem królem i zwyciężyłem faraona. Słuchaj: zostań moim wieszczkiem. Zabiorę cię do Babilonu...

Głos Jeremiasza zabrzmiał ostro i szorstko. Nie miał nic z miękkiej wylewności głosu Nabuchodonozora.

— Nie zwykłem być niczym wieszczkiem!

— Lecz ja uczynię cię pierwszym na moim dworze. Uczynię cię najbliższym swoim sługą. Będziesz zawsze przy mnie. Tylko mnie będziesz służył, a wszyscy będą służyli tobie.

— I tobie nie będę służył, Nabuchodonozorze! Służę tylko Najwyższemu. Jestem Jego głosem.

— Jesteś dumny. Lecz powiedz: jeśli służyysz tylko swemu Bogu, to dlaczego wobec twoich, którzy mnie uważają za barbarzyńcę, chwalisz mnie i sławisz? Dlaczego? Wiem przecież, że tak mówisz...

— Pytasz? Już ci powiedziałem, Nabuchodonozorze: jesteś mieczem Pańskim.

— Nie służę twemu Panu.

— Nie wiedząc o tym, służyysz Mu!

— Nie. Nie składam Mu ofiar. Nie znam Go.

— Mimo to pełnisz Jego wolę!

— Tak mówisz? Więc przestanę ją pełnić. Nie chcę Mu służyć.

— A jednak i wtedy będziesz służył. Mógłbyś opuścić Jego służbę, gdybyś Go znał. Ale skoro Go nie znasz — musisz być Jego sługą!

Nabuchodonozor parsknął śmiechem.

— Szalony proroku! To, co mówisz, jest śmieszne. Więc twój Bóg chce mojej wielkości nawet wbrew mojej woli? Chce, abym był mieczem karzącym Jego własny lud? Zabawna historia. Powiedz mi jeszcze jedno: dlaczegoż to twój Pan wybrał mnie, a nie kogo innego? Choćby takiego Nechao?

Ręka Chaldejczyka wyciągnęła się w mrok i wskazała zaledwie widoczny kształt Pelusium. Jeremiasz odwrócił także twarz w tamtym kierunku. Padał na nią blask księżyca, i Nabuchodonozor mógł ujrzeć, jak zmieniła się pod wpływem gwałtownego uczucia gniewu. Czarne oczy proroka nagle zabłyśły, nieomal zaczęły się żarzyć w ciemnościach. Nie powiedział, ale krzyknął krótko, gwałtownie, dziko:

— Nie! Pan rzekł inaczej!

Nabuchodonozor stał tuż pod sfinksem, wciąż oparty o skałę. Łapy potwora, miękko zwisłe, zdawały się leżeć mu na ramionach. Dziwaczna twarz pełna tajemniczego życia znajdowała się tuż nad twarzą króla. Obie twarze różniły się wielce: grube, prawie murzyńskie rysy sfinksa inne były niż kanciaste ogromne czoło Nabuchodonozora, jego idealnie prosty nos i delikatne, niemal kobiece usta. Ale mimo tych różnic obie twarze miały w sobie coś wspólnego: głęboko ukrytą, zaledwie uwidaczniającą się wewnętrzną treść.

Król lekko się skrzywił. Poruszył ramionami, rozejrzał się jakimś niezadnym, szukającym czegoś gestem. To było drgnienie, ale już Aspenaz był przy nim. Błyskawicznie zdjął płaszcz z ramion i otulił nim ramiona swego władcy. Kiedy zapinał klamrę płaszcza pod szyją Nabuchodonozora, ten poruszył się niecierpliwie. Chciał coś powiedzieć do Jeremiasza. Ale Aspenaz nie ustąpił, aż klamrę zapiął. Wtedy dopiero oddalił się, zgięty w ukłonie.

Na twarzy Nabuchodonozora był ironiczny uśmiech. Skrzyżował ręce na piersiach. Zapytał:

— Więc Nechao nie mógł być mieczem twego Boga?

— Nie! — wykrzyknął Jeremiasz.

— Niepojęte są więc Jego postanowienia. Czy zawsze ich słuchasz nie rozumiejąc ich?

— Mylisz się, Nabuchodonozorze. Rozumiem rozkazy mego Pana. Nauczyłem się je rozumieć.

— Więc dlaczego, powiedz mi, proroku, dlaczego ja, a nie on? Ani ja, ani Nechao ofiar twemu Bogu nie składamy. Obaj jesteśmy mu wrodzy. Obaj służymy innym bogom. Więc dlaczego? Chciałbym wiedzieć...

— Chcesz wiedzieć? — głos Jeremiasza coraz mocniej pulsował pasją. — Chcesz wiedzieć? Więc dobrze! Wrogiem Pańskim jest Egipt! On nim pogardził i nienawidzi go od setek lat; od tysięcy lat. Egipt jest ojczyzną grzechu. Tu, w tłustym mule, wykluwa się grzech. Tu rodzi się pożądanie. Czego pragnie Egipcjanin? Złota i rozkoszy! Tylko złota i tylko rozkoszy! Mówią, że służą bogom. Kłamstwo! Sami są sobie bogami. Tu człowiek został bogiem. Nie bogom służy, lecz sobie. Obrzydłością i plugastwem jest Egipt przed Panem! Cuchnącym ścierwem, które zatrucha powietrze!

Urwał dyszał zaciskając pięści. Nabuchodonozor podniósł wysoko brwi i patrzył ciekawie w twarz proroka.

— A Babilon? — zapytał.

— Babilon był już nieraz karany — podjął innym już głosem Jeremiasz. — Gdy człowiek czci bogów z gliny i kamienia, zwolna zaczyna czcić samego siebie. Tak samo stać się musi z Babilonem, Nabuchodonozorze. Gdybyś uznał prawdziwego Pana, inaczej wyglądałby los twego miasta! Ale ty Go nie uznasz. Więc i na Babilon przyjdzie koniec, szybszy i straszniejszy niżli na Egipt. Zawsze żyć będzie ziemia grzechu, ale próżno będzie szukał człowiek miejsca, gdzie stał Babilon! Pośle Pan do Babilonu przewiewaczy i przewieją go, a spustoszą...

Po raz pierwszy na twarzy Nabuchodonozora Jeremiasz mógł zobaczyć coś więcej niż obojętnie ironiczny uśmiech. Wielkie błękitne oczy zaszkliły się. Muskulary twarzy drgnęły. Ale głos był taki jak poprzednio: spokojny i matowy.

— Prorokujesz teraz zgubę Babilonu? A mnie przepowiedziałeś wielkość...

— Tak, Nabuchodonozorze! Ty będziesz wielki, ponieważ jesteś mieczem Pańskim. Będziesz wielki, ponieważ, chcąc czy nie chcąc, służysz prawdziwemu Bogu. Lecz siedemdziesiąt lat nie minie, jak wrogowie z twego Babilonu kamienia na kamieniu nie zostawią. W pamięci ludzkiej zginie miasto nad Eufratem. Ty ukarzesz lud wybrany, lecz zemsta za lud wybrany osiągnie synów twoich. Miecz służy Pańskiej woli, nie tobie... Ciesz się, bo

możesz zdeptać ziemię faraona! Lecz płacz, bo twoje ziemie przez obcych deptane będą!

Przestał i znowu słycać było jego ciężkie dyszenie. Nabuchodonozor także milczał. Północ musiała minąć, bo gdzieś w oddali piał koguty. Król jeszcze raz odwrócił się i spokojnie popatrzył na sfinksa. Zmierzyli się wzrokiem: jasnowłosa i błękitnooki król, syn chaldejskiego księcia i księżniczka perskiej, oraz kamienny zapatrzone w morze potwór. Nabuchodonozor cicho zachichotał. Obrócił się, podszedł do Jeremiasza.

— Pożegnajmy, proroku, egipskiego bożka. Chodźmy. Niewesołe mówisz rzeczy. Ale wiesz: tym bardziej podobasz mi się. Szkoda, że nie chcesz pojechać ze mną do Babilonu. Lecz ja muszę mieć wśród swoich wieszczków choć jednego od was, z ziemi judejskiej. Czy ten twój mały uczeń jeszcze nie potrafiłby mi służyć? Lecz wiem, że mi go nie dasz...

Piasek lekko skrzypiał pod stopami, morze nieubłaganie równo biło o brzeg. Gwiazdy dopalały się ostatnim ostrym przedrannym blaskiem. Z dala, od Pelusium, dobiegły rytmicznemu szumowi morza podobne dalekie śpiewy kapłanów. Uprzedzając świt, śpiewali błagalną pieśń do boga Ra:

*Cześć tobie, który zjawileś się jako Hepera, stwórca bogów.
Wschodzisz i świecisz, i jesteś światłem matki swej, bogini Nut.
Sklada ci ona hołd i bije czołem przed tobą,
Bogini Maat bierze cię w swe objęcia rano i wieczór.
Przyjdźcie, o bogowie, i pokłońcie się bogowi Ra.
Uczcijcie tego, który nadpływa o świtaniu w swej boskiej łodzi,
Ciągąc szlakiem wytkniętym mu przez boga Totha i boginię Maat
Ten, który jest jeden w nieskończoności kształtów i postaci...*

Budził się już obóz chaldejski, ku któremu szli. Mniej było ognia, za to więcej głosów ludzkich i zwierzęcych. I tutaj kapłani śpiewali już pieśń do boga Szamasza:

*O panie, który ciemności rozświecasz
I który podnosisz pokornego, a bronisz słabego,
Panie, którego światła czekają bogowie i anunnaki!
Gdy nadchodzisz — rozbrzmiewają okrzyki wesela,
Boś ty jest światłem krańców dalekiego nieba...*

Nabuchodonozor zatrzymał się. Noc szarzała z niebywałą szybkością.

Morze jakby zacieklej biło o płaski brzeg. Dwa śpiewy zlewały się w jeden chór głosów. Król uśmiechnął się na poły tajemniczo, na poły szyderczo.

— Słyszysz, proroku? — zwrócił się do Jeremiasza. — Bóg Szamasz walczyć będzie z bogiem Ra... A wy macie tylko jednego Boga?

— Tylko jednego, Nabuchodonozorze.

— Może i macie rację. Ja także czczę tylko Marduka. Ale dziś kazałem także złożyć ofiarę Isztar. Wiesz, dlaczego?... Lecz prawda, nic ci nie powiedziałem. Pamiętasz naramiennik, który mi dałeś? Kazałem wywołać sobie ducha tamtej kobiety. I na świętą wieżę Etemenanki, to cud prawdziwy! Tak pięknej nie widziałem nigdy. Wiesz, kim jest?

— Wiem. To królowa Egiptu.

— Rozkochałem się w niej, patrząc na jej ducha.

— Ale ona nie kocha ciebie, Nabuchodonozorze.

— Tym lepiej. Mam dość kobiet, które mnie kochają!

— Chcesz ją zdobyć?

— Tak. Chcę. Słuchaj: zanim po ciebie posłałem, kazałem Nabuzardanowi pojechać do Nechao. Miał powiedzieć faraonowi: twoja siostra spodobała się księciu chaldejskiemu. Daj mu ją, a on za to przestanie cię ścigać i odejdzie do Babilonu... Bo jeśli jej nie dasz, konie Nabuchodonozora będą pić wodę z Nilu, zaś twoich okrętów Egipt nie zobaczy nigdy. Właśnie czekam na odpowiedź...

— Jak to? Dla kobiety chcesz wyrzec się możliwości zdeptania ziemi faraona?

— Och, to tylko na teraz! — zaśmiał się. — Przyrzekłeś mi przecież lata zwycięstw. Więc tu jeszcze powrócę. Ale widzisz: by zdobyć Egipt, potrzeba czasu. Może tygodni, może miesięcy. A tymczasem mój brat, Nabuszumliszyr, gotów po tron sięgnąć. Bogom trzeba wierzyć, ale boskich obietnic trzeba pilnować. Naturalnie Nechao nie wie o tym, że mój ojciec nie żyje. Wie za to, że stoję tu, pod Pelusium, a jego okręty osaczyli wierni mi Milezyjczycy. Jeśli chce się ratować, musi zawrzeć ze mną pokój. Żądam przecież tak mało...

— To nie jest mało! Kobiety umieją niszczyć wielkość mężczyzn!

— Mojej nie zniszczą.

— Pamiętaj, byś nie osłabł! Bo jeśli dla tej kobiety zapomnisz o tym, czego żąda Wszechmocny, Pan potrafi cię od niej oderwać...

— Nie bój się: będę mieczem twego Boga. Ja ich także nienawidzę.

Gwiazdy gasły, zdmuchiwane jedna po drugiej. Pokrywa nocy pękła nad dalekim horyzontem piasków i uniosła się, ukazując pas światła. W obozie chaldejskim rozległy się głosy trąb i rogów. Żołnierze witali wracającego władcę okrzykiem entuzjazmu. Ale on ich nawet nie spostrzegął. Szedł między nimi jak zawsze wolno, leniwie i obojętnie — zanurzony w swych myślach. Wódz straży padł przed nim na kolana. Ale on nie słuchał, co mu tamten chce powiedzieć. Spojrzał na niebo rozszarżające się nagłym blaskiem, potem zwrócił się do Jeremiasza:

— Wy także śpiewacie hymn do słońca?

— Nie. Ale gdy słońce wstaje, śpiewamy hymn do Najwyższego.

— Zawsze tylko do Niego?

— Zawsze, Nabuchodonozorze.

Król odwrócił się do klęczącego setnika. Zapytał:

— Czego chcesz?

— O panie, posłowie wrócili.

— Czekają, jak im kazałem?

— Czekają w namiocie.

Spokojnie skinął głową. Rozpostarł ramiona i przeciągnął się mocno. Z lekkim skrzywieniem twarzy dotknął klamry. Wierny Aspenaz pośpieszył zdjąć królowi płaszcz. Nabuchodonozor raz jeszcze przeciągnął się. Potem dopiero skinął na dowódcę straży.

— Niech tu przyjdzie Nabuzardan...

Wódz wojsk Nabuchodonozora, młody jak jego władca, padł na twarz przed księciem. Miał czarną kędzierzawą brodę i czarne, prawie granatowe włosy, mocno przy skórze skręcone. Z jego oblicza tryskały energia, moc i dzikość.

— Witaj, panie. Niech cię bóg Marduk ma w swej opiece.

Nabuchodonozor przymrużywszy oczy patrzył wyczekująco na swego wodza.

— I cóż Nechao? — zapytał powoli.

— Namyślał się długo. Do swoich bogów się modlił. Kapłanów pytał o radę...

— Lecz w końcu co postanowił?

— Prosi cię o pokój. Nitokris jest twoja.

Wielkie oczy Nabuchodonozora otwały się szeroko. Wydał pierś. Podniósł wysoko głowę. Pierwszy blask słońca zapalił właśnie szczyty palm, pod którymi obozowali. Bocian leciał nad nimi wolno na swych szeroko rozpostartych skrzydłach. Król skinął na czerwono ubranego igidu, który stał za Aspenazem:

— Wróż los mej miłości z lotu ptaka... — rozkazał.

II
EZIDA I SYJON

I

Kraj, którym szli, był jedną masą skłębionej, bajecznie bujnej, rozszalałej bogactwem barw i woni roślinności. Płaski, równy, porznięty prostymi liniami kanałów, porosły był srebrną pszenicą i ciemnozłotym jęczmieniem, których ciężkie kłosa, dłuższe niż dłoń mężczyzny i szerokie na cztery palce, zwisały zapowiedzią bogatego plonu. Nad gąszczem zieloności rozpiął swe korony prawdziwy las palm daktylowych i fig, splatając się ze zwartą, połyskliwą zielenią krzewów sezamowych, akacji i mimoz o odurzającym zapachu. Kwiaty białe, czerwone, różowe, fioletowe, złotożółte, w tysiącu barw, w milionie odcieni rosły wzdłuż drogi twardej i stukającej głucho pod stopami, wędrowca. Pokrywał ją lekki żółtawy pył, pod którymi czuło się gipsową skałę spojona skamieniałą solą morską. Tu i tam roślinność rozstępowała się, by ukazać czarne lśniące łysiny wylanego asfaltu. Nad rozfalowanym morzem zieloności podlatywały ciężko tłuste pelikany. Dalej od osad ludzkich widziało się stada dzikich, wojowniczych osłów lub płochliwych strusi. Nocami w gąszczu ryczały tygrysy.

Wędrowcy szli już wiele dni: początkowo prostymi szlakami przez pustynię, potem krętą drogą wśród zieloności. Byli blisko celu. Czuli na twarzy świeży powiew niewidocznej jeszcze rzeki przerzynającej płaską równinę i zdążającej spieszonym biegiem ku morzu, ku zatoce Maratu. Ale też trud drogi stargał siły jednego z wędrowców. Ogromny starzec włókł się ciężko, wspierając się jedną ręką na kiju, drugą na ramieniu towarzysza. Długie siwe włosy spadały mu aż na ramiona, biała broda zakrywała nagą pierś. Idąc dyszał. Co parę kroków zatrzymywał się. Podnosił wtedy dłoń do czoła i uważnie patrzył przed siebie. Ale niewiele mógł dojrzeć. Spojrzenie przekrwionych i zażawionych oczu, półprzykrytych opuchłymi powiekami, wyrażało bolesny wysiłek. W pewnej chwili zapytał towarzysza głosem matowym i chrypliwym, dobywającym się z głębi piersi:

— Czy nie widzisz jeszcze miasta?

— Nie, rabbi — odpowiedział bardzo głośno tamten. Był to mężczyzna postawny, w sile wieku. Z czułą troską patrzył na starca. — Jesteś bardzo zmęczony...

Starzec przerwał mu niecierpliwym gestem ręki. Z nagłą irytacją w głosie powiedział:

— Sam wiem, czy jestem zmęczony! Nie potrzebujesz mi o tym mówić. Chodźmy.

Gniewnie uderzył kijem w ziemię i ruszył naprzód. Ale musiał być rzeczywiście bardzo zmęczony, bo za chwilę zwisał ciężko na ramieniu towarzysza. Ten spojrział wpięrk na niebo — do wieczora było jeszcze daleko; potem rozejrzał się wokół. W gąszczu zieleni żółciły się domki z gliny lub niewypalanej cegły. Postanowił powiedzieć starcowi, że trzeba zrezygnować z dojścia tego dnia do miasta i poprosić o gościnę w którymś z domów, kiedy właśnie poczęła ich mijać, dążąc w tym samym co oni kierunku, karawana obładowanych towarami mułów. Zwierzęta były tłuste, dobrze utrzymane, w ładnej uprzęży. Obok mułów szli niewolnicy w jednakowego koloru przepaskach na biodrach. Rytmicznie przyśpiewywali. Za mułami jechał rydwan zaprzężony w dwa białe piękne konie, których głowy przybrane były piórami. Brązowskóry woźnica trzymał lejce w obu dłoniach. Obok niego stał chłopak biało ubrany, przepasany złotym pasem, ze złotą opaską na czarnych lśniących włosach; miał twarz oliwkową, orli nos i wydatne usta. Mijając wędrowców popatrzył na nich uważnie. Skinął na woźnicę, by zatrzymał konie. Pochylił się ku idącym i zapytał ich po hebrajsku:

— Idziecie do miasta?

Prowadzący starca mężczyzna spojrział nieufnie na strój i wygląd chłopca. Odpowiedział sucho:

— Tak.

Ale oczy tamtego patrzyły na nich uporczywie.

— Z daleka idziecie? — pytał znowu.

— O, tak. Aż z ziemi Kanaan, z ziemi Judy...

Zaledwie to wyrzekł, tamten skoczył z wozu na ziemię. Podbiegł do wędrowców. Zawołał z zachwytem:

— Idziecie z Jerozolimy?! Od razu poznałem! Nikt tutaj nie nosi takiego turbanu jak ty. Z Jerozolimy... Z Jerozolimy... Powiedz, powiedz, jak wygląda święte miasto...

Stał naprzeciw nich z rękoma złożonymi jak do modlitwy, z oczyma błyszczącymi podnieceniem. Delikatna szata rozchyłała się na piersiach, ukazując

gładką skórę. Na nogach miał sandały z miękkiej skóry. Mężczyzna wciąż patrzył na niego nieufnie. Zamiast odpowiedzieć na pytanie, sam zapytał:

— Jesteś Izraelczykiem?

— Ależ tak — powiedział z zapalem chłopiec. — Z pokolenia Judy, z Jeruzolimy. Moim ojcem był Jahiel syn Ekcetana...

— Tyś Daniel? — zapytał z niedowierzaniem mężczyzna.

— Tak, to ja. Tutaj zwań mnie Baltazarem...

— Byłeś zabrany razem z innymi chłopcami przez króla Nabuchodonozora, wtedy gdy przyszedł pokarać Eliakima?

— Tak. To wtedy. Byłem dzieckiem...

— Dziś jeszcze wyglądasz na dziecko.

Daniel uśmiechnął się melancholijnie. Począł mówić o czym innym.

— Jesteście zmęczeni. Siądźcie na wóz. Podwiozę was do miasta. — Wyciągnął dłoń i dotknął palcami płaszcz mężczyzny. Ze złości strzepnął proch na swoją niepokalanie białą szatę. Powiedział z drzeniem w głosie: — Pył ze świętego miasta... Pył z ziemi ojców... — Podniósł głowę. Zapytał: — Kim jesteście? Kto jest ten starzec, który szedł pieszo przez pustynię?

— To? — mężczyzna zniżył głos, nadając mu brzmienie pełne szacunku. — Wielki rabbi, Jeremiasz.

— Jeremiasz?! — krzyknął z zachwytem Daniel. Padł na kolana przed starcem. Ogarnął rękoma jego nogi i przytulił twarz do stóp nabiego. Płacząc z nagłego wzruszenia, powiedział: — Witaj, rabbi. Witaj u wygnańców ludu izraelskiego...

Starczy, łamiący się głos Jeremiasza zaskrzeczał:

— Kto to jest? Co on mówi, Baruchu? Kto to?

— To Daniel syn Jahiela — rzekł głośno Baruch.

Drżąca ręka wysunęła się przed siebie i dotknęła głowy klęczącego.

— Wstań — powiedział Jeremiasz. — Chcę cię zobaczyć. — Gdy Daniel stanął, prorok zbliżył twarz do jego twarzy. Patrzył uważnie, choć samo patrzenie zdawało się sprawiać mu ból nieznośny. — Aha, to ty... — mruknął. — Niech duch Pański będzie zawsze w twoich ustach i w twoim sercu... Czy jesteś niewolnikiem króla?

— Nie, rabbi. Uczynił mnie swoim wróżem, tłumaczem snów. Pierwszym spośród, wszystkich igidu...

— Łaskawy jest dla ciebie?

— Bardzo łaskawy. Lecz wsiądź, rabbi, do wozu. Dzień chyli się ku wieczorowi, a musimy przejechać jeszcze przez rzekę i przez całe miasto.

Ostrożnie pomógł starcowi wsiąść na rydwan. Skinął na woźnicę. Ten klasnął batem i konie ruszyły z miejsca ostrym klusem. Szybko dogonili karawanę mułów i minęli ją. Daniel wychyliwszy się z rydwanu krzyknął coś do przywódcy niewolników, ten zaś odpowiedział mu pełnym czci ukłonem. Pędzili dalej szybko, a gęsty i lotny tuman kurzu wznosił się za nimi. Droga wiała się wśród pokrytych zielonością pól, gajów eukaliptusowych i palmowych. Nagle drzewa rozstały się, w wale zbóż i krzewów zrobił się wyłom i wtedy ujrzeli zdumiewający obraz. W niewielkiej odległości ciągnął się olbrzymi, nie kończący się w zasięgu spojrzenia mur, oświecony teraz mocno przez bijące weń wprost słońce. W murze były niezliczone bramy, ponad nim wznosiło się kilka wież w kształcie olbrzymich schodów. W blasku słońca zdawały się płonąć: ich ściany musiały być wyłożone złotymi blachami. Ogrom żółtego muru bez końca wywierał oszołamiające wrażenie. Baruch patrzył nań szeroko otwartymi oczyma; nawet Jeremiasz przyłożył dłoń do czoła i wyteżał boleśnie wzrok.

A tymczasem konie wjechały na trakt wykładany czworokątnymi płytami piaskowca. Wiódł on prosto do jednej ze stu bram miasta. Nad nią wznosiła się ciężka wieża strażnicza. Kilku żołnierzy w spiczastych hełmach i skórzanych tunikach pełniło tu wartę. Oddali głęboki pokłon Danielowi. Wśród dudniącego tupotu kopyt końskich pod sklepieniem spiżowej bramy minęli mur zewnętrzny. Potem musieli przejechać po drewnianym ściągającym łańcuchami moście nad szeroką fosą pełną leniwie płynącej zielonej wody. Mieli przed sobą nowy mur, jeszcze wyższy i grubszy niż poprzedni. Przejazd pod bramą ciągnął się długo. Był tu prawdziwy tunel, którego ściany zdobiły posągi byków i smoków o głowach węża. W połowie długości oświetlał go olejny kaganek. Z mrocznej głębi wyjechali na oślepiające światło dnia. Miasto leżało przed nimi, ale jeszcze w znacznej odległości, otaczały je bowiem — choć już w obrębie murów — rozległe łąki, na których pasły się niezliczone trzody, oraz pola porżnięte kanałami, pokryte zbożem, gajami oliwek, palm, akacji, tamaryszków, sykomorów, eukaliptusów. Dopiero ponad falu-

jącą zielenią widać było oświetlone blaskiem zachodzącego słońca skupisko budowli.

Nad różowożółtą masą domów, nad zielonością drzew i krzewów wystrzelały w górę olbrzymie kształty pięćdziesięciu czterech świątyń. Iskrząca się w słońcu piramida Etemenanki przewyższała wszystkie inne. Drugi, prawie równie wspaniały ziggurat minęli wjeżdżając do miasta. To była najstarsza, pamiętająca wieki wieża świątyni boga Nabu: Ezida w Borsippie. Chwilami gęsta zieleń zasłaniała widok; trudno im było uwierzyć, że są już w mieście. Dopiero po dobrej godzinie jazdy znaleźli się wśród ulic ze sterczącymi zrębami ścian domów. W cieniu stały zasobne w towar stragany. Jechali przez Hillah, kupiecką dzielnicę miasta pełną ludzi, którzy teraz właśnie, w przedwieczornej porze, kolorowym tłumem wylegli na ulice. Przechodnie gapili się na jadących, aż woźnica musiał krzyknąć, by schodzili z drogi. Niektórzy oddawali niski pokłon królewskiemu zaprzęgowi. Ludność ubrana była w lniane białe szaty. Każdy mężczyzna trzymał w ręku laskę o rzeźbionej głowicy, zaś na szyi miał zawieszoną na rzemieniu pieczęć. Obok ludzi ubranych dostatnio kręcił się tu także cały tłum nędzarzy: półnaczy mężczyźni dźwigali ciężary, chude obdarte kobiety z dziećmi na rękach żebrały hałaśliwie. Dzieci było mnóstwo. Przeważnie zupełnie nagie, płątały się pod nogami przechodniów razem z niezliczoną ilością psów, czepiały się straganów, wrzeszczały, biły się, rzucały w siebie wzajem ogryzkami owoców. Ulica środkiem wykładana była płytami, ale po bokach tworzyła brudny, buchający kurzem śmietnik. Ten kurz osadzał się na barwnych materiałach leżących na straganach, na koszach jabłek, granatów i daktyli, na dzbanach oleju sezamowego. Ogłuszeni gwarem przybysze nie spostrzegli nawet, kiedy znaleźli się nad brzegiem rzeki. Choć rozlewała dość szeroko swe bure, mętne wody, miała prąd wartki. Spływały nią liczne łódki, ale pod prąd nie zdołała płynąć żadna. Były zresztą niezgrabne, owalnego kształtu, zrobione ze skóry. Dwóch mężczyzn pomagało każdej z nich płynąć, sterując długimi wiosłami. Między ludźmi i workami wiezionych towarów stał zwykle osioł; na jego to grzbiet załadowywano łódź, gdy trzeba było wracać w górę rzeki.

Przez Eufrat wiódł szeroki, wspaniały most wykładany drewnianymi taflami i zdobny w figury lwów oraz smoków. Jedno z przęseł mostu, tuż przy zachodnim brzegu, było ruchome. Straż podnosiła je na noc, uniemożliwiając ruch przez rzekę.

Dopiero ze środka Eufratu można było ogarnąć okiem całe miasto. Oszołomiony Baruch próżno porównywał je z Jerozolimą. Święte miasto mogło

w murach Babilonu pomieścić się może sto, może więcej razy. A kiedy z mostu ujrzał wspaniałość królewskiego pałacu, uświadomił sobie, że ten jeden pałac z jego tarasami, wiszącymi ogrodami, bogactwem murów, portyków i kolumnad jest większy niż cała Jerozolima. Tuż za mostem droga wiodła pod zdobnymi w pilastry murami Esagili. To było także miasto w mieście, niebywałych rozmiarów, że dwa razy chyba większy niż cała Jerozolima obszar poświęcony czci boga Marduka. Za murami ciągnęły się ogrody pełne kwiatów i woni tak przejmującej, że jadący drogą czuli się jak zamroczeni. Wśród ogrodów wznosiły się kaplice i poszczególne świątynie oraz pałace kapłanów. Czymżeż był cały Syjon, Salomonowa świątynia, w której piękność nad wszystkie świątynie wierzyli święcie, wobec wspaniałości Esagili? Spiczasty dach głównego przybytku Marduka pokrywały złote blachy, kolorowe kamienie tworzyły mozaikę na białych ścianach. Esagilę przeniósł przed wiekami z Eridu do Babilonu Hammurabi. Ale stare modlitwy mówiły, że jej początek jest znacznie wcześniejszy: „Jeszcze żadna trawa nie porosła ziemi, nie wybujało żadne drzewo, żadne miasto nie zostało zbudowane i żaden naród jeszcze nie powstał, a już pośrodku oceanu, na tratwie splecionej przez Marduka z trzciny i rzucanej na powierzchnię wód została wzniesiona Esagila...”

Za murami Esagili droga, którą jechali, skrzyżowała się z szerokim, jeszcze staranniej wykładanym płytami traktem. Była to Droga Królewska albo Święta Droga prowadząca do pałacu. Wzdłuż niej ciągnął się spławny kanał Arahtu, stanowiący główną drogę komunikacyjną miasta. Pełno na nim było rozmaitego typu łodzi, barek i tratw. Pluskała woda roztrącana wiosłami, rozbrzmiewał śpiew rybaków. Z dala już widać było ogrom pałacu, ku któremu się zbliżali. Przejechali po moście nad łączącym Arahtu z Eufratem kanałem Libil–hegalla i znaleźli się w cieniu rzucanym przez wysokie i potężne mury zdobne niezliczonym bogactwem pilastrów i ornamentów z kolorowej emalii. Z prawa mieli ogród świątyni Emah poświęconej Isztar, wielkiej matce Nimmah. Mur pałacu i mur świątyni zbiegał się przed nimi i łączył wspaniałą budowlą — skupiskiem portali, wieżyc i bastionów. To była owa słynna brama Isztar, zamykana czterema spiżowymi podwojami, zdobiona rzeźbami lwów, byków i smoków. Ściany wieży pokryte były błękitną emalią z żółtym szlakiem i deseniem z kwiatów rumianku. Na błękitnych ścianach jedna za drugą wznosiły się ku górze płaskorzeźby grzywiastych byków i świętych smoków Marduka — sirusu — potworów krytych łuską, wyciągających

długą węzową szyję, z rogiem na nosie i z rozdwojonym językiem wysuniętym z paszczy. Przednie łapy zwierząt były łapami psa, tylne — szponami krogulca. Setki tych bestii zdobiły ściany i patrzyły groźnie na przybysza. Klinowy napis nad bramą głosił: „Oto ja Nabuchodonozor król Babilonu, syn Nabopolassara króla Babilonu, zbudowałem bramę Nany z błękitnej emaliowanej cegły ku czci pana mego Marduka. Przed bramą położyłem spiszowe postacie byków i wielkich smoków...”

Wóz królewski minął bramę. Jechał dalej „Świątą Drogą”, z której obu stron biegł niski błękitny mur pokryty postaciami lwów białych z żółtą grzywą lub żółtych z czerwoną grzywą szczerzących groźnie zęby. Dziesiątki, setki tych lwów zdawały się iść jedno za drugim. Wiodły w ten sposób jadących aż do pałacu.

Ale Daniel rzucił rozkaz woźnicy i pojechali dalej — znowu wzdłuż muru, zza którego powiewały liczne czuby palm — aż wreszcie otwarła się przed nimi inna brama, mocna, strzeżona przez żołnierzy. Widok, który się za nią odkrył, był równie nieprawdopodobny jak wszystko, co widziało się tu w mieście: wspaniałość i bogactwo Babilonu zniknęły od razu. Za wysokim zdobnym lwami murem rozpoczynało się ponure skupisko maleńkich domków z gliny lub z trzciny gliną oblepionej. Domki, szalały prawie, rozpadające się, o dziurawych dachach, ciemne, nędzne, brudne, śmierdzące, stały prawie jedno na drugich, podobne do szarego, wynędzniałego tłumu ludzi gniotącego się w wąskich uliczkach. To była Hallab, dzielnica niewolników i przesiedleńców, wielkie obozowisko nędzy. Szary półnagi tłum, który przepychał się cuchnącymi uliczkami, mówił wszystkimi językami ludów podbitych przez Babilon. Stopy tysięcy poruszających się podnosiły tuman kurzu, który nie opadał, ale wisiał nad miastem nędzy niby mgła. W tej mgłę postacie ludzkie zatracaly swoją wyrazistość, wydawały się tylko żalonymi cieniami, często pozbawionymi rąk, nóg, z obciętymi nosami, wargami. Ci, którzy podchodzili bliżej, mieli ponure, szare twarze i wytrzeszczone rozpaczliwie oczy. Musieli być głodni, bo ich ciała przypominały szkielety obleczone w cienką skórę. Wlekli się potykając co chwila. Ziemia pod ich nogami była pełna śmieci, odpadków i odchodów. Wynędzniałe psy gryzły się między sobą o rzuconą kość. Kruki krążyły nisko nad głowami ludzi. Nawoływania, krzyki i gwar brzmiały niby jęk przeciągły.

Podróźni zsiadli z wozu. Tłum, który ich zaraz otoczył, rozstępował się

z szacunkiem przed Danielem. Musiano go tu znać, bo ludzie skomleli i gięli mu się do ręki. Wśród nieskładnej mowy obcych ludów padały często słowa wypowiedziane po hebrajsku: „Witaj, czcigodny! Witaj, Danielu. Pamiętaj o nas, nędzarzach...”

Młodzieniec zaprowadził Jeremiasza i Barucha w odległy kąt Hallabu. Był tu dom nieco większy, lecz równie nędzny jak wszystkie inne. Trzcino-wa mata zwisała zamiast drzwi. Wnętrze było biedne, ciemne, zionące odorem ciasnoty. Daniel odchylił matę i zawołał w głąb:

— Czy jesteście? Cieszcie się! Cieszcie się! Gość wielki przybył do nas ze Świętego Miasta. Cieszcie się! Sam prorok Jeremiasz przybył...

Odpowiedziało mu kilka głosów drżących wzruszeniem i zdumieniem:

— Co mówisz? Wielki Nienazwany! Jeremiasz?

— Jeremiasz?!

— Jeremiasz?!

Ktoś podniósł w górę kaganek. W jego blasku ukazał się rząd twarzy starych i młodych zwróconych ku starcowi stojącemu w progu. On zaś wolno, macając kijem przed sobą, postąpił ku mieszkańcom domu. Twarz mu zbladła i ściągnęła się, poryła tysiącem zmarszczek zbiegających się przy oczach i przy zaciśniętych ustach. Duża zwichrzona broda rozpostarta na piersi trzęsła się starczym bezradnym ruchem. Zatrzymał się. Sięgnął do pasa. Drżącymi rękoma rozwiązał mały skórzany woreczek, wysypał jego zawartość na dłoń i dłoń tę podniósł w górę. Swym zgasłym głosem powiedział:

— Niech was Pan błogosławi... Niech ta garść ziemi ojców będzie moim dla was darem...

W odpowiedzi ludzie wybuchnęli płaczem. Mężczyzna z długą brodą wysunął się przed innych. Jego wzrok był żywy i błyszczący, pełen gorączki i wewnętrznego ognia. Padł na kolana, ujął dłoń Jeremiasza i przyłgął do niej czołem. Zawołał:

— Witaj, rabbi... Cieszymy się, żeś zechciał do nas przyjść. Ale, o rabbi, twoje oko ujrzało nędzę naszą, ujrzało poníženie nasze. O rabbi, czy przyszedłeś nas pocieszyć, gdy już nam zda się, że człowiek więcej cierpieć nie może? Powiedz ty, który wiesz... Powiedz, o rabbi...

— Powiedz, rabbi! — zawołałi inni.

Mocniej poczęła kiwać się głowa Jeremiasza. Krótkimi dotknięciami, jak

człowiek ślepy, dosięgnął głowy kłęczącego. Znalazłszy ją, nagłym ruchem przytulił do piersi. Usta proroka poczęły się poruszać. Ludzie przysunęli się ciekawie, by coś usłyszeć. Ale prorok szeptał sam do siebie słowa niesłyszalne a żalodne. Wtedy spojrzeli na siebie. Z ich ust dobył się pół śpiew, a pół wiersz rytmiczny, który wypowiadali ustami drżącymi z przejęcia:

*Nad rzekami Babilonu siedzieliśmy
I płakaliśmy, wspominając o Syjonie;
Na wierzbach zawiesiliśmy nasze lutnie...*

*Jakże nam śpiewać pieśń Pańską w ziemi cudzej?
Jeślibym zapomniał o tobie, Jeruzalem,
Niech zapomniana będzie prawica moja,
Niechaj przyschnie język mój do podniebienia,
Jeżelibym o tobie nie pamiętał...*

*O Córko Babilońska, o niszczycielko!
Błogosławiony niech będzie, kto tobie zapłaci
Za to, coś nam uczyniła!
Błogosławiony niech będzie, kto chwyci i roztrąci
Twe dzieci o skałę...*

Jeremiasz słuchał słów pieśni uważnie, z głową lekko podniesioną. Drżący blask lampy kładł na jego pomarszczonej twarzy chwiejne blaski i cienie. Czerwone powieki, obejmujące grubymi wałkami oczy starca, zdawały się zbierać krew. Lecz to nie krew z nich popłynęła, tylko dwie grube łyżki stoczyły się po wyschłych policzkach.

II

Z otworu wiało chłodem i stęchlizną. Słońce oświecało niewielką przestrzeń tuż poniżej okna; dalej wszystko tonęło w mroku. Nie było w nim widać więźnia. Dopiero gdy Daniel zawołał, z głębi w blask płynący z góry wyszedł obrośnięty mężczyzna. Wbrew brodzie, która skrywała mu pół twarzy, był to człowiek bardzo młody, niski i chudy. Za całe odzienie miał przepaskę na biodrach. Stanąwszy pod oknem, spojrzął w górę. Policzki miał

szare jak ktoś, kto niewiele widzi dziennego światła, usta bezkrwiste, za to oczy duże, ciemno podkrążone i błyszczące.

— Czego chcesz? — zapytał niechętnie.

Daniel wskazał na Jeremiasza.

— Czy widzisz? Prorok Jeremiasz przybył do nas z Jerozolimy. Chciał cię zobaczyć, Joachinie...

Więzień zwrócił głowę ku prorokowi, który milcząc, w głębokim skupieniu stał przed kratą. Oczy księcia rozszerzyły się nagłym podnieceniem.

— To rzeczywiście jesteś ty, Jeremiaszu? Przyszedłeś? Sam przyszedłeś? — więzień postąpił krok naprzód i poprzez kratę dotknął płaszcza zwisającego z ramion proroka. — Więc to naprawdę ty? Powiedz... — ściszył głos. Na jego twarzy wyraz niepokoju walczył z wyrazem nadziei. — Co mi przynosisz? Powiedz... Achab i Sedecjasz syn Maasjasza mówią, że już za dwa lata będę wolny i powrócę znowu do Sella. Czy tak mówi Jahwe? Powiedz!

Głos Jeremiasza zabrzmiał z góry chrypliwie i żałośnie:

— Przyszedłem uzalić się nad tobą, Joachinie. Przyszedłem zapłakać nad twoją dolą, synu Dawida.

— Zapłakać?! — młody król krzyknął naraz gniewnie. — Drwisz sobie ze mnie?! Chcę być wolny! Powiedz mi, kiedy będę wolny, kiedy powrócę do Jerozolimy. Lata już siedzę w tym lochu. Zapomniałem, jak wyglądają drzewa, trawa, konie, ludzie... — Niecierpliwie uderzył pięścią w mur, ale zaraz opanował się. Głosem, któremu silił się nadać spokojne brzmienie, rzekł: — No powiedz, Jeremiaszu... Powiedz...

— Joachinie — Jeremiasz zgiął się, wyciągnął przez kraty rękę do więźnia — Joachinie... Pan cię dotknął straszliwie... Pojmuję twoją boleść okrutną niby boleść rodzącej...

Młody król cofnął się od muru, jakby wyciągnięte ręce proroka budziły w nim wstręt.

— Dość! — syknął. — Nie potrzebuję twoich łez! Zabierz je sobie! Chcę życia, a nie płakania. Zostaw płacz mojej matce! Słuchaj: powiedz mi, co ci o mnie mówi Pan. Mów prędko!

Jeremiasz klęknął u kraty z wciąż wyciągniętymi w głąb lochu rękoma. Nie odpowiedział na wezwanie Joachina. Młody król chwycił go za kraj

plaszczą i targając nim gwałtownie, począł wołać z coraz większą wściekłością:

— Powiedz! Każę tobie! Mów! Prędeży!

— Joachinie... — wielki prorok nie rozgniewał się, nie zagrzemiał. Bolesnie skarżącym się głosem powiedział: — Miłosierdzie Pana jest wielkie. Nie karze On bez końca za grzechy ojców. Daje się ubłagać...

— Przestań jęczeć! — wrzasnęła Joachin. — Nie chcę słuchać twego polecenia. Ty, prorok potężny i krzykliwy, coś groźnymi słowami raził mego ojca, przychodzisz płakać nade mną? Nie chcę płaczu! Powiedz mi zaraz, co o mnie mówił Jahwe!

Jeremiasz przyłożył głowę do kraty i począł kiwać się jak człowiek tłumiący w sobie płacz. Potem chwytając się dłońmi muru dzwignął się na nogi. Wyciągnął rękę, a Baruch pośpieszył podać mu jego laskę. Wsparł się na niej, wyprostował. Podjął tonem wciąż bolesnym, choć już zniknęła z jego głosu nuta rozpaczliwej prośby.

— Wiesz sam, co Pan rzekł o tobie dawniej...

— Nie wiem! Mów!

— Więc słuchaj: Pan rzekł do mnie: „Choćby Joachin syn Eliakima był pierścieniem na prawej mej dłoni, zerwę go i odrzucę! Wydam go do ziemi obcej, a on z niej nie wróci, ale tam umrze...”

— Dość!

— Chciałeś, bym ci mówił...

— Już nie chcę! Milcz! Milcz, i idź stąd! Idź stąd!

— Joachinie! — zawołał Jeremiasz głosem znowu miękkiem i bolejącym.

— Pan może cię wybawić!

— Jeżeli może, niech mnie wybawia spiesźnie!

— Lecz jeśli Pan chce, byś doświadczył wprzódy Jego ciężkiej dłoni, a nie ugiął się w wierze?

— Mówię ci: milcz! Jesteś szalony! Byłeś zawsze szalony. Mój ojciec powinien był cię zabić, jak zabił Uriasza. Kłamiesz mówiąc, że słyszysz słowa Pańskie. Gdyby twój Jahwe naprawdę tak mówił, nie byłby naszym Panem, ale naszym wrogiem, naszym dręczycielem! Nie karze mnie On, ale się nade mną zęca! Takiego Jahwe nie chcę! Takiego Jahwe nienawidzę!

Słyszysz?! Dość! Dość! Schowaj swoje łzy! I idź stąd, jeśli nie chcesz, bym ci pluł w brodę!

Daniel i Baruch krzyknęli. Joachin miotał się w swoim dole i wykrzykiwał coraz bardziej dzikim głosem:

— Nienawidzę twego Jahwe!

Jeremiasz nagłym ruchem chwycił kraj płaszcza i zakrył nim twarz. Stał tak przez chwilę bez ruchu i tylko słychać było jego świszczący, ciężki oddech. Kiedy wreszcie odwrócił się i opuściwszy płaszcz począł wolno, uważnie wystukiwać laską przed sobą drogę, zobaczyli, że ma twarz bardzo bladą i usta półotwarte, łapiące z trudem powietrze.

— Przeklnij, rabbi, bluźniercę! — zawołał porywczo Baruch.

Jeremiasz zatrzymał się. Zdawał się sam ze sobą zмагаć i walczyć. Błyskawice gniewu zapalały się w jego oczach. Ale po chwili, jakby z ulgą, odetchnął. Znowu stukając swym kijem ruszył przed siebie. Szli za nim, już nic do niego nie mówiąc. Oddalili się od ściany więzienia. Powracali ku miastu nędzy i niewoli. Już między pierwszymi domami minęła ich kobieta dzwigająca z trudem na ramieniu ciężki kosz. Spojrzała w ich stronę. W jej oczach przez chwilę zapaliła się jakby nadzieja czy też oczekiwanie.

— Ależ to Nohesta! — zawołał Baruch.

Wtedy gwałtownie odwróciła głowę i przyśpieszyła kroku. Tak, to była Nohesta. Niewiele zostało z jej urody i tylko duma wciąż malowała się na jej zwiędłej twarzy. Wyprostowana jak dawniej, poszła w stronę więziennego muru.

— Nosi jedzenie synowi... — powiedział Daniel.

Zbliżywszy się do domu Mesezebela syna Mossollama, u którego zamieszkiwał Jeremiasz, ujrzeni wielki tłum ludzi przysłuchujących się uważnie i okrzykami biorących udział w czymś, co działo się wewnątrz. Na widok Jeremiasza rozstąpiono się z szacunkiem i wpuszczono go do środka. Tutaj na szerokiej ławie siedziało czterech poważnych starców, między nimi Mesezebel. Starcy mieli na szyjach zielone sznury z dwoma chwastami: była to oznaka nadana przez Nabuchodonozora przedstawicielom rady starszych, wybranej przez wysiedleńców i niewolników żydowskich dla sprawowania sądów i pośredniczenia między Babilończykami a Izraelitami. Starcy siedzieli pełni skupienia i patrzyli uważnie na grupę młodych ludzi, która stała przed nimi. Przed tamtych wysunął się człowiek chudy, półnagi, z czarnymi błysz-

czącymi włosami wysuwającymi się spod turbanu. Jego białe od środka dłonie i żółtobiałe palce mówiły o pracy przy budowie. Ciało miał chude, ale muskularne; na młodej ściągłej twarzy malował się zapal. Mówił właśnie coś prędko i porywczo, żywo gestykulując. Szmer, jaki powstał, gdy wszedł Jeremiasz, kazał mu przerwać. Wszyscy zwrócili głowy w stronę proroka, który szedł między ludźmi ogromny mimo zgarbienia, podpierając się na kij. Ci, których mijał, szeptali ze czią:

— Wielki prorok... Jeremiasz... Jeremiasz...

Cmokano lub dotykano dłońmi jego płaszcza. Starcy ścieśnili się na ławie, robiąc mu miejsce w środku. Mesezebel wstał, wyciągnął rękę i powiedział:

— Zechciej, rabbi, usiąść między nami. Wysłuchaj spraw, z którymi lud przychodzi...

Jeremiasz usiadł. Stojący przy drzwiach napierali coraz gwałtowniej, ciekawi ujrzenia proroka i usłyszenia tego, co będzie mówił. Mesezebel skinął ręką na młodego mężczyznę:

— Mów dalej, Asafie... Niech nabi Jeremiasz usłyszy także.

Tamten jednak stracił pewność siebie. Spuściwszy głowę, przestępował tylko z nogi na nogę i miał w palcach koniec pasa. Mesezebel powtórzył:

— No mów, Asafie... Czemu nie mówisz?

Spoza Asafa podniosły się także szmery:

— Mów! Czemu milczysz? Nie bój się! Mów!

Kilka rąk szturchnęło go niecierpliwie. Przemagając onieśmienie, podniósł głowę i popatrzył prosto w twarz Jeremiasza. Zacerwienił się, potem zbladł. Jąkając się podjął:

— Bo to... tak... bo... ja mówiłem... I my tu razem przyszliśmy — zrobił gest obejmujący grupę młodych mężczyzn stojących za nim; to poczucie wspólnoty ośmieliło go — żeby powiedzieć... żeby powiedzieć... że my już nie chcemy więcej lepić cegieł i budować domów... — znowu się zacerwienił. — Ciągłe tylko lepimy cegły, a oni stoją nad nami z batem... Czy rozumiesz mnie, Jeremiaszu? — zwrócił się nagle do proroka.

Jeremiasz lekko potrząsnął głową.

— Trudno mi pojąć twoje słowa, człowieku... Powiedz od początku.

— Dobrze — rzekł Asaf. Obejrzał się na towarzyszy, a oni kiwnęli głó-

wami. — Powiem od początku. Więc jak nas tu przypędzili, zaraz zagnali do roboty. Jedni robili to, inni tamto. My lepiliśmy cegły. To ciężka praca. Ciągłe lepiliśmy. Potem przyszli ludzie od króla Nabuchodonozora i powiedzieli, że kto chce, może już nie być niewolnikiem. Dostanie ziemię lub będzie mógł być kupcem w mieście. Będzie miał żonę, dzieci... Tylko ma przyrzec, że nie ucieknie do Judei... To byli tacy, co przyrzekli. I teraz żyją jak ludzie, mają domy, rodziny, synów, córki, pieniądze, bydło, ziemię... A my? Nam powiedzieli starsi, że odchodzić nie wolno. Bo ten tylko do Judei wróci, kto jest tu, w Hallab... Kto jest teraz niewolnikiem, będzie miał potem ziemię w Judei. A tamci nie wrócą... To myśmy zostali... I żyjemy bez żon, bez dzieci... Lepimy cegły. I gnają nas do roboty. A jak już więcej nie możemy pracować, to biją... Tak... To myśmy znowu przyszli. I mówimy: „Puśćcie!” Mówimy: „Pozwólcie nam także wziąć ziemię i żony i pracować dla króla babilońskiego...” Już dłużej tak nie możemy. Czy można być ciągle niewolnikiem? Mówią nam: „Zaraz wróćcie”. Lata całe już tak obiecują. Lata całe mówią, że nas puści król babiloński... Ale kto go zmusi, by nas puścił?

— Właśnie! — rozległo się kilka głosów za plecami Asafa. — Właśnie! Kto go zmusi? Pomrzemy tu, a nie doczekamy się wyzwolenia. I dzieci nasze nie doczekają się, bo ich nie mamy...

— Powiadają nam — naprzód wysunął się barczysty młody robotnik z wielką siną pręgą biegnącą z prawego ramienia przez całą pierś. — „Czekajcie. Tylko czekajcie”. Od włóczenia gładów wytarty mam bok i ramię. Na co mam czekać? Aż sznur przetrze mi ciało do kości?

Jakiś chłopak o nędznym wyglądzie podskakując na jednej nodze zawołał:

— Dozorca złamał mi nogę. Jak wrócę do ziemi ojców? Kto da mi jeść, gdy nie będę miał dzieci?

— Jak można żyć bez dzieci? — wykrzyknęto.

— Jak można żyć bez żony?

— Jak długo mamy jeszcze czekać?

— Powiedz: kto nas wyzwoli?

— Powiedz: czy nas kto wyzwoli?

— Przecież my nie chcemy wyrzec się Przedwiecznego — podjął znowu Asaf. — Ale, rabbi — z gwałtownym gestem zwrócił się do Jeremiasza —

cóż Wszechmocnemu przyjdzie z tego, że umrzemy w nędzy i w niewoli? Czy na niewolę nas stworzył, czy na swą chwałę? Powiedz sam!

— Powiedz — zawtórowały znowu inne głosy. — Przecież Najwyższy nie chce naszej śmierci i tego, byśmy umierali w niewoli...

— Powiedz: czy nie można Pana chwalić wśród ludzi?

Jeremiasz patrzył na mówiących i lekko kiwał głową. Z jego twarzy zrytej zmarszczkami trudno było coś wyczytać. Sztywne, o zgrubiałych stawach palce przesuwawały się po lasce. Wolno zwrócił głowę do Mesezebela.

— A ty co powiesz? — zapytał.

Mesezebel wstał. Szeroko rozłożył ręce.

— Niech mnie Pan pokarze — zaczął — jeśli mi nie leży na sercu nędza tego ludu. Asaf słusznie mówi: cierpią bardzo. Ale, o rabbi, powiedz sam: co zrobić? Kiedyśmy tu przybyli, spotkaliśmy Izraelitów, których jeszcze Asyryjczycy zabrali z Samarii. To już nie są Izraelici! Zapomnieli o Najwyższym, a służą Belowi, Isztar, Mardukowi. W bogactwo porośli, to prawda. Mają ziemię, pieniądze, bydło... Ale swoim pożyczają na lichwę! Żenią się z obcymi kobietami! Nie przestrzegają postów ani świąt! Pracują w szabat! Jedzą pokarmy ofiarowane bałwanom! Jedzą mięso zwierząt nieczystych! Nie obrzezują synów! Kto tych ludzi upilnuje, gdy pójdą między obcych, by o Wszechmocnym nie zapomnieli? No powiedz, rabbi, powiedz.

Inny ze starców zwrócił się z kolei do Jeremiasza:

— Tym, co opuszczali Hallab, powiedzieliśmy: Dobrze, idźcie. Ale nie wolno wam zapomnieć, że jesteście narodem wybranym. Każdy obcy niech będzie wam wrogiem! Chronście się przed jego dotknięciem, jak chronicie się przed dotknięciem trupa. Nie wolno wam zapomnieć o żadnym przepisie waszej religii. To wiesz, rabbi, co odpowiedzieli? „Jak chcesz, byśmy żyli? Mamy złem za dobre oddawać? Mamy drażnić pogan, by nas zabijali? Mamy być dla nich pośmiewiskiem?”

— Tak powiedzieli, rabbi, tak! — krzyknął niski starzec o czerwonej, zdradzającej popędlivość twarzy. — Oni chcą służyć Panu, nie wypełniając służby Pańskiej! Będą musieli zginąć! Przeklęte pokolenie!

— Musimy przetrwać — podjął znowu Mesezebel. — Musimy wytrwać. Oni — wskazał na młodych robotników — oni także muszą wytrwać. Niedługa już będzie nasza męka...

— Za dwa lata — krzyknął znowu starzec o czerwonej twarzy — będziemy wszyscy w Jerozolimie! Jeszcze tylko dwa lata!

Jeremiasz, który słuchał tych słów z głową zwieszoną na piersi, nagle ją podniósł. Spojrzał po starszych, zajrzał ciekawie w ich twarze podniecone słowami, które wypowiadali. Potem zwrócił wzrok na ludzi stojących przed nim. Byli stropieni, coś do siebie szeptali. Patrzył pełen wzruszenia na ich twarze blade, ściągnięte od bólu i wysiłku, na ich ciała wychudłe, na obtarte ramiona, dłonie, biodra, na niepokój, jaki się palił w ich oczach. Lekko stuknął laską, a gdy zrobiła się cisza, zapytał spokojnie, zwracając się do siedzących obok starców:

— Kto wam powiedział, że za dwa lata powrócicie?

Wykrzyknęli jednocześnie:

— Pan! Pan powiedział! Przez usta proroków: Achaba syna Kolasza i Sedecjasza syna Maasjasza.

Gwałtownie podniósł się z ławy, wyciągnął rękę nad głową.

— Kłamię wasi prorocy! — zachrypiał. — Nie powrócicie ani za dwa, ani za dziesięć lat. Umrzecie wszyscy w ziemi babilońskiej. Pan rzekł już dawno — a wiecie, że słów swoich nie odmienia — iż będziecie niewolnikami Nabuchodonozora, jego syna i wnuka. Wróćcie dopiero po siedemdziesięciu latach — i tylko wtedy wróćcie, jeśli zachowacie wierność Panu. Nie wy, lecz wasze dzieci powrócą! I dlatego musicie je mieć. Musicie żenić się, musicie płodzić synów i córki, musicie obsiewać rolę, zakładać sady, budować domy. Musicie żyć! Musicie żyć!

W izbie podniósł się gwar, krzyk, zamęt. Wszyscy zerwali się ze swoich miejsc, wszyscy mówili jednocześnie, jedni przez drugich. Mesezebel wołał żałośnie:

— Jeżeli mówisz prawdę, rabbi, jesteście straceni! Jesteśmy straceni!

Starzec o czerwonej twarzy krzyczał rozdzierającym głosem:

— To nie może być! Za dwa lata wrócimy! Każdy z nas czuje, że wrócimy! Tylko wytrwajmy! Musimy wrócić! Nie może Pan srożyć się bez końca! Nadchodzi dzień sprawiedliwości Pańskiej! Już niedługo! Już niedługo!

Lecz Jeremiasz nie słuchał tego krzyku. Postąpił parę kroków naprzód i stanął wśród młodych robotników. Ci zaś otoczyli go kołem, padali na kolana, chwyтали poły jego płaszcza i całowali je z miłością. Zobaczył w ich oczach radość i uspokojenie. Uśmiechali się do niego, a on uśmiechał się

do nich. To była młodość, oszołamiająca, bujna młodość, którą tak daleko zostawił za sobą. Słyszał nieśmiałe, lecz pełne przekonania głosy:

— Nie odejdziemy od wiary w Najwyższego... Będziemy czcili dzień święty... Na pewno, rabbi... Wierz nam... Nie skrzywdzimy wdowy i sieroty... Nie zapłacimy złem za dobre...

Oparł dłoń na ramieniu jednego z młodych. Rzekł:

— Mnóżcie się, a nie bądźcie w małej liczbie. Szukajcie pokoju dla miasta, w którym żyjecie, i módlcie się za nie do Pana, bo jedno jest Jego miłosierdzie. Czekajcie, lecz nie czekaniem niecierpliwym, gniewnym, żalonym, ale czekajcie w ufności i w cierpliwości. A po siedemdziesięciu latach Pan was nawiedzi słowem dobrym. Bo powiedział: „Moje myśli o was są myślami pokoju, a nie udręczenia. Dam wam cierpliwość i koniec. Jeśli będziecie mnie wzywali i będziecie się do mnie modlili — wysłucham was. Jeśli szukać Mnie będziecie szerokim sercem — znajdziecie Mnie...”

III

Przed wejściem do pałacu stało dwadzieścia niewysokich bazaltowych lwów podnoszących gniewnie paszcze nad ciałem przygniecionego łapami człowieka. Potem trzeba było iść w górę schodami, więc Daniel i Baruch wzięli Jeremiasza pod ramiona. Ogromne drzwi okute były srebrnymi i złotymi blachami. Stali przy nich znieruchomiali wartownicy z włócznią w prawym ręku. Minawszy ich znaleźli się w szerokim, lecz mrocznym korytarzu prowadzącym w głąb pałacu niby do tajemniczej pieczary. Pod nogami mieli płyty z czarnego bazaltu tworzące szachownicę z płytami z białego marmuru. Wzdłuż ścian koloru lapis-lazuli ciągnęły się niezliczone płaskorzeźby, najczęściej przedstawiające polowanie na dzikie osły, lwy lub dziki. Stałe powtarzał się motyw najeżonego strzałami lwa wyrzujującego krew z pyska lub lwicy trafionej włócznią w zad i ciągnącej za sobą bezwładne łapy. Wysokie stropy wykładane były drzewem cedrowym i cyprysowym.

Strażnik, który ich prowadził, szedł przed nimi w postawie wyrażającej szacunek; doprowadził ich do wielkiej sali pełnej rzeźb i posągów stojących na oddzielnych postumentach, po czym, skłoniwszy się nisko, wyszedł. Je-

remiasz, zmęczony prędkim marszem przez długie korytarze, ciężko dyszał. Baruch rozglądał się ciekawie po sali.

Posągi, które ich otaczały, przedstawiały niewątpliwie bogów. Niektóre z nich były bardziej kształtne, inne zupełnie prymitywne, niezdarne, zaledwie przypominające postać ludzką. Łatwo można było poznać, że nie są to bogowie babilońscy, gdyż różnili się wyglądem od charakterystycznych postaci Anu, Enlila czy Ei.

Niedługo czekali: dwóch strażników otworzyło z trzaskiem małe boczne drzwi i do sali wszedł Nabuchodonozor. Szedł tym samym co dawniej, wolnym, powściągliwym krokiem, z twarzą zamyśloną i jakby obcą otaczającym go sprawom. Zatrzymał się w progu. Daniel i Baruch zgięli się w ukłonie i tylko Jeremiasz pozostał wyprostowany, wsparty na kij. Uśmiech pojawił się na twarzy króla. Była to ciągle ta sama twarz, łatwo ulegająca grymasom i skrzywieniom, które jednak nie oddawały nic z prawdziwych uczuć Nabuchodonozora. Lata pokryły czoło zmarszczkami, zaostrzyły rysy. Jak dawniej Nabuchodonozor był gładko wygolony. Jasne włosy układały mu się spokojniej, przez co czoło wydawało się wyższe. Łuki brwi były po staremu delikatne, niby nakreślone cienkim węglem, i mocno wygięte. Obejrzał się za siebie, a nie odstępujący króla Aspenaz. od razu zgadł życzenie władcy: strażnicy przynieśli ciężki nakryty skórą leoparda fotel. Nabuchodonozor usiadł. Znowu zrobił ledwo dostrzegalny ruch dłonią: podobny fotel przyniesiono dla Jeremiasza. Król łaskawie skinął głową.

— Siadaj, Jeremiaszu. Jesteś moim gościem. Nie chcę, byś stał. I powiedz: co sprowadza cię do mnie do Babilonu?

Jeremiasz, który usiadł na podsuniętym mu fotelu, znowu dźwignął się na nogi. Niepewnie postąpił naprzód. Potem nagle przygiął się, prawie złamał w pół swą olbrzymią postać. Nieprawdopodobnym wysiłkiem woli zdobył się na tak obcy mu gest pokory wobec człowieka. Rzekał cicho i chrapliwie:

— Przyszedłem prosić cię, królu, o zlitowanie... Abyś powstrzymał swój gniew... Abyś nie karał...

Nabuchodonozor zaśmiał się cicho. Podniósł brwi, wyrażając zdumienie, którego niewątpliwie nie czuł.

— Więc już wiesz, że gotuję wyprawę? Ha, ha, ha! Między Babilonem a Jerozolimą leży pustynia, lecz przez tę pustynię prędko lecą słowa... A może wam, wieszczkom, i słów nie potrzeba?

Znów roześmiał się. Skinieniem dał znak Jeremiaszowi, aby usiadł. Uważnie patrzył w twarz starca. Prawie nakazywał wzrokiem oczom proroka, by zdradziły mu swe tajemnice. Wsparty łokciami o poręcz fotela, przyglądał się z upodobaniem swym długim, cienkim palcom o wąskich paznokciach.

— Trzeci już raz — podjął — przychodzisz prosić za swoim miastem...

Jeremiasz potwierdził jego słowa skinieniem głowy. Rozmowa tych ludzi przypominała zetknięcie się dwóch różnych żywiołów: Nabuchodonozor był tu wodą, mieniającą się powierzchnią nad nieustępliwą, tajemniczą głębią. Jeremiasz zdawał się być ogniem: wybuchał od razu, nagle, gwałtownie, łatwo i prosto odkrywał swe myśli. A przecież, choć tak bardzo odmienni, nie byli sobie całkowicie obcy. Nie potrzebowali wielu słów, by się zrozumieć.

— Tak — zagasty głos Jeremiasza brzmiał dziwnie, niby dźwięk przebrzmiały i znowu boleśnie przywołany do życia. — Dwa razy — ciągnął prorok — prosiłem cię o łaskę i dwa razy darowałeś miastu... Łaskawy byłeś. Bądź raz jeszcze łaskawy. Nie wyruszaj na Jerozolimę...

Wzrok Nabuchodonozora oderwał się od twarzy Jeremiasza i pobiegł ku obliczom bogów otaczających kręgiem salę. Patrzyły ku niemu wytrzeszczone groźnie oczy, otwarte w krzyku usta, widział małe ręce unoszące w górę młot lub pęki błyskawic. Wiedział dobrze, skąd pochodziła każda z tych figur: to był Teszub Hetejczyków, zwyciężonych w krótkim, lecz krwawym boju; to znowu bóg słońca ludu Szuhbarti, wywleczonego przez wojska Nabuchodonozora z rodzinnych gór i osadzonego nad środkowym Tygrysem; to znowu bóg-piorun ludu Sigirstu z za jeziora Uruma, ludu, który bronił się tak uporczywie, że musiał zostać całkowicie wyrżnięty. Pod ścianą stał na byku brodaty Assur z napiętym łukiem w ręku. Tego Assura Nabuchodonozor sam zdjął z postumentu w płonącym pałacu Sinszariskuna i kazał zabrać swoim ludziom. Obok wypinał się niezgrabny gliniany bożek, łysy i nagi, z wyrazem okrutnej złośliwości na wykrzywionej twarzy. Bożka przywieźli Nabuchodonozorowi jego żołnierze z zuchwałej wyprawy na północ, do tajemniczej ziemi Magog.

Każda z tych figur była symbolem osiągniętego Zwycięstwa. Krąg zdeptych bogów otaczał pusty postument. To było miejsce przygotowane dla triady bogów największego przeciwnika: dla Ozyrysa, Izdy i Horusa. Nabuchodonozor był pewien, że przywiezie ich sobie z Memfis. Spokojnie zwrócił znowu wzrok na Jeremiasza. Nie odkrywał swych uczuć, ale wspomnienie o Jerozolimie nasunęło mu myśl o nienawistnym wrogu.

— Prosisz o łaskę nad Jerozolimą? — zapytał. — A czy wiesz, Jeremia-szu, jak postępuje król jerozolimski? Moi ludzie przejęli jego listy do faraona. Obiecuje w nich zbuntować całą ziemię Kanaan, Filistynię i Syrię przeciwko mnie. Czy jestem dla niego okrutny? Czy każe mu wierzyć w Marduka lub Isztar składać ofiary? Patrz, ci bogowie wokoło — spokojnym gestem ręki zatoczył krąg — których tu widzisz, to bogowie ludów przeze mnie zwyciężonych. Na znak swego panowania kazałem ich tutaj postawić. Ale nie ma tu posągu waszego Boga... Nie poszedłem po Niego do waszej świątyni. Przeciwnie: kazałem nawet waszym kapłanom, by Mu ode mnie złożyli ofiarę. Nie na Esagile, ale na świątynię jerozolimską zaprzysiął mi Sedecjasz wierność i pokój... Któż więc jest sprawiedliwy: ja czy on?

Spokojnie odmierzał słowa. Nie potrzebował się gniewać: Jerozolima nie była dla niego nigdy niebezpiecznym przeciwnikiem. W każdej chwili trzymał jej los w swoim ręku. Gdyby zechciał, zdusiłby ją, jak dusił orlim gniazdom podobne miasta ziemi Zagros. A przecież tego nie zrobił chociaż wiedział, że żaden lud nie nienawidzi go tak bardzo jak Judejczycy.

Jeremiasz znowu podniósł się z fotela. Postąpił dwa kroki i nagle ciężko padł na kolana.

— Nabuchodonozorze — zachrypiał — miej cierpliwość... Miej litość nad Jerozolimą... Po to tu przyszedłem... Miej litość...

Król skinął ręką. Daniel i Aspenaz ujęły starca pod ramiona i znowu posadzili na fotelu. Nabuchodonozor milcząc patrzył na proroka drżącego z wielkiego wysiłku. Stały mu przed oczyma dawne spotkania z Jeremiaszem. Wtedy w Tadmor podziwiał zuchwałość i dumę tego wieszczka. Inaczej wyglądał Jeremiasz, gdy przyszedł do jego obozu prosić o łaskę dla skutego w łańcuchy Eliakima. Czerwone niebo wieczoru rozpinano się nad maleńką Jerozolimą uczeponą z boczny Syjonu. Wojsko czekało tylko rozkazu, by wtargnąć do miasta. Wtedy to na progu namiotu, na tle czerwonego zachodu Nabuchodonozor zobaczył półnągą postać proroka. Jeremiasz stanął przed nim. Swym chrapliwym, ale potężnym głosem powiedział: „Pan ci dał triumf nad Egipcem, oddaj za to Panu Jerozolimę!” Brzmiało to jak propozycja układu. Rozbawiła ona Nabuchodonozora. Od razu zgodził się na żądanie proroka. Ustąpił spod miasta. Uwolnił Eliakima. Cierpliwie czekał przez lata całe, choć mu szpiedzy wciąż donosili o znoszeniu się judejskiego króla z Nechao. W końcu wyruszył znowu. Niby pantera niespodziewanym skokiem przebył pustynię, przeprowadził wojska przez Jordan, stanął pod murami Jerozolimy.

Przerażeni mieszkańcy zamordowali swego władcę. Trup Eliakima niby ze włók zdechłego osła leżał nie pogrzebany na polu. Naprzeciw Nabuchodonozorowi w szarej mgłę porannej wyszedł syn króla Joachin. Był to płaczący chłopiec otoczony kobietami i rówieśnikami. Nabuchodonozor kazał go zakuć w kajdany. Wojsko w napięciu czekało rozkazu uderzenia na zbuntowane miasto. Wilgoć była w powietrzu. W nocy spadł deszcz. Ciemne, porwane chmury niby szmaty wlokły się nad czarnym konturem skurczonego, w lekliwym oczekiwaniu miasta. Wtedy także zjawił się w namiocie króla Jeremiasz. Był już stary. Dawniej towarzyszył mu chłopiec, teraz szedł przy nim młody człowiek o twarzy porośniętej pierwszym zarostem, rzadkim i brzydkim. Głos proroka zabrzmiał stanowczo. Jeremiasz powiedział: „Wielki Jahwe uczynił tobie miłosierdzie: pozwolił ci być wielkim królem. Daj życie małemu królestwu Judy. Skoro karzesz ród Eliakima, nie niszczy miasta...” I Nabuchodonozor znowu ustąpił. Joachin z matką, dziesiątkami dworaków i tysiącami Jerozolimczyków odszedł w niewolę. Złotem kazał sobie zapłacić zwycięzca ciężki trybut, a gdy złota w skarbcu nie stało, zabrał ze świątyni złote naczynia. Królem uczynił Mataniasza, brata Joachaza, nakazawszy mu przysiąc sobie wierność. Zmienił mu przy tym imię na Sedecjasza.

I znowu cierpliwie czekał. Początkowo było wszystko dobrze. Mataniasz niedołącznie, ale posłusznie rządził Judeą. Szpiedzy donosili Nabuchodonozorowi o wszystkim. Wiedział więc, że między Jerozolimą a Memfisem nie podróżują poselstwa. Zresztą i Egipt pod rządami syna Nechao Psametyka szanował granice zakreślone pokojem pod murami Pelusium. Wodza wojsk Eliakima, Elmadama, nie było w kraju: uciekł gdzieś i słuch o nim zaginął.

Lecz nagle wszystko się zmieniło. Umarł Psametyk, zwalony chorobą podczas wyprawy na Nubię. Młody król Hofra, pogromca Nubijczyków, inny był niż dziad i ojciec. Dziki jak młody byk, zuchwały, niecierpliw i namiętny, pragnął krwi, wojny i zwycięstw. Począł powiększać armię. Jego posłowie pojawili się w Tyrze, Jerozolimie i Damaszku. Nowy wiew przeleciał nad pobrażem Wielkiego Morza. Fenicjanie poczęli budować na gwałt bojowe okręty. Poczęły się narady i spiski. Szpiedzy donosili Nabuchodonozorowi, że posłowie wędrują teraz często między Jerozolimą a Memfisem...

Rozparł się w fotelu. Swym cichym, leniwym głosem podjął:

— Nie mów mi o litości, Jeremiaszu! Nie broń Jerozolimy. Zasłużyła na mój gniew. — Znowu bawił się swymi cienkimi palcami, lekko spłaszczonymi na końcach. Wzrok jego pobiegł do pustego postumentu. Nieoczekiwanie

uśmiechnął się. Przypomniął sobie, jak mu mówiono, że Żydzi nie rzeźbią ani nie malują swego Boga. Nie można by Go tu postawić między zwyciężonymi bogami. O, spryciarze... Pokrył uśmiech swym zwykłym wyrazem obojętności i drwiny: — Przecież — powiedział — to wasz Bóg kazał mi być mieczem karzącym... Tak mi mówiłeś...

— Tak! — wykrzyknął Jeremiasz — tak! — Sprawiedliwość Pańska żąda pomsty. Lecz, Nabuchodonozorze... — prorok zniżył głos; mówił teraz miękko, gorąco, natarczywie, jak żebrak, który idąc za bogaczem doprasza się grosza. — Pan zna także litość i miłosierdzie... Daje się ubłagać...

Wyblakłe oczy starca pełne oczekiwania spoczęły na gładkiej twarzy króla. On zaś odwrócił twarz i patrzył w bok, jakby coś bardzo ciekawego zobaczył na wykrzywionym obliczu boga ziemi Magog. Często przychodził do tej sali patrzeć na gliniane straszdyło. Twarze innych bogów miały wyrażać grozę. Przeważnie były jednak śmieszne. Wolał już kamienną, bezmyślną powagę bóstw chaldejskich. Tylko ten przywieziony z północy bożek zdawał się żyć i śmiać szyderczo ze swych wyznawców. Plugawym gestem wypinał ku nim brzuch. Był odrażający. Nabuchodonozor pogardzał nim, a przecież coś go tutaj przed wykrzywionego potwora ciągnęło. Już nieraz siedząc naprzeciw glinianej figurki podejmował swe wielkie decyzje.

Zachichotał cicho.

— Litość? Miłosierdzie? Bogowie nie są miłosierni. Bogowie są tylko sprawiedliwi. I ja jestem jak oni: nagradzam lub karzę...

— Lecz byłeś miłosierny! — w głosie Jeremiasza brzmiała żarliwa prośba. — Dwa razy odstąpiłeś...

— Mylisz się — Nabuchodonozor przerwał prorokowi stanowczym ruchem ręki. — Nie byłem nigdy miłosierny. Byłem tylko — parsknął krótkim śmiechem — rzetelny. Pamiętasz? Powiedziałeś: Oddaj memu Panu Jerozolimę za to, że ci dał zwyciężyć Egipt. Przyznałem ci słusność. Twój Bóg był mi wiernym sojusznikiem... Uwolniłem Jerozolimę. Drugi raz powiedziałeś: Oddaj memu Panu Jego miasto, bo cię uczynił wielkim królem. Odszedłem i nie zburzyłem murów. Co mi dziś powiesz, proroku judzki? Za co mam ci dać tym razem Jerozolimę?

— Nie dla mnie! — zachrypiał Jeremiasz. — Nie dla mnie ocal Jerozolimę. Dla Przedwiecznego...

I znowu patrzył z napięciem w twarz Nabuchodonozora. Król milczał.

Zdawał przyglądać się klamrze pasa. Ale to był tylko pozór. Ambicją Nabuchodonozora było nie ukazywać nigdy drugim prawdziwego swego oblicza. Zresztą czyż ludzie, którzy go otaczali, mogliby zrozumieć jego uczucia? Im wystarczyło, że widzieli w nim króla, wodza, budowniczego, jakby rzeczywistość berła, miecza i kielni były jedyną rzeczywistością.

Przed paru laty ogarnęło go szaleństwo. Zapadł w nie nieoczekiwanie, jak się zapada w sen w gorące letnie popołudnie. Wydało mu się, że jest świętym bykiem, symbolem siły bogów. Nie odpowiadał słowami, tylko ryczał i domagał się siana. Oprzytomniawszy, nie od razu zmienił postępowanie, chciał bodaj pod pozorami szaleństwa ukryć przed ludźmi niepojęte uczucia i myśli, jakie w nim żyły. Często wtedy sobie przypominał żydowskiego Boga. Jego niewidzialność podniecała go. Wyzdrowiawszy, kazał Mu nawet złożyć ofiarę. Wypytywał wielokrotnie Daniela o kult tego tajemniczego Boga, który uczynił go mścicielem swych krzywd na swym własnym ludzie.

Wolno, poważnie potrząsnął głową. Jeśli Bóg Żydów uczynił go swym mieczem, w takim razie nie może teraz domagać się łaski dla grzesznego ludu. Jeremiasz sam nie wie, czego chce. Jerozolima musi być ukarana. Naród, który grzeszy przeciwko własnemu Bogu, niewart jest życia.

Jeremiasz odpowiedział gwałtownym wybuchem:

— Mylisz się, Nabuchodonozorze! Odwieczny gniewa się na swój lud, ale nie chce jego śmierci. Nie przestał go kochać...

Król roześmiał się:

— Więc chce, bym go karał i gładził jednocześnie?

Powiódł wzrokiem po twarzach Daniela i Barucha. Wydawali się obaj spłoszeni. W głębi serca poczuł rozdrażnienie. Ta niekonsekwencja nieznanego Boga miała w sobie przecież coś pociągającego.

Dał ręką znak Jeremiaszowi, by się ku niemu nachylił. Ściszył głos, jakby nie chcąc, by słyszał go tłum bogów. Na poły poważnie, na poły drwiąco podjął:

— Słuchaj, proroku, mówimy między sobą. Rozumiem cię. Chcesz oszukać swego Boga...

Po twarzy Jeremiasza przeleciał błysk. W przeciwieństwie do Nabuchodo-

nozora najmniejsze uczucie ujawniało się na niej natychmiast. Usta drgnęły, jakby starzec musiał gwałtownie zaczerpnąć powietrza. Król zachichotał:

— Nie wstydz się — szeptał. — Ja robię to samo. Naprawdę. Powiedziałeś, że Babilon rozpadnie się w proch. Ha, ha, ha! Widzisz, że nie zapomniałem twoich słów. I patrz, co zrobiłem. Zbudowałem miasto, wielkie jak żadne inne na świecie... Czy sądzisz, że tak jak jest potężne, miałyby się kiedy rozpaść w proch? Ha, ha, ha! Ja o łaskę bogów nie żebrzę! Ja tę łaskę zdobywam!

Coś w głosie Nabuchodonozora zabrzmiało nie znanym dotychczas tonem. Spokojny nurt leniwie płynącej wody nagle się zmącił. Gruba żyła nabrzmiała na prawej skroni króla. Wielkie błękitne oczy pod wysokimi łukami brwi popatrzyły przenikliwie na starego proroka. Były czujne i drapieżne jak ślepia czającego się do skoku jaguara. Znowu podjął:

— Może nie mam racji? — zaśmiał się wyzywająco. — Ja oszukuję bogów i ty chcesz ich oszukać. Obaj pragniemy, by bogowie naszą wolę pełnili, a nie my ich... — Odchylił się do tyłu, jakby chcąc lepiej ocenić efekt swych słów. Z zachwytem patrzył na zbielełe usta proroka, na mocno, do bólu ściągnięte brwi. — Milczysz? — zapytał.

Jeremiasz rzeczywiście milczał. Cóż miał odpowiedzieć? Głęboko w ranę jego duszy zapuścił swe palce chaldejski król. Nie zablizniły jej lata. Krwawiła jak dawniej. Pokrył oczy powiekami, zapatrzył się w głąb siebie. Nabuchodonozor jednak znowu pochylił się ku niemu, znowu mówił tym samym tonem drwiny, która skrywa wszystko:

— Wiem, dlaczego milczysz: bo mam słuszność. Myślisz tak jak i ja, że to tylko lud widzi bogów stojących na ołtarzach lub mieszkających w niebie... Ale naprawdę bogowie są w nas! Nie gdzie indziej! I to tylko potrafia zrobić, co my za nich zrobimy...

— Nie! — nagle i porywczo zaprzeczył Jeremiasz. Podniósł głowę, zwrócił twarz na króla, ale oczy miał zamknięte, powieki zaciśnione. — Nie!

Nabuchodonozor szyderczo pokręcił głową:

— Wypierasz się... Jestem pewien, że tak właśnie myślisz. Bogowie są w nas. No, nie w każdym człowieku, tylko w tych, których wybrały sobie gwiazdy... I bogowie nie uderzają piorunem. Ludzie są piorunem bogów. Ludzie są bogami...

— Bluźnisz, królu! — zamartył głos Jeremiasza chrapał, przerywany na-

głą zadyszka, która mówiła o wewnętrznym podnieceniu. — Ludzie nie są bogami! Człowiek nie jest Bogiem! Bóg, gdy chce, może także sam uderzyć piorunem. Bóg tylko pozwala działać ludziom. Jedni są Jego mieczem, drudzy Jego słowem, inni... Tak, Nabuchodonozorze! Bóg może chcieć, aby ludzie czyniąc swą wolę wykonywali Jego wolę. Ale jeśli jej nie czynią — wola Boża i tak się wypełni...

Drżący podnieceniem głos Jeremiasza ucichł. Chwilę trwała cisza... Wzrok Nabuchodonozora znowu, wędrował po twarzach zdobycznych figur. Tę elamską boginię zabrał z ołtarza świątyni w Serwan. Jakiś szalony kapłan rzucił się wtedy na niego z krzywym nożem ofiarnym. Towarzyszący królowi Grek Antymenides przebił szaleńca włócznią. Konając Elamczyk krzyknął: „Spali cię piorun Matki Bogów!” Żadnego piorunu nie było. Antymenides kpił cynicznie: „Boginie są po to, by spały z ziemianami i rodziły półbogów...” Znowu wpadł w oczy króla potwór z ziemi Magog. Zdawał się śmiać z podniecenia proroka. Kiedy Nabuchodonozor patrzył na bożka, czuł także potrzebę drwin.

— Jeśli twój Bóg potrafi mścić się bez pomocy mego miecza — powiedz — zostawmy Go. Czczę pokornie Marduka, ale gdy stanę pod murami Jerozolimy, będę tam ja, a nie Marduk! Zostawmy bogów. Dziś targ prowadzimy my dwaj. Chcesz ocalenia Jerozolimy? Dobrze. Lecz cóż dasz mi za to?

Jeremiasz jęknął boleśnie:

— Nie umiem się targować! Proszę cię o litość...

— Dumny jesteś, a prosisz! I o kogo prosisz? O lud który nie chce cię słuchać. Wiem i o tym. Szpiedzy mówią mi wszystko. Jerozolima zamknęła uszy na twoje słowa. Odwracają się na twój widok. A wielu jest takich, którzy nazywają cię zdrajcą. Mówią, że cię kupiłem. Co? Może mówię nieprawdę.

Ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi Jeremiasza.

— Mówisz prawdę... — szepnął.

— Więc widzisz! Gdybyś biegał po Jerozolimie i wzywał na mnie gromów twego Boga, kochano by cię i czczono. Ale ty śmiesz im mówić, że jestem sługą waszego Pana, że słusznie ich pokarałem i jeszcze pokarzę. Zobaczysz: tego ci nie darują! Podniosą kiedyś przeciwko tobie rękę! Słuchaj, Jeremiaszu: każę jutro Nabuzardanowi ruszyć na Jerozolimę. Wytnie

wszystkich mężczyzn, wszystkie kobiety, wszystkie dzieci. Ale zachowa miasto i świątynię. Inny lud ci dam. Przesiedlę go znad Tygrysu albo z dala, z gór. Ty będziesz jego królem. Czcić będziesz swego Jahwe... Tak się On, zdaje się, nazywa, choć wam nie wolno Jego Imienia wymówić. No powiedz, zgadzasz się?

Zapadła cisza. Baruch i Daniel spojrzeli niespokojnie na Jeremiasza. On zaś siedział czas jakiś bez ruchu i tylko lekkie kiwanie głowy mówiło, że prorok żyje. Westchnął. Dłoń jego przesunęła się po kiju jakby chciał się lepiej na nim wesprzeć i wstać. Ale nie wstał.

— Cóż ci odpowiem, królu? — zaczął mówić wolno. — Pan rzekł niegdyś Mojżeszowi: „Odejdź od nich, bo chcę ich wygładzić, ciebie zaś uczynię władcą innego ludu.” Ale Mojżesz błagał: „Odpuść im lub mnie wymaż z ksiąg Twoich!” Tak samo ja się codziennie modłę: „Odpuść im... Choćbyś miał za to zabić moją duszę...”

Brwi Nabuchodonozora uniosły się wysoko.

— Więc tak ich kochasz?

— Nie mogę ich nie kochać... Są ludem moim, ludem wybranym...

— Jesteś szalony!

— Jeżeli jestem szalony, to to szaleństwo sam Pan włożył w moją pierś!

Nabuchodonozor powoli, nie spuszczać oczu z Jeremiasza, wstał ze swego miejsca. Stojąc na środku sali, nieruchomy, z rękami założonymi na piersi, wydawał się także jedną z figur. Gdy patrzył ponad głowami ludzi i bogów w słoneczną zieleń za oknami, przypominał sfinksa z pustyni koło Pelusium. Drwiący wyraz znikł z jego delikatnych ust. Powiedział:

— Sądzisz, że to szaleństwo sami bogowie...? — urwał nie kończąc. Wolno podszedł do elamskiej bogini i położył rękę na jej głowie. Może tam były jeszcze zaschłe plamy krwi zabitego kapłana? Rzekł: — Litość dla obcych, to zbrodnia wobec swoich... Nie może być litości dla Jerozolimy!

Tyle było w tych słowach nagle odkrytego uczucia, że Daniel i Baruch zadrżeli. Spojrzeli na Jeremiasza. On jednak nie drżał. Wstał także — ogromny, suchy, podobny rozszczepionej przez piorun palmie lub pozostałej na zwalisku samotnej kolumnie. Podniósł ręce w górę. Zawołał z mocą:

— Nie wyzywaj Pana, Nabuchodonozorze! Taką samą miarą, jaką ukarzesz Jerozolimę, będzie kiedyś ukarany Babilon! Patrz! — wyciągnął swój

długi ciemny palec i wskazał nim jasno oświetloną ścianę sali — tu kiedyś własną ręką Pana będzie wypisany straszny wyrok...

— Grozisz? — oczy króla ściemniały. Nie uniósł się i teraz, ale w jego spokoju czaił się gniew. Pionowa żyła na prawej skroni zarysowała się znowu mocniej.

Jeremiasz potrząsnął głową.

— Nie grożę... — odparł. — Ostrzegam... Miłość drugich jest miłością swoich...

Nabuchodonozor poderwał się z miejsca. Szybkim, niecierpliwym krokiem przeszedł tam i z powrotem przez salę. Aspenaz towarzyszył mu idąc za nim równie szybko i prawie z przerażeniem śledząc ruchy swego władcy. Musiało być w postępowaniu Nabuchodonozora coś, co nie zgadzało się z jego zwykłym zachowaniem. Równie gwałtownie, jak zaczął chodzić, zatrzymał się. Stojąc na drugim końcu sali oparty o płaskorzeźbę boga z biczem piorunów w ręku, powiedział, prawie krzyknął:

— Słuchaj, proroku: przypomniałem sobie, że jeszcze jedną rzecz otrzymałem z twojej ręki. Zapomniałeś już? Ja nie zapomniałem. Nitokris! Toś ty mi ją dał. Kobietę, która mnie nigdy nie pokochała. Jedyny dowód, że nie jestem bogiem... Ale ja ją chciałem mieć. Więc za nią daję ci raz jeszcze Jeruzolimę. Jeszcze raz powstrzymuję swój gniew. Na rok — nie dłużej. Za rok pójdę na Egipt. Wtedy będę szedł przez Judeę i stanie się to, co się ma stać. Rok musi ci wystarczyć, by przerobić ten twój podły, niewdzięczny naród. Rok! Słyszysz?

Daniel i Baruch odetchnęli. Jeremiasz schylił się w pokłonie:

— Dziękuję ci, Nabuchodonozorze... Oby Pan...

Król przerwał mu gwałtownie:

— Nie dziękuj! To był tylko targ. Ostatni raz płacę ci za twój dar...

Stanowczym krokiem podszedł do Jeremiasza. Stali teraz tuż naprzeciw siebie: olbrzymi, lecz zgięty pod brzemieniem lat i bólów, prawie ślepy nabi — i król, władca i zdobywca najpotężniejszy, największy budowniczy świata, pół-Pers, pół-Semita — niepojęta toń morska, pod którą nie wiadomo jakie wrą burze. Trwali tak, aż wreszcie Nabuchodonozor zbliżył swe usta ku uchu Jeremiasza i powiedział cicho, ale dostatecznie wyraźnie, by starzec mógł słowa jego usłyszeć:

— A jeśli kiedy będziesz chciał czego dla przyjaźni i miłości, którą dla

ciebie czuję, to przyjdź do mnie. Jeszcze raz daruję ci wtedy wszystko, co chcesz.

IV

Szli ciasną ulicą, kiedy nagle Jeremiasz zatrzymał się i uderzywszy kijem w ziemię powiedział:

— Jutro ze świtem odejdziemy z powrotem do Świętego Miasta.

Baruch skinął posłusznie głową. Ale Daniel rzekł:

— Rabbi, zgodziłeś się przecież rozmawiać z magiem Ikis-belem.

Jeremiasz zwrócił ku niemu swe przekrwione oczy:

— Czy z tym, który patrzy w gwiazdy?

— Tak. To człowiek wielkiego rozumu. Nie służy fałszywym bogom. Mówi, że wierzy w jedyne Boga, choć Go żadnym imieniem nie nazywa. Kiedy mu powiedziałem, że przybyłeś tu do nas, bardzo chciał z tobą mówić.

— Dobrze. Będę z nim rozmawiał. Wieczorem możesz mnie zaprowadzić do niego. Lecz teraz... teraz, synu Jahiela, chcę ciszy. Zaprowadź mnie do ciszy. Czyż z tego oszalałego miasta cisza została zupełnie wygnana?

Jakimś rozpaczliwym gestem Jeremiasz podniósł w górę rękę z rozcapierzonymi na kształt szponów palcami. Samotnikowi z odludnej pieczary zbyt gwaro było i ciasno w tętniącym życiem mieście. Dusił się tutaj i męczył. Daniel ze zrozumieniem pokiwał głową. Wywiódł Jeremiasza z Hallab i zaprowadził go do olbrzymich ogrodów pałacowych oddzielających morzem zieloności mieszkanie króla od mieszkań jego niewolników. Ogrody zajmowały ogromną przestrzeń. Pełne były drzew, krzewów i kwiatów najrozmaitszych, pełne woni i aromatów, bijących zda się niewidzialną fontanną w szkliste niebo. Wszędzie były przeprowadzone kanały z wodą płynącą lub też stawy, jeziora i baseny pełne barwnych ryb. Szli coraz głębiej w ogród niby w las tajemniczy, coraz mniej podobny dziełu ręki ludzkiej, coraz bardziej dziki, głuchy, głuszący szumem drzew i bzykiem owadów gwar niedalekiego miasta. To było miejsce ucieczki Nabuchodonozora przed zachłanną hałaśliwością zbudowanego przez siebie olbrzyma. Tu przychodził rozmyślać lub odpoczywać, tu nawet polował, bo ogród pełen był sarn i gazel oraz

dzikiego ptactwa. Niespodziewanie spoza krzewów ujrzeli lśniącą wstęgę Eufratu. Ale szybko cofnęli się: za rzeką widać było drugi brzeg pełen ludzi, domów i gwaru. Pozostali na ogromnym trawniku porośniętym splątanym gąszczem niskich krzaków kwitnących dużymi różowoczerwonymi kwiatami. Bez słowa Jeremiasz dał towarzyszom znak ręką, by go opuścili. Chciał być sam. Gdy zniknęli w gąszczu, prorok obrócił się twarzą ku dalekiej Jerozolimie.

Od czasu przybycia do Babilonu nie mógł być samotny, chyba tylko w nocy. Otaczał go nieustannie tłum ludzi. Zmęczyło go to i wyczerpało. Tęsknił do ciszy. Od dawna odeszły odeń chwile lęku przed samotnością, owe przerażające chwile ucieczki przed Głosem. Głos, niegdyś towarzysz nieodstępny, dziś zgasł i zamilkł. Próżno Jeremiasz wysiłał starcze uszy. Słyszał tylko brzęk pszczół i szum palm. Odgłosy świata nie zlewały się w jedno, ale rozbrzmiewały całą gamą tonów. Daremnie tęsknił za tamtymi przeżyciami. Od lat żył zwyczajnie, tak tylko, jak żyli wszyscy inni ludzie. Pan nie przemawiał do niego. Na tych okropnych wizjach, jakie mu dane było ujrzeć w pierwszym roku panowania Eliakima, zamknęła się mowa Pańska. Pozostał tylko z echem wypowiedzianych słów. Nikt nie znał jego tajemnicy, tajemnicy pustki. Nawet najbliższy uczeń, towarzysz, nieomal syn — Baruch żył w przekonaniu, że jego mistrz głosi wciąż nowe słowa Boże. Jeremiasz go nie oszukiwał. Milczał, czekając z coraz bardziej wzrastającą niecierpliwością na odezwanie się znów Głosu.

Często ogarniało go zniechęcenie i pragnienie śmierci. Czuł się kimś niepotrzebnym, a nawet więcej: kimś żyjącym niepotrzebnie. Cóż wart jest prorok, który nie prorokuje? Czyż nie zasługuje na tę pogardliwą obojętność, jaką go darzy cała Jerozolima? Kiedyś byłoby mu obojętne każde wrogie uczucie. Mając słowa Pańskie w ustach, nie znał wahania ani lęku. Żył jednym wielkim porywem. Gniewem miażdżył przeciwników. Aż przyszedł dzień trwogi wobec słów, które kazano mu głosić. Zadrzał, mając wypowiedzieć straszny Pański wyrok. I ten lęk nie miał go już opuścić. Od tamtego czasu żył stale obawą i niepewnością: obawą, że słowa, które mówi, nie są słowami Prawdy; niepewnością, że mówiąc od siebie, może kłamać słowom Pańskim...

Miał słuszną przemyślaną nadzieję, że chce uchylić wolę Jahwe. Skoro bowiem to, co ujrział przed laty, miało stać się nieuchronnie, jakiz był cel zabiegania o łaskę babilońskiego króla i jaki cel w nawoływaniu ludu judejskiego, by uznał Nabuchodonozora władcą? Dlaczego on, Jeremiasz,

głosiciel prawdy, iż nie w człowieku, ale w Panu pokładać trzeba ufność, mówił dziś, wzbudzając przeciwko sobie niechęć i nienawiść, że trzeba skłonić się przed barbarzyńcą z północy, uznać jego zwierzchnictwo, poddać się jego rządóm?

To były tylko jego słowa, jego własne. Głos mu ich nie podszeptował. Jeremiasz nie mógł powiedzieć: „Pan mówi, Pan każe”. Pozostawało mu tylko przekonywać po ludzku, żalonymi słowami rozsądku, że inaczej być nie może, że jeśli Jerozolima nie potrafi ugłaskać gniewu Nabuchodonozora, to ten przyjdzie i wymorduje wszystkich. Krzyczano za nim: „Co ci dał król babiloński, że mu tak służysz?” Zaciskał zęby, boleśnie gryzł wargi... Cóż miał odpowiedzieć? Nabuchodonozor nie dał mu nic. Nie zabiegał o sympatię judejskiego ludu. Zawsze, każdego dnia mógł podejść pod Jerozolimę, zdobyć i zmiażdżyć krnąbrne miasto. Jeżeli tego nie czynił, to tylko dlatego, że nie chciał... Ale prorok wiedział, iż los Jerozolimy leży w ręku króla o szeroko rozstawionych oczach i jasnej grzywie. W każdej chwili mógł miasto ukarać. Każdy dzień narastał grozą niebezpieczeństwa. Ale także każdy dzień, który upłynął, był wygraną w wyścigu z czasem. Jeremiasz coraz mocniej, coraz rozpaczliwiej ufał, że o ten czas trzeba walczyć, o czas pokuty. Dlatego też przemawiał wciąż: „Ukorzcie się!” Wykrzykiwano: „My, lud Abrahama, mamy korzyć się przed byle przybłądą z północy?!” „Ukorzcie się!” — powtarzał. Wtedy wybuchały setki głosów. „Zdrajca!” Gwizdano. Zaciskał gniewnie pięści. Przekleństwo wisiało mu na ustach. Lecz powstrzymywał je całym wysiłkiem woli. Odchodził. Gwizdy smagały go niby różgi.

Gdyby miał w ustach słowo Boże, rzuciłby je tłumowi, z taką siłą, że musiano by zamilknąć. Lecz słowa tego nie było. Cisza, która go otaczała, była tylko ciszą, a nie uciszającym wszystko technieniem Wszechmocy. Samotność, w której rozlegał się Głos, przerodziła się w samotność nie kończącej się rozterki. Niewypowiedziana męka pozostania z własną słabością łamała serce człowieka..

Położył kij, a potem ciężko osunął się na ziemię. Różowe kwiaty na krzewach pachniały przejmująco, kolorowe ptaki przelatowały z drzewa na drzewo i piszczały. Gdzieś daleko ryczał przeraźliwie osioł. Świat, który otaczał Jeremiasza, rozbrzmiewał dźwiękami i oszołamiał barwami; był światem zwykłych, codziennych spraw.

Gdy Daniel i Baruch wyszli z gąszczu, zobaczyli Jeremiasza leżącego bezwładnie twarzą ku ziemi. Przerazili się, sądząc, że nie żyje. Ale on dźwi-

gnął się zaraz, usłyszawszy ich kroki. Wyciągnął rękę, odszukał swą laskę. Pomogli mu powstać. Wsparty na ich ramionach opuścił ogród.

Tegoż dnia wieczorem Daniel zawiózł proroka do Borsippy, gdzie przy Ezidzie, świątyni boga Nabu, mieszkał mag Ikis-bel. Słońce zachodziło, cienie leżały nad miastem i nad polami, i tylko na wieży odwiecznego przybytku palił się złotoczerwony blask. Wieża liczyła siedem pięter, a każde z nich wyłożone było majoliką innego koloru. Świątynię miał zbudować mityczny król Alalgar, lecz Nabuchodonozor, znalazłszy ją zniszczoną i zapomnianą, z właściwym sobie rozmachem odbudował szacowne ruiny, kładąc nad bramą napis: „Ta to świątynia siedmiu światel ziemi została wzniesiona przez dawnego króla. Gdy przyszedł potop, burze i deszcze rozmyły glinę i osłabiły mury. Wszystko poszło w ruinę. Lecz wielki bóg Marduk pobudził moje serce i odbudowałem świątynię...”

Ikis-bel czekał na nich przy bramie, obok spiżowych posągów byków. Był to starzec o pogodnej, miłej twarzy; miał białą jak mleko brodę i także białe kręcone włosy. Ubrany był w długą błękitną szatę z wyhaftowanymi złotymi niemi gwiazdami i księżycami. Ukłonem powitał Jeremiasza zsiadającego z rydwanu. Klasnął w dłonie i zaraz nadbiegło czterech ludzi niosących lektykę. Zapraszającym gestem wskazał ją Jeremiaszowi.

— Zechciej usiąść — powiedział płynnie po hebrajsku. — Wejdziemy aż na sam szczyt wieży. Tam siedzę noc w noc i patrzę w gwiazdy...

Podczas gdy ludzie nieśli Jeremiasza w lektyce, Ikis-bel szedł obok, podpierając się długim, sięgającym mu ponad głowę kijem. Wspaniałe szerokie schody wiodły z tarasu na taras. Z dołu, ze świątyni dochodził monotony śpiew kapłanów:

*O panie, twą twarzą jest niebo,
Twym kształtem — kształt boży.
Twymi oczyma są Enlil i Ninlil,
Blaskiem twych oczu są Gula i Belit-ilit,
Tęczówką twych oczu — promienie Sina,
Powiekami twych oczu — blask Szamasza,
Twym podbródkiem — gwiazda Isztar,
Twymi wargami — Anu i Antu,
Twym językiem i podniebieniem sklepienie niebios,*

*Twym czołem — Sala,
Wierzchołkiem twej głowy — Adad,
Twą szyją — Marduk,
Twym przelykiem — Zarpanit,
Twą piersią — wszechwiedzący Nabu,
Twymi biodrami — Lugal...*

Wolno wznosili się z piętra na piętro, zaś miasto w dole zdawało się spadać w głąb, a jednocześnie rozszerzać coraz dalszymi kręgami. Na każdym piętrze był ołtarz ku czci innego boga: piętro pierwsze, przybrane czarną glazurą, poświęcone było Ninibowi; drugie, białe — Isztar; trzecie, szkarłatne — Mardukowi; czwarte, błękitne — Nabu; piąte, cynobrowe — Nergalowi; szóste, srebrne — Sinowi; siódme, złote — Szamaszowi. Dwaj starcy milczeli; spoglądali tylko na olbrzymie niebo rozpinające się nad nimi niby namiot, jeszcze zachowujące błękit, a już tu i tam połyskujące gwiazdami. Raz tylko powiedział Jeremiasz:

— Mówisz dobrze naszym językiem...

Ikis-bel uśmiechnął się łagodnie:

— Język wasz jest piękny i stary, choć wiele się w nim obcych słów splątało. Może to nim mówili niegdyś ludzie, którzy budowali po raz pierwszy wieżę Ezidy?

Jeremiasz wstrząsnął się gniewnie. Rzucił ostro:

— Wieżę pychy i grzechu!

— Tak — Ikis-bel skinął głową. — Ale także wieżę jedności wszystkich ludzi... Jedności...

Zamilkł i już nie mówili do siebie ani słowa, aż znaleźli się na najwyższym tarasie wieży. Miasto leżało u ich stóp szare, zasnutе woalem wieczoru, podobne wielkiemu rozkopanemu kretowiskowi. Światła połyskiwały tu i tam. Nad miastem, niby nisko wisząca gwiazda, palił się ogień na szczycie Etemenanki. Olbrzymie mury odcinały grubą linią czerń miasta od jaśniejszej powierzchni pól okolicznych.

Ikis-bel dał ręką znak i ludzie z lektyką odeszli cicho. Dwaj starcy zostali na tarasie sami. Szczyt wieży, sterczący niby igła znad ofiarnego ołtarza, był obity złotą blachą. Na ołtarzu stał posąg boga Szamasza sądzącego ludzi. Przed nim dymiła kadzielnica na trójnogu. Ikis-bel sięgnął do naczynia z kadzidłem i rzucił całą garść na żarzące się węgle. Błękitny dym popłynął strugą.

Mocna, oszalamiająca woń walczyła z suchym podmuchem ciepłego wiatru. Potem Chaldeczyk popchnął ku Jeremiaszowi małą piramidę z drzewa, podtrzymującą coś w rodzaju drewnianego koryta podniesionego skośnie ku górze.

— Jeżeli chcesz patrzeć na gwiazdy... — powiedział.

Jeremiasz uchylił się niechętnie, unikając zetknięcia z dziwnym instrumentem.

— Nie — powiedział. — Nie zwykłem patrzeć na gwiazdy. Pan, gdy chce mówić, mówi prosto w ucho człowieka...

— Tak sądzisz? — Ikis-bel położył rękę na drewnianym korycie ciepłym, serdecznym gestem. — Lecz jeśli Pan milczy? Co wtedy?

— Dlaczego miałby milczeć? — ostro i chrapliwie rzucił Jeremiasz.

Ikis-bel uśmiechnął się miękko swym rozbrajającym uśmiechem:

— Wiesz przecież, że Pan nie tłumaczy się ludziom ze swojej woli.

— Wiem. Lecz do ludu wybranego mówił zawsze wprost przez proroków...

— Tak. Szczęśliwy jesteś, że słyszysz słowa Pańskie. Lecz czy nie zdaje ci się, że kiedyś będzie inaczej?

— Co miałyby być inaczej? — tym razem pytanie Jeremiasza nie brzmiało już tak gwałtownie i ostro.

— Pan stworzył cały świat, wszystkie ludy...

— Lecz wybrał lud izraelski!

— Czy to znaczy, że inne odtrącił? Odtrącił na zawsze?

Coraz więcej gwiazd zapalało się na pogodnym niebie. Błękit znikł, szarość wieczoru przechodziła w granatową ciemność. W dole jedne światła gasły, inne pojawiały się, podobne odbitym w wodzie gwiazdom. Daleko, daleko, koło olbrzymiego zwału pałacu pojawiło się wiele światła. Płynęły one strugą, poruszały się i skupiały. Ikis-bel zobaczył, że Jeremiasz patrzy w tamtym kierunku. Wyjaśnił:

— To mężczyźni dążą z pochodniami do świątyni Isztar. Dziś jest jej święto i młode kapłanki ofiarowują tam swe ciało każdemu, kto tylko tego zapagnie...

Jeremiasz zatrząsł się w nagłym gniewie:

— Ohydną rzecz czynią! Wiem, widziałem te wasze kapłanki, jak siedziały przy drodze opasane powrósłami i paliły pestki oliwne. Czekają tylko, aż przechodzący przyjdzie i rozerwie ich pas. A wtedy ta, którą posiadał, drwi z drugiej, której nie wybrał, że nie była dość urodziwa i dość godna! Bluźnierstwem Panu jest ta ohyda! Bluźnierstwem Panu są wasze kultury i rzeźby! Pytasz, czy Pan inne ludy odtrącił!? Tak! Tak! Odtrącił, bo niegodne są Jego łaski!

Mag nie odpowiedział początkowo nic. Wolno podszedł do naczynia z kadzidłem i znowu rzucił garść na ogień. Potem podniósł wzrok i patrzył czas jakiś na gęstniejącą ciżbę gwiazd. Cicho westchnął. Na tarasie słychać było tylko dyszenie Jeremiasza, zmęczonego nagłym wybuchem. Wreszcie rzekł Ikis-bel:

— Masz rację. Ohydny jest kult Isztar. Lecz nie zapominaj, Jeremiaszu, że są jedni, którzy wiedzą, i drudzy, którzy nie wiedzą. Wy wiecie, my nie wiemy. Do was mówi Pan. My szukamy sami, na ślepo. Często nie wiemy nawet, jak szukać i gdzie szukać...

Urwał i podszedłszy do szerokiej balustrady obiegającej taras zapatrzył się w przestrzeń. W mroku proszącym nikłą poświatą gwiazdną biała broda i naszyte na jego szacie księżycy zdawały się świecić delikatnym blaskiem. Miasto zasypiało u stóp świątyni. Chaldejczyk powiedział cicho, a jego głos zabrzmiał niby echo wypowiedzianych przedtem słów:

— Więc szukamy... i czekamy...

Gwiazdy świeciły coraz piękniej. Mleczna droga przecinała ich gęstwę, podobna jasnej rzece.

— Czekacie? — Jeremiasz wstał. Nocą szedł pewniej niż w dzień, ponieważ nie myliły go złudy chorych oczu. Podszedł do Ikis-bela, oparł jak on dłoń na parapecie tarasu. — Czekacie? — powtórzył pytanie.

— Czekamy — głos Chaldejczyka nadpłynął z mroku niby mocne tchnienie wiatru. — Wszyscy czekamy...

— Na cóż jednak czekacie? — w słowach Jeremiasza brzmiała niecierpliwość.

— Pytasz? Na to, by wiedzieć tak jak wy. Patrz — kapłan wyciągnął rękę w szerokim rękawie i wskazał Jeremiaszowi daleką gwiazdę wśród mrowia innych — patrz! Codziennie śledzę niebo. Zmuszam je, by mi odkrywało swe tajemnice. Wiele mu ich już wydarłem. I wiem, że kiedy ta gwiazda zapali

się wielkim ogniem na niebie zachodu, urodzi się Ktoś, na kogo czekamy... Ta gwiazda, patrz, o ta, teraz mała, ledwie tłaça się, kiedyś będzie jasna, podobna słońcu...

— Skąd o tym wiesz?

Nieprawdopodobnie pokornym gestem Chaldejczyk rozłożył ręce.

— Patrzę w gwiazdy... I wiem... Choć gwiazdy wszystkiego powiedzieć nie potrafią. Wiem... Wiem tak pewnie, że zawsze mój wielbłąd jest gotów do biegu, by dążyć ku Nowonarodzonemu...

Umilkł i schyliwszy głowę patrzył w dół, na świątynię, której dach miał pod stopami. Jeremiasz odepchnął się od balustrady. Wolnym krokiem, uderzając kijem o kamienne płyty pokrywające taras, wrócił na poprzednie miejsce. Siadł. Panowała niczym nie zmacona cisza. Gwiazda spadała: pojawiła się nagle w locie i równie niespodziewanie zgasła, nigdzie nie doleciawszy. Chrypliwy głos proroka zabrzmiał:

— Masz rację, że my wiemy, a wy nie wiecie. Nie sądz jednak, że tylko wy czekacie... My także czekamy...

— A na cóż wy czekacie?

Jeremiasz zdawał się nie słyszeć tego pytania.

— My także czekamy — ciągnął. — Nie wystarczy bowiem raz jeden usłyszeć Głos Pański. Nie wystarczy, by zapaliła się twoja gwiazda! Jesteś ślepi i głusi! Świat jest ślepy i głuchy! A Pan...

Głos mu się załamał. Ikis–bel zapytał prędko i niespokojnie:

— Co chcesz powiedzieć?

Jeremiasz skończył tonem bolesnym:

— Pan każe iść do siebie nie wydeptanymi ścieżkami...

Nastąpiła cisza. Rozległy się w niej spieszne kroki Ikis–bela, który szedł ku Jeremiaszowi. Stanąwszy przed prorokiem, kapłan powtórzył swoje pytanie tonem mocniejszym, bardziej natarczywym, prawie gwałtownym:

— Co chcesz powiedzieć, Jeremiaszu?

Gasnący głos zaskrzeczał w mroku:

— Nie sądz, że kiedy gwiazda... Choćby w ciemną noc zapaliło się słońce... Choćby Prawda stała się jasna jak dzień... Nie wystarczy tego, Ikis–belu! Nie wystarczy, aby poszli za nią wszyscy...

Biała dłoń w szerokim rękawie spoczęła na ramieniu proroka. Pochylając się i przybliżając swe czoło do czoła Jeremiasza, Ikis–bel zapytał:

— Więc powiedz, na co czekamy... Na co czekamy i my, i wy...

Teraz to Jeremiasz rozłożył ramiona żalnym, bezradnym gestem. Ale mimo to wstał, wyprostował się na ile tylko pozwoliło mu zgięte wiekiem ciało, wyciągnął przed siebie obie ręce i patrząc w nabite gwiazdami niebo począł mówić głosem, który na chwilę utracił swą chrapliwą matowość, a nabrał tonów głębokich i dźwięcznych:

— Zdaje mi się, że nie na to czekamy, by przejrzeć. Ten, który się narodzi, nie może przynieść Prawdy większej niż ta, którą znamy... Ale On musi być Drogą, Drogą nie wydeptaną a pewną — Drogą każdego... Czy ty to rozumiesz, Ikis–belu? On musi być Drogą, którą potrafimy iść, gdy gwiazd nie będzie i kiedy Głos Pański będzie milczał... O, Ikis–belu, nie po mądrość gwiazdy jedź na swym wielbłądzie do Nowonarodzonego! Nie szukaj słów, które się pisze, lecz którymi się nie żyje! Szukaj Tego, który ci powie, jak być znowu człowiekiem...

Urwał i ciężko opuścił ręce. Ogieniek w kadzielnicy przed posągami boga Szamasza żarzył się pół czerwono, pół błękitno. Na wysokim bezkresnym niebie leciała w dal czasu mała, ledwo tlejąca gwiazdka, mająca kiedyś zapalić się wielkim blaskiem...

V

Nad Jerozolimą, wisiał suchy, dławiący upał. Trwał już od dawna, od wielu tygodni. Próżno modlono się w świątyni o deszcz, próżno składano ofiary. Niebo było pogodne, nie tknięte najmniejszym nawet obłoczkiem. Sypał się zeń ostry żar, spopielał zieleń, rozżarzał skały i kamienie. W wąskich uliczkach dolnego miasta panował zaduch. Ludzie przesuwali się niemrawo i chętnie znikali w ciemnych głębiach domów. Ze szkoły przez otwarte drzwi dochodził ostry głos kapłana–nauczyciela i gwałtowne trzaskanie trzcina o pulpit. Chór głosów chłopięcych skandował rytmicznie:

Bereszith bara 'Elohim eth haszszamajim weeth haares. Wehaares hajethah tohu wabohu wechoszekh...

Znów rozległ się podrażniony głos nauczyciela i przeraźliwy wrzask skarczonego malca. Chór podjął na nowo:

— Wajjomer 'Elohim jehi 'or wajehi 'or. Wajor 'Elohim eth haor ki tobh wajje-bhdel...

Bebaj syn Hasuba, tkacz, wysunął głowę na ulicę i mocno zaczerpnął powietrza. Choć tu trudno było wytrzymać od spiekoty, mógł przecież odetchnąć łatwiej niż u siebie w izbie. Siedząc na ziemi obok swego warsztatu, otoczony stosem wełnianych kłaków oraz naczyniami z farbą, w stałym półmroku rozjaśnionym tylko blaskiem pełgającego kaganka Bebaj tkął i tkął od wczesnego rana do późnego wieczora, wciąż w pośpiechu i w przerażeniu, że danej mu do wykonania roboty nie zdąży skończyć. Rzadko pozwalał sobie na podniesienie się, wyprostowanie i wychylenie głowy na ulicę. Choć w wąskiej uliczce panował wieczny cień, Bebaj musiał przymknąć powieki, tak bardzo raził go blask dnia. Wyżej nie śmiał nawet podnieść głowy; jego zaropiałe, krwią podeszłe oczy odruchowo unikały spotkania z roziskrzonymi słońcem murami.

Żona Bebaja, Abra, załamała ręce. Wysokim, piskliwym głosem poczęła wołać:

— Znowu się lenisz? Znowu odszedłeś od pracy? Wielki El Szadaj! Czyż ty oszalał, Bebaju!? Patrz, płaszcza nie skończyłeś, a lada chwila Eluzaj po niego przyśle. Co zrobisz wtedy?

— Milcz!. — gniewnie syknął na żonę.

Ale ona nie umilkła. Krzyczała dalej, szybko wyrzucała z siebie niezliczoną ilość słów. Była brzydka i wynędzniała. Na rękach trzymała dziecko, ono zaś ustami i rączkami przywarło do jej obwisłej piersi.

— Powiadasz: „milcz”? Każesz mi milczeć? Wielki Jahwe, czemuś mnie skarał takim mężem? O Panie... W całej Jerozolimie nie ma drugiego takiego lenia. Nie dość, że dla jego niedołęstwa staliśmy się niewolnikami Eluzaja, ale teraz jeszcze odchodzi od pracy. Och, czemuż jestem kobietą i nie mogę cię zbić!? Nuże, bierz się do tkania! Z czego żyć będziemy? Z czego żyć będą nasze dzieci? I tak muszą żebrać. A jedzenie coraz droższe. Susza spaliła zboże. Ten złodziej Malalaj chce dziś za chleb całą bekę. Słyszysz, ty lotrze? Całą bekę! Udaje, że nie słyszy! O, ludzie! Dlaczego takiego jak on nie zabrał Chaldejczyk ze sobą...?

— Milcz, kobieto! — powtórzył tępo Bebaj. Miał: dosyć jazgotu rozle-

gającego się na całą ulicę. Niechętnie oderwał się od drzwi i poszedł w głąb izby. Po drodze kopnął dwunastoletniego syna, Obeda, który zamiast moczyć wełnę w kubie z barwnikiem, bawił się wiązaniem kokardy na palcu. Ciężko stęknąwszy, usiadł na ziemi. Począł tkąć.

Od roku utracił wolność. Poprzednio był samodzielnym rzemieślnikiem, któremu nawet nieźle się wiodło, bo znał swoją robotę. Ale wszystko się zmieniło. Nastaly ciężkie czasy. Nikt nie kupował teraz kuttony ani simlah. Za to chleb, ser, owoce i wino drożały. Ludziom było coraz trudniej. Musieli zaprzedać się w niewolę u miejskich bogaczy. Nic innego nie pozostawało także Bebjowi. Musiał przecież wykarmić żonę i czterech synów. A niewola nie była lekka. Jego pan, dworak królewski Eluzaj, wciąż zadawał mu nowe roboty. Teraz żądał, by mu Bebj w ciągu paru dni zrobił wspaniałą zielony płaszcz, który Eluzaj spodziewał się sprzedać samemu królowi.

Bebaj tkając pomrukiwał gniewnie. Źle było w Jerozolimie, coraz gorzej. Większość ludności była w niewoli u dworzan królewskich, kapłanów i lewitów. Zbliżał się wprawdzie rok wyzwolenia, ale nikt nie miał nadziei, aby święty nakaz Prawa, zapomniany i zarzucony przed siedmiu i przed czterem laty, znowu został wskrzeszony. Chodziły wieści, że właściciele niewolników żądać będą, by ci, jeśli nie zechcą być odprzedani obcym, oddali się im dobrowolnie w wieczystą niewolę. Czasy były naprawdę złe: nikt nie wstydził się sprzedać Żyda w niewolę poganinowi.

Od progu znowu doleciała Bebaja gadanina Abry. Ktoś stanął przed drzwiami i do tego kogoś kobieta przemawiała po swojemu: hałaśliwie, z obfitością słów.

— Jak on przestanie pracować, wszyscy pomrzemy z głodu. Żywność zdrożała. Za hin oliwy ten łobuz Bani chce całego sykla...

Mężczyzna wszedł do środka, zda się wnosząc na swych szatach trochę słonecznego blasku. Niepewnie, potykając się, podszedł do warsztatu.

— Witaj, Bebjaju — powiedział.

Bebaj podniósł głowę znad roboty. Poznał gościa. Bez zapału odpowiedział:

— Ach, to ty, Sebaimie. Witaj.

Przybyły siadł na stosie wełny blisko warsztatu. Czas jakiś w milczeniu śledził zręczne ruchy tkacza. Żuł figę. Potem splunął. Zapytał:

— No i co?

Bebaj burknął coś niechętnie pod nosem, nie odrywając oczu od nitki. Sebaim znowu splunął.

— Wielka nowina... — rzekł.

Czekał czas jakiś na zainteresowanie ze strony Bebaja. Tego jednak nie wydawało się interesować nic poza przędziwem i osnową.

— Jeremiasz wrócił... — wypowiedział w końcu swoją nowinę.

Postukując deską i wciąż zajęty tkaniem Bebaj zapytał:

— Cóż z tego?

Sebaim był oburzony.

— Jak to: cóż z tego? Ty się pytasz? Ho, ho... Wiadomo, gdzie Jeremiasz chodził. — Tajemniczo zniżył głos: — Do Nabuchodonozora...

Bebaj tkął dalej, jakby go to nic nie obchodziło. Natomiast zza pleców Sebaima wysunęła się Abra.

— Do Nabuchodonozora, mówisz? — wykrzyknęła. Zrobiła ręką szeroki gest, po czym splotła dłonie pod siedzeniem dziecka. — To może znowu Chaldejczycy przyjdą? Na to wygląda... Ja tobie nawet coś powiem... — pochyliła się i położyła poufale rękę na kolanie Sebaima. Ściszyła głos: — Mówiły dziś rano kobiety przy sadzawce, że na pewno będzie znowu wojna. Wszystko drożeje. No powiedz, Sebaimie: za koszyk fig, nieduży, o taki, chcę bekę... Dawniej za bekę mogłeś mieć duży koszyk. Wszyscy jedli i nie zjedli... A teraz za taki mały... Powiedz: dlaczego Jeremiasz wrócił?

Sebaim spojrział na kobietę nie bez jawnej pogardy. Ale Bebaj wciąż tkął nie zwracając uwagi na jego słowa. Ta kobieta była jedyną chętną słuchaczką. Mimo to w dalszym ciągu mówił nie do niej, ale odwrócony w stronę Bebaja:

— Wiadomo, że Jeremiasz z Chaldejczykami spiskuje. Ciągłe mówi: Służcie wiernie Nabuchodonozorowi. Może nie? Wszyscy słyszeli!

Bebaj nawet nie kiwnął głową, za to Abra wybuchnęła:

— Dobrze mówisz, Sebaimie. Sama słyszałam. Na własne uszy słyszałam. To było ostatniej Paschy. Na pewno. Stał i mówił: „Służcie wiernie królowi babilońskiemu i bądźcie mu posłuszni; nie próbujcie się buntować, bo Pan dał świat w ręce sługi swego Nabuchodonozora...” O, właśnie tak powiedział! Taki prorok, a z Chaldejczykami jest w przyjaźni...

— Prawda? — podchwycił Sebaim. — Taki prorok, a służy Chaldejczykowi...

— Na co mu przyszło! — wydziwiała Abra.

— Już tam za darmo tego nie robi — powiedział Sebaim i znacząco pokiwał głową. — On tam płakać nie będzie, choćby hin oliwy kosztował dwa sykle.

— Co też ty mówisz!? — w głosie kobiety zdumienie mieszało się ze zgrozą. — Taki prorok...

— E tam, prorok! — Sebaim rzucił ostro: — Babiloński szpieg! Zdrajca!

Bebajowi pękła nitka. Stęknąwszy wstał i pochylony nad ramą wiązał starannie zerwane przedziwo. Potem wrócił na swoje miejsce. Powiedział niechętnie:

— Widzę, że masz wiele wolnego czasu, Sebaimie...

Tamten zaśmiał się:

— A mam — powiedział. — Mój pan, Jatanael syn Hera, polecił mi tylko jedno: abym strzegł jego bratanka Kosama. A Kosam — zniżył głos i zachichotał — znalazł sobie dziewczynę. Wiecie, kogo? — Abra zamieniła się cała w słuch. Aż przysiadła, aby mieć ucho na wysokości ust Sebaima. Dziecko ledwo podtrzymywane zwisało ciężko, nie wypuszczało jednak z ust piersi matki. — Wiecie, kogo? — Sebaim uśmiechnął się tajemniczo: — Słuchajcie! — Podniósł palec do góry solennym gestem. — Tamar córkę Azareela...

Kobieta zanosła się pełnym zdumienia piskiem:

— Tamar córkę Azareela? Córkę Azareela? Co ty mówisz, Sebaimie? Córkę Azareela!

Nawet Bebaj podniósł na chwilę głowę znad swej roboty. Ale nie powiedział nic. Pokiwał głową i począł na nowo tkać.

— Tak — Sebaim powtórzył triumfująco — Tamar córkę Azareela.

— Azareel... — kobieta, nie krępując się obcym mężczyzną, drapała się po chudym boku. — Azareel, przyjaciel Jeremiasza?...

— No! — mruknął potakująco sługa Jatanaela.

Niecierpliwie oderwała dziecko od piersi. Mały żałośnie zapłakał, ale zaraz ucichł, bo mu matka wcisnęła w usta owinięty gałganem kołek. Abra

położyła dziecko do zawieszanej pod powalą kołyski. Szybkim krokiem wróciła znowu do Sebaima.

— I Kosam właśnie za nią chodzi? Na Mojżesza! Z tego nic dobrego nie wyjdzie! Powiedz, Sebaimie: jaki on jest, ten chłopiec?

— Jaki ma być? — wzruszył ramionami. — Chłopiec. Zapalny, dzielny... Trochę jak dziecko...

— A jego ojciec? — dopytywała się ciekawie.

Przymrużył chytrze oko.

— Daleko...

— W Egipcie?

— W Egipcie.

— Co on tam robi?

Sebaim założył nogę na nogę. Z zadowoleniem gładził dłonią swą białą, pełną i włochatą łydkę.

— Kto to wie? — ciągle mówił zwrócony do Bebaja. — Wiadomo, co może robić w Egipcie taki człowiek jak Elmadam. Pewnie znowu jest kochankiem królowej... — zaśmiał się z uznaniem. — O, to mądry człowiek. Mądry człowiek. Ludzie, którzy ostatnio przychodzili od niego, mówili, że jest przyjacielem faraona. Może nawet ożeni się z jego siostrą...

— Co ty mówisz? — podchwyciła Abra. — A jego żona? Ta Megidka?

Wzruszył ramionami.

— Wiesz, że ją odegnał jeszcze wtedy, gdy tego chciała Nohesta. Nie wiadomo, gdzie żyje i czy jeszcze żyje... O, Elmadam to mądry człowiek!

— Lecz Jeremiasz — Abra podrapała się znowu w chudy bok — mówiłeś, był u Nabuchodonozora... To teraz powiedz: kto silniejszy — Nabuchodonozor czy faraon?

Sebaim uśmiechnął się uśmiechem wyższości. Nie śpieszył się z odpowiedzią. Spojrzał na Bebaja. Ten nagle odłożył robotę. Z gniewem prawie cisnął nić z uwiązanym do niej drewnianym szpikulcem na rozpiętą na drążkach tkaninę.

— Zamknij gębę, głupia babo! — powiedział surowo do żony. — Zamknij gębę, słyszysz!? I uciekaj do swojej roboty! Co cię obchodzi, kto jest

silniejszy? Co komu z tego przyjdzie? Co? Może chleba za to kupisz? Albo ja się za to wykupię od Eluzaja? Co?

— No, no, nie złość się — począł go uspokajać Sebaim.

— Dlaczego mam się nie złościć? — Bebaj uderzył dłonią w warsztat. — Mówisz: faraon, Nabuchodonozor... Może faraon wyrwie mnie z niewoli? Może Nabuchodonozor przyjdzie mnie uwolnić od Eluzaja? Jeremiasz, Elmadam... Także nie! A jak przyjdzie święty rok, każdy pozwoli sobie dobrowolnie przekłuć ucho...

Chciał coś jeszcze mówić, gdy nagle Abra wrzasnęła od drzwi:

— Sza! Eluzaj!

Bebaj owi na ten krzyk słowa zamarzy na ustach. Prędko dysząc pochylił się nad warsztatem. Gwałtownie począł przepychać szpikulec między niemi osnowy.

Dwóch ludzi niosących lektkę zatrzymało się przed drzwiami mieszkania Bebaja. Z lektki wysiadł Eluzaj. Był to dość otyły mężczyzna w sile wieku, o białej twarzy. Włosy na głowie i na brodzie miał starannie ułożone, pokropione widać wonnym olejkiem, ponieważ wydawały miłą woń. Należał do grona zaufanych doradców króla. Miał oczy jasnoszare, zaś wokół źrenicy opalizował złotozółty krąg, nadając spojrzeniu wyraz fałszu i nieustępliwej twardości. Wysiadłszy z lektki, szedł w stronę drzwi mieszkania Bebaja dumnie wyprostowany, wspierając się na lasce o pięknie rzeźbionej głowicy. Murzyn–niewolnik trzymał parasol nad jego głową. Dwaj inni, olbrzymiego wzrostu, barczyści i muskularni, o skórze gładkiej i błyszczącej, trzymali się obok. Obaj mieli w rękach grube kije, którymi rozganiali tłum, gdy zbyt napierał na lektkę.

Eluzaj stanąwszy przed drzwiami zawołał z góry:

— Hej ty, Bebaju!

Rzemieślnik oderwał się od warsztatu. Zgięty w pół, wolnym krokiem podszedł do drzwi. Patrzył z dołu na bogacza spojrzeniem, w którym drżał lęk i niepewność.

— Gdzie mój płaszcz?

— Jeszcze go nie skończyłem, Eluzaju...

— Co? — ryk opasłego dworaka nappełnił całą uliczkę. — Powiedziałem, że masz skończyć! Jak śmiałeś być nieposłuszny? Co? Chodź tu do mnie!

Bebaj chwiejnie zrobił dwa kroki, ale ogarnęło go takie drżenie, że musiał się zatrzymać. Jęklonie wymamrotał:

— Łaski... Litości, Eluzaju... Skończę... Na pewno skończę...

Ale już dwaj czarni niewolnicy wskoczyli do ciemnej nory i chwyciwszy Bebaję za ramiona, wypchnęli go na ulicę. Mimo upału zebrał się tu już tłum, zwabiony krzykami Eluzaja. Ze szkoły wysypała się gromada chłopców i rozbiegła między ludźmi, wymykając się nauczycielowi, który razami trzciny zapędzał ich z powrotem do nauki. W blasku dnia twarz Bebaję wydawała się szara, jakby przysypana popiołem. Nogi ugiwały mu się w kolanach; drżał. Niewolnicy przyprowadzili go przed Eluzaję. Ten patrzył czas jakiś z pogardą na nędzarza. Potem zapytał ostro:

— Więc dlaczego nie ma płaszcz?

— Nie... zdążyłem... utkać...

— Uderz go — powiedział Eluzaj.

Niewolnik, który trzymał parasol, zamachnął się i z całej siły uderzył pięścią w twarz Bebaję. Ten upadł, ale zaraz zmuszono go, by powstał. Krew płynęła mu z nosa i z ust. Eluzaj zimno powtórzył swoje pytanie:

— Dlaczego nie ma płaszcz?

— Nie... mogłem...

— Uderz!

Cios był wymierzony starannie: Bebaj podnosząc się wypluł wybity ząb. Twarz miał umazaną krwią. Niespokojnie podniósł wzrok na jasne, okrutne oczy Eluzaję. Tamten znowu pytał:

— Dlaczego nie ma mego płaszcz? Za każdym razem, gdy Bebaj otwierał usta, by mówić, krew mu spływała po brodzie.

— Nie... utkałem...

— Nie chciałeś?

— Nie... chciałem...

Eluzaj skinął na czarnych:

— Dajcie mu dwadzieścia kijów.

Przewrócono tkacza na ziemię. Jeden z Murzynów postawił mu stopę na karku, drugi na nodze. Śmiejąc się zaczęli leżącego bić kijami. Tłum zafalował. Niektórzy ludzie poczęli się gwałtownie cofać. Chłopcy ze szkoły,

przeciwnie, przysunęli się bliżej. Patrzyli ciekawie na ciężkie razy kijów, na ciało, które wiło się na ziemi, na krwawą twarz zanurzoną w pyłe ulicznym. Jeden z nich począł głośno liczyć:

— Ekhad, szejnajim, szeloszah, arbaah...

— Stójcie! — rozległ się nagle jakiś głos.

Kije zawisły w powietrzu. Wszyscy zwrócili się w stronę, z której głos się rozległ. Zobaczyli Jeremiasza wspartego na ramieniu Barucha. Szedł ku nim gniewnym, spiesznym krokiem, mocno uderzając w ziemię swą laską. Głęboka zmarszczka rysowała mu się między brwiami. Jeszcze nie wypowiedział dalszych słów, a już usta poruszały się niedosłyszalnym krzykiem:

— Stójcie! — powtórzył. — Jak śmiecie bić biednego!? Jak śmiecie bić Judejczyka!?

— Ja go kazałem bić! — Eluzaj stał dumnie, wsparty na kijku. — A ty, Jeremiaszu, nie wtrącaj się do nie swoich spraw.

— Ty? — gniew proroka obrócił się przeciwko dworakowi. — A ciebie kto uczynił sędzią ludzi?

— To mój niewolnik!

— Odkąd to Hebrajczyk jest niewolnikiem Hebrajczyka?

— Odkąd mu się zaprzeda.

— Zaprzeda! Lekkoś to powiedział! Nie zaprzedał ci się z rozkoszy, ale z nędzy! A jego nędza — to twój grzech! Nie dopomagałeś mu w jego potrzebach, nie dopomoże ci Pan w twoich. Zapomniałeś, co powiedziane w Prawie: Nakazuję tobie, abys Otwierał rękę dla brata twego potrzebującego i ubogiego...

— Milcz, Jeremiaszu! Zawsze znajdujesz w Prawie, czego tam nie ma...

— Milcz ty, królewski sługo, który czynisz niesprawiedliwość!

— Ej, bo i tobie się dostanie! — wrzasnął Eluzaj. W zapamiętaniu podniósł laskę, zamachnął się i byłby nią uderzył w głowę Jeremiasza, gdyby Baruch nie odparł ciosu swoim kijem.

Tłum gwałtownie zaszemrał. Ludzie mówili coś do siebie, żywo gestykulując. Nad szum wielu głosów wybijał się jazgot chłopców ze szkoły. To oni zaczęli szczeć okrzykami: „huzia! huzia!” Wszyscy wydawali się podnieceni możliwością bójki. Gwar rósł, nowi ludzie nadbiegali z głębi ulicy. Nawoływano się. Padały okrzyki:

— Królewscy ludzie biją! Są kije — nie ma chleba!

Eluzaj, przemógł gniew i rozejrział się po twarzach otaczających go ludzi. Byli to najędźniejsi mieszkańcy Jeruzolimy: niewolnicy, żebracy. Tu w dolnym mieście nikt inny nie mieszkał. Dworak gardził nimi, ale obecnie poczuł niepokój, widząc, że otaczają go ze wszystkich stron. Gwałtownie przywołał do siebie Murzynów. Ci porzucili Bebaja i przybiegli błyskając białkami i wymachując kijami. Tłum od razu cofnął się i ścichł. Podniecenie opadło. Eluzaj rozejrział się. Zobaczył tkacza, który właśnie dźwigał się z ziemi, boleśnie stękając i ocierając sobie przegubami płynącą z twarzy krew. Nadając głosowi spokojny ton, zawołał:

— Bebaju! Chodź tu do mnie!

Tkacz zatrząsł się z trwogi. Zrobił gwałtowny ruch, jakby chciał uciekać. Potem jednak bezradnie opuścił ręce i zaczął zwolna przybliżać się do Eluzaja. Pociągał płaczkliwie nosem, zgięty, okrwawiony, z drżącymi od trwogi ustami.

— No — Eluzaj nie unosił się — czy zrobiłeś płaszcz, który miałeś dla mnie zrobić?

— Nie... — wyjąkał Bebaj.

— Dlaczego? Czy nie dostajesz ode mnie pieniędzy na życie? Czy nie karmię cię, choć jest susza i wszystko kosztuje drogo? No co — może nie?

— Karmisz... mnie... Eluzaju... — skomlał tkacz.

— Może więc niesłusznie zostałeś obity? Co?

Bebaj spuścił głowę. Milczał ponuro. Ludzie w tłumie wymieniali między sobą jakieś uwagi. Jeden z chłopców zagwizdał. Drugi zawołał kpiąco:

— Poproś! Eluzaj da ci jeszcze!

Paru ludzi zaśmiało się. Ale ten śmiech brzmiał przymilnie. Na Eluzaja patrzano z nienawiścią, lecz jego trzej Murzyni o ogromnych, ślizgających się pod błyszczącą skórą mięśniach cieszyli się sympatią tłumu. Nagle spośród ludzi wyskoczyła Abra. Padła na kolana i poczęła szybko bić pokłony Eluzajowi. Włosy zsunęły się jej na twarz, nagą piersią zamiatała pył ulicy. Wołała:

— O wielki Eluzaju, dobry, mądry Eluzaju! Słusznie ukarałeś mego męża. Jeszcze więcej mogłeś go kazać bić. Nie zrobił ci płaszcz, choć mu dajesz sykla na trzy dni... Ale on to zrobi. Miej litość nad nim. Utki ci piękny zie-

lony płaszcz. Tylko miej litość. Klęknij! — wrzasnęła na męża. — Klęknij i proś czcigodnego Eluzaja. A prorok niech sobie idzie... — Zwróciła się znowu do bogacza: — Miej litość, Eluzaju. Będziesz miał płaszcz. Nie żałuj tylko groszy, bo wszystko zdrożało. Za efę mąki chcą półtora sykla, bandyci... Ale on ci utka piękny płaszcz... Klęknij! — znowu krzyknęła na męża, który stał ciągle, ponuro zgarbiony. Szarpnęła go za przepaskę na biodrach i zmusiła do klęknienia. — Wołaj: Łaski, Eluzaju! Myśmy nie wołali Jeremiasza... I nie chcemy, żeby za nami mówił...

Eluzaj postąpił krok naprzód. Dumnym gestem wskazał Jeremiaszowi klęczącą u swoich nóg parę.

— Widzisz? — zapytał triumfująco.

— Widzę — odparł prorok. — Poniżyłeś człowieka... Za twoje nędzne grosze gotowi są całować twoje nogi. Ale czekaj! Taki sam los będzie tobie dany. Ty także za głodową strawę będziesz całował nogi swego pana...

Znowu wściekłość odmalowała się na białej twarzy Eluzaja.

— Coś powiedział, ty psie... ty... ty służko chaldejski?!

Zrobiła się cisza, a potem zaraz szmer przeleciał nad tłumem. Głowy zbliżyły się do głów, szept urastał w gwar. Abra podniosła jęk:

— Zlituj się, dobry, szlachetny Eluzaju... Będziemy ci posłuszni... Opiekuj się tylko...

Z gromady chłopców padło:

— Szpieg chaldejski!

Głowy poczęły kiwać potakująco. Jeremiasz zrobił ruch, jakby chciał coś powiedzieć. Na jego twarzy zapalały się szybkie błyski gniewu czy bólu. Ale zmilczał. Wolno odwrócił się i ciągle wsparty na Baruchu, poszedł w stronę górnego miasta. Któryś z chłopców gwizdnął ogłuszająco. Eluzaj godnie, nie śpiesząc się, odszedł ku lektyce. Odprowadzali go rozgadana Abra i milczący Bebaj. Już siedząc w lektyce, rzucił kobiecie pół sykla, a ona poczęła wykrzykiwać na jego cześć. Ludzie rozchodzili się, wachlując się połami płaszczy. Suchy upał wisiał ciągle w powietrzu. Nauczycielowi udało się wreszcie zapędzić uczniów do szkoły i za chwilę rozległ się chór głosów, skandujących księgę B' reszith:

— Bereszith bara 'Elohim eth haszszamajim weeth haares.

VI

I Jeremiasz, i Eluzaj podążali do tego samego miejsca: do Sella. Lektyka prędko prześcignęła wlokącego się wolno starca. Przy bramie strażnicy zagrozdzi mu wejście włóczniami:

— Gdzie chcesz iść?

— Do króla!

Wybuchnęli śmiechem i drwinami:

— Ho, ho! A czy król chce ciebie widzieć?!

Starszy ze straży, szpakowaty na skroniach dziesiętnik, wstał spod ściany, gdzie siedział popijając wino z dzbana i gryząc czosnek. Wsparty na włóczni patrzył czas jakiś poważnie na Jeremiasza.

— Słuchaj, proroku — powiedział bez kpin. — Wracaj lepiej do swej jaskini lub do Babilonu. Nic tutaj po tobie. Król rozmawiać z tobą nie chce.

— Powiedział ci to?

— Powiedziano, aby ciebie do zamku nie wpuszczać. Idź stąd lepiej. Podobno buntujesz ludzi...

Jeremiasz bez słowa zawrócił. Wolno zstępował w dół. Jego ręka, oparta na ramieniu ucznia, drżała. Baruch zaciśniętą pięścią pogroził żołnierzom, którzy szydzi z odchodzących.

— O, rabbi! — szepnął głosem dygoczącym z podniecenia. — Niechby piorun spalił grzeszników!

Palce proroka zacisnęły się mocniej na ramieniu Barucha. Jeremiasz milczał i tylko oddychał chrapliwie. Daleko już uszli i wydawać się mogło, że nabi zapomniał o namiętym okrzyku swego ucznia, gdy nagle Jeremiasz stanął. Było to miejsce, gdzie droga do Sella obiegając szczyt Moria łączyła się z szeroką drogą prowadzącą z dolnego miasta na podwórzec świątyni. Niżej mieli miasto: stłoczoną, zbitą u podnóża góry masę domów; nad sobą mur świątyni. Suchy pył, podniesiony stopami idących tędy ludzi, nie opadał, ale wisiał w powietrzu niby rudy tuman. Pokrywał kępy ostów rosnących wzdłuż drogi. Jeremiasz pochylił się. Tuż przy drodze leżał w pyle kawał drewnianego łańcucha, na jakim zwykle prowadzono bydło przeznaczone na ofiarę. Baruch pośpieszył prorokowi z pomocą, gdy ten sięgnął po łań-

cuch. Nabi wziął go w obie ręce i patrzył nań długo takim wzrokiem, jakby to była rzecz nigdy dotychczas nie widziana.

— Rabbi — zapytał cicho Baruch — czemu tak patrzysz?

Głos proroka zaskrzeczał boleśnie:

— Powiedziacie: „Niechby ich grom spalił...” A oto w łańcuchach będą powleczeni w niewolę... A miasto... miasto...

I nagle wybuchnął łkaniem. Ukrył twarz w dłoniach, przycisnął czoło do drewna. Baruch stał cicho, nie śmiąc powiedzieć ani słowa. Nie zawsze pojmował swego mistrza, choć od lat byli razem. Jeremiasz zabierając go niegdyś matce powiedział, że stanie się człowiekiem głoszącym słowo Boże. Ta zapowiedź dotychczas się nie spełniła. Baruch był tylko towarzyszem i uczniem Jeremiasza, kochającym go i oddanym mu we wszystkim. Nie przeżywał namiętnych tęsknot, jakie szarpały dawniej synem Helkiasza. Spokojny i opanowany, towarzyszył wszędzie Jeremiaszowi, znosząc bez szemrania samotność, ubóstwo i wędrówki bez końca. Ale jednego znieść nie mógł: krzywdy ludu.

Nigdy nie zapomniał chwili, gdy jako dziecko został wraz z matką wypędzony z domu, pozbawiony wszystkiego. W parę lat potem matka Barucha umarła. Żyła aż do końca w nędzy. Baruch dobrze pamiętał dzień, w którym przybiegł zziębnięty z Anatot do Jerozolimy, by zdążyć do konającej. Umierała na nędznym posłaniu w cudzym domu. Chłopiec patrząc na jej agonię i dławiąc się łzami zaciskał gniewnie pięści. Wiedział, kto był winien jej śmierci. Nienawidził wyzyskiwaczy z górnego miasta. Wcale nie czuł dla nich litości, gdy Nabuchodonozor zabrał ze sobą na otrzebieenie kilkuset chłopców z najlepszych rodzin. Dziś, będąc pod świeżym wrażeniem sporu z Eluzajem, myślał nie bez gniewnego zadowolenia, że w końcu przecież słuszna kara dotknąć musi i tych, co jej dotychczas nie zaznali.

— Czy już wrócimy, rabbi? — zapytał Jeremiasza, zobaczywszy, że ten opanował płacz.

Ale prorok potrząsnął głową. Podniósłszy łańcuch, oplótł nim sobie szyję. Nic nie mówiąc wskazał ręką świątynię. Baruch ulegle podał mu ramię.

Podwórzec świątyni pełen był ludzi. Ciążąca nad całym krajem klęska suszy kazała wszystkim błagać Jahwe o litość. Wody nie było w wielu studniach, wiele potoków wyschło. Zwierzęta padały na polach, nie mogąc jeść spalonej na wiór trawy. Składano więc liczne błagalne ofiary, szelamin, przy-

niesione przez mieszkańców miasta i wsi okolicznych. Kapłani bacznie oglądali przyprawdane bydło, czy nie ma na nim żadnej skazy. Ofiarodawca kładł rękę na głowie zwierzęcia, kapłan zaś zabijał je mocnym ciosem noża, zbierając płynącą z otwartego gardła krew w naczynie i wylewając ją na ziemię wokół ołtarza. Łój, nerki i ogon spalano na ofiarę. Później kapłan wykrawał łopatki oraz piersi i ujawszy w dłonie krwawy płat, poruszał nim, ofiarowując go tym gestem ukrytemu w przybytku Jahwe. To mięso stawało się własnością kapłana. Ofiarodawca zabierał resztę i zaraz roznieciwszy ogień pod murem okalającym podwórzec zaczynał ją piec. Kupiła się wokół niego bliższa i dalsza rodzina, a także znajomi, chciwie wdychając miłą woń i mlaskając ustami. Kłęby dymu unosiły się ze wszystkich stron, ryk prowadzonego na rzeź bydła mieszał się z krzykami ludzi. Ziemia była pokrwawiona, nogi grzęzły w miękkim błocie. Bliżej ołtarza mdły zapach krwi łączył się z wonią kadzideł i świeżego nawozu. Tłuste wnętrzości syczały na ogniu. Lewici krzatali się, wciąż i wciąż przynosząc nowe naręcza drzewa. Co chwila wybuchała kłótnia: to kapłan odrzucił komuś przyprawdzone na ofiarę zwierzę lub zbyt szczerze wykroił zeń przypadającą sobie część.

Lecz mimo panującego zamętu, mimo że wszyscy zajęci byli ceremonią ofiarną, spostrzeżono od razu pojawienie się Jeremiasza. Powitał go szmer głosów. Ku niemu zwracały się głowy ludzi: pokazywano go sobie okrwawionymi palcami. Padały słowa:

— Przyszedł... przyszedł...

— Patrzenie! Jeremiasz przyszedł...

— Jeremiasz... Jeremiasz...

— Znowu będzie mówił, by słuchano Nabuchodonozora!

— Czy widzicie? Stary bydłęcy łańcuch założył na szyję...

— Oszalał!

— Oszalał!

On zaś szedł między ludźmi, jakby nikogo nie widział, zgarbiony, zda się przygięty ciężarem drewnianej kłody, którą miał na szyi. Rozstępowano się przed nim, nikt go nie witał życzliwym słowem. Dawno minęły czasy, gdy przybywał tutaj budząc lęk i szacunek. Nie był już synem arcykapłana: Helkiasz i Azariasz od lat nie żyli. Król Mataniasz wyznaczył na arcykapłana Sarajasza syna Neriasza. Także i przepowiednie proroka nie budziły już zainteresowania. Od lat powtarzał wciąż jedno i to samo: wzywał, by w na-

jeźdźcy widzieć miecz Pański, w barbarzyńskim przybyszu — Bożego wybrańca. Byli ludzie, którzy na widok Jeremiasza parskali śmiechem. Stał się dla nich zabawną postacią. Lata mijały, groza Chaldeczyków wydawała się coraz bardziej urojeniem. W modzie i w obyczajach przewodził Egipt. Jeśli było co interesującego w Babilonii, to chyba tylko rozpalający zmysły kult Isztar lub tajemnicza wiedza chaldejskich gwiazdździarzy.

Jeremiasz, szedł wolno przez podwórzec ku małemu nasypowi, z którego zwykli byli przemawiać prorocy. Tłum spostrzegł to od razu, ci więc i tamci pozostawiali nie ofiarowane jeszcze bydło i poczynali dążyć za nabim. Wszyscy w Jerozolimie wiedzieli, że powrócił świeżo z Babilonu, chciano więc usłyszeć, co teraz będzie mówił. Także niektórzy kapłani porzucili ubój zwierząt i zbliżyli się do wzniesienia.

Wspierając się na Baruchu Jeremiasz wszedł na nasyp, lecz zaraz dał uczniowi ręką znak, że chce pozostać tutaj sam. Rozprostował się. Był znowu ogromny, a straszliwa chudość jego ciała sprawiała, że wydawał się nawet większy niż kiedykolwiek. Wiatr rozwiewał mu włosy. Długo milczał patrząc to na tłum, który się kupił u jego stóp, to na świątynię, którą miał tuż przed sobą w całej jej okazałości. Kiedy wreszcie odezwał się, głos jego był niby krakanie wrony:

— Przyszliście tu modlić się o deszcz... Czy tak?

Ludzie postąpili nieco ku przodowi. Kilka głosów potwierdziło:

— Tak, tak, o deszcz. Tak, Jeremiaszu.

Nie spodziewano się, że prorok będzie mówił o trosce, która gnębiła wszystkich. Zainteresowanie wzrosło. Zrobiło się cicho.

— Przyszliście modlić się o deszcz... — powtórzył Jeremiasz. — Wyszły wasze studnie, słońce wypaliło zboże i trawę... Chcecie prosić Pana... Przychodźcie z ofiarami i z postami...

Znowu urwał, jakby zbierając siły. Tymczasem otaczająca go gromada urosła w tłum. Ludzie tłoczyli się coraz gęściej. Nawoływano się:

— Hej! Jeremiasz mówi o suszy!

Ale on zawołał nagle chrypliwie i przejmująco, podnosząc obie ręce w górę:

— Pan nie chce waszych ofiar i postów! Zamknęliście oczy i uspokajacie jedni drugich. Mówicie: „Nic nam nie będzie...” Prorocy wasi zapewniają

was, że nie dotknie was ani głód, ani miecz. Kłamią wasi prorocy! I wy kłamiacie jedni drugim! Wszyscy kłamiacie? Sobie samym kłamiacie!

— Przystań! — przerwał mu ze złością któryś z kapłanów.

Z tłumu także posypały się okrzyki:

— Dość! Dość! Znowu swoje! Mów, jak się modlić o deszcz!

Jeremiasz rozpaczliwie zamachał rękoma. Wybuchnął gwałtownie, jakby nie panując nad swoimi słowami:

— Nie będzie deszczu, póki jest w was kłamstwo!

Krzyknawszy to — nagle umilkł. W tłumie wybuchnął tymczasem hałas i zgiełk. Wygrazano Jeremiaszowi, który stał z rękoma przy ustach, zgarbiony, wciąż ze swym łańcuchem na szyi. Nagle ktoś energicznie począł przepychać się ku prorokowi. Nad ludźmi przeleciał przychylny szmer.

— Ananiasz... Ananiasz... Będzie się Jeremiasz miał z pyszna...

Ananiasz syn Azura był to mężczyzna niemłody, ale wysoki, wzrostem dorównujący prawie Jeremiaszowi i o wiele od niego tęższy. Miał czarne gęste włosy pod którymi znikąło niskie czoło, i również czarną puszystą brodę. Pochodził z Gabaon, gdzie cieszył się sławą wieszczka i proroka ostro występującego przeciwko Babilończykom. W Jerozolimie zyskał sobie nie mniejsze uznanie, zwłaszcza że mówił dobrze, płynnie, często nawet brutalnie. Kiedy stanął na nasypie obok Jeremiasza, ludzie otaczający podwyższenie poruszyli się z emocji. Poczęto zacierać ręce. Krótkie śmiechy rozległy się tu i tam. Ananiasz zwrócił się do tłumu:

— Co? Ten staruch powiedział, że prorocy kłamią? — Groźnie zmarszczywszy brwi zwrócił się do Jeremiasza: — Powtórz to jeszcze raz! Ja kłamię?

Wszyscy nadstawili ciekawie uszu na to, co odpowie Jeremiasz. On zaś rzekł spokojnie, patrząc w twarz Ananiaszowi:

— Jeśli jesteś prorokiem, to kradniesz słowa Pańskie i kłamiesz im...

— Ach ty!... — ryknął Gabańczyk. Chwycił Jeremiasza za szyję swymi olbrzymimi dłońmi i brutalnie nim potrząsnął. Z tłumu wyrwał się Baruch na pomoc swemu mistrzowi. Ale w tej samej chwili złapało go kilka ramion i choć się szarpał, odciągnięto go z powrotem w tłum. Krzyczano:

— Zostaw! Niech się prorocy biją!

Ananiasz nie zdejmował rąk z gardła Jeremiasza. Warczał grubym głosem:

— Ja kłamię? Zobaczymy... Słuchajcie! — zwrócił się do ludu. — Śniły mi się dziś słowa Pańskie. Wszechmocny powiedział: „Skruszę jarzmo króla babilońskiego. Nie miną dwa lata, a każę Chaldejczykom odnieść tu, na miejsce wszystkie naczynia domu Pańskiego, które zrabował Nabuchodonozor.” Cóż ty na to? — znowu szarpnął Jeremiaszem. — Co ty na to? Ja kłamię?

Jeremiasz ledwo oddychał w uścisku strasznych łań. Miał usta otwarte, rzeził. Próżno jednak usiłował oderwać od swego gardła ręce Ananiasza. Dawne wspaniałe siły odeszły, ciało zwiotczało i osłabło. Ananiasz pogardliwie odepchnął go od siebie, a starzec padł ciężko na kolana. Dysząc dźwignął się na nogi. Cicho, chrypliwie począł mówić:

— Niech się tak stanie, jak powiedziałeś... Niech Pan sprawi, by się dokonały słowa twoje...

Tłum wybuchnął śmiechem. Ananiasz, rycząc jak tur, uderzył się dłonią po udzie.

— Ha, ha, ha! Uległy zrobiłeś się, Jeremiaszu!

Ale Jeremiasz ciągnął dalej, z trudem opanowując dyszenie:

— Niech się tak stanie... Skoro jednak wieścisz pokój, musi się stać ten pokój, albo nie mówisz prawdy...

— Stanie się! — wykrzyknął chełpliwie Ananiasz. — Zobaczysz, dziadu! — Chwycił za łańcuch opasujący szyję Jeremiasza i zdarł mu go z taką gwałtownością, że prorok znów o mało nie upadł. Podniósł drewno wysoko w górę. — Hej, ludzie! — zawołał. — Takimi to okowami straszy nas Jeremiasz! Ale patrzcie... — napiął ramiona i rozerwał łańcuch bez wysiłku.

Tłum wybuchnął gwarem zachwytu i podziwu. Rozległy się coraz swobodniejsze śmiechy. Ananiasz krzyczał:

— Tak złamie Pan jarzmo Nabuchodonozora!

Cisnął połamany łańcuch na ziemię i zamaszystym krokiem zeskoczył z nasypu. Ludzie otoczyli go, klepali po ramionach, cmokali z uznaniem dla jego siły.

— Co, nie mam racji? — powtarzał dumnie, idąc między tłumem. — Tak będzie... — śmiał się hałaśliwie, błyskając krótkimi, mocnymi zębami.

Do chwiejącego się na nogach Jeremiasza podszedł Baruch, którego teraz

dopiero puszczone. Patrząc na pomarszczoną szyję Jeremiasza, na której palce Ananiasza wycisnęły ciemne ślady, nie mógł powstrzymać okrzyku oburzenia. Ale kiedy spojrział w twarz proroka, cofnął się wstrząśnięty. Nigdy jeszcze nie widział swego mistrza takim: zagasłe, półprzymknięte zwykle oczy Jeremiasza były szeroko otwarte, usta rozchyłały się w jakimś oczekiwaniu czy nasłuchiowaniu; ciało przebiegały dreszcze. Nagle Jeremiasz wyciągnął przed siebie rękę i zawołał:

— Ananiaszu!

Tamten zatrzymał się i odwrócił, a wraz z nim zatrzymała się i odwróciła oddalająca się od Jeremiasza gromada ludzi. Ujawszy się pod boki Ananiasz drwiąco zapytał:

— Czego chcesz?

— Złamałeś łańcuch drewniany. — Jeremiasz mówił w jakimś niebywałym napięciu całego ciała. — Zamiast niego będzie łańcuch żelazny! Kazał Pan — sucha ręka proroka zawisła nad głową i drżała niby gałąź palmy potrącana niewidzialnym wiatrem — ludom Edomu, Moabu, Ammona, Sydonu, Judy, by służyły Nabuchodonozorowi. Biada im, jeśli nie zechcą! W okowach przyjdzie im służyć!

Ananiasz zazgrzytał zębami i zawróciwszy szedł znowu ku Jeremiaszowi z głową schyloną, jakby chciał nią bóść, krokiem wolnym, ale sprężystym, gotowym do skoku. Ludzie postępowali za nim, ciekawi, co teraz nastąpi. Baruch wysunął się i zasłonił Jeremiasza, ale Ananiasz odrzucił go jednym uderzeniem pięści.

— Głupcze! — warknął, stając przed prorokiem. — Głupcze! Zamilknij!

Ale było w postawie i we wzroku Jeremiasza coś, co sprawiło, że Ananiasz nie rzucił się nań, lecz tylko stojąc przed nim miotał kłatwy. Jeremiasz zdawał się czekać, aż tamten ucichnie. I gdy tylko Ananiasz gniewnie spluwając zamilkł, prorok powiedział znowu tym samym drżącym od podniecenia głosem:

— Kłamcą jesteś i uczysz lud, by ufał kłamstwu! Nie posłał cię Pan! A teraz Pan mówi: „Wysyłam cię z oblicza ziemi!”

Uczyniła się cisza. Jeremiasz postąpił krok naprzód, a Ananiasz — rzecz zdumiewająca — cofnął się. Krzykliwy wieszczek zbladł jak ściana. Nie padło już ani jedno słowo. Lud w milczeniu rozstępował się przed opuszczającym podwórzec Jeremiaszem.

Tego jeszcze dnia prorok z Baruchem wrócili do Anatot.

VII

Noc już była głęboka, kiedy paru jeźdźców opuściło miasto i wyjechało ostrym kłusem na drogę prowadzącą do Jerycho. Wszyscy otuleni byli płaszczami, a na głowach mieli zawoje. Powietrze było parne i gorące, gęste niby oliwa; zaś noc jasna od gwiazd. Suchy pył unosił się białymi kłęбами spod kopyt końskich i drapał gardła, konie parślały, ludzie kaszleli. Trzeba było zwolnić i zjechać z drogi. Wierzchowce czując pod nogami trawę wyciągały ku niej szyje. Trawa jednak była spalona, wyschła i twarda. Susza trwała ciągle.

Za Bahurim droga poczęła spadać z wyżyny, na której leżała Jerozolima, w ciasne parowy biegnące ku brzegowi ghoru. W miarę jak jechali, czuło się świeższy nieco powiew od rzeki. Oni jednak zatrzymali konie na zboczach i poczęli z nich zsiadać. Mężczyzna otulony w wielki płaszcz wydawał rozkazy. Powiedział wskazując na dwóch ludzi:

— Ty i ty idziecie ze mną.

Reszcie polecił zostać z końmi pod kępą palm. Uśpione Anatot leżało przed nimi. Ani jedno światło nie paliło się wśród białych domków. Kierujący wszystkim mężczyzna rzekł teraz:

— Prowadźcie.

Trójka ludzi poczęła zwolna obchodzić domy. W pewnej chwili coś zachręściło w krzakach. Mężczyzna odskoczył gwałtownie. Ale to musiało być jakieś małe spłoszone zwierzę. Gniewnie powiedział do towarzyszy:

— Miejcie broń w pogotowiu.

Bez słowa wydobyli miecze. Gdy rozchylali płaszcze, pancerze błysnęły w blasku gwiazd. Znowu szli czas jakiś. Ten, który im przewodził, zapytał niecierpliwie:

— Dobrze idziemy?

— Dobrze! — odparł jeden z żołnierzy.

— Cicho! — syknął mężczyzna. — Biada, jeśli nas kto usłyszy!

Zbocze, do którego podeszli, stawało się skaliste. Wzdłuż nagiej skały prowadziła w górę ścieżka. Mężczyzna gestem nakazał żołnierzom iść bardzo cicho. Gdy zamajaczył przed nimi otwór jaskini, zatrzymali się. Z groty dochodził głośny oddech śpiącego człowieka. Mężczyzna ruchem rąk przyzwał do siebie żołnierzy. Chciał im coś szepnąć, kiedy nagle w głuchej ciszy rozległ się obok nich chrypliwy głos:

— Czego tu chcecie?

Odwrócili się szybko. Miecze błysnęły spod płaszczy. Pod skałą siedział ktoś tak nieruchomo, jakby nie był żyjącym człowiekiem. Nie poruszył się i teraz, gdy cicho podeszli do niego.

— Ktoś ty? — szepnął mężczyzna.

— A kto ty jesteś? — siedzący pytał spokojnie, nie ścisząc głosu.

— Ciiiiicho! — człowiek w płaszczu położył palec na ustach i rozejrzał się trwożnie. Ścisząc głos jeszcze bardziej, szeptał: — Poznaję. To ty, Jeremiaszu... — Dał żołnierzom znak, aby odeszli. Przysiadł obok proroka.

— To ja... — powiedział.

— Nie wiem, kto jesteś.

— Ach, tylko mów cicho! Nie chcę, aby ktokolwiek wiedział, że tu przybyłem. To ja, Mataniasz...

— Król?

— Ja, Jeremiaszu. Cicho! Nie poznajesz mnie? — zsunął płaszcz, który zakrywał mu dół twarzy, odgarnął turban z czoła. Ale zaraz, gdy Jeremiasz potakująco skinął głową, znowu wcisnął zawój na oczy i otulił się płaszczem. — Nikt, słyszysz, nikt nie może dowiedzieć się, że przyjechałem do ciebie.

— Tu nikogo nie ma.

— Nigdy nie wiadomo. Mogli mnie śledzić. Nikomu nie ufam.

— Czego chcesz?

Mataniasz znowu obejrzał się niepewnie, nasłuchiwał chwilę, czy oddech Barucha śpiącego w grocie jest spokojny. Upewniwszy się ostatecznie, zbliżył usta do ucha Jeremiasza.

— Szedłeś do mnie?

— Szedłem. Ale zabroniłeś mnie wpuszczać.

Król gwałtownie zamachał ręką.

— To nie ja, to ci głupcy! Ja zawsze z tobą, Jeremiaszu...

— Czego chcesz?

— Powiedz: co mi przyniosłeś od Nabuchodonozora?

— Jesteś ciekawy? Nie chciałeś przecież słuchać...

— Ależ! Mówię ci, że to nie ja!

— Nie ty? Więc dobrze. Nabuchodonozor wie o twojej zdradzie.

Mataniasz krzyknął zapominając o ostrożności:

— To nieprawda! Nie zdradzam go!

— Nie krzycz! — w głosie Jeremiasza zadźwięczała drwina. — Chciałeś przecież, aby było cicho. Powiadam ci: Nabuchodonozor wie.

Król milczał, ale tak dygotał, że aż podzwaniały wiszące na piersi łańcuchy. Szczekały mu zęby.

— Dowiedziałeś się — mówił Jeremiasz. — Czego chcesz jeszcze?

— Słuchaj, słuchaj, Jeremiaszu... — Mataniasz wczepił w ramię proroka swe drżące palce. — Co ja mam robić? Powiedz... Czy wiesz?... — głos mu się prawie załamał. — Elmadam wrócił.

— Cóż stąd?

— Pytasz? On teraz potężny. Jest przyjacielem samego faraona.

— Nie zbliżaj się do niego. Nabuchodonozor ukarze cię, jeśli natychmiast nie wytłumaczysz mu się ze swoich spisków z faraonem. Chcesz, by cię przyszedł ukarać?

— Nie! Nie! — głos Mataniasza przypominał pisk przerażonego szczura. — Nie! Ale on chce...

— Kto?

— No on, Elmadam. Mówi, że jeśli Nabuchodonozor tu przyjdzie, wtedy my go pobijemy...

— Ty go pobijesz?

— My... i faraon...

Jeremiasz, który siedział dotychczas nieruchomo pod skałą, poruszył się gniewnie. Swymi zeszywniałymi ze starości palcami chwycił Mataniasza za płaszcz i przyciągnął króla do siebie.

— To śmierć — syknął. — Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — dygotał tamten. — Ale nie wiem... dlaczego? Nabuchodonozor jest silniejszy? Myślisz, że jest silniejszy niż faraon?

— Głupcze! Faraon to grzech, a Nabuchodonozor — miecz Pański na faraona. Nie kładź głowy między młot a kowadło.

Odsunął od siebie Mataniasza. Podniósł wzrok ku niebu. Tam w otchłani pełnej gwiazd pełgał mały, ledwo dostrzegalny płomyk. Jeremiasz myślał coraz częściej, coraz uporczywiej o tym nieznanym Wybrańcu gwiazd, który miał się dopiero narodzić. To, co powiedział wówczas Ikis-belowi, było myślą jeszcze nie zrodzoną, a już bolesnym wysiłkiem wydobytą na powierzchnię. I on czekał. Cekał drżąc, w poczuciu świadomości, że czas biegnie zbyt szybko, zbyt gwałtownie, a ludzie nieuchronnie posuwają się w dół po jakimś zboczach i ani on, ani żaden inny człowiek nie zdoła ich wstrzymać. Świat wydawał mu się podobny rozszalałemu morzu, którego fale podrzucają małą łódeczkę. Czy należy ją powierzyć łasce bałwanów? Czy należy walczyć o jej bezpieczeństwo?

Poczuł znowu na ramieniu rękę Mataniasza. Niechętnie powrócił od swych myśli do lęklwego króla.

— Czego chcesz jeszcze?

— Więc powiadasz, żeby nie słuchać Elmadama? Żeby odmówić pomocy Hofrze? Czy tak? Radź mi, Jeremiaszu!

— Czemuż to do mnie przychodzisz prosić o radę? Masz swoich proroków... Masz Ananiasza... Ja jestem fałszywym wieszczkiem...

Mimo woli gorycz odezwała się w tych słowach. Tak, to był ból gorący, nigdy niewygasły. Fałszywy wieszczek! Przed dwudziestu laty rzucono mu to w twarz po raz pierwszy. Był przecież tak pewny, że to Pan kazał im stanąć wówczas pod Megiddo przeciwko przemocy Nechao. A jednak nic nie potwierdziło tej pewności. Przez dwadzieścia lat Głos milczał. Jeremiasz został sam z coraz bardziej chwiejącą się pewnością, szarpany coraz ostrzejszymi wątpliwościami. Nie było żadnych rozsądnych przyczyn, dla których on, który wołał: „Walczcie z Egipcjanami, choć są od was silniejsi” — teraz miał ostrzegać: „Nie próbujcie walczyć z Nabuchodonozorem, bądźcie mu poddani i posłuszni!” Gdy skutkiem jego wezwań do walki z faraonem była klęska i śmierć wielkiego króla, ostatniego z wielkich królów Judy, któż go dziś zapewni, czy skutkiem obecnego wołania nie będzie nowa, bardziej

jeszcze krwawa, klęska? Falszywy wieszczek... Ach, te dwa słowa leżały mu od lat kamieniem na piersi! Lecz już nie starczyło, by płakać! Falszywy wieszczek... Prorok, który żyje dawno, przed laty usłyszanym słowem...

Doszedł go szept:

— Wszak Ananiasza nie ma...

— Gdzie odszedł ten kłamca?

— Jak to, nie wiesz? Przecież nie żyje. Zabiłeś go swoim słowem.

Nagły dreszcz wstrząsała Jeremiaszem. Ananiasz nie żyje! W tej jednej krótkiej chwili, gdy wołał do niego na podwórku, miał świadomość, że mówi znowu tak, jak mówił niegdyś, przed laty do wysłańców króla Jozjasza... To był znak, oślepiający i wstrząsający niby błyskawica. Więc jednak nie został tylko z echem dawnych słów. Głos odzywa się znowu i po latach milczenia potwierdza swe dawne zapowiedzi. Ananiasz nie żyje! Ten tęgi, podobny bykowi człowiek padł od razu powalony nagłą śmiercią. Lecz jeżeli on nie żyje, to znaczy, że dzień kary przybliży się nieubłaganie. Jeżeli Ananiasz nie żyje — to znaczy, że Pan już potępił to kłamstwo życia z Bogiem, a przecież bez Boga...

Rzucił gwałtownie:

— Więc dlatego przybyłeś do mnie? Ty tchórze...

Oparł Mataniaszowi dłonie na ramionach, patrzył wyteżonym wzrokiem w twarz króla. Mataniasz podobny był do ojca, choć miękkie i ciężkie rysy Amital-Syryjki przesłoniły na jego obliczu szlachetny kształt twarzy Jozjasza. W krótkim, cofniętym podbródku malował się brak woli, w małych, mętnych, szybko biegających oczach — tchórzostwo. Pamiętał go małym chłopcem trzymającym się kurczowo szaty ojca, często popłakującym. Pamiętał także dzień, kiedy w nagłym oślepiającym błysku wydawało mu się, że widzi Mataniasza rzuconego na ziemię, przyciśniętego twardą stopą zwycięzcy. Potrząsał królem, jakby chciał strącić mu z twarzy wyraz słabości i lekkości, a wywołać na niej natchniony błysk odwagi. Palcami dotykał jego czoła, nosa, policzków. Jednym pchnięciem zrzucił mu turban. W gwiazdnej poświacie nie mógł zobaczyć barwy włosów Mataniasza. Mieniły się, wydawały się zielonosrebrne.

— Jakie ty masz włosy? — zapytał.

— Włosy? Włosy? — król nie przestawał się trząść. — Włosy? Myślisz, że długie? Jak u Absaloma?

— Nie — głos Jeremiasza stał się miękki, prawie łagodny. — Pytam, jakiego koloru masz włosy...

W słowach Mataniasza zdziwienie splatało się z niepokojem...

— Lisie jak ojciec...

Prorok znowu oparł się o ścianę i zapatrzył się w gwiazdy. Pełzły wolno, a przecież nieustępliwie wciąż i wciąż naprzód. Tu, na tej samej ścieżce, u stóp tej samej skały siedzieli kiedyś on i Jozjasz. Czerwonowłosy król pytał: „Patrzysz wciąż w gwiazdy. Czy umiesz z nich czytać jak mędrcy chaldejscy?” Potrzęsnał głową. „Nie — odparł — w gwiazdach nie czytam... Gwiazdy są zawsze takie same, człowiek jest codziennie inny...” Tak, tylko człowiek jest tajemnicą. Jest potężny — a pada, jest słaby — a zwycięża. Syn wielkiego ojca bywa tchórzliwą kukłą, syn małego awanturnika urosnąć może na mocarza. Przepaść przywołuje przepaść, ogrom zła woła o ogrom dobra. Wszystko przemija, lecz to królestwo nie przeminie... Tak mu kiedyś powiedział Pan: „Nie skończy się ofiara arcykapłana, nie będzie odjęte władztwo Judzie...”

— Pytałeś o kolor włosów? — dobiegł go szept. — Dlaczego?

— Dlaczego...? Słuchaj... — pochylił się nad skurczonym przed nim królem. — Masz czynić, co ci każę...

— Uczynię, rabbi.

— Wyślij poselstwo do Nabuchodonozora. Przeprós go za twoje spiski. Wyrzecz się ich na zawsze. Zapłać trybut.

— Dobrze...

— Musisz zyskać czas. Czy ty mnie rozumiesz? Czas!

— Rozumiem...

— A wtedy ogłoś rok święty. Wszystkie długi biedaków muszą im być darowane, wszyscy niewolnicy muszą odzyskać wolność. Ziemia ma wrócić do nędzarzy, którzy ją musieli sprzedać. Pozostawcie pola odłogiem...

— O rabbi, pozwól... — Mataniasz nadał głosowi ton jak najśłodszy. — Zrobię, co chcesz... Zrobię... Ale pola? Patrz, jaka susza... Wszystko zmarniało...

Uciszył go gniewnym błyskiem oczu.

— Ani słowa! Pozostawcie pola odłogiem! Deszcz przyjdzie. Nie odej-

dę z tego miejsca, nie przestanę prosić, aż się to stanie... Ma być wszystko, jak Pan powiedział...

— Rzekłeś.

— Obce kultury masz zniszczyć. Nie drzyj! — targnął królem, który usłyszawszy ten rozkaz począł znowu trząść się febrycznie. — Nie będzie w Judei ołtarza Molocha ani Astarte, ani Baala, ani Isztar! Nie drzyj! Masz być silny! Słyszysz? Masz być silny!

— Będę... silny...

Zmierzył go płonącym wzrokiem. Choć się teraz dumnie prostował, jakżeż nędznie wyglądał ten król o nastroszonych trwożnie włosach, trzymający swój turban w ręku! Trzeba było mieć niezwykley zapał, by popychać tego słabeusza do wielkiej wyprawy na ratunek zaprzepaszczonego dziedzictwa, trzeba było mieć pewność nieustępliwą i upartą, nie znającą wahań pewność, że największych dzieł ludzkich dokonać można najnędźniejszymi rękoma. Zresztą czyż było w kim wybierać? Mataniasz był ostatni. Jego synowie byli chłopcami. Tamten, gnijący w więzieniu, żył buntem i bluźnierstwem. Kukły nie są bohaterami. Ale gdy nie ma bohaterów, trzeba z kukły zrobić bohatera...

— Idź już — powiedział do Mataniasza — już idź... Uczyń wszystko, co ci kazałem.

Wyprostowana figurka znowu zmalała, skurczyła się, zgarbiła, z dygoczących warg dobywały się drżące słowa:

— Pójdę... Będę silny... ale... Czy będą mnie słuchali? Jak myślisz, rabbi? Kto mnie wesprze?

— Wezwij do swego boku ludzi mądrych. Kapłana Sofoniasza, Azarela...

— I oni...?

— Nie myśl o tym! Tylko ty bądź silny! Idź!

Zachręściły kamienie na ścieżce. Noc pochłoneła sylwetkę króla. Jeremiasz pozostał sam. Jeszcze czas jakiś słyszał dalekie kroki odchodzących i spokojny oddech śpiącego Barucha. Westchnął. Los się dokonał. Wszystko teraz zależało od słabowitego króla, który miał stać się jednocześnie lwem i lisem. Żebyż tylko okazał się silny! Myśli Jeremiasza leciały szybko niby lekkie trzcinowe strzały edomskich łuczników. Zetrzeć kultury, ożywić wiarę w Jahwe, wskresić wielką reformę, wyzwolić zepchnięty na dno nędzy lud!

Każda rzecz wydawała się ważna, najważniejsza. Czas! Czas! Oby tylko starczyło czasu! Nabuchodonozor jest już gotów skoczyć na Hofrę. Wszystko zależy od tego: wrogiem czy przyjacielem przejdzie przez ziemię Judy. Ofiarował rok pokoju. Obietnic swoich zawsze dochowuje. Więc mają rok przed sobą. Lecz cóż to jest rok? Nędzne kilkaset dni! Może poselstwo powstrzyma Nabuchodonozora na czas dłuższy? Powstrzymałoby go, gdyby chodziło tylko o Jerozolimę. Ale on idzie na Egipt! Nie ma więc co myśleć o zwłoce. Czas biegnie! Czas się posuwa! Nie można go zmarnować. Nie można stracić ani dnia.

Jeremiasz mocno wparł głowę i ramiona w skałę. Wielka reforma... Mataniasz... Gdzieś z dali dochodzą drwiące słowa Nabuchodonozora: „I ty chcesz przymusić swego Boga do posłuchu...” Powiedział wtedy: „Nie.” Ale dziś wobec nocnej pustki, wobec jaskrawo świecących gwiazd i ciszy, w której zda się rozlegnie się lada chwila Głos, nie można odpowiedzieć tak samo. Nabuchodonozor miał słuszność... Kara musi nadejść! Lecz Jahwe jest miłosierny, jest łaskawy, nie chce zatury ludu wybranego. Zszedł przecież do niego, mieszka w świątyni... Cóż w zamian za to uczynił lud? Nie ma przykazania, którego by nie przekroczył! Obrzezuje swych synów? To samo robią Egipcjanie! Nie o obrzezek ciała chodzi, ale o obrzezek serca! „O Panie! — Jeremiasz klęka, rozkłada ręce w geście błagania. — O Panie! — powtarza. — Czyż jest boleść jako boleść moja? Ukarzesz — to oni wówczas powiedzą, że Ciebie nie ma...” Lecz były lata pokoju i niekarania, a stały piece Molocha w dolinie Tofet, zaś kobiety jerozolimskie piekły słodkie placki ku czci Astarte. Pan mieszkał pomiędzy ludem, a w przedsionku kapłanów, przy bramie ołtarza stał — jak i teraz stoi — Baal! Przy tej samej bramie płaczą kobiety jerozolimskie zmarłego Adonisa, zaś mężczyźni kłaniają się wschodowi słońca. Nikt nie zaprzecza istnieniu Jahwe, ale też nikt nie postępuje w ten sposób, jakby Jahwe istniał! Kto ich nauczy prawdy? Co ich nauczy prawdy?! Niewola? Złamię się w niej... Pójdą tym bardziej w służbę obcych bogów... Nie! Dlaczego mają się złamać? Tamci młodzi w Babilonie z takim zapałem mówili, że nie odejda. Wierzy im. Powiedział wtedy: Mnóżcie się i nie bądźcie nieliczni. Więc może przyszłość ludu jest w tamtych, a nie w tych tutaj, do szpiku kości przeżartych przez kłamstwo? W takim razie należałoby żądać, aby wszyscy poszli w kajdanach nad Eufrat, aby tam, na obcej ziemi odrodził się na nowo naród wybrany. Lecz świątynia? Lecz ołtarz? Lecz ród Dawida? Lecz obietnice? Mataniasz to mały człowieczek, lecz z nieśmiertelnego rodu! Sarajasz to nadęta bańka próżności, lecz

żyjące ogniwo nie kończącego się pokolenia Aarona! Czymże jest w tym wszystkim on sam, Jeremiasz? Nie jest królem, nie jest arcykapłanem! Chce rządzić królestwem i kapłaństwem. Ma być tym, który prostuje skrzywione ścieżki wybranego narodu. Takimi byli Eliasz, Elizeusz, Izajasz... Ale oni może byli nadludźmi?! Może to byli nie ludzie, ale cherubini, aniołowie Pańscy? Eliasz nie umarł, został tylko jego płaszcz. Może to był archanioł Rafael, może archanioł Gabriel? Przecież, by być powtarzaczem słów Pańskich, tym, który prostuje ścieżki grzesznego narodu, nie można być tylko człowiekiem. Tylko człowiekiem...!

Jeremiasz pada na twarz, przyciska mokre od łez policzki do suchej skały. Jego drżące spazmem płaczu usta dotykają pyłu ścieżki. Trze czoło o kamienie, dusi w sobie krzyk. Jak przemóc słabość? Jakżeż czynić rzeczy anielskie ludzkimi rękoma? Wybucho namiętnym szeptem:

— O Panie, nielitościwy, okrutny, zaborczy Panie! Powiedz...

Przez lata zmuszał ciało do posłuchu, przez lata czynił z siebie twarde narzędzie Bożego gniewu. I dziś, gdy ma być niemiłosierny, gdy powinien być bez litości, dziś próżno walczy z oporem serca. Tak, Jahwe kazał mu napominać. Lecz gdy napomnienia nie pomogły, trzeba było rzucić strasliwą hajrem i odejść. Taki był widocznie sens klęski pod Megiddo. Kłamstwem była poprawa ludu, kłamstwem wielka reforma... A Jozjasz? „O Panie!” W strasliwej rozpaczycy Jeremiasz bije głową o skałę, rozdziera czoło na ostrych wystęпах. Jozjasz! Jozjasz! Jedyne człowiek, który myślał tak samo! Jozjasz — król... Nie król, przyjaciel! I to on go sam wysłał na śmierć! A dzisiaj znowu?... Nie, nie! Przyjaciele są drodzy. Nie można ich tracić bez końca. Człowiek nie potrafi być wiecznie nielitościwy, wiecznie nie kochający. Aniołowie może nie potrzebują kochać swoich, braci. Człowiek musi!

...Człowiek musi. — Jeremiasz dźwiga zapyloną i okrwawioną twarz. Patrzy w dół na lekko bielejące na ciemnym tle parowu domki Anatot. Wiele razy wygrażał tej mieścinie, która naprzód go czciła, a potem o nim zapomniiała, nigdy zaś, nigdy nie wspomogła go w chwili cierpienia! Jakżeż mu są — mimo to wszystko — drodzy tamci ludzie z ich słabością, niedomyślnością, grzebiący się tylko w swej roli i płodzący dzieci ochotnym sercem. Tu także krzyczano na niego: „Fałszywy wieszczek...” Mieli rację. Jest fałszywym wieszczkiem. Prawdziwy prorok byłby tę grzeszną bandę, ten lud zatwardziały, uparty, krnąbrny przeklął na wiele pokoleń! Mówi stare przy-

słowie: Ojcowie jedli kwaśne winogrona, a synom zęby ścierpły... Lecz czy prawem proroków nie jest odwracanie przysłów i odwoływanie się od bezliotosnej sprawiedliwości do miłosierdzia? Eliasz wskrzesił syna kobiety z Sa-repty Sydońskiej. Elizeusz nakarmił dwudziestu chlebami stu mężów — a zbyło... To wszystko mało! Eliasz wytracił kapłanów, Baala, Elizeusz wezwał niedźwiedzie, by rozdarły obrażające go dzieci. Czy prorok jest jeszcze prorokiem, gdy krzyk o miłosierdzie zagłuszy w jego sercu wołanie o sprawiedliwość? Kto to jest prorok? Anioł czy człowiek jak inni? Aniołowie schodzą na ziemię tylko z krótkim posłaniem. Człowiek na ziemi żyje. Musi żyć. A żyć — to znaczy kochać...

Oparł się o skałę, patrząc na miasteczko w dole. „Żyć to znaczy kochać...” Tak, to prawda. Obiecał im deszcz... Dobrze: będzie o deszcz prosił. Ten deszcz, jeśli nadejdzie prędko — stanie się znakiem. Jak śmierć Ananiasza jest znakiem straszliwej sprawiedliwości, tak deszcz będzie znakiem miłosierdzia. Będzie znakiem, że choćby prostowanie dróg ludzkich było pracą beznadziejną, trzeba ją na nowo, uporczywie i ciągle podejmować. Ciągle! Jeśli ten deszcz spadnie w ciągu dni najbliższych, znaczy, że być prorokiem to nie tylko prostować widzialne ścieżki... Że trzeba, aby się prorok wysiłał bezskutecznie... Że trzeba samemu prorokowi wysać gorycz jagody, by synom zęby nie ścierpły...

Zamknął oczy. Noc stała się jeszcze głębsza, bez gwiazd i bez dna. Była cisza, przejmująca, głucha cisza przedrania. Potem zdało mu się, że słyszy nagle poczęty szum. Delikatny, miękki, dziwnie kojący. Ciepła kropla spadła na twarz Jeremiasza. Potem druga, trzecia, dziesiąta... Otworzył oczy.

Zza skały niespodziewanie, nadszedłszy cicho niby na palcach, wynurzyła się olbrzymia chmura podobna drugiej nocy, która połyka żarłocznie noc pierwszą — noc gwiazd. Szum rósł, wzrastał się, potężniał. Krople przemieniały się w strumienie, w potoki, w fale. Nie ruszył się z miejsca. Woda płynęła mu po twarzy, po piersiach, po całym ciele razem ze łzami; zaś łzy były jasne i radosne jak ten deszcz...

VIII

Mówisz, że mnie kochasz?

Dziewczyna była młoda, szczupła, niewysoka. Z daleka mogła uchodzić za dziecko. Miała małe usta, ruchliwe, skłonne do uśmiechów i do grymasów. Duże ciemne oczy ocieniała gruba linia zrośniętych nad nosem brwi. Stała w tej chwili i wydawszy wargę oskubywała z liści gałąź palmową. Dzień był śliczny. Po niedawnych deszczach roślinność ożyła i rozkwitła. Łąka, którą mieli przed sobą, grała wszystkimi kolorami rosnących na niej kwiatów: narcyzów, tulipanów, anemonów, ranunkulów, róż i lilii.

Odpowiedział z lekkim zniecierpliwieniem w głosie:

— Powtarzam ci to ciągle. Kocham cię.

Chłopak był także bardzo młody. Twarz miał gładką, bez zarostu, delikatną jak u dziewczyny. Siedział na ziemi o parę kroków od towarzyszki, zaplótłszy na kolanach swe duże, siłę zdradzające dłonie.

Rwąc dalej liście powiedziała:

— Chciałabym ci zaufać, Kosamie...

— Więc mi nie ufasz?

Nie spuszczał z niej wzroku, ale ona zdawała się tego nie czuć, zajęta oskubywaniem liści.

— Ach, nie... — rzekła. — Jesteś dobrym chłopcem... Ale... — zawahała się. Z powagą podniosła głowę i powiedziała stanowczo: — Mężczyźni nie można nigdy ufać...

Uderzył się dłonią w kolano i zaśmiał się wesoło.

— Nigdy? Ha, ha, ha! Jesteś zabawna.

Mocniej odeła wargi. Machając odartą z liści łodygą odrzekła:

— Zabawna? Wcale nie! Mężczyźni... — wzruszyła pogardliwie ramionami. — Przecież wiem, że znowu chcielibyście wojny... Twój ojciec...

Przerwał jej dość nagle:

— To są sprawy męskie, Tamar. Mój ojciec rzeczywiście uważa, że powinniśmy walczyć z Nabuchodonozorem...

Skrzywiła się całą twarzą, niby przedrzeźniająca towarzyszki dziewczynka. Z gniewem rzuciła gałąź na ziemię. Klasnęła w dłonie.

— Nie mówiłam!? Znowu wojna! To są mężczyźni! Komu to mówić o kochaniu!? Znowu wojna? Jeszcze tamtą pamiętamy...

Zaśmiał się:

— Byłaś małym dzieckiem.

— Ty też! — odcięła się. — Zresztą pamiętam, jak Chaldejczycy o mało nie spalili miasta i wielu ludzi zabrali w niewolę. Chcecie, by znowu tak było?

Wzruszył ramionami. Porzucił kpiący ton. Mówił teraz poważnie, nieco nawet wyniośle:

— Że ty tego nie pojmujesz... Pozbawili nas wolności. Uczynili nas swymi hołdownikami...

— Zawsze byliśmy czyimiś hołdownikami!

Gniewnie podniósł głos:

— Nie zawsze, Tamar! Nie znasz się na tym!

Zmrużyła oczy. Syknęła ostro:

— Nie znam się. Skoro tak...

Gwałtownie odwróciła się od niego, aż furknęła kuttona. Wyprostowana, z podniesioną głową poczęła się oddalać. Ale chłopiec jednym skokiem zerwał się na nogi, zabiegł jej drogę, chwycił dziewczynę za ręce.

— Nie, nie — zawołał patrząc jej prosto w twarz — nie odchodź! Nie obrażaj się. Kocham cię przecież...

Odwróciła od niego twarz.

— Mówisz, że się nie znam?...

— Już tak nie powiem.

— To mało!

— Czego chcesz jeszcze?

Teraz zgodziła się na niego spojrzeć. Choć się powstrzymywała, musiała się uśmiechnąć. Ale groźnie podniosła palec w górę.

— Obiecaj mi, że nigdy już tak nie powiesz. No, obiecaj. I pamiętaj: nie jestem jak inne dziewczyny.

— Wiem, że jesteś inna — śmiał się swobodnie. — Dobrze. Obiecuję ci. Zresztą — wziął ją lekko wpół i poprowadził z powrotem ku miejscu, na którym poprzednio siedzieli — po co mamy rozmawiać o wojnie? Kocham cię... I chcę, byś została moją żoną.

Pokręciła głową.

— Twój ojciec nigdy się na to nie zgodzi.

— Mój ojciec? — zdziwił się.

— Tak! — ciągnęła nadając swemu głosowi ton wielkiej powagi. — On chce, abyś wziął za żonę córkę królewską...

Wybuchnął śmiechem.

— Co? Jochelię? Skąd ci to do głowy przyszło, Tamar? Ależ Jochelia jest brzydka i...

Stanowczym ruchem kiwnęła głową.

— Już ja wiem, co mówię. Ty, Kosamie, jesteś dzieckiem. Nic nie wiesz. Ale twego ojca ludzie znają. Wiedzą, że był zawsze chciwy sławy i dostojęństw.

— Nie! — zaprzeczył gorąco. — Nie! Na pewno nie! On jest tylko wielkim wodzem. I chce, aby Judea była wolna...

Mówił dalej z zapałem. Ten nie znany prawie ojciec, który powrócił po latach nieobecności, zasługiwał na to. Kosam ledwo go pamiętał z dawnych czasów. Kiedy odjeżdżał, chłopak nie miał jeszcze dziesięciu lat. Wtedy to właśnie była wojna. Kosam jej nie widział, przebywał bowiem u dziadka w Betlejem. Pewnego dnia przed zagrodę Hera z tupotem kopyt końskich zajechało kilku jeźdźców. Byli zmęczeni galopem. Między nimi znajdował się ojciec Kosama. Miał miecz zawieszony na szyi, tarczę na plecach. Szedł spiesznie ku domowi. Napotkawszy dziadka, powiedział gwałtownie: „Muszę uchronić. Motłoch podjudzony przez kapłanów zamordował Eliakima. Ledwo uszedłem z życiem. Nabuchodonozor stoi pod murami...” — „Wielki Panie!” — zawołał Her podnosząc obie ręce w górę. Elmadam minął go, podszedł do Kosama. Babka zawołała przerażona: „Chcesz zabrać dziecko ze sobą?” Potrząsnął głową. „Nie — odpowiedział. — Ja tu wrócę. Gwiazdy nie kłamią.” Mocno, niecierpliwie uderzył syna po ramieniu. „Bądź zdrow!” — rzucił szorstko. Odwrócił się do dziadków: „Opiekujcie się nim. — Stanowczo, z naciskiem dodał: — Zobaczycie, że wrócę...” Jego ludzie ładowali żywność na grzbiet osła. On sam wziął dzbanek świeżego wina i pił chciwie. Nie minęło wiele czasu, a byli już gotowi do dalszej drogi. Dosiedli koni. Służba odsunęła bramę. Z miejsca ruszyli galopem.

— Chce, żeby Judea była wolna... — kończył. — Chce, aby królestwo

było znowu wielkim królestwem, jak za czasów Dawida i Salomona. Ród Dawidowy jest starszy niż ród Nabopolassara...

Uśmiechnęła się nieco drwiąco. Znowu te dziecinnie męskie sprawy! Wiele już setek lat upłynęło od śmierci Dawida i Salomona — może nigdy ci wielcy królowie nie żyli? Tylko w świętych księgach czyta się o czasach, gdy zdobywali miasta wrogów, jednych wycinali w pień, innych czynili swymi niewolnikami. Dziś Judejczyk jest niewolnikiem Judejczyka. Jej ojciec, stary Azareel, za to, że chciał przed laty, by uczczono święty rok powszechnym wyzwoleniem, został usunięty z koła doradców królewskich. Przed paru dniami, prawda, powołano go tam znowu. Mówił w domu, że nastąpiły zmiany, że król zgadza się na wskrzeszenie wielkiej reformy. Cieszył się. Tamar, patrząc na rozpromienioną twarz Kosama i zestawiając w myśli jego entuzjazm z entuzjazmem ojca, pomyślała nie bez cichego żalu, że i jeden, i drugi umieją myśleć po męsku tylko o sprawach wielkich i dalekich. Nie widzą rzeczy wielkich tuż obok siebie... Choćby w życiu swej córki czy żony...

— Zobaczysz, że ojciec nie będzie się sprzeciwiał — zapewniał ją.

Nie zaprzeczała. Leżąc na trawie czuła, jak cienkie, rozwichrzone źdźbła lub miękkie, wilgotne niedostrzegalną wilgocią płatki kwiatów łaskoczą delikatnie jej policzki. Podparła brodę dłońmi, patrzyła poprzez zieleń krzewów na białe, lecz zwolna różowiejące mury miasta.

— Kosamie! — głos męski rozległ się w pobliżu.

Oboje podnieśli głowy. Mężczyzna szedł przez pole, rozglądając się na wszystkie strony. Wołał przykładając dłonie do ust:

— Kosamie!

Kosam wstał. Krzyknął w stronę tamtego:

— Jestem tutaj, Sebaimie!

Służący pobiegł ku niemu, roztrzając kolanami wysoką trawę. Wymachiwał rękoma. Musiał być podniecony.

— Śpiesz się do domu, Kosamie! — wołał jeszcze nie dobiegłszy. — Twój ojciec cię szuka. Ma ci coś pilnego do powiedzenia. Chodź, śpiesz się! — chwycił Kosama za rękę. — Chodź! Szukałem cię długo.

— Muszę iść! — chłopak zwrócił się do Tamar.

— Śpiesz się! — poganiał Sebaim.

— Zaraz — lekko, lecz stanowczo odgarnął go ramieniem. — Do widzenia, Tamar. Pamiętaj, że cię kocham. I że na pewno ojciec nie będzie nam się sprzeciwiał... Abyś tylko ty...

Uśmiechnęła się do niego czule i wyrozumiale. Lekko dotknęła dłonią jego dłoni.

— Bądź zdrow...

Sebaim znowu szarpnął chłopaka za ramię.

— Prędszej! Śpiesz się! Ojciec twój kazał, byś przychodził natychmiast!

— Już idę. Ale ty, Tamar... — oczekiwał czegoś od niej. Czują to. By być zupełnie swobodny, musiał od niej usłyszeć na pożegnanie słowo miękkie, przekreślające wszystkie grymasy. W niej jednak był upór, przeciwstawiający się nawet, pokusie serca.

— Bądź zdrow — powtórzyła — bądź zdrow. — Zobaczymy się...

— Prędszej! — Sebaim gwałtownie targał ramieniem Kosama. — Biegnijmy!

Pobiegli. Brodzili w wysokiej, tkanej kwieciami trawie niby w rzece. Kosam odwracając się podniósł rękę; Odpowiedziała mu także gestem. Teraz było jej żal, że nie powiedziała nic więcej. Był przecież dobrym i miłym chłopcem. Nie znajdowała w nim przeciwnika, którego podświadomie oczekiwiała. To był może zawód, ale i powód do tkliwości. Już ledwo widziała dwie białe figurki odbiegających. Ten wyższy, tęższy — to był Kosam. Czy naprawdę go kocha?... Zadała sobie to pytanie, wsparta o kostropaty, twarde włosami nastroszony pień palmy. Zniżające się słońce zaglądało jej w oczy. Pochyliwszy głowę patrzyła na zarys swych nóg na płótnie kuttony. Nie, nie umiała na to pytanie odpowiedzieć z całą pewnością. Był w niej gniew, głęboko ukryty gniew dla niej samej niezrozumiały — gniewne pożądanie czegoś, równie zawzięte jak to drażniące pożądanie wielkości w mężczyznach...

IX

Elmadam mieszkał na dworze Eluzaja. Był to jeden z największych i najbogatszych domów jerozolimskich. Kiedy Kosam z Sebaimem weszli na

dziedziniec skąpany w pierwszej różowości nadchodzącego wieczoru, ujrzeni, że pełen jest ludzi, koni, mułów i osłów. Kosam wiedział już od Sebaima, że do Elmadama przybyło wielu gości. Ich to zaprzęgi i lektyki stały tutaj ciasno zbite, otoczone służbą oraz niewolnikami. Ruch także był tu duży: co chwila ktoś przeciskał się przez stłoczony tłum, ktoś nawoływał. Konie gryzły się, wydając gniewny kwik, ludzie bili je batami i doprowadzali krzykiem do spokoju. Kosam znalazłszy się w bramie poczuł, że panuje tu atmosfera podniecenia. Służba była uzbrojona. Siedzący pod murem ludzie grali w kości, pili wino, kłócili się i krzyczeli, jakby niepomni, że ich krzyki słyszane są w domu i mogą pobudzić ich panów do gniewu. W tłumie Kosam zauważył także służących księcia Rahotepa, Egipcjanina, który przybył razem z Elmadamem z Memfisu. Różnili się oni od Żydów rysami twarzy: mieli szerokie, krótkie policzki i grube nosy. Poza tym byli wygoleni. Trzymali się na uboczu i rozmawiali tylko ze sobą. Przy bramie Kosam spostrzegł kilku nędznie ubranych mężczyzn o bladych twarzach niewolników. Ci musieli pochodzić z najnędzniejszych zakątków dolnego miasta. Każdy z nich trzymał w rękę gruby kij.

W wielkiej izbie na dole było prawie ciemno, ale mimo to Kosam w czerwonym blasku wdzierającego się przez otwarte drzwi słońca zobaczył stos włócznie i tarcz leżących na podłodze. Kręciła się tutaj służba Elmadama i Eluzaja z mieczami zawieszonymi na szyjach. Dwóch małych rzemieślników, poganianych wciąż do pośpiechu przez stojącego nad nimi służącego, reperowało w mroku rozdarłe tarcze.

Kosam szedł dalej, coraz bardziej zdziwiony. W izbie Eluzaja paliły się jaskrawoczerwonym blaskiem dwie pochodnie. Na stole stały dzbany z winem i kubki oraz słodycze. Wokół stołu siedziało kilku bogato ubranych mężczyzn. Był tu stryj Jatanael, byli książęta judejscy: Safatiasz, Gedeliasz, Juchał oraz Fassur syn Melchiasza, a także Emmer kapłan i Jeriasz syn Selemiasza, jeden z dziesiętników straży miejskiej. Kosam zobaczył również ciemną twarz Rahotepa. Między gośćmi stał Elmadam. Zmienił się niewiele: w postawie i w rysach zachował dawny buńczuczno-młodzieńczy wygląd. Bujne włosy rozdzielały mu się nad czołem i spadały po obu stronach głowy. Brodę miał ciemną i gęstą. Ubrany był po egipsku w krótką sukienkę odsłaniającą nogi.

Mówił teraz tonem energicznym, jakby wydawał rozkazy. Spostrzegłszy syna skinął mu głową.

— Dobrze, że jesteś — rzekł. — Będę miał ci wiele do powiedzenia. A tymczasem siądź i czekaj. — Zwrócił się znowu do zebranych: — Więc ty, Eluzaju, sądzisz...

Gruby dworak skinął stanowczo głową.

— Jestem pewien. Musimy ich mieć po swojej stronie.

— Lecz pamiętaj, że Mataniasz obiecał im wyzwolenie.

— Głupstwo! Jemu nie ufają. To ty musisz im wyzwolenie obiecać.

— Ja?

— Naturalnie. Tylko szaleniec zgadza się mieć przeciwko sobie motłoch. Musisz być hojniejszy niż tamci. Potem, gdy już rok święty nadejdzie, a Mataniasz ze swymi nowymi doradcami naprawdę wyzwoli ludność, będzie za późno. Dziś ty możesz to zrobić...

Elmadam zmarszczył brwi. Podniósł na Eluzaja pytający wzrok.

— Chcesz, abym dokonał wyzwolenia?

Tamten zaśmiał się jowialnie:

— Elmadamie, jesteś dzielnym wodzem, ale nie pojmujesz wielu oczywistych spraw. Któż z nas może chcieć wyzwolenia ludzi z dolnego miasta? Przed dziesięciu laty Nabuchodonozor zabrał w niewolę całą naszą młodzież. Książęta i ludzie szlacheckiego rodu są nieliczni jak rodzynki w cieście skąpej gospodyni. Dawniej na człowieka z górnego miasta wypadało czterech, może pięciu z dolnego. Dziś...

— Eluzaj ma słuszość — wtrącił żywo Emmer. — Dziś ludzie z dolnego miasta są dwadzieścia razy liczniejsi niż my...

— Nie tłumaczcie mi tego! — Elmadam niecierpliwie przerwał obu. — Czasu mało. Tego motłochu, który chciał mojej śmierci, nienawidzę. Dla czego więc chcecie, bym mu dał wolność?

— Mylisz się — Eluzaj śmiał się coraz serdeczniej. — My chcemy, byś mu ją obiecał... Zawsze jest jeden, który obiecuje, i drugi, który nie zdąży obiecać... Lecz że szaleńcy jak Jeremiasz gotowi są spełniać szalone obietnice, musisz się śpieszyć...

— Dobrze! — Elmadam skinął głową, aż mu włosy spadły na twarz. Odgarnął je do tyłu. — Nie kończ. Rozumiem. Co radzisz czynić?

— Zostaw całą rzecz mnie... — Eluzaj spokojnie sięgnął po kubek, nie śpiesząc się nalał doń wina, wypił kilka łyków oblizując łakomie wargi. —

Każdy z moich niewolników dostanie w rękę parę syklów i kij. Będzie biegł od domu do domu i budził śpiących krzykiem: „Wstawajcie! Jeremiasz, Azareel, Sofoniasz chcą wszystkich ludzi sprzedać Babilończykom!” Kto pójdzie z nim krzyczeć, dostanie miedziaka; kto pójsć nie zechce — oberwie kijem. Nie bój się: płacić będę oszczędnie, ale łoś szcrodrze...

— I to wystarczy?

— Nie. Inni znów ludzie wyjdą na miasto z syklami i z kijem. Ci będą krzyczeć: „Ksiąę Elmadam nas wybawi! Ksiąę Elmadam ogłosi święty rok!” Upewniam cię, że do rana całe miasto będzie wołać to samo. Wtedy tych, co zaczęli krzyczeć, trzeba będzie sprzedać Fenicjanom... W zamęcie nikt tego nie spostrzeże.

Powiedziawszy to, Eluzaj parsknął śmiechem. Jeszcze raz popił wina rozkoszując się każdym łykiem. Skinął na służącego stojącego obok, a ten pomógł mu powstać. Podpierając się laską, wolno i majestatycznie podszedł do Elmadama.

— Więc zgadzasz się? — zapytał.

— Tak! — odpowiedział tamten. — Masz rację. Pozostawiam ci tę sprawę. Zaczynaj...

— Zaraz zacznę — Eluzaj uśmiechał się ciągle na poły dobrodusznie, na poły chytrze. — Poświęcam jednak sprawie wielu dobrych niewolników i pieniądze... Nie zechcesz mnie chyba skrzywdzić... Obiecałeś mi nadzór nad podatkami...

— Obiecałem...

— No to dobrze. Wszyscy słyszeli. — Eluzaj rozejrzał się z triumfującą miną. — Idę! — Wciąż uśmiechając się, tym samym majestatycznie wolnym krokiem opuścił salę.

Kosam słuchając tego wszystkiego coraz szerzej otwierał oczy. Wydawało mu się, że śni. Te przygotowania, zbrojni ludzie na dziedzińcu, zuchwale szczera rozmowa upewniły go, że z zapadającym wieczorem miały się w mieście dokonać rzeczy dziwne. Usłyszane imię ojca Tamar sprawiło, że poczył nim wstrząsać dreszcz. Ledwie hamując niecierpliwość, czekał na wyjaśnienie ze strony ojca. Ale Elmadam wciąż był zajęty rozmową ze swymi gośćmi.

— Ty, Jeriaszu — zwrócił się teraz do młodego dziesiętnika — weźmiesz

swoich ludzi i zaraz, jak tylko zmierzch zapadnie, pojedziesz do Anatot. Wiesz, co masz robić?

— Wiem! — wykrzyknął gwałtownie Jeriasz, a na jego młodej twarzy ukazał się wyraz dzikiego okrucieństwa. Zamglone oczy błysnęły. — Bądź spokojny, Elmadamie. Jeremiasz zabił mi dziadka...

— Tak. Pamiętam, że Ananiasz był ojcem twego ojca...

— Nie będzie już jutro fałszywie wieszczyl! — młody żołnierz gniewnie uderzył się dłonią w pierś, aż miecz, który miał zawieszony na szyi, zabrzączał, zaś rozwichrzone włosy obsunęły mu się na twarz. Drżącą z podniecenia ręką sięgnął po dzban wina. Przytknął go do ust. Pił chciwie, aż czerwona struga popłynęła mu po brodzie. Dźwignął się ze stołka. Zataczając się podszedł do Elmadama. — Idę już! — czknął.

— Idź. Nie zdradź się tylko. Emmerze! — Elmadam zwrócił się z kolei do kapłana. — Czas działać.

— Czas — odpowiedział kapłan powstając. — To, co mnie powierzyłeś, spełnię dokładnie. Możesz być tego pewien. Ale ty — chciwie zajrzał w oczy Elmadama — nie zapomnisz, sędzę, o swojej obietnicy...

— Nie zapomnę. Będziesz arcykapłanem.

Zebrani jeden po drugim wstawali od stołu. Elmadam wydawał im ostatnie rozkazy, oni zaś wychodzili przypominając mu przed wyjściem jego przyrzeczenia. Kosam niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, nie mogąc doczekać się chwili, w której będzie mógł mówić z ojcem. Podszedłszy do okna, uchylił zasłony. Słońce zapadło już za mury domów. Szarzało. Część ludzi opuściła dziedziniec, inni rozniecali ogniska. Coraz groźniej pobrzękiwała broń. Ciężka brama chrzęściła, gdy ją otwierano przed odchodzącymi.

Z izby wyszli wszyscy poza Rahotepem, z którym Elmadam rozmawiał w niezrozumiałym dla chłopca języku. Egipcjanin stał wysoki, ciemnoskóry. Skinieniem głowy przytakiwał słowom Elmadama. Na jego dumnej twarzy rysowała się uwaga. Ale Kosam doznał niemiłego uczucia, że za nią kryje się zimna pogarda dla wszystkiego i wszystkich.

Wreszcie skończyli rozmawiać. Skinęli sobie głowami. Rahotep wychodząc wziął długi łuk, który stał przy jego stołku. W izbie pozostali ojciec i syn. Elmadam, który poprzednio nie pił, siadł teraz do stołu i nalał sobie wina. Musiał być jednocześnie podniecony i zmęczony. Można to było po-

znać po jego rysach, które nagle zwiotczały, jakby uwolnione od wewnętrznego napięcia.

— Ojciec — zawołał Kosam, prawie wyskakując ze swego kąta. Szybkim krokiem podszedł do stołu. Gwałtownie podjął: — Ojciec, co tu się dzieje? Nic nie rozumiem. Posłałeś Sebaima po mnie... Co to jest? Dlaczego ludzie mają wołać przeciwko Jeremiaszowi i Azareelowi?

Elmadam gestem dłoni pohamował gwałtowność syna. Wymijającym ruchem podsunął chłopcu kosz z figami.

— Jeremiasz i Azareel to zdrajcy — powiedział nie patrząc na Kosama. — Jedź i słuchaj: Judea musi być wreszcie wolna...

— Judea musi być wolna... — odruchowo i gorąco powtórzył Kosam.

— Więc widzisz — Elmadam rozjaśnił twarz, podniósł głowę i objął syna ramieniem. — Pij! — podsunął mu kubek z winem. — Król Mataniasz ulega podszeptom zdrajców. Jeremiasz chodził do Nabuchodonozora. Wiadomo, po co... Ja — mocno uderzył się w obnażoną zwyczajem egipskim pierś — po to tu przybyłem, by ratować królestwo...

— Chcesz pozbawić tronu Mataniasza? — zawołał zdumiony Kosam.

Elmadam zrobił lekceważący ruch ręką.

— Jeżeli będzie trzeba... Mówiłem ci, że Mataniasz ulega zdrajcom. Sam jest zdrajcą. I złym królem...

— Lecz któż będzie królem judejskim? — zapytał Kosam.

— A ja? — Elmadam spojrział w pełną zdumienia i podziwu twarz syna. — A ja? Dlaczego nie miałbym być królem? Gwiazdy przepowiedziały, że nim będę. Jesteśmy także rodem Dawida, pamiętaj o tym. Mój czas musiał wreszcie nadejść. Dziś mogę zostać królem. Faraon nie będzie się sprzeciwiał, jeszcze mi pomoże. Rahotep przybył tutaj z woli Hofry.

Kosam wolno osunął się na stołek. Czuł zawrót w głowie. Ten nieznany ojciec odkrył przed nim nowe, zdumiewające horyzonty. Już prawie był gotów wybuchnąć słowami zachwytu. Coś go jednak powstrzymało. Niezdecydowanym ruchem obracał w rękę kubek z winem.

— Ja wiem — powiedział niepewnie — że Judeę trzeba wybawić z niewoli Nabuchodonozora... Lecz...

Elmadam wybuchnął hałaśliwym śmiechem. Mocno uderzył syna w ramię.

— Jesteś dzieckiem! — zawołał. — Wielkie rzeczy wymagają wielkich czynów. Kto chce ocalić całe królestwo, musi mieć odwagę usunięcia ze swej drogi kilku ludzi... — gwałtownie wychylił kubek wina. Zatarł ręce. Wstał od stołu, sięgnął po swój miecz i hełm. Ale chłopiec nie ruszył się z miejsca. Siedział jak przykuty, nie spuszczać z twarzy ojca spojrzenia swych szeroko rozwartych oczu. Elmadam zapytał: — Czy chcesz jeszcze czego? — Uprzedzając odpowiedź, rzucił: — No, pij wino. Zaraz idziemy.

— Lecz Azareel nie jest zdrajcą — bąknął chłopiec.

— Jest! — Elmadam, który właśnie zawieszał na szyi miecz, powiedział to tonem nie znoszącym oporu.

Kosam stanowczo potrząsnął głową.

— Na pewno nie jest, ojczu.

Elmadam niecierpliwie machnął ręką, zajęty zbieraniem swego rynsztunku. Nagle zatrzymał się. Znowu podszedł do stołu. — Lecz dlaczego go bronisz? — zapytał. — Przecież chyba nie jesteś mu nic winien?

— Nie... — Kosam niepewnie rozłożył ręce. Zacerwienił się. Ale zaraz przemógł onieśmienie i zdecydowanym ruchem podniósł głowę w górę: — Ojczu — powiedział — kocham Tamar i chcę, by została moją żoną. Tamar córkę Azareela...

Elmadam przerwał mu uderzeniem ręki w stół.

— O to ci chodzi? To głupstwo! — zawołał. — Wiem, mówił mi Sebaim, że biegasz za tą dziewczyną. Nie broniłem ci tego. Dziewczyny są po to, by za nimi biegać. Ale nie ożenisz się z córką zdrajcy. Z córką zwykłego Judejczyka. Pomyślę o żonie dla ciebie.

— Ojczu! Ja... Ja kocham Tamar!

Znowu mu przerwał:

— Nic mi nie mów! Głupi jesteś, Kosamie. Dziś w nocy zostanę królem, a ty jesteś moim synem. Jeżeli potrafisz być dzielny, uczynię cię swoim następcą.

— Lecz ja kocham Tamar! — wykrzyknął.

— A kochaj ją sobie! Dziś decydują się sprawy ważniejsze.

— Jej ojciec nie jest zdrajcą.

— Mówię ci, że jest!

— Nie!

Elmadam podszedł do stołu. Wziął z koszyka dużą, dojrzałą figę.

— Więc może nie jest... — powiedział. Obracał figę w palcach. — Może nie jest.

Chłopiec zatrzymał się, zaskoczony tą zmianą. Niepewnie dotknął dłonią czoła. Gdzieś daleko zahuczał długi grzmot. Poryw wiatru zatrzęsł zasłoną okna. Kosam wyczekująco patrzył na ojca. Ale Elmadam nie przestawał bawić się figą. Teraz dopiero, kiedy tak z głową pochyloną, z włosami opadającymi na twarz stał przy stole, widać było, że nie jest już młodym człowiekiem, ale mężczyzną w sile wieku. Pasma siwych włosów splatały się z czarnymi. Oczy o długich, lekko wygiętych rzęsach były podkrążone. Tylko w wykroju ust i w zarysie brody malował się w dalszym ciągu chłopięcy prawie wyraz.

Syn patrzył wyczekująco na ojca, ale ten pozostawał wciąż dla niego nieodgadniętą tajemnicą.

— Może nie jest... — Elmadam powtórzył to raz jeszcze. Podniósł głowę. — Lecz cóż z tego? — zapytał.

Teraz to Kosam spuścił wzrok. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Wydało mu się, że przeciwstawia sprawom naprawdę najważniejszym swoje śmiesznie małe kłopoty. Jeżeli ojciec ma wyzwolić Judeę, to przecież — myślał — i Tamar, i Azareel to zrozumieją. Niewątpliwie zrozumieją. Kosam nie wątpił, że to, co dla niego stawało się oczywiste, musiało być także oczywiste dla drugih. Żył jeszcze przekonaniem o jednej tylko oczywistości. Nie podnosząc oczu znad kubka, w którym chwiała się ciemna powierzchnia wina, szepnął cicho:

— Chodzi mi o jego życie... Tylko to...

W tej chwili rozległy się szybkie kroki. Wszedł Sebaim uzbrojony, z tarczą na ramieniu.

— Elmadamie — powiedział. — Zmierzch zapadł. Ludzie gotowi...

— Dobrze — Elmadam odetchnął mocniej, jakby z uczuciem ulgi. Stანowczo skinął głową. — Już idziemy. — W oczach ojca Kosam spostrzegł ostry błysk podniecenia i namiętności. Teraz był to człowiek nie wahający się przed niczym, ogarnięty nieugiętą wolą walki. Sięgnął po miecz i kilkakrotnie wyciągnął go z pochwy, chowając z powrotem: próbował, czy nie

będzie stawiać później oporu. Zwrócił się do Kosama, a jego głos zabrzmiał jak przedtem rozkazującą nutą:

— Bierz miecz, idziemy!

Syn odruchowo wykonał rozkaz. Znowu zagrzmiało: rzekłbyś — ciężko naładowany wóz toczył się powoli po kamienistej drodze. Świeży powiew nocy wdarłszy się do izby przez otwarte drzwi przygasił pochodnie. Gwar szycujących się do uderzenia ludzi zabrzmiał głośniejszy i groźniejszy. Syn i ojciec, obaj uzbrojeni, stali już gotowi naprzeciw siebie. Przetykając wraz z nieśmiałością swój zapach, Kosam bąknął:

— Bo tylko o to mi chodzi... O jego życie...

Elmadam szedł już ku drzwiom. Niechętnie rzucił przez ramię synowi:

— Nic mu nie grozi. To sprawa bez znaczenia. Chodzi o rzeczy wielkie. Chyba rozumiesz?

X

Mataniaż otworzywszy oczy przekonał się, że spał bardzo krótko. Noc zaczynała się dopiero. Daleka burza, która, gdy zasypiał, krążyła na dalekim horyzoncie, teraz zawisała nad miastem czarną groźną chmurą i niepokojącą atmosferą podniecenia. Było ciemno. Spoza otwartego okna dochodził raz po raz zrywający się szum wiatru i widać było zapalające się suche błyskawice. Obok niego nałożnica Melcha, tęga dziewczyna moabicka, spała jak zabita, ukrywając twarz w zgięciu ręki. Mataniaż słyszał jej spokojny, nieco pochrapujący oddech. Chciał ją naśladować. Ale sen nie nadchodził. Próżno król przewracał się z boku na bok, próżno odpędzał od siebie rozpraszające senność myśli. Były one dokuczliwe i natrętne. Mataniaż miał z nimi zawsze wiele kłopotu. Powziąwszy jakieś postanowienie, nie mógł pozbyć się uczucia, że postąpił źle. Niepewność i niezdecydowanie dręczyły go tym więcej, że każde wahanie przeradzało się zaraz w lęk. Los ojca, braci i bratanka stał mu wciąż przed oczyma. Każdy z nich postępował inaczej, a przecież każdego spotkał koniec żaloszny. Nie było żadnej pewności. Stał wobec kłopotów, których nie można było ominąć, które trzeba było rozwiązywać na swój sposób, na sposób nie będący nigdy pewnym i całkowicie bezpiecznym. Przewracając się na rozgrzanej pościeli, na której nie mógł znaleźć

chłodniejszego miejsca, myślał, że nie da się postępować tak, aby wszyscy byli zadowoleni. Zawsze ktoś go będzie nienawidził, zawsze ktoś będzie przeciwko niemu spiskował. Ulegając Jeremiaszowi, narażał się Elmadamowi i bogaczom z górnego miasta. Ale gdyby wziął ich stronę, miałby przeciwko sobie motłoch z dzielnicy ubogich. Gdyby stał się opiekunem świątyni, uczyniłby swymi wrogami wyznawców stu kultów pleniących się w Świętym Mieście. Gdyby wreszcie poparł kulty, naraziłby się kapłanom...

Próżno wciskał twarz w posłanie — myśli uczepliły się go jak rozdrażnione pszczoły, nie można ich było strącić. Nie widząc innego sposobu wyciągnął rękę do Melchy. Ale dziewczyna spała tak mocno, że nie poruszyła się na to dotknięcie. Dał jej spokój. Podłożywszy ręce pod głowę i patrząc na ciemny pułap z tynowego drzewa, po którym niby strzały po tarczy ślizgał się blask zapalających się błyskawic, usiłował przypomnieć sobie dawne swoje nalożnice. Miał ich wiele. Ale wspomnienia rozproszyły się szybko i Mataniasz znalazł się znowu w kręgu czyhających nań ze wszystkich stron niebezpieczeństw. Wił się niby ryba zaplątana w sieci. Na plecach i pod pachami czuł lepki i chłodny pot. Odrzucił nakrycie i usiadł. W ciszy nocnej usłyszał wyraźnie, jak bije mu serce.

Po co być królem, skoro to jest taka męka? — przebiegło mu przez głowę. Postanowił sobie, że odda tron pierwszemu, kto tego zażąda. Synom, obcym — wszystko jedno komu! Choćby Elmadamowi. Lecz w tej chwili ogarnął go nowy niepokój: „Przecież — uświadomił sobie — Nabuchodonozor, uczyniwszy go królem, nie zgodzi się na to, by tym królem być przestał...” Tak, to Nabuchodonozor kazał mu być królem! W niemych wybuchu rozpaczy wczepił palce we włosy. Były one poskręcane i również wilgotne od potu. W końcu sięgnął do małego gongu i uderzył weń.

Dość długo czekał. Rozległy się wreszcie wolne i ciężkie kroki, ktoś odgarnął zasłonę. Do sypialni wszedł trzymając w ręku lampkę oliwną Abdemelech, Nubijczyk, przełożony dworaków i trzebieńców.

— A, to ty... — Mataniasz skinął głową Murzynowi, który stał przed nim mrugając oczyma i tłumiąc ziewanie. — Słuchaj, Abdemelechu, nie mogę spać, czuję się chory... Przynies mi coś do picia.

Starszy trzebieńców wyszedł bez słowa, a po chwili wrócił niosąc dzbanek wody z miodem.

— Czy chcesz jeszcze czego, Mataniaszu? — zapytał sennym głosem.

Król skinął głową znad dzbanka.

— Zostań przy mnie... Siądź — wskazał mu miejsce w nogach łoża. — Nie mogę spać. Powiedz mi co... Na dworze burza?

— Burza zrywa się, Mataniaszu.

Zapadło milczenie. Mataniasz był niespokojny, a nie umiał swych lęków ubrać w słowa; Abdemelech podrzemywał siedząc. Zza okna doszedł znowu ostry szum wiatru. Mataniasz wstrząsnął się.

— Niespokojny jestem... — mruknął.

Abdemelech pytająco podniósł na niego leniwy, rozespany wzrok.

— Lękasz się? — zapytał. — Czego się lękasz?

Ale Mataniasz nie odpowiedział. Znowu pił dużymi łykami, patrząc na cienie chwiejące się na ścianach. Jego wzrok ślizgał się z przedmiotu na przedmiot. Nagle król zamienił się cały w słuch. Podniósł palec w górę.

— Czy słyszysz? — zapytał.

Ale Abdemelech, którego głowa kiwała się coraz ocieężalej, nie słyszał nic. Siłą prawie otworzył oczy, wytrzeszczając je aż do granic możliwości.

— Co? — ziewnął. — Co? — powtórzył sennie.

— Jakiś krzyk.

Murzyn potrząsnął głową na znak, że nic nie słyszy. Ale Mataniasz niespokojnie zerwał się z łoża, podbiegł do okna. Powietrze pełne było świstów wiatru szarpiącego się między murami pałacu. Wszystko spowijała ciemność, którą tylko na krótką chwilę rozdzierał blask błyskawic. Z palcami wczepionymi w parapet nasłuchiwał. Zdawało mu się, że na dole słyszy gwar wielu męskich głosów.

Odskoczył od okna z twarzą nagle zszarzałą. Jego wyobraźnia pracowała: to musieli być mordercy. Nadchodzili, aby go zabić, zamordować jego synów, zagrabić tron. Począł drżeć, szczękały mu zęby. Cień jego nagiego ciała, spalego i pokrytego rudawymi włosami, trząsał się na ścianie. Podbiegł do Abdemelecha, chwytając go gwałtownie obu dłońmi za szatę.

— Mordercy... — chrapał. — Przyszli mnie zabić... O ja nieszczęśliwy! Dlaczego mnie wszyscy nienawidzą?

Głos załamywał mu się, przechodząc w wysoki ton szlochu. Chwycił miecz, który leżał obok jego posłania, ale zaraz rzucił go z niechęcią na ziemię: zdawał sobie sprawę, że nie potrafi nim walczyć. Jaskrawa błyskawica zapaliła się tym razem gdzieś blisko, a jej siny blask nappełnił izbę. Grom roz-

począł się niskim, groźnym pomrukiem, podobnym warczeniu zamkniętych gdzieś w lochu dzikich zwierząt, potem rósł, nabierał klarowności i mocy, aż wreszcie wystrzelił ogłuszającym hukiem niby pękająca skała. Płomień lampki zamigotał gwałtownie. Nastąpiła cisza, a w tej ciszy usłyszeli obaj, tym razem zupełnie wyraźnie, krzyki i wrzawę. Teraz i Abdemelech zerwał się na nogi. Sen odszedł go od razu. Duże białka błysnęły niespokojnie na jego czarnej twarzy, gruba warga opadła. Król i sługa stali naprzeciwko siebie, obaj czujnie nasłuchując. W izbie była cisza, przerywana tylko posapaniem wciąż śpiącej w najlepsze Melchy.

— Nie wiem, co to jest... — zaczął Murzyn.

Mataniasz uciszył go szybkim gestem dłoni. Ślepa trwoga, która miotała nim przed chwilą, nagle ustąpiła miejsca nerwowej stanowczości. Mataniasz bał się bardzo poty, póki to, czego się lękał, było wytworem jego wyobraźni. Ale gdy pojawiło się prawdziwe niebezpieczeństwo, w rozpaczliwej determinacji gotów był na wszystko. Jego myśl, poganiana przez trwogę, pracowała szybko. Odtrącił płaczący się pod nogami miecz. Nasłuchiwał. Wrzawa rosła. Wszyscy w pałacu musieli się już obudzić. Nocne najście wywołało panikę. Na korytarzach słychać było szybkie kroki biegnących ludzi. Jakieś kobiety piszczały. Mataniasz chwycił leżący obok posłania płaszcz i owinał się nim. Wziął za ramiona przerażonego Abdemelecha.

— Idź stąd! — syknął. Murzyn jednak nie ruszył się. Stał z otwartymi, dygoczącymi ustami. Popchnął go ku drzwiom. — Idź! Jak cię tu znajdą, zabiją cię! — zagroził. Abdemelech trząśnięty, ale tkwił w miejscu. Jego miękkie ciało trzebieńca obwisło bezsilnie, gotowe rozlać się niby płama na podłodze. Nie był zdolny postąpić ani kroku. Oczy wyszły mu na wierzch, z ust wydobywał się świszczący oddech. Obu dłońmi chwycił króla za rękę. Chciał coś powiedzieć, ale jego wargi poruszały się tylko bezgłośnie. Wzrokiem błagał o ratunek. Mataniasz wyrwał rękę z jego dłoni, stanowczo pchał go ku wyjściu, pomagając sobie kolanem. Murzyn zaparł się w drzwiach, wpił w mur swe szare palce, które zżółkły przy paznokciach od wysiłku. Wtedy Mataniasz uderzył weń całym ciałem. Abdemelech wyleciał na korytarz, powiewając ramionami niby wielka czarna ropucha rzucona w powietrze przez okrutnego chłopca. Król cicho, na palcach wrócił z powrotem do swej sypialni. Pałac był pełen zamętu i zgiełku. Kobiety wrzeszczały coraz przeraźliwiej, jacyś ludzie tłukli drągami w drzwi na dole, jakby je chcieli wyłamać. Mataniasz gorączkowo rozglądał się po swej sypialni. Śpiesznie rozważał zalety i wady każdej kryjówki. Podszedł do łoża. Ta krowa ciągle

spała: odwróciła się tylko twarzą do góry, a po jej grubych rozchyłonych wargach ślizgał się uśmiech. Wziął zasłonę i delikatnie przykrył kobietę. Dmuchięciem zgasił lampkę. W tej samej chwili pałac napenił się tupotem i wrzawą. Napastnicy musieli wdrzeć się do środka. Schody zadygotały od ich nóg. Do uszu Mataniasza doszedł szczepek broni i krótki odgłos walki. Ponad zamęt wybił się przeraźliwy krzyk zabijanego człowieka. Wiele nóg zbliżało się do drzwi sypialni. Mataniasz odskoczył pod ścianę. Stały tam wielkie skrzynie z odzieżą. Podniósł wieko jednej z nich. Zaledwie się jednak położył na miękkim stosie lnu i wełny, z twarzą przy szparze, uświadomił sobie, że ukrycie jest złe: każdy przecież, kto zechce rabować pałac, przetrząsać będzie skrzynie. Już widział napastników podbiegających do ściany, odnajdujących go między ubraniami... Dotychczasowe opanowanie opuściło go od razu. Ogarnął go znowu ślepy, dławiący gardło i rozdymający pęcherz lęk. Pierwszym pragnieniem było wyskoczyć ze skrzyni, szukać innego ukrycia. Ledwo zmusił się do pozostania na miejscu. Zaciśnął pięści do bólu. Wrzask napastników rozległ się tuż pod drzwiami. Ktoś mocnym szarpnięciem zerwał zasłonę. Czerwony blask pochodni zaświecił jaskrawo w prostokącie drzwi. I nagle na tle tego światła Mataniasz zobaczył sylwetkę człowieka w płaszczu, w hełmie, z mieczem w opuszczonej dłoni. Skurczył się w sobie, zdławił oddech w piersi: poznał Elmadama.

Przybyły zatrzymał się w drzwiach. Mataniasz widział ostre błyski ślizgające się po hełmie tamtego i zapalające się w szerokiej, krótkiej kłindze jego miecza. Słyszał, jak Elmadam zapytał kogoś, kto stał za nim, a kogo Mataniasz ze swej skrzyni nie widział:

— To jest jego sypialnia?

Widocznie odpowiedź była potakująca, bo Elmadam, lekko pochylony, ruszył w głąb izby. Światło padało przez drzwi smugą, tworząc niby ścieżkę prowadzącą do stojącego w głębi łoża. Nie doszedłszy do niego, znowu się zatrzymał. Stał teraz tak blisko skrzyni, w której leżał Mataniasz, że ten wyciągnąwszy rękę mógł go schwycić za krótką egipską spódniczkę lub równie krótki ciemny płaszcz. Półgłosem zawołał:

— Mataniaszu!

Czy to zawołanie, czy może ostry blask obudziły wreszcie Melchę. Biała, zaplątana w prześcieradła i całkiem nakryta postać podniosła się na łożu. W tej samej chwili Elmadam niby pantera skoczył naprzód, chwycił dzwigającą się za gardło, powalił znowu na łożo. Miecz błysnął w czerwonym

blasku bijącym z otwartych drzwi. Mataniasz poczuł okropne mdlenie i nagły skok żołądka. Doszło go chrapanie Melchy, i gwałtowne bicie jej nóg o posłanie. Przymknął oczy. Kiedy je otworzył, Elmadam stał o dwa kroki od łoża, patrząc na prawdziwy potop krwi wylewający się na prześcieradło. Słychać było, jak ciężka struga leje się na ziemię. Tęga dziewczucha krwawiła obficie niby zabita przed ołtarzem jałówka. Elmadam wolno cofał się ku wyjściu. Mataniasz śledził go ogarnięty grozą i nienawiścią. Mignęła błyskawica i w jej blasku mógł dobrze zobaczyć i zapamiętać sobie rysy tamtego człowieka zastygłe w wyrazie jakiegoś otumanienia. W progu Elmadam odwrócił się gwałtownie tyłem do sypialni. Krzyknął głośno do swoich na korytarzu. Pobiegł z nimi dalej: Mataniasz słyszał ich oddalające się kroki. Pochodnia, którą zatknęli w uchwyt, paliła się dalej, rzucając blask na białe skopane łoże z wielką czarną plamą pośrodku.

Krzyki przeniosły się w inną część pałacu. Ścisnęły. Mataniasz ostrożnie wylazł ze swej skrzyni. Nie mógł oprzeć się pokusie podejścia do łoża. Ciało Melchy nie widział. Spod prześcieradła wynurzała się tylko gruba, ozdobiona manelami i zakończona wielką stopą noga. Tam, gdzie kryły się biodra, brzuch i piersi kobiety, nakrycie skłęsło i nasiąkło krwią, która poczyniała już krzepnąć. Mataniasza ogarnęły mdłości. Oparłszy czoło o ścianę, wymiotował raz po raz.

Potem na palcach podszedł do drzwi. Gwar głosów spłynął już na dół, na dziedziniec. Mataniaszowi zdawało się, że słyszy powtarzane przez wiele głosów wołanie: „Niech żyje Elmadam! Niech żyje król Elmadam!” Zazgrzytał zębami. Teraz wiedział, że za nic nie odda tronu tamtemu. Pochodnia dopalała się; w jej przyćmionym przez dym blasku zobaczył leżącego na ziemi Abdemelecha. Był przekonany, że Murzyn został zabity. Kiedy jednak pochylił się nad leżącym, zobaczył, że ten przywarł tylko do ziemi i drży. Dotknął ramienia trzebieńca. Murzyn trząsał się jak galareta. Nie podnosząc głowy, zajęczał:

— Litości!

— Wstań, to ja... — szepnął Mataniasz.

Abdemelech podniósł głowę i w tej chwili, krzyknawszy przeraźliwie, ukrył ją znowu.

— Odejdź — zaskomlił — jesteś nieżywy... Boję się dzinów...

Mataniasz kopnął go gniewnie.

— Wstawaj, głupcze — syknął. Jeszcze raz kopnął Murzyna. — Wstawaj! Żyję!

Kopnięcia poskutkowały lepiej niż słowa. Abdemelech podniósł się.

— Żyjesz? Naprawdę? — wybuchnął histerycznym śmiechem. Począł klaskać w dłonie.

Ale Mataniasz kazał mu zamilknąć. Przykładając usta do ucha Nubijczyka powiedział mu kilka słów. Potem skradając się na palcach przeszli obaj do skrzydła pałacu, które łączyło się ze świątynią i z którego wiodło tajne przejście na wyższy dziedziniec Przybytku.

XI

Gdy ludzie Elmadama wdarli się do Sella, Kosam pozostał przy bramie. W głowie miał chaos. Widok pozabijanych strażników wstrząsnął nim do głębi. Suche błyski zapalały się nad miastem i gasły, nie przecinając nieba biczem błyskawicy, tylko nagle wytryskując ze szpar między chmurami. Gorący wiatr zrywał się nagle świszcząc i równie niespodziewanie ucichał. W błękitnozielonym świetle błyskawic widać było niezrozumiałe wyolbrzymiałe pnie palm, wymachujące gałęzmi niby mnóstwem bijących na ślepo ramion. Jasna ściana Przybytku wyblyskiwała z czarnego tła nocy nieoczekiwanym bogactwem szczegółów podkreślonych liniami cienia. Trzymane przez żołnierzy konie kręciły się niespokojnie, tupały, zbijały się w gęstą masę wierzącą lub kłapiąc zębami. Ludzie krzyczeli i kłęli.

Kosam miał w pamięci twarz ojca na chwilę przedtem, zanim dopadli bramy. Jeźdźcy zatrzymali się pod murem, czekając, aż nadciągnie reszta pieszych żołnierzy. Siwa klacz Kosama stała obok kasztana Elmadama. Oddech rycerza był spieszny i gwałtowny. Kosam na poły widział, na poły domyślał się niespokojnego ruchu ręki szarpiącej grzywę konia. Także Elmadam raz po raz podnosił dłoń i obcierał nią perlącą się od potu pierś. Kiedy błyskało, syn miał możliwość przez krótką chwilę widzieć twarz ojca. Była jak płomień migający na wietrze: zmieniała się z niepojętą szybkością. Przewijały się po niej uczucia niepewności, lęku, trwogi, to znów zuchwałego męstwa i ostatecznej determinacji. Elmadam zagryzł wargę, przyciskał uda

do grzbietu konia. Po raz nie wiadomo już który sięgał do miecza i próbował, czy łatwo wychodzi z pochwy.

Dla Kosama było to odkrycie nowego, nieznanego ojca. To nie był ten sam człowiek, który umiał porywać słowami: „wolna Judea...” Chłopakowi wydawało się, że podpatrzył go w jakiejś niewłaściwej sytuacji, niby Sem, Cham i Jafet, gdy ujrzeni Noego pijanym i obnażonym. Razem z gorącym wiatrem zapierającym oddech i nakazującym prędzej bić sercu, wcisnęło mu się w gardło uczucie wstydu.

Potem rzucili się ku bramie. W okrzyku strażników słychać było lęk. Kosam słyszał ciężkie uderzenia, głuchy jęk jednego i dziki wrzask drugiego żołnierza. Tłum splątał się. Ludzie biegli w ogród Sella, inni zsiadali z koni. Chłopak stracił ojca z oczu. Nie szukał go. Idąc przed siebie, potknął się o ciało strażnika; cofnął się gwałtownie. Zabity leżał na wznak. Z twarzy trupa zniknęły już ruchome cienie właściwe twarzom żyjących; wynurzała się z mroku zastygła i blada.

Wrócił do koni. Żołnierze, którzy pozostali przy bramie, rozmawiali ze sobą gniewnie. Nie ufali towarzyszom, że się z nimi sprawiedliwie podzielał zdobytymi w pałacu łupami. Któryś z nich ściągnął z nóg trupa sandały. Włożył je teraz sam. Bez zadowolenia, pomrukując, oglądał je na swoich nogach.

Kosam odnalazł swoją siwkę. Przepchnął się do niej, odebrał ramię z rąk żołnierza. Wskoczył na grzbiet. Ale klacz nie chciała odejść od innych koni. Bała się nocy i błyskawic. Zrobiwszy parę kroków, stawiała bokiem, zapierała się nogami, opuściwszy łeb podskakiwała w miejscu na sztywnych nogach. Dopiero gdy uderzył ją mocno końcem wodzy, poderwała się gwałtownie naprzód. Bił ją, póki czuł opór w jej ciele. Na ślepo pędziła w ciemność, chrzęszcząc kopytami na wykrotach i kamieniach. Nieokreślony niepokój, który był już przedtem w Kosamie, wyzwolił się teraz, podobnie jak wyzwala się strach w poczynającym uciekać człowieku. Nagle zrozumiał, że od chwili opuszczenia domu lęka się o Tamar. Pędził ciasnymi uliczkami. Klacz potykała się często. Chrapała z przerażenia. Trwało to zresztą krótko: za chwilę miał przed sobą dom Azareela.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, była wywalona brama. Poczł dreszcz na ciele. Zeskoczył z klaczy, przywiązał ją do słupa przy wejściu. Domostwo było ciche i ciemne. Trup jakiś leżał na progu. W sieni Kosam natknął się na dwa inne. Poczł go dławić lęk. Wyciągniętą ręką macał ściany. W głównej

izbie palenisko tliło się jeszcze tchnieniem czerwieni. Kiedy ukłękawszy dmuchnął, czerwień rozżarzyła się i pyknął nikły płomień. Udało mu się zapalić od niego cienki patyczek. Wstał i podniósł go w górę.

Izba przedstawiała obraz zniszczenia i ruiny. Rozwalone skrzynie ukazywały puste wnętrza. Na ziemi leżały poprzewracane stolki i ławy. Kilka trupów wałało się tu i tam. Pochylił się nad pierwszym z nich, lecz zaraz cofnął się pełen grozy: to był Gersom, brat Tamar. Kolejno szedł teraz od ciała do ciała. Leżeli tu wszyscy czterej synowie Azareela. On sam znajdował się w kącie izby. Koniec ułamanej włóczni tkwił mu w piersi. Miał otwarte oczy i usta rozdarte w ostatnim krzyku. Szpakowata broda, zwykle starannie ułożona, kudliła mu się na piersi.

Pałaca się szczapa drżała w palcach stojącego nad trupem Kosama. Kiedy tak stał, nagle tuż obok siebie postyszał czyjś głos. Odwrócił się tak szybko, że aż płomień przygasł i zrobiło się ciemno. Kiedy ogień rozpalił się znowu, zobaczył przed sobą czarne płonące oczy i wymierzoną w swą pierś włócznię.

— Tamar! — krzyknął. Chciał skoczyć naprzód, ale powstrzymał go groźny ruch ręki dziewczyny.

— Nie rusz się! — zawołała. — Nie rusz się! Bo zabiję! — głos jej brzmiał obco, nieprzyjemnie. Gotowa do uderzenia włócznia drżała w jej dłoni.

— To ja, Tamar... — zaczął.

Przerwała mu:

— Nie wiem, kto jesteś! Nie ruszaj się! Zabiłeś mego ojca!

Postąpiła krok naprzód. Był przekonany, że uderzy. Nie zasłonił się. Ale nagle ręka z włócznią zwiśla bezsilnie. Stężale rysy dziewczyny zmiękły, usta poczęły drżeć; broda zmarszczyła się po dziecinnemu. Włócznia ze stukotem upadła na ziemię. Tamar wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Ogarnął ją ramieniem, a ona tuliła się do niego wilgotnym od łez policzkiem. Łkała ciężko, boleśnie, całą piersią. Gładząc ją po ramieniu, szeptał cicho:

— Nie płacz, nie płacz...

Właściwie nie wiedział, co ma powiedzieć. Był sam zagubiony w niezrozumiałym dla siebie świecie wielkich namiętności. Wszystko było mu obce i wrogie. Wszystko — poza tą okropnie skrzywdzoną dziewczyną.

— Nie płacz — powtarzał ciągle.

Uspokajała się z wolna.

Nagle poczuł, że wysuwa się z jego objęć. Próbował przycisnąć ją mocniej, lecz ona tym gwałtowniej odpychała go. Patyk dopalał się w palcach Kosama. Schylił się, by znaleźć następną drzazgę. Kiedy wyprostował się znowu, spostrzegł, że dziewczyna stoi o parę kroków dalej. Postąpił ku niej, ona jednak cofnęła się stanowczo. W jej czarnych oczach palił się zimny płomień.

— Zostaw mnie... — powiedziała.

— Tamar...

Szorstko przerwała mu. Zacisnęła mocno usta, odgarnęła włosy, które rozsypały się jej na ramiona, przesunęła pas klamrą do przodu.

— Nic nie mów... Daj mi światło... — wzięła z jego ręki palącą się drzazgę. Podeszła do ciała ojca, pochyliła się. Chwilę milcząc patrzyła w twarz zabitego. Delikatnym ruchem usiłowała zamknąć mu oczy. Cofnęła gwałtownie rękę, jakby przerażona zimnem trupa. Odstąpiła krok do tyłu. Jej dłoń z palcami zagiętymi w kształt szponu podniosła się wolno ku włosom, wczepiła się w nie i zacisnęła mocno. Ale dziewczyna gniewnie otrząsnęła się ze słabości. Porywczo machnęła ręką z palącym się kijem.

— Twój ojciec — rzuciła namiętnie — kazał ich zabić! Czy całą Jerozolimę wymordował?

Ze zmrużonymi oczyma podeszła do Kosama. Wyczytał w jej spojrzeniu nienawiść. Podsunęła płomień tak blisko jego oczu, jakby chciała wepchnąć mu go w twarz.

— Obaj jesteście mordercami! — krzyknęła. Włosy spadły jej na oczy. Wygięła usta w zły grymas. — Nie myślcie jednak, że zostawię śmierć ojca bez zemsty!

Poderwała się, minęła Kosama i rzuciła się ku wyjściu. Poszedł za nią. Na dworze wiatr zgasił od razu drzazgę. Ale noc była widna. Błyskawice zapalały się jedna za drugą. Klacz szarpała się u słupa. Oczy Tamar skrzyły się lękiem samotności.

— To twój koń? — zapytała.

Nie zdążył odpowiedzieć, a już poczęła odplątywać węzeł. Klacz czując nieznaną rękę szarpnęła się i stanęła dęba. Ale Tamar wnet ją uspokoiła.

Zręcznie i śmiało wskoczyła na jej grzbiet. Koń przysiadł na zadzie, gotów do ślepego galopu. Kręcił się, tupał kopytami.

— Gdzie jedziesz, Tamar?... — zapytał bezradnie.

Zaśmiała się dziko i okrutnie. Jej bose nogi rysowały się na białej sierści klaczy niby zacieki wody. Silną ręką zmusiła wierzchowca do posłuchu. Obróciła go ku bramie.

— Tamar... — zawołał raz jeszcze. Miał uczucie, że za tą bramą, która majaczyła przed nim, jest próg świata spraw niepowracalnych. Jeśli Tamar ten próg przekroczy, nie zobaczy jej już nigdy. Mimo to o nic już nie prosił, o nic nie pytał. Należał do pokolenia, które rodzi się z nakazem wyrzeczeń.

Zdjął z szyi miecz w pochwie, wyciągnął go w stronę dziewczyny.

— Weź to ze sobą... — powiedział. — Może ci być potrzebny...

Mocniej przytrzymała konia, zdając się namyślać. Potem gwałtownie wyrwała chłopcu miecz z ręki i przyciskając broń do piersi pozwoliła klaczy ruszyć z miejsca galopem. Wyrwane kopytami grudki ziemi uderzyły w twarz Kosama. Biały kształt konia zniknął za bramą. Wąskie uliczki powtórzyły ostry tupot kopyt. Potem wszystko ucichło.

Kosam opuścił dwór Azareela. Błądnie szedł ciemnymi ulicami, nie myśląc nawet, gdzie idzie. Właściwie nie myślał o niczym. Potykał się, jakby był pijany. Wreszcie usiadł na jakimś kamieniu. Błyskawice rozdzierają niebo kolejno po trzy, po cztery. Ale nie było słyhać grzmotu. Ani jedna kropla deszczu nie spadła, by rozproszyć dławiacą — niby rozżarzoną popiołem — atmosferę.

Zamknął oczy. Być może, spał czas jakiś. Obudził go wrzask i bijące prosto w twarz światło pochodni. Dźwignął się. Otaczał go tłum obdartusów ziejących wypitym winem, czosnkiem i cebulą. Jeden z tych ludzi miał na obnażonej włochatej piersi złoty łańcuch, inny okrywał owrzodzone ciało cennym płaszczem z bisioru. Brutalnie szarpnięto chłopca za ramię.

— Hej, ty! — ktoś krzyknął. — Wołaj: Niech żyje król Elmadam!

Niedowierzająco zamrugnął oczyma. Przesunął dłonią po czole.

— Słyszałeś?! — ryknął drugi głos. — Wołaj na cześć króla Elmadama!

— Ja... nie... — zaczął.

Uderzenie kija było tak mocne, że Kosam padł na ziemię. Ale od razu zerwał się na nogi, skoczył na jednego z napastników, chwycił go za gardło,

wydarł mu kij. Pozostali pośpieszyli tamtemu z pomocą. Walili chłopca po plecach, szarpali za ubranie, kopali. Próżno walczył z przewagą napastników. W końcu musiał ulec: padł zbity i okrwawiony. Banda opluwszy go poszła dalej, wznosząc okrzyki.

Czas jakiś leżał patrząc w czarne, błyskające szczelinami niebo. Burza w końcu odeszła zostawiając parzący, suchy wiatr. Niebo zaczęło szarzeć. Wtedy dźwignął się na nogi. Ciężko powlókł się ku najbliższej bramie.

XII

Ranek był bardzo wczesny, zaledwie szarzało, gdy Elmadam opuściwszy Sella udał się w towarzystwie dwóch uzbrojonych ludzi do świątyni. Przy bramie czekał na niego chodząc niecierpliwie Emmer w płaszczu z nasuniętym na oczy kapturem. Taki sam płaszcz miał na ramionach Elmadam. Żołnierze pozostali przy bramie. Do świątyni poszedł tylko książę z kapłanem. Emmer mijając wyższy podwórzec rozglądał się czujnie na wszystkie strony, rękoma wykonywał gwałtowne gesty. Ale nie było tu jeszcze nikogo. Kilku zamiatających dziedziniec służebników świątyni nie zwróciło uwagi na idących; zresztą zamiast zamiatać rozprawiali żywo na temat nocnych wydarzeń. Elmadam zwolnił kroku, pragnąc usłyszeć, co mówią, ale Emmer pociągnął go dalej.

Z sieni skręcili w boczny krużganek — liskę — obiegający świątynię. Ale nie szli nim długo. Za najbliższym załosem Emmer stanął i obejrzawszy się jeszcze raz, czy nikogo nie ma w pobliżu, zastukał trzy razy wolno i trzy razy prędko w ścianę. Duża kamienna płyta poruszyła się niespodziewanie lekko. Odsłoniła otwór, w który prędko weszli. Posuwali się jeden za drugim w zupełnej ciemności.

Głos jakiś zapytał ich groźnie, kim są. Wymienili swoje imiona. Wtedy nagle z cichym pyknięciem zapalił się płomień w miedzianym kotle. W jego pełgającym przy ziemi blasku zobaczyli, że stoją w ciasnej niszy otoczeni przez kilku uzbrojonych ludzi. Jeden ze strażników zapytał surowo:

— Znacie hasło?

Emmer skinął głową. Powiedział prędko, zająkując się z wrażenia:

— Tak. Gwiazda Psa świeci w miesiącu Paopi.

— Dobrze — burknął tamten. Dał im znak, by szli za nim dalej korytarzem oświetlonym palącymi się co parę kroków oliwnymi lampkami. Na końcu korytarza były drzwi. Strażnik otworzył je cicho i sam przycisnąwszy się do ściany, wpuścił przybyłych.

Znaleźli się w niedużej salce pełnej woni kadzidlanego dymu. Ściany pomieszczenia pokryte były malowidłami przedstawiającymi błękitną wodę, sterczące z niej kępy zielonych traw i białozółtych lotosów. Z wody wynurzały się długie jaszczurkowate cielska krokodyli egipskich lub opastych hipopotamów, nad nią latały tłuste ptaki o workowatych dziobach. Na tym tle występowały wymalowane jaskrawym brązem i czerwienią postacie bogów z głowami krów, kondorów, lwów i szakali. Kilku ludzi w cienkich szatach odprawiało modły; poruszając kadzielnicami, śpiewali:

O cześć tobie, który zwiesz się Ra, gdy wschodzisz, i Temu, gdy zachodzisz.

Tyś stworzył ziemię, tyś uczynił człowieka, tyś wyłonił otchłań wodną i niebo, tyś nadał kształt Hapiemu...

Witaj ty, któryś sam sobie nadał życie...

Witaj, rządczo nieskończoności...

Człowiek wielbi cię w imieniu twoim i przysięga na ciebie, boś ty jest jego panem...

Tyś ręką własną ukształtował ziemię z jej wodami, roślinnością, bydłem, ptakami, gadami, zwierzyną dziką...

Pustynia niesie haracz synowi Nut...

Chwała wielkiemu Ra, którego ocaliła siostra zaklęciem ust swoich!

Chwała Izydzie, czarodziejce i mścicielce brata...

Ponad kłębam dymu ukazywała się postać Izydy w koronie z krowich rogów na głowie, z Horusem uczeptionym piersi. Spokojna, zamarła zda się twarz bogini nie pulsowała najmniejszym nawet śladem życia. Elmadam i Emmer stali cierpliwie pod ścianą, oczekując, aż kapłani ukończą swe modły. W pewnej chwili Emmer trącił w ramię syna Hera i wzrokiem wskazał mu siedzącego przed samą figurą bogini księcia Rahotepa. Egipcjanin miał ręce złożone na piersiach, a oczy zamknięte. Twarz jego była nieruchoma, jakby wykuta z kamienia. Po kanciastych policzkach i po łysej czaszce ślizgał się

blask. Elmadamowi mówiono, że Rahotep należy do jednego z najstarszych rodów egipskich, o wiele starszego niż libijski ród Psametyka. Na dworze nie lubiano go, a jednocześnie szanowano i ceniono.

Obrzędy skończyły się wreszcie; kapłani opuszczali świątynię przez małe drzwi znajdujące się za posągiem Izydy. Pozostał tylko najstarszy z nich, ubrany w czerwoną szatę. Kiedy odwrócił się, poznali w nim Jezoniasza syna Safana. Był on kapłanem z rodu Isbaaba. Nie wiedzieli, że służąc skromnie w Przybytku, był jednocześnie najstarszym wśród czcicieli bogów egipskich. Emmer ujrawszy go zmieszał się i stropił. Niechętnie cofnął się za Elmadama. Natomiast Jezoniasz swobodnie podszedł ku nim.

— Witaj, Elmadamie — powiedział. Gładząc brodę patrzył na stojących przed nim ludzi — nie tak, jak się patrzy na dwóch pierwszych dostojników w królestwie. W jego oczach ocienionych zwisającymi nisko brwiami błyskał płomyczek drwiny. — Witaj, Emmerze. — Lekko skinął głową przyszłemu arcykapłanowi. — Widzieliście piękny obrządek. Noc dzisiejsza jest nocą Izydy... Chociaż Elmadam widział pewnie piękniejsze obchody w świątyniach w Luksor lub w Bubastis... Czyż nie tak? — drwina dźwięczała ciągle w jego głosie. — Lecz podejdź, Elmadamie — zrobił zapraszający ruch ręką — książe Rahotep chciałby z tobą mówić... — Nie powiedział nic o Emmerze i kapłan doznał niemiłego ukłucia w piersi.

Błękitny dym ciągle jeszcze nappełniał świątynię. Pachołkowie gasili pochodnie i kaganki, sala zapadała w cień, co sprawiało, że wydawała się coraz większa. Jaskrawe barwy malowideł ściemniały, zda się — głębiej wsiątkły w mur. Wzrok Elmadama zatrzymał się na szczerzącym rzadkie zęby hipopotamie, potem na smukłej, wysokiej nodze boga z psią głową. Wiedział, że się nazywa Anubis i opiekuje się zmarłymi, których dusze waży w pałacu dwóch Maat. Kiedyś kapłani egipscy o wygolonych głowach tłumaczyli mu prawdy ich religii. Opowiadali historię Ozyrysa i Seta, Izydy i Horusa. Wyliczali niezliczonych bogów opiekujących się każdym miastem i każdą czynnością człowieka. Młody kapłan o małej twarzy, ściągniętej i pomarszczonej niby pysk małpy, przysiadłszy na piętach mówił mu: „Bóg jest kształtem... Człowiek, jeśli chce osiągnąć boskości, musi być także kształtem...” Elmadam niewiele z tego zrozumiał. Kiedyś prosił Rahotepa, by mu wytłumaczył coś ze spraw religii egipskiej. Ale Rahotep odpowiedział zimno, opryskliwie: „Cóż to ciebie obchodzi, Elmadamie? Masz przecież religię, którą wy, Żydzi, uważacie za najlepszą!”

Oderwał wzrok od ściany, postąpił naprzód. Rahotep szedł mu naprzeciw krokiem wolnym, pełnym rozważli i namysłu. Nie miał na głowie zawoju, więc widać było jego czaszkę całkowicie łysą, gładką i połyskującą niby kula. Zapadnięte skronie podkreślały niskość czoła w stosunku do dużej i mięsistej twarzy. Miał nos prosty, wyraźny w rysunku, bardzo długi odstęp od nosa do górnej wargi, zaś wargę dolną lekko wysuniętą do przodu i obwisłą. Dwie głębokie bruzdy spływały ku brodzie, nadając ustom kształt pogardliwej podkowy. Elmadam czuł się zawsze niewyraźnie wobec księcia. Wolał mieć do czynienia z samym Hofrą, który był bezpośredni i po żołniersku prosty. Żartował z powagi swoich ministrów i kapłanów. Rahotep nie śmiał się nigdy, najwyżej rechotał sucho i zgryźliwie. Przeważnie jednak milczał i myślał.

— Cóż, Elmadamie? — zapytał po egipsku, lekko kołysząc się na nogach. — Cóż? Jakżeż wypełniłeś swoje plany?

Elmadam chciał mu odpowiedzieć sucho i rzeczowo. Ale odruchowo wyrwały mu się z ust chełpliwe słowa:

— Doskonale! — Zdawało mu się, że w oczach stojącego obok Jezoniasza zobaczył błysk ironicznego zdziwienia. Ale już się nie zatrzymywał. Szybko wyliczał: — Mataniasz został zabity. Jeremiasz i Azareel także. W ciągu dnia zrobić porządek w świątyni...

Urwał. Chłodna pogarda biła z twarzy Rahotepa. Ciągłe niedbale kołysał się na nogach.

— Tak... — Egipcjanin odmierzał słowa, jakby każde z nich było uderzeniem. — Tak... Mówisz, że wszystko poszło doskonale... Że Azareel został zabity... I Jeremiasz... Nie, Elmadamie. Złe masz wiadomości. Jeremiasz uszedł. Ktoś go ostrzegł. Ktoś — z naciskiem skandował ostatnie słowa — kto jechał na białym koniu...

— Ktoś na białym koniu? — Elmadam powtórzył słowa Rahotepa. Zjadliwy wzrok księcia wprawiał go w zakłopotanie. — Przecież specjaliści pojechali, by uciszyć fałszywego wieszczka... — bąknął.

— Pojechali i nikogo nie znaleźli. Natomiast minął ich samotny jeździec na białym koniu — Rahotep znowu podkreślił słowo „biały” — cwałujący z ostrzeżeniem... Nie ma o czym mówić. Jeremiasz uszedł. A Mataniasz...

Elmadam znaczącym gestem uderzył się po głowicy swego miecza. Czuł jeszcze pod palcami drgające ciało, słyszał chłopot spływającej na posadzkę

krwi. Tę sprawę uważał za ostatecznie załatwioną. Niepokoiły go tylko słowa Rahotepa o tym, kto ostrzegł Jeremiasza. Wymijająco mruknął:

— Mataniasz nie żyje...

Rahotep dał znak ręką Jezoniaszowi, ten zaś zbliżył się do małych drzwi za ołtarzem i kogoś przez nie przywołał. Do sali wszedł Mataniasz. Elmadam wydał okrzyk grozy, który natychmiast przemienił się w syk wściekłości. Nie panując nad sobą, chwycił za miecz. Zobaczył ślepy strach w oczach króla. Ale w tej chwili ciężka dłoń Rahotepa spadła mu na ramię.

— Dość! — powiedział twardo Egipcjanin. Jego usta wyrażały po prostu obrzydzenie. Dwie ostre zmarszczki wrzynały mu się w czoło między brwiami. — Dość! Doskonale wykonujesz swoje pomysły, Elmadamie. Ale teraz już za późno... Włóż miecz z powrotem do pochwy, jeśli nie chcesz, bym ci go kazał odebrać.

Elmadam, blady i spocony z przejęcia, wykonał ten rozkaz. Za sobą słyszał dyszący przerażeniem oddech Emmmera. Kapłan nie rozumiał rozmowy, ponieważ nie umiał po egipsku, ale widok Mataniasza powiedział mu wszystko.

Rahotep podszedł z powrotem do ławki, na której siedział poprzednio podczas modłów, i rozsiadł się na niej wygodnie. Nie wzywał ani Mataniasza, ani Elmadama, aby również usiedli. Przeszywał ich obu wzrokiem zimnym i przejmującym.

— Jesteście głupcy! — powiedział. — Ale teraz musicie mnie słuchać! — Palcem wskazał na Mataniasza, któremu słowa księcia tłumaczył Jezoniasz: — Będziesz dalej królem. Jeśli jednak znowu zdradzisz, pamiętaj: mój miecz znajdzie drogę do twego serca lepiej niż miecz Elmadama... — Zwrócił się teraz do syna Hera: — A ty będziesz przy królu. Zapomnij, żeś go chciał zabić. Masz mu być doradcą. Słyszysz?

Elmadam bez słowa zgrzytnął zębami. Rahotep ciągnął dalej, nie zwracając najmniejszej uwagi na zachowanie niedoszłego władcy.

— Że Jeremiasz uszedł, to ostatecznie głupstwo. I tak go nikt w kraju nie słucha. Ale człowieka, który go ostrzegł, powinieneś znaleźć, Elmadamie. Niewiele jest białych koni w Jerozolimie...

— Tylko ja — rzekł Elmadam na wpół do siebie, na wpół do Rahotepa — mam białą klacz...

Egipcjanin pominął te słowa milczeniem.

— A teraz świątynia — powiedział. — Chciałeś w niej robić porządek, Elmadamie... — wzruszył pogardliwie ramionami. Potrząsnął głową: — Nikt u was w walce z kapłanami nie wygrał... — Przebierając palcami na brzegu ławki, niby grając na jakimś nieznanym instrumencie, dodał: — Nikt nigdy z kapłanami nie wygrał... Tak... Ze świątynią musi być pokój... — Spojrzał na Emmera, jakby patrzył na ohydneho gada. — Ten bałwan — ironicznie cedził słowa — chciał być arcykapłanem... Nie. Sarajasz jest dobry: Nie obchodzi go nic poza jego własną osobą. Emmer powinien być prorokiem. Przydałby się na miejsce Ananiasza...

— Jeśli trzeba... — Emmer usłyszawszy przetłumaczone słowa Rahotepa wysunął się naprzód, wymachując rękoma. Był już gotów zostać prorokiem. Ale ostry błysk oczu Egipcjanina kazał mu zastygnąć w bezruchu.

Rahotep odwrócił się do niego tyłem. Mówił znowu twardo i rozkazująco do Mataniasza i Elmadama:

— Dziś świątynia może być naszym sprzymierzeńcem. — Skrzywił się zjadliwie. — Powinniście, przykładnie modlić się do waszego Jahwe...

Dał znak ręką, że powiedział już wszystko. Obojętnie obrócił się ku figurze Izdy. Począł odmawiać jakąś modlitwę.

Mataniasz, Elmadam i Emmer tajnym wejściem opuścili świątynię. Dzień wstał właśnie, lewicy grali ranną pobudkę na srebrnych trąbach. Na podwórku stali ludzie z bydłem. Rąbano drzewo na ogniska ofiarne. Korzystając z tumultu, przeszli niepostrzeżenie do bramy wiodącej do Sella. Nie mówili do siebie ani słowa. Dopiero w ogrodzie pałacowym Mataniasz mruknął:

— No, Elmadamie? No? Czemu się złościsz? Ja nic nie pamiętam... Nie trzeba, abyś się złościł... No? Daj rękę...

Czarne, tchórzliwie biegające oczy króla wpatrywały się natrętnie w twarz Elmadama. Żebrały uspokojenia. Nie mogły się go jednak doczekać. Elmadam miał twarz zaciętą i złą. Patrzył tak, jakby nie widział Mataniasza.

— No? — powtórzył prosząco król. — Czemu się złościsz?

Niechętnie, unikając spojrzenia w twarz Mataniaszowi, Elmadam włożył rękę w wyciągniętą ku sobie dłoń. Wszystko mógł darować tamtemu, tylko nie to uczucie, jakiego doznał wychodząc z sypialni królewskiej: uczucie ulgi, że jednak los się dokonał. Naturalnie, nie mógł się być wtedy powstrzymać od okrzyku: „Nie ma już Mataniasza!”, a ten okrzyk powtórzyli jego ludzie. Tymczasem Mataniasz stał przed nim nietknięty; trzymali się wza-

jem za ręce jak przyjaciele. Gwałtownie wyrwał dłoń z zaciśniętych na niej palców Mataniasza. Król znowu powiedział lekliwie:

— Ale ty się nie złościsz, Elmadamie? Co?

Nie odpowiedział nic. Pozostawił Mataniasza pod drzwiami ogrodu. Rozpierzająca go wściekłość szukała jakiegoś ujścia. Znalazłszy siedzącego nad dzbanem wina dowódcę swych żołnierzy, z nagłą pasją począł mu wymyślać, jak śmiało pozwolić na rabunek pałacu. Pienił się, tupał, zaciskał pięści. Kazał natychmiast zebrać oddział na podwórku przy bramie. Trwało to czas jakiś. Zdobywcy grali w kości z żołnierzami pałacu, pili wino, gwałcili nalożnice królewskie lub chodząc po salach rabowali, co im tylko wpadło pod rękę. Schodzili na dół na niepewnych nogach, obwieszeni skradzionymi rzeczami. Na widok Elmadama zatrzymywali się, bardzo zdziwieni. Syn Hera w furii sam zerwał z ramion jednemu z żołnierzy cenny płaszcz królewski; innego, który niósł wielką srebrną czaszę, uderzył z całej siły w twarz. Ulegając uczuciu: ja nic nie zdobyłem, więc i wy nic nie będziecie mieli — kazał żołnierzom złożyć na ziemi wszystkie zabrane z pałacu przedmioty. Usłyszawszy ten rozkaz, mruzcili gniewnie. Ociągali się i rzucali na siebie ponurymi spojrzeniami, ale wykonali w końcu jego wolę. Ustawiwszy się w jaki taki szyk, wyszli z pałacu. Elmadamowi podano konia, ale on na niego nie siadł. Idąc chciał otrząsnąć z siebie gniew. Dopiero po jakimś czasie wybuchnął do Emmera:

— To wszystko wina tego świńskiego Jeremiasza!

W tym okrzyku były prawie łzy. Przecież to nie gwiazdy go zwiodły, ale ten przeklęty wieszczek musiał sprawić, że z zamysłów Elmadama nic nie wyszło. Ach, gdyby go dostać w ręce! Emmer potakiwał kiwaniem głowy. Wszystkiemu winien Jeremiasz! Wszystkiemu! I uciekł. Trzeba go odnaleźć i zemścić się!

Przechodzili właśnie koło ubogiego domku należącego do Abeda, garnarza, dawnego wyzwoleńca Azareela. Elmadam gniewnie machnął pięścią:

— Przeklęty wieszczek!

Emmer, który już odtajał po ostrych słowach Rahotepa, także gestykulował żywo, pełen oburzenia. Obaj byli dalecy od myśli, że za cienką glinianą ścianką przebywa w tej chwili Jeremiasz ukryty przez Tamar.

XIII

Jeremiasz obudził się nagle. Zasnął wieczorem po długiej, uporczywej modlitwie ciężkim snem bez snów. Ale coś jakby wołanie spadło na niego z mroku nocy. Od razu usiadł na macie, na której spał, niespokojnie rozejrzął się na wszystkie strony. Było cicho, tylko jaskrawo świecący księżyc zagładając przez otwór w dachu spływał, podobny srebrnej wodzie, po stopniach drabiny i kładł się kwadratem blasku na glinianej polepie między matami. Jeremiasz począł nasłuchiwać. Gdzieś na ulicy wył pies, świerszcze psykały na dachu, równe oddechy śpiących rozlegały się w cieniu, który opinał niby ściana namiotu kolumnę księżycowego blasku. Nie było nikogo, a przecież Jeremiasz mógłby przysiąc, że przed chwilą, zanim zdołał dźwignąć głowę, był tu ktoś, kto go zbudził słowem mocnym, wypowiedzianym bezgłośnie a przejmująco... Starczą, zeszywniałą dłonią przetarł oczy. Ten ktoś musiał mieć stopy lekkie, nie tykające ziemi, niby stopy istot, które spływały i wznosiły się wzdłuż Jakubowej drabiny. Schody wiodące na taras nasunęły mu tę myśl. Patrzył na nie przez chwilę, zmrúżywszy oczy — tak bardzo raził go zielonosrebrny blask opadający ze stopnia na stopień. Cicho, tłumiąc oddech, podniósł się na nogi. Wyciągnąwszy ręce przed siebie, postąpił parę kroków naprzód. Dłoni dotknął szczebli. Pod palcami miał przedmiot znany, zwykły, wielokrotnie dotykany. Mimo to ciągle nie był pewien otaczającej go rzeczywistości. Słowo usłyszane rozrastało się w nim w coś równie oczywistego jak świat otaczających go przedmiotów. To słowo żyło — nie wspomnieniem, ale fermentem. Niedowierzająco patrzył na swe dłonie, rążące jego oczy odbitym od nich księżycowym światłem. Podniósł głowę. Nad nim po niebie utkany z nitek blasku toczył się błyszczący krąg. Nabi oparł głowę o deskę. Poczuł chęć powrotu na matę, powierzenia się znowu niepamięci snu. Zbyt był jednak doświadczony, aby ulec tej pokusie. Zamiast szukać ucieczki w śnie, schylił się i namacał na ziemi swój kij. Cicho, ciągle jak najciszej poszedł między śpiącymi. Nie budził nikogo. Jedną ręką omackiem szukał przed sobą drzwi zamkniętych na rzemienny węzeł, drugą przyciskał serce, które biło szybko i głośno.

Blask księżycyca spływał kaskadą po ścianach domów. Pustka jasnej nocy wydawała się niepokojąca. Ostra plama cienia plątała się pod nogami, zabięgała to z jednej, to z drugiej strony, podobna wiernemu, nie odstępującemu nóg psu. Chwilami ten cień wydawał się naprawdę żywym towarzyszem. Jeremiasz przypomniał sobie tamtą wyprawę do miasta przed laty. Był wte-

dy tak samo ścigany, tak samo groziła mu śmierć. Ale miał wówczas dość sił, by nie lękać się pogoni. Dziś było inaczej. Z jedną ręką na kiju, drugą na murze, włókł się wolno, krok za krokiem, świadom, że nie uciekłby nikomu, kto by chciał go schwytąć. Mimo to szedł. Głos, który się rozległ — a Jeremiasz był pewien teraz, że to był Głos — urastał w nim ciągle nowymi rozkazami. Nie wiedział, czego ostatecznie od niego zażąda. Ale to było niczym wobec wstrząsającego faktu, że odezwał się znowu i że prowadził go, zdejmując z jego bark ciężar myśli o tym, jak należy mu być posłusznym. Wahania ani wątpliwości nie istniały. Porządek życia wyłamywał się ze swych posad, a raczej może odnalazł swój rzeczywisty, zwykle ukryty rytm. Jeremiasz nie miał pewności, czy jest jeszcze sobą; była w nim moc, która nie odejmując nic starczej bezsilności ciała proroka odwracała zwykły stosunek siły i słabości. Przekonał się o tym, gdy skierował się ku bramie pałacu arcykapłana. Przed nią chodziło dwóch strażników; byli to tędzy chłopcy w skórzanych pancerzach, z włóczniami w dłoni. Jeremiasz szedł ku nim równie bezwolnie, jak bezwolnie płynie rzeka ku morzu, w którym zniknie. Żaden instynkt nie ostrzegał go przed niebezpieczeństwem. Zbliżał się do nich, oni zaś ciągle tym samym obojętnie leniwym krokiem spacerowali wzdłuż muru. Minał ich, pozostawił za sobą — ślepych i głuchych. Pałac otwierał przed nim swe wnętrze, ciemne, mroczne, oświetlone tylko księżycową ulewą spływającą z dachu w okna. Te mury przypomniały mu ojca. Ale to była krótka chwila, niby nawrót pamięci uświadamiającej w czasie snu, że to tylko sen. Z nieomylną pewnością szedł do sypialni Sarajasa. Na progu spał tłusty niewolnik, eunuch o długich lśniących włosach. Jeremiasz przestąpił leżącego, otworzył drzwi. Sarajasz spał na łożu. Okna pokrywała ciemna zasłona uchylona nieco w jednym rogu; przez szparę wbijała się w ciężki mrok igła zielonkawego blasku. W kącie płonął kaganek nic nie oświetlający — mała gwiazda utopiona w miseczce z oliwą. Gruby arcykapłan pochrapywał. Był to niestary mężczyzna o pełnej, obwisłej twarzy i małym grubym nosie. Brodę miał rzadką, niezdecydowanego koloru.

Jeremiasz zatrzymał się obok posłania. Wiedział już, że ma obudzić arcykapłana. Nie wypowiedziane słowa paliły mu wargi. Jeszcze na jeden moment obudziła się w nim wątpliwość, czy to wszystko nie jest snem. Mocniej zacisnął palce na lasce, językiem dotknął warg: laska zachowała swą twardość, wargi były zeschłe i piekły od śliny. Wtedy pochylił się nad śpiącym. Zawołał cicho:

— Sarajaszu!

Tamten zachrapał, stęknął i poruszył się ciężko, ale spał dalej. Jeremiasz powtórzył swoje wezwanie. Sapanie znowu zabrzmiało inaczej. Arcykapłan zamruczał niechętnie nosowym głosem:

— Czego chcesz?

— Obudź się! — szepnął Jeremiasz.

— Co? — Jeszcze raz stęknąwszy Sarajasz dźwignął głowę. — Co mówisz?...

Nagle poderwał się szybko i usiadł na posłaniu. Już zupełnie rozbudzony zapytał pełnym niepokojem głosem:

— Kto tu? Kto mnie budzi?

— Bądź cicho. To ja, Jeremiasz.

— Jere... — głos Sarajasz zamarł. Posłanie zachrząsało gwałtownie. Szybki świszczący oddech arcykapłana rozległ się w mroku. Nagie jego stopy uderzyły o ziemię po drugiej stronie łóżka. Sarajasz prędko — o ile mu na to pozwalała tusza — podbiegł do kaganka, wziął go w rękę. Podeszedł do Jeremiasza. Czas jakiś wpatrywał się w proroka.

— Rzeczywiście — mruknął wreszcie — to ty... — Odsapnął, usiadł na posłaniu. Powiedział z nieukontentowaniem: — Obudziłeś mnie. Zakradasz się nocą jak złodziej... Ale prawda, że ci głupcy chcą cię zabić... — kiwnął głową. — Czego chcesz ode mnie? Abym cię bronił? — Nie czekając na odpowiedź Jeremiasza, ciągnął dalej: — To niełatwa sprawa, Jeremiaszu. Zachowujesz się jak szaleniec. Ty, syn czcigodnego Helkiasza, brat Azariasza... Człowiek z kapłańskiego rodu...

Porwało go ziewanie. Uderzył się parę razy dłonią w otwarte usta. Podrapał się w gruby, nabrzmiały fałdami kark. Ciągnął dalej głosem monotonnym, ale stanowczym, akcentując od czasu do czasu swe słowa dostojnym gestem ręki:

— Wszyscy kapłani są na ciebie oburzeni... Słyszysz poganom, bałwochwalcom... Lud przestał cię szanować. Widzisz, widzisz... Cóż ja mogę dla ciebie? Rozpowiadasz, że Nabuchodonozor jest mieczem Wszechmocnego!

Jeremiasz nie powiedział ani słowa. Arcykapłan znowu rozłożył ręce gestem bezradności:

— Nic dla ciebie nie mogę... — westchnął. — Cóż? Twoja własna wina...

twoja wina... Od lat wciąż wołasz: Nabuchodonozor i Nabuchodonozor... Chwalisz nieczystego poganina! Prostaka, który się sam na tron wpełchnął!

— Nie o tym przyszedłem mówić! — rzekł nagle Jeremiasz.

Sarajasz, któremu przerwano, zamilkł zdumiony. Chwilę pomrukiwał coś pod nosem. Potem zapytał opryskliwie:

— Więc o czym?

Jeremiasz w odpowiedzi wybuchnął gwałtownie:

— Przybytkowi grozi niebezpieczeństwo! Świętej Skrzyni grozi znieważenie! Nabuchodonozor już idzie karać zdrady Mataniasza!

Sarajasz lekko cofnął się przy pierwszych słowach proroka. Potem jednak uśmiechnął się lekceważąco:

— Ach, nie wiadomo jeszcze, czy przyjdzie! Hofra jest także mocny...

— Zmienił ton, stał się patetyczny: — Zresztą święty Przybytek nie lęka się niczego. Panu nie jest straszny król chaldejski... Ocaliliśmy tyle razy, ocalejemy i teraz... Jesteśmy przecież narodem wybranym!

Podniósł na Jeremiasza wzrok swych jasnych, mętnych oczu. Spokojnie zatarł miękkie dłonie podobne małym poduszkom, z dołczkami w miejscu kostek nadgarstka. Nie był człowiekiem złym; potrafił być nawet zupełnie dobry, pod warunkiem jednak, aby mu się nie sprzeciwiano. Nie znosił sprzeciwu, a nawet innego zdania! Słyszac coś takiego, wybuchał od razu hałaśliwym, ślepym oburzeniem. Uważano to za pychę. W rzeczywistości była to nie tyle pycha, ile wielka, prawie niezrozumiała w człowieku tak otyłym pasja. Dopóki nie został arcykapłanem, Sarajasz był najniezwyklejszym z ludzi, ponieważ musiał ulegać woli innych. Za to jako arcykapłan stał się postrachem podległych sobie kapłanów i lewitów. Kto nie umiał mu schlebiać, mógł się zawsze lękać niełaski. Stosunki jego z Mataniaszem nie były zbyt zażyłe. Król zrobił go arcykapłanem ulegając woli stronnictwa złożonego z tych kapłanów, którym imponowała apodyktyczność Sarajasza. Ale Sarajasz prędko spostrzegł, że Mataniasz nie będzie posłusznym pionkiem w jego rękach, nie dlatego zresztą, aby swoją wolę przeciwstawiał jego woli, ale dlatego, że zbyt wielu wolom ulegał. Arcykapłan nie miał szans, by wpływać na jego postępowanie; był zresztą na to zbyt leniwy. Jego upór także płynął z lenistwa, które nie pozwalało mu popracować nad zrozumieniem postawy innych. Skoro nie mógł im narzucić swojej woli, przestawał się nimi interesować. Dlatego też i król nie interesował Sarajasza. Nie mieli ze

sobą o czym mówić: Mataniasz nie miał nic do powiedzenia o świątyni, Sarajasz nie mieszał się do spraw państwa. Lubił za to złośliwie krytykować: „Ach, ten nie potrafi zawrzeć żadnego układu! Głupiec!” Sarajasz ufał potędze Egiptu. „Egipt — zwykł był mówić — był i będzie... Czy faraon jest Libijczykiem, czy Nubijczykiem, zawsze to faraon. To nie to, co książęta chaldejscy, którzy jeszcze niedawno byli hołdownikami Asyryjczyków.” Zresztą i Asyryjczykami, i Babilończykami Sarajasz pogardzał, uważając ich za barbarzyńców i dzikusów. Egipt był także wrogiem, to prawda, i gdyby znajdował się sam na placu, byłby niewątpliwie, zdaniem Sarajasza, wrogiem groźnym i niebezpiecznym. W zestawieniu jednak z Babilonem wydawał się przeciwnikiem prawie nieszkodliwym. Na obce kultury, które wciskały się do Jerozolimy, arcykapłan patrzył z lekceważeniem; słowa: „przymierze z Panem”, „lud wybrany” — miały dla niego dźwięk magiczny. Uważał, że te pojęcia wykluczają jakiegokolwiek prawdziwe niebezpieczeństwo. Jeżeli Baal stał w przedsionku Przybytku, było to rzeczą niewątpliwie złą; ale jeśli jego wyznawcy, którzy mogli go przecież gdzie indziej postawić, płacili za to, była w tym pewna korzyść, zwłaszcza że bliskość miejsc obu kultów zachęcała czcicieli Baala do uczestniczenia równocześnie w modłach świątyni.

— Tak więc, Jeremiaszu — uderzył dłonią w udo, aż się rozległo soczyste klaśnięcie — nie masz się czym przejmować. Przybytkowi na pewno nic nie grozi. Wracaj spać i ukryj się dobrze. Za parę dni może będę mógł zrobić coś dla ciebie. Tylko przestań już mówić o tym twoim Nabuchodonozorze... Tak.

Podwinął nogi, chcąc wyciągnąć się na posłaniu. Oczekiwał, że nocny przybysz zaraz odejdzie. Ale Jeremiasz nie ruszył się z miejsca. Stał wciąż nieruchomo. Nagle uderzył kijem w ziemię i powiedział z mocą:

— Czy słyszałeś? Przybytek w niebezpieczeństwie!

Sarajasz jednym skokiem zerwał się na nogi. Twarz mu poczerwieśniała. Przez chwilę bulgotał niezrozumiale, dusząc się pełnymi oburzenia słowami:

— Co?! Co?! — dłonią zaciśniętą w pięść uderzał raz po raz w krawędź łóżka. — Na mnie stukasz kijem? Na arcykapłana? Przybytek w niebezpieczeństwie? Co za brednie?! Ja wiem lepiej!

— Arka w niebezpieczeństwie! — powtórzył nieustępliwie Jeremiasz.

— Nie! — wrzasnęła arcykapłan.

— Trzeba ratować...

— Nie! — Sarajasz krzyknął i usiadł na posłaniu. Zamknął oczy, zasłonił palcami uszy. Miał minę płaczącego ze złości dziecka. Nie chciał ani słyszeć, ani widzieć natręta. Sfałdowany brzuch podskakiwał mu z irytacji. Jeszcze kilka razy powtórzył na ślepo: — Nie! Nie! Nie!

Kiedy wreszcie otworzył oczy, w izbie nie było już Jeremiasza. Sarajasz odetchnął. „Poszedł sobie ten głupiec...” — powiedział do siebie. Sapnąwszy wyciągnął się na posłaniu. Spłoszony sen nie od razu przyszedł. Ostrzeżenia Jeremiasza zdawały się podzwaniać nie milkącym echem. Odpędzał je uporczywie powtarzaniem „nie”. Ale słowa ostrzeżeń nie odchodziły. Tarzając się na posłaniu, kłął Jeremiasza: „W nocy przyszedł i skradł mi spokój...” Trwało to dość długo. Wreszcie jednak udało mu się zdławić w sobie wszelką myśl. Zasnął.

Rano obudził się późno, z bólem głowy. Gniewnie ofukiwał pomagającego mu się ubierać lewitę. Ale w ciągu dnia zapomniał szczęśliwie o nocnych strachach. Nie miał i później czasu, by o nich myśleć. Nadchodziło święto Namiotów, trzeba było przygotować Przybytek na te dni. Ludność kończyła śpiesznie odwiewanie ziarna wymłóconego przedtem nogami bydła oraz tłoczenie winogron. Z ramionami i stopami czerwonymi od winnego soku stawiano namioty i budowano szałas. Rok po wielkich deszczach okazał się rokiem płodnym. Zbiory były obfite, bydło liczne i tłuste.

Na pięć dni przed radosnymi świętami zbiorów obchodzony był pokutny dzień Pojednania. W tym dniu arcykapłan zgodnie ze starodawnym ceremoniałem winien był złożyć ofiarę przebłągalną za grzechy całego ludu. Już od rana Sarajasz był podniecony mającą nastąpić ceremonią. Cześć, jaką żywił dla niewidzialnego Jahwe, wyrażała się przede wszystkim w surowym przestrzeganiu rytuału nabożeństwa. Niedbałość w ruchu czy w geście Sarajasz uważałby za wielkie przestępstwo. Stojąc przed czterorożnym ołtarzem, na którym ofiarowywał wołu jako ofiarę wstępną, uważał tylko na to, by żaden szczegół obrzędu nie był zapomniany lub zmieniony. Cichymi, lecz ostrymi słowami strofował kapłanów, poganiał lewitów. Mieszkający za zasłoną Jahwe mógł być zadowolony: nie opuszczono nawet najmniejszego gestu.

Złożywszy ofiarę z wołu, ubrany w zwyczajne lniane szaty kapłańskie Sarajasz wziął kadzielnicę i udał się ku zasłonie oddzielającej Święte Świętych od Świętego. Towarzyszyli mu kapłani śpiewając hymny. Ale przed samą zasłoną wszyscy zatrzymali się: do debiru mógł wejść tylko arcyka-

plan. Mimo przejścia, jakie wywołało w nim zbliżenie się do Jahwe, Sarajasz oddychał z ulgą.

To uporczywe pilnowanie porządku nabożeństwa męczyło go i drażniło. Poza zasloną nie trzeba już było czuwać. Tam był tylko on i Jahwe. A arcykapłan nie lękał się o siebie. Wiedział, że zna doskonale ceremoniał, że niczego nie zapomni, niczego, co się tyczy służby świętej, nie zaniedba. Pewną dłonią uchylił kotarę. W Świątym Świątych panował mrok, ponieważ nie było tu żadnego okna. Tylko wdzierający się szparami blask ze Świątego oraz różowy opar unoszący się nad trzymaną przez arcykapłana kadzielnicą pozwalał przywykłym już do mroku oczom widzieć świętą Arkę otuloną skrzydłami cherubinów. Sarajasz zatrzymał się w progu Przybytku, postawił kadzielnicę i podniósł dłonie na wysokość twarzy tradycyjnym gestem adoracji. Zwolna pierwsze kształty wynurzały się z cienia delikatną bielą. Olbrzymie figury o gładkiej, pozbawionej twarzy głowie wypełniały czarną pustkę. Złote deski ścian uwypuklały się płaskorzeźbami aniołów i palm.

Sarajasz postąpił jeszcze dwa kroki i skrzyżowawszy ręce na piersiach, oddał pierwszy pokłon. Sięgnął po kadzielnicę. Lecz w tejże samej chwili straszliwa trwoga szarpnęła jego piersią. Oddech zastygł mu w gardle, serce rozchybotało się niby dzwon. Wydało mu się, że padł ofiarą przeraźliwej halucynacji: pod skrzydłami cherubinów była pustka! Dysząc bełkotliwie, arcykapłan sięgnął ręką. Tak — powinien był już czuć pod palcami pozłocane akacjowe wieko zdobne w ornament. Nie było go jednak! Schylił się niżej, niżej, jeszcze niżej — dłoń spotkała zimną podstawę. Święta Skrzynia zniknęła! Chciał krzyknąć, lecz głos mu zamarł. Sarajasz począł się dusić. Zsiniał. Ostry spazm podobny kościstej dłoni zdławił mu gardło. Chrapanie wybiegło na wargi. Ale arcykapłan olbrzymim wysiłkiem woli przemógł słabość. Oparłszy się o ścianę, skupił uwagę. Oddychał prędko. Pot sływał mu ze skroni, czuł, że pod turbanem ma włosy mokre. Pierwszą jego myślą, skoro tylko skurcz gardła ustąpił, było wybiec przed kotarę i krzykiem obwieściwszy o świętokradztwie, rozedrzyć szaty, zgodnie z przepisem, na długość palmy. Potem jednak uświadomił sobie całe szaleństwo takiego postępu: niewątpliwie wiadomość o świętokradztwie wstrząsnęłaby całym miastem. Ale czy nie pociągnęłoby to za sobą załamania się wiary w Przybytek? Świątynia bez Arki nie byłaby już świątynią! Ludzie gotowi byli odejść do obcych kultów. On stałby się od razu niczym. Naród także nie miałby żadnej spójni, żadnej siły łączącej. Naród bez świątyni przestałby być narodem...

Nie myślał w tej chwili, jak zginęła Arka. Ta sprawa nadawała się do rozważenia później. Jedno wydawało się rzeczą całkowicie oczywistą — że trzeba było fakt zniknięcia Skrzyni ukryć. Przez rok nikt tu nie wejdzie, nawet gdyby Sarajasz (nie wyobrażał sobie właściwie takiej katastrofy) przestał być arcykapłanem. Przez rok będzie dosyć czasu na odnalezienie Arki. Teraz trzeba milczeć. Trzeba wziąć na siebie tajemnicę. Od niej zawisł przecież los świątyni, los religii, los narodu. Sarajasz nie bez dumy uświadomił sobie wielkość swego czynu. „Ratuję wszystko...” — pomyślał. Odruchowo począł poruszać kadzielnicą. Gęsty wonny dym nappełnił małe pomieszczenie. Tak, jakby nic się nie stało, poważnym, pełnym namaszczenia krokiem wyszedł z debiru. Mignęły mu zdziwione nieco twarze kapłanów — nie spostrzegł bowiem, że był we wnętrzu Świętego Świętych o wiele dłużej, niż tego wymagała ceremonia okadzenia Arki. Nie była to jednak żadna niewłaściwość; zdarzało się kapłanom zapominać się w modlitwie. W otoczeniu orszaku wrócił na dziedziniec po srebrne naczynie z krwią zabitego zwierzęcia. Znowu udał się za zasłonę. Myśl, że nie może dopełnić rytuału pokropienia krwią wieka Arki, była dlań może nawet przykrejsza niż świadomość jej nieobecności.

Teraz dopiero przyszedł właściwy moment ceremonii: arcykapłan po raz drugi opuścił debir. Podano mu święty hoszen, a on wyciągnął zeń losy, który z dwóch przeznaczonych na ofiarę kozłów ma być zabity na ołtarzu. Z jego krwią po raz trzeci i ostatni wstąpił do Świętego Świętych. Znowu nie mógł pokropić wieka. Dym kadzidła już się rozwiął. Sarajasz jeszcze raz wsunął rękę między skrzydła cherubinów, aby przekonać się, czy poprzednio nie uległ złudzeniu. Ale nie — Arki nie było. Budzący się niepokój zgłuszył stanowczymi słowami: „Nie! nie! nie! Co by było, gdybym powiedział? Mam obowiązek milczeć...” Opuścił Święte Świętych, wyniósł resztę krwi, by nią polać ołtarz całopalenia. Jeden z lewitów podprowadził drugiego kozła. Od wieków przepisany ruchem Sarajasz podniósł ręce w górę i wymawiając głośno: „Oto grzechy i występki ludu Bożego składam na twoją głowę!” — opuścił je i złożył na głowie zwierzęcia. Przebiegło mu w tej chwili przez myśl, że razem z tymi grzechami oddała od siebie grzech milczenia o świętokradztwie. „Idź do Asasela!” — zawołał jeszcze. Lud rozstał się szeroko: gdyby bowiem oddany demonowi pustyni kozioł otarł się o kogoś, człowiek taki musiałby się oczyszczać. Wyznaczony lewita miał zwierzę odprowadzić daleko za miasto. Sarajasz odszedł do Przybytku. Po przeklęciu kozła musiał

obmyć się i złożywszy lniane szaty kapłańskie przyodziać arcykapłańską niebieską me'il i wielobarwny efod.

XIV

Głos Jeremiasza zbudził ich wszystkich. Zaniepokojeni podnieśli się z mat, na których spali pokotem. Prorok stał w słupie księżycowego blasku. Zielonosrebrna poświata spadała kaskadą na jego głowę, spływała po włosach na twarz, wyolbrzymiała ciało, skrzyła się w pierścieniach brody. Z płaszcz proka zdawał się sypać lśniący pył. Najmłodszy syn Abeda, Melchiel, krzyknął przeraźliwie, sądząc, że widzi ducha. Jeremiasz uspokoił ich skinieniem dłoni i słowem:

— Nie bójcie się...

Ale kiedy powiedział, czego od nich żąda, drżąc ze zgrozy cofnęli się i poczęli cisnąć się do siebie niby zalękniona trzoda. Nawet Baruch, wierny, nieodstępny towarzysz, z przerażeniem położył dłoń na ustach. Jego trzeźwy umysł zaniepokoiła myśl, czy wielki nabi nie oszalał. Oni, nędzni, pokorni słudzy Jahwe mieli wejść do najświętszego zakątka Przybytku, gdzie jednemu tylko człowiekowi wolno wstąpić — oni, nie kapłani, mieli dotknąć świętej Skrzyni, w której mieszka moc Pańska, i tę Skrzynię ze świątyni wynieść? Trwożnie szepnął:

— Nie, nie. Tak nie będzie. Próbujesz nas, rabbi...

Przez głowę niby strzały przelatowały mu wspomnienia wszystkich surowych zakazów. Nie od kogo innego, ale właśnie od Jeremiasza słyszał o nich po raz pierwszy. Księgi mówiły wyraźnie o tym, jak to rzekł Pan do Mojżesza, by Aaronowi i jego synom powierzył służbę przy Przybytku, a karał śmiercią każdego, kto by samowolnie chciał ją pełnić. Sam Jahwe karał ogniem każdą niedokładność w służbie. Zabił Nadaba i Abihu, synów Aarona. Karał tych, co samowolnie przystępowali do ołtarza. Zabił Korego, Datana i Abirona razem z całym ich domem. Straszliwie ukarał Filistynów, gdy zdobywszy Silo zabrali Arkę do Azot. Nie zlitował się nawet nad Ozą, synem Aminadaba, gdy idąc obok wozu, na którym przewożono świętą Skrzynię z Gabaon do Jerozolimy, podtrzymał ją ręką...

— Nie, nie — powtarzał — to byłoby świętokradztwem... Ty tego nie chcesz naprawdę, rabbi...

Cień wplatał się w smugę blasku. Posłyszeli kroki na schodach. Z tarasu, na którym spała, zeszła obudzona Tamar. Zatrzymała się zdumiona nocną rozmową.

— Czemu nie śpicie?

Patrzyła kolejno to na Jeremiasza osrebrzonego księżycowym blaskiem, to na Barucha, który trwożnie tłumaczył swemu mistrzowi, iż żąda od nich rzeczy bezbożnej, to wreszcie na Abeda i jego synów, milczących w osłupieniu wobec tak nieoczekiwanego wezwania. Dziewczyna miała oczy zapuchnięte, ale stanowczość jej nie opuściła. Chwilę przysłuchiwała się słowom Barucha. Potem przerwała mu gwałtownie:

— Co? Nie chcecie iść z Jeremiaszem po Arkę?

Wydali okrzyk zgrozy. Ale Tamar potrząsnęła tylko głową. Nie pojmowała ich wahania, nie rozumiała lęku. Ona sama nie bała się niczego, a Jeremiaszowi ufała ślepo. Powiedziała:

— Jeśli Jeremiasz mówi, że tak trzeba...?

— Lecz Pan nas spali swoim ogniem! — zajęczał Abed. — Ty nie wiesz, Tamar, co to znaczy sięgnąć po Arkę...

Wzruszyła porywczo ramionami. Skrzywiła się jak mała dziewczynka, którą starsi próżno usiłują onieśmielić. Z zapałem, od którego wystąpiły jej na twarzy rumieńce, wyrzucała im ich chwiejność i tchórzostwo. Nie chcą iść — dobrze! Wobec tego ona sama gotowa jest iść z Jeremiaszem, chociaż wiadomo, że kobiecie, która wejdzie do świątyni, grozi śmierć. Tupnęła nogą. Włosy opadły jej na twarz. Odgarnęła je prędkim gestem, ale one spadły znowu, jeszcze szybciej. Perorowała, przyciskając nieposłuszne pasma palcami. Nie dawała Baruchowi dojść do słowa. Atakowała go nie kończącym się potokiem wymowy. Mówi, że Jeremiasz żąda rzeczy bezbożnej? Co za głupstwa! To tak, jakby powiedział, że Wszchemocny chce czegoś przeciwko Sobie...

Ucichła dopiero, gdy Jeremiasz wyciągnąwszy ku niej rękę powiedział jednocześnie miękko i czule:

— Jesteś dzielna jak Debora...

Oczy dziewczyny błysnęły zadowoleniem. Za pochwałę gotowa była na wszystko. Nie myślała w tej chwili, jaki cel ma nocna wyprawa po Arkę.

Najważniejszą dla niej rzeczą było, aby zrobić coś — wszystko jedno co — byle tylko przeciwstawić się woli władców miasta. Kiedy pędziła co koń wyskoczy pustą drogą, smagana błyskawicami, ku Anatot, myślała nie tyle o ocaleniu Jeremiasza, ile raczej o pokrzyżowaniu planu Elmadama. Miała na ustach słowa: „Biedny ojciec...”, ale wiatr zdmuchiwał szybko łyzy z jej policzków. Łatwo udało się jej prześcignąć pijanego Jeriasza jadącego na czele równie pijanych towarzyszy. Ocaliła proroka. Teraz gotowa była porwać Arkę.

— Więc naprawdę chcesz tego, rabbi? — wahania Barucha ustąpiły częściowo pod naciskiem słów Tamar, choć niepokój walczył w nim jeszcze z przywiązaniem i ufnością, jakie żywił do Jeremiasza. Nie czekał już na odpowiedź. Mimo lęku wiedział, jak przyjdzie mu postąpić. Powstał i obejrzał się na Abeda. Ten poczuwszy na sobie to spojrzenie zaszlochął lękliwie. Wobec ustąpienia Barucha nie miał siły trwać sam w uporze. Był małym lęklwym człowieczkiem, pracowitym rzemieślnikiem. Kochał swych synów, którzy mu pomagali w pracy. Dostatecznie był już wystraszony, gdy parę dni temu szarym świtem Tamar stanęła przed jego drzwiami wprowadzając za sobą dwóch obcych ludzi. Strach jego wzrósł w dwójnasób, gdy w jednym z nich poznał Jeremiasza. A teraz?... Przerażonym spojrzeniem obrzucił proroka, rozemocjonowaną Tamar, zdeterminowanego Barucha; potem spojrzał na synów. Bał się o nich śmiertelnie, przełknął ślinę. Chciał już powiedzieć: „Pójdę sam, pozwólcie chłopcom zostać...” Ale wyraz twarzy najstarszego, Kaleba, wprawił go w rozterkę. Hered wydawał się całkowicie porwany zapalem Tamar. Tak samo Melchiel. Zrozumiał, że są zdecydowani iść. Westchnąwszy wstał z maty. Stał obok Barucha, gotowy do drogi.

Dostać się do świątyni nie było trudno. Szli zresztą za Jeremiaszem, który postępował naprzód z jakąś niepojętą pewnością siebie. Na chwilę zatrzymali się strwożeni, gdy im przyszło wejść do wnętrza Świętego. Jeremiasz jednak poszedł pierwszy. Lękliwie, lecz spiesznie ruszyli za nim. Odruchowo potrącali się i popychali. Żaden nie chciał być ostatni. W przetkanym smugami księżycowego blasku wnętrzu, czarnymi konturami wyrastały ze wszystkich stron stoły pod chleby pokładne, ołtarze i świeczniki. Przedmioty te wydawały się pełne utajonego ruchu. Stanąwszy przed zasłoną, wstrzymali oddech z przejęcia. Jeremiasz osunął się na kolana, a potem dotknął czołem ziemi. Naśladowali ślepo każdy jego ruch. Od tego, sądzili, zawisło ich bezpieczeństwo. Chwilę potrąwszy w geście adoracji, Jeremiasz wstał. Odrzucił laskę. Wyprostowany, z uniesionymi rękoma szedł wolno po schodach w górę.

Nagłym, porywczym ruchem odsunął zasłonę. Wydali okrzyk i przywarli twarzą do ziemi. Lecz ogień nie ogarnął zuchwałego proroka. Było cicho. Płat księżycowego blasku, który leżał przedtem niby łąta na zasłonie, padł w głąb debiru, prześliznął się po kamiennej podłodze, załśnił na złoceniach Arki. Nie śmieli oddychać. Podnosząc na chwilę głowy widzieli to, czego nie dane było widzieć innym... A Jeremiasz wolno szedł dalej. Wyciągnął rękę. Ruchem nagłym, jak muzyk, który dotyka swego instrumentu, położył palec na akacyjowej pokrywie zdobnej złotym wieńcem. Zdawało mu się, że stara, tysiąc lat prawie licząca Skrzynia pod tym dotknięciem wydała cichy, a przecież głęboki dźwięk. Nie mógł oprzeć się, by nie przesunąć pieszczotliwie dłonią po szerniałym złotem pokrytych ściankach Arki, po złotych kolcach, na których wspierały się drążki. Tu, na pokrywie Skrzyni, mimo dzielącego ich czasu spotykały się jego dłonie z dłońmi Mojżesza, Aarona, Dawida... Wszystko, co było wspaniałego w historii ukochanego narodu, dokonywało się nad wiekiem Arki. Zdawała się promieniować wielkością, mocą i powagą tamtych chwil, a także i grozą. Przecież niewinny Oza dotknąwszy się jej padł rażony gromem. Jeremiasz podniósł głowę. Święte księgi mówiły, że niegdyś nad Skrzynią wisiał obłok Bożego majestatu. Lecz Jeremiasz ponad głowami i skrzydłami cherubinów zobaczył tylko ciemne sklepienie. Nie widział nic innego, choć czuł, że prawdy cudu nie rozwiął wicher dziejów. Święty obłok istniał naprawdę, niewidzialny jak sam Jahwe, roztopiony w mroku Przybytku. Nie zobaczyłyby go jednak najbystrzejsze oczy. Ten, Który Jest, ukrywał się coraz głębiej, gasił jedne za drugimi widzialne światła Swej obecności. Adamowi, błądzącemu po pustej ziemi płaczącej jeszcze wspomnieniami zniszczonego raju, łatwo było odnaleźć ślad ręki Pana w każdym spalonym Jego gniewem źdźbło trawy. Ale synowie Adama nie mają już wspomnień. Próżno coraz namiętniej i coraz gwałtowniej szukają twarzy Bożej w setkach bóstw. Żar kary przepalił węgłą glinę. Nie zostało nic z tego, co było. Już tylko pożądanie tego, co będzie, mieszka w człowieku. Stąd te nieznanne, niepojęte pragnienia, szukanie omackiem czegoś i czekanie. Bolesne czekanie...

Zapomniał, że za nim stoją drżący z podniecenia i lęku ludzie. Zapomniał o wszystkim. Osunął się na kolana, ogarnął ramieniem Skrzynię, przywarł do niej ustami, ciałem. Czemuż była tak wielka? Czemuż nie można jej było zamknąć całkowicie w sobie, zazdrośnie wtłoczyć w serce — w jedyną twierdzę, do której żaden wróg nie może wtargnąć? Była znakiem przymierza. Zrobiono ją na pustyni. Latami towarzyszyła wędrówce ludu w jego błęd-

nym krążeniu po półwyspie. Gdy wreszcie skończyły się lata kary, przed nią stanęły wody Jordanu, zawałyły się mury Jerycha. Pozostawiono ją w Galgala, potem w Silo. Kiedy ją zwrócili Filistyni, stała kolejno w Kariathiarim, w Nobe, w Gabaon. Tańcząc przed nią — czym się naraził na wzgardliwy śmiech ukochanej Michol — Dawid sprowadził ją do zdobytej Jerozolimy. Odtąd już tu pozostała — znak, że naród wędrowców znalazł wreszcie swoją ziemię.

Rozkaz, który spadł na Jeremiasza powracającego od arcykapłana, równał się przekreśleniu wszystkiego tamtego. Jeśli zadrzał Baruch, to tym bardziej musiał zadrzeć Jeremiasz. Ale rozkaz był silniejszy niż lęk. Był to znowu Głos oczekiwany i utęskniony. Czynił człowieka swoim narzędziem nie bacząc na jego kruchość. Budził radość i przerażenie. Brzmiał tak samo okrutnie i bezwzględnie jak niegdyś, gdy kazał Abrahamowi naostrzyć nóż ofiarny...

Gdyby mu powiedział: „Bądź królem!” — nie wierzyłby własnym uszom. Gdy mu powiedział: „Zabierz Arkę!” — to ten straszny ból zadany jego sercu był dla Jeremiasza dowodem, że słyszy naprawdę. Znowu nie wiedział, dlaczego ma tak właśnie uczynić. Ale nie pytał, nie śmiał pytać. Słowa: „Czyżbyś odrzucił lud wybrany?” zamarły mu na ustach. Od lat musiał postępować ciągle przeciwko sobie. Abraham tylko raz jeden był doświadczony. Jego doświadczano dzień za dniem! Więc czy nie lepszy był los nieszczęśliwego Ozy? Na pewno lepszy! Godny zazdrości! Ale nic z tego! Jeremiasz próżno wodzi dłońmi po pokrywie i po bokach Arki. Zgasły pioruny w niewidzialnym obłoku mocy Bożej. Trzeba być wykonawcą nieubłaganej Woli. Trzeba odebrać to, co dostał Mojżesz na Horebie. Może więc naprawdę Pan wyrzekł się dawnego przymierza, tyle razy przez lud łamanego, wyrzekł się spieszenie, jakby i Jemu zależało, by już przestało istnieć...?

Księżyc zaszedł. Drgającą poświatę rozsypaną po dachach i po ziemi zdmuchnął rzeński, chłodny wiatr przedrania. Znowu Jeremiasz szedł przodem, a oni za nim, zgięci pod brzemieniem niesionego ciężaru. W swej powrotnej drodze do domu Abeda nie spotkali nikogo. Tu czekali na nich Kaleb i Tamar, którzy w świątyni nie byli, ponieważ przygotowywali tymczasem wymoszczony słomą wóz zaprzężony w dwa woły. Arkę ze czią złożono na wozie, okryto matami i płótnem. Wczesnym rankiem, zaraz po otwarciu bram, obłożony po wierzchu świeżo wylepionymi garnkami wóz, obok którego szli synowie Abeda oraz Tamar, wyjechał z miasta na znaną dobrze drogę prowadzącą do Jerycha. Mieli dojechać do dużego oliwnego zagajnika

na połowie drogi do Anatot i tam oczekiwać Jeremiasza, Abeda i Barucha, którzy wcześniej jeszcze zeszli do dolnego miasta i stamtąd znaną Abedowi szczeliną mieli wydostać się za mury. Dzień po księżycowej nocy wstał piękny i niezbyt gorący. Trzej chłopcy początkowo szli z wielką powagą, pełni namaszczenia. Zwolna jednak zadowolenie z dnia i z udanej wyprawy przemogło nad powagą. Młodszy coraz hałaśliwiej opowiadali Kalebowi o tym, jak wynieśli Arkę ze świątyni. Nie mogli przy tym powstrzymać się od przechwałek. Poczuli klócić się: jeden drugiemu zarzucał tchórzostwo. Pogodziło ich powiedzenie Hereda:

— Ale się Sarajasz zdziwi, jak zobaczy Przybytek pusty!

Parsknęli śmiechem. Kaleb zganiał ich za brak powagi, ale sam także nie umiał jej zachować. Coraz mniej pamiętali o tym, co wieźli na wozie. Młodszy podśpiewywali.

Tamar szła samotnie z tyłu za wozem. Zacisnąwszy usta, przemyśliwała nad wypadkami ostatnich dni. Zadowolenie z dokonanego czynu już jej nie wystarczało. Potrzebowała czegoś nowego, czegoś, co by znowu zajęło wszystkie jej myśli i uczucia. Pomyślała o Kosamie. Jego postać stawała często przed nią, a wtedy mrużyła gniewnie oczy i odymała wargi. Powtarzała sobie, że chłopca nienawidzi. Złościło ją wspomnienie o tym, jak rzuciła się w jego ramiona nad ciałem zabitego ojca. Zrobiła to — mówiła sama do siebie — wtedy, gdy on przyszedł przekonać się o dokonanym morderstwie. Kiedy przypomniawszy sobie Elmadama, bladła z gniewu. Nie mogła jej pocieszyć nawet świadomość, że ojciec Kosama nie dopiął swego celu: wypadki tamtej nocy dokonały się tak szybko, że stojący z boku człowiek mógł mniemać, iż Elmadamowi chodziło jedynie o usunięcie Azareela z otoczenia Mataniasza. Zamordowanie Azareela znowu pchnęło w niepamięć sprawę świętego roku i uwolnienia zaprzędanych. Mataniasz nie myślał o tym teraz. Miał jedno na głowie: aby być bardziej uległym Rahotepowi niż Elmadam, który zresztą ze swej strony zabiegał o to samo. Ponieważ Egipcjanin żądał od nich dobrych stosunków ze świątynią, obaj poczuli sobie szukać w otoczeniu Sarajasa ludzi, którzy mogliby im być przydatni... Pod powiekami Tamar pozostał obraz Kosama stojącego z pochylonymi ramionami na progu domu jej ojca. Widziała w nim wtedy rozpacz, ale o tym nie chciała myśleć. Nie lubiła miękkości w tych, których chciała traktować jako nieprzyjaciół.

Kaleb podszedł do niej, podał jej jabłko. Zapytał, czemu idzie od nich z dala i stroni od rozmowy. Abed miał w sobie nieśmiałość dawnego nie-

wolnika, ale jego synowie już tego nie znali. Chłopak był ładny; gdy szedł ulicami, niejedne oczy śledziły go z wysokości tarasu. Uczyniło go to pewnym siebie. Kiedy jednak powiedział Tamar, że mu się podoba, rzuciła na niego złe spojrzenie. Odsunęła się, on zaś już nie próbował nawiązać po raz drugi rozmowy.

Po spotkaniu z Jeremiaszem cała grupa, jadąc nocą, a ukrywając się w dnie, dotarła do Jordanu. Nie wiedzieli, dokąd ciągną: prowadził ich prorok wciąż milczący, nie spuszczający wzroku z leżącego na wozie kształtu. Przy nim nie śmieli odezwać się głośniejszy. Z trudem przebyli Jordan jeszcze wezbrany po niedawnych deszczach. Minęli Abel–Hassittin. Wędrowali teraz w górę, na wysoki płaskowyż moabicki, drogą na Medebę. Chłopcy z zacięciem oglądali nieznane sobie ziemie, Tamar szła na uboczu, milcząc. Abed niepokoił się coraz bardziej, a Jeremiasz, nic nie jedząc i prawie nie śpiąc, nieustannie adorował Arkę. Posuwali się wolno. Trzeciego dnia, gdy dotarli do górskiego siodła, Jeremiasz kazał zatrzymać się, zdjąć świętą Skrzynię z wozu i dla uczczenia miejsca zbudować kopiec z kamieni. Potem, poleciwszy zostawić wóz i woły pod opieką jednego z chłopców, począł iść wąską percią wiodącą w górę. Za nim ruszyła reszta, niosąc Skrzynię na ramionach.

Był to ciężki, długi i męczący pochód. Wstępowali coraz wyżej, aż wreszcie spostrzegli, że znajdują się na zboczu Nebo. Skąły zdawały się stąd spadać prosto w ołowianą toń Słonego Jeziora. Po drugiej stronie szarzały wzgórza judejskie.

Zbliżał się wieczór. Porywisty wiatr gwizdał nad nagimi wierchami. Perć zatarła się i znikła wśród osypisk, ale Jeremiasz prowadził ich ciągle z nieznaną wahań pewnością. Szli z coraz większym trudem, wczepiając palce w szczeliny i chwiejnie łapiąc równowagę na spadzistym zboczu. Prorok zdawał się tego nie widzieć. Szedł z twarzą podaną naprzód, podobny psu, który nie odchodzi od zwężonego śladu.

Zaczęło już ciemnieć, gdy bez słowa wskazał im palcem czerniejący wśród kamieni otwór pieczary. Byli ostatecznie wyczerpani, ale na ten widok wzmogli wysiłki. Szybko dotarli do małej suchej grotty. W jej środku, znajdował się kopiec, stary już, bo kamienie pokryte były mchem i zwietrzeliną. Nad kopcem Jeremiasz pochylił się na chwilę. Potem kazał postawić Arkę. Dyszeli ciężko. Prorok ukląkł obok Skrzyni, przytulił twarz do jej wieka. Trwał tak długo. Spazmatyczny ruch ramion mówił, że nabi płacze. Nie

śmieli mu przeszkadzać. Wyszli z pieczary i stali na skalnym zboczu w szybko gęstniejącym mroku.

On zaś płakał jak ojciec, który składa do grobu najdroższe dziecko. Nie mógł już nic więcej powiedzieć: przez czas drogi setki razy ofiarowywał swe życie i targował się uporczywie, po lichwiarsku... Nic nie osiągnął...

Kiedy wyszedł do nich, uderzyła ich oczy dziwna zmiana w jego twarzy. Zwykle ponura i bolesna, miała teraz na sobie piętno rezygnacji. Los dokonał się, ten los, którego drogę od megidzkiego pola do tej pieczary pod szczytem Nebo prorok widział jasno. Wyprostowany patrzył na szarzejącą w dali Judeę. Wiatr, który targał jego płaszczem, wysuszał łyzy, pozostawiając na twarzy suchy, palący ślad.

Powiedział im, by zawalili wejście do groty. Zrobili to prędko, poganiani nadciągającą nocą. Wtedy dał znak, że mogą schodzić na dół.

Szli milcząc, przejęci tym, co zrobili, a także dzikim majestatem gór, tężejących nagle w czarne, groźne piramidy. Ciemna, bez połysku woda leżała w dole. Spadały ku niej pełne piargu zleby. Nad wzgórzami judejskimi żarzył się jeszcze wąski pas nieba. Odeszli już dość daleko, kiedy nagle Baruch zatrzymał się gwałtownie. Chwycił Jeremiasza za rękę.

— Rabbi! — powiedział niespokojnym szeptem.

— Czego chcesz? — Jeremiasz zatrzymał się także.

— Rabbi! Nie zaznaczyliśmy miejsca, gdzie została Arka. Jak ją potem odnajdziemy?

Wydali okrzyk przerażenia. Obejrzel się trwożnie. Jeremiasz nie wydał się jednak zaniepokojony. Powiedział:

— Więc naznaczcie...

Baruch skinął na Kaleba i obaj szybko biegnąc zawrócili. Abed zmęczony siadł na jakimś głazie. Jeremiasz patrzył w stronę zachodu. Nie widział Tamar, która do niego podeszła. Dopiero gdy odezwała się cicho, odwrócił ku niej głowę.

— Czy wracamy do Jerozolimy?

Wolno i poważnie skinął głową.

— Dzieci — rzekł — nie odchodzą od matki w godzinę jej śmiertelnej trwogi...

I znowu milczał, a ona nie śmiała więcej pytać. Różowy pas na zachodzie

spopielał. Ściemniło się tak, że zaledwie widzieli siebie nawzajem. Po chwili usłyszeli kroki Barucha i Kaleba. Spod ich nóg piarg chrzęszcząc sywał się w dół. Baruch wołał już z daleka głosem pełnym rozpaczy:

— Nie znaleźliśmy grotty, rabbi. Nie możemy trafić do tamtego miejsca. Co zrobić? Co teraz będzie?

Zatrzymał się czekając na odpowiedź proroka. Chrząst kamieni ucichł i nastąpiła znowu przejmująca, wielka cisza górską. W dole było czarno: nad jeziorem zamknęła się pokrywa mroku. Natomiast w górze, na tle nieba lekko fosforyzującego przedblaskiem wschodzącego księżyc rysował się ostrym konturem szczyt Nebo. Wysoka sylwetka Jeremiasza okrytego białym płaszczem przypominała kolumnę. Wolnym ruchem prorok podniósł ręce i szeroko wyciągnął je w obie strony. Może przypominał sobie, że takim właśnie gestem tu, ze szczytu Nebo, Mojżesz żegnał się z nadzieją ujrzenia Ziemi Obiecanej, miodem i mlekiem płynącej.

Stał bez ruchu tak długo, aż zrozumieli, że im nic nie powie. Osunęli się na kamienie. Zrobiło się zimno. Zza poszarpanych szczytów wyjrzał księżyc, zapalając skry w stosach piargu i zasadzając pod każdym głazem narośl cienia. Jeremiasz ciągle stał. Cień padający od jego postaci, wyciągnięty długą linią na skalnym zbocz, miał kształt krzyża, na którym wieszano ciała skazanych na śmierć, przeklętych od Jahwe...

XV

Chciwie pił wodę. Skończywszy, z wdzięcznością skinął głową kobiecie i oddał jej kubek. Ona jednak trzymając naczynie w wyciągniętym ręku patrzyła uważnie na chłopca. Może dziwiła ją jego cienka i dostatnia kuttona zmięta i pokryta pyłem, bosa nogi bez sandałów, wzrok zmęczony i smutny. Zapytała:

— Czy idziesz z Jerozolimy?

Bez słowa skinął głową. Usta miał zapiekłe, czarny pył w oczach. Po tych trzech dniach szaleńczej włóczęgi po polach i wzgórzach ledwo trzymał się na nogach. Podniósł wzrok na kobietę, ona zaś uśmiechnęła się do niego łagodnie. Nie była młoda, ale gdy tak stała z dzbankiem na ramieniu,

miała w postawie sprężystość, jaką zachowują do późnych lat kobiety nie-
leniwe. Będąc młodą dziewczyną musiała być bardzo piękna i zgrabna.

Spytała go, czy jest zmęczony, a on znowu bez słowa skinął głową. Nie
potrzebowała go zresztą pytać. Siedział teraz na kamiennej ławie obok studni
i spuściwszy głowę, patrzył bezmyślnie na czarną kałużę rozdeptanej wody.

— Chodź ze mną — powiedziała. — Jestem biedna i samotna, ale znajdują
się u mnie placki, mleko i owoce. Chodź...

Podniósł na nią nieco zdziwiony wzrok. Była ubrana skromnie, jak wdo-
wa. Ale Kosam słyszał o kobietach, które pozorami skromności przywabiwały
mężczyzn. W tej chwili myśl o tym napawała go wstrętem i odrazą. Obca
mu była pociecha płynąca z zaspokojenia zmysłów. Kobieta jednak miała
wygląd budzący zaufanie. Uśmiechała się łagodnie i tak serdecznie, że chło-
pak prawie odruchowo wstał, wyrażając gotowość pójścia za nią. Bardziej
jeszcze niż odpoczynku i jedzenia pragnął dobrego, miękkiego słowa.

Szli obok siebie ku bielejącym na zboczu domkom wsi. Żar południa już
się przepalił: pozostała po nim w powietrzu ciężka, prawie gęsta spiekota.
Zboża stały nieruchomo po obu stronach drogi niby ściany morza, które się
rozstało. Była cisza. Żaden ptak nie odezwał się w tej męczącej godzinie
i tylko świerszcze cykały między jednym a drugim skokiem.

Ciągle milczeli. Dla Kosama pierwsze słowo było najtrudniejsze. Mieszał
się czując wciąż na sobie uważne spojrzenie towarzyski. Delikatnie uśmiech-
nięta, ani na chwilę nie spuszczała z niego oczu. Nie była to ciekawość, a
może raczej było to coś więcej niż ciekawość: dręcząca, zestrzelająca w sobie
wszystkie myśli niepewność. Wielkie ciemne oczy kobiety nabrzmiewały
łzami.

Przyprowadziła go do swego domu. Był to zwykły mały domek otoczony
kępą drzew, z ciemną izbą w środku, z tarasem na dachu i małą zagrodą ogra-
niczającą spacer kilku kóz. Pod drzewami stała ławka. Kobieta wskazała ją
Kosamowi.

— Siądź — powiedziała — zaraz przyniosę jedzenie.

Ulegle posłuchał jej rady. Oparłszy się plecami o pień drzewa, poczuł
od razu wielką ulgę w swym zmęczeniu. Kobieta weszła do domu. Nie sły-
szał jej kroków. Gdzieś gdakały kury, gdzieś dalej, koło innego już domu
słychać było rozbawione głosy dzieci. Zaszczekał pies, zabrzęczała pszczoła.

Upał rozpiął na tych odgłosach swą pajęczynę. Oczy przymykały się same. Kosam począł drzemać.

Obudziło go nadejście kobiety. Szła ku niemu przewiązana prześciera-
dłem, z cebrzykiem wody w rękach. Leniwie spojrzął na nią spoza przym-
kniętych powiek. Uśmiechnął się niedowierzająco, gdy powiedziała:

— Masz strudzone nogi. Pozwól, że ci je obmyję...

Bąknął pod nosem:

— Nie, nie... — ale nie bronił się.

Pokusa letniej wody i troskliwych dłoni była nie do odparcia. Pachnąca
świeżą korą oliwa płynęła mu na stopy. Nie tracąc nic z radości kąpieli zapadł
znowu w oszołamiający półsen. Dłonie klęczącej dotykały tak miło jego nóg.
Inaczej zupełnie, niż to robiły dziewczki służebne w domu stryja, a przedtem
u dziada. Ich dotknięcia były szorstkie, spieszne, czasem niechętne, a czasa-
mi znów drżące od niezrozumiałej chęci drapania. Czuł, jak pod dotknięciem
palców nieznamomej ustępuje zmęczenie. Nagle pochyliła się niżej. Jej palce
przez chwilę dotykały białej blizny na łydce chłopca, jakby nie ufała świa-
dectwu oczu. Podniosła głowę:

— Czy dawno byłeś tu skaleczony, wędrowcze? — zapytała.

Nie spostrzegł hamowanej gwałtowności i jakby niepokoju w jej głosie.
Obojętnie wzruszył ramionami:

— Nie pamiętam nawet. Zdaje się, byłem wtedy małym dzieckiem...

— I nie pamiętasz, czym się skaleczyłeś? Czy nie była to włócznia ojca?

— Może... Ale nie, nic nie pamiętam. Czemu pytasz?

Szybko spuściła głowę.

— Och, tak tylko... — znowu pochyliła się nad cebrzykiem i poczęła
zmywać wodą żółte krople oliwy. Może gdyby przyjrzał się jej lepiej, za-
uważyłby lekkie drzenie jej rąk i łzy, które coraz mocniej wzbierały pod po-
wiekami. Wysoka i twarda, dziewicza niemal pierś poruszała się głębokim
oddechem.

Wstała, wylała wodę pod drzewo. Odeszła do domu. Kosam zapadł na
nowo w błogą senność. Po jakimś czasie kobieta wróciła niosąc dzbanek
mleka, placki, miód, winogrona. Postawiła przyniesione jadło na ławce.

— Jedz! — powiedziała.

Ochota do snu odeszła Kosama. Poczul, że jest bardzo głodny i spragniony.

Łamał placki i gryzł je łakomie. Zapijał mlekiem. Stojąc obok patrzyła na to, uśmiechając się po swojemu: dobroliwie i łagodnie. Nieoczekiwanie, niby kij wypuszczony z ręki drzemiącego starca, padło jej pytanie:

— Jak się nazywasz, wędrowcze?

— Kosam... — powiedział przelykając garść winogron. Nową garść wepchnął sobie w usta. — Jestem synem Elmadama...

Kobieta zbladła jak ktoś, kto ujrzy dzina. Ale ani słowem, ani westchnieniem nie odkryła swoich uczuć. Spiesznym ruchem podsunęła Kosamowi ser.

— Jedz — powiedziała zamglonym głosem. — Jesteś głodny. Szedłeś z dała. Pewno zmęczyłeś się...

— Aha — potwierdził, wciąż jedząc z tym samymi apetytem.

Doczekała cierpliwie chwili, gdy ręka chłopca z mniejszą gwałtownością sięgnęła po kawałek placka. Wtedy dopiero zapytała:

— Spotkało cię coś przykrego? Wyglądałeś, jakbyś uciekał...

Nie był już głodny. Zmęczenie odeszło. Teraz dopiero wszystko, co przeżył i co od paru dni w sobie przetrawiał, zaciążyło brzemieniem milczenia. Ta nieznamoma wyglądała na dobrą i wyrozumiałą. Była taka, jaka nie była żadna kobieta w życiu Kosama, przynajmniej żadna spośród tych, które pamiętał. Wydawała się stworzona na to, by słuchać, radzić, pocieszać. Powolnym ruchem oplótł dłońmi kolano. Patrząc przed siebie, począł jej mówić o Tamar. Opowiadał o ich miłości, której był tak pewny, o ostatnich wydarzeniach w Jerozolimie. Niechętnie i krótko wspomniął o ojcu. To było ciągle jeszcze niezrozumiałe, nie dorosłe do mówienia o nim przeżycie. Znowu wrócił do Tamar. Wspomniął tamto nocne spotkanie i odejście dziewczyny. Do dziś dnia tego odejścia nie pojmował. Wydawało mu się, że miłość tłumaczy i tłumaczyć winna wszystko. Przecież ból wywołany śmiercią ojca i braci nie mógł zabić miłości Tamar do niego! On zresztą śmierci Azareela nie chciał... Znowu pojawiło się na ustach chłopca imię Elmadama.

Kobieta słuchała uważnie słów Kosama przesuwając dłonią po gładziźnie deski. W pewnej chwili powiedziała:

— Nie powinieneś się dziwić twojej dziewczynie... Mężczyźni często wyrządzają wielkie krzywdy...

— Lecz ja jej nie skrzywdziłem... — bronił się.

Nie odpowiedziała nic i tylko uśmiechnęła się miękko i ujmująco, jakby chcąc powiedzieć tym uśmiechem, że słowa o krzywdzeniu do niego nie mogą się odnosić. Pierwszy przedwieczorny cień zlepił się pod drzewami w szare kłaki. Od drogi dochodziło beczenie owiec i porykiwanie krów. Bydło wracało z łąk do zagród. Prowadzący je chłopcy krzyczeli. Szary tuman wznosił się ponad płoty i krzewy.

— Niektórzy mężczyźni... — podjęła cicho. Zdawała się mieć przed oczyma obraz tego, o czym chciała powiedzieć. Ale ten obraz zawierał tyleż cieni, co i blasków. Nieoczekiwanie uśmiechnęła się do swych myśli. — Niektórzy mężczyźni... — powtórzyła zupełnie już innym, miękkim i serdecznym tonem. Jej oczy patrzyły ciepło w twarz Kosama. — Nie powinieneś się trapić, chłopcze — powiedziała. — Czasem los się odmienia... — Podniosła głowę. Na tle pogodnego nieba leciały na południe wielkie stada ptaków.

— Tak... — mruknął. Głos kobiety uspokajał go, ale nie był to spokój zupełny. Pamięć odjeżdżającej Tamar, gwałtowny, bezwzględny gest, z jakim wyrwała mu miecz, nie ustępował sprzed oczu. Poza tym nie mógł zapomnieć tego dziwnego uczucia, które się w nim zrodziło wobec ojca. Może byłby już o tej nie dotrzymanej obietnicy zapomniiał, gdyby nie podświadomy lęk, że w postawie Elmadama pozostało coś, co nadal jeszcze grozi jego miłości do Tamar. — Tak... — powtórzył bezmyślnie. Na niebie wciąż widać było nowe stada ptaków: bociany znieruchomiałe na swych szeroko rozpiętych skrzydłach i kaczki trzepoczące się w powietrzu; jeszcze wyżej Kosam zobaczył samotnie szybującego orła. Niezrozumiałe widowisko, jakim był ten wieczorny przelot, na chwilę oderwało go od wspomnień.

Tymczasem kobieta podniosła się z ławy. Stojąc naprzeciwko, lekko oparta o pień drzewa, patrzyła na chłopca coraz przenikliwiej. Na poły do niego, na poły do samej siebie podjęła cicho:

— Mężczyźni wyrządzają krzywdy dziewczynom... — Zmieniła ton; mówiła teraz miękko, śpiewnie, jak wypowiada się słowa świętych pieśni:

*Była dziewczyna, która pokochała młodego mężczyznę, pięknego
i czarnowłosego.*

Niezdolna mu była niczego odmówić.

Mówiła jej matka: Nie kochaj cudzoziemca;

Znajdę ci lepszego męża, syna mej siostry.

Mówili bracia: Nie idź za cudzoziemcem,

Bo jest on lekkomyślnym chwalcą samego siebie...

Ale ona...

Dłonie kobiety uniosły się, jej palce poruszały się, w takt słów, jakby trącały struny niewidzialnego instrumentu. Musiała nieraz tak mówić, może pod dźwięk kinnor, może pod monotonne brzęczenie bębenka. Potem całe jej ciało poczęło gnać się rytmicznie: zdawała się zbierać do tańca. Nie wyglądała na młodą, a przecież mimo posepnego wdowiego ubrania i mimo smutku w całej postaci grało w niej młodzieńcze prawie zaufanie do miłości. Wydawała się nie ostygła, nie zgaszona, wciąż jeszcze oczekująca. Wysunęła przed siebie prawą nogę, lekko ugięła ją w kolanie. Mała stopa widoczna spod kuttony zdawała się dodawać treści wypowiedzanym słowom:

— Ale ona poszła za cudzoziemcem...

Teraz rozłożyła ręce. Wolno, okrągłym i szerokim ruchem podniosła je do twarzy. Wygiętymi dłońmi podobnymi do kwiatu, który rozchyła swe płatki, dotknęła czoła. Ten kwiat o nakreślonych jej palcami kształtach zdawał się wyrastać z jej bólu. W gęstniejącej ćmie wieczoru jej wyprostowana sylwetka z dłońmi przy czole zastygła w posąg. Cicho lecz wyraźnie wymawiała słowa swej opowieści:

*Ale cudzoziemiec, zabrawszy ją do swej ziemi i do swego miasta,
odszedł od niej.*

Inną pokochał, inną, która była panią i władczynią.

Królowym wierzył i gwiazdom, a nie miłości...

Opuścił dziewczynę, zabrał jej syna,

Jedynego syna, jak jedyny był Izaak...

Nie widział już jej twarzy. Zmierzch zatarł rysy kobiety i tylko białość skóry zdawała się świecić w mroku niby wschodzący ponad mgły księżyc. Długi, rozlewny rytm opowieści począł się skracać, nabierać życia, które nie przemieniło się całkiem w pieśń, ale dalej trwa:

Gdzie jesteś, cudzoziemcze, towarzyszu lat minionych?

Inne kobiety płaczą dziś łzami moich oczu,

Inni ojcowie przeklinają ciebie,

Inni bracia grożą ci pomstą...

Ale ja nie chcę cię ani przeklinać, ani się nad tobą mścić!

Gdzie jesteś, cudzoziemcze, ukochany mój i niezapomniany?

*Noc spada z drzewa, podobna oczekivanemu od dawna
deszczowi.*

A gwiazdy...

Nagle urwała. Może śpiewając o gwiazdach podniosła głowę w górę. Zamiast słów opowieści wydała okrzyk. Odruchowo i Kosam poszukał wzrokiem zapalających się gwiazd. Ale ich nie znalazł. Na ciemne od południa niebo z północy wylewała się purpurowa luna. Kosam zerwał się na nogi. W pobliżu postłyszeli przerażone wycie psa. Z cichej niedawno jeszcze dali dobiegł ich niby pomruk buzującego na palenisku ognia gwar głosów ludzkich. Czerwień rosła. Rozlewała się coraz szerzej, coraz jaskrawiej. Już nie tylko płonęła na niebie, ale siała swój upiorny blask poprzez gałęzie i liście drzew na ziemię. Daleko na horyzoncie buchały w górę krwawe kłęby, wspinały się jedne nad drugimi, pełne żaru i grozy. Jacyś ludzie przebiegli w pobliżu, coś do siebie wołając zdławionymi od trwogi głosami. Psy czekały lub wyły, bydło porykiwało. Dźwięki znane i nieznanne rozlegały się naokół. Każdy z nich wznosił atmosferę lęku i niepokoju.

— Co to jest? — szepnęła kobieta. Wyciągnęła dłonie i chwyciła w nie dłoń Kosama. Czuł, jak drży. — Co to jest?

Nie odpowiedział. W dali na horyzoncie wszystko zdawało się płonąć. Można było sądzić, że na miasta i na osady ziemi Efraima: na Adame nad Jordanem, na Silo, Afek, Ono, na filistyńskie Jafo nad Wielkim Morzem spadł z nieba żywy płomień. Półkrąg ognia stał niby ściana. Wiatr przynosił z dala żar, krzyki i czarne płaty spalenizny. Czasami wytryskiwały w górę snopy iskier, czasami tłusty dym przytłumiał na chwilę czerwień. Niespokojne krzyki urastały w zamęt. Kilka dziecinnych głosów brzmiało rozpaczliwą nutą przestraszu. Jakieś zwierzę przebiegło koło nich: w czerwonym blasku mignęła długa ruda kita. Lis uciekał nie dbając o ludzi. Potem rozległ się ostry ryk, znany i zawsze budzący trwogę, lecz tym razem sam lękiem przejęty: także lwy uchodziły na południe.

— Chodźmy na drogę — powiedział Kosam.

— Dobrze, poczekaj chwilę... — zwróciła się w stronę domu.

Ale chłopak nie czekał na nią. Ten przerażający pożar na horyzoncie miał magiczną moc przyciągania ku sobie. Z oczyma utkwionymi w czerwoną pulsującą ścianę szedł na przełaj ku drodze. Na zaróżowionej ziemi leżały długie cienie drzew i krzewów. Zboże szumiało, liście palm i sykomorów chwiały się niespokojnie i trzepotały niby skrzydła kolibrów. Obudzone

przepiórki wrywały mu się z łopotem prosto spod nóg. Zbliżył się do drogi. Tu zobaczył ludzi. Jedni w czerwonym blasku, który kładł im pod nogi dywan cienia, szli przed siebie nawołując się niecierpliwie, objuczeni rzeczami, prowadząc za rękę lub niosąc na plecach dzieci, popędzając przed sobą bydło; drudzy niezdecydowani, drżący i rzucający od czasu do czasu lękliwe pytania, stali wzdłuż drogi, podobni użalającym się nad swym zrośnięciem z ziemią drzewom. Odchodzący znikali w mroku, lecz na ich miejsce nowe fale ludzi nadpływały spod ściany ognia. Idący niechętnie odpowiadali na stawiane im pytania. Mężczyźni odburkiwali opryskliwie, kobiety wybuchały lamentem i zaraz biegly szybko za odchodzącymi mężami. Dzieci szły w milczeniu, oglądając się tylko za siebie rozszerzonymi lękiem oczyma. Sześćioletni może chłopiec kurczowo tulił do piersi białego psiaka, w którego ślepiach pożar odbijał się błyskami trwogi. Dwie dziewczynki pociągając nosami pędziły przed sobą stadko ogłupiałych i pobekujących owiec. Jakaś kobieta z rozwianymi włosami spadającymi jej na twarz to biegła wzdłuż szeregu idących, to znowu zawracała przeciwko fali i pędziła na ślepo, wymachując rękoma i krzycząc dzikim głosem:

— Juda! Gdzie jeste? Juda! Juda!

Kosam stanął przy drodze. Dreszcz nie do przeczywienia trząsł jego ciałem. Obok przechodziła właśnie grupa rzemieślników niosących narzędzia swej pracy na ramieniu. Na twarzach mężczyzn zastygł ostry wyraz gniewu. Zaciskali zęby. Gdy Kosam zapytał:

— Co się tam dzieje? Dlaczego uciekacie? — błysnęły im oczy. Jeden z nich powiedział chrapliwie:

— Chaldejczycy przyszli!

Drugi dorzucił, podnosząc zaciśniętą pięść:

— A z nimi inne łotry i złodzieje: Ammonici, Moabici, Edomici... Wszelkie plugastwo rzuciło się na nas!

Odwrócili się w stronę, z której przybyli. Na ich twarzach, oświeconych teraz łuną, malowała się zawziętość; Musieli nienawidzić straszliwie tych barbarzyńców, którzy im nieśli zagładę.

— Pałą wszystko! — zakrzyczał jakiś mężczyzna z toporem cieśli na ramieniu. — Każdego zabijają, każdą kobietę gwałcą! Po zbożu jeżdżą końmi i wozami! Drzewa owocowe tną! W studnie rzucają ścierwo!

Z determinacją ruszyli dalej gniewnym krokiem. Dopiero gdy oddalili się nieco, Kosam zawołał za nimi:

— Dokąd idziecie?

Odwrócili się. Ten, który pierwszy powiedział mu o Chaldejczykach, odparł:

— Do Jerozolimy! Tam będziemy się bili. Tam nam nie dadzą rady!

— Wszyscy do Jerozolimy! — zawołał ktoś drugi.

Mężczyźni przeszli, nadchodziła nowa fala uciekinierów. Kosam niepewnie postąpił naprzód; wszedł w pracy drogą nurt ludzki, odwrócił się twarzą w przyciemniającą noc i ruszył z innymi. Tłum pochłonął go i porwał. Nie pamiętał już o niczym. Wiedział tylko jedno, że wraca do Jerozolimy, aby walczyć...

Był już daleko, kiedy nadbiegła kobieta. Zbliżała się do grup stojących ludzi, wołała niespokojnie:

— Kosamie! Kosamie!

Nikt jej nie odpowiadał. Tylko ci, co ją znali, zwracali się do niej z pytaniem:

— Kogo szukasz? Kogo wołasz, Rut?

— Wędrowca z Jerozolimy... Chłopca, który odpoczywał u mnie. Czyście go nie widzieli? Młodego, pięknego chłopca, najpiękniejszego?...

Potrząsali głowami. Gdyby nie groza wisząca nad wszystkimi, może drwiliby z kobiety. Byli zresztą przekonani, że oszalała. Ogień na dalekim horyzoncie nocy wydawał się coraz jaskrawszy i coraz bliższy. Posuwał się ku nim niedostrzegalnie, a przecież nieustępliwie. Nowe tłumy napływały z dala. Ten i ów decydował się: biegł do domu, chwycił najpotrzebniejsze przedmioty, ciągnął za sobą dzieci, kobietę, bydło — i przyłączał się do ludzkiej fali. Stojący czuli, że ważą się tej nocy losy wszystkich. Nikt nikomu nie potrafił nic poradzić. Każdy musiał być posłuszny jedynie własnej intuicji. Kogóż mogła obchodzić kobieta biegnąca między nimi z imieniem „Kosam” na ustach?

XVI

Obóz wojsk chaldejskich leżał naprzeciw północnego muru Jerozolimy, między Nob i Bahurim, ale łańcuch czat otaczał miasto ze wszystkich stron. Nabuchodonozor nakazał pilnować czujnie, by nikt się do Jerozolimy nie przedarł. Natomiast tych, którzy z miasta uciekali, kazał przyjmować łaskawie i puszczać na wolność. Nie było jednak takich wielu. Ludzie bali się Babilończyków, nie ufali im, a zresztą, kto uciekał, narażał się na schwytanie przez swoich, ci zaś schwytanych zabijali. Walk nie było. Chaldejczycy nie podejmowali szturmów, Żydzi nie śmieli atakować olbrzymiej armii najeźdźców. Obie strony wyladowywały swój temperament bojowy w lżeniu się wzajemnym. Wodzowie chaldejscy: niezwyciężony Nabuzardan, Nirgelear, Semegar, Echarampas, Rebmag, Nabosar, Sereser codziennie wczesnym świtem przychodzili pod namiot królewski, sądząc, że usłyszą wreszcie rozkaz uderzenia na miasto. Ale Nabuchodonozor wciąż czekał. Ścisnął Jerozolimę ciasną obręczą, kazał zbudować ze ściągniętego aż z Syrii drzewa wieże oblężnicze i tarany, pozwolił Nirgelearowi zdobyć i spalić Betel, Semegarowi — Gibeon, Rebmagowi — Jerycho. Judea stała się pustynią. Miasta i wsie poszły z dymem. Ludność albo wyginęła, albo poszła w niewolę, albo kryła się po lasach i po górach. Nad bezpieczeństwem wielkiej drogi wiodącej przez Damaszek, Megiddo, Askalon czuwali żołnierze babilońscy. Jeden z wodzów chaldejskich, Aremant, oblegał Tyr i Sydon. Ciężka dłoń władcy z północy ciążyła nad całym krajem.

On zaś sam wychodząc co rano z namiotu patrzył uważnie na grube mury wyrastające ze skalistej wyżyny. Nie mówił nic. Wiatr rozwiewał jego jasne włosy, nieznacznie zszarzałe od siwizny, która poczyniała się między nie wkładać. Unosił wiecznie zdziwione brwi, uśmiechał się do siebie lub groźnie zaciskał szczęki. Pozornie roztargniony, wysłuchiwał długich relacji strażników. Gdy go pytano, co robić z ludźmi schwytanymi podczas próby dostania się do miasta, odpowiadał niezmiennie, aby ich nabić na pale ustawione naprzeciwko murów. Jęk męczonych dochodził aż do namiotu. Nabuchodonozor słuchając tego skowytu patrzył na sterczące sponad murów miasta pylony świątyni i miedziane słupy. Zdawał się nie widzieć wodzów, którzy stali przed nim w milejącym oczekiwaniu. Można było sądzić, iż nie rozumie ich niemego pytania. Często za to wzywał do siebie wieszczków. Jednym z nich kazał sobie odkrywać przyszłość z pomieszanych strzał, innym z trzewi zwierząt, jeszcze innym z kadzidlanego dymu. Dwa razy dziennie

sam składał ofiarę u stóp Marduka. Wieczorami patrzył w gwiazdy i słuchał pouczeń magów, którzy wyjaśniali mu tajemnice lotu złotych świetlików na firmamencie nocy.

Jeden Nabuzardan ośmielał się czasami przerwać królewskie zamyślenie. Nisko kłoniąc się przed Nabuchodonozorem, pytał:

— Czy chcesz ich złamać głodem? Parę miesięcy mogą wytrzymać...

Ale Nabuchodonozor nie odpowiadał. Spod przymrużonych powiek patrzył na wodza swych wojsk. Zmieniał temat. To on pytał:

— Co robi Hofra?

I Nabuzardan musiał opowiadać o relacjach szpiegów, którzy donosili, że młody faraon gotuje się do wojennej wyprawy.

Samotnie, w towarzystwie tylko milczącego Aspenaza, Nabuchodonozor udawał się na przechadzkę. Najczęściej obchodził wkoło miasto. Z murów widziano go i krzyczano gniewnie. Usiłowano rzucać weń kamieniami, wygrażano włóczyniami. Nie widział tego lub udawał, że nie widzi. Szedł obojętnie, z rękoma założonymi do tyłu.

Miasto tymczasem kipiało żądzą walki. Ogromne tłumy uciekinierów z całej Judei skryły się za murami. Koczowano na ulicach i na podwórcach świątyni. Ściągnięto wiele bydła, zboża, owoców, toteż choć oblężenie trwało już trzeci miesiąc, głód nikomu nie dokuczał. Zresztą i Mataniasz kazał otworzyć spichlerz królewski. Był zdecydowany walczyć. Uległ żądaniom tłumu, który ział nienawiścią do wroga za murami; żądaniom swych doradców, którzy przekonywali go o potrzebie walki; cichemu, lecz stanowczemu nakazowi Rahotepa. Po raz pierwszy miał poczucie, że wszyscy w królestwie są zeń zadowoleni. Gdy wychodził przed pałac, witał go pełen gotowości okrzyk ludzi i żołnierzy. Dworacy przepowiadali mu zwycięstwo. Elmadam, któremu oddał dowództwo obrony, wyraźnie zmienił się od tego czasu: zachowywał się bardziej przyjaźnie. Rahotep mniej pogardliwie kiwał głową. Konieczność odprawiania modłów o zwycięstwo zbliżyła Mataniasza do świątyni. Nieustępliwy dotychczas Sarajasz zdecydował się przybyć pewnego dnia do Sella. W małych oczkach ukrytych za grubymi policzkami król wyczytał pragnienie zgody. Prorocy zgodnym chórem wieścili triumf. Mówił o nim i Emmer, którego Mataniasz miał zresztą za oszusta, i Habakuk, który, choć młody, cieszył się w świątyni wielką czcią i sławą.

Jeden tylko człowiek był mu przeciwny. Mataniasz wiedział o tym. Do-

niesiono mu, że Jeremiasz jest w mieście. Zresztą od czasu nadejścia Chaldeczyków przestał się ukrywać. Pojawiał się czasami na ulicach. Nie przemawiał, wiedział bowiem, że nie dano by mu mówić. Poprzednia niechęć przemieniła się w nienawiść. Spluwano na jego widok, rzucano gniewne słowa, ciskano błotem i kamieniami. Przesuwał się milczący i żalony, podobny wydobytemu na światło dzienne nietoperzowi. Chciał kilka razy podejść do murów, ale żołnierze odegnali go, grożąc włóczniami. Wołali za nim szyderczo: — Nie śpiesz się tak do twoich Chaldeczyków! Gdyby go nie karmiono w domu Abeda, umarłby niewątpliwie z głodu i pragnienia.

Lecz ten pogardzany i znenawidzony przez wszystkich Jeremiasz był wciąż przeciwny walce z Nabuchodonozorem. Mataniasz wiedział o tym dobrze, choć z prorokiem nie rozmawiał. Ta świadomość dręczyła lękiego króla. Nie wystarczała mu pochwała całego miasta. Uspokoiłby się, gdyby usłyszał, że stary nabi począł sądzić inaczej. Ta myśl kielkowała w nim coraz mocniej. W końcu powiedział Abdemelechowi, którego od czasu tamtej nocy darzył wielkim zaufaniem, aby mu w najgłębszej tajemnicy sprowadził Jeremiasza. Tym razem była to noc chmurna, popłakująca raz po raz rzęsy tym deszczem. Król chodził niecierpliwie po izbie, strzelając palcami i ciągnąc się nerwowo za spadające na ramiona włosy. Bał się, że ktoś może spotrzeć Jeremiasza, lękał się także spojrzeć w twarz nabiego. Dręcząca go jednak niepewność była dokuczliwsza niż wszystkie strachy. Kiedy wreszcie postyszał stapanie za drzwiami, poczuł, że mu bije serce. W podnieceniu począł nawijać włosy na palec, tak jak to zwykli byli robić jego brat i ojciec.

Jeremiasz wszedł do izby okryty długim ciemnym płaszczem. Kiedy zsunął z głowy kaptur, Mataniasz nerwowo poruszył nogami, jakby gotując się do ucieczki. Połyskliwe, groźne oczy patrzyły na króla spoza nabrzmiałych powiek. Sucha dłoń wspierała się na kiju, z bosych stóp ochlapanych deszczem woda spływała na płyty posadzki. Jeremiasz milczał. Mataniasz nie wiedział, co oznacza to milczenie. Było ono jeszcze straszniejsze niż krzyk.

— Siądź, Jeremiaszu... — zaczął.

Ale prorok nie usiadł. Stał dalej nieruchomy, z wzrokiem utkwionym w króla. Zmoczone na deszczu siwe włosy wiły się jak węże.

— Siądź... — powtórzył Mataniasz swoją prośbę.

I tym razem Jeremiasz nie usiadł. Rzucił krótko i niechętnie:

— Po coś mnie wezwał?

— Widzisz, Jeremiaszu... — zaczął król płacząc się i jękając. Przedstawił nabiemu zapał i gotowość obrońców miasta, obietnice Hofry pośpieszenia im z pomocą, pełne nadziei słowa proroków, modły, jakie Sarajasz zarządził w świątyni. Targając jeden ze swych rudoszarych loków, mówił o powszechnej wierze w zwycięstwo. Wszyscy ufają, że Nabuchodonozor odejdzie pobity spod murów Jerozolimy. A czy on, Jeremiasz — Mataniasz podniósł na chwilę głowę i ośmielił się spojrzeć w oczy proroka — także w to wierzy?

Czekał czas jakiś na odpowiedź, przyglądając się czarnym plamom ścieklej z nóg Jeremiasza wody. Ale zamiast odpowiedzi prorok zapytał surowo:

— Tego chciałeś się dowiedzieć, Mataniaszu?

Z tonu jego głosu król pojął, że stanowisko Jeremiasza nie uległo zmianie. Prorok nie chciał walki i nie wierzył w jej powodzenie. Podświadomie beznadziejnym ruchem Mataniasz opuścił ręce. Nie miał już o co pytać. Lękał się natomiast ostrych, pełnych gróźb słów, które mu kradły spokój. Stali tak przed sobą milcząc. Za oknami szumiał deszcz i szumiały trącane ciężkimi kroplami liście palm. Nieoczekiwanie spokojnie zapytał znowu Jeremiasz:

— Po cóż mnie pytasz? Inni ci mówią...

Z rozbrajającą otwartością wyznał:

— Chciałbym, aby wszyscy...

Jeremiasz pobłażliwie pokiwał głową. Wolno podniósł ręce i naciągnął kaptur na głowę. Postąpił ku wyjściu. Jeszcze od progu odwrócił się. Jego pełen smutku wzrok spotkał się ze spojrzeniem Mataniasza; spotkanie ich oczu wyzwoliło to samo wspomnienie sprzed lat. Dla Mataniasza było ono jednym z tych wyrazistych w szczegółach, oderwanych od kolejności zdarzeń obrazów z dzieciństwa; dla Jeremiasza — przeżyciem, które siłą wielokrotnego powracania i przetrawiania w pamięci stało się już nie tym, czym kiedyś było, ale tym, czym wzbogacone o lata rozmyślań w końcu zostało. Wychodząc z tej samej izby Jeremiasz widział Jozjasza pochylonego nad małym Mataniaszem. Deszcz tak samo smagał noc za oknami. Ojciec podobny był do syna: chciał mieć pewność. Nocą wezwał Jeremiasza. Kręcąc na palcu rude włosy, pytał: „Czy jesteś jednak pewien, Jeremiaszu, że mamy stanąć przeciwko faraonowi?...” Gniewnie i twardo rzucił mu wtedy — akurat tak jak dziś: „O to mnie chciałeś zapytać?” Kiedy wychodził, los wyprawy był już ostatecznie utwierdzony. Jozjasz pochylił się nad swym najmłodszym, najukochańszym. Czerwone włosy ojca spadały na czerwone włosy syna. Jeremiasz patrząc na mężczyznę obejmującego ramieniem dziecko czuł —

i ta świadomość pozostała w nim jak rana — że tego człowieka kocha. Ale dla dziecka ten ogromny półnagi prorok pozostał w pamięci tym, który oderwał od niego ojca. I to wspomnienie pozostało w nim jak pamięć kłątwy.

Tej jeszcze nocy, zaledwie Mataniasz zasnął, został obudzony przez Abdemelecha. Trzebieniec pochylając się nad łóżem szepnął mu do ucha, że przyszedł Elmadam z ważną wieścią. Król wyszedł do wodza niechętnie. Nie miał nigdy humoru, gdy go nagle obudzono, ale z uwagi na osobę gościa pokrył twarz przyjaznym uśmiechem. Zobaczył, że Elmadam ma minę triumfującą. Rycerz był jak chłopak, zaledwie zdolny do upilnowania nowiny, która paliła mu wargi. W jego spojrzeniu nie było niechęci, tylko wielka, oszołamiająca nadzieja. Pewnym siebie gestem uderzył dłonią w stół. Zawałał:

— Wieści od faraona! Hofra wyruszył do walki!

— Co ty mówisz?

Gwałtownie gestykułując Elmadam opowiadał: Mimo straży chaldejskich, korzystając z deszczu, do Jerozolimy przekradł się goniec od faraona. Przyniósł wieści, że Hofra z wojskiem wyruszył przeciwko Nabuchodonozorowi i jest już w Kades. Faraon dyszy pragnieniem walki. Jego jeźdźcy i konie bojowe idą jak burza. Nic nie zdoła się im oprzeć. Także flota egipska płynie na odsiecz miastom fenickim. Nadeszła wielka chwila rozgromienia chaldejskiego barbarzyńcy!

— No, no... — Mataniasz z uznaniem pokiwał głową. Rozważając pomysłne znaczenie usłyszanej nowiny, nie mógł uchronić się przed stwierdzeniem w duchu, że nowa sytuacja stwarza także nowe trudności.

Ale Elmadam nie przyszedł tylko w tym celu, by powiedzieć Mataniaszowi o nowinie. Chodziło mu o to, że należy natychmiast dokonać gwałtownego uderzenia na obóz chaldejski. Ludzie chcą się bić. Wszyscy płoną nienawiścią do Babilończyków. Nie będzie przecież faraon sam za nich walczył. Tam, w obozie Nabuchodonozora, wiedzą już pewno o zbliżaniu się Hofry. Lęk ich ogarnął. Czas najlepszy, aby spaść na nich nocą, niespodziewanie, odpedzić od miasta, przyczynić się do zwycięstwa. Mataniasz kiwał głową. Pomysł wydawał mu się dobry, miał jedynie tę złą stronę, że podnosił znaczenie Elmadama. „Źle jest dla królów, gdy ich wodzowie przegrywają — przypomniało mu się usłyszane kiedyś zdanie — źle jest, gdy wygrywają...” Nie było się jednak o co zaczepić. Przebywający w Jerozolimie ludzie naprawdę chcieli walczyć. Był tu także Rahotep, który pilnował wierności

Mataniasza, a wyrzeczenie się walki mógł źle zrozumieć. Zresztą, jak wynikało ze słów Elmadama, wszystko było już przygotowane do wypadu. Część ludzi stała zgrupowana przy obu bramach wychodzących na północ. Ci — wyjaśniał Elmadam — mieli uderzyć z okrzykiem na obóz chaldejski, a następnie udać ucieczkę. W tym czasie reszta powinna wyjść cicho bramą Końską i obszedłszy niepostrzeżenie, dzięki ciemnej nocy, obóz chaldejski, uderzyć na Babilończyków od tyłu, w chwili gdy ci rzucają się w pogoń za uciekającymi. Plan wydawał się świetnie obmyślony. Mataniaszowi wypadło tylko okazać podziw i oświadczyć, że on sam przyłączy się do walczących.

Jednakże bez zapału zawieszał na szyi miecz i brał tarczę. Abdemelech kręcił się koło niego, zaciągając rzemienie pancerza. Część straży pałacowej miała iść z królem dla osłony jego osoby. Najemni żołnierze również nie entuzjazmowali się walką. Obcy był im zapał pragnącego zemsty tłumu. Czuli szacunek dla wojowników króla Nabuchodonozora. Mataniasz był coraz bardziej zdenerwowany. Wdziawszy na głowę wielki hełm, który gniótł mu czoło i wywoływał szum pod czaszką, ciężkim krokiem poszedł do swej żony Ketury. Ta już nie spała — wieść o przygotowanym wypadzie dobiegła i do niej. Przerazonym wzrokiem patrzyła na Mataniasza, który stąpał niezgrabnie i wciąż potykał się o własne nagolenniki. Obejmując ją ramieniem i przyciskając do piersi, pomyślał sobie, że żał mu tego wszystkiego, co dać może kobieta, a co straci, jeśli padnie w walce. Ketury zresztą nie kochał, ale cenił ją, ponieważ dała mu czterech synów i cztery córki. Idąc do dzieci myślał cały czas o tym, że przyjdzie mu zginąć. Podrażnili go chłopcy, którzy nie tylko nie spali, ale zaraz, gdy przyszedł, poczęli prosić, by im pozwolił iść walczyć. Najstarszy, Feldes, miał lat szesnaście i mógł już właściwie wyruszyć na wyprawę. Ale tego chciał nawet najmłodszy, sześciolatek Aner! Mataniasz krzyknął z gniewem, aby się uciszeli. Był zdania, że nie doceniają niebezpieczeństwa, na jakie będzie narażony ich ojciec. Chłopców kochał i dziś już gryzł się myślą o tym, że po jego śmierci będą się wzajemnie zwalczać.

Na mieście ruch był niebywały. Ulicami przebiegały zbrojne gromady. Niesiono zapalone pochodnie, które zresztą paliły się źle, dymiły i gały, ponieważ deszcz popadywał bez przerwy. Uderzano włóczniami o tarcze. Zrywały się burzliwe okrzyki:

— Śmierć Chaldecykom! Odpędzimy Nabuchodonozora!

Jadąc konno otoczony swymi żołnierzami Mataniasz myślał, że w taką noc jak dzisiejsza Jeremiasz powinien dobrze się ukryć. Gdyby ukazał się na ulicy, zabito by go na pewno. Podniecenie rosło. Pod bramą Beniamina stał już tłum ogromny, nad którym wznosił się prawdziwy las włóczni. Ludzie wrzeszczeli, powtarzając jedni drugim przepowiednię wyzwolenia wypowiedzianą przez Habakuka. Elmadam oświadczył, że on sam pójdzie z tymi, którzy urządzają zasadzkę, chce zaś, aby Mataniasz towarzyszył uderzającym na obóz chaldejski. Był to pomysł właściwie bardzo dla króla korzystny, gdyż w tej grupie mniej narażał się na niebezpieczeństwo i nie musiał iść na ryzykowną nocną wyprawę. Ale Mataniasz martwił się, że dzięki takiemu ułożeniu cała sława spadnie na Elmadama.

Z boku pod murem stał poczet Rahotepa. Egipcjanin siedział na swym koniu jasnokremowej barwy, mającym białą grzywę i biały ogon. Ciemna twarz księcia była jak zwykle nieruchoma. Wygięte usta nie traciły ani na chwilę wyrazu pogardy. Co chwila odwracał się od szykującego się do walki tłumy i z zadowoleniem przyglądał się swej kształtnej nodze rysującej się ciemną linią na jasnej sierści konia.

Skrzypnęły zawory. Brama otworzyła się wolno na ścianę nocy. Tłum z pochodniami, włóczniami, przeraźliwie krzycząc wylał się niby rzeka na pole. Ludzie ogarnięci zapałem poczęli biec. Mataniasz jechał w środku ciżby. Oślepiały go pochodnie, widział tylko koło siebie czerwone od wrzasku twarze, natomiast nic nie dostrzegał za pierwszą linią swoich. Jego koń, ogarnięty zapałem galopował i Mataniasz musiał trzymać go ze wszystkich sił, aby nie wyskoczył przed falangę. Król odruchowo mrużył oczy, nasłuchując już, już mającego wybuchnąć zgiełku walki. Tymczasem wciąż jeszcze nie walciono. Pędzili dalej przed siebie, ogłuszając się swoim krzykiem, natomiast nie słysząc wcale krzyku nieprzyjaciela. Po pewnym czasie Mataniasz poczuł niepokój. Oddalili się stanowczo za bardzo od murów miasta. Gdzie są Chaldejczycy? Może to nie oni na Nabuchodonozora, lecz Nabuchodonozor na nich urządził zasadzkę? Mataniasz niespokojnie obejrzał się wstecz, by zobaczyć, ile pretów odjechali od bramy. Ale i teraz nic nie widział. Czarna, zadeszczona noc zawarła się za nimi niby zatrzaśnięte drzwi. To wcale nie było przyjemne. Mataniasz pomyślał, że powinien wydać rozkaz, aby się zatrzymać. Ale nie mógł się na to zdobyć. W głowie mu huczało; biegnący do natarcia ani przez chwilę nie przestawali krzyczeć, i to tak dziko, że w chaosie każdy pojedynczy głos musiałby utonąć. Koń rwał ciągle naprzód.

Mataniasz zaczął już myśleć, że szalony bieg ku Chaldejczykom nigdy

się nie skończy, kiedy nagle ton krzyku Żydów zmienił się: stał się wyższy, gorętszy, gwałtowniejszy, jak krzyk ludzi, którzy rzucają się na wroga. Równocześnie do uszu Mataniasza doszedł krzyk inny, dobywający się spoza kręgu judejskich wojowników. Król zrozumiał, że następuje spotkanie. „Teraz powinniśmy zacząć uciekać!” — przebiegło mu przez głowę. Młynkiem wykręcił konia do tyłu. Zwierzę nie chciało iść. Przerażony Mataniasz począł je tłuc piętami po bokach, ile tylko miał siły. Krzyk rósł: krzyczeli i jego ludzie, i tamci drudzy. Mataniasz wrzasnął: „Wszyscy uciekać!” — po czym, nie czekając na innych, rzucił konia w galop. Wpadł na swoich żołnierzy, dwóch z nich przewrócił. Ani spostrzegł, kiedy wyrwał się z masy własnego wojska i znalazł się sam na pustym czarnym polu. Leżąc prawie na grzbiecie końskim, cwałował z powrotem ku murom miasta. Był przekonany, że wszyscy uciekają za nim.

Nagle koń odskoczył gwałtownie w bok. Mataniasz o mało nie spadł. Ktoś chwycił mocno wierzchowca przy pysku. Okrzyk: „puszczaj!” zamarł na ustach króla. Opanował się. Koło niego stali ludzie z pochodniami. Trochę dalej siedział na swym dziwnym rumaku ksiązę Rahotep. Uśmiechnął się zjadliwie.

— Gdzież to tak pędzisz, Mataniaszu? Król ściągnął szarpiącego się konia, wyprostował się. Zagryzając wargi powiedział:

— Mamy udawać ucieczkę przed Chaldejczykami.

Rahotep zaśmiał się, jakby ktoś drewnianą piłą przejechał po desce:

— Świetnie... — kazał przełożyć tłumaczowi — ale przecież nie ma Chaldejczyków...

— Nie ma Chaldejczyków? — powtórzył Mataniasz półprzytomnie, jakby obudzony ze snu.

— Tak. Chaldejczycy odeszli — mówił od siebie tłumacz. — W ich obozie spotkaliśmy Elmadama i jego ludzi. Nabuchodonozor odszedł wcześniej. Pewno przestraszył się faraona.

Tłum wojowników wymachując pochodniami wracał triumfalnie po bezkrwawym zwycięstwie. Zachrypłymi głosami oznajmiano miastu ucieczkę wrogów. Mataniaszowi przyszedł na myśl Jeremiasz. Bez złości, raczej ze współczuciem powiedział cicho do siebie: — Fałszywy wieszczek...

XVII

Ludzie byli pijani triumfem. Ucztowano, bawiono się, tańczono. Zabawy zamieniały się w orgie. Siedząc na dachu domu Abeda Jeremiasz patrzył ponuro na słupy różowego dymu, które wieczorami wznosiły się znad wzgórz okolicznych; mówiły one o kwitnących znowu obcych kultach. Ich podniecający rytuał kusił i zdobywał sobie wyznawców. Nie opuszczano zresztą Przybytku; nie przestawano wierzyć, że opiece Jahwe miasto zawdzięcza wyzwolenie — mimo to śpieszono do gajów, do rozpalonych pieców, do pochodów oplakujących śmierć Tammuza, do namiętnej, gwałtownej i zamraczającej mistyki krwi i ziemi.

Jeremiasz prawie nie ruszał się z miejsca. Nieruchomy i zeszywniały, siedział na ziemi wlepiwszy wzrok w daleki horyzont, jakby czegoś stamtąd wyczekiwał. Z dołu, z ulicy dochodziły go radosne wrzaski. Nawet w domu Abeda panowała radość: wnosili ją chłopcy, upojeni ucieczką Chaldeczyków, butnie potrząsający swymi włóczniami. Wicher wojennego zapału porwał ich także. Nie myśleli o Jeremiaszu. Ten, kto odszedł spod murów Jerozolimy, był dla nich wrogiem. Proroka czcili, ale uważali go za szaleńca. Zresztą nie rozmawiali z nim. On także milczał.

Milczał. Wargi mu się zamknęły i zapiekły. Musiał milczeć: Głos, który na chwilę zmałował tyle lat trwającą ciszę, znowu nic nie mówił. Na nowo urastały w sercu gorycz i zwątpienie. Na nowo trzeba było podjąć wysiłek szukania własnej, przez siebie tylko wybranej drogi. Jahwe pozostawiał go samego w obliczu nie spełnionych gróźb.

W tym bolesnym opuszczeniu od Boga chciał być także samotny na ziemi. Unikał rozmowy z Abedem. Niecierpliwym gestem ręki oddalał od siebie Barucha. Ta radość, która biła z twarzy ukochanego ucznia, była dla proroka najboleśniejszym doświadczeniem.

Musiał przewalczyć swą słabość. Gdy całe miasto huczało weselem, on pasował się ze sobą niby zapaśnik spleciony ramionami z potężnym przeciwnikiem. Piekły go oczy. A przecież patrzył — dzień i noc...

Wbrew krzykom ludzi na ulicach — i bardziej jeszcze wbrew własnemu sercu — pojmował, że wróg wrócić musi. Głos nigdy nie kłamał, choć tak dziwnie dokonywały się zapowiedziane przezeń klęski. Triumf odejścia Chaldeczyków nie był żadnym triumfem. Nie przypominał prawdziwego triumfu. Czyż chodziło o to, by z pomocą Hofry pobić Nabuchodonozora

lub z pomocą Nabuchodonozora pobić Hofrę? Ich triumf powinien być mieć inny, swój własny, nieporównywalny wymiar. Ich triumf... — Jeremiasz pojmował to w jakichś rwanych błyskach, choć jednocześnie miał świadomość, że jest to rzecz nie do wyrażenia i prawie nie do pojęcia dla ludzkiego prostego umysłu. — Ich triumf mógł nadejść tylko równocześnie z klęską... To była oczywistość, której zarysy zamajaczyły przed nim wtedy, gdy wędrował z porwaną Arką. Wydawało mu się wówczas, że kamienne tablice Praw musiały zniknąć nie tylko dlatego, że zostały odrzucone. Musiały zniknąć, ponieważ były kamienne...

Lecz jeśli się nawet nie mylił, to przecież to myślenie było nad siły i nad miarę wytrzymałości ludzkiej. Jeremiasz coraz częściej miał uczucie, że jest narzędziem, którym włada ręka silniejsza niż moc narzędzia. Był niby rzeczne koryto niezdolne do utrzymania przelewającej się wody. Lecz gdy bezwzględny mus kazał mu być odkrywcą przyszłości, kruchość ludzkiego serca zmuszała go, by był także obrońcą teraźniejszości. Jego myśli związane były uporczywie z połyskującą gwiazdą. A jednocześnie nie przestawał myśleć, jak ocalić Jerozolimę — wbrew jej samej...

Kilkakrotnie w czasie oblężenia zbliżał się do bramy. Rzeczywiście chciał wyjść z miasta. Nie dano mu! On, który miał w ręku obietnicę jasnowłosego króla, nie miał możliwości o wypełnienie tej obietnicy prosić.

Lecz obecnie sytuacja się zmieniła. Teraz niewątpliwie mógł wyjść z miasta, jak wychodzili inni ludzie. Powinien był więc wyjść i albo iść za wojсками chaldejskimi, które — Jeremiasz był o tym przekonany — nie uciekły, ale wyruszyły przeciwko Hofrze, albo zaczekać za miastem na ich powrót. Tylko wówczas będzie mógł dotrzeć do Nabuchodonozora. Tylko wówczas, rzucając na szalę przyjaźń wielkiego króla, będzie mógł kupić raz jeszcze bezpieczeństwo Jerozolimy.

Ta myśl nie dawała Jeremiaszowi spokoju, aż wreszcie postanowił zgodnie z nią postąpić. Nie powiedział o tym nawet Baruchowi. Sam wmieszał się pewnego ranka w opuszczający miasto tłum.

Ale poznano go przy bramie. Zerwały się krzyki i drwiny.

— Gdzie twój Nabuchodonozor? — wrzeszczała jakaś kobieta.

— Hej ty, fałszywy wieszczku! — szydzono.

Dwaj chłopcy wzięli garść błota i ulepiwszy zeń kule cisnęli nimi w Je-

remiasza. Jedna z kul rozprysła się na policzku proroka. Tłum wybuchnął śmiechem.

— Niech cię Chaldeczyk ratuje! — wołano. Poskarż się, Nabuchodonozorowi!

Zacisnąwszy usta Jeremiasz szedł dalej. Ani słowem nie odpowiedział swym prześladowcom. Mimo to popchnięto go niespodziewanie tak mocno, że o mało nie upadł. Potem jakaś dziewczyna wyrwała mu łaskę i uciekła z nią, chichocząc złośliwie. Było mu trudno iść, musiał wyciągnąć ręce jak ślepiec. Zamglonym wzrokiem widział przed sobą jasny wykrój bramy. Lecz kiedy miał ją mijać, jakaś ciężka ręka chwyciła go za ramię.

— Ach, to ty!? — usłyszał wypowiedziane z niebywałą nienawiścią słowa. Zobaczył przed sobą wykrzywioną gniewem młodą twarz przywódcy strażników. Oczy tamtego mrużyły się gniewnie, krótkie zaciśnięte zęby ukazywały się spomiędzy wykrzywionych warg. — To ty? Uciekasz do Chaldeczyka?!

Jeriasz zawołał dwóch strażników i kazał im prowadzić Jeremiasza. Sam ruszył przodem. Nadeszła chwila, kiedy mógł wreszcie dokonać pomsty za śmierć dziada, zemsty, której nie dopełnił w tamtą noc, gdy próżno szukał proroka w pustej jaskini. Podniecenie wystąpiło mu na twarz czerwonymi wypiekami. Szedł szybko, nie myśląc o tym, że strażnicy, aby nie zostać w tyle, pędzili i popychali Jeremiasza. Robili to zresztą z uciechą. Stary prorok zataczał się, potykał, wreszcie upadł. Kopnięciami i uderzeniami włóczyń zmusili go do powstania. Po paru krokach upadł znowu twarzą na leżący kamień. Rozciął sobie brew i gdy powstał, jaskrawoczerwona smuga przecinała mu policzek. Pędzili go znowu, pokrzykując:

— Prędej, służko Nabuchodonozora!

Jeriasz zaprowadził swego więźnia do Elmadama, który właśnie przebywał w otoczeniu Rahotepa i wodzów judejskich. Dzikie zadowolenie tryskało z twarzy młodego dziesiętnika, gdy powiedział o ujęciu Jeremiasza. Taki sam błysk zapalił się zaraz w oczach Elmadama. W izbie zapadła cisza. Syn Hera spojrział pytająco. Nikt nie zabierał głosu. Wtedy zapytał złowrogo:

— Co należy robić z tym łotrem?

Zdania były podzielone. Jedni wzruszali pogardliwie ramionami, inni milczeli. Tylko nieliczni poczęli krzyczeć:

— To fałszywy wieszczek! Szpieg babiloński! Odbierał ducha ludziom,

mówiąc, że nie powinni walczyć z Nabuchodonozorem! Zabić go! Zabić go!

— Macie słuszość! — syknął Elmadam. Dawne urazy odżyły w nim na nowo. Wszystkie życiowe klęski, o które oskarżał Jeremiasza, stanęły mu przed oczyma. — To szpieg! Zabijmy go!

Los proroka zdawał się przesadzony, bo choć nie wszyscy żądali dla niego śmierci, nikt jednak nie miał chęci wystąpić w jego obronie. Jeriasz zatarł ręce. Powiedział niskim, pulsującym nienawiścią głosem:

— Pozwólcie, że ja go zabiję...

Nieoczekiwanie Rahotep, któremu tłumaczono rozmowę, potrząsnął swą łusą głową. Krótkim gardłowym „nie” narzucił swe zdanie. Kazał mówić tłumaczowi:

— Nie ma się co śpieszyć z zabijaniem... — odszukał wzrokiem niską, prawie karłą postać pisarza Jonatana. Wskazał na niego palcem: — Wystarczy, że szpiega każecie obić, a potem oddacie Jonatanowi... Już on go przypilnuje... No co?

Zdanie Rahotepa było zawsze rozkazem. Usłyszawszy je Jonatan zachichotał okrutnie, ukazując w śmiechu swe czarne, rzadkie zęby.

Pod domem Jonatana znajdowała się ciasna, zimna i wilgotna nora, tak niska, że człowiek wzrostu Jeremiasza nie mógł w niej prosto stanąć. Służyła dawniej do przechowywania wina. Ale teraz wina tu nie trzymano. Loch służył tajemniczym celom związku „Czcieli Isztar”, tajnej mafii, która działała od dawna w Jerozolimie. Jej przywódcą był Jezoniasz, zaś Jonatan — zaufanym wykonawcą jego rozkazów. Dom pisarza stał na uboczu i był dobrze strzeżony przez kilku muskularnych niewolników. Nawet podejść do niego nie było wolno.

Jeremiasza wepchnięto do środka. Stoczył się po kamiennych schodach, kilkakrotnie uderzając o nie głową. Zbito go kijami i rzemiennymi batami, tak że całe ciało miał pokryte pręgami opuchlizny i krwią. Upadłszy leżał bez ruchu, ciężko łapiąc powietrze. Bolesnie wpatrywał się w ciemność.

Nie pozostawiono go w spokoju. Jonatan zeszedł do lochu w towarzystwie niosącego pochodnię niewolnika. Kopnął leżącego. Kazał go polać wodą. Upewniwszy się, że Jeremiasz jest przytomny i może go słuchać, za-

siadł na ławie i począł mówić. To była najokropniejsza tortura, jaką można było zadać więźniowi. Karzeł wiedział, czym może zranić proroka. Drwił zeń, z jego wiary, z jego miłości do ludu, z jego prorocत्व, z Jahwe... Był szydercą zawziętym i doświadczoneym. Zdawał się czytać dokładnie myśli swego więźnia. Krzywiąc się podobnie jak ta ohydna gliniana figurka, którą Jeremiasz zapamiętał w tłumie zwyciężonych bóstw z pałacu Nabuchodonozora, rozdrapywał jedne za drugimi bolesne wątpliwości, które od lat tkwiły, podobne ułamanym grotom, w sercu proroka.

— Ładny z ciebie wieszczek! — drwił. — Wieścisz same klęski. Potrzebny był Judzie akurat taki jak ty, by ludziom odbierać chęć do życia i do zabawy! — Wyciągnąwszy nogę kopał Jeremiasza lub żgał go cienką, długą włócznią. — Nie śpij! Nie mdlej!

Prorok czasami mdlał, wtedy Jonatan wzywał niewolnika, który pełnym dzbanem chlustał w twarz leżącego.

— Obudziłeś się? — pytał złowrogo. — Dobrze... Więc uważasz się za proroka? Sądzisz, że to Jahwe mówił do ciebie? Ładnie twój Jahwe kocha swój lud wybrany, skoro ciebie posłał, byś go wiódł na pohańbienie... Nie śpij! — wołał znowu i uderzał włócznią w zbolące ciało Jeremiasza. — Nie śpij! Nie śpisz? Może więc to był nie Jahwe, lecz szatan? Co?

Nie przestawał mówić. Upajał się swą elokwencją i swą domyślnością. Czujnym wzrokiem śledził najmniejsze drgnienie na twarzy Jeremiasza. Z ledwo dostrzegalnych skurczów ust, z ruchów zbiegających warg odgadywał domyślnie skutek swoich słów. Kiedy wreszcie odszedł, Jeremiasz, którym poczynała trząść gorączka, miał uczucie, że to nie był człowiek, ale jedno z piekielnych bóstw pogańskich, okrutnych jak fenicki Belzebub.

Zapadł w ciężki, oszołamiający sen. Ale spał niedługo. Znowu obudził go jaskrawy blask pochodni i strumień wody chluśnięty prosto w twarz. Dźwignął głowę. Jonatan stał nad nim, podparty pod boki, kwadratowy, ohydny. Chichotał złośliwie. Ujrzawszy otwarte oczy proroka, znowu począł szydzić. Tym razem Jeremiasz starał się go nie słuchać. Jedyne całym wysiłkiem woli trzymał oczy otwarte, wiedząc, że gdy je zamknie, otrzyma pchnięcie włócznią lub cios sandałem. A mimo to każde słowo Jonatana zapadło w jego pamięć. Przekonał się o tym, gdy znowu został sam. Wydawało mu się, że gdy tylko prześladowca odejdzie, on prędko zaśnie i zapomni o wszystkim. Nie zasnął. Wszystko, co mówił Jonatan, wracało teraz podobne echu. Tysiące uragaliwych, budzących niepokój słów dzwoniło w ciszy lochu. Nie mógł spać.

Był zbolały i spragniony. Ale wody mu nie dano, więc tylko wykręciwszy twarz ku ziemi dotykał ustami błota, które miał pod głową. Gdy wreszcie zasnął, sen pełen był zwidów i lęków. Wyrwało go zeń wejście Jonatana. Karzeł patrząc na swego więźnia zanosił się chichotem.

Nie wiedział, ile dni tkwił w tym lochu. Mrok więzienia rozjaśniała tylko pochodnia niewolnika schodzącego tu razem z Jonatanem. Siły poczęły go zwolna opuszczać. Otepiał nawet na słowa pisarza. Słyszał je, ale ich nie rozumiał. Niemniej lękał się go. Sam dźwięk głosu Jonatana działał na Jeremiasza jak chłosta. Wolał już ciszę z nawrotem dręczących myśli, wolał pragnienie niż widok krzywiącego się karła. Skrzyp drzwi napawał go dreszczem przerażenia. A gdy wizyta się opóźniała, nasłuchiwał lękliwie, kiedy znów odezwą się kroki.

Pewnego dnia razem z Jonatanem zeszło do lochu trzech ludzi ze straży królewskiej. Ich dowódca mówił coś gniewnie do pisarza, ten zaś odpowiadał mu równie ostrym tonem.

— To więzień księcia Rahotepa! — ciskał się Jonatan.

— Król tu rządzi, nie twój książę! — odpowiadał mu setnik tupiąc nogą.

— Zobaczysz, pożałujesz tego... — syczał pisarz. Ale strażnik nie zwracając na niego uwagi pochylił się nad leżącym. Powiedział:

— Wstań, Jeremiaszu...

Prorok dzwignął się, ale nie mógł ustać na nogach i zaraz upadł. Siły opuściły go zupełnie. Jeden z żołnierzy musiał wziąć go pod ramiona i wywlec na górę. W świetle kilku pochodni prorok wyglądał jak szkielet lub jak szara mumia wyrzucona z grobowca. Dano mu wody i chleba. Pił chciwie, ale z trudem tylko zdołał przełknąć kawałek chleba. Mimo krzyku i oporu Jonatana żołnierze wsadzili proroka na osła i powieźli ze sobą. Musieli trzymać go z obu stron, bo byłby spadł. Nad miastem rozpościerała się noc, ale niebo nad dachami domów było różowe, jak gdyby wszystkie wzgórza otaczające Jerozolimę płonęły. Ludzi po drodze nie spotykali. Ostatnio — Jeremiasz pamiętał — ulice nawet nocą pełne były rozśpiewanych korowodów, tłumów ubranych odświętnie, z pochodniami i z liśćmi palmowymi w rękach. Obecnie nie widziało się nikogo. Gdzieś wył pies. W bocznej uliczce zakłaskały boscie stopy. Koło idących żołnierzy przebiegł chłopiec z bochenkiem chleba w ręku. Potem posłyszeli krzyk:

— Złodziej! Trzymajcie!

Przybyli do Sella. Dwaj żołnierze poprowadzili, a raczej ponieśli Jeremiasza w głąb pałacu. Weszli z nim do izby, w której nie tak dawno prorok rozmawiał potajemnie z Mataniaszem. Król czekał tu znowu niecierpliwie, nawijając na palec swe czerwone włosy. Kazał żołnierzom, aby wyszli. Z wyrazem niepokoju na twarzy stał przed wynędzniałym Jeremiaszem, pochrząkując kłopotliwie.

— To nie ja... — wykrztusił wreszcie — to nie ja wsadziłem cię do lochu...

Jeremiasz milczał. Mataniasz znowu wczepił palce we włosy i targał je raz po raz. Wreszcie podjął gwałtownie, zdradzając tą gwałtownością nurujący go lęk:

— Więc co Pan rzekł?

Prorok przez cały czas siedzenia w lochu milczał. Miał uczucie, że spieczony długimi dniami pragnienia gardło zapuchło i stężało. Gdy się odezwał, głos jego zazgrzytał niezrozumiale. Ale Mataniasz zrozumiał w tym zgrzycie słowa:

— W ręce króla babilońskiego wpadniesz...

Cofnął się gwałtownie. Trząsł się jeszcze przedtem, przekonany w głębi serca, że jednak nic innego nie usłyszy. Ale potwierdzenie jego obaw złamało go. Ciężko usiadł na ławie, zasłonił twarz rękoma. W ciszy rozlegał się tylko podobny stękanii oddech proroka i szloch króla.

Wreszcie powiedział Jeremiasz:

— Czemu mnie więzicie? Czy skrzywdziłem was swym prorokowaniem? — przemógł wrodzoną dumę. Jego zachrypły głos zabrzmiał błagalnie: — Przez miłość, jaką miał dla mnie twój ojciec, Mataniaszu, proszę cię, nie wydawaj mnie już w ręce Jonatana...

Siedział teraz w więzieniu w Sella, gdzie oprócz zwykłej stawy przynoszono mu codziennie bochen chleba z królewskiego stołu. Pod zakratowane okno mogli przychodzić ludzie i wolno mu było z nimi rozmawiać. Zobaczył tutaj Barucha pełnego niepokoju o swego mistrza. Od niego to dowiedział się, że wojska chaldejskie stoją znowu pod murami miasta i nie tylko stoją, ale także przypuszczają codziennie ostre szturm. O armii egipskiej nie wiadano nic, ale żołnierze babilońscy pokazywali z dołu stojącym na

murach Żydom wielkie ilości zdobytego egipskiego sprzętu i przechwalali się krzykliwie, że Egipcjan razem z faraonem pobili na głowę. Jeżeli wieść była prawdziwa, znaczyło to, że nikt już Jerozolimie na pomoc pośpieszyć nie może. Babilończycy wołali także, że dwa dotychczas broniące się przed nimi miasta judzkie Lachis i Azecha zostały zdobyte i puszczzone z dymem.

O ile mógł przypuszczać, Nabuchodonozora nie było w obozie chaldejskim. Kto wie, czy nie ruszył do Egiptu w ślad za pobitym Hofrą?

W mieście entuzjazm zgasał ustępując miejsca ponurej determinacji. W zamęcie radości nie odnowiono zapasów, więc też nagle poczęło wszystkiego braknąć. Nie było oliwy, zabrakło także fig i daktyli. Baruch przychodząc do Jeremiasza przynosił mu ukradkiem coś do jedzenia. Jawnie nie mógł się pokazać z chlebem w ręku, bo zaraz biegli za nim ludzie ofiarowujący za bochenek złoto, lub inni, którzy grożąc nożem żądali, by im chleb oddał. Abed nie ruszał się z domu, drżąc o zapasy, które posiadał w piwnicy. Jego synowie służyli zbrojnie, czuwali na murach lub odstraszaali ogniem, strzałami i kamieniami obłąnnicze wieże chaldejskie.

— A Tamar? — pytał Jeremiasz.

Baruch siedząc w kucki przy kracie rozłożył ręce. O Tamar nie miał wiadomości. Gdy Jeremiasz zniknął, a oni nie wiedzieli, gdzie jest, dziewczyna biegała po całym mieście, wciąż go poszukując. To ona wywiedziała się, że proroka zatrzymał przy bramie Jeriasz i zaprowadził go do Elmadama, zaś byli i tacy, co jej opowiedzieli, jak okrwawionego nabiego przeprowadzono z dworu Eluzaja do domu Jonatana. Wtedy dziewczynę ogarnęła wściekłość. Mówiła wiele złych słów na Elmadama i na innych ludzi. W końcu zabrała swego białego konia i na nim samotnie odjechała z miasta. Przed nadejściem Chaldeczyków nie powróciła.

Dni płynęły teraz za dniami, urastały w tygodnie, w miesiące. Jeremiasz siedział w swym więzieniu nasłuchując zgiełku walki, ciężkich uderzeń chaldejskich taranów, jęku rannych i coraz częściej rozlegającego się lamentu kobiet. Ten lament stawał się z dnia na dzień głośniejszą muzyką miasta. Niesiono rannego lub zabitego żołnierza — kobiety rwały włosy z głowy i wrzeszczały jak opętane. Częściej jednak krzyczały z innego powodu: skakały sobie do oczu o bochenek chleba, o wiązkę czosnku, o garść fig, o miarkę mąki. Kłóciły się o jedzenie, które jeszcze można było kupić. Co raz częstsze były kradzieże. Jeremiasz siedząc w swym więzieniu, z głową opartą o kratę, słyszał wrzaski poszkodowanych, tupot uciekających i nawo-

ływania goniących. Strażnik, który przynosił mu pożywienie, powiedział pewnego dnia, że schwytanego złodzieja zabito kijami na ulicy. W dwa dni potem historia powtórzyła się i odtąd stało się rzeczą zwykłą, że kto wyciągnął rękę bodaj po kromkę chleba, bywał karany śmiercią. Ten sam strażnik żalił się Jeremiaszowi, że jego dzieci są głodne, a on nie ma im co dać jeść. Słyszając o tym prorok zapłakał. Potem powiedział żołnierzowi, żeby zabierał dla swych dzieci przysyłany mu od króla chleb. Baruch nic już teraz nie przynosił przychodząc. Opowiadał Jeremiaszowi, że w mieście podniósł się krzyk przeciwko świątyni, w której codziennie, jak dotychczas, składa się przepisaną ofiarę. Ludzie wołali, aby ofiary przestano składać, a bydlę odano głodnym.

— Jak sądzisz, rabbi? — pytał Jeremiasza. — Czy lud żąda rzeczy słusznej, czy też grzeszy?

Prorok patrzył na swego ucznia i w jego błyszczących oczach czytał odpowiedź. Baruch nie miał odwagi sam głośno odpowiedzieć na swoje pytanie, lecz w duchu potakiwał tamtych, głodnym i krzyczącym. Był synem nędzy i wiedział dobrze, czym jest głód.

— Ofiarą najmiłszą Panu — powiedział Jeremiasz — jest duch skruszony... Bydło lepiej oddać głodnym...

Sam był także głodny. Strawa więzienna była nędzna i nie wystarczająca. Chleb królewski jadły dzieci strażnika. Zresztą nie minęło wiele dni, gdy strażnik powiedział mu ze smutkiem, że już i na dworze nie ma chleba, więc przestano go dawać więźniowi.

Kiedyś razem z Baruchem przyszło pod kratę dwóch ludzi. Byli bladzi, wynędzniali. Wyciągnęli do Jeremiasza chude dłonie.

— Rabbi — jęczeli — teraz widzimy, że ty jeden mówiłeś prawdę... Nie gardź nami, ale powiedz, co mamy robić, by ocalić życie. Tu, w mieście, czeka nas śmierć.

Odpowiedział im:

— Ocalcie życie... Uciekajcie do Chaldejczyków...

Następnego dnia pod oknem więzienia zebrała się gromada ludzi. Przyszły także kobiety z dziećmi. Wszyscy wyglądali okropnie. Dzieci były chore, miały wzdęte brzuchy i obrzękłe ramiona. Matki łkając ukazywały prorokowi swe wyschłe piersi, zwisłe żałośnie na obciążniętych skórą żebrach. Mężczyźni pociągali nosami i powtarzali ponuro:

— Miej litość nad nami... Nie gniewaj się... Powiedz...—

Powtarzał:

— Uciekajcie do Chaldejczyków...

Trzeciego dnia pod murem więzienia stał cały tłum. Przynoszono prorokowi dzieci, które pomarły — małe, okrutnie spęczniałe trupki, od razu poczynające cuchnąć. Kobiety biły głowami o mur, wrywały sobie włosy, drapały twarze i piersi. Coraz więcej widział ogolonych żałobnie głów. Razem z płaczem i szlochaniem podnosiły się gniewne krzyki, zaś nad głowami ukazywały się zaciśnięte pięści. Słyszał wołania:

— W świątyni jest jeszcze bydło! Czemu go nam nikt nie da? Kapłani i dworacy jedzą, my umieramy z głodu! Odebrać bydło kapłanom! Jedzenie dla ludu....

Czwartego dnia nieomal połowa dolnego miasta pchała się do kraty. Lament mieszał się z groźnymi krzykami, urastał w burzę. Jeszcze przed wieczorem wiedzieli o tym Sarajasz i Elmadam.

XVIII

Nie czekając następnego dnia, obaj udali się do Mataniasza.

Sarajasz kazał zanieść się do Sella w lektyce. Arcykapłan był ponury i milczący. Wyciągnawszy się wygodnie, złożył dłonie na brzuchu i kłopotliwie przebierał palcami. Zwykle udając się do pałacu kazał nieść się drogą okólną, wiodącą zboczami Syjonu. Zanim minął bramę Sella, już cała Jerozolima wiedziała, że arcykapłan udał się do króla. Ale obecnie Sarajasz nie miał ochoty na zetknięcie się z motłochem miejskim. Na jego widok krzyczano nawet na podwórku świątyni: „Oddajcie nam bydło ofiarne!” Gdyby go zobaczono na mieście, mogło być jeszcze gorzej.

Łagodne kołysanie lektyki wprawiało zwykle Sarajasza w stan miłej drzemki. Dziś był jednak zbyt podniecony, aby spać: wiadomość o tłumach kupiących się pod kratą więzienia Jeremiasza wytrącała go zupełnie z równowagi. Sarajasz nie rozmawiał z prorokiem od owej księżycowej nocy, w której blasku Jeremiasz stanął przed nim z dziwacznym żądaniem. Potem, gdy arcykapłan przekonał się, że Arka zniknęła z Przybytku, ochłonawszy

z pierwszego wrażenia począł podejrzawać o jej skradzenie starego nabiego. Mimo to w dalszym ciągu milczał.

Rozpoczęło się oblężenie, ale Sarajasz był na ogół dobrej myśli: przecież Nabuchodonozor dwukrotnie już odszedł spod murów Jerozolimy, odejście więc chyba i tym razem. W miarę jednak biegnących miesięcy począł go ogarniać niepokój. Dla arcykapłana, jak zresztą i dla całej Jerozolimy, symbol Arki był symbolem opieki Jahwe. To był dany znak mocy. On pozwalał trwać małemu ludowi w miazdzących wszystko cęgach dwóch potęg. Póki istniał, póty można było ufać w wybawienie. Ale łatwo było przekonywać o tym kogoś, kto sądził, iż Arka stoi jak dawniej w ciemnej niszy Przybytku. Sarajasz jednak wiedział, że tak nie jest. Kilkakrotnie jeszcze wchodził do Świętego Świętych w tajemnicy i wbrew rytuałowi. Chciał upewnić się, że nie uległ złudzeniu. Ale nie — Arki nie było!

Ogarniał go coraz większy strach. Na zewnątrz, wobec kapłanów i lewitów był po staremu pewny siebie, uderzał pięścią w stół dla przypieczętowania swych słów nieustępliwy, apodyktyczny. Lecz w samotności nachodziło go przerażenie na myśl, co się stanie z nimi, z miastem, z ludem wybranym, ze świątynią — jeśli Arka do Przybytku nie wróci. A może — i tutaj niepokój urastał do rozmiarów rozpacz — a może — zadawał sobie pytanie — ten szaleniec po to wykradł Arkę, by ją oddać Nabuchodonozorowi? Z właściwą sobie skłonnością do upraszczania snuł dalej przedziwo myśli: Jeremiasz zgłupiał całkowicie w swym ślepym zaufaniu do barbarzyńcy z północy, wynosił go ponad lud własny, może nawet wyobraził sobie, że wielkie królestwo Chaldei połknąwszy małą Judeę stanie się dzięki temu królestwem wybrania, królestwem ludu Bożego...

Aż dotąd Sarajasz żywił nawet w głębi serca pewną słabość dla Jeremiasza. Uważał go za nieco szalonego marzyciela, pełnego jednak najczystszych intencji. Ale od czasu utwierdzenia się w przekonaniu, że to Jeremiasz porwał Arkę dla Nabuchodonozora, wszelkie uczucia sympatii ustąpiły miejsca namiętej wrogości. Pierwszym przejawem tego było gniewne milczenie. Tym, którzy mówili o proroku, przerywał ostro:

— Dajcie mi spokój z waszym Jeremiaszem!

Zaciskał grube wargi, nadymał się jak indyk. Na policzki występowały mu krwawe plamy. Nienawiść do nabiego była w nim teraz równie silna jak przywiązanie do świątyni; była formą przywiązania do świątyni. W proroku Sarajasz widział najniebezpieczniejszego wroga obietnic Jahwe.

Gdy powiedziano mu o masach zbiegających się pod więzieniem, zapie­nił się po prostu. To było nowe niebezpieczeństwo. Dotychczas pospólstwo odsuwało się od Jeremiasza jak od zdrajcy. Jeśli się to jednak zmieni, opę­tany prorok może urosnąć na wodza. Trzeba działać natychmiast! Trzeba zamknąć usta szerzące zgorszenie!

U Mataniasza zastał już Elmadama, który wrócił właśnie z murów i z pod­niecieniem opowiadał królowi o wielkim taranie babilońskim, który poważnie uszkodził mur północny. Mimo wielkich wysiłków żołnierzy taran zdołał dotrzeć do murów i tłukł w nie przez cały dzień. Dopiero wieczorem odcią­gnięto go do obozu chaldejskiego. Zaraz z ustaniem walki przystąpiono do naprawy wyłomu, ale to nie mogło zapobiec nieszczęściu, gdyby następnego dnia Chaldecykom udało się znowu doprowadzić wieżę w to samo miej­sce.

— Więc co będzie? — pytał król głosem, który zawsze, gdy Mataniasz był przestraszony, stawał się piskliwy i drżący.

— Trzeba zrobić wypad i spalić taran — powiedział stanowczo Elmadam. Próbował mówić spokojnie, ale zapalał się. — To jedyna rada. Myślałem już o tym. Wezmę do tego „Chłopców Lasu Libanu”...

„Chłopcami Lasu Libanu” zwał się oddział sformowany już w czasie trwa­nia oblężenia spośród synów rodzin jerozolimskich. Nosili tę nazwę dlatego, że Mataniasz oddał im broń i zbroje wiszące zwykle w wielkiej sali Sella, zwanej „Domem Lasu Libanu”. Był to najdzielniejszy oddział obrony. Uży­wano go do najtrudniejszych zadań.

— Weź ich... — powiedział Mataniasz. W duchu poczuł ulgę, że zabro­nił Feldasowi służyć w oddziale „Chłopców”. — Weź ich... — powtórzył melancholijnie. Nie jadł jeszcze wieszery, więc poczuł się głodny i to mu podsunęło pytanie: — A co, Elmadamie, z żywnością?

— Żle — odpowiedział wódz. — Nie mam nic w spichrzu. Rozdaliśmy wszystko, co było. Lecz wiem, że w świątyni jest jeszcze kilka sztuk bydła...

— Sarajasz — Mataniasz wykrętnie wskazał ręką na arcykapłana, dając do zrozumienia, że sam w tej sprawie jest bezradny — nie da ci go.

— Mylisz się, Mataniaszu! — Król i Elmadam zwrócili pełen zdumienia wzrok na grubego arcykapłana. — Mylisz się. Jest tam jeszcze coś dziesięć baranów, i te oddam Elmadamowi dla jego żołnierzy... Trudno. Nie będziemy składali ofiar aż do dnia odejścia Chaldecyków.

— Bardzo ci dziękuję... — zaczął Elmadam.

Ale Sarajasz lekceważąco skinął dłonią.

— Nie ma o czym mówić. Tak trzeba... Chcę wam opowiedzieć o czym innym. Czy wiecie, że pod więzieniem, w którym siedzi Jeremiasz, zbierają się tłumy pospólstwa?

Oczy Elmadama spotkały się z oczyma arcykapłana i w jednym krótkim błysku porozumiały się. W obu płonąła nienawiść.

— O tym samym chciałem mówić! — zawołał Elmadam.

Jeden przez drugiego zaczęli opowiadać Mataniaszowi o tym, jak to Jeremiasz buntuje ludzi namawiając ich, by uciekali do Nabuchodonozora.

— Cóż więc mam z nim zrobić? — zapytał Mataniasz, gdy skończyli.

Porozumieli się wzrokiem.

— Zabrałeś go z lochu Jonatana... — poprzez słowa Elmadama przebiła zawziętość. — Oddaj mi go z powrotem. Uciszę go.

— Chcesz go znowu oddać Jonatanowi?

Elmadam porywczo wzruszył ramionami:

— Nie wiem jeszcze. Ale go uciszę, zaręczam ci. Tylko daj mi go...

Mataniasz odgarnął włosy do tyłu. Zdawał się namyślać. Nie miał najmniejszej ochoty oddawać jeńca w ręce Elmadama, jeńca, którego uważał za jedyną zasłonę, mogącą w niebezpiecznej chwili ocalić go przed gniewem Nabuchodonozora.

— Nie — powiedział wreszcie — ja go sam uciszę... Jonatan jest okrutnikiem...

Elmadam przerwał mu gwałtownie:

— W twoich rękach Jeremiasz buntuje ludzi!

— Nie będzie już buntował...

— Albo właśnie będzie! — gniewnie wykrzywił usta.

Dłoń, którą gestykułował, zacisnęła się w pięść. — Bo ty chcesz, aby to robił. Karmisz go z własnego stołu...

— Co? Co? — począł bąkać Mataniasz. Zbladł. Raz po raz nawijał włosy na palec.

— Nie spierajcie się — wtrącił pojednawczo Sarajasz. — Ty, Matania-

szu — zwrócił się do króla — powinienes Jeremiasza oddać Elmadamowi. Naprawdę bardzo źle się stało, że on mógł mówić do ludzi i osłabiać ręce walczących. A ty, Elmadamie — skinął głową wodzowi — nie musisz go przecież wsadzać do lochu Jonatana, skoro Mataniasz tego nie chce. Czy to nie ma go gdzie zamknąć? Sam ci pokażę niejedno dobre miejsce...

Przekonywał króla słowami grzecznymi, ale nieustępliwymi. Zresztą nie potrzebował się bardzo starać. Mataniasza spłoszyły słowa Elmadama i zaciętość, jaka ukazała się na jego twarzy. Bał się go. Ten człowiek miał teraz w ręku całe wojsko, mógł więc zrobić wszystko, czego tylko zapragnął. Nie było w Jerozolimie nikogo, kto by się jego zamiarom sprzeciwił, zwłaszcza że ostatnio Rahotep przestał się zupełnie wtrącać do spraw królestwa. A Mataniasz zbyt dobrze pamiętał ten krótki, lecz mocny cios miecza, od którego zginęła Melcha. I ten miecz, Mataniasz czuł to dobrze, jest w każdej chwili bliższy jego sercu niż włócznia Chaldejczyka.

— No, dobrze... — powiedział ustępując. — Niech Elmadam bierze Jeremiasza. Ale niech go nie oddaje Jonatanowi...

Prosto od króla obaj dostojnicy udali się do więzienia. Żołnierze wyprowadzili Jeremiasza z celi. Wyglądał lepiej niż po pobycie w lochu, mógł stać i chodzić. Tylko na jego twarzy pozostał trwożliwy skurecz, który i teraz na widok Sarajasza i Elmadama wygiął usta proroka. Oczy Jeremiasza błyskały lękliwie. Przemógł się jednak, wyprostował, podniósł głowę, chociaż nieposłusznym ciałem wstrząsały dreszcze.

— Czego chcecie ode mnie? — pytał.

Patrzyli na niego z nie skrywaną nienawiścią. Obaj widzieli w nim swego największego wroga. Gdyby tu przed nimi stał sam Nabuchodonozor, nie spoglądaliby na niego w ten sposób.

— Uszedłeś już kilka razy mojej ręki... — warknął Elmadam.

— I ujdę, jeśli Pan zechce...

— Nie ujdziesz! — Elmadam zacisnął pięści. Nagle przypomniało mu się dawne, sprzed lat spotkanie z prorokiem, wtedy gdy ten, choć sam poszukiwany, przyszedł nocą do Sella żądać od Elmadama, by się ożenił z Rut. W tym małżeństwie Elmadam widział pierwsze ze swych życiowych niepowodzeń. Gdyby nie ono, los obiecany przez gwiazdy byłby się niewątpliwie

spełnił. Jeremiasz był wszystkiemu winien. Nie mógł nie wykrzyknąć: — Złowróbny wieszczku... przemagałeś gwiazdy!!..

Zdawało mu się, że prorok, w mroku zaśmiał się szyderczo. Porywczo sięgnął do miecza.

— Drwisz?! — zapytał ostro.

— Nie drwię — Jeremiasz mówił spokojnie i dobitnie. — Twoje gwiazdy dalej świecą...

Kazali żołnierzom zabrać Jeremiasza, po czym opuścili Sella. Elmadam idąc obok lektyki, w której siedział Sarajasz, mówił głosem cichym, ale nierównym; targająca nim pasja sprawiała, że niektóre słowa wykrzykiwał:

— Spokojniejszy byłbym, gdybym widział trupa tego łotra! Póki on żyje...

Sarajasz skinął głową. Myślał tak samo. Coraz mocniej ugruntowywało się w nim przekonanie o niebezpieczeństwach grożących wierze i narodowi ze strony Jeremiasza. Wykradł Arkę i dał ją Chaldecykom I więcej jeszcze: gdyby nie on, poganie zostaliby niewątpliwie ukarani przez Jahwe za świętokradztwo, jak niegdyś ukarani byli Filistyni. To Jeremiasz nauczył Babilończyków łagodzić gniew Pański, to Jeremiasz powiedział im, jak mają postępować, by zyskać w oczach Jahwe więcej łaski niż sam lud wybrany! W sercu Sarajasza podniosła się nowa fala gniewu. Już nie za kradzież Arki, ale za tę jakąś swobodę wobec wielkiego Jahwe nienawdził proroka. Jeremiasz nie oglądał się na przepisy, na rytuał, na surowe wymogi świątyni. Był zuchwały jak odszczepieniec, a przecież nim nie był! Gdyby był odszczepieńcem, łatwo by go było wykląć i odrzucić. Wówczas sprawa byłaby prosta. Sarajasz wolałby, aby prorok zdradził Jahwe. Wtedy on mógłby spokojnie powiedzieć: „Wiedziałem, że tak będzie...” Najgorsze było to, że prorok zdawał się za plecami arcykapłana mówić o Jahwe...

Weszli tymczasem między domy. Było już całkiem szaro, ludzie tracili się z oczu w pomroce. Elmadam oddychał prędko i ze świstem. On i Sarajasz nie mówili do siebie ani słowa, a przecież rozumieli się coraz lepiej. Poczęta na dnie uczuć myśl dojrzewała gwałtownie w obu. W pewnej chwili Elmadam chwycił za brzeg lektyki i szarpnięciem zmusił niosących do zatrzymania się. Powiedział przez zaciśnięte zęby, zbliżając głowę do głowy Sarajasza:

— Skończymy z nim...

— Skończmy! — odpowiedział jak echo arcykapłan.

Elmadam sięgnął po miecz. Lecz Sarajasz wziął go za rękę.

— Nie potrzeba miecza ani włóczni... Po co krew? Tu zaraz — wskazał swym grubym palcem — przy domu Melchiasza jest stara studnia. Głęboka, a na dnie ma błoto zamiast wody. Każ go do niej wrzucić.

— Utopi się? — zapytał nieufnie Elmadam.

— Choćby się nawet nie utopił, wystarczy, że w niej posiedzi dwa dni... Postawisz żołnierza. A królowi powiemy: Nie chciałeś, aby był w lochu Jonatana, wsadziliśmy go do studni...

— Dobra myśl! — syknął Elmadam.

Sarajasz wysiadł z lekytki. Podeszli obaj do kamiennej cembrowiny. Studnia była duża i szeroka, wykładana kamieniami. Z czarnego otworu ziało zgnilizną.

— Czy jednak stąd nie wyjdzie? — znowu zaniepokoił się Elmadam.

— Gdyby wyszedł, byłby to nasz koniec... Ale nie. Zabije się zlatując.

— Masz rację, Sarajaszu. Nie wyjdzie! — Zwrócił się ku żołnierzom: — Hej, dajcie tu fałszywego wieszczka!

Podprowadzili Jeremiasza. W mroku nie było widać twarzy proroka, tylko jego przygiętą, a mimo to wciąż jeszcze olbrzymią sylwetkę.

— Ty zamawiaczu gwiazd... — Elmadam mówił cicho i okrutnie. — Będziesz miał teraz lepszą celę. Stąd nie będziesz gadał z ludźmi, chyba z żabami... — skinął na żołnierzy: — Wrzucie go!

Chwycili starca. Szarpnął się w ich rękach, ale oni trzymali mocno. Obalili proroka na ziemię, potem za ręce, za nogi, za włosy podnieśli w górę. Chrapliwy i zduszony głos Jeremiasza rozległ się w jakimś krótkim, niezrozumiałym okrzyku. Ciało osunęło się; w mroczną głąb. Sarajasz i Elmadam przywarli do cembrowiny. W dole rozległ się ciężki plusk rozstępującego się bagna i bulgotanie pęcherzyków powietrza. Potem zapadła cisza. Sarajasz pochylił się nad otworem. Zawołał:

— Jeremiaszu!

Nikt mu nie odpowiedział. Nasłuchiwali czas jakiś. Ale było cicho. Jeden z żołnierzy zaśmiał się krótko i okrutnie. Od murów dobiegły ku nim nawoływania straży. Wtedy cofnęły się. Elmadam odruchowo otrząpał palce. Spojrzeli na siebie, w mroku jednak nie zobaczyli swoich twarzy. Pomyśleli

to samo: że gdyby mieli zabijać po raz drugi, zabiliby bez wahania. Ale ta śmierć nie przyniosła im w rezultacie ulgi. Obaj czuli się zawiedzeni. Na chmurnym niebie nie paliła się ani jedna gwiazda. Ciemne Świąte Świątych stało nadal puste.

XIX

Obóz chaldejski rozbrzmiewał gwarem. Żołnierze schodzili hałaśliwie z pola walki, potrząsając bronią, przechwalając się jedni przed drugimi. Inni, ranni, jęczeli i narzekali. Akurat dziś, w dzień przybycia Nabuchodonozora, Żydzi dokonali wypadu z miasta i starali się zniszczyć nowy wielki taran, którym trzeci dzień kruszono mur północny. Doszło do krwawej i zacieklej bitwy, która ciągnęła się przez kilka godzin i w której jeśli zwyciężyli Babilończycy, to tylko dlatego, że napastnicy byli w mniejszej od nich liczbie. Ten oddział, który zwał się na doborową piechotę Nabuzardana, zwycięską w tyłu wojnach, bił się jak stado lwów. Hetman chaldejski obchodził teraz pobojowisko i oglądał zwały trupów, a z żalu i gniewu po stracie swych najlepszych żołnierzy wygrażał pięścią przyglądającym mu się z murów tłumom. Nogą odwracał twarze leżących przeciwników. Wszystko to byli młodzi chłopcy, straszliwie pocięci i pokłuci. Każdy z nich drogo sprzedał życie. Gdy Nabuzardanowi wydało się, że któryś z nich jeszcze żyje, następował mu nogą na pierś i wbijał w gardło swą włócznię. Wtedy na murze wybuchał żaloszny lament. Zda się całe miasto wyległo dzisiaj na mury. Byli tam mężczyźni i kobiety w porozdzieranych na piersi szatach, z ogolonymi, obsypanymi ziemią głowami. Każdy stracił dziś kogoś ze swoich, bo niewielu z tych, co dokonali wypadu, zdołało cofnąć się do miasta. Legli prawie wszyscy. Kilku lżej rannych ujęto żywcem i Nabuzardan zastanawiał się w tej chwili, czy ma ich ofiarować królowi, czy też kazać obedrzeć ze skóry na oczach Jerozolimy, mszcząc się w ten sposób za swoich wybitych żołnierzy. Taran ocalał, choć niewiele brakowało, żeby został spalony. Chłopcy kilkakrotnie przełamywali linię chaldejską i docierali pod samą wieżę. Był nawet taki moment, że pod ich brawurowym uderzeniem wszystko poczęło uciekać i dopiero rzucenie na pole dwóch mór najemnych hoplitów spartańskich oraz jazdy asyryjskiej uratowało sytuację. Nabuzardan, zanim zdecydował się na użycie odwodów, na chwilę stracił głowę i pobiegł do namiotu Nabuchodo-

nozora błagać króla, by wyszedł na pole, bo tylko jego widok zatrzyma uciekające wojsko. Ale Nabuchodonozor wzruszył niechętnie ramionami. On, pogromca Hofry, wracający właśnie z wyprawy na Egipt, w której obrócił w perzynę dziesiątki miast, miałby iść sam do walki z garścią Żydów? Pogardliwie patrzył na swego wodza, a ten spłoszony wycofywał się co rychlej z namiotu. Teraz Nabuzardan, drapiąc się w mocno już siwizną przetkaną brodę, myślał frasobliwie, że tego dnia był o włos od utraty swej sławy żołnierskiej i swego znaczenia u boku Nabuchodonozora. Trzeba było koniecznie ułagodzić króla jakimś darem. Nie bez żalu wyrzekł się myśli obłupienia ze skóry pięciu ujętych chłopców jerozolimskich. Zdecydował się dać ich królowi.

A Nabuchodonozor właśnie się obudził. Nie czekając na wynik walki położył się spać, czuł się bowiem strudzony drogą. Przybył tu prosto od ruin Memfis, pędząc co koń wyskoczy swym wozem bojowym. Zaledwie przetarł powieki, już Aspenaz przykłęknął przy łożu, czekając na rozkazy władcy. Nabuchodonozor przeciągnął się leniwie. Przymknąwszy oczy leżał czas jakiś nieruchomo, nastawiwszy tylko twarz na podmuch wachlarzy z piór strusich. Obojętnie, niby o rzecz bez znaczenia, nie patrząc na Aspenaza zapytał:

— Zwyciężyli już Żydów?

Usłyszawszy potakującą odpowiedź nie pytał o nic więcej; począł się przyglądać swym długim smagłym palcom. Puścił wodze myślom.

Krótko rozkoszował się zwycięstwem nad Egiptem. Miał zresztą zamiar jeszcze tam wrócić, dopełnić triumfu. Tymczasem pozwolił swoim żołnierzom grabić i mordować do woli, a sam pośpiesznie przyjechał pod mury Jerozolimy. W czasie drogi nie chciał nigdzie dłużej spocząć. Spieszył się. Pragnął przybyć tutaj przed upadkiem miasta.

Gdy przymykał oczy, zdawało mu się, że ma jeszcze przed sobą płową pustynię, którą przelatywał stojąc na swym wozie. Pełne błyszczące zady trzy i cztery razy na dzień zmienianych koni grały mięskami. Czasami oglądał się za siebie. W powietrzu unosił się żółty tuman, ale przezeń niby przez delikatną zasłonę król widział nad oparciem jadącego za nim innego wozu gorejącą twarz żydowskiej dziewczyny.

Przyszła do obozu chaldejskiego w przeddzień rozprawy z Hofrą. Zatrzy-

mały ją strażę, ale ona domagała się tak gwałtownie, by ją dopuszczono przed króla, że żołnierze przysłali ją do królewskiego namiotu. Zezwolił, by dziewczynę wpuszczono. Gdy weszła, wydała mu się w pierwszej chwili dzieckiem. Śledził spod przymrużonych powiek jej płonące spojrzenie i ruchliwą twarz. Zdumiony był jej odwagą, ale naturalnie nie pokazał tego po sobie. Słuchając jej słów obojętnie miał w rękach szal z szeleszczącej materii wyrabianej przez złotych ludzi mieszkających daleko na Wschodzie. Lekceważąco wzruszył ramionami: „Mówisz, że uwięziono Jeremiasza? Gdy zdobędę miasto, uwolnię go...”

Wtedy urwała i spojrzała na niego nagle załęcznionym wzrokiem. Zrobiła przy tym szybki ruch ręką, jakby chciała zawołać: „Nie, wcale nie chcę, byś zdobywał miasto!” Ale milczała, wciąż tylko patrząc w oczy Nabuchodonozora, jakby to były oczy wielkiego węża przykuwające do siebie wzrok zwierząt. Zapomniała, z czym przyszła. Miała przecież powiedzieć, tak sobie układała, by Nabuchodonozor zażądał od Mataniasza uwolnienia proroka. Te wszystkie męskie sprawy wydawały jej się zawsze proste i łatwe, niepotrzebnie tylko wydęte. Dopiero stojąc przed Nabuchodonozorem uświadomiła sobie, że stanowią one świat zamknięty i wielki, bezwzględny i nielitościwy. Uśmiechała się lekceważąco, słysząc przechwalanie się Kosama. Nie potrafiłaby się uśmiechnąć wobec tego jasnowłosego króla o błękitnych oczach, patrzącego na nią niedbale spod lekko zwisłych rzęs. Jego sprawy nie wydawały się jej błahę. Musiały być naprawdę tak wielkie, że nie byłoby to zbyt wiele, gdyby się im nawet ofiarowało życie.

„Kto jesteś?” — spytał ogarniając ją wzrokiem aż do stóp w zielonych sandałach, które wysuwały się spod kuttony. Gdy powiedziała mu imię ojca, począł się znowu obojętnie bawić szalem. Obdarzony świetną pamięcią, wiedział, że Azareel był przeciwnikiem stronnictwa egipskiego. Z dala słychać było wrzask rogów i dudnienie bębnow egipskich. Hofra szykował się do boju. Niepokoił się. Dla niego była to gra wielka i jedyna. Ale Nabuchodonozor był pewien swego zwycięstwa, tak pewien, że wolałby, aby istniała choć jakaś tam szansa zwycięstwa przeciwnika, by bój nie był po prostu — nudny. Przez lata żył myślą o tej rozprawie. Dziś, gdy za parę chwil miała się rozpocząć, czuł, że go niewiele interesuje i że go niczym nie kusi. Zwycięstwo nad całym światem miał już właściwie w swoim ręku. Jego konie, które za parę dni tratować będą Egipt od Sais do Edfu, stratowały już ziemię od Ekbatany do Isaury. Nowe zwycięstwo? Niedbale rozkręcił szal, a on owinął mu się wokół dłoni. Jedno tylko oparło się sile chaldejskiego wład-

cy: serce Nitokris. Umarła tak dawno, a przecież nie mógł zapomnieć jej delikatnych rysów: drobnych, jakby wyrzeźbionych dłutem artysty nozdrzy i lekko wysuniętych ku przodowi warg. Nie pokochała go. Zwiędła mu w rękach niby wyrwany z wody lotos. Umierała, cicho płacząc, odwracając się z obrzydzeniem od miasta — olbrzyma, które rosło z niepokohowanym rozmachem.

O niej jednej myślał z tęsknotą. Niedostrzegalnie prawie zacisnęła się szeroka szczęką króla i prosta żyła zarysowała się mu na skroni, prawie na czole. Ta mała Judejka była inna niż królowna egipska. Mimo to przypominała mu tamtą, zagarnięty klejnot, który rozsypał mu się w palcach. Nie drgnął. Nie mrugnął okiem. A przecież zawołał ją — władczo, rozkazująco. Końcami długich palców podał jej błyszczący płat materii. Gdy pytająco patrzyła na niego, powiedział cicho i spokojnie: „Weź. Z tym chcę cię widzieć po bitwie”.

Na jej twarzy pojawił się gniew. Gwałtownie cofnęła rękę za siebie, jakby bała się, że on wtoczy jej siłą szeleszczący szal. Zacięła zębami swe delikatne usta dziewczynki. Jej wyrazista twarz zdradzała walkę gwałtowną i ostrą niby starcie dwóch żywiołów. Nie drgnął. Siedział nieruchomy z szalem w wyciągniętych palcach. Nagle wyrwała mu go błyskawicznym szarpnięciem. Mocno zacisnęła materię w małej dłoni, jakby ją chciała poszarpać. Podbiegła ku wyjściu z namiotu. Zatrzymała się. Choć się nie odwróciła, wzrok króla — na pozór niedbały — trzymał ją na uwięzi. Powoli Nabuchodonozor powstał i dał rozkaz rozpoczęcia walki.

Wieczorem Hofra uciekał przez pustynię ku Pelusium. Wróciwszy do namiotu zwycięzca zobaczył kryjący się w mroku cień kobiety. Przywołał dziewczynę skinieniem ręki. Szła ku niemu z zaciśniętymi opornie ustami — a przecież posłusznie.

Towarzyszyła mu w wyprawie. Jak piorun spadł na Pelusium, zdobył je i zburzył. Bubastis, Tanis, Sais, Naukratis ulegały kolejno jego żołnierzom. Hofra cofał się w górę Nilu. Nabuchodonozor nie poszedł za nim. Jeszcze odkładał ostateczny cios.

Zostawił armię pod piramidami, zabrał na trzy wozy bojowe Tamar oraz wielką boską triadę z pałacu w Memfisie — i pogalopował rozstawnymi końmi do ziemi Kanaan.

Głos Aspenaza wyrwał Nabuchodonozora z tych rozmyślań. Wierny sługa mówił, że Nabuzardan czeka na zezwolenie wejścia. Skinął głową, powstał

z posłania. Wódz wodzów chaldejskich bił głową u jego stóp. Z twarzą przy ziemi spoglądał z dołu na swego pana wzrokiem, w którym była ślepa wierność i oddanie. Król łaskawie dotknął stopą niskiego czoła Nabuzardana. Pochylił głowę i cierpliwie słuchał opowieści o dzisiejszej bitwie. Podniósłszy cienkie brwi zdawał się dziwić wszystkiemu, co zaszło.

— Pozwól, o panie — kończył Nabuzardan — że ci ofiaruję tych Żydów, których ujęliśmy żywcem...

Hetman dał znak i straż wprowadziła do namiotu pięciu chłopców. Więźniowie byli związani jednym sznurem. Wyglądali nędznie: zbici, zmęczeni, pokrwawieni, w podartej odzieży, o wargach spalonych pragnieniem. Tylko ich oczy świeciły ponurym blaskiem.

Gdy weszli — Tamar krzyknęła. Nie odwracając się, przywołał ją gestem. Szła ku niemu blada, ze łzami w oczach. Zatrzymała się przed tamtymi, oni zaś patrzyli na nią wzrokiem wyrażającym pogardę i wściekłość. Milczeli. Stała przed najwyższym z nich, łapiąc otwartymi ustami powietrze. Nagle skoczyła, porwała kubek z sokiem. Chciała przytknąć naczynie do ust chłopca. Ale on odwrócił wybladłą twarz. W jego oczach było cierpienie. Nabuchodonozor patrzył ciekawie. Zapytał:

— Kto to jest?

Prędko zakryła usta dłonią. W jej oczach błysnęło przerażenie. Nagle uśmiechnęła się fałszywie. Usta dziewczyny kłamały łzom, które nabrzmiały pod rzęsami.

— Och nie, nie... — powiedziała prędko. — Omyliłam się. Nie znam tego człowieka...

Ale chłopak gwałtownie zwrócił ku niej twarz wykrzywioną grymasem pogardy. Cisnął mocno:

— Kłamiesz! — Wyzywająco spojrzał w oczy króla. — Jestem synem Elmadama, Nabuchodonozorze!

— Nie! Nie! — załkała dziewczyna.

Nabuchodonozor milczał. Wydawał się daleki i obojętny tej scenie. W głębi serca rozważał: Tamar idąc za nim nie wyrzekła się dawnej miłości. To była nowość. Dotychczas kobiety, na które skinął — ba, te nawet, których nie wołał, rzucały dla niego mężów, kochanków, dom, dzieci... Poczul większe niż przedtem zainteresowanie dla tej małej, chuderlawej dziewczyny. A to jest syn tego Elmadama, o którym mówili szpiedzy, że jest podżegaczem

do buntu i wojny? Przyglądał mu się uważnie, podnosząc wysoko brwi. Dziwne... Ta żydówka zjawiała się w jego namiocie z żądaniem, by ratował Jeremiasza, uwięzionego właśnie przez Elmadama. A teraz kłamie, by ratować syna Elmadama... Tu w Judei nie brak niespodzianek...

Lekkim przytknięciem w palce przywołał Aspenaza. Wydał rozkaz:

— Niech jeńców pilnują...

Późną nocą wysliznęła się z namiotu. Strażnicy nie zatrzymywali jej, szła więc swobodnie przez uśpiony obóz, przyciskając mocno ręce do serca, które tłukło się w niej niby uwięziony ptak. Roziskrzony ował księżycyca przemykał się między płatami chmur; zdawał się uciekać gdzieś w bezkres. Czarne mury, a za nimi spiętrzona piramida świątyni i pałacu odcinały się ostro na tle połyskującego nieba. Gdzieś daleko pod samymi murami nawoływały się strażę. Wyszła spomiędzy namiotów, zbliżała się do wież oblężniczych. Stały obok siebie podobne odpoczywającym spracowanym wielbłądom. Ciężkie kłody taranów zakończone kamieniem lub brązową kulą zwisały spokojnie na powrozach. Księżyc gładził swym blaskiem obite świeżą skórą ściany wież i zawieszzone na nich tarcze.

Szła dalej. Teraz zaczynała się skalista, jałowa wyżyna porośła tylko tu i tam kępami cząbrów. Na niej to leżały zwałami ciała poległych w ostatniej walce. Nikt ich nie zebrał, tak bardzo wojsko było znużone bojem. Bielidy się w blasku księżycyca nagie ciała odarte ze zbroi, długie nogi i ręce podobne sterczącym korzeniom, martwe twarze z otwartymi ustami i oczyma. Gdzieś na krańcu poboju wyły szakale. Od murów dochodziło monotonne, dźwiękiem szum morza przypominające zawodzenie: to setki matek oplakiwały z dala swoich synów. Zwolniła kroku. Posuwała się teraz pochylona, z rękoma opuszczonymi w dół żalonym gestem, niby oplakująca wszystkich płaczka. Zatrzymywała się przy swoich. Towarzysze zabaw i śpiewów, ci, z którymi bywała nieraz drużką nowożeńców, leżeli tutaj cisi i nagle obcy. Zobaczyła Kaleba przywalonego ciałami dwóch Babilończyków. Przyklękła przy nim. Przypomniała sobie, jak jej powiedział, że mu się podoba. Uśmiechał się wtedy... Teraz leżał z pięścią przy ustach — może gryzł ją z bólu, konając. Poszła dalej... Nie szlochała. Łzy jej płynęły cicho jak deszcz.

Obszedłszy pole poczuła się zmęczona. Ukłękła przy jakimś zabitym. Ten, o którym myślała, nie leżał tutaj. Żył. Lecz ona bardziej bała się dlań tego życia niżli śmierci. Śmierć stała się dla niej nagle czymś prostym i zwy-

czajnym. Zginął ojciec, bracia, teraz mógł zginąć Kosam. Życie zatraciło swoją barwę. To życie, które zdradziła...

Czyż mogła przypuścić, że tak łatwo ulegnie temu barbarzyńcy? Nie obrażała sobie nawet, że może istnieć czar tak podbójczy, tak bezwzględnie zdobywczy. Tymczasem ten mężczyzna narzucił jej swoją przewagę. To było coś niby gwałt, niby przemoc ciała nad wolą. Uległa mu pełna gniewu. Bezwzględny i okrutny świat spraw męskich pochłonął ją całą i zmiażdżył jej bunt. Odnalazła siebie dopiero na dnie poniżenia; dopiero wówczas otworzyła oczy.

Jeśli krzyknęła ujrawszy Kosama, to ten krzyk trwał w niej bezgłośnie już dawniej. Niespodziewanie któregoś dnia w namiocie Nabuchodonozora zrozumiała, jakiego to zaufania domagał się od niej chłopak. Miłość... Jak trudno jej było nauczyć się miłości! Był w niej ten brak jak choroba. Ale teraz wiedziała, że już się nie myli, że dzieło Kosama, złe czy dobre, będzie jej dziełem. Pojęła prawo wspólnoty dwojga ludzi.

Podniosła się z nieustępliwą decyzją w sercu. Szła znowu przez pole trupów, ale już nie płakała nad nimi. Bezgłośnie szeptała:

— Poczekajcie...

Przyśpieszyła kroku. Mijając wieże obłąknicze odnalazła wzrokiem największą, tę, którą próżno usiłowali spalić „Chłopcy Lasu Libanu”: sterczała wielkim cieniem nad czarną doliną Cedronu. Tamar weszła między namioty. Odszukała nie wygasłe ognisko. Podjęła głównię. Czerwony blask zszarzał; nie wiedziała, czy żar tli się dalej w głębi drzewa. Idąc między śpiącymi żołnierzami niosła ją ostrożnie w stronę murów, potem wyciągnąwszy ramię na całą długość poczęła nią kręcić młynkiem. Płomień buchnął nagle długim jęzorem, głównia zamieniła się w żagiew. Posłyszała krzyk strażników. Nie było czasu na zwłokę. Podniósłszy kuttonę, by jej nie przeszkadzała w biegu, i wymachując swą pochodnią poczęła biec. Dopadła wieży. Odchyliwszy skórę, wskoczyła do środka. Pchała ogień między chrust, którym obite były ściany maszyny, między powróśla natarte łojem zwierzęcym. Znowu dobiegły ją wołania straży. Z rozpaczą poczęła dmuchać na słaby jeszcze ogień. Zatupały kroki biegnących. Skoczyła na drabinę.

— O Panie... — jęknęła. Znała swój grzech, lecz czuła, że Jahwe stoi ponad słabością ludzką. Znalazła kilka wiązek siana przygotowanego widocznie dla osłów ciągnących wieżę. Podpaliła je. Ogień trzaskał, płonął już w kilku miejscach. Żołnierze pięli się za nią po drabinie, ona zaś uciekała

coraz wyżej, to tu, to tam wtykając swoją żagiew. Dyszała z wysiłku. Ale tamci przestali ją gonić. Cofnęli się. Na dole ogień huczał niby w piecu Molocho. Powrót był już niemożliwy. Krzyk rozlegał się wokół wieży. Zbudzeni ludzie zbiegali się zewsząd. Już nie potrzebowała podpalać. Odrzuciła pochodnię. Wydostała się na szczyt. Pierś jej rozpierała radość. Groźny kolos płonął pod jej stopami, a czerwony blask ognia oblewał pole trupów, dochodził aż do murów, oświecał stojący na nich tłum, zdumiony nieoczekiwanym widokiem. Podniosła obie ręce w górę, wykrzyknęła radośnie:

— Hallelujah!

Ujrzała, jak na murach tysiące rąk podniosło się w górę i ten sam okrzyk odpowiedział jej poprzez pobożowisko. Jeszcze raz zawołała. Wtedy trafiła ją w brzuch strzała edamskiego łucznika.

XX

Jeremiasz żył. Nie rozbił się o kamień cembrowiny, nie utonął. Zapadł tylko w długotrwałe omdlenie. Kiedy oprzytomniał, musiała już być noc głęboka. W każdym razie tu, do dna studni nie dochodził żaden dźwięk. Wydzwignął się z błota, w którym trwał zanurzony prawie po piersi. Wstał. Lepka maź sięgała mu kolan, ale z obmurówki sterczały kamienie, na których można było usiąść.

Potłukł się i szumiało mu w głowie. Kości jednak były całe. Podniósłszy głowę patrzył chwilę na mały krąg nieba nad nim, pełen gwiazd. I nieoczekiwanie dla samego siebie — uśmiechnął się.

On, smutny, żałobny prorok, on, który wbrew wszystkim już od lat widział klęskę i żył klęską — rzucony do studni, w której go czeka śmierć, poczuł nagle, że spływa na niego oszołamiająca fala radości. Nie pojmował skąd przychodziła, nie pojmował jej istoty. A przecież — cieszył się.

Podniósł ręce i oparł je o mur, dotknął czołem zimnych kamieni. Zapomniał, że stoi w smrodliwym błocie, że osłabiony wielotygodniowym więzieniem niewiele ma już sił. To, co nadchodziło, miało moc strącania wszystkich spraw życia w mrok niebytu. Serce biło mu w suchej starczej piersi... Lecz gdy i te tak męczące uderzenia przestał słyszeć, zrozumiał, że Pan jest blisko. Nie mógł paść na twarz, więc tylko mocniej przywarł czołem do kamieni.

Głos służywał ku niemu w aureoli takiej radości, jakiej nie pamiętał jeszcze nigdy. Niczym wobec tego była radość odkrycia zagubionej księgi Praw. Jeremiasz począł śmiać się, on, który nie śmiał się nigdy. Śmiał się, jak śmiała się Sara, gdy usłyszała o mającym ją spotkać szczęściu, lecz bez jej gorzkiej wątpliwości. Na górze, w obłączonym i do ostatka już wymęczonym mieście czas płynął ciężko niby gęsta rzeka krwi. Tu, na dnie studni, czas przestał być czasem. Stał się sobą: kierunkiem...

Mijały tak godziny, dni. Niespodziewanie uświadomił sobie, że go woła — tym razem człowiek. Na niebie w górze były gwiazdy, ale to dlatego pewnie, że siedział w studni. Ktoś pochyliwszy się poprzez cembrowinę wołał i wołać już musiał od dawna, bo jego głos przypominał raczej lament niż wołanie:

— Jeremiaszu!... Jeremiaszu!...

Podniósł głowę. Odpowiedział niechętnie, czując, że z tym głosem wraca znowu ku niemu troska dnia powszedniego.

— Jestem... Kto mnie woła?

Tamten na górze wydał okrzyk radości.

— To ja, Baruch! Jeremiaszu! Więc żyjesz?

Może to był i Baruch. Głos w studni zmieniał się, huczał i rozmazywał. Dla Jeremiasza było to właściwie rzeczą obojętną. Nigdy życie codzienne nie odpłynęło odeń aż tak daleko. Żył zawsze czymś, co będzie, czymś, co tylko on widział i słyszał, a nie tym, co widzieli i słyszeli jego bliscy. Ale zawsze czuł niby ranę niewspółmierność chwili obecnej i przyszłości: dziś było szare, jutro — groźne i okrutne. Ale nagle stąd, z głębi studni, ujrzał świat zgoła inny: dziś było krwawe i bolesne, jutro — nie wiedział: dalekie czy bliskie — jasne, słoneczne, radosne. I nagle w poczuciu, że musi czymś niezwykłym zaznaczyć ten dzień przemiany, zawołał w górę:

— Baruchu, słuchaj!...

Tamten przerwał mu. Mówił głosem jednocześnie radosnym i żalonym:

— O rabbi... Nie mogę ci nic ofiarować... Głód jest straszny... Nie ma nic, nic, nic...

— Baruchu, słuchaj — powtórzył Jeremiasz — czy słyszysz mnie? Idź zaraz do Hanameela syna Selluma, brata mego. Powiedz mu, że kupię od niego rolę w Anatot, którą chciał mi sprzedać. Idź, powiedz mu to prędko...

— Rabbi — człowiek na górze przemawiał tonem coraz bardziej płaczącym — rabbi, czyś zapomniał, że miasto otoczone jest przez wrogów i umiera? Komu dziś mówić o roli w Anatot, które jest spalone i spustoszone przez Chaldejczyków?

— Mówię ci, idź! — Jeremiasz coraz gwałtowniej wołał z głębi studni. — Idź prędko. Czyż jest coś trudnego dla Pana? Idź! Cóż znaczy upadek i niewola? Ludzie powrócą! Słyszysz, Baruchu? Powrócą! Powrócą do ziemi, którą dał Pan! Powrócą i rozmnożą się niby piasek morza! Prędeż! Idź!

Koło głowy Barucha ukazały się inne głowy. Ludzie zbiegali się, pochylali nad ciemną, głęboką studnią, z której dna krzyczał ogarnięty nagłą radością prorok. Słuchali jego słów, potem wyraziście spoglądali na siebie. Nie śmieli wierzyć, choć tak bardzo potrzebowali pociechy. Głód i dziwna jakaś choroba powaliły całą prawie ludność dolnego miasta. Nie pogrzebane ciała wały się na ulicach lub leżały w opuszczonych domach. Zaczęły się także pożary, ponieważ Chaldejczycy ustawili kilka wielkich proc i z nich miotali za mury ogniste kule. Wielki taran spłonął, ale z murów widać było, że w obozie babilońskim kończono już budować inny. A tymczasem śmierć z głodu, najstraszniejsza, powolna śmierć zbliżała się krok za krokiem. I jedna była tylko przed nią ucieczka: przez mury do obozu Chaldejczyków. Ale nie była to bezpieczna wyprawa, bo Elmadam wydał rozkaz, aby każdego, kogo żołnierze schwytają w ucieczce, przybijają do krzyża.

Coraz więcej ludzi pochylało się nad studnią. „Może Jeremiasz oszalał?” — zapytywali jedni drugich. Mimo to nasłuchiowano pilnie jego słów.

— Mówi, że wrócimy... — powtarzali bliżsi dalszym. — Mówi, aby nie rozpaczać. Słuchajcie! Słuchajcie!

— Co teraz mówi? — pytali ci, którzy stali dalej.

— Dziwnie mówi. Powiada, że Pan zawrze z nami nowe przymierze. Że da pokoleniu Dawidowemu króla–wybawiciela...

— I co? I co jeszcze?

Ten sam tłum, który przed dwoma dniami otaczał więzienie, dziś zbiegł się nad cembrowinę studni.

— Czy mamy uciekać do Chaldejczyków? — pytano raz po raz. Ale dziś Jeremiasz na to pytanie nie odpowiadał. Stało się ono dla niego mało ważne, zbyt dzisiejsze. Znowu żył cały tym, co miało nastąpić.

— Mówi Pan: — wołał z płonącymi oczyma, z rękoma uniesionymi nad

głową. — „Skruszę jarzmo niewoli i już go nigdy nie będzie! Zawrę przy-
mierze nowe i nowy zakon wypiszę nie na ciełe, ale na wnętrznościach czło-
wieka...”

Tego dnia balisty babilońskie rzucały na miasto wyjątkowo dużo płoną-
cych pocisków. Powstały liczne pożary, których niesposób było ugasić, bo
susza była okrutna, a wody, poza zbiornikiem Siloe, zabrakło. Nad dolnym
miastem wisały kłęby czarnego dymu, spośród których buchały w górę pło-
mienię. Nie brakło pożarów także w górnym mieście. Tłum stłoczony wokół
studni Melchiasza patrzył na to wszystko przerażonym wzrokiem. Co chwila
rozlegał się płacz lub złorzeczenia. Zapomniano o proroku, który tkwiąc w
świecie swoich wizji daleki już był od niedoli obłożonych. Myślano z trwo-
gą o losie, który wszystkich czekał. Lęk i zgroza przeradzały się w nienawiść
do króla, wodzów, arcykapłana, do tych wszystkich, którzy upierali się przy
obronie miasta.

Gwizdem powitano nadejście Abdemelecha. Starszy trzebieńców szedł
jednak w otoczeniu licznej straży, więc tłum rozstał się przed nim posłusz-
nie. Murzyn niósł pod pachą sznur i szmaty. Pochyliwszy się nad studnią
począł wołać:

— Jeremiaszu! Jeremiaszu!

Ledwo zdołał przerwać prorokowi, który, niby w gorączce, miotał wciąż
swoje pociechy i obietnice. Jeremiasz zapytał niecierpliwie:

— Czego chcesz?

— Król dowiedział się, że tu jesteś, i kazał mi cię uwolnić. Masz — rzu-
cam ci sznur. Obwiąż się nim pod pachami. Masz także szmaty, by cię nie
obtarł...

Sznur spadł, a po chwili żołnierze wydobyli na wierzch Jeremiasza. Był
obłożony i przerażająco wynędzniały, a jednocześnie pełen ożywienia i za-
pału. Gestykulując mówił dalej, jakby go nic nie obchodziło opuszczenie
studni. Śmiał się jak dziecko, przemawiając:

— Wróćcie! Przyjdzie bowiem Ten, który was powiedzie ku przyjaźni
z Panem... Narodzi się Wódz i Księżę...

Słuchano go w milczeniu. Nikt nie śmiał kpić. Nikt nie śmiał zawołać,
by prorok zamilkł. Żołnierze odprowadzili go do Sella. Tłum towarzyszył
im aż do bramy. Ale gdy ciężkie odrzwia ze szczękiem zamknęły się za wię-
źniem, wybuchł nagle wśród ciżby krzyk:

— Zabrali proroka!

Pięści uniosły się w górę, grad kamieni posypał się na bramę.

— Oddajcie proroka! — wrzeszczano. Gniew rósł z minuty na minutę.

— Łotry! Psy! — wołano. — Niech, tu wyjdzie Mataniasz! Psy! Wierze!

Trwałoby tak może jeszcze długo, gdyby nie nagłe pojawienie się tkacza Bebaja. Przybiegł z dolnego miasta z opalonymi wokół twarzy włosami, nagi i wynędzniały. Wyciągał dłonie z szeroko rozstawionymi palcami, jak ktoś, co się obryzgał krwią. W jego spojrzeniu było szaleństwo.

— Ludzie! — krzyknął tak przeraźliwie, że jego głos zapanował nad zgiełkiem. — Ludzie! Mordują nasze dzieci! Ludzie!

— Kto morduje? Kto morduje?! — posypały się pytania.

Nie odpowiedział. Stał i nagle chwyciwszy się za brzuch począł wyc niby szakal. Tłum cofnął się pełen przerażenia. Szaleńców było w mieście coraz więcej, często także szal był oznaką groźnej, zabijającej choroby. Zapomniano o proroku, zapomniano o wszystkim. Lękliwsi poczuli uciekać. Na ustach Bebaja pokazała się piana. Znowu zaryczał. Potem nagle uśmiechnął się głupkowato. Zachichotał. Pogładził dłonią żołądek. Powiedział tajemniczo:

— Jadłem...

Ale kiedy zachęceni tym elektryzującym wszystkich słowem zbliżyli się ku niemu, wrzasnął dzikim, przesywającym głosem, w którym słyhać było skowyt katowanego:

— Tak! Jadłem! Swego syna! Zjadłem go!

Jakby był zjawą, a nie człowiekiem, wszyscy rzucili się do ucieczki. W parę chwil przed bramą pałacu został sam Bebaj zanoszący się łkaniem.

Abdemelech wprowadził Jeremiasza do króla. Było to ich trzecie spotkanie w ciągu oblężenia. Różniło się zasadniczo od dwóch pierwszych. Gdy bowiem wówczas Mataniasz spotykał się z Jeremiaszem ukradkiem i w nocy, dziś ośmielał się to robić jawnie i w dzień. Były powody, które go do tego skłoniły: ostatniej nocy otruli się jednocześnie Rahotep i Jezoniasz. Wydarzenie to było jeszcze nie znane ludności miasta, ale rozeszło się już echem w kołach dworskich, wywołując prawdziwą panikę. Stronictwo egipskie

od razu zamilkło. Dworacy jeden za drugim odsuwali się od Elmadama, który nagle pozostał sam. Sarajasz zamknął się w swym pałacu i nie chciał nikogo widzieć.

To sprawiło, że Mataniasz dowiedziawszy się o miejscu kaźni Jeremiasza nie tylko zapragnął jeszcze raz z prorokiem rozmawiać, ale w ogóle zabrał go ze studni, posyłając razem z Abdemelechem pokaźny oddział straży pałacowej, na wypadek gdyby ludzie Elmadama nie chcieli więźnia oddać. Obešlo się bez walki, gdyż Elmadam przekonany, że Jeremiasz nie żyje, zdjął straż spod studni.

Mataniasz czekał na Jeremiasza, niecierpliwie chodząc po izbie. Ujrzawszy go zatrzymał się zaskoczony: prorok wyglądał jak kościotrup. Zaraz też król przybrał minę nieszczęśliwą i chciał już przekonywać go, iż nie on jest winien temu, co się stało, gdy nabi zwrócił się doń pierwszy ze słowami:

— Ciesz się, Mataniaszu!

Król otworzył usta w osłupieniu. Jeremiasz zaś mówił dalej z ani na chwilę nie słabnącym zapalem:

— Ciesz się! Ciesz się! Ród Dawidowy nie zginie i nie zostanie odepchnięty. Nie odejmie Pan łaski od niego, nie wyrzeknie się narodu swego wybranego. Ciesz się! Powróci lud do nowej Jerozolimy, lepszej i nieśmiertelnej. Czy się cieszysz, Mataniaszu? Narodzi się Ten, który jest Szczęściem słońca i Wybrańcem gwiazd...

Mataniasz spojrział pytająco na Abdemelecha, który lękliwie wzruszył ramionami. Król nieśmiało przerwał Jeremiaszowi:

— Lecz Nabuchodonozor...?

Prorok uśmiechnął się dobrotliwie. Nabuchodonozor, oblężenie — to były sprawy już dokonane, już będące poza światem, w którym żył.

— Nabuchodonozor zdobędzie miasto i zniszczy je... Miasto grzechu...

— Więc cóż mam robić?

— Wyjdź do Chaldejczyków, a ocalisz życie.

— Nie mogę! Boję się... — Mataniasz zmienił ton głosu. Teraz to nie był król, ale jęczący, wylękniony człowieczek. — Boję się... Elmadam ma żołnierzy. Zresztą ci Żydzi, którzy uciekli z miasta, zabiją mnie... Myśmy kazali przecież do krzyża przybijać tych, co uciekali... Boję się...

Pytająco patrzył w oczy proroka, ale Jeremiasz stał zapatrzony w coś

dalekiego, obcego zupełnie i radośnie świetlanego, do czego lekko się uśmiechał. Znowu Mataniasz musiał go wyrwać z tej zadumy, by zapytać:

— A jeśli nie wyjdę do Chaldejczyków?

Cień przelotnego smutku zamroczył twarz Jeremiasza. Jego oczy tkwiły już gdzieś daleko poza troskami ginącego Jeruzalem. Ale prorok nie mógł przestać żyć w nieszczęśliwym, głodnym, płonącym, pełnym zmarłych i umierających mieście. Po ustach jego przemknął się wyraz bólu. Choć to wszystko już się dokonało, nie można było nie przeżywać wciąż każdej poszczególnej tragedii.

— Jeśli nie wyjdiesz, nie ukorzysz się, zginą twe dzieci i ty także zginiesz...

Mataniasz westchnął. Próbował się targować:

— Moi synowie to pokolenie Dawida. A powiedziałaś...

Nie skończył zobaczywszy wiele mówiący ruch głowy proroka.

— Dość jest synów Dawida — rzekł Jeremiasz — by się spełniły Pańskie przepowiednie.

Zapadło długie milczenie. Mataniasz targając niespokojnie włosy chodził tam i z powrotem po izbie. Jeremiasz stał nieruchomy, znowu zagubiony wśród swoich marzeń, zapatrzony w coś, czego nikt poza nim nie mógł zobaczyć. Nagle król zatrzymał się. Zacisnąwszy pięść, uniósł ją nad głową:

— To Elmadam wszystkiemu winien! Ten łotr...

Przywołany na nowo do życia prorok potrząsnął głową. Elmadam?... Wydawał się blahym cieniem na tkaninie dziejów. W połowie tkwiąc nadal w swej kolorowej wizji, w połowie pozostając na ziemi najokrutniejszych doświadczeń, Jeremiasz powiedział cicho, ale już bez goryczy, jakby w poczuciu, że są winy, których przebaczenie stwarza coś więcej niż stan przedgrzechu, winy nadające rytm i ruch życiu świata.

— To nie on... To my... wszyscy...

Mataniasz płacząco tupnął nogą:

— Ale gdyby nie Elmadam...!

Jeremiasz uśmiechał się bez słowa, tajemniczo. Elmadam był mu wrogiem zawziętym, kilka już razy dybiącym na jego życie. A przecież Jeremiasz nigdy o tym otumanionym przez gwiazdy i przez własną ambicję człowieka nie przestawał myśleć z jakąś głęboko ukrytą serdecznością.

Niepokój Mataniasza przemienił się w rozpacz. Czerwonowłosy król czuł się zepchnięty w pułapkę, z której nie było wyjścia. Bał się słów Jeremiasza, a jednocześnie nie miał odwagi postąpić, jak mu prorok radził. Coraz gwałtowniej targał włosy i biegał po izbie. Co chwila przystawał i jakby chcąc dać się do reszty opanować rozpacz, pytał:

— Więc Nabuchodonozor zburzy miasto?

— Tak.

— I świątynię?

— Tak.

— A świąty debir? A Arka?

Usta proroka nie przestawały się uśmiechać. Zdawał się bez przerwy czerpać radość z głębi serca i dawać ją uśmiechami ludziom, z którymi rozmawiał.

— Arki nie ma, Mataniaszu. Ukrył ją Pan.

— Jak to? Nie ma Arki?

Głos Mataniasza załamał się. Król był śmiertelnie przerażony. Zbladł, a pot grubymi kroplami wystąpił mu na czoło. Powtórzył niepewnie, dygoczącymi wargami:

— Nie ma Arki?

Rozpacz zwałała mu się na barki niby wszystko miażdżący głaz. Arka to był amulet, któremu bądź co bądź można było ufać. Rzecz oczywista, że jeśli nie ma Arki, nic ich nie może ocalić. Nie ma Arki! Przerazenie tamoowało mu mowę. Jąkał się:

— Nie ma Arki... Dlaczegoś mi o tym nie powiedział wcześniej?

Tłumacząc mu wyrozumiale jak niegrzecznemu dziecku, Jeremiasz odpowiedział:

— A ty czyś kiedyś pamiętał, że jest Arka?

Ale Mataniasz miotał się w cęgach dławiącej go trwogi. Wrzeszcząc dziko, wezwał Abdemelecha. Rozkazał mu, by odprowadził Jeremiasza do tej samej celi, w której prorok siedział poprzednio:

— Niech go nikt nie skrzywdzi! — krzyczał. — I dawać mu z mego stołu wszystko, co jest... Słyszysz, Abdemelechu? Jeżeli Jeremiaszowi coś się stanie, każę cię obedrzeć ze skóry!

Gdy trzebieniec wyszedł razem z prorokiem, Mataniasz chwycił miecz. Drżącymi rękoma wieszał go na szyi. Potem wybiegł z pałacu. Pędem, nie jak król, ale jak zwykły goniec minął bramę dzielącą pałac od Przybytku. Dopadł drzwi domu arcykapłana. Były zamknięte. Poczul w nie bić pięściami. Odepchnął przerażonego służącego, który mu otworzył. Wbiegł do wnętrza. Ryczał jak opętany:

— Sarajaszu! Sarajaszu!

Wreszcie wpadł na tłustego arcykapłana.

— A, jesteś! — krzyknął. — Odpowiadaj: jest Arka w Przybytku, czy jej nie ma?!

Blade oczy Sarajasza wyszły z orbit. Położył gruby palec na ustach. Ale Mataniasz, jakby tego nie widząc, darł się:

— Gdzie jest Arka? Gdzie jest Arka?!

— Cicho! Cicho! Nie krzycz tak, Mataniaszu... Po co tak krzyczeć? Cicho! Nie ma Arki... Ukradł ją ten zdrajca Jeremiasz...

— A tyś milczał?!

— Mataniaszu!

Arcykapłan w pierwszej chwili, ujrawszy, jak król wyciąga miecz z pochwy, zaryczał z trwogi. Ale potem zdobył się na bohaterski gest: wyprostował się, odkrył nalaną tłuszczem pierś.

— Zabijasz pomazańca... — stęknął.

Miecz ranił powierzchownie, przecinając tylko skórę. Ale Mataniasz, nawet nie oglądając się na skutek swego ciosu, odwrócił się i wybiegł. Znowu gnał ile tchu w piersiach do pałacu, nie wypuszczając z dłoni obnażonego miecza. Kiedy znalazł się u siebie, zasapany, nie mógł wykrztusić słowa.

Dopiero później wezwał Abdemelecha, swoich synów i dowódcę straży przybocznej. Zakławszy ich na święty Przybytek, by milczeli, kazał im przygotować się do opuszczenia miasta tej jeszcze nocy. Ustalili, że dla niepoznaki wyjdą bramą południową, która była najslabiej pilnowana.

Ale tego samego ranka Nabuchodonozor odjechał do Riblah, by dopatrzyć oblężenia Tyru, pozostawiwszy dowództwo Nabuzardanowi. Hetman chaldejski był wściekły na Żydów za zawziętą obronę, za wypad „Chłopców Lasu Libanu”, w czasie którego o mało nie stracił łaski królewskiej, wreszcie za spalenie wielkiego taranu. Nowa wieża oblężnicza stała już gotowa.

Wojsko było znudzone wielomiesięcznym sterczeniem pod murami miasta. Nabuzardan postanowił skończyć z Jerozolimą.

Wezwał do swego namiotu innych wodzów: Nirgeleara, Semegara, Echarampasa, Nabosara, Seresera. Uderzając się zaciśniętą w kułak pięścią w pierś, powiedział do nich:

— Dość stania pod tą oborą! Mur przy świątyni jest już nadwerężony. Nowy taran da mu łatwo radę. Dziś o północy uderzymy niespodziewanie. Klnę się na wielkiego Bela, że ich będziemy mieli...

XXI

Więźniowie przybyli już poprzedniego dnia i Nabuchodonozor miał czas rano po złożeniu w ofierze Mardukowi dwóch białych, bez jednej plamki wołów kazać zabić na oczach Mataniasza jego czterech synów, potem oślepić samego króla i wbić mu w wargę kółko, do którego przyczepiony był łańcuch. Na tym łańcuchu nieszczęśliwy król Jerozolimy, który zamiast iść do obozu babilońskiego, starał się uciec Nabuzardanowi, miał być odprowadzony do Babilonu. Dziś przyjechał sam Nabuzardan, by złożyć królowi sprawozdanie ze zdobycia miasta. Nabuchodonozor długo kazał mu czekać, zanim wreszcie wezwał go do swego namiotu. Zdobywca Jerozolimy padł na progu na kolana, pokornie dotykając trzykrotnie czołem ziemi. Ale z jego twarzy tryskało zadowolenie. Był syt triumfu i zdobyczy. Żołnierze, którzy weszli za nim, wnieśli do namiotu i złożyli u stóp władcy stos złotych, srebrnych i miedzianych naczyń oraz ciężką, wspaniałą zasłonę z bisioru. Nabuzardan nie bez dumy szerokim gestem wskazał na przyniesione przedmioty.

— Oto — powiedział — najcenniejsze rzeczy z tych, które znalazłem w żydowskiej świątyni...

Nabuchodonozor leżał na niskim posłaniu, obracając w palcach złoty naramiennik. Ledwo spojrział na naczynia, które żołnierze rozsypali z chrzęstem na zaścielający ziemię dywan. Ten naramiennik zdawał się interesować go o wiele więcej. Bez pośpiechu przyglądał się dokładnie każdej figurce, która była na nim wyryta. Potem dopiero podniósł wzrok na swego wodza.

Długo patrzył na niego wzrokiem, który wydawał się senny, a jednocześnie lekko zdziwiony. Zapytał:

— Więc spaliłeś świątynię?

— Tak, Nabuchodonozorze. Spaliłem wszystko. Miasto wciąż jeszcze płonie jak pochodnia. Rozpadły się mury... Nie ma już Jerozolimy!

Nabuchodonozor obojętnie powrócił do naramiennika. Lekko tarł go palcem, jakby chcąc wywołać blask na czarniawym nalocie. Zdawać by się mogło, że zapomniał o Nabuzardanie. Ale po dłuższej chwili milczenia znowu go zapytał:

— A ludzie?

Nabuzardan odpowiedział głosem stentorowym, prawdziwym głosem wodza.

— Tych, którzy nie zginęli w walce, wywiodłem z miasta. Rolników puściłem wolno, ludność miejską zabrałem ze sobą. Idą tu przeklinając głośno wszystkich, którzy ich przymusili do walki z tobą. Jutro rano przybędą i wtedy postanowisz sam o ich losie...

Nabuchodonozor spokojnie wsunął naramiennik na rękę. Był to ten sam stary naramiennik Nitokris. Król podłożył ręce pod głowę i patrzył na falujący lekko strop namiotu. Myślał przy gorejącym mieście. Żałował, że nie widział, jak padały grube mury obiegające zbrocza Syjonu.

— Cóż z ich arcykapłanem? — pytał.

— Prowadzą ci go razem z tłumem kapłanów.

— A Elmadam?

Nabuzardan kłopotliwie pociągnął nosem. Spuścił wzrok i patrzył na swe muskularne, gęstym włosem porosłe nogi i szerokie stopy w czerwonych sandałach. Lękliwie powiedział:

— Zabity...

Spojrzał ukradkiem na króla, a widząc, że jego cienkie brwi wyginają się łukiem ku górze, podniósł trwożnie ramiona i wtoczył między nie głowę, jakby obawiając się ciosu. Śmierć Elmadama była wielkim niedopatrzaniem. Prawda, że szturm odbył się nocą, ale przecież żołnierze mieli surowy rozkaz oszczędzania dostojników judejskich. Tymczasem Nabuzardan znalazł ciało Elmadama zawieszona na murze Sella. Gniewny hetman ciosem miecza zabił jednego z żołnierzy, którzy to zrobili, innych skazał na różgi. Nie

wróciło to życia Elmadamowi. W milczeniu króla Nabuzardan odkrył niezadowolenie. I to sprawiło, że ponad obawą przeważyła w wodzu żałość. Gwałtownie, ze stukotem padł na kolana, uderzył o ziemię swą wielką obrośniętą głową wiernego psa. Zawołał:

— Ukarz mnie, Nabuchodonozorze! Nie dopilnowałem! Zabili go! Odbierz mi dowództwo... Zetnij głowę...

Ale Nabuchodonozor milczał. Swymi długimi palcami objął czoło, zaś szeroka szczęka zacisnęła się mocno, napinając mięśnie policzków. Wargi miał ściągnięte, chmurę nad brwiami. Nie patrzył na Nabuzardana. Wódz natomiast śledził twarz króla gorączkowym spojrzeniem. Pot mu wystąpił na czoło. Cierpiał.

Odetchnął, gdy Nabuchodonozor po dłuższej chwili milczenia zapytał:

— A tego proroka, co był u nas, Jeremiasza, nie widziałeś?

— Tak! — wykrzyknął radośnie Nabuzardan. Nagle odzyskał humor. Mówił prędko: — Siedział w więzieniu. Ale przyszedł do mnie jego uczeń i powiedział o tym. Kazałem proroka szukać. I znalazłem! Jest! Żyje! Przywiozłem go ze sobą... — urwał, czekając, co powie Nabuchodonozor. Spojrzeniem prosił o dobre słowo. Król jednak znowu zsunął z ręki ciężki naramiennik i począł mu się przyglądać. Nie podnosząc oczu znad klejnotu, powiedział:

— Przyślij go tu do mnie... Ale później... w nocy...

— Stanie się, jak powiedziałeś.

Milczenie przeciągało się. Nabuzardan, choć czujnie patrzył na twarz króla, nie wyczytał z niej już nic poza obojętnością. Pojął, że Nabuchodonozor nie chce go więcej słuchać. Zapytał:

— Czy pozwolisz mi odejść? W odpowiedzi król kiwnął głową nie odwracając wzroku od naramiennika. Nabuzardan padł na twarz. Oddał należny niski pokłon. Ale kiedy już odchodził, zobaczył leniwy ruch ręki. Zatrzymał się. Nabuchodonozor przywołał go do siebie gestem obojętnym, niby dla dodania czegoś, co właściwie mogłoby nie być dodawane. Znowu trąc palcem po złotej rzeźbie, spytał:

— Byłeś w tej świątyni, zanim kazałeś ją spalić?

— Byłem. Zerwałem zasłonę z najświętszego miejsca ich Przybytku. O, właśnie tę — wskazał ręką leżącą na ziemi wśród łupów ciężką materię.

— A tam... — palec Nabuchodonozora gładził sterzcącego z płaskorzeźby byka — co znalazłeś?

— Za zasłoną? Nic, Nabuchodonozorze! — głos Nabuzardana pełen był na nowo odżyłego zdumienia. — Nic! Dwa złote lamassu pochylone nad ciężką płytą...

— Nic więcej?

— Nic więcej!

— Żadnego posągu? Żadnego znaku?

— Nie, nic...

Król znowu popadł w zadumę. Złota obręcz obracała się w jego długich palcach niby małe koło garncarskie. O nic już więcej nie zapytawszy, dał Nabuzardanowi znak ręką, aby odszedł.

Był smutny i tego smutku nic nie mogło rozproszyć. Przed wieczorem siadł na konia i w towarzystwie swego budowniczego pojechał obejrzeć wielki napis, który wykuwano na skale dla uczczenia ostatnich zwycięstw. Napis i rzeźba były rzeczywiście imponujące. Ciągnęły się na skale na długość kilku kroków. Dworacy wydawali okrzyki podziwu. Nabuchodonozor milczał.

Wróciwszy do namiotu położył się znowu na posłanie. Patrzył w górę, zaś dłonią obojętnie gładził czarną oswojoną panterę, która wyciągnęła się obok niego na dywanie i czując na sobie rękę pana mrużyła oczy, gięła szyją wydając cichy, gardłowy pomruk. Kiedy jednak ręka zatrzymała się na lśniącej sierści zwierzęcia, Aspenaz podszedł na palcach do władcy. Stanąwszy przed nim, cierpliwie czekał na rozkaz.

— Zawołaj Ibgatuma... — powiedział Nabuchodonozor. — Niech przyjdzie...

Ibgatum był starym bajaranem, który umiał przy dźwięku sambuki — trójkątnej babilońskiej harfy — opowiadać rozmaite pieśni, a zwłaszcza ulubioną przez króla pieśń o Gilgameszu królu Uruk. Żadna z baśni nie zajmowała tak Nabuchodonozora jak ta historia dwóch przyjaciół rozdzielonych przez śmierć. Często słuchał jej przez długie noce, kiedy nie mógł spać lub cierpieł na zęby. Ibgatum jeździł z Nabuchodonozorem na wszystkie wyprawy i nigdy nie wiedział w dzień, czy w nocy nie zostanie wezwany do namiotu

władcy. Był więc zawsze w pogotowiu. Wbiegł i teraz, mały różowy staruszek z wieńcem puszystych siwych włosów wokół nagiej czaszki. Padł na twarz. Leżąc czekał na znak ze strony króla. Tymczasem Nabuchodonozor wziął za ucho panterę, ona zaś wyciągała mu je z palców zręcznym ruchem głowy. Leniwie przestępowała z nogi na nogę; pomrukując gniotła dywan to jedną, to drugą łapą, jakby miesiła ciasto. Król podniósł wreszcie wzrok na Ibgatuma. Mrugnięciem dał mu znak, aby powstał z ziemi; niedostrzegalnym prawie drgnięciem brwi przywołał go do siebie.

— Zaśpiewaj mi — powiedział — jak Gilgamesz popłynął do pradziada Utnapisztim...

Ibgatum usiadł na ziemi obok pantery. Nie zwlekając począł brząkać na sambuce. Wyglądał śmiesznie ze swą wesołą twarzą i czerwonymi policzkami. Ale gdy począł mówić, jego miękki, melodyjny głos pozwalał zapomnieć o zabawnej powierzchowności. Ten głos był jak muzyka: giał się, falował, wyrażał tysiące uczuć, nastrojów i lęków. Teraz drżał — to Gilgamesz szedł górkami wąwozami pełnymi lwów; jeszcze bardziej nasiąkał przerażeniem — bohater bowiem stanął u bramy gór Maszu strzeżonych przez potwory z podziemnego Arallu i przez ludzi-skorpiony. Ale pieśń zmieniła się: lęk ustąpił miejsca podziwowi. To Gilgamesz stanął nad morzem wyłożonym słońcem i tu rozmawiał z księżniczką Sabitu i z żeglarzem Ur-Szanabi. Z kolei czekała go droga morska aż do nieznanego brzegu, gdzie wiódł wieczne życie ocalony z potopu praojciec Utnapisztim. Gilgamesz płynął i płynął mijając prądy, wyspy i dziwy morskie. Wreszcie dopiął celu. Gorączkowo przypadł do nóg bliskiego bogom starca. Wyznał mu swą trwożę: „Mój przyjaciel Eabani umarł i stał się niby glina. Czy i mnie to czeka? Czy i na mnie przyjdzie chwila, kiedy spocznię i nie wstanę?”

Nabuchodonozor dźwignął się na łokciu. Lekko targając sierść ogromnej kocicy patrzył na śpiewaka. Lubił niepokój pytań Gilgamesza. Uważnie wsłuchiwał się w ostrą odpowiedź Utnapisztim:

Czy wiecznie będzie trwał nasz dom?

Czy wiecznie mają się rodzić dzieci ziemi?

Czy rzeka wiecznie będzie popychała swe wody?

Czy oblicze kirippu wiecznie oglądać będzie słońce?

Czy śmierć nie panuje wszędzie?

Nic się nie dowiedziawszy Gilgamesz wraca przez morze. Śpiewak mocniej uderza w swój instrument. Bohater wraca do swego Uruk. Odkrywa

tajemnicze — może zwodne? — ziele, a potem je traci. I znowu wspomina zmarłego przyjaciela, i znowu nad nim biada. Ręka króla przesunęła się na podgardle pantery. Zwierz podniósł głowę w górę, poddając się chętnie tej pieszczocie. Nabuchodonozor lubił także to miejsce w pieśni, w którym bazarz wypowiadał żal bohatera, nadając głosowi ton skargi:

*Duchy śmierci wzięły cię w niewolę;
Już nigdy nie włożysz sandałów na nogi,
Nigdy nie wydasz okrzyku bojowego,
Nigdy nie ucałujesz żony ukochanej,
Nigdy bić nie będziesz żony złej,
Nigdy nie ucałujesz córki ukochanej,
Nigdy bić nie będziesz córki złej...*

On także mówił kiedyś nad woniejącym kadzidłami ciałem Nitokris: „Nigdy już nie będziesz tęskniła za ukochanym, nigdy nie będziesz już nienawidziła mnie...” Czy jest naprawdę coś poza życiem? Nabuchodonozor mocniej ścisnął w palcach naramiennik. A jeżeli jest — to jak wygląda tamten świat podziemny? Pieśń za chwilę mówić będzie o tym, jak to Gilgamesz ubłagał Nergala, by ten pozwolił mu zobaczyć się z Ea-banim. Na krótką chwilę spotkają się znowu przyjaciele. Zapyta Gilgamesz: „Powiedz mi, proszę, o prawach podziemia, któreś poznał.” Odpowie mu na to Ea-bani: „Nie mogę ci tego powiedzieć, nie mogę ci powiedzieć, bo gdybym ci o nich powiedział, musiałbyś się i płakać...” Ale po chwili ulegnie prośbie przyjaciela i powie: „Tutaj duch, co nie ma nikogo, kto by o nim na ziemi pamiętał, żywi się ochłapami i ogryzkami...”

Więc tak dzieje się w świecie podziemnym? Pełnym zniechęcenia ruchem ręki Nabuchodonozor kazał Ibgatumowi zamilknąć. Zamknął oczy, przykrył je dłonią. Pantera ziewnęła, szeroko otwierając paszczę i wysuwając różowy język. Noc była ciemna i wietrzna. Wiatr szarpał gałęziami pobliskich palm i zanosił się długim, pojękliwym wyciem.

— Idź — powiedział Nabuchodonozor do pieśniarza nie odslaniając oczu.

Leżał cicho. Pantera podniosła się, poczęła chodzić tam i z powrotem po namiocie, wywijając swym długim ogonem. Jej oczy błyskały zielono. Noc czyniła ją zawsze niespokojną. W dzień mogła spać i znosiła na sobie rękę swego władcy. W nocy poczyniała nienawidzić ludzi. Chodziła coraz prędzej, krok jej przechodził w długie susy. Nagle przypadła do ziemi. Wlepiła oczy

w człowieka, który stanął w progu namiotu. Jakby zbierając się do skoku, cofała się tyłem, nie rozprostowując nóg.

Ale ten, kto wszedł, nie patrzył na nią. Nie padł czołem. Zgarbiony olbrzym opierał się na lasce. Odszukał wzrokiem leżącego na posłaniu króla. Powiedział głosem chrapliwym, a mimo to wyraźnym:

— Chciałeś, abym przyszedł...

Nabuchodonozor odsłonił twarz. Usiadł na posłaniu. Głosem, w którym było coś jakby oczekiwanie, odparł:

— Tak.

Prorok postąpił naprzód. Pantera mruczała i biła ogonem po dywanie, ale nie ośmieliła się skoczyć. Jeremiasz podszedł bliżej ku Nabuchodonozorowi:

— Jestem...

Król ukrył się znowu za swą zwykłą obojętność, z której wyrwało go wejście Jeremiasza. Wyraz ironii pojawił się na jego ściągłych policzkach.

— Myślałem, że przyjdiesz do mnie wcześniej — powiedział.

— Nie mogłem — odrzekł Jeremiasz. — Byłem uwięziony.

— Tak. Wiem. Twój lud cię uwięził. Twoi cię prześladowali. Sedecjasz, Sarajasz, Elmadam... Wszyscy. Ale ukarałem ich. Tylko Elmadam uszedł moich rąk. Nie żyje. Za to mam w ręku jego syna...

Czujnym wzrokiem przyglądał się twarzy Jeremiasza. Lecz jeśli dawniej odkrywał na niej z łatwością najmniejszy ślad uczuć, to dziś wydała mu się tajemnicza i nieczytelna. Prześwietlał ją wewnętrzny blask, który zdawał się ścierać zmarszczki smutku. To nie była twarz człowieka lamentującego nad ruiną własnego miasta. W dużych oczach proroka była pogoda i jakby wyrozumiałość. Jeremiasz patrzył na Nabuchodonozora bez słowa; zdawał się uśmiechać.

— Chyba już ich teraz nie żałujesz? — zapytał król unosząc brwi w górę.

Pantera gniewnie mruczała w kącie. Wiatr świszczwał dalej i rzucał pyłem w ściany namiotu.

— Chyba już dziś nie prosiłbyś o nich? — napierał Nabuchodonozor.

Prorok oderwał wzrok od tego, czemu się nieustannie przyglądał poprzez ściany namiotu. Dobrotliwie spojrzął na króla:

— Nie — powiedział — dziś nie prosiłbym...

— Masz rację! — Nabuchodonozor odetchnął mocniej, jak ktoś, kto z niepokojem długo wstrzymywał oddech. — Masz rację. Podły jest twój lud. Nigdy nie potrafił zrozumieć, że to ty byłeś jego władcą. Nędzne karzełki udawały królów. Tobą pogardzano... Słuchaj...

Wstał z posłania. Wolno podszedł do Jeremiasza. Stojąc tuż obok niego i patrząc mu prosto w oczy, ciągnął:

— Mówiłem ci kiedyś: Chodź do mnie. Będziesz u mnie pierwszy... Znowu ci to powtarzam: Chodź do mnie... My dwaj razem potrafimy uczynić to, czego nikt nigdy nie zrobił...

Uśmiechając się łagodnie niby nad zabawnym słowem dziecka, Jeremiasz potrząsnął głową. Dłoń jego dotknęła najprzód piersi króla, potem własnej:

— Ty i ja, mówisz? My dwaj? Mylisz się. Nie będziemy razem. Tylko kawałek drogi mogliśmy iść obok siebie...

— Chcesz wrócić do nich? — Nabuchodonozor ruchem głowy wskazał kierunek, w którym daleko, daleko dopalało się miasto na szczycie Syjonu.

— Tak.

— Lecz cóż im dasz, gdy wszystkie twoje słowa się spełniły?

Jeremiasz bardziej jeszcze rozjaśnił twarz pełną tajemnic. Szepnął w przetrzeń, jakby to nie była odpowiedź dana na pytanie Nabuchodonozora, ale jakaś myśl wypowiedziana głośno:

— Radość...

— Radość? Z czego radość?

Nie odpowiedział. Znowu zdawał się coś widzieć na pasiastej materii, którą opięte było wewnątrz namiotu. Nabuchodonozor miał uczucie, że człowiek stojący przed nim nie jest tym samym człowiekiem, który niegdyś przyginając swą dumę prosił o swe miasto w zamian za dary swego Boga. Dziś nie wyglądał na takiego, co przychodzi prosić. Bardziej niż kiedykolwiek wydawał się pewny swych tajemnic. To odkrycie podrażniło króla. Niechętnie, a zarazem niecierpliwie podjął:

— Czy sądzisz, że radość, którą im obiecujesz, potrafi ci ich zjednać? Kazałeś im płakać, gdy chcieli się śmiać; każesz im śmiać się, gdy muszą płakać... Nie pojmał ciebie! Będą cię dalek nienawidzili.

Żaden mięsień nie drgnął na twarzy proroka. Stary nabi wydawał się zupełnie nieczuły na słowa Nabuchodonozora. Nie, to naprawdę nie był ten sam człowiek, którego rany tak łatwo było odkryć ostrym słowem. Niepokój począł przeciekać przez zewnętrzną obojętność Nabuchodonozora. Nie rozumiał Jeremiasza. Dawniej sądził, że prorok jest człowiekiem dziwnie do niego podobnym. Obaj kochali swoje miasta, obaj dla tych miast chcieli dobra. Choć Jerozolima była mała, Nabuchodonozor umiał pojąć troski Jeremiasza. Może zresztą właśnie dlatego, że Jerozolima była mała, a Babilon taki wielki, tak wspaniale wyniesiony w górę młodym ramieniem swego króla...

— Nienawidzić cię będą zawsze... — próbował jeszcze. Powrócił do perswazji. — Porzuć ich. Zabiorę ich nad Eufrat. Rozpłyną się w morzu moich ludów niby kropla w cebrze wody. Nie będą już nigdy niczym. Ziemię, którą zamieszkiwali, zaludnię obcymi. Chodź ze mną. Obaj zagramy teraz przeciwko bogom...

— Szalejesz, Nabuchodonozorze — rzekł Jeremiasz. — Możesz grać przeciwko bogom. Nie zagrasz przeciwko Najwyższemu!

Król opanował się. Znowu patrzył na proroka zmrużonymi drwiąco oczyma, znów pokrył twarz grymasem lekceważenia.

— Służysz Mu wiernie, temu twemu niewidzialnemu Bogu... Lecz Jego świątynia nie oparła się moim żołnierzom. Nabuzardan wszedł do najświętszego zakątka...

— I cóż? — zapytał wciąż uśmiechnięty prorok.

— Nie znalazł tam nic!

— A co chciał tam znaleźć?

Nabuchodonozor zacisnął szczęki. Palcami jednej dłoni gładził palce drugiej. Jeremiasz mówił dalej:

— Czy sądziłeś, że znajdziesz tam posąg jak te? — wskazał na boską triadę przywiezioną przez Nabuchodonozora z Memfisu, stojącą w kącie namiotu. — Nie było tam nic, co by zobaczyć mogli twoi żołnierze...

— Jeżeli nic nie zobaczyli — powiedział chłodno Nabuchodonozor — to znaczy, że tam nie było nic. Za dużo mówisz o Tym twoim Bogu, którego nie ma. Mówiłem ci już: bogowie nie istnieją. My jesteśmy bogami naszych ludów. My czynimy je potęgą lub skazujemy na klęskę. Potem, gdy nas już nie będzie, ludzie śpiewać będą o nas bajki jak o Gilgameszu... Potem...

Urwał. Noc przewaliła się za góry, dzień skradał się przez płową, spękaną pustynię. Nabuchodonozor ściągnął z ręki naramiennik Nitokris. Znowu obracał go w palcach.

— To potem — mruknął — to jedyna niespodzianka bogów. Czy wiesz, proroku, o co poszedł spytać nieśmiertelnego Utnapisztim Gilgamesz? — Powtórzył słowa pieśni: — „Czy i na mnie przyjdzie chwila, że spocznę i nie wstanę?”

Podniósł kolano i objął je ramionami. Wiatr cichł. Nabuchodonozor siedząc naprzeciw wyjścia patrzył na szybko znikającą noc i na równie szybko wschodzący dzień. Niebo pokryte było skłębionymi chmurami przybierającymi najdziwaczniejsze kształty. Wyglądały teraz jak miasto pełne wież, tarasów, wielkich bram, zębatych murów. Spoza chmur kładły się na firmament palce słońca.

— Tak — powiedział — wierzyłbym bogom, którzy nie lękają się śmierci... Ale Isztaar musiała także zostawić wszystko na siedmiu bramach Kurnu-gei... — Zwrócił się do Jeremiasza: — Więc nie chcesz iść ze mną, proroku? Twoja wola. Idź, gdzie chcesz. Po całym moim królestwie wolno ci chodzić.

— Pozwól, że zostanę w ziemi Judy.

— Zostań...

Pantera wysunęła się ze swego kąta. Mrużyła oczy. Podeszła do Nabuchodonozora i sztywno wyginając grzbiet otarła się pieszczotliwie o nogi króla. Zamyślony gładził jej łeb, a ona kładła pod jego rękę swe małe trójkątne uszy.

Żałował, że nie rozmawia z prorokiem nad pogorzelskim Jerozolimy. Może śledząc jego wzrok patrzący na klęskę miasta pojałby tajemnicę tego spokoju i wiary w życie, które, zdawać by się mogło, zagasło. Myślał także nad tym, że między nimi coś utonęło w milczeniu. Jeremiasz szedł jednak ku wyjściu. Nabuchodonozor postępował za nim. Nagle prorok zatrzymał się, odwrócił; podjął cicho:

Jeszcze o jedno chcę cię prosić, Nabuchodonozorze...

— Proś! — król pośpieszył naprzeciw Jeremiaszowi.

— Obiecałeś mi kiedyś...

— Tak, obiecałem! — potwierdził nie czekając na koniec słów proroka.
— Więc czego chcesz?

— Daruj życie synowi Elmadama...

Okrzyk zdumienia zamarł na ustach Nabuchodonozora. By ukryć swe uczucie, król roztargnionym gestem zaczął wodzić znowu ręką po karku pantery. Próżno usiłował zrozumieć proroka, próżno usiłował zrozumieć Judeę. Naramiennik Nitokris wymknął mu się z dłoni i potoczył przez namiot. Pantera pobiegła za nim i zręcznymi pchnięciami łap pędziła go przed sobą. Nabuchodonozor nie schylił się. Śledził zapatrzone w dal oczy proroka.

— Co obiecałem, dotrzymuję... — powiedział.

Wiatr rozwiewał, chmury i zmieniał ich kształty. Znikło miasto na niebie: teraz pojawił się wielki trójkąt, poprzez który przebijały długie igły blasku. Słońce połyskiwało blado, to przygasając, to znowu rozpalając się niby kagank, w którym braknie oliwy. Palmy i tamaryszki szumiały. Tylko drzewa oliwne były nieruchome, zda się — nieczułe na podmuch.

Jeremiasz stał na wzgórzu podobny jednemu z tych przygarbionych, a potężnych, węzłami lat narosłych drzew oliwnych. Wiatr targał jego płaszczem, to znów szumiąc trawami czołgał mu się u stóp.

Prorok miał oczy zmrużone, z wysiłkiem patrzył w przestrzeń. Szeptał coś cicho, bo jego usta poruszały się rytmicznie, jak u kogoś, kto się modli lub wygłasza pieśń. Trwał tak już od dawna. Patrzył i nasłuchiwał.

U stóp wzgórza biegła droga. Wydeptało ją już wiele stóp i wiele stóp miało nią jeszcze kroczyć. Przyłożywszy dłoń do czoła starzec szukał jakiegoś ruchu na widnokregu, tam, gdzie droga rozpoczynała swój bieg. Wreszcie zobaczył. Czarny, żaloszny wąż ludzi niosących na ramionach jakieś nędzne węzłki wygnania szedł przez pustynię. Zbliżał się do wzgórza. Znad tłumu schylonych głów unosił się pod skłębione chmurami niebo bolesny, nie cichnący lament, niby pieśń...

Styczeń 1947 — styczeń 1948.

Rzym — Warszawa.

P O S Ł O W I E

Czytelnikowi, który poznaj książkę do końca, wypadaloby może przedstawić spis wykorzystanych w niej dzieł i źródeł historycznych. Byłoby tego jednak bardzo dużo i nie sądzę, aby taką suchą bibliografia przydała mu się na coś. Zresztą „Wybrańcy gwiazd” są tylko powieścią i pretendują do prawa budowania swej treści z fikcji artystycznej. Mimo to nie wszystko w książce jest fantazją, przeciwnie nawet: czysta fantazja stanowi niewielki stosunkowo dodatek do obrazu wyrastającego z możliwie ściśle odtworzonych ram historycznych.

Dlatego też, zamiast wypisywać kilkadziesiąt tytułów, powiem po prostu słów parę o tym, co jest w powieści historią, a co fikcją.

Czasokres „Wybrańców gwiazd” zamyka klamra lat: 609 a. Ch. n. — ustalona przez naukę współczesną (Ricciotti) data bitwy pod Megiddo — do 586 a. Ch. n. — niewątpliwa data zdobycia i zburzenia Jerozolimy. Ukazane w powieści losy królów judejskich są prawdziwe. Prawdziwe są także postacie bohaterów książki: Nabuchodonozora, Elmadama i Jeremiasza.

Że istniał Nabuchodonozor II, a właściwie Nabu Kadurri utsur (Nabu opiekuje się koroną), król Babilonu, wiemy zarówno z Pisma Świętego, jak i z pozostawionych przez wielkiego budowniczego budowli, tablic, napisów. Nabuchodonozor był wielkim zdobywcą, prawdziwym protoplastą pokolenia Aleksandrów i Napoleonów, ale także był wielkim budowniczym. Miasto, które wznosił, a które dziś pożarł miękki pył pustyni, było olbrzymem i cudem starożytności. Wystarczy powiedzieć, że mury Babilonu miały dwadzieścia dwa kilometry w obwodzie, a były tak szerokie, że mijać się na nich mogły w trzy i cztery konie zaprzężone rydwany. Toteż pisarza — a może i czytelnika interesuje sprawa, jak wyglądał człowiek, który ten ogrom kazał zbudować. O jego powierzchowności nie wiemy nic. Nie dochowała się ani jedna rzeźba przedstawiająca Nabuchodonozora. Tak zwana „kamea Nabuchodonozora” w Muzeum Berlińskim, na której wyobrażona jest głowa męska bez zarostu, w niskim, przypominającym grecki hełmie, w okoku napisu klinowego: „Panu swemu Mardukowi Nabuchodonozor, król Babilonu, uczynił to za życie”, nie pochodzi, jak się zdaje, z czasów Nabuchodono-

zora. Może jest to inny „król” Babilonu — Aleksander Wielki? Nabuchodonozor prawdopodobnie wyglądał inaczej: podobny był do królów asyryjskich z rzeźb i płaskorzeźb; nosił na głowie wysoki kołpak, zaś wielka fryzowana broda spadała mu na piersi. Wbrew tym przypuszczeniom urzekła mnie właśnie twarz ujrzana na kamei.

Jeżeli nie wiemy, jak wyglądał Nabuchodonozor, to przecież z Księgi Daniela wiemy dość dużo o tym, jaki był. Że odznaczał się łaskawością i sprawiedliwością. Że fascynował go niewidzialny Jahwe Izraelitów i że składał Mu ofiary. Był litościwy dla zbuntowanej Jerozolimy, a jeżeli ją w końcu kazał zniszczyć, to przecież poprzednio dwa razy przebaczył jej podniesiony bunt. W Wadi Brissa dochowała się do dziś dnia część opiewającego zwycięstwo napisu: „Rozmiem wrogów z ziemi Judy i zmusiłem ich do ucieczki; rozproszyłem lud izraelski, zdobyłem twierdze i zburzyłem je, czego żaden poprzedni król nie zrobił...”

Ród Nabuchodonozora był efemerydą polityczną: Ojciec wielkiego budowniczego, Nabopolassar, mały książe Chaldei, po zdobyciu Niniwy zawładnęła imperium asyryjskim (czyniąc państwowym kult Marduka). Po Nabuchodonozorze krótko panował jego syn Evil-Merodach. Potem — również krótko — Neriglissar, zięć Nabuchodonozora, oraz syn Neriglissara Labaszi Marduk, po nim Nabonid, drugi zięć Nabuchodonozora, wreszcie jako ostatni — syn Nabonida, słynny Baltazar (Bel Szar-ursur). Zbudowane w 612 r. (rok zdobycia Niniwy) królestwo chaldejskie po siedemdziesięciu czterech latach przestało istnieć, zdobyte przez Cyrusa. Król perski wszedł do niezdożytego zda się miasta podstępem; jak pisze Herodot, spuścił wody Eufratu do jeziora wykopanego swego czasu przez królową Nitokris (nie wiemy, czy to była żona Nabuchodonozora, księżniczka egipska), po czym wtargnął do stolicy łożyskiem wyschłej rzeki.

Elmadam jest drugim historycznym bohaterem powieści — historycznym w pewnym tylko stopniu, bo wiemy z rodowodu, jaki przytacza święty Łukasz w swej Ewangelii, tylko tyle, że istniał człowiek tego imienia. Ewangelie znają dwa rodowody: jeden przytoczony przez świętego Mateusza, prowadzący od Abrahama poprzez Dawida, Salomona, królów judejskich, Salatiela, Zorobabela — do świętego Józefa, i drugi, który znajdujemy w Ewangelii „dla Greków” świętego Łukasza od Adama, poprzez Dawida, jego syna Natana, wielu nieznanych ludzi, wśród których z nie wyjaśnionych dokładnie powodów pojawiają się imiona Salatiela i Zorobabela — do Pana Jezusa. Odmienne ułożenie obu rodowodów interesował od dawna biblistów.

Wysuwano (od czasów Juliusza Afrykańskiego) rozmaite koncepcje obracające się wokół tezy o dwóch typach synostwa istniejących w prawie żydowskim: naturalnym i uznanym (kwestia uznania nie ma nic wspólnego z tak zwanym pochodzeniem nielegalnym. Po prostu u Żydów brat był obowiązany ożenić się z bratową, jeśli ta owdowiała, zaś zrodzone z tego związku potomstwo było legalnie potomstwem zmarłego; można więc było mieć dwóch ojców: legalnego i naturalnego). Wtedy jedna lista — lista królewska — była linią przodków prawnych Zbawiciela, druga — listą świętego Łukasza — listą przodków naturalnych.

„Wszystko by jednak było proste — powiada Daniel-Rops („Jésus en son temps”) — gdyby przyjąć, że święty Mateusz wskazuje nam na przodków świętego Józefa, święty Łukasz — na przodków Maryi... Wprawdzie tradycja chrześcijańska przyjmuje, że ojciec Maryi nazywał się Joachim, a nie Heli..., lecz Heli jest zdrobnieniem od Eliasza, co znów wydaje się synonimem Joachima, jak to stwierdza Księga Judyty...” Koncepcję tę popierało wielu uczonych. Przemawia za nią to, że Ewangelia świętego Łukasza jest prawdziwą „Ewangelią wspomnień Najświętszej Maryi Panny”. Rodowód według świętego Łukasza byłby więc prawdziwie ludzkim, „fizycznym” rodowodem naszego Zbawcy.

W tym to poczcie pradziadów Jezusa spotykamy Elmadama. Czy taki człowiek o rozgorączkowanej ambicji mógł znaleźć się w rodowodzie Chrystusa? Wydaje mi się, że tak. Ród ludzki Wcielonego Boga nie był niewątpliwie inny niż pozostałe rody. Był rodem grzeszników. Jeśli na końcu zakwitł lilią Istoty bezgrzesznej, Niepokalanie Poczętej, musiał to być — jak zwykle bywa w dziełach Bożych — niedostrzegalny, a oczywisty cud na pniu skażenia. Zwycięstwo Łaski w pyle ziemi.

Wreszcie Jeremiasz. Kto wczyta się uważnie w surową, archaizmami zaciemnioną prozę Księgi noszącej jego imię, ten znajdzie proroka właśnie takim: nieszczęśliwym, tragicznym wieszczkiem swego ludu, któremu bez końca musiał głosić najokrutniejsze prawdy. Dramat Jeremiasza — najboleśniejszego z proroków — zawiera się w tym, że jego proroctwa radosne nie spełniły się nigdy na jego oczach, choć on sam w swej ludzkiej słabości tego spełnienia oczekiwał. Natomiast najczarniejsze jego przepowiednie ziściły się do końca. „Jest to zdumiewające — napisze o nim Kittel („Geschichte des Volkes Israel”) — i w najwyższym stopniu podziwu godne, jak ten człowiek mógł wytrwać do końca w położeniu, w jakim się znajdował. Ale jeszcze bardziej w podziw nas wprawia to, że on natchnienia swoje mógł

na piśmie wyrazić... Odsłaniają nam one wnętrze człowieka niepospolitego, duszę o rzadkiej czystości, i wrażliwości, o wyjątkowej delikatności uczuć i o charakterze tak wielkim, że pod tym względem staje on przed nami bodaj jako jedyny w swoim rodzaju... Jeremiasz do końca pozostanie wierny swemu powołaniu. O, niewątpliwie kosztowało go to wiele! Wrodzona nieśmiałość, wrażliwość i strach niezliczone razy usiłowały go opanować. Zaznał chwil zniechęcenia i trwogi, a echo jego żalów doszło aż do naszych dni. Znał on, jednym słowem, walkę pomiędzy naturą a Łaską... On, który każdym swym słowem mówi o miłości do wybranego ludu, widział ruinę miasta, świątyni oraz upadek niepodległości. Sam ocalał — bezradny starzec — ale nie na długo. Pozostali w Palestynie Żydzi jeszcze raz porwali się przeciwko Chaldecykom. Zarządca Judei z ramienia Nabuchodonozora, Żyd Godoliasz, został zamordowany. Przerażeni własnym czynem zabójcy zbiegli wraz z tysiącami przerażonych Judejczyków do Egiptu. Zmusili Jeremiasza, by szedł z nimi. A po drodze — jak mówi tradycja — zamordowali go.

Dlaczego Jeremiasz, ten obrońca czystości wiary, był jednocześnie stronnikiem poganina Nabuchodonozora? Daniel-Rops powiada: „Postawa Jeremiasza odznacza się prostotą: silniejszy jest Nabuchodonozor, więc on wypowiada wolę Bożą; w rezultacie jedyną mądrością jest być mu posłusznym.” Uwaga banalna. O wiele ciekawiej ujmuje rzecz Gabriel Hanotaux: „Jeremiasz był nie tylko prorokiem, ale i politykiem. Zrozumiał on trwałość Egiptu i efemeryczność Chaldei. To zadecydowało o jego postawie...”

Może tak i było. Prorocy są heroldami słów Pańskich, ale i ludźmi. Lecz nie o koncepcję polityczną Jeremiasza chodziło mi w powieści. Chciałem po prostu odtworzyć dzieje człowieka, który przygięty misją nad siły dźwiga ją boleśnie wśród nie rozumiejącego jego cierpień tłumu.

J. D.